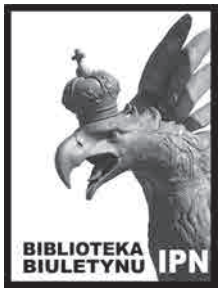


STÓŁ BEZ KANTÓW

I INNE ROZMOWY BIULETYNU IPN Z LAT 2003–2005





STÓŁ BEZ KANTÓW

I INNE ROZMOWY BIULETYNU IPN Z LAT 2003–2005



WARSZAWA 2008

Seria „Biblioteka Biuletynu IPN”, tom 2

Redakcja serii: Barbara Polak, Jan M. Ruman, Andrzej Sujka

Projekt okładki i strony tytułowej
Piotr Życieński

Zdjęcie na okładce
Piotr Życieński

Redakcja techniczna
Andrzej Broniak

Skład, łamanie i korekta
Piotr R. Nowak

© Copyright by Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Wydawca IPN–KŚZpNP
ul. Towarowa 28
00–839 Warszawa

ISBN 978-83-8459-060-7

Zapraszamy
ipn.gov.pl
ksiegarniaipn.pl

OD WYDAWCY

Ta książka przeznaczona jest dla wszystkich zainteresowanych najnowszą historią Polski. Jej lektura nie wymaga wcześniejszych dogłębnych studiów historycznych. Rozmowy, z natury rzeczy, mają formę przystępną dla każdego czytelnika. Osoby, które nie zajmują się badaniem historii znajdą w tym tomie wiele cennych wiadomości na temat losów Polski w XX stuleciu. Profesjonaliści natomiast odkryją zapewne niejedną oryginalną interpretację znanych im faktów, wyrażoną przez wybitnych historyków, zapraszanych do biuletynowych dyskusji.

W tomie zamieściliśmy wybór rozmów, które były publikowane na łamach „Biuletynu IPN" w latach 2003–2005. Niektóre z nich dotyczą okresu wojny i okupacji – m.in. „Zbrodnia Katyńska" czy „Pokonani w obozie zwycięzców". Inne, znacznie liczniejsze, opowiadają o kilkudziesięciu latach peerelu. Są wśród nich tematy przekrojowe – „Życie codzienne w PRL" czy „O wakacjach, wypoczynku i czasie wolnym" i związane z konkretnymi wydarzeniami (np. „Za waszą i naszą niewolę" o interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 r.) lub postaciami (np. „Polski Papież" czy „To on miał rację" o ks. Jerzym Popiełuszce). Redakcja „Biuletynu IPN" interesowała się także specyfiką regionów – „Być Ślązakiem", „Polski Dziki Zachód", „Kresy utracone", mniejszości wyznaniowych – „Zwalczani i koncesjonowani", „Dziel i rządź" oraz mniejszości narodowych – „Wszyscy krawcy wyjechali".

W powszechnym odbiorze Instytut Pamięci Narodowej kojarzony jest zwykle z esbeckimi teczkami, które przechowuje w swoim archiwum, udostępnia i poddaje badaniom naukowym. Wielość wymienionych już tematów dowodzi, że dokumenty bezpieki nie wyczerpują i nie ograniczają zainteresowań badawczych Instytutu. Archiwalia te są jednak istotnym źródłem dla naukowców zgłębiających najnowsze dzieje Polski, dlatego w tomie nie zabrakło też rozważań o tym, „Co kryją teczki".

Tytułowy „Stół bez kantów" jest refleksją nad przemianami, jakie dokonały się w Polsce w roku 1989. Rozmówcy nie skupiają się jedynie na obradach „okrągłego stołu", lecz poszukują genezy agonii komunizmu i polskiego przełomu. Dwadzieścia lat po tych wydarzeniach wciąż pozostaje jeszcze wiele tematów, które w rozmowie zostały tylko zasygnalizowane a domagają się dalszych gruntownych badań.

Przegląd spisu treści może zastanawiać – tematy peerelowskie wymieszane są z wojennymi, regionalne z ogólnopolskimi. Konieczne jest więc wyjaśnienie, że w tomie zachowaliśmy chronologię ukazywania się rozmów na łamach „Biuletynu IPN".

Impresje zawarte w książce, którą oddajemy w Państwa ręce można potraktować jako zachętę do poznawania naszych nieodległych dziejów. Być może zechcą Państwo, w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania dotyczące najnowszej historii Polski, sięgnąć po kolejne numery „Biuletynu IPN" i inne publikacje Instytutu.

Jan M. Ruman

ŻYCIE CODZIENNE W PRL

Z Antonim Dudkiem, Zdzisławem Zblewskim i Marcinem Zarembą
rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Niełatwo jest opisać życie codzienne w PRL. Na przykład, po 1944 r. — niezależnie od wszystkich politycznych zawiłości związanych z odbudową państwa o nowym ustroju i zmienionych granicach — kraj był całkowicie zrujnowany. Niemniej jednak kilkadziesiąt milionów ludzi usiłowało normalnie żyć. To był pierwszy etap.***

M.Z. — Codzienność — według mnie — łączy się ze stabilizacją, ciągłością i przewidywalnością życia.

B.P. — ***Albo jest tylko biologicznym trwaniem w skrajnych warunkach.***

M.Z. — Tuż po wojnie była to jeszcze „codzienność wojenna". Brakowało jakiejkolwiek stabilizacji. Być może pewnym elementem tej rzeczywistości był strach: przed Armią Czerwoną, frontem, NKWD, bandami... Strach — przeżywany na przemian z euforią — przed bezpieczeństwem i przyszłością. Ówczesna codzienność to wyjątkowo trudne warunki życia. Po 1945 r. sytuacja właściwie niewiele się poprawiła. W latach 1946 i 1947 miały miejsce strajki, związane z brakami w aprowizacji. Borykano się z niedostatkami węgla, czystej wody, żywności, ubrań itd.

A.D. — Do tego opisu trzeba wprowadzić pewne uzupełnienie. Nawet w tych skrajnie ciężkich warunkach występowało zróżnicowanie regionalne oraz podział na miasto i wieś. Inaczej wyglądała sytuacja na ziemiach odzyskanych, zwanych wtedy Dzikim Zachodem, gdzie przemieszczały się bandy szabrowników, a armia sowiecka poczynała sobie znacznie brutalniej niż w regionach centralnych. Inna była rzeczywistość w dużych miastach, ale i tu wiele zależało od tego, czy chodziło o całkowicie zrujnowaną Warszawę, zniszczony Wrocław, czy też o Kraków, który ocalał. W pozostałych miastach żyło się jakby pomiędzy dwoma tymi skrajnymi sytuacjami. Z kolei na wsi było nieco lżej. Wprawdzie brakowało węgla i artykułów przemysłowych, ale ludzie przez lata okupacji przyzwyczaili się do tego. Na wsi — zwłaszcza w niektórych regionach — znacznie wyraźniej niż w miastach rysował się problem zbrojnego podziemia.

B.P. — ***Nie tylko w czasie wojny, ale i po wojnie wsie były pacyfikowane i palone.***

A.D. – Niemniej wydaje mi się, że jeśli codzienność lat 1945 i 1946 była zbliżona do tego, co rozumiemy przez pojęcie wcześniej zdefiniowanej codzienności, to taka była właśnie na wsi. Destabilizacja sytuacji w miastach trwała jeszcze przez kilka lat po wojnie, zwłaszcza że zmiana rzeczywistości politycznej rozpoczęła się od instalowania się władzy w miastach.

Z.Z. – Lata 1944–1947 są postrzegane najczęściej przez pryzmat procesu instalacji peerelowskiej rzeczywistości. Jednocześnie był to okres agonii codzienności dwudziestolecia międzywojennego – to znaczy mody, sposobu zachowania się, obowiązujących dotąd form grzecznościowych, zwyczajów codziennego życia. Przykładowo krakowski działacz socjalistyczny Zygmunt Żuławski nie widział wówczas niczego niewłaściwego w zatrudnianiu służącej, a kilka lat później było to już nie do pomyślenia. Ten okres jest dość szczególny i z tego powodu, że mamy w nim do czynienia z przenikaniem do rzeczywistości codzienności wojennej – moda na angielskie battledressy czy amerykańskie papierosy – i przedwojennej. W latach 1947–1948 pojawiły się nowe wzorce w ubiorze, literaturze, filmie. Te lata można umownie uznać za początek czasów, w których realia peerelowskiej codzienności zdobywały przewagę nad tymi istniejącymi poprzednio.

M.Z. – Koniec pewnych mód i stylów życia nie nastąpił podczas II wojny czy w okresie stalinowskim. Na przykład w Krakowie można mówić o długo trwających zjawiskach społecznych czy stylach życia. Zwłaszcza mieszczańskie zwyczaje – szczególnie w okresie stalinowskim – niszczono i spychano na margines. Notabene później, w latach siedemdziesiątych, socjolodzy odnotowali renesans mieszczańskiego stylu życia.

B.P. – ***Chcę wrócić do tego wcześniejszego okresu. Stabilizacji życia w latach pięćdziesiątych towarzyszyły – o czym wspomniał jeden z panów – usuwanie i izolacja, a nawet schyłek obyczajowości i innych norm obowiązujących w przedwojennych grupach społecznych, w tym form grzecznościowych. Coraz rzadziej używano form »szanowna pani« na rzecz »towarzyszko«, »koleżanko«, »obywatelko«. Myślę, że zmiany języka bardzo dobrze ilustrują przekształcenia społeczne. Ponadto ogromne powojenne migracje przyczyniły się do przeniesienia w głąb Polski elementów kultury kresowej – codziennej i materialnej, na przykład w obrzędowości świątecznej. Poza tym, wraz z odbudową i rozbudową przemysłu, następowały znaczne przemieszczenia ludności wiejskiej do miast, która też wniosła do nich pewną specyfikę. Wystarczy przypomnieć obserwowany ze zgrozą przez mieszczuchów zwyczaj rozwieszania prania na balkonach czy podwórkach. Zmian w codziennym życiu społecznym było znacznie więcej, dokonywały się na wszystkich poziomach. Każda grupa społeczna starała się przy tym jak najprędzej odzyskać utracone poczucie normalności. Mam wrażenie, że władzy było to na rękę, był to bowiem***

jeszcze jeden sposób na umocnienie jej pozycji politycznej i utrwalenie zmian społecznych. To pokazywało, że wszyscy Polacy budują nowe życie – odbudowują kraj.

M.Z. – Powiedziała pani o migracji kresowian i przenoszeniu obyczajowości. Chcę zwrócić uwagę na zmiany, jakie się dokonywały w związku z tymi migracjami, zwłaszcza z ziem wschodnich Rzeczypospolitej na ziemie zachodnie. Pamiętam drukowane w „Karcie" wspomnienia chłopaka, który z matką i siostrą przejechał z Wołynia na tereny poniemieckie. Gdy się osiedlili, mieszkali tam jeszcze Niemcy. Ogromne wrażenie zrobiły na nim nie tylko bite drogi, murowane domy i bieżąca woda, ale również to, że Niemki chodziły z odkrytymi głowami lub w kapeluszach, a w jego wołyńskiej wsi wszystkie kobiety nosiły na głowach chustki. Najpierw lęk związany z nienoszeniem chustki przełamała siostra. Początkowo z gołą głową chodziła tylko w domu. W jej ślady poszła matka, tyle że najpierw po mieszkaniu chodziła w ręczniku na głowie. Uogólniając – te migracje powodowały zmiany w życiu codziennym, modernizację obyczajową.

B.P. – ***Na pewno wraz ze zmianą miejsca następowała również konfrontacja nie tylko obyczajowości, ale i technik życia, typów gospodarowania.***

A.D. – Modernizacji życia ludzi, przeniesionych na ziemie zachodnie ze znacznie słabiej rozwiniętych gospodarczo Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, towarzyszyło poczucie tymczasowości. Ich codzienność była niecodzienna. Mieli bowiem poczucie niestabilności związane z powszechnym przekonaniem, że nieuchronnie wybuchnie kolejna wojna. Mam wrażenie, że dopiero po podpisaniu układu granicznego w 1970 r. ludzie ci trochę się oswoili z myślą pozostania na ziemiach zachodnich. Ziemie zachodnie są odrębnym, wielkim tematem.

M.Z. – Równie dobrze to samo można powiedzieć o Białostocczyźnie, gdzie żyło się w przekonaniu, że znowu – podobnie jak między wrześniem 1939 r. a czerwcem 1941 r. – zostanie przyłączona do Związku Sowieckiego. To właśnie tam najczęściej powtarzały się pytania, czy będziemy siedemnastą republiką. Ten strach odżył na początku lat pięćdziesiątych, kiedy dokonywano korekty granicy wschodniej.

B.P. – ***Kolejny wątek to prowincja, w szczególności wsie, których mieszkańcy mieli codzienne kontakty z podziemiem niepodległościowym. To specyfika nieznana mieszkańcom miast.***

Z.Z. – Można zaryzykować twierdzenie, że przynajmniej na niektórych terenach, przykładowo na wspomnianej Białostocczyźnie, przez lata okupacji sowieckiej, niemieckiej, a potem znów sowieckiej, podziemie stało się pewnym elementem życia codziennego. Miejscowi ludzie zdążyli się już przyzwyczaić do „chłopców z lasu" i utożsamiać się z nimi, zwłaszcza że wielu partyzantów pochodziło z ich miejscowości byli to ich bracia, ojcowie, synowie, sąsiedzi. W tym kontekście określanie partyzantki niepodległościowej mianem „konspiracji" może być o tyle nieścisłe, że

okoliczna ludność bardzo często doskonale wiedziała lub przynajmniej domyślała się, kto w tej konspiracji czy partyzantce działał i nocą szedł do lasu, a w dzień powracał do domu. Nie donosiła jednak Niemcom, Sowietom czy komunistom, bo „leśni" to byli „swoi", a tamci – „obcy". Pomiędzy partyzantami a miejscową ludnością zawiązywała się w ten sposób swego rodzaju umowa społeczna. „Chłopcy z lasu" stawali się częścią akceptowanej przez lokalną społeczność rzeczywistości.

M.Z. – Zgoda, ale trzeba pamiętać, że ta partyzantka przekształcała się. Coraz częściej ludność miała do czynienia z półbandami, a coraz mniej z konspiracją. Trudno się do strachu przyzwyczaić. Prawdą jest, że codzienność – jeśli można używać tej kategorii dla okresu zaraz po wojnie – jest pełna niepewności, zwłaszcza na prowincji. Chłopi trzymali broń pod łóżkiem, niemalże wszyscy na noc się barykadowali. Takie zachowanie było charakterystyczne szczególnie na ziemiach zachodnich, ale w gruncie rzeczy dotyczyło to całej polskiej prowincji.

Cechą życia codziennego, przynajmniej do początków lat siedemdziesiątych – później powtarza się to w latach osiemdziesiątych – jest to, że społeczeństwo jest spauperyzowane. Co to oznacza? Badania socjologiczne prowadzone nad społeczeństwem chłopskim w południowych Włoszech wskazują, że bieda oznacza zawężenie perspektywy społecznej do koncentracji na problemach własnej rodziny i pomijanie tego, co znajduje się poza nią, a także ograniczenie wizji przyszłości do własnego życia. Było to życie z dnia na dzień. Nie myślało się dalekosiężnymi kategoriami, na przykład o wzięciu pożyczki. W peerelu też nikt nie myślał w ten sposób. Ludzie żyli od pensji do pensji. To ważny aspekt życia codziennego w Polsce Ludowej.

Kolejną charakterystyczną cechą była uniformizacja życia codziennego. Przed wojną mieliśmy wielość modeli stylów życia. Inaczej żyła polska inteligencja, odmiennie chłopi, na swój sposób robotnicy, istniała bowiem specyficzna kultura robotnicza. Były też bardzo silne regionalizmy: życie na Śląsku i życie na Kresach to były różne światy. W wyniku II wojny światowej, przemian społecznych i procesów wewnątrzsystemowych dochodziło do uniformizacji. Mieszkanie przeciętnego Polaka – szczególnie tego mieszkającego w dużym mieście – wyglądało podobnie. Tak było mniej więcej do lat siedemdziesiątych.

A.D. – Ten proces zaczął się na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy ruszyło masowe budownictwo mieszkaniowe. Najbardziej znanym przykładem jest Nowa Huta, ale takich miast-osiedli budowano więcej. Powstawały – jak na warszawskim MDM – podobne mieszkania z niemal identycznym wyposażeniem. Niemniej zastanawiam się, czy w tym opisie nie ulegamy lansowanemu wówczas stereotypowi. Na pewno w określony sposób miała żyć społeczność Nowej Huty, miało być to nowe socjalistyczne społeczeństwo. Jednak później – poczynając od Adama Ważyka i jego *Poematu dla dorosłych* – okazało się, że to wszystko wyglądało inaczej niż te socjalistyczne obrazki. Zastanawiam się, jak dalece ta uniformizacja rzeczywiście nastąpiła, czy my nie ulegamy pewnemu złudzeniu. Czy nie jest tak, że tak

żyli tylko ci, którzy wtedy awansowali, których władza ludowa wciągnęła w swoje tryby. Dziewczętom i chłopcom, których wciągnięto do ZMP, nakładziono do głowy różne rzeczy, oni w to uwierzyli i żyli tak, jak partia przykazała, wedle zalecanych propagandowo reguł. W rzeczywistości zaś funkcjonowało „drugie" społeczeństwo, na przykład w Warszawie byli to bikiniarze, a na wsi, gdzie propaganda z trudem docierała, mieliśmy do czynienia z kontynuacją wzorców wypracowanych przed wojną. PRL miała tam bardzo powolny wpływ na zmiany w zachowaniu i mentalności.

B.P. — ***Pod warunkiem że nie było tam PGR.***

A.D. — Tak. To specyficzny wytwór i rzeczywiście trzeba rozdzielić wieś na spółdzielczą czy pegeerowską i tę zwykłą.

Codzienność peerelowska zaczęła się różnicować już w latach pięćdziesiątych. Inaczej wyglądało życie społeczne tam, gdzie władza głęboko ingerowała, na przykład w nowych osiedlach mieszkaniowych, niż w społecznościach, których władza nie zdołała do końca poruszyć, potrząsnąć nimi. Inaczej żyło się w takich krakowskich dzielnicach, jak Kazimierz czy Podgórze, a inaczej w Nowej Hucie. Codzienność w Nowej Hucie wyglądała odmiennie, co nie znaczy, że tak, jakby władze chciały.

M.Z. — Będę się upierał. Masz rację, mówiąc, że inaczej żyje się w Krakowie niż na warszawskiej Pradze czy w Nowej Hucie. Niemniej, jeśli spojrzeć na tę mozaikę — na świat sprzed września 1939 r. i świat po roku 1945, to widać, że toczył się pewien proces zmierzający do uniformizacji. Maleje zróżnicowanie tak charakterystyczne dla Polski przedwojennej.

B.P. — ***Może to banalne, co powiem, ale uniformizacja była wymuszona chociażby tym, że w całym kraju wszystko miało te same ceny, dostępne były te same produkty. To jeden z bardzo istotnych powodów uniformizacji. Wszyscy chodzili w takich samych trzewikach, podobnych paltotach, czapkach, bluzkach, nie mówiąc już o taśmowej produkcji standardowych mebli.***

Z.Z. — Jeżeli przez pojęcie uniformizacji rozumiemy proces z góry narzucony i stymulowany przez władze, to warto dodać, że reakcją części społeczeństwa była konformizacja, przejawiająca się między innymi podejmowaniem prób dostosowania tradycyjnych wzorców zachowań do wymagań stawianych przez władze. Przykładowo w 1946 r. koło PPR w Muszynie otrzymało sztandar partyjny. Obecni na zebraniu członkowie nie byli jednak zachwyceni, gdy okazało się, że sztandar nie zostanie poświęcony. Okazali niezadowolenie również dlatego, iż zgodnie ze swymi wyobrażeniami oczekiwali, że na sztandarze zostanie umieszczony wizerunek Chrystusa. Innymi słowy, przyjęli postawę: chcą, żebyśmy byli komunistami — zgoda, lecz religijnymi.

Wydawać by się mogło, że proces ingerencji „nowego" w tradycję był szczególnie duży w Nowej Hucie. Zgoda, choć warto zwrócić uwagę, że — pomijając specyficzne lata osiemdziesiąte — do największej eksplozji niezadowolenia mieszkańców tej

dzielnicy doszło w kwietniu 1960 r. Nie stało się to bynajmniej z przyczyn ekonomicznych, lecz dlatego, że władze komunistyczne brutalnie zaingerowały w wyznawany przez znaczną część tej społeczności tradycyjny system wartości. Mieszkańcy Nowej Huty w znacznej części wywodzili się ze środowisk wiejskich, traktowali swoje nowe miejsce zamieszkania jak wielką wioskę. Nie wyobrażali sobie jej istnienia bez stojącego w centrum kościoła, organizującego ich rzeczywistość w sensie dosłownym i w przenośni. Uczestnicząc, a właściwie będąc przedmiotem zakrojonego na szeroką skalę eksperymentu społecznego, społeczeństwo Nowej Huty w ten sposób odcisnęło na nim własne piętno.

B.P. — ***Odzyskiwanie przez społeczeństwo poczucia normalności polegało na tym, że usiłowało zaadaptować to, co je otaczało, do swojej mentalności i tradycji. Chciało w ten sposób tę rzeczywistość oswoić.***

M.Z. — To zjawisko neotradycjonalizmu. Po czasie wielkiej rewolucji okazało się, że zmiany wcale nie poszły tak daleko, a sam system, żeby istnieć, musiał przyjąć warunki charakterystyczne dla danej społeczności. Weźmy tradycyjny styl życia w Czechosłowacji, gdzie władze nie negowały tego, że trzeba napić się piwa. Wyraźną cezurą, jeśli chodzi o „konformizację", jest dla Polski 1956 r. Do mniej więcej lat 1953 i 1954 ludzie liczyli się z wybuchem trzeciej wojny światowej, czekali końca komunizmu.

Ostatnio badam listy przejęte przez Biuro „W" MBP i MSW, zajmujące się inwigilacją korespondencji. Autorka jednego z listów po śmierci Stalina zapisała: „Dzisiejsza wiadomość dodała otuchy i wiary w lepsze życie. Jestem radosna i dodało mi sił do przetrwania". Po 1956 r. takie wypowiedzi są niesłychanie rzadkie. Pojawia się brak alternatywy i konstatacja, że jakoś, tak czy inaczej, trzeba się zaadaptować, bo nie ma nadziei na zmianę sytuacji ustrojowej. Tym bardziej, że wraz z ewolucją systemu w kierunku modelu państwa opiekuńczego coraz lepiej się żyje. Pogłębiało to „proces konformizacji".

A.D. — Mówisz, że ludzie zaczęli się „konformizować" i godzić, bo nie widzieli alternatywy, ale może też dlatego, że przestali się bać tak bardzo, jak dotąd.

M.Z. — To prawda, że konformizm jest związany z lękiem. Myślę, że strach cały czas był obecny w świadomości społecznej aż do końca lat osiemdziesiątych.

A.D. — Niemniej po 1956 r. poziom lęku obniża się i to ułatwia przystosowanie się do nowej rzeczywistości. Jeśli człowiek boi się mniej niż dawniej, to znaczy, że przyswaja sobie ten system. Kluczem do zrozumienia tego, jak społeczeństwo w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych coraz bardziej wchodziło w peerelowską rzeczywistość, jest fakt zmniejszenia spirali strachu. Ludzie zaczęli się mniej bać, a jednocześnie zrozumieli, że żadnej radykalnej zmiany nie będzie, upadek komunizmu nie nastąpi. Równocześnie poczuli, że w tym systemie da się żyć, więc siłą rzeczy zaczęli go akceptować. Werbalnie nie — na imieninach, przy wódce, dalej mówiono, że komuna jest do d..., żeby diabli wzięli tych komunistów. Niemniej ten system dawał

coraz większe możliwości awansu, nie trzeba już było robić rzeczy tak obrzydliwych, jak przed 1956 r., żeby dostać wyższe stanowisko. Wystarczyło zapisać się do partii, ona nie była taka jak dawniej, nie odbywały się już nieustanne zebrania, na których demaskowano wrogów i wykańczano ludzi. Poza tym rozpoczynał się proces umasowienia partii, przyjmowano tych, którzy wcześniej nie mogli do niej należeć.

M.Z. – To bardzo ważna cecha życia społecznego i codziennego – dualizm, polegający na oddzieleniu świata prywatnego, rodzinnego od świata zewnętrznego – instytucji, partii, rzeczywistości oficjalnej, kontrolowanej. Codzienność prawie każdego Polaka zaczęła koncentrować się przede wszystkim na życiu rodzinnym. Dom stał się miejscem, w którym można było swobodnie rozmawiać. Tu partia i władza nie sięgały, można było w sposób naturalny, niewymuszony organizować sobie życie. To jest bardzo ważna cecha życia codziennego. Nobilitacja prywatności rozpoczęła się w latach sześćdziesiątych. Wówczas też wzrosło znaczenie takich świąt i rodzinnych rytuałów, jak Pierwsza Komunia i obchodzenie imienin.

B.P. – ***A jednocześnie w latach siedemdziesiątych pojawił się zwyczaj bardzo uroczystej oprawy ślubów cywilnych, to też była specyfika tego okresu, związana zapewne z laicyzacją społeczeństwa. Budowano pałace ślubów. Ludzie to kupowali. Pan mówi o intymności życia rodzinnego, ale dokładnie w tym samym czasie niejako upubliczniło się to życie, przy okazji na przykład właśnie ślubu.***

A.D. – Śluby cywilne i ich uroczysta otoczka – wydaje mi się – były elementem inżynierii władz. Urząd do Spraw Wyznań w latach sześćdziesiątych zaczął projektować rozwijanie świeckiej obrzędowości: bo – jak zakładano – ludzie tego chcą. Dla władz była to jednak przede wszystkim znakomita metoda walki z Kościołem – nie represjami administracyjnymi, ale świecką obrzędowością.

M.Z. – To było związane z rytualizacją życia w ogóle. Podobnie jak prywatki – tak charakterystyczne dla codziennego życia polskiej młodzieży w PRL. Ludzie spotykali się, bawili, świętowali w domu, w miejscu prywatnym. Nie wychodzili na ulicę. Życie codzienne Polaków po pracy nie było życiem ulicznym, tak jak w wielu krajach południa czy północy, gdzie ludzie spotykali się, i robią to nadal, w pubach czy kawiarniach. Polską specyfiką był dom i mieszkanie, miejsce, gdzie można było być naturalnym i spontanicznym, tu bowiem macki władzy nie sięgały.

A.D. – Charakterystyczne dla rzeczywistości lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych były słynne imieniny. Obyczaj obchodzenia imienin stanowił o specyfice tamtej epoki. Nic nie wiem o tym, żeby tak było przed wojną. Owszem, były przyjęcia urodzinowe. Nie odbywały się jednak na takiej zasadzie, że zapraszało się kolegów z pracy i robiło wielką imprezę towarzyską, najpierw w pracy, później w domu. Do dziś pozostałości takiego obyczaju można obserwować w kulturze biurowej, w urzędach państwowych. Wraz z upadkiem PRL zwyczaj ten stopniowo zanika. Tych hucznie obchodzonych imienin nie można porównać ani z czasami przedwojennymi, ani

z tym, co było po wojnie. W taki specyficzny sposób zastępowano więzi, których nie było, bo władze firmowały wszelkiego rodzaju stowarzyszenia i aktywność w nich była czymś innym. Spontaniczne kontakty międzyludzkie odbywały się właśnie na imieninach. To erzac, namiastka form zaangażowania się czy życia towarzyskiego w szerszym gronie. Na imieninach, często w tych małych spółdzielczych mieszkankach, spotykało się dwadzieścia, trzydzieści osób.

Z.Z. – Wydaje mi się, że ów proces rozkwitu życia prywatnego w okresie PRL jest w dużej mierze odrodzeniem się tego, co było przed wojną. Społeczeństwo dwudziestolecia międzywojennego było silnie powiązane ze sobą licznymi więzami, nie tylko zawodowymi, ale przede wszystkim rodzinno-towarzyskimi.

M.Z. – Zgoda, ale prof. Stefan Nowak w 1979 r. w artykule opublikowanym w „Studiach Socjologicznych" (nr 4) zwrócił uwagę na powojenną społeczną próżnię. Polacy przed wojną żyli przede wszystkim życiem rodzinnym, ale istniało wówczas również wiele form kontaktów pozarodzinnych: związki zawodowe, silne partie polityczne, stowarzyszenia, chóry itd. Ludzie mogli aktywnie uczestniczyć w tych organizacjach, bez skrępowania realizować swoje ambicje.

B.P. – ***Chcę jeszcze wrócić do tego, o czym panowie mówili, mianowicie do tego, że zmniejszał się strach. Myślę, że jego agonia miała dwie fazy. Po stalinizmie stopniowo wygasał lęk przed bezpośrednim terrorem, donosami, aresztowaniami, ale powrócił strach przed wojną. Pamiętam takie okresy destabilizacji sytuacji międzynarodowej: kryzys kubański w 1962 r. czy zaostrzający się konflikt rosyjsko-chiński. To się przekładało na kolejki w sklepach, ludzie zaczynali robić zapasy. Strach przed wojną, umiejętnie podsycany propagandą, był jednym ze sposobów, którym usiłowano spacyfikować społeczeństwo.***

M.Z. – Strach przed wojną istnieje w społeczeństwie polskim od 1946 r. Po przemówieniu Winstona Churchilla w Fulton, w okresie stalinowskim niemalże co miesiąc dochodziło do paniki i wykupywania wszystkiego. W latach sześćdziesiątych wystarczyło kilka wezwań do komisji poborowej i w całym powiecie znikał cukier. W czasie kryzysu berlińskiego w 1961 r. i rok później podczas kryzysu kubańskiego mamy do czynienia z paniką wojenną, która w istocie objęła cały kraj. Mówiąc o agonii strachu, myślimy tylko o strachu przed władzą. Nie jestem do końca pewny, czy mamy do czynienia z agonią, czy z obniżeniem się jego poziomu. We wspomnieniach – chociażby ze stanu wojennego – widać, jak ludzie bali się władzy. Były też inne kategorie strachu: tego związanego z podwyżkami i innymi trudnościami życia codziennego; lęki: czy pensja starczy do pierwszego albo – jak w latach osiemdziesiątych – czy będzie można wykupić kartki...

B.P. – ***...czy dostaniemy się do pociągu, jadąc z dziećmi na wczasy?***

M.Z. – Dlatego ludzie chcieli kartek, bo nie trzeba stać godzinami i będzie można coś dostać. Symbolem związanym z rzeczywistym strachem był cukier. Ilu ludzi

miało cukier schowany w szafie czy za kanapą! To też był miernik polskiego strachu. Był lęk przed chorobami zakaźnymi, że zje się lody z salmonellą. Z dokumentów partyjnych wynika, że wciąż dochodziło do zatruć całych miasteczek, nie mówiąc na przykład o epidemii ospy na początku lat sześćdziesiątych. Strach, czy wkroczą czy nie wkroczą, panował na początku lat osiemdziesiątych.

A.D. – Strach przed sowiecką interwencją (niezależnie od poziomu jej prawdopodobieństwa) celowo generowały władze. Był jeszcze jeden oczywisty strach – na wsi, przed kolektywizacją. W latach siedemdziesiątych, a nawet osiemdziesiątych, sam miałem okazję obserwować jego objawy na rzeszowskiej wsi. Było tak, że gdy w 1956 r. Władysław Gomułka odpuścił tę sprawę, ludzie odetchnęli, że to koniec z kolektywizacją. Na wsi – nawet w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – istniało przeświadczenie, że władze prędzej czy później do niej powrócą. Dlatego przywódcy ZSL tak się chwalili doprowadzeniem w 1983 r. do nowelizacji konstytucji PRL, w ramach której wprowadzono artykuł o trwałości indywidualnych gospodarstw rolnych. Oczywiście, wielu chłopów odebrało to jako kolejne posunięcie mające ukryć niecne zamiary komunistów.

M.Z. – Strach przed kolektywizacją oznaczał brak stabilizacji i narastanie poczucia, że na dłuższą metę nie da się żyć w takich warunkach. W informacjach partyjnych i raportach MBP można znaleźć wiele meldunków o tym, że ludzie nie sieją, nie zbierają zboża lub zamierzają opuszczać swoje gospodarstwa, ponieważ boją się, że ich ziemię przejmie powstająca w okolicy spółdzielnia.

Wrócę jeszcze do strachu związanego z aprowizacją. Pamiętam list przejęty w 1962 r. przez Biuro „W" – „...całe życie w tej Polsce ludowokomunistycznej jest obrzydliwe, wieczne tylko troski i walka nieomal o zdobycie żywności. Przez dwa miesiące nie mieliśmy zupełnie żadnego mięsa ani ziemniaków, obecnie znowu nie ma mięsa. Tłumy ludzi wędrują od sklepu do sklepu za masłem...".

Fenomen pierwszej połowy lat siedemdziesiątych polegał na tym, że nagle ten problem zmalał. Oczywiście, na prowincji, w niektórych miastach i miasteczkach ciągle były niedobory. Produkty przemysłowe i spożywcze zawsze posyłano do dużych skupisk klasy robotniczej. Jednak po 1971 r. nastąpiła wyraźna, przez wszystkich odczuwana poprawa zaopatrzenia. Ma to odzwierciedlenie w badaniach optymizmu społecznego, które przeprowadzał wówczas OBOP. Optymizm wyraźnie wzrastał, spadek nastąpił po 1976 r. Są też badania dotyczące tego, co ludzie mogą kupić w najbliższym sklepie. Z tych badań (1977 r.) wynika, że na przykład 85 proc. mogło dostać chleb, 55 proc. – olej roślinny, 45 proc. – masło, 38 proc. – jaja, mniej niż 1 proc. – mięso wołowe bez kości i szynkę. Są również badania dotyczące czasu, jaki ludzie spędzali w kolejkach. „Czasochłonność dziennego zakupu artykułów częstego użytku przez rodzinę" wynosiła w 1966 r. 63 min, 1970 r. – 94 min, 1971 r. – 73 min, a w 1976 r. – już 98 min. Ciekawe, że dziś funkcjonuje opinia, iż wówczas ludzie – mimo tych kolejek – mieli więcej czasu. Dwie godziny w kolejkach, i do

tego bardzo dużo czynności, które w społeczeństwach kapitalistycznych wykonują różnego rodzaju punkty usługowe. A przecież wtedy gotowało się obiady w domu, przygotowywało się kompoty, prało pieluchy. Sądzę, że mniej czasu spędzało się w pracy. Za to wiele czasu ludzie poświęcali wszelkiego rodzaju pracom domowym, sprzątaniu, gotowaniu, reperacjom.

B.P. — ***Dość ciekawym zjawiskiem był zbiorowy wypoczynek — instytucja wczasów pracowniczych. Ludzie ze sobą pracowali, a potem wyjeżdżali do zakładowego ośrodka wczasowego. Wykształciły się w ten sposób pewne rytuały. Z jednej strony w latach sześćdziesiątych wszystko to, co prawdziwe i ważne, odbywało się w granicach domu, ale też i bardzo łatwo ci sami ludzie poddawali się stadnym zachowaniom, »kompanijności« środowiska zawodowego. W zakładach pracy organizowano wycieczki albo wyjazdy na wczasy czy grzyby, gdzie zabawa polegała na tym, żeby być ze sobą jak najściślej, nie było mowy o żadnej prywatności. Razem było się w stołówce, na plaży, przy ognisku itd. To co prywatne, jak odpoczynek właśnie, bardzo łatwo zostało oddane.***

M.Z. — Nie zgadzam, że to było oddawane, to było raczej przejmowane. Ludzie się organizowali, żeby wspólnie z rodzinami wyjechać na jakieś wczasy, razem pili wódkę, nie obchodzili świąt państwowych, rozmiękczali w ten sposób system.

B.P. — ***Ale jeśli 22 lipca na turnusie wczasowym zorganizowano ognisko z kiełbaskami, to natychmiast tam biegli.***

A.D. — Podobnie uczestniczyli w święcie „Trybuny Ludu".

Z.Z. — Warto zwrócić uwagę, że mamy do czynienia z młodym społeczeństwem — zarówno wiekowo, jak i pod względem zachowań społecznych. Dla tych ludzi była to często jedna z nielicznych znanych form wypoczynku. Byli to niejednokrotnie ludzie z awansu społecznego, który przybyli do miasta ze wsi, więc korzystali z propozycji, jakie im składano.

A.D. — Mieli także ograniczone możliwości. To społeczeństwo było egalitarne, jeśli je zestawimy z dzisiejszym, w którym występują ogromne różnice majątkowe. Wówczas tylko relatywnie wąska grupa jeździła do Bułgarii czy na Krym. Było to więc egalitarne społeczeństwo ludzi o dość zbliżonych możliwościach ekonomicznych, w dodatku poddane zmasowanej indoktrynacji przez medium, które się wtedy upowszechniło. Była nim oczywiście podlegająca niewiarygodnie skrupulatnej kontroli telewizja, lansująca określone wzorce życia. Dwa najpopularniejsze seriale obyczajowe lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych — *Wojna domowa* i *Czterdziestolatek* — pokazywały przeciętną polską rodzinę z określonymi wzorcami zachowań, problemami i życiem codziennym. Wielu ludzi próbowało naśladować ten model. Zjawisko naśladownictwa było powszechne. Oczywiście, jest i dzisiaj, tylko wzorców wyjściowych jest znacznie więcej. Wówczas następowała pewna uniformizacja życia. Ludzie zaczynali zachowywać się jak bohaterowie tych seriali.

Nie wiemy, w jakim stopniu władze zdawały sobie sprawę z tego, jak daleko idące mogą być tego konsekwencje. Niektóre sprawy o wiele łatwiej załatwić jednym serialem, czy nawet jedną sceną w filmie, niż pracą dwóch tysięcy pracowników operacyjnych SB. Pewne rzeczy łatwiej sprzedawało się społeczeństwu za pomocą telewizji niż za sprawą agitatorów.

M.Z. – Te zjawiska są trudne do badania. Bez wątpienia łuki w budowanych domkach jednorodzinnych, boazeria i wystrój łazienki były wzorami z *Czterdziestolatka*. Pojawił się renesans mieszczańskiego stylu życia, o którym już mówiłem. Wraz z wyjazdami na Zachód czy do fabryk w Iraku i Libii przywożono stamtąd na przykład wzorce spędzania wolnego czasu, nowe mody. W latach siedemdziesiątych nastąpiło pewne odejście od uniformizacji.

A.D. – I tak, i nie. Nie ma tu sprzeczności. To, co powiedziałeś, dotyczy kilku największych miast w Polsce. Ci, którzy podpisywali kontrakty i wyjeżdżali za granicę, rekrutowali się z największych dziesięciu miast Polski. To oni przywozili pieniądze na samochody.

M.Z. – To była rewolucja. W 1969 r. w Polsce było 2 mln wszelkich pojazdów dwuśladowych, autobusów, samochodów prywatnych i ciężarówek. Byliśmy na ostatnim miejscu, po Rumunii, wśród krajów socjalistycznych, jeśli chodzi o liczbę samochodów prywatnych na tysiąc mieszkańców. Wraz z pojawieniem się prywatnych samochodów (a przecież nie wszyscy je mieli) zaczęto inaczej wypoczywać, inaczej spędzać czas. Moim zdaniem lata siedemdziesiąte były jedynym okresem w Polsce Ludowej, kiedy poprawa materialnych warunków życia powodowała odejście od uniformizacji i postępujące zróżnicowanie.

B.P. – ***Wraz z pojawieniem się »maluchów« nastąpił czas instytucji podmiejskich działek, które wtedy nie były tak drogie jak obecnie.***

M.Z. – To zjawisko już wcześniej pojawiło się na Węgrzech i w Czechosłowacji. Było związane z paternalizmem. Znam wypowiedź Jánosa Kadara z 1975 r., który mówi: „po 1956 r. musieliśmy dać ludziom te samochody, domki". Do tego samego przekonania doszli i u nas partyjni przywódcy. Ale trzeba podkreślić przy tym zróżnicowanie, przede wszystkim właśnie przez fakt posiadania samochodu, dostępu niektórych ludzi i grup zawodowych do możliwości wyjazdów zagranicznych.

A.D. – Jednak obok zróżnicowania, którego nie kwestionuję, równocześnie w niektórych innych obszarach następowała uniformizacja w świadomości społecznej, która została rozpoczęta już w latach pięćdziesiątych. W dużym stopniu wynikała ze skrajnie scentralizowanego modelu gospodarki. W latach siedemdziesiątych zakupiono licencje na produkcję pepsi-coli i coca-coli. Jednak centralni planiści podzielili kraj i w rezultacie w jednych regionach można było kupić wyłącznie pepsi (na przykład w Małopolsce), w innych zaś wyłącznie coca-colę. Gdy prezes Radiokomitetu Maciej Szczepański sprowadził do telewizji ABBĘ, cała Polska żyła jej występami. Powód był prosty: przyjazdy zachodnich zespołów do Polski ściśle limitowano.

M.Z. – Traktujesz to zbyt magicznie, uważając, że Maciej Szczepański sprowadzając ABBĘ, zamyślał, że wszyscy Polacy będą się ubierali w białe kimona. Władza miała takie skłonności, żeby wszystko narzucać, ale naprawdę nie nad wszystkim panowała.

A.D. – Nie twierdzę, że wszystko było reżyserowane, bo byłoby to absurdalne. Jednak przy pewnej jednolitości źródła indoktrynacji – siłą rzeczy tym źródłem była partia, a dokładnie aparat KC PZPR – pewne rzeczy były ludziom wtłaczane w sposób przemyślany i konsekwentny. Dlatego różnicowaniu społeczeństwa w jednych sferach towarzyszy równoległa uniformizacja w innych.

B.P. – ***Powiem jeszcze więcej, gdybyśmy zlikwidowali współcześnie istniejące media i zostawili dwa programy TV i cztery programy radiowe, to też mielibyśmy inny obraz dzisiejszego społeczeństwa. Co tu dużo mówić, do końca peerelu funkcjonował monopol państwa na wiele rzeczy. Trzeba sobie przypomnieć, jak wyglądały ówczesne ulice, co zaczęło się trochę zmieniać dopiero w latach osiemdziesiątych. Wszyscy byli prawie identycznie ubrani, a na wsi wyglądało to rozpaczliwie, bo tam było mniej pieniędzy, a do sklepu daleko.***

Barbara Hoff sprzedawała swoje kolekcje w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, po które ustawiały się straszliwe kolejki, a potem na ulicach wielkich miast pojawiały się tysiące tak samo »awangardowo« ubranych młodych ludzi, bo na tym polegały tzw. długie serie. To też był pewien rodzaj uniformizacji.

M.Z. – Były miejsca, gdzie udawało się kupić tzw. ciuchy. Ludzie, którzy mieli dostęp do paczek, starali się ubierać w jakiś inny, oryginalny sposób. To zresztą widać na przykład w listach do „Przyjaciółki". Dziewczyny szukają sposobów na to, żeby coś przerobić, uszyć jakiś ciekawszy strój.

B.P. – ***Powiedzmy jeszcze kilka słów o władzy, która żyła zupełnie inaczej niż społeczeństwo. W zamkniętym, izolowanym świecie, ze swoją specyficzną codziennością: dostawami do domu, studiami w Moskwie, wakacjami na Krymie itd.***

M.Z. – Na władzy ciążył eskapizm. Co jakiś czas usiłowała wyjść z tego stanu albo częściej ją z niego wyrywano. Mieczysław Rakowski, ówczesny redaktor naczelny „Polityki", nawoływał, że trzeba robić badania socjologiczne, żeby wiedzieć, co społeczeństwo myśli i jakie właściwie jest. Te badania zaczęto prowadzić intensywnie około 1976 r., kiedy już było naprawdę niebezpiecznie.

Wydaje się, że cechą codzienności peerelowskiej władzy, przynajmniej jeśli mówimy o elitach, było duże zapracowanie. Miała ona dostęp do różnych dóbr, jak: stołówka, specjalne sklepy, lekarz, krawiec. Korzystali z tych przywilejów członkowie Sekretariatu i kierownicy wydziałów (czyli mówiąc dzisiejszymi kategoriami, wyżsi urzędnicy), ale przez długi czas ścisły aparat partyjny był wyjątkowo zapracowa-

ny. W KC PZPR czy komitetach wojewódzkich partii siedziano również po nocach. Jakieś zróżnicowanie i nowe wątki pojawiły się pod koniec lat sześćdziesiątych, a zwłaszcza w latach siedemdziesiątych, kiedy polowanie przestawało być rozrywką elit (poza Piotrem Jaroszewiczem), ale pojawiły się inne. Te elementy stylu życia mniej już związane były z naganem i rewolucją, bardziej z życiem biurokracji; w jakiejś mierze elit politycznych Zachodu. W latach sześćdziesiątych w mieszkaniu bodajże Ryszarda Frelka znajdowała się sauna – tam spotykali się ludzie z kręgu Frelka i Rakowskiego – rozrywka w Polsce wyjątkowa. Trudno jednak powiedzieć, żeby życie codzienne elit politycznych było takie bizantyjskie, jakościowo inne, na przykład przypominające to, co wiemy o rodzinie Nicolae Ceauşescu w Rumunii. Oczywiście, żyło im się znacznie lepiej, ale ludzie ze średniego i niższego aparatu partyjnego mocno narzekali.

Z.Z. – Zjawisko rozwarstwienia społecznego występowało też w latach siedemdziesiątych. W 1979 r. robotnik przemysłowy zarabiał przeciętnie ponad pięć tysięcy złotych, natomiast I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR niecałe siedemnaście tysięcy złotych. Oczywiście porównanie to nie oddaje skali różnic w poziomie życia. I sekretarz KW PZPR oprócz wyższych zarobków miał przede wszystkim dużo większe tzw. możliwości: „dojścia", „układy", znajomości, przywileje, z których korzystanie było jak gdyby wpisane w status przedstawicieli peerelowskiej elity. Warto też zwrócić uwagę, że i znaczna część społeczeństwa, chcąc nie chcąc, dostosowywała się do reguł gry, ustanawianych przez establishment. Wobec permanentnych trudności w zaopatrzeniu sklepów, obywatele radzili sobie, tworząc układy towarzysko-korupcyjne, mające na celu ułatwienie dostępu do deficytowych towarów. Mechanizm ten szybko został wpisany w system codziennego funkcjonowania zwykłych obywateli.

Beneficjentów PRL było chyba więcej, niżby się mogło wydawać. Aby dostatnio żyć, nie trzeba było koniecznie zostać funkcjonariuszem partyjnym. Niekiedy wystarczyło być ekspedientką w sklepie mięsnym lub pracownikiem stacji benzynowej. Stosowanie politycznego kryterium podziału na uciskane społeczeństwo i totalitarną władzę nie wydaje się w tym wypadku przydatne.

B.P. – ***Nie trzeba było być w nomenklaturze, żeby nie tylko dobrze żyć, ale także mieć sztucznie podniesiony status społeczny. Takie ułatwienie było w zasięgu ludzi, którzy mogli cokolwiek załatwić, począwszy od kierownika sklepu chemicznego, który »załatwiał« farby olejne do malowania. Każdy mógł być kimś, jeśli był sprzedawcą, niezależnie od poglądów.***

A.D. – Wrócę do życia ludzi z nomenklatury. Historie z korupcją i różnymi układami mieliśmy przez cały okres PRL, przy czym w epoce stalinowskiej wszechobecny strach paraliżował nieco działania ludzi skłonnych do nadużyć. Później już stale miały miejsce praktyki dodatkowego organizowania sobie

środków na życie. Tyle tylko, że do końca epoki gomułkowskiej ludzie z aparatu władzy mieli oficjalnie żyć skromnie. Dobrze ilustrują to dwa przykłady. Znamienna jest sprawa Stanisława Wawrzeckiego, głównego bohatera afery mięsnej, skazanego na karę śmierci. Wawrzecki nadwyżki finansowe zamieniał na złoto i zakopywał w ogródku. Nie mógł ich otwarcie wydawać, ponieważ nadmierna konsumpcja zrodziłaby podejrzenia i mogłaby go zdekonspirować. Prawdopodobnie w latach siedemdziesiątych Wawrzecki nie musiałby już tak się kamuflować. Drugi przykład to film „Nóż w wodzie" Romana Polańskiego, który Gomułka potępiał na plenum KC PZPR jako przejaw lansowania obcego nam stylu życia. Chodziło o bohatera granego przez Leona Niemczyka, który miał jacht i samochód, czyli coś, czego nie powinien posiadać przeciętny obywatel socjalistycznego społeczeństwa. W latach siedemdziesiątych nikt by już tego filmu nie potępiał, bo zmienił się dopuszczalny margines swobody konsumpcyjnej, choć oczywiście dalej mówiono o przypadkach nieuzasadnionego bogacenia się. Gen. Wojciech Jaruzelski w latach osiemdziesiątych próbował – nawiązując do siermiężnego przesłania Gomułki – ponownie z tym walczyć. Zachowały się dokumenty z jego adnotacjami na aktach dotyczących różnych afer, na przykład dotyczących podziału działek budowlanych czy różnych malwersacji z udziałem firm polonijnych. Było już jednak za późno – pole swobody bogacenia się elit władzy znacznie się powiększyło. Jego spektakularnym finałem był proces tzw. uwłaszczenia nomenklatury w latach 1988–1989. Oczywiście w porównaniu z dzisiejszymi możliwościami bogacenia się w sposób niezgodny z prawem te zjawiska wyglądają bardzo niewinnie. Różnice statusu majątkowego przeciętnego robotnika i przeciętnego sekretarza nie były aż tak wielkie jak dziś stan posiadania właściciela dużej firmy i zatrudnionego w niej gońca.

Z.Z. – Chciałem jedynie zwrócić uwagę, że korumpowanie elity władzy na wielką skalę datuje się przynajmniej od lat siedemdziesiątych.

M.Z. – W 1966 r. Sekretariat KC wystosował list do wszystkich komitetów wojewódzkich i powiatowych, wskazując wyraźnie na złe tendencje w aparacie partyjnym, polegające na korupcji, co oznacza, że zjawisko jest jeszcze starsze.

Z.Z. – Oczywiście, że zjawiska korupcji nie wymyślono w latach siedemdziesiątych. Sądzę jednak, że właśnie „za Gierka" możliwość korzystania przez przedstawicieli elit z dóbr niedostępnych dla zwykłego śmiertelnika zaczęła odgrywać szczególną rolę swoistej płaszczyzny porozumienia establishmentu. Zaryzykowałbym nawet tezę, że przynajmniej częściowo zajęła ona miejsce czynnika ideologicznego, który po wypadkach marcowych i grudniowych w Polsce oraz stłumieniu Praskiej Wiosny stracił na znaczeniu. Choć przedstawiciele elity rządzącej w latach siedemdziesiątych sporo mówili o socjalizmie, sami uważali się przede wszystkim za „socjalistycznych menedżerów", którym za ich fachową wiedzę i talenty organizacyjne należy się przede wszystkim godziwe wynagrodzenie. To właśnie miałem na myśli,

mówiąc, że od lat siedemdziesiątych instytucjonalne korumpowanie przedstawicieli władz dostępem do dóbr stało się uznaną formą wiązania ze sobą członków establishmentu politycznego.

M.Z. – Nie tylko establishmentu. W dokumencie przygotowanym przez Wydział Propagandy KC z początku lat siedemdziesiątych znajduje się stwierdzenie, że „Na bodźce materialne wrażliwa jest nie tylko klasa robotnicza. Jeszcze wrażliwsze bywają te kręgi, których potrzeby i standardy życiowe sięgają znacznie wyżej". W tym przypadku chodziło o środowiska twórcze, ale z wszechobecnym państwem wiązał ludzi cały system przywilejów, z którego korzystali nie tylko intelektualiści i artyści.

A.D. – Jedna z afer z lat sześćdziesiątych polegała na tym, że skorumpowano ministra żeglugi lodówką. Taka sytuacja w późniejszym PRL była mało prawdopodobna. Kto bowiem w KC PZPR czy rządzie przyjąłby coś tak żałosnego jak lodówka?

B.P. – Na prawach dyskutanta podzielę się z panami własnym odkryciem, że społeczeństwo, które w czasie pokoju żyje w niedostatku i nie jest społeczeństwem konsumpcyjnym, wytwarza coś, co nazwałabym na użytek tej rozmowy kulturą biedy. Niedostatek był nie tylko na poziomie pralek czy sprzętu domowego, on był na każdym poziomie, wobec tego funkcjonowały rzemieślnicze i państwowe zakłady reperacji wszystkiego, począwszy od butów i repasacji pończoch, a skończywszy na reperacji mebli czy sprzętów gospodarstwa domowego. To na poziomie organizacji społeczeństwa, ale przecież w domach reperowało się różne rzeczy, nicowało się palta, przeszywało kołnierzyki od koszuli, we własnym zakresie reperowano meble czy pościel. To wszystko składa się na pewną kulturę materialną, rzutującą na jakość życia dnia codziennego, stanowiącą element życia rodzinnego – kobiety cerowały mężom i dzieciom skarpety, swetry itd. To też było pewnym elementem życia społecznego, takiego ubóstwa ludzie się nie wstydzili, nie było nic wstydliwego w tym, że dzieci do szkoły przynosiły drugie śniadanie w torebce na przykład po cukrze, bo z papierem były kłopoty. To jeszcze jeden przyczynek do opisu tego społeczeństwa.

B.P. – ***Chcę jeszcze prosić o opis tzw. marginesu społecznego. Z jednej strony w całym okresie PRL da się odnaleźć ten górny, poza władzą margines, dostatni i żyjący cnotliwie, ale interesujące jest tzw. dno społeczne. Teraz składa się na nie grupa ludzi bezdomnych, alkoholików itd. Jak wyglądał ten problem wcześniej?***

M.Z. – Analizowałem go trochę pod kątem prostytucji. Dostęp do źródeł na ten temat jest bardzo ograniczony i nie chodzi tu o tajność dokumentów. Był to właśnie margines, władza zatem tą sprawą specjalnie się nie zajmowała. O ile do 1956 r. prostytutki można było spotkać przy wszystkich dworcach w Stalinogrodzie, czyli Katowicach, Warszawie, Krakowie, o tyle później bardzo często prostytucja kwitła przy wielkich budowach, w Nowej Hucie, przy Petrochemii w Płocku, w Turoszowie. W latach siedemdziesiątych pojawia się wyraźna zmiana. Prostytutki przeniosły się do budowanych wówczas hoteli.

B.P. — ***I tzw. »dolarowców«, czyli budynków mieszkalnych, w których można było kupić mieszkanie za dolary.***

M.Z. — Czytałem życiorys dolarowej prostytutki, wyliczyła w nim, z kim spotykała się w hotelu. Głównie z pracownikami misji handlowych, ambasad, obcokrajowcami. Trzeba jednak przyznać, że o marginesie tym wiemy bardzo mało.

B.P. — ***Przede wszystkim prawie nic nie wiadomo o bezdomnych.***

M.Z. — Czekam na dostęp do teczki z dokumentami zatytułowanej *Żebractwo i włóczęgostwo* z 1956 r. Sam jej tytuł świadczy o tym, że już wówczas były z tym problemy.

Z.Z. — Jeśli rozmawiamy o marginesie społecznym, można dorzucić jeszcze jedną kwestię. Na początku lat pięćdziesiątych pojawiło się zjawisko, które wcześniej w Polsce nie występowało. Chodzi o chuligaństwo. Młodzi ludzie, często z nowo wybudowanych osiedli robotniczych, dopuszczali się coraz liczniejszych aktów ślepej agresji, w tym także bestialskich zabójstw zupełnie przypadkowych osób. Dla wielu chuligaństwo stało się stylem życia, swoistą subkulturą. Zjawisko to zaskoczyło władze komunistyczne, które okazały się wobec niego bezradne. Przestępczość oczywiście zawsze istniała, ale zazwyczaj podlegała swoiście racjonalnym regułom. Dawniej przestępstwa popełniano najczęściej w jakiś celu, były jakieś ich motywy, teraz chuligani łamali zasady współżycia społecznego po prostu dla sportu.

M.Z. — Przestępczość wśród nieletnich, bo o tę przede wszystkim chodzi, miała być cechą państw kapitalistycznych. W Polsce pojawiła się wraz z rozpadem podstawowych więzi społecznych, spowodowanym systemową przebudową i niszczeniem dotychczasowych struktur społecznych.

A.D. — Doszedł jeszcze problem subkultur młodzieżowych.

Z.Z. — Warto się zastanowić, jak dalece powstawanie subkultur młodzieżowych było efektem ogólnych zjawisk cywilizacyjnych, a w jakim stopniu wynikało z przemian społecznych charakterystycznych dla społeczeństw krajów „demokracji ludowej".

A.D. — Na pewno pojawienie się hippisów w Polsce w drugiej połowie lat sześćdziesiątych było owocem kontaktów z Zachodem.

B.P. — ***Panowie mówią już o subkulturze, a nie o marginesie. Społeczeństwo powojenne, po doświadczeniu stalinizmu, w jakimś sensie chroniło tych ludzi, którzy obecnie bezwzględnie znaleźli się poza nawiasem społecznym. Mówię na przykład o pijanych, których koledzy czy żona zatrzymywali w domu, ponieważ z ulicy zostaliby natychmiast zabrani przez milicję, bo przynajmniej w tym zakresie dbała ona o spokój w mieście.***

M.Z. — W latach sześćdziesiątych w Warszawie było kilkuset milicjantów, a teraz stróżów prawa jest kilka tysięcy.

Z.Z. – Regularne kampanie propagandowe nawołujące do zachowania trzeźwości w miejscu pracy oraz liczba wypadków, którym ulegali pijani pracownicy, a także obowiązująca w latach osiemdziesiątych słynna godzina 13.00, przed którą nie wolno było prowadzić sprzedaży alkoholu, wskazują, że w PRL popijano w pracy, i to tęgo. Generalnie mam takie wrażenie, że społeczna tolerancja dla osób pijanych była wówczas większa niż obecnie.

A.D. – W dniu popularnych imienin cała Polska była pijana.

Z.Z. – Alkoholizm był problemem społecznym przez cały okres PRL, począwszy od dobrze prosperującego bimbrownictwa lat czterdziestych. W latach pięćdziesiątych wydano bimbrownictwu walkę, ale były regiony kraju, gdzie kwitło ono długo – wystarczy przypomnieć utrzymującą się po dziś dzień sławę śliwowicy z Łącka.

A.D. – Warto podkreślić, że wykazywano przy tym wielką inwencję. Gdy w latach siedemdziesiątych rozpoczął się kryzys związany z brakiem cukru, wykryto możliwości tkwiące w landrynkach i wykupywano ich całe worki.

M.Z. – Alkohol miał bardzo duże znaczenie w życiu codziennym, nie tylko jako stymulator życia towarzyskiego, ale również jako bardzo ważny środek wymienny.

A.D. – Mówiąc o alkoholu, myślimy oczywiście o wódce, bo ją przede wszystkim spożywano w PRL.

M.Z. – Rozmawialiśmy o korupcji. Wyniki badań prowadzonych w połowie lat siedemdziesiątych wskazują, że tylko około 50 proc. badanych stwierdziło, że się z nią styka, ale podejrzewam, że wielu przejawów korupcji nie uznawano za zachowania naganne. Dawanie lekarzowi alkoholu, czekoladek czy kawy było rzeczą tak naturalną, że nikt nie robił z tego sprawy, podobnie zapłacenie kontrolerowi biletów czy milicjantowi, żeby nie wypisywał mandatu.

B.P. – ***Pozostał nam jeszcze taki przejaw życia społecznego, jakim był dzień świąteczny. Czy da się opisać społeczeństwo przez świętowanie? W PRL pozostały tradycyjne wielkie święta religijne – Boże Narodzenie i Wielkanoc, Wszystkich Świętych, ale doszły do tego 1 Maja, 22 Lipca, rewolucja październikowa.***

M.Z. – Trochę nawiązujemy do tego, o czym powiedzieliśmy wcześniej, zwłaszcza wielkie święta kościelne były i są okazją do spotkań rodzinnych.

B.P. – ***Przynajmniej jedno z nich jest manifestacją uliczną, czyli Boże Ciało.***

M.Z. – Wielkim świętom religijnym towarzyszyło straszliwe zabieganie, przez kilka dni się je przygotowywało. Po trzepaniu dywanów można było poznać, że zbliżają się święta. Obowiązkowo myło się okna.

B.P. – ***Sprzątanie zajmowało znacznie więcej czasu choćby z powodu nieistnienia tego wszystkiego, co nazywamy dziś chemią gospodarczą.***

M.Z. – Z jednej strony był to czas spotkań rodzinnych, ale i okres wielkiego zmęczenia. Święta państwowe natomiast do życia codziennego specjalnie nie wkraczały. Był to kolejny dzień, kiedy można było zrobić przepierkę.

B.P. – ***Później, bo pojawienie się na pochodzie pierwszomajowym należało do obowiązków pracownika. Tak było do końca lat siedemdziesiątych.***

A.D. – A potem była uroczystość plenerowa, możliwość kupienia kiełbasy czy pomarańczy.

Z.Z. – Tak było w miastach. Na wsi w tym dniu zazwyczaj pracowano tak jak w dzień powszedni. Nosiło to wręcz znamiona demonstracyjnego negowania tego święta. Przy okazji warto zasygnalizować istotną – jak sądzę – kwestię roli Kościoła w organizacji życia codziennego Polaków w PRL. W sytuacji, w której obywatele przemieszczali się ze wsi do miast lub z jednego regionu kraju do drugiego, zmieniali otoczenie sąsiedzkie i zawody, byli poddani presji ideologicznej w szkołach i zakładach pracy, Kościół pozostawał często jedyną instytucją, dzięki której utrzymywano więź z tradycją. O tym, jak znaczące było w tej dziedzinie oddziaływanie Kościoła, może świadczyć fakt, że z akt krakowskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego wynika, iż nawet funkcjonariusze tej instytucji potajemnie chrzcili dzieci i tolerowali uczestniczenie członków swoich rodzin w nabożeństwach. Można więc zaryzykować twierdzenie, że o ile presja komunistycznej propagandy przyczyniła się do istotnych zmian w codziennej obyczajowości świeckiej Polaków, o tyle okazała się w znacznym stopniu nieskuteczna w odniesieniu do ich codzienności religijnej.

A.D. – W różnych okresach uroczystości kościelne były też formą manifestacji, co szczególnie wyraźnie widać w latach sześćdziesiątych podczas peregrynacji obrazu jasnogórskiego i uroczystości milenijnych. Dla społeczeństw lokalnych to było ogromne wydarzenie. Przyjeżdżał wówczas prymas czy ordynariusz, których uroczyście witano. Tak było w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych, aż do 1966 r. Inaczej wyglądała sytuacja w latach osiemdziesiątych, kiedy kościoły w niektórych regionach stały się czymś więcej niż tylko miejscami kultu. Znakomitym przykładem jest Stalowa Wola, gdzie wokół parafii, wokół księdza Edwarda Frankowskiego powstało całe środowisko polityczne i kulturalne. Podobnie wyglądała sytuacja w niektórych parafiach na Podkarpaciu, gdzie na przykład zapraszano niezależnych historyków i organizowano na plebaniach wykłady. Jednak bez względu na zmiany, które w nim następowały, to właśnie Kościół katolicki i towarzyszące mu struktury były w całym okresie PRL czynnikiem bodaj najsilniej stabilizującym życie codzienne.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 2 (26), luty 2003

O POLSKIM MARCU 1968 ROKU

Z Jerzym Eislerem rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Jak każde wydarzenie, również Marzec 1968 r. w Polsce należy umieścić w jakimś kontekście wcześniejszych wydarzeń, także tych rozgrywających się poza naszym krajem. Mechanizmy procesów politycznych i społecznych na ogół przenoszono z modelu sowieckiego do państw satelickich. Czy i w tym przypadku można o tym mówić?***

J.E. — Nasz kolega — Dariusz Libionka z Oddziału IPN w Lublinie — jest autorem artykułu o antysyjonistycznej literaturze sowieckiej przed Marcem 1968 r. i po nim. Wynika z niego wyraźnie, że w Moskwie był taki klimat. Fala antysemityzmu nie była — jak nam się często wydaje — wyłącznie wynalazkiem polskich towarzyszy. Na wydarzenia w Polsce w 1968 r. warto zresztą spojrzeć nie tylko przez pryzmat tego, co działo się w bloku komunistycznym i Związku Sowieckim, ale także biorąc pod uwagę ówczesne wydarzenia na świecie.

B.P. — ***Takie jak Sobór Watykański II.***

J.E. — W wyniku Soboru Watykańskiego II dokonała się prawdziwa rewolucja w dziejach Kościoła katolickiego. Nie tylko wprowadzono liturgię w językach narodowych. Przede wszystkim nastąpiło otwarcie katolicyzmu na inne religie, także niechrześcijańskie. To był wielki wstrząs. Dzisiaj już przyzwyczailiśmy się do tego, że papież i biskupi mogą wejść do synagogi czy meczetu oraz spotykać się z protestantami czy prawosławnymi. Czterdzieści lat temu byłoby to szokujące.

B.P. — ***Lata sześćdziesiąte to czas, w którym wchodziło w życie zupełnie nowe pokolenie.***

J.E. — Proces wchodzenia w dorosłe życie pokolenia urodzonego w czasie II wojny światowej i po niej dotyczył zarówno Polski, jak i Zachodu. Mówiąc o rewolucji obyczajowej, wydarzeniach w kulturze masowej takich jak pojawienie się muzyki rockowej: „The Beatles", „The Rolling Stones", hippisów, wielkich koncertów, trzeba wspomnieć o rzeczach, które zwykle umykają naszej uwadze. Na przykład znany hippisowski slogan: *make love, not war* był nie tylko wyrazem sprzeciwu wobec wojny w Wietnamie, ale także obyczajowego buntu, który z kolei był między innymi konsekwencją tego, że w 1964 r. pojawiła się w sprzedaży pigułka antykoncepcyjna. To był początek rewolucji obyczajowej. Ktoś nawet powiedział, że pomiędzy

wynalazkiem pigułki antykoncepcyjnej a wykryciem wirusa HIV było dwadzieścia lat prawdziwej wolności obyczajowej, bo radykalnie zmniejszyła się obawa przed niepożądaną ciążą, a nie było jeszcze lęku przed zarażeniem. Jednocześnie ta swoista „rewolucja młodych" pokazywała, że młodzież tworzy nie tylko chłonny „rynek" płyt i mody, ale zarazem jest grupą konsumentów, których należy poważnie brać pod uwagę.

Przy zachowaniu wszelkich niezbędnych proporcji, uwagę tę należy też odnieść do Polski. Na przykład po wizycie francuskiego prezydenta, generała Charles'a de Gaulle'a, we wrześniu 1967 r. prywatny handel zareagował błyskawicznie, produkując na potrzeby młodych Polaków – wzorowane na francuskich kepi – charakterystyczne czapki zwane „degolówkami". To samo dotyczyło produkowanych przez prywatnych szewców i sprzedawanych na bazarach lub w sławnych pawilonach przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie butów, które nazywano „bitelsówami" czy „rollingstonkami". Podobnie było zresztą w innych dużych miastach Polski. Również nie bez pewnych oporów torowała sobie u nas drogę moda mini. Oczywiście tutaj wszystko było siermiężne, jak cały realny socjalizm ery gomułkowskiej, ale odpryski tamtej „rewolucji młodych" (nie tylko w zakresie mody) także docierały do Polski. Młodzi ludzie – ukształtowani i nierzadko nawet już urodzeni po wojnie – gdy słyszeli, jak Władysław Gomułka mówił, iż przed wojną miał tylko dwie koszule (co pewnie zresztą było prawdą), a obecnie oni mają prawdopodobnie po cztery i więcej, nie potrafili tego traktować do końca poważnie i nie było to dla nich żadnym argumentem na rzecz tezy o awansie cywilizacyjnym powojennej Polski. Z racji młodego wieku nie znali z autopsji II Rzeczypospolitej i dla nich opowieści o chłopach na Wołyniu, którzy dzielili zapałkę na cztery...

B.P. – ***...były bzdurą wyssaną z palca, bo socjalistyczne zapałki nie dały się dzielić, zaraz odpadały im łebki...***

J.E. – ...więc od razu powstawały żarty, że tamte były takie dobre.

Kolejny „element składowy" w tej genezie czy pragenezie Marca, o którym trzeba wspomnieć, stanowiła wojna wietnamska. Ludzie mojego pokolenia nie do końca potrafią sobie z tym problemem poradzić. Wojna w Wietnamie wpisywała się przecież w proces „zimnej wojny", toczonej w powojennym świecie między Wschodem a Zachodem. Niezależnie od postaw antykomunistycznych, nieporównanie słabiej wtedy rozpowszechnionych wśród młodzieży niż dzisiaj, trudno było nie zauważyć, że to Amerykanie znaleźli się w Wietnamie, a nie Wietnamczycy w Ameryce. Kwestia tego, kto był agresorem, była więc w praktyce przesądzona. Takie nazwy jak wieś My–Lai, w której 16 marca 1968 r. pluton żołnierzy dowodzony przez ppor. Williama Calleya dokonał masakry co najmniej 109 południowowietnamskich cywilów, kojarzyły się ludziom z mojego pokolenia mniej więcej tak, jak pacyfikacje wsi na Zamojszczyźnie – z podpalaniem wsi, wrzucaniem granatów do domów, mordowaniem kobiet, dzieci i starców. Z tym, co nazywamy zwykle ludobójstwem.

Dzisiaj jednak wiemy dużo więcej. Ta wojna, zwana brudną, była taką również po drugiej stronie. Były amerykańskie dywanowe naloty napalmowe, ale było też znęcanie się nad amerykańskimi jeńcami, z których wielu nigdy nie wyszło na wolność. Po obu stronach było niemało zwyczajnego bestialstwa. Jednocześnie były narkotyki, rozwijał się handel bronią, kwitła prostytucja i postępowała kompletna degradacja jednostek ludzkich. Żołnierze po obu stronach konfliktu ulegali rozmaitym patologiom. Stany Zjednoczone, poza wyliczalnymi kosztami materialnymi wojny – szacowanymi na ponad 100 mld ówczesnych dolarów – za Wietnam zapłaciły ogromnymi kosztami społecznymi. Były tysiące inwalidów...

B.P. – ***...tysiące ludzi z przetrąconą psychiką, w czym można dostrzec pełną analogię do sowieckiej wojny w Afganistanie czy Czeczenii. Sowieci przećwiczyli to samo.***

J.E. – Nie oszukujmy się, te wojny były szkołami kadr dla rozmaitych band, mafii czy gangów. Ale wiemy również, że Stany Zjednoczone nie mogły przegrać wojny z Wietnamem. Jeżeli wysłane tam w szczytowym momencie zbrojnej interwencji 550 tys. żołnierzy to była za mała siła, by odnieść zwycięstwo, to przecież można było tam wysłać dwa, trzy miliony żołnierzy. Możliwości amerykańskie w tym względzie były przecież nieograniczone. Podobnie było w latach osiemdziesiątych w przypadku ZSRS i Afganistanu. Jeżeli 100 tys. sowieckich żołnierzy było siłą niewystarczającą do złamania oporu afgańskich partyzantów, to przecież Sowieci mogli tam wysłać dziesięć, dwadzieścia razy tyle wojska i za cenę kompletnie spalonej ziemi odnieść zwycięstwo. Rzecz w tym, że afgańscy górale nie walczyli sami ze Związkiem Sowieckim ani wietnamscy partyzanci nie walczyli sami ze Stanami Zjednoczonymi. Za każdym razem ta druga strona była uwikłana w niejawne sojusze. Wszyscy widzimy udział Amerykanów w wojnie wietnamskiej. Oczywiście ich zbrodnie są nie do usprawiedliwienia. Pamiętajmy jednak, że przez kilkanaście lat partyzanci wietnamscy czy Demokratyczna Republika Wietnamu mogli z tym supermocarstwem walczyć za sprawą Związku Sowieckiego i Chińskiej Republiki Ludowej, które, angażując w to ogromne pieniądze, bez przerwy posyłały tam sprzęt wojskowy, amunicję, medykamenty i w praktyce wszystko, co jest potrzebne do prowadzenia wojny. Na filmach z ostatnich godzin pobytu Amerykanów w Sajgonie widać, jak do miasta wjeżdżają regularne jednostki czołgów. Nie słyszałem nigdy o oddziałach partyzanckich wyposażonych w czołgi. Oczywiście były to regularne jednostki północnowietnamskie, wyposażone i uzbrojone przez Związek Sowiecki i Chiny.

B.P. – ***Co jeszcze kładło się cieniem na tym pokoleniu?***

J.E. – Na pewno klimat buntu. Czymś innym jest rewolucja obyczajowa w kulturze czy popkulturze, a czymś innym jest to, co wydarzyło się w 1968 r. w wielu krajach świata. Przy czym – moim zdaniem – wydarzenia w Polsce można porównywać wyłącznie z praską wiosną i z ruchem reformatorskim w Czechosłowacji.

Studenci francuscy, zachodnioniemieccy, włoscy, amerykańscy występowali przeciw instytucjom państwa funkcjonującego przecież w zupełnie innym kształcie. Oni nie musieli walczyć na przykład o wolność słowa, gdyż należała ona do fundamentalnych zasad państwa demokratycznego. Tymczasem w Polsce – jak wiadomo – iskrą zapalną buntu marcowego była decyzja władz o zdjęciu *Dziadów* Adama Mickiewicza w reżyserii Kazimierza Dejmka ze sceny Teatru Narodowego. Polscy studenci występowali w obronie fundamentalnych wartości takich jak wolność, sprawiedliwość, prawda, prawo, podczas gdy ich koledzy na Zachodzie nie musieli tego robić.

Widziałem np. zapis filmowej transmisji z demonstracji studenckiej w Chicago z 1968 r. Policja brutalnie wrzucała do samochodów siedzących na jezdni i protestujących młodych chłopców i dziewczyny. Amerykańskiemu koledze, który pokazywał to w 1996 r. w czasie międzynarodowej konferencji w Berlinie, powiedziałem, że podobnych materiałów z Polski nie jestem w stanie pokazać. Jeśli bowiem będzie sfilmowana milicja, to w trakcie regulaminowego legitymowania i wszystko będzie w idealnym porządku: bez bicia i kopania siedzących dziewczyn i ciągania ich za włosy. A w Stanach Zjednoczonych nie tylko w 1968 r. takie rzeczy pokazywano.

Zachodnie media, nawet jeżeli otwarcie nie opowiadały się po stronie kontestującej młodzieży, to przynajmniej były pośrodku i dość wiernie te protesty rejestrowały i relacjonowały. Natomiast środki masowego przekazu w Polsce brały udział w obrzydliwej kampanii nie tylko antysemickiej i antyinteligenckiej, ale także antystudenckiej. Wypaczano sens protestu młodych ludzi, którzy upominali się o wolność i demokrację. Polscy studenci, powołując się na Konstytucję PRL, domagali się przestrzegania wolności słowa i wolności zgromadzeń, ale ich żądania zostały skarykaturowane, ośmieszone, sprowadzone do działalności jakichś tajemniczych „wichrzycieli", „inspiratorów" i „bankrutów politycznych". Natomiast ten kontestacyjny ruch na Zachodzie był zupełnie innym zjawiskiem, choć i ono było zróżnicowane. Była przecież kluczowa różnica między paryskim majem w Dzielnicy Łacińskiej z demolowaniem sklepów i samochodów, barykadami i zajściami ulicznymi, a tym, co zdarzyło się w październiku 1968 r. w stolicy Meksyku, gdzie demonstrację studencką zaatakowało wojsko z bagnetami na karabinach, którymi dźgano siedzących, walono kolbami i ostrzeliwano z helikopterów. Wydarzyło się to kilka tygodni przed olimpiadą w Meksyku, dodając elementu grozy tym igrzyskom. Rok 1968 – rozpatrywany w kontekście młodzieżowej kontestacji – naznaczony był więc bardzo różnymi wydarzeniami, które w zasadzie łączyło tylko to, że za każdym razem mieliśmy do czynienia z buntem młodych, lecz podłoże, ideologia i często przebieg tego buntu były krańcowo różne.

B.P. – ***No i jeszcze konflikt na Bliskim Wschodzie.***

J.E. – Rzeczywiście w przypadku wydarzeń w Polsce można powiedzieć, iż rolę detonatora odegrała tutaj wojna sześciodniowa. Przypomnijmy może pod-

stawowy zrąb faktów. Do wojny doszło w atmosferze wzajemnych oskarżeń, gdy Egipt 23 maja 1967 r. zablokował zatokę Akaba, a tym samym „wyjścia" z Morza Czerwonego w kierunku Oceanu Indyjskiego i Pacyfiku, co – ze względu na fakt uniemożliwienia Izraelowi korzystania z Kanału Sueskiego – oznaczało, że statki izraelskie wypływające z portów nad Morzem Śródziemnym na Daleki Wschód i do Australii musiały płynąć dookoła Afryki. Wczesnym rankiem 5 czerwca wojska izraelskie zaatakowały Egipt, rozpoczynając w ten sposób wojnę, nazwaną później sześciodniową. W jej wyniku armia izraelska zajęła półwysep Synaj, arabską część Jerozolimy i tereny na zachodnim brzegu rzeki Jordan oraz zdobyły syryjskie umocnienia na Wzgórzach Golan.

Wojna na Bliskim Wschodzie przez wielu obserwatorów międzynarodowej sceny politycznej postrzegana była jako „korespondencyjny" konflikt amerykańsko-sowiecki. Powszechnie wiedziano bowiem, że Izrael popierały Stany Zjednoczone i był uzbrojony w amerykański sprzęt wojskowy; Egipt i Syria cieszyły się zaś poparciem państw Układu Warszawskiego i – zwłaszcza Egipt – wyposażono w najnowocześniejszą broń sowiecką, nawet taką, jakiej wtedy nie mieli europejscy sojusznicy ZSRS. Nic więc dziwnego, że w czerwcu 1967 r. ponownie odczuto silny podmuch „zimnej wojny".

W Polsce wojna sześciodniowa wpłynęła tymczasem na przyspieszenie negatywnych procesów narastających od kilku już lat. Równocześnie wywołała stosunkowo żywe zainteresowanie w społeczeństwie, przy czym wbrew jednoznacznie proarabskiemu stanowisku, zajmowanemu przez czynniki oficjalne, wiele osób skłonnych było raczej sympatyzować z Izraelem. Spowodowane to było kilkoma czynnikami, z których zapewne największe znaczenie miał szeroko rozpowszechniony odbiór porażki państw arabskich w wojnie z Izraelem jako klęski Związku Sowieckiego w „korespondencyjnej" wojnie ze Stanami Zjednoczonymi. Odczucia te symbolizowało popularne wtedy powiedzenie: „Nasi Żydzi pobili ich Arabów". Jest przy tym zrozumiałe, że kierownictwo partyjne było świadome tych nastrojów. Natomiast wcale nie jest pewne, czy dostrzegało nadciągający poważny kryzys polityczno-społeczny.

B.P. – ***Jakie były polskie korzenie Marca?***

J.E. – W Polsce można mówić o trzech źródłach Marca. Najpierw trzeba przypomnieć, że w popaździernikowej Polsce Gomułki zrodziły się nadzieje, że socjalizm może mieć bardziej ludzkie oblicze. Bardzo szybko okazały się one płonne, bo nastąpiło coś, co w języku potocznym określano „przykręcaniem śruby". Znowu więziono ludzi za przekonania, odbywały się procesy polityczne. Oczywiście w skali nieporównywalnej do okresu stalinowskiego; to już nie było zabijanie ludzi i powszechny terror. Istniało wówczas coś, co historycy niekiedy określają mianem terroru punktowego. Zatrzymywano określone osoby, np.: Melchiora Wańkowicza czy Stanisława Cata-Mackiewicza. Do więzienia trafili Jacek Kuroń i Karol Modzelewski,

a wcześniej Anna Rudzińska, Anna Szarzyńska–Rewska – obie związane z Klubem Krzywego Koła. To wszystko świadczyło o tym, że idzie ku złemu.

Drugą sprawą było związane z tym bardzo szybkie wyczerpywanie się mechanizmów ekonomicznych. Po Październiku – mimo trudnej sytuacji społecznej – władze spowodowały znaczny wzrost stopy życiowej, który rozpoczął się jednak z bardzo niskiego poziomu. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zaczyna się mała stabilizacja, czyli okres wzrostu konsumpcji, dotyczący przede wszystkim zamożniejszych ludzi ze świata kultury, nauki, sportu oraz funkcjonariuszy państwowych, średnich i wyższych urzędników partyjnych i kadry inżynieryjnej. Były wyjazdy nad Balaton, do Bułgarii i Rumunii, czasami na Krym. Co roku tysiące ludzi „pociągami przyjaźni" jeździło do ZSRS. Na prowincji pojawiły się coraz bardziej popularne motocykle, w miastach samochody – syrenki, skody, wartburgi, pralki „Franie", a pod koniec dekady – znacznie zwiększa się liczba odbiorników telewizyjnych.

Wkrótce jednak okazało się, że znowu najważniejsze są wielkie budowy socjalizmu – Tarnobrzeg, Płock, Turów, Pątnów. Nie było w tym – niewielkim skądinąd budżecie – nadmiaru środków na konsumpcję, bo znowu trzeba było inwestować w gospodarkę, uzasadniając to troską o los przyszłych pokoleń. Po kilku latach okazało się więc, że wzrost stopy życiowej nie był zjawiskiem trwałym. Od połowy lat sześćdziesiątych można mówić o zatrzymaniu wzrostu, a pod koniec dekady o obniżaniu się stopy życiowej, co – jak wiadomo – było jedną z przyczyn protestów w Grudniu 1970 r.

B.P. – ***Kolejnego źródła Marca trzeba chyba szukać w trudnej historii polskich Żydów?***

J.E. – Rzeczywiście, podstawowa znajomość najnowszej historii polskich Żydów, Żydów w Polsce czy Polaków żydowskiego pochodzenia – każde z tych określeń oznacza jednak trochę coś innego – jest dla zrozumienia genezy Marca bardzo istotna. W największym skrócie i niestety uproszczeniu należy przypomnieć, że przed II wojną światową w Polsce mieszkało blisko 3,5 mln Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia, co stanowiło około 10 proc. ogółu mieszkańców II Rzeczpospolitej, która była największym wtedy na świecie skupiskiem ludności żydowskiej. W czasie wojny głównie na ziemiach polskich rozegrała się tragedia Holocaustu, w wyniku której Żydzi jako odrębna grupa narodowa w polskim wymiarze w rzeczywistości przestali istnieć. Po wojnie nałożyła się na to dodatkowo emigracja około 175 tys. Żydów, którzy ocaleli z Zagłady. Ich wyjazd z Polski przyspieszyła fala antysemickich zajść, których najtragiczniejszym symbolem stał się pogrom kielecki z 1946 r. W końcu 1948 r. mieliśmy w Polsce 100 tys. Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia, ale w następnych latach – w wyniku kolejnych fal emigracji – liczba ta zmniejszyła się do około 30 tys. przed Marcem 1968 r. Mieliśmy więc wtedy w Polsce do czynienia z fenomenem antysemityzmu bez Żydów.

B.P. — ***Ten peerelowski antysemityzm miał bardzo szczególny charakter...***

J.E. – Obok tradycyjnego antysemityzmu, który był żywy wśród części polskiego społeczeństwa jeszcze przed wojną, pojawił się też nowy rodzaj antysemityzmu, który jestem skłonny łączyć z kwestią udziału części osób żydowskiego pochodzenia w komunistycznym aparacie władzy, a zwłaszcza w aparacie bezpieczeństwa. Do dziś funkcjonują stereotypy „żydokomuny" czy „zażydzonej bezpieki". Są to stereotypy, ale z niemałym jądrem prawdy, skoro trzech spośród ośmiu członków Biura Politycznego KC PZPR – Jakub Berman, Hilary Minc i Roman Zambrowski – miało żydowskie korzenie. Wiele osób – zwłaszcza na kierowniczych stanowiskach – w aparacie bezpieczeństwa, Informacji Wojskowej, prokuraturze i sądownictwie wojskowym było pochodzenia żydowskiego. Więc ta zbitka miała pewne naturalne podłoże, na co jednak nałożyło się sporo funkcjonujących schematów i stereotypów, i...

B.P. — ***...prowokacji i manipulacji.***

J.E. – Utrwalała to między innymi w latach pięćdziesiątych działalność tzw. natolińczyków, którzy za sprawą „szeptanej propagandy" głosili, że za zbrodnie stalinizmu w Polsce odpowiadają Żydzi, choć wielu natolińczyków o rdzennie polskich korzeniach było tak samo uwikłanych w zbrodnie stalinowskie. W latach sześćdziesiątych tę nutę podjęli tzw. partyzanci, skupieni wokół Mieczysława Moczara. Dawali oni do zrozumienia, że wszystko byłoby dobrze, gdyby nie towarzysze (w domyśle żydowskiego pochodzenia), którzy w latach 1944–1945 „w szynelach" przybyli do Polski ze Związku Sowieckiego. Dawano „dyskretnie" do zrozumienia, że często reprezentowali oni niepolskie interesy i nie mieli dostatecznego zrozumienia dla polskiego narodu. Podtekst antysemicki w tych opowieściach był ewidentny.

B.P. — ***Jaka była skuteczność społeczna takiej propagandy uprawianej przez część środowisk władzy?***

J.E. – W zgodzie z naukowymi standardami nikt nie jest w stanie autorytatywnie powiedzieć, jaka ona w istocie była. Badań socjologicznych z oczywistych powodów nikt nie prowadził. Samo słowo „Żyd" dla wielu ludzi z naszego pokolenia było pewnym problemem. Nie wiedzieli, czy można tak powiedzieć, czy można użyć tego określenia. Były to także problemy wielu ludzi wolnych od jakichkolwiek uprzedzeń antysemickich. Klimat był taki, że nie wiadomo było, jak o tym mówić, najlepiej zatem – zdaniem niektórych – było nie mówić wcale. Oficjalnie zagładę narodu żydowskiego wpisywano więc w martyrologię narodu polskiego czy społeczeństwa polskiego podczas II wojny światowej. Powstanie w getcie warszawskim pokazywano jako zryw patriotyczny narodu polskiego. Takim mistyfikacjom i manipulacjom towarzyszyły mało zrozumiałe fakty. W 1949 r. można było na przykład zbudować Pomnik Bohaterów Getta, ale Pomnik Powstania Warszawskiego odsłonięto czterdzieści lat później, dopiero 1 sierpnia 1989 r.

Wypada dodać, że prawicowy antysemityzm przetrwał między innymi wśród wielu członków i sympatyków Stowarzyszenia PAX. Czymś nowym był natomiast antysemityzm radykalnej, internacjonalistycznej lewicy marksistowskiej. Wydawało się, że zlepek pojęć: komunista lub socjalista i zarazem antysemita jest z gruntu niedorzeczny. Marzec pokazał jednak, że było to możliwe.

B.P. — ***Wystarczyło uruchomić określenie kosmopolita, żeby się w nim zmieściło i wyjaśniło tę sprzeczność. Powróćmy jednak do źródeł Marca.***

J.E. — Wraz z fiaskiem nadziei społecznych, związanych z przemianami w 1956 r. i polityką Władysława Gomułki, zawód przeżyły także środowiska inteligenckie — naukowcy, artyści i literaci. Proces „przykręcania śruby", o którym mówiliśmy, dotyczył w bardzo dużym stopniu właśnie inteligencji twórczej. List 34 z 1964 r. był protestem wybitnych uczonych i pisarzy przeciw polityce kulturalnej państwa, przede wszystkim przeciw działalności cenzury, ale także przeciw limitowaniu przydziału papieru. Młodzi ludzie nie wiedzą, co to znaczy „przydział papieru". Dzisiaj, jeśli ktoś chce wydawać gazetę czy książkę, wystarczy, żeby miał pieniądze. Wówczas jedynym dysponentem papieru było państwo. Oczywiście nie można też było kupić papieru za granicą i sprowadzić do kraju. Efekt takiej polityki był taki, że jeśli państwo przydzieliło papier np. na 1000 egzemplarzy publikacji, to nie było sposobu, żeby wydrukować ich więcej. Reglamentacja dotyczyła naturalnie także „Tygodnika Powszechnego", który cieszył się, jak na warunki realnego socjalizmu, dużą autonomią. Oczywiście wszystkie teksty były przed drukiem cenzurowane, ale środowisko to pisało o rzeczach nieco innych i w odmienny sposób niż reszta ukazujących się czasopism.

Z jednej strony były więc frustracje inteligencji twórczej, a z drugiej omnipotencja funkcjonariuszy działających „na odcinku kultury", często kompletnych troglodytów, którzy wtrącali się we wszystko. Sam Gomułka potrafił publicznie łajać artystów i mówić im, co powinni robić. W lipcu 1963 r. na XIII Plenum KC PZPR wystąpił między innymi w roli „krytyka filmowego", przy czym rugał tak wybitnych artystów, jak Andrzej Wajda, Roman Polański czy Kazimierz Kutz. Twierdził, że ich filmy niczemu nie służą, bo są oderwane od realiów socjalistycznej Polski. Dziś możemy się z tego śmiać, ale wtedy taka publiczna wypowiedź I sekretarza rządzącej po dyktatorsku partii mogła być dla artystów zabójcza. Władza mogła im pozwolić nakręcić kolejny film czy wydać kolejną książkę, ale równie dobrze mogła powiedzieć, że nie życzy sobie takich „nowinek".

B.P. — ***Akurat tych trzech panów nie zabiła.***

J.E. — Ale Polański już filmu w PRL nigdy nie nakręcił. Podobnie stało się wkrótce z Jerzym Skolimowskim, który po zrealizowaniu filmu *Ręce do góry!* też wyjechał i zaczął tworzyć na Zachodzie.

B.P. — ***Marzec 1968 r. to czas młodego pokolenia, a młodzi ludzie są bardzo wrażliwi na fałsz. Po raz pierwszy w swoim świadomym życiu***

zobaczyli, że władza kłamie, że to wszystko opiera się na kłamstwie, dlatego też ten zryw połączył bardzo wielu ludzi o bardzo różnej proweniencji. Kłamstwa były obraźliwe dla zdrowego rozsądku i naturalnego poczucia przyzwoitości, tym bardziej że część z tych młodych ludzi pamiętała okres odwilży. A tu nagle okazało się, że to wszystko jest nieważne. Można zrobić i powiedzieć absolutnie wszystko, wbrew deklaracjom.

J.E. – Młodzi nie mogli pamiętać procesów z lat stalinowskich i tego, że można było zrobić z człowiekiem właściwie wszystko. Dla tamtego pokolenia wspomnienia z dzieciństwa czy wczesnej młodości dotyczyły najczęściej popaździernikowej Polski. To prowadziło do oczywistej konstatacji, że było całkiem znośnie, a jest coraz gorzej.

B.P. – ***Doświadczenie stalinizmu było udziałem ich rodziców, ale to nie oni tworzyli Marzec.***

J.E. – Ostatnim wątkiem – szczególnie lubiła go marcowa propaganda – jest działalność „komandosów", czyli środowiska skupionego wokół Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego na Uniwersytecie Warszawskim.

B.P. – ***Skąd wzięła się nazwa?***

J.E. – Propaganda marcowa głosiła, że oni sami tak się nazwali, „bo byli tacy sprawni". Określenie to pochodzi jednak z kręgów partyjnych. Chodziło o to, że tak jak komandosi działają energicznie i sprawnie na zapleczu wroga, tak ci młodzi ludzie pojawiali się na zebraniach partyjnych i zetemesowskich na uczelni i zadawali trudne, niewygodne pytania. Dziś pytania o pakt Ribbentrop–Mołotow czy o zbrodnię katyńską nie są pytaniami trudnymi, ale w latach sześćdziesiątych były. Na te zebrania przychodziły osoby z zewnątrz: partyjni dziennikarze, partyjni naukowcy, czasem nawet działacze. Tego typu pytania były dla władz bardzo niewygodne...

B.P. – ***...i bardzo nieeleganckie. Tak jak damy nie rozmawiają o pieniądzach, tak politycy nie rozmawiają o Katyniu.***

J.E. – „Komandosi" byli zwykle dobrze przygotowani, ponieważ mieli dostęp do paryskiej „Kultury". Część z nich już na długo przed Marcem podróżowała na Zachód, inni mieli rodziców w komunistycznym establishmencie i stąd dostęp do zakazanych książek. Większość z nich czytała *Ciemność w południe* Arthura Koestlera czy *Rok 1984* George'a Orwella nie w latach osiemdziesiątych, tylko właśnie w sześćdziesiątych. Słyszeli o procesach moskiewskich, o wielkiej czystce, zbrodniach stalinowskich i mogli z tą wiedzą wychodzić na zewnątrz. Na to potem nałożył się jeszcze jeden element – wspomniana wcześniej wojna sześciodniowa – i ich przeciwnicy, za sprawą „szeptanej propagandy", w sposób zawoalowany doszukiwali się analogii do komandosów izraelskich. Chodziło o to, żeby „nazwać rzecz po imieniu", że była to grupa żydowska. W rzeczywistości znaczna część osób w tym środowisku miała pochodzenie żydowskie, co niekoniecznie było najważniejsze, jak również i to, że rodzice znacznej części z nich byli działaczami komunistycznymi.

B.P. — ***To już ma pewne znaczenie, bo stąd brały się ich możliwości, na przykład dostępu do paryskiej »Kultury« i wyjazdów zagranicznych.***

J.E. — Propaganda marcowa „rozrabiała" to środowisko jako niepolskie, kosmopolityczne. Jednocześnie mówiono o nich „bananowa młodzież". Banany dziś nie symbolizują niczego, można je kupić w każdym sklepie spożywczym i warzywniczym na wsi i w mieście. W czasach PRL bywały kilkuletnie okresy, kiedy bananów w ogóle nie można było kupić, nawet w sklepach PeKaO, a później Peweksu.

B.P. — ***Opowiadano, że banany przywożono w czarterowych dostawach lotniczych tylko dla wysoko postawionych towarzyszy.***

J.E. — To określenie dotyczyło młodych dziewcząt i chłopców, jeżdżących „tatusinymi limuzynami" — jak pisali autorzy marcowej propagandy — tych, którzy ubierali się w komisach i za bony dolarowe w sklepach PeKaO, których było stać na palenie amerykańskich papierosów i picie kawy, w czasach Gomułki będącej luksusowym artykułem. Samo przebywanie w kawiarni było już podejrzane. Dopowiedzmy, że w tym samym czasie syn wicepremiera Piotra Jaroszewicza, Andrzej Jaroszewicz, też rozbijał się zachodnimi samochodami po Warszawie, ale w żadnym razie nie był traktowany jako bananowy młodzieniec, gdyż nie stwarzał problemów politycznych. Ci zaś, którzy „podnosili rękę na władzę ludową", byli dużym problemem.

Środowisko „komandosów" odegrało znaczącą rolę w genezie Marca, doprowadziło do pierwszego wiecu 8 marca, później — zaledwie w ciągu kilkudziesięciu godzin — prawie wszystkich ich pozbawiono wolności, a w następnych dwóch tygodniach aresztowano pozostałych. Niewielu z tych ludzi można odnaleźć w studenckich komitetach strajkowych, bo byli już za kratkami. Marzec — tak naprawdę — znali z dostępnych w areszcie gazet i późniejszych opowiadań kolegów. To też była manipulacja — przypisywanie diabolicznej roli Kuroniowi, Michnikowi i Modzelewskiemu. Wielu ludzi z naszego pokolenia wtedy właśnie po raz pierwszy usłyszało te nazwiska. Wspomnianej trójce przypisywano rolę inspiratorów w czasie, gdy od dawna siedzieli w aresztach śledczych.

Chciałbym bardzo wyraźnie powiedzieć, że — moim zdaniem — nie można rozpatrywać żadnego z tych wątków jako decydującego lub skupiać się tylko na jednym z nich. Dam przykład: mam kolegę, który kiedyś wypytywał mnie o Marzec, lecz interesowało go tylko to, czy dany uczestnik był czy nie był Żydem. Podobnie niektórzy ludzie zaangażowani w ruch studencki widzą tylko to, a nie widzą prowadzonej równolegle obrzydliwej kampanii antysemickiej i rozgrywek partyjnych. Wielu tzw. starych towarzyszy jeszcze dziś słysząc hasło Marzec 1968 r., widzi przede wszystkim Mieczysława Moczara, Edwarda Gierka, Bolesława Piaseckiego, Władysława Gomułkę — czyli rozgrywkę na szczytach władzy.

B.P. — ***Jeśli nie ma uczciwych badań socjologicznych i historycznych na temat współczesnej historii, to ludzie zachowują w pamięci tylko to, w czym uczestniczyli, co widzieli albo co było ważne dla ich środowiska.***

J.E. – Nie ulega wątpliwości, że dla Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia najważniejsza była kampania antysemicka, która trafiła na pierwsze strony gazet. Antysemici w Polsce – tak jak wszędzie – byli, są i obawiam się, że będą zawsze. Dziś jednak trudno sobie wyobrazić, żeby w porze nadawania „Wiadomości", „Faktów" czy „Informacji" przez pół programu mówiono o tym, jak naprawdę nazywa się poseł X czy senator Y. Pojawiają się oczywiście jakieś pisemka, broszurki czy wypowiedzi, ale to wszystko jest na marginesie głównych nurtów życia publicznego. Natomiast w Marcu 1968 r. antysemityzm trafił do głównych wydań dzienników radiowych i telewizyjnych oraz na pierwsze strony gazet. Wielu ludzi patrzyło na to wszystko z przerażeniem i obrzydzeniem. Wtedy pojawił się sławny problem ortograficzny, czy należy pisać „sjoniści" czy „syjoniści". Widać to na transparentach trzymanych na masówkach. Były na ten temat najrozmaitsze żarty, przywołam jeden, bo on najlepiej oddaje ten klimat: syn pyta ojca – tatusiu, jak się pisze słowo „syjonista" – nie wiem, synku, ale przed wojną pisało się przez samo „Ż".

W 1968 r. (nie tylko zresztą wtedy!) popularne było powiedzenie: „ja nie jestem antysemitą, ale..." – tu pojawiało się wyjaśnienie – „nie lubię Żydów" albo „musimy rozliczyć się z towarzyszami żydowskiego pochodzenia", albo jeszcze inne. Popularne było i takie zdanie: „Nie jestem antysemitą, ale antysyjonistą". Marcowy antysemityzm był dla wielu młodych ludzi czymś obrzydliwym, ale trzeba jednak dopowiedzieć, że część protestujących studentów – świadomie lub nie – „kupowała" język oficjalnej propagandy. Na przykład w pewnym momencie studenci żydowskiego pochodzenia zaczęli występować z komitetów strajkowych, żeby nie stwarzać władzy pretekstów i nie potwierdzać tezy, iż za ruchem młodzieżowym kryją się żydowscy inspiratorzy. Bardzo ładnie powiedział o tym kiedyś Jacek Kuroń, który stwierdził, że w tej jednej kwestii znacznie bliżej jest mu do studentów paryskiego maja niż naszych marcowych. Bowiem gdy we Francji propaganda zaczęła głosić, że Daniel Cohn–Bendit jest niemieckim Żydem, co – zdaniem władz – miało zdyskwalifikować lidera protestów studenckich, młodzież odpowiedziała: „My wszyscy jesteśmy niemieckimi Żydami". W Polsce tak jednoznacznej odpowiedzi na antysemickie ekscesy nie było.

B.P. – ***Ludzie to słyszeli, czytali – i jakie były ich reakcje?***

J.E. – Reakcje były różne. Trudno powiedzieć, które postawy dominowały. Były i takie zachowania na przykład „porządnych ludzi", którzy siusiali do wystawionych butelek na mleko swoim żydowskim sąsiadom. Młodym czytelnikom należy wytłumaczyć, że w czasach PRL za niewielką opłatą miesięczną można było codziennie za wystawioną wieczorem przed drzwiami butelkę rano dostać napełnioną mlekiem.

B.P. – ***Jaka atmosfera towarzyszyła Marcowi w organach bezpieczeństwa?***

J.E. – Biorąc pod uwagę wszystko – wiarygodność materiałów oraz intencje piszących – są tam jednak rzeczy straszne. Gdyby tylko 10 proc. z tego, co tam

znalazłem, było prawdą, to już byłoby to zatrważające. Na przykład wypowiedzi, że trzeba usunąć z władz wszystkich Żydów, bo gdy zostawi się choć jednego, to za rok będzie ich znowu stu. Z meldunków napływających z terenu po transmitowanym przez radio i telewizję przemówieniu Gomułki z 19 marca 1968 r., wygłoszonym na spotkaniu z aktywem w Sali Kongresowej, możemy dowiedzieć się, że I sekretarz KC PZPR „wszystko dobrze wyjaśnił, ale o Żydach to powiedział niewiele. Więcej powiedziano na ten temat na różnych wiecach. Wygląda na to, że co ważniejsi Żydzi nadal będą nami rządzić". W innym miejscu czytamy, że „należałoby wszystkich Żydów popierających Izrael wysiedlić z Polski, a tych, którzy pozostaną, pozbawić eksponowanych stanowisk i ograniczyć ich możliwości". Towarzysze z terenu utrzymywali, że Gomułka „boi się Żydów ze swego otoczenia i dlatego zajął tak łagodne [*sic!*] stanowisko".

Samo posługiwanie się słowem „towarzysz" w materiałach MSW jest istotną kwestią i powinno być poddane analizie. Kto jest, a kto już nie jest towarzyszem? Zdarzyło mi się nawet znaleźć dokument, w którym jest napisane, że przemówienie Gomułki było nie dość stanowcze i radykalne, że towarzysz Gierek stawiał te sprawy bardziej pryncypialnie. Funkcjonariusze MSW w 1968 r. naprawdę pozwalali sobie na bardzo wiele, skoro nawet I sekretarza mogli w swoich wewnętrznych opracowaniach pozbawiać magicznego słówka „towarzysz".

Dzisiaj jest też normą, że gdy dochodzi do międzynarodowego spotkania, wcześniej dziennikarze spekulują, co to spotkanie przyniesie, czego można się po nim spodziewać, co będzie tematem rozmów. Ale w prasie peerelowskiej takich rozważań nigdy nie było. Był komunikat, że I sekretarz pojechał tam i tam, odbył rozmowy z tym i tym, podpisano porozumienie, rozmowy odbyły się w przyjacielskiej atmosferze... i to było właściwie wszystko. Tymczasem w materiałach MSW takich spekulacji jest pełno. Czasem te informacje były nieprawdziwe. Jeżeli jednak w trzech czy czterech województwach, niezależnie od siebie, w sprawozdaniach szefów wojewódzkich SB znajduje się informacja, że gen. Wojciech Jaruzelski, ówczesny minister obrony narodowej, jest – choć oczywiście nie było to zgodne z rzeczywistością – zięciem marszałka Mariana Spychalskiego, to jest to co najmniej zastanawiające.

Wydaje się, że również o tym, kto jest Żydem, a kto nim nie jest, w ówczesnej Polsce w znacznym (decydującym?) stopniu rozstrzygali funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa. Czasem nawet można było mieć do dziesiątego pokolenia „aryjskich przodków" i być zakwalifikowanym jako Żyd, a można było mieć autentyczne żydowskie pochodzenie, ale być traktowanym inaczej, ponieważ akurat ta osoba była potrzebna w jakichś planach resortu.

B.P. — ***Proszę mi wytłumaczyć, jaki był ten klucz, co było siłą napędową takiego klasyfikowania ludzi, całej rozgrywki.***

J.E. – Wiele lat temu spotkałem się z poglądem głoszącym, że dla narodowych socjalistów słowo „Żyd" w pewnych sytuacjach stawało się wręcz synonimem nie-

nawistnego im pojęcia „intelektualista". Myślę, że w jakimś stopniu z czymś podobnym mieliśmy do czynienia u nas w 1968 r. Wcale nie trzeba było mieć żydowskich przodków, by zostać wtedy uznanym za Żyda. Generalnie trzeba powiedzieć, iż atak skierowano na ludzi z szeroko rozumianego establishmentu, nieźle „ustawionych", których można było usunąć ze stanowiska i zająć je samemu albo obsadzić kimś ze swoich stronników. Za Żydów uznawano więc prawie wszystkich źle widzianych przez ówczesne władze pisarzy, niezależnie od tego, czy mieli takie korzenie, czy nie, dużą część środowiska naukowego i świata mediów. Zdarzało się też jednak i tak, że za „syjonistę" uznawano robotnika, ogrodnika czy pielęgniarkę, ale tylko w sytuacji gdy nie było „godniejszych" osób, a przede wszystkim bardziej eksponowanych stanowisk do obsadzenia swoimi kolegami.

Wstydliwą rzeczą, o której się nie mówi przy okazji emigracji marcowej, jest pytanie, co stało się z kilkoma tysiącami mieszkań osób, które wyemigrowały. W ciągu kilku lat po Marcu wyjechało z Polski około 15 tys. osób. Jeśli przyjąć, że średnio cztery osoby mogły mieszkać w jednym mieszkaniu, to rzecz dotyczy około 4 tys. mieszkań, często w bardzo dobrych dzielnicach. Ktoś je przecież zajął. Trudno uwierzyć, że była to przysłowiowa łódzka tkaczka z siódemką dzieci. Sądzę, że raczej mieszkania te otrzymywali „swoi", ale na pewno i tę kwestię powinno poddać się – jeśli jest to tylko możliwe – solidnym badaniom.

B.P. – ***Hutnik z Huty Warszawa, ojciec wielodzietnej rodziny, też raczej nie dostał takiego mieszkania.***

J.E. – Analiza taka byłaby bardzo pracochłonna i trudna, mogłaby jednak – jak sądzę – doprowadzić do ciekawych wniosków.

Są jeszcze dwie ważne sprawy, o których trzeba by tu powiedzieć. Otóż w 1968 r. paryska „Kultura" publikowała tzw. listy kolaborantów. Znajdujemy tam między innymi nazwiska ludzi, którzy potem, w latach osiemdziesiątych, zajmowali bardzo odważne stanowisko. Podam przykład Ernesta Brylla, który parokrotnie pojawia się na listach „Kultury" jako postać kolaborująca z reżimem w 1968 r. Nie jestem w stanie rozstrzygnąć, czy i ewentualnie w jakim zakresie czynione mu zarzuty były słuszne, wiem natomiast, że w stanie wojennym prezentował on bardzo ładną postawę. Jest to sytuacja skomplikowana. Wielu ludzi, dziś pięćdziesięcio-, sześćdziesięcioletnich, ma w swoich życiorysach Marzec, niekoniecznie w taki sposób, w jaki się najczęściej mówi. Bo najczęściej się mówi się mniej więcej tak: w 1968 r. byłem na drugim roku prawa albo studiowałem na polonistyce czy socjologii. To przepustka do świata przyzwoitych ludzi. Warto jednak pamiętać, że nie zawsze i że na tych wydziałach byli też konfidenci, byli ludzie bierni oraz „aktywni inaczej".

B.P. – ***To bardzo skomplikowana sprawa.***

J.E. – W latach osiemdziesiątych, w czasie jednego ze spotkań z nauczycielami – członkami „Solidarności", mówiłem o 1968 r. Po dyskusji jedna z pań powiedziała – chciałam panu podziękować za to, co pan dzisiaj powiedział, bo wie pan,

dwadzieścia lat temu ja byłam na strajku na Uniwersytecie Warszawskim. Uważałam, że to były wspaniałe przeżycia, walczyliśmy o wolność, *Dziady*, demokrację itd. A potem czytałam, że byliśmy inspirowani, pociągani za sznurki itp. Ja o tym przez dwadzieścia lat nie mówiłam. Dzisiaj, dzięki panu, zrozumiałam, w czym uczestniczyłam, że nie mam się czego wstydzić, że wraz z moimi kolegami i koleżankami zachowaliśmy się przyzwoicie, walczyliśmy o słuszne sprawy, słuszne cele, a że obok w tym samym czasie inni ludzi robili różne niegodne rzeczy, przyjmuję to do wiadomości.

Określenie „Marzec 1968" jest nieprecyzyjne, bo to właściwie były „marce" w liczbie mnogiej. Pod tym samym pojęciem kryją się bardzo różne rzeczy. Na pewno piękny był cały wolnościowy ruch studentów, który wtedy objął wszystkie cywilne wyższe szkoły w kraju. To był rzeczywiście ruch ogarniający dziesiątki tysięcy ludzi. Wpisuje się w te nasze polskie miesiące, w nasze zrywy. Ten nurt tak, ale w żadnym razie ani antysemicka nagonka, ani fala wymuszonej emigracji.

Trzeba dopowiedzieć jedną rzecz – to też jest temat wstydliwy – i doszedłem do tego po pewnym czasie od wydania mojej pierwszej książki na ten temat. Wśród tych kilkunastu tysięcy ludzi, którzy wtedy wyemigrowali z Polski, byli i tacy, którzy nie powinni wyemigrować, ale powinni stawić się przed prokuratorem z racji swojej działalności w aparacie bezpieczeństwa, Informacji Wojskowej, sądownictwie wojskowym w okresie stalinowskim.

B.P. – ***Ile było takich osób?***

J.E. – Najprawdopodobniej kilkaset, ale to dopiero należy dokładnie zbadać. Były takie sytuacje, że ktoś padł ofiarą w 1968 r.: wtedy wyrzucono go z partii, usunięto z zajmowanego stanowiska i w efekcie w atmosferze zaszczucia wyjechał z Polski, ale to nie przekreśliło jego wcześniejszych „dokonań". To jest problem, z którym nie bardzo potrafimy sobie w Polsce poradzić. Najbardziej znanym przykładem jest tu zapewne Helena Wolińska. IPN występuje o jej ekstradycję z Wielkiej Brytanii. Powinna ona odpowiadać za swoją działalność z okresu stalinowskiego, ale to nie zmienia faktu, że w 1968 r. rzeczywiście była ofiarą nagonki antysemickiej. Niektórym ludziom trudno jest zrozumieć, że ten sam człowiek może być i katem, i ofiarą. Historia zna różne warianty: ktoś jest najpierw katem, potem ofiarą lub odwrotnie, najpierw ofiarą, a potem katem. Nie jest tak, że gdy ktoś raz był po dobrej stronie i służył słusznej sprawie, to zawsze przedtem i potem był przyzwoity. Trzeba to bardzo wyraźnie powiedzieć. Naturalnie to w żadnym razie nie usprawiedliwia antysemitów z Marca 1968 r.

B.P. – ***Czy da się powiedzieć o Marcu teraz, po latach, coś zupełnie nowego?***

J.E. – Przede wszystkim za sprawą materiałów MSW można odtworzyć przebieg manifestacji. Okazuje się, że na przykład demonstracja w Gdańsku 16 marca, którą na podstawie relacji szacowałem na 5 do 7 tys. osób, w szczytowym momencie zgro-

madziła około 20 tys. osób. Rzucano kamieniami i butelkami z benzyną w samochody milicyjne. Skala walki i jej gwałtowność może być z pewnością porównywalna z 14 grudnia 1970 r., czyli pierwszym dniem robotniczej rewolty. Obyło się – co prawda – bez wojska, czołgów i strzelania, ale była to gwałtowna, kilkugodzinna regularna walka uliczna.

Poza tym w tych materiałach można znaleźć opisy demonstracji i starć ulicznych w czterech miastach, w których wtedy nie było szkół wyższych: Bielsku-Białej, Legnicy, Radomiu i Tarnowie. Okazuje się przy tym, że w tych mniejszych ośrodkach przebieg ulicznych manifestacji bynajmniej nie był mniej dramatyczny. Na przykład w Krakowie od 11 do 22 marca zatrzymano 191 osób, a w ciągu zaledwie dwóch dni ulicznych demonstracji w Tarnowie, który przecież trudno było porównywać z krakowskim ośrodkiem, zatrzymano 93 osoby.

B.P. – ***Kim byli ci ludzie?***

J.E. – Byli to przede wszystkim uczniowie szkół średnich z liceów i techników, ale także – w Tarnowie – ze Studium Nauczycielskiego, oraz młodzi robotnicy.

B.P. – ***To kolejny mit marcowy, że był to zryw studentów nie poparty przez robotników, którzy wtedy zdystansowali się lub stanęli po drugiej stronie.***

J.E. – Ludziom jest bardzo trudno w to uwierzyć, że zdecydowana większość zatrzymanych w Marcu 1968 r. była robotnikami. Oczywiście robotników w Polsce było wówczas wielokrotnie więcej niż studentów. Liczby bezwzględne nie są tu dobrą ilustracją, ale mnie bardzo odpowiada teza, którą kiedyś formułowali niezależnie od siebie Andrzej Friszke i Marcin Zaremba. Według niej zarówno Marzec 1968 r., jak i Grudzień 1970 r. były przede wszystkim buntami młodych. Historia nie zna powstań, rewolucji, zamieszek, rewolt, które byłyby dziełem ludzi pięćdziesięcio- czy sześćdziesięcioletnich, choćby dlatego, że gdy ma się mniej lat, szybciej się biega, dalej rzuca się kamieniami, nie ma się rodziny, nie ma się tak wyostrzonej wyobraźni ani obciążających doświadczeń. Jest za to znacznie większy radykalizm, bo nie ma charakterystycznego dla starszych relatywizmu i kalkulacji.

Młody robotnik i student z końca lat sześćdziesiątych, z epoki późnego Gomułki, byli dziećmi PRL, kolegami z podstawówki, kumplami z podwórka. Słuchali tych samych piosenek, chodzili na te same filmy, nierzadko czytali te same książki (zwłaszcza ci bardziej wykształceni) i nosili długie włosy. Mieli wspólny kod kulturowy. Dwudziestoletni robotnik w rzeczywistości nie odczuwał żadnej wspólnoty ze swoim o dwadzieścia lat starszym kolegą z pracy, a miał ją z kolegą studentem. Starszym robotnikom, wywodzącym się z zupełnie innej rzeczywistości, te argumenty o dwóch koszulach I sekretarza mogły jeszcze trafiać do przekonania. Później chyba już nigdy nie było tak wielkiej różnicy kulturowej między sąsiadującymi pokoleniami. Tutaj mamy do czynienia z buntem młodych: młodymi robotnikami, studentami, uczniami szkół średnich, którzy wyszli na ulicę. Znacznie trudniej było

porwać starszych ludzi. Bardzo ważne były ich doświadczenia, ludzie ci nie tylko znali z autopsji i pamiętali, ale niejednokrotnie mieli na własnych plecach zapisany stalinizm. Żywy pozostawał w nich strach przed kadrowym w zakładzie pracy, który mógł w zasadzie wszystko. Wiedzieli, że nie warto się „wychylać". Młodzi nie mieli takiej świadomości, odrzucali tę strategię. Jak to, nie wychylać się? Trzeba coś robić, gdy dzieje się świństwo, trzeba protestować i trzeba je nazwać po prostu świństwem.

B.P. — ***Do Marca włączyła się część inteligencji, szczególnie w wielkich miastach.***

J.E. — Nieco inaczej wyglądało to w świecie nauki i kultury, ale to jest wyjątkowe środowisko. W Marzec zaangażowali się reprezentanci tego środowiska, z grubsza rzecz biorąc, dwóch pokoleń, przy czym — trzeba wyraźnie podkreślić — że za każdym razem mówimy tylko o części literatów i naukowców. Po pierwsze byli to więc ci, którzy byli zawodowo czynni, a nawet rozpoczęli już kariery zawodowe przed wojną. Myślę tu zarówno o starej profesurze, jak i o pisarzach takich jak Antoni Słonimski czy w jakimś stopniu Jerzy Andrzejewski. Po drugie, byli to ludzie młodsi, którzy swoją pozycję zdobyli w Polsce Ludowej. Część z nich wcześniej aktywnie zaangażowała się w socrealizm i była bardzo radykalna na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, potem stopniowo odchodząc od komunizmu. Byli i tacy, jak np. Stefan Kisielewski, którzy nigdy nie chcieli mieć nic wspólnego z komunizmem w jakiejkolwiek postaci.

To, że w Marzec angażowało się wielu ludzi pióra, w jakimś stopniu stanowi o jego sile, gdyż byli oni w stanie utrwalić swoje wspomnienia i refleksje. O Grudniu 1970 r. musieliby mówić i pisać głównie robotnicy, ale trudno byłoby im nadać swoim wspomnieniom kształt literacki czy formę socjologicznej refleksji. Tymczasem mamy teksty poświęcone Marcowi pisane niemal na gorąco, które są głębokimi analizami socjologicznymi czy psychologicznymi.

B.P. — ***Czy są informacje pokazujące w nowym świetle ówczesne poglądy polityków? Na przykład o tym, że ktoś z rządzących był zaniepokojony takim obrotem sprawy.***

J.E. — Oczywiście. Jest też coś jeszcze, co intuicyjnie wydawało się nam, że mogłoby się tam znajdować. Mam na myśli bardzo ostrą, brutalną rozgrywkę organizowaną przez część aparatu bezpieczeństwa. Konkretnie chodzi mi o konferencję przedzjazdową PZPR w Zielonej Górze. Tam towarzysze z MSW, lokalnej Komendy Wojewódzkiej MO oraz terenowi szefowie Służby Bezpieczeństwa podjęli kampanię na rzecz skreślenia z listy kandydatów na V Zjazd PZPR „Żyda Artura Starewicza". To rzecz niebywała, żeby sekretarz KC PZPR, „przywieziony" z Warszawy w roli delegata na zjazd, został wykreślony. Towarzysząca temu atmosfera była ewidentnie antysemicka. Dominował pogląd, że na zjeździe trzeba oczyścić partię z Żydów, takich jak Stefan Jędrychowski, Eugeniusz Szyr, Artur Starewicz, iż potrzeba nowych ludzi.

Dla Gomułki był to kolejny poważny sygnał, że to nie on trzyma ster łódki, a łódka jest już mocno rozchybotana. Polecił towarzyszom, żeby Starewicza wybrano na delegata na innej konferencji przedzjazdowej. W końcu tak się stało. To, że mogło się tak zdarzyć, wskazuje jednak na to, jak bardzo „towarzysze z resortu" poczuli się silni i niezależni. Oni chyba naprawdę byli przekonani o tym, że za chwilę Moczar zastąpi Gomułkę.

B.P. — ***Jak na towarzysza Mieczysława patrzyli towarzysze sowieccy?***

J.E. — Wiemy, jak towarzysze sowieccy zachowali się w stosunku do niego w kluczowej chwili, czyli w Grudniu 1970 r. Powiedzieli — nie. Coraz częściej jestem skłonny — w ślad za moim nieżyjącym przyjacielem, Jerzym Poksińskim — patrzeć na wszystko, co wydarzyło się w Polsce w 1968 r., przez pryzmat wielkiej polityki międzynarodowej, jak na coś, co miało ukryć to, co rozgrywało się równocześnie w Czechosłowacji. Nie ulega przy tym wątpliwości, że dla dziejów Europy, a zwłaszcza dla ruchu komunistycznego, praska wiosna była nieporównywalnie ważniejsza niż to, co rozgrywało się wówczas w Polsce. Często zapominamy, że po 1945 r. w Czechosłowacji nie było wojsk sowieckich. Po inwazji wojsk Układu Warszawskiego z 20 na 21 sierpnia 1968 r., kiedy tłumiono praską wiosnę, w Czechosłowacji na blisko ćwierć wieku zostały sowieckie lotnictwo wojskowe i dywizja pancerna, czyli ogromne siły militarne, których przedtem tam nie było. Sowieci w znakomity — z ich punktu widzenia — sposób wykorzystali tę sytuację.

B.P. — ***Polski Marzec, będący dla niektórych jednym z najważniejszych polskich przełomów, nie miał więc — w przeciwieństwie do pozostałych zrywów — większego znaczenia, choćby w obrębie państw obozu socjalistycznego?***

J.E. — Na temat Marca spotykałem różne opinie — od takich, że wtedy właściwie nic się nie wydarzyło, a dacie tej przypisuje się nadmierną wagę tylko dlatego, że ma ona duże znaczenie dla historii pewnego środowiska (w podtekście: grupy korowskiej, grupy ekspertów „Solidarności" czy środowiska „Gazety Wyborczej" i Unii Wolności), po takie wypowiedzi, że rok 1968 to najważniejsza data w tysiącletnich dziejach Polski! Oczywiście obie te opinie są — łagodnie mówiąc — dość odległe od prawdy, a przede wszystkim są nadmiernie nasycone emocjami. Była to z pewnością data bardzo ważna w powojennej historii Polski, ale przesadne jest twierdzenie, że wtedy wszystko tutaj się zmieniło. W charakterystyczny dla siebie złośliwy, dość brutalny, ale nie pozbawiony słuszności sposób ujął to Stefan Kisielewski, pisząc w swoich *Dziennikach* pod datą 27 listopada 1970 r.: „Muszę powiedzieć, że przy czytaniu szlag człowieka może trafić, gdy na przykład jakiś facet stwierdza, że Marzec 1968 to był dla niego największy wstrząs, jaki przeżył w Polsce Ludowej, wstrząs, dzięki któremu przejrzał na oczy. Największy wstrząs! A więc nie pogrom w Kielcach, nie rozstrzeliwanie i więzienie akowców, nie procesy generałów, nie mianowanie Rokossowskiego marszałkiem Polski, nie uwięzienie Gomułki,

a potem Wyszyńskiego, nie wypadki poznańskie 1956, lecz właśnie akurat tylko Marzec 1968. Bo wtedy akurat o n i dostali w d[...]. Spora to przesada".

B.P. — ***Niemniej ukazał właściwe proporcje i rangi wydarzeń.***

J.E. — Nie można powiedzieć, że było to wydarzenie najważniejsze, epokowe, przełomowe, chociaż na pewno w życiorysach wielu ludzi rok 1968 zapisał się trwale. Bohaterami czy ofiarami Marca byli młodzi ludzie, których relegowano z uczelni, a niejednokrotnie (młodych chłopaków) natychmiast po tym wcielano do wojska. Nikt nie wie, ile ludzkich życiorysów pogruchotano nieodwracalnie: ktoś już nigdy nie skończył studiów i jego życie potoczyło się zupełnie inaczej. Spotkałem człowieka, który miał otrzymać zakładowe mieszkanie. Za to, że przygotowywał ulotki solidaryzujące się ze studentami, ukarano go między innymi cofnięciem tego przydziału. To są prawdziwe ofiary Marca! Niektórzy sądzą, że tym, którzy emigrowali, dobrze było w Polsce, bo mieli tutaj eksponowane stanowiska, a równie dobrze było im potem tam, dokąd wyjechali. Jednak nikt, kogo siłą faktów w praktyce zmusza się do emigracji, nie jest w sytuacji komfortowej.

B.P. — ***Po raz kolejny władza okazała się dysponentem i kontrolerem ludzkich losów.***

J.E. — W 1968 r. Wydział Perlustracji Korespondencji dzień w dzień przeglądał około 15–16 tys. listów przychodzących do Polski z Zachodu i wychodzących na Zachód. Dawało to w skali roku około 4–5 mln przejrzanych, nierzadko sfotografowanych, a czasem nawet „zarekwirowanych" listów. Widziałem oryginały lub kserokopie wykonane w marcu i kwietniu 1968 r. bardzo wzruszających listów i pocztówek napływających z Czechosłowacji z wyrazami poparcia i solidarności dla polskich studentów i naukowców.

Jest coś porażającego w wypisach z tych listów. Czytałem je z niesmakiem, gdyż — jak wszystkich ludzi — uczono mnie, że nawet po latach nie czyta się cudzych, prywatnych listów. Są tam także analizy i zestawienia mówiące o tym, w ilu skontrolowanych listach pojawiły się informacje o strajkach, wiecach, manifestacjach. Ile było w nich głosów życzliwych władzy, w ilu były opinie wrogie, a w ilu neutralne. Nie chce się wierzyć, że coś takiego mogło mieć miejsce i naprawdę niełatwo wyobrazić sobie sztab ludzi zajmujących się czymś takim.

B.P. — ***Jak długo trwał Marzec?***

J.E. — Zaczął się w 1967 r. po wojnie sześciodniowej, a skończył V Zjazdem PZPR w listopadzie 1968 r. i procesami „komandosów" na przełomie 1968 i 1969 r.

B.P. — ***Czy Marzec poruszył takie środowiska jak Kościół, wojsko, władza?***

J.E. — W wojsku czystka zaczęła się stosunkowo najwcześniej, na długo przed Marcem. Powszechnie sądzi się, że po wojnie sześciodniowej rozstano się z oficerami, których uważano za związanych z nurtem październikowym, ale to nastąpiło jeszcze wcześniej, w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych.

Jeśli chodzi o Kościół, to sprawa jest o tyle złożona, że obecnie dysponujemy głównie materiałami MSW, w których króluje ten „piękny język" z przykładowym „klerem dołowym na powiatach" (chodzi o duchowieństwo niższego szczebla). Jeśli czytamy, że „kler dołowy na powiatach z zadowoleniem przyjął przemówienie tow. Gomułki", to w praktyce nie jest to żadna informacja. Widzę tu bowiem co najmniej dwa wytłumaczenia treści takiej notatki: albo ów esbek antysemita pisze dla swoich przełożonych esbeków antysemitów to, co oni chcą przeczytać, albo rzeczywiście jacyś, niejednokrotnie w dokumentach wymienieni z nazwiska księża takie poglądy prezentowali, co przecież zdarzało się wcale nie tak rzadko. Ale jak było naprawdę, tego najprawdopodobniej nie dowiemy się nigdy.

Paradoksalnie najmniej wiemy o aparacie partyjnym. Ci towarzysze, którzy zachowywali się przyzwoicie, mogą o Marcu mówić z podniesionym czołem, jak np. Mieczysław Rakowski, ówczesny redaktor naczelny „Polityki", czy Wiesław Górnicki, który miał nieładną kartę w stanie wojennym, ale bardzo piękną w czerwcu 1967 r., gdy zaprotestował przeciw antysemickim bredniom po wojnie sześciodniowej, za co karnie został odwołany ze Stanów Zjednoczonych. Wielu z tych, których w 1968 r. przyzwoici ludzie uważali za zoologicznych antysemitów, dzisiaj próbuje przekonywać, że zostali źle zrozumiani, nie o to im chodziło, że rzeczywistym celem ich ówczesnej działalności było „dowartościowywanie pierwiastka narodowego". Wszystko uległo „rozmyciu": cała ta „zabawa" w wyłapywanie obco brzmiących nazwisk, analizowanie wyglądu konkretnych osób i rozpoznawanie semickich rysów – miały w tym ujęciu być wyłącznie wynikiem zabiegów propagandowych.

B.P. – ***Ja dopiero po 1968 r. zorientowałam się, kto z moich kolegów i koleżanek był Żydem, bo oni wyjechali. Nam w ogóle do głowy nie przychodziło, żeby analizować wygląd, brzmienie nazwisk. W szkole nie było śladów takiej atmosfery.***

J.E. – Wiele z tych osób miało bardzo silne poczucie polskości: mówiło i myślało po polsku, po prostu czuło się Polakami. Ludzie ci nie znali jidysz ani hebrajskiego, a nawet niejednokrotnie nie dysponowali wiedzą o własnym pochodzeniu. Nierzadko o swoim żydowskim pochodzeniu dowiadywali się od oficerów śledczych. Trzeba przy tym przypomnieć, że naszemu pokoleniu do Marca antysemityzm w praktyce nie był znany! Tym większym więc szokiem była „kampania antysyjonistyczna" w 1968 r.

Trudno zapomnieć te dramaty w klasach czy w grupach na studiach, kiedy wyjeżdżali koledzy, koleżanki, kończyły się znajomości, przyjaźnie, miłości. Nie ma przy tym żadnej racjonalnej odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Czy naprawdę tak bardzo potrzebne były te mieszkania i te posady? Ale przecież takie stawianie sprawy byłoby kompletnym zbanalizowaniem i zwulgaryzowaniem całego problemu. Nie sądzę, by w zgodzie z naukowymi standardami można było racjonalnie odpowiedzieć na pytanie, jaki naprawdę był cel antysemickiej czystki marcowej.

Na koniec chciałbym powiedzieć jeszcze jedno. Otóż lektura przechowywanych w IPN materiałów MSW dotyczących 1968 r. zachwiała w ogóle moim myśleniem o powojennej historii Polski. Dotychczas uważałem bowiem, że określenia totalitaryzm – jeśli w ogóle posługiwać się nim do opisu ustroju Polski Ludowej – można używać wyłącznie w odniesieniu do okresu sprzed 1956 r. Natomiast dla późniejszych czasów lepiej jest używać raczej terminu system autorytarny. Generalnie nie zmieniłem zdania, ale teraz powiedziałbym tak – system autorytarny dotyczył sfery praktyki, realizacji, dokonań i trwał do 1989 r., zaś w sferze mentalności, projektów, planów i zamierzeń do końca PRL ideałem pozostawał totalitaryzm, polegający na dążeniu do swoistego „opanowania" wszystkich ludzi i wszystkich ich działań.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 3–4 (27–28), marzec–kwiecień 2003

O MIEJSCACH POCHÓWKÓW OFIAR KOMUNIZMU W POLSCE

Z Krzysztofem Szwagrzykiem rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Gdy przed kilkoma miesiącami rozmawialiśmy o karach śmierci zasądzonych przez komunistyczny wymiar sprawiedliwości w latach 1944–1956, odczuwaliśmy potrzebę przeprowadzenia odrębnej rozmowy o miejscach pochówków ofiar terroru komunistycznego w Polsce.***

K.S. — Podjęcie tego zagadnienia na łamach „Biuletynu IPN" wynika z kilku istotnych przyczyn. Najważniejsza z nich to nadzieja rodzin ofiar komunizmu w Polsce na podjęcie kompleksowych, zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań miejsc, w których ich bliscy, ojcowie, mężowie czy bracia byli chowani. Nadzieja nadal do końca niespełniona. Nie jestem odosobniony w przekonaniu, że z chwilą powstania Instytutu Pamięci Narodowej oczekiwania te skupiły się wokół naszej instytucji, postrzeganej bardzo często jako jedyna mająca możliwości podjęcia takich poszukiwań.

B.P. — ***Pierwsze wiadomości na temat miejsc pochówków zostały już przekazane społeczeństwu przez IPN.***

K.S. — 25 kwietnia 2001 r. pion śledczy IPN — Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie podczas zorganizowanej wówczas konferencji prasowej przekazała środowiskom kombatanckim dokument *Wykaz miejsc grzebania ofiar zbrodniczej działalności aparatu terroru w Polsce w latach 1944–1956*. W wykazie przedstawiono listę 186. takich miejsc. To z pewnością ważny i cenny dokument. Nie jest on jednak opracowaniem naukowym, będącym owocem wieloletnich badań, lecz jedynie zestawieniem nazw miejsc pochówku, bez niezbędnych a koniecznych danych o liczbie pochowanych tam osób, ich nazwiskach, obszarze pochówków, aktualnym stanie zachowania wymienionych miejsc itp. Nawet pobieżna analiza wykazu pozwala dostrzec pewne występujące w nim nieścisłości i braki, np. zlokalizowanie Jaworzna jako miejsca pochówku na Dolnym Śląsku czy też pominięcie Opola, Brzegu, Sanoka, Sosnowca i Szczecina.

B.P. — ***Rozmawialiśmy poprzednio m.in. o egzekucjach. Przypomnę, że komunistyczny wymiar sprawiedliwości, oprócz rozprawy z przeciwnikami politycznymi, musiał też zajmować się pospolitymi przestępstwami.***

Czy istniało zróżnicowanie sposobu egzekucji w zależności od kwalifikacji przestępstwa?

K.S. – Powojenne przepisy przewidywały dwie możliwości wykonywania wyroków śmierci: przez powieszenie i rozstrzelanie. Teoretycznie egzekucje na szubienicy miały być wykonywane wobec osób skazanych przez sądy powszechne, egzekucje przez rozstrzelanie w stosunku do skazanych przez sądy wojskowe. Pamiętajmy, że przed sądami powszechnymi odpowiadały także osoby oskarżone o działalność polityczną (ilustracją niech będzie działalność powszechnych sądów doraźnych w 1946 r. czy proces gen. Augusta Fieldorfa „Nila"). Przed sądami wojskowymi stawali też przestępcy pospolici. Stosując nadal procedurę wojenną ustalono, że wyroki śmierci orzeczone przez sądownictwo wojskowe w Polsce będą wykonywane przez rozstrzelanie. Art. 314 § 1 kodeksu wojskowego postępowania karnego, wprowadzonego w życie dekretem z 23 czerwca 1945 r., zawierał stwierdzenie, że: „karę śmierci wykonywa się przez rozstrzelanie". Do listopada 1946 r. nie ustanowiono jednak żadnych przepisów szczegółowych w tym zakresie. Okólnik wydany wówczas przez ministra bezpieczeństwa publicznego Stanisława Radkiewicza normował oba sposoby wykonywania egzekucji. Mimo to trudno jednoznacznie stwierdzić, że od czasu jego wydania egzekucje w Polsce odbywały się ściśle według przepisów. Przepisy k.w.p.k. i treści zachowanych protokołów wykonania kar śmierci pozwalają przyjąć, że przygotowanie i egzekucja przebiegały wówczas w zaplanowany i zgodny z okólnikiem sposób. Jednak z relacji więźniów tamtego okresu – znających jak nikt inny realia życia za kratami – wynika, że dokumentację dotyczącą egzekucji sporządzano *post factum*, dla zachowania pozorów wykonania stracenia zgodnie z istniejącymi przepisami. Rzeczywisty jej przebieg odbywał się bowiem – ich zdaniem – nadal na wzór katyński, strzałem oddawanym znienacka, w tył głowy skazańca.

B.P. – ***W więzieniach byli kapelani. Czy więzień miał prawo do spowiedzi? Czy obecność kapelana przy egzekucji była obowiązkowa?***

K.S. – To jest kwestia, wokół której narosły liczne mity. W wielu relacjach odnajdujemy informacje, że księży nie wpuszczano na teren więzienia. To nieprawda. Księża byli obecni w więzieniach. Pozostaje jednak wątpliwość, czy można ich nazwać kapelanami więziennymi. Wynika ona z faktu, że pobyt księdza na terenie więzienia ograniczał się tylko do udzielenia ostatniej posługi duszpasterskiej skazańcowi. Obowiązek uczestnictwa duchownego przy egzekucji wynikał z przepisów, według których przed egzekucją i przy egzekucji powinien być duchowny takiego wyznania, jakie zadeklarował skazany. Na podstawie analizy akt osobowych i życiorysów księży, którzy pracowali we Wrocławiu (prawdopodobnie w innych miastach sytuacja wyglądała podobnie) można powiedzieć, że w latach 1944–1948 księża obecni przy egzekucjach w żaden sposób nie byli związani z władzą. Niemniej więźniowie często zachowywali się wobec nich podejrzliwie. Wielu sądziło, że spowiedź

może być dalszą częścią podstępnego sposobu wydobywania informacji, a ksiądz nie jest prawdziwym duchownym.

B.P. – ***Co się zatem stało w 1948 r.?***

K.S. – Zmiany w zachowaniach władzy nie zaszły dokładnie w 1948 r. Należy cofnąć się jeszcze o rok wcześniej. Po sfałszowanych wyborach do Sejmu i zakończonej walce z legalną i nielegalną – zdaniem władz – opozycją w kraju nadszedł czas, w którym komuniści zaczęli umacniać i rozszerzać zdobyte dotąd pozycje. Władza chciała też mieć pewność, że informacje o tym, co dzieje się za murami więzień, nie przedostaną się na zewnątrz. Aby to było możliwe, należało ściśle ograniczyć liczbę osób mających prawo wejścia na teren więzienia do grona pewnych osób, do którego trudno byłoby zakwalifikować księży. Wyjątek uczyniono dla duchownych cieszących się zaufaniem władz, mających za sobą służbę w jednostkach frontowych „ludowego" Wojska Polskiego lub w Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Przykładem może być ks. Józef Węgrzyn, uczestniczący w większości egzekucji w więzieniu przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu od 1948 r., który wcześniej w stopniu majora służył w KBW. Jeszcze w 1969 r. ks. Węgrzyn pisał: „Zadaniem Wojsk Bezpieczeństwa Wewnętrznego było utrzymanie porządku i bezpieczeństwa w kraju. Przez cztery lata po zakończeniu wojny żołnierze KBW bez przerwy przebywali w terenie, walcząc z bandami, utrwalając praworządność. Obowiązkiem księdza kapelana było być wszędzie tam, gdzie jego żołnierz, tym więcej, że walka była bezpardonowa i bardzo niebezpieczna. Wróg działał z ukrycia i z zasadzki"...[1]

Z punktu widzenia władzy ks. Węgrzyn idealnie nadawał się do pełnienia funkcji kapelana. Od końca lat czterdziestych w protokołach wykonania kar śmierci w całej Polsce pojawiają się coraz częściej zapiski „duchowny nie asystował", „skazany nie chciał skorzystać". Wydaje się prawdopodobne, że wówczas przepis o obowiązku uczestnictwa duchownego w egzekucji był już martwy, stosowano go tylko uznaniowo, w zależności od arbitralnej decyzji naczelników więzień, w których gestii leżało powiadomienie duchownego o mającej nastąpić egzekucji.

B.P. – ***Co działo się potem?***

K.S. – Po wykonaniu egzekucji sporządzano protokoły wykonania kary śmierci w trzech egzemplarzach, które następnie podpisywali świadkowie wykonania wyroku. O śmierci więźnia władze więzienia winny powiadomić: miejscowy Urząd Stanu Cywilnego, urząd gminy właściwy terytorialnie stałemu miejscu zamieszkania ofiary, Wydział Więziennictwa i Obozów odpowiedniego WUBP oraz Departament Więziennictwa i Obozów MBP. Na prokuratorze natomiast ciążył obowiązek sporządzenia pisma zezwalającego na pogrzebanie zwłok i przekazania tego pisma na ręce naczelnika więzienia, w którym wykonano karę śmierci.

[1] J. Węgrzyn, *Moje pierwsze lata służby w Ludowym Wojsku Polskim* [w:] *Wspomnienia wojenne kapelanów wojskowych*, red. J. Humański, Warszawa 1969, s. 508–513.

B.P. — ***Komu? Przecież pogrzeb w naszej kulturze jest uroczystością rodzinną i religijną, a nie czynnością służbową.***

K.S. — Dziś nie mówimy o kulturze, ale o realiach komunistycznego terroru lat czterdziestych i pięćdziesiątych, a te z kulturą nie miały nic wspólnego. Mimo że przepisy dopuszczały możliwość wydania ciała rodzinie, w rzeczywistości ciało straconego lub zmarłego więźnia stanowiło własność państwa, decydującego o sposobie jego pochówku. Władze więzienne odmiennie postępowały z ciałami więźniów zmarłych w aresztach i więzieniach niż ze zwłokami osób straconych na podstawie wyroku sądowego. W tym pierwszym przypadku wykazywano w bardzo nielicznych sytuacjach pewną dozę dobrej woli, wydając ciała rodzinie. Ze zwłokami straconych natomiast postępowano w taki sposób, jakby chciano całkowicie zatrzeć wszelkie po nich ślady. Jak powiedziała kiedyś obrończyni w wielu procesach politycznych mec. Aniela Steinsbergowa: „Oni [więźniowie] mieli zniknąć bez śladu. Łatwiej zatrzeć pamięć, kiedy nie ma grobu." Jeszcze dosadniej stosunek aparatu MBP do więźniów, szczególnie tych skazanych na kary śmierci, określił naczelnik Mokotowa w latach największego terroru — Alojzy Grabicki: „Po takich zbrodniarzach ziemia musi być zrównana..." Jeszcze w 1989 r. — w rozmowie z dziennikarką Małgorzatą Szejnert, poszukującą miejsc pochówku więźniów w Warszawie — mówił o straconych: „To nie byli ludzie."

B.P. — ***Czy takie postępowanie, odmowa wydania ciała, było zgodne z ówczesnym prawem?***

K.S. — Jeden z ówczesnych przepisów prawnych dawał władzom możliwość udzielenia odmowy wydania zwłok rodzinie. Dotyczył tzw. sytuacji szczególnych, w praktyce jednak prokuratorzy interpretowali go w wygodny dla nich sposób. Rodziny nie zwracały się o wydanie zwłok, gdyż nie powiadamiano ich o wykonaniu wyroku! Informowanie rodzin o śmierci najbliższych — jeżeli nawet miało miejsce — ograniczało się z reguły do urzędowych, surowo brzmiących pism z informacją o konieczności niezwłocznego odebrania pozostałych po zmarłym rzeczy, w terminie — z wielu przyczyn — niemożliwym do dotrzymania. Notatkę taką wysyłano najczęściej kilka tygodni, a nawet miesięcy, po dacie śmierci. Często stanowiła ona jedyny ślad korespondencji pomiędzy więzieniem a rodziną straconego lub zmarłego.

Jeszcze w 1958 r. żona jednego ze straconych pisała do Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu: „[Mąż] został skazany przez Sąd Wojskowy [w 1950 r.] na karę śmierci i dotychczas nic nie wiadomo o jego losie, co się z nim stało. Po upływie tylu lat powinnam o tym od Władzy Ludowej [dostać] wiadomość, uważam, że jest to obowiązkowe powiadomić żonę i dziecko. Za okupacji byłam jeszcze młoda, ale pamiętam, że wróg nasz powiadamiał rodziny o zaginionych. Zwracam się o powiadomienie, czy wyrok został wykonany, czy [mąż został] ułaskawiony".

Dziś trudno uwierzyć w to, że funkcjonariusze państwa, które orzekło karę śmierci, a następnie pozbawiło życia człowieka, dokładali aż tylu starań, aby upoko-

rzyć również i jego rodzinę. Bardzo często jedynym i złowrogim zarazem znakiem, który otrzymywali bliscy, była odmowa przyjęcia paczki dla więźnia. Przez pewien czas rodziny łudziły się jeszcze, że być może skazanego odesłano do innego więzienia. Po jakimś czasie nadzieja gasła.

B.P. — ***Wielokrotnie spotykałam ludzi, którzy do dziś poszukują miejsca spoczynku swoich bliskich, represjonowanych przez peerelowskie służby bezpieczeństwa, a nie odnajdując ich wierzą, że żyją.***

K.S. – Rodziny – bez jakiejkolwiek pomocy ze strony więzienia, UB, prokuratur i sądów – na własną rękę dochodziły prawdy. Powszechną i najczęściej jedyną metodą poszukiwań – mogącą zakończyć się odnalezieniem utajnionych miejsc pochówku – było dotarcie do pracowników cmentarzy.

Spotykani dziś jeszcze ludzie, trwający w nadziei, że ich bliscy wciąż żyją, są symbolem psychicznego okaleczenia narodu, który nawet po pięćdziesięciu latach nie może otrząsnąć się z doznanych krzywd i cierpień. Są też oznaką słabości III RP niemogącej przez kilkanaście już lat dokonać całościowego bilansu zbrodni komunistycznych.

B.P. — ***Wobec tego na podstawie jakich źródeł historycy zajmujący się tą tematyką prowadzą swoje badania, od czego je zaczynają?***

K.S. – Wymienię tylko te najważniejsze: akta prokuratorskie, akta nadzoru nad wykonaniem kary (tzw. akta więzienne), księgi główne więzień, na których terenie wykonywano egzekucje, księgi główne poszczególnych cmentarzy, akta Urzędów Stanu Cywilnego, wspomnienia i relacje rodzin ofiar, kapelanów więziennych i byłych więźniów.

Współczesna wiedza o sposobach i miejscach pochówku zmarłych i straconych w komunistycznych więzieniach pochodzi przede wszystkim z badań dotyczących czterech miejsc pochówku: Warszawy, Wrocławia, Wronek i Rawicza. Uzyskane dane pozwalają wyróżnić charakterystyczne etapy postępowania władz więziennych ze zwłokami więźniów. Przewożeniem zwłok zajmowała się nieliczna grupa więźniów zatrudniona w dziale gospodarczym – w pierwszych latach powojennych byli oni z reguły narodowości niemieckiej – eskortowana przez kilku funkcjonariuszy więziennych. Wyjątek to więzienie na Mokotowie w Warszawie, gdzie pochówkiem więźniów w latach 1945–1956 zajmował się jeden człowiek, Władysław Turczyński.

B.P. — ***Jak zatem według najnowszych ustaleń postępowano ze zwłokami ofiar egzekucji?***

K.S. – Pierwsze zarządzenia dotyczące postępowania ze zwłokami więźniów wydano dopiero kilka lat po wojnie. *Zbiór przepisów Departamentu Więziennictwa MBP na dzień 1 stycznia 1948 r.* pkt 4 § 22 zawierał informację, że: „zwłoki więźniów zmarłych, nieodebranych w terminie przez rodzinę, jak również więźniów straconych – jeśli prokurator zarządzający wykonanie wyroku nie postanowił inaczej – należy pochować na miejscowym cmentarzu, przy czym w aktach należy

odnotować n[ume]r grobu, alei itp." Do tego czasu sposób postępowania ze zwłokami więźniów zależał od lokalnych warunków lub postawy naczelnika więzienia, w którego gestii pozostawała i ta sfera funkcjonowania powierzonego mu obiektu.

B.P. — ***Jakie to były sposoby, w jakim sensie przypominały tradycyjny sposób grzebania ciała?***

K.S. — W źródłach archiwalnych nie znaleziono żadnych informacji o chowaniu więźniów w trumnach; w najlepszym razie były to drewniane skrzynie, półtrumny, niekiedy, np. w Warszawie, papierowe worki po cemencie. Zwłoki zmarłych i straconych więźniów chowano w samej bieliźnie lub nago, rzadko w pełnym ubraniu składającym się z bielizny, butów, spodni, koszuli i marynarki. Niekiedy ciała więźniów zawinięte były w worki lub stare sienniki. W pojedynczych relacjach występują wzmianki o posypywaniu lub polewaniu zwłok — prawdopodobnie wapnem lub żrącym płynem — przed zakopaniem.

Zwłoki transportowano na specjalnym drewnianym wózku — przypominającym wózek do transportu pieczywa — obitym blachą i ciągniętym przez konia lub wspomnianą grupę więźniów działu gospodarczego. Pod koniec lat czterdziestych ciała przewożono już samochodami. Na cmentarzu zrzucano je bezpośrednio do przygotowanych przez więźniów dołów, w których umieszczano czasami po kilka zwłok. Następnie niwelowano teren, nie pozostawiając najczęściej żadnego śladu umożliwiającego przyszłą identyfikację miejsca pochówku.

B.P. — ***Takie traktowanie zmarłych wymagało zapewne wielkiej dyskrecji.***

K.S. — To właśnie tłumaczy wykorzystywanie do tych prac więźniów, a nie pracowników cmentarza. Z tej samej przyczyny ciała więźniów najczęściej chowano nocą. W niektórych miastach świadomie zacierano ślady po pochówkach więźniów, urządzając w tych miejscach kompostownie i śmietniki.

B.P. — ***Zarówno w ocalałych wierszach, jak i relacjach osób, które siedziały w celach śmierci, można spotkać świadectwa przeczucia odejścia w niebyt niepamięci i braku grobu.***

K.S. — Jeden z przywódców Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość" — Łukasz Ciepliński — oczekując egzekucji powiedział towarzyszom z celi, że będzie miał w ustach medalik i po nim będzie można rozpoznać jego ciało. Skazańcy byli w pełni świadomi, że władze więzienne nie tylko nie zadbają o ich godziwy pochówek, ale będą starać się zatrzeć wszelkie ślady po straconych.

Dość powszechnym zabiegiem stosowanym przez UB było ukrywanie danych o osobach zamęczonych podczas śledztwa. Gdy zamordowano Jana Rodowicza „Anodę", legendę „Szarych Szeregów", funkcjonariusze przywieźli na Powązki jego ciało zawinięte w koc i nakazali pochować je jako osobę NN.

B.P. — ***Czy wszystkie ofiary bezpieki były chowane w grobach ziemnych?***

K.S. – Inną wstrząsającą metodą postępowania ze zwłokami więźniów lub zmarłych aresztowanych było przekazywanie ich ciał do zakładów anatomii jako materiału do ćwiczeń dla studentów medycyny. W taki sposób postąpiono w Warszawie np. ze zwłokami Jurgena Stroopa. O tym, że postępowanie takie dotyczyło nie tylko zbrodniarzy wojennych, świadczy przypadek ppor. Antoniego Wodyńskiego „Odyńca", żołnierza VI Wileńskiej Brygady AK. Zmarł 8 lipca 1948 r. w następstwie ran postrzałowych, odniesionych w przygotowanej na niego dzień wcześniej zasadzce UB. Jeszcze tego samego dnia jego zwłoki przekazano do Zakładu Anatomii Prawidłowej Uniwersytetu Wrocławskiego! W pokwitowaniu odbioru ciała osoba podpisująca się jako K. Niezabitowski bądź K. Niezabitowska napisała: „Niniejszym kwituję odbiór zwłok nieznanego mężczyzny, lat 26, ze szpitala WUBP". W ten sposób Antoni Wodyński „Odyniec", w wyniku działań przeprowadzonych z premedytacją przez funkcjonariuszy wrocławskiego UB, w ciągu zaledwie jednej doby stał się osobą NN. Po pół roku przechowywania w uczelnianej chłodni zwłoki „Odyńca" wydano do ćwiczeń studentów I roku medycyny. Archiwalia Zakładu Anatomii Prawidłowej we Wrocławiu nie zawierają informacji, na których podstawie można by stwierdzić, czy zachowały się jakieś ich szczątki. Nie można jednak wykluczyć, że tak się stało i jedyny ślad po ppor. Antonim Wodyńskim do dziś może znajdować się wśród setek innych, umieszczonych w formalinie eksponatów Zakładu Anatomii. Dopiero 12 marca 1949 r. szczątki „Odyńca" pochowano razem ze zwłokami jedenastu innych osób, prawdopodobnie na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu.

B.P. – ***Jeśli pochówek odbywał się na cmentarzu, trudno było zachować dyskrecję, chociażby dlatego, że miejsce musiało być jakoś oznaczone, by nie doszło do przypadkowego »odkrycia« grobu przy okazji próby pochowania tam kogoś innego.***

K.S. – Prawie we wszystkich znanych mi przypadkach więźniów chowano na skrajach cmentarzy, w miejscach oddalonych od innych kwater. Często były to tereny położone tuż obok cmentarnego muru. Jedynie w nielicznych przypadkach dochodziło do pochówków ofiar z więzienia w kwaterach przeznaczonych dla ogółu ludności. Ta forma nie zapewniała jednak dochowania tajemnicy, tak przestrzeganej przez pracowników MBP. Z tego powodu musiały być to miejsca ustronne. Władze więzienne „zastrzegały" sobie określone pola na cmentarzach, a zarządy cmentarzy dbały, aby nie zdarzały się takie przypadkowe sytuacje. Pamiętajmy ponadto o stałym nadzorze tych miejsc dokonywanym przez funkcjonariuszy UB.

B.P. – ***Czy dziś jesteśmy w stanie wymienić wszystkie cmentarze, na których chowano więźniów?***

K.S. – Wszystkich z pewnością nie. Możemy jedynie wymienić niektóre z nich, te najbardziej znane. Są to: Cmentarz na Srebrzysku w Gdyni, cmentarz przy ul. Panewnickiej w Katowicach, Cmentarz Rakowicki w Krakowie, cmentarz

przy ul. Unickiej w Lublinie, Cmentarz Komunalny na Dołach w Łodzi, Cmentarz Komunalny w Rawiczu, cmentarz w Zwięczycy k. Rzeszowa, Cmentarz Bródnowski przy ul. św. Wincentego w Warszawie (kwatera 45 N, gdzie grzebano ofiary więzienia przy ul. 11 listopada, obecnie Namysłowskiej – tzw. Toledo na Pradze), cmentarz parafii św. Katarzyny przy ul. Wałbrzyskiej na Służewie w Warszawie (dawne pole Bokusa położone na południe od obecnej kwatery wojennej, na którym chowano więźniów do połowy 1948 r.), cmentarz na Powązkach w Warszawie (kwatera „Ł" oraz prawdopodobnie częściowo także kwatery „E", „Ł II", „M" i „M II" – miejsca pochówków od połowy 1948 r.), Cmentarz Osobowicki we Wrocławiu (kwatery 81A i 120), Cmentarz Komunalny we Wronkach.

B.P. – ***W latach, o których rozmawiamy, w całym sądownictwie panowały wzorce sowieckie. Pamiętajmy, że do tej pory odnajdywane są niepogrzebane zwłoki całych oddziałów sowieckich żołnierzy, którzy zginęli w walkach z Niemcami. Jeśli obrońcom ojczyzny nie zapewniono godnego pochówku, co tu mówić o wrogach ojczyzny. Sposoby na ukrycie ich ciał były zaiste barbarzyńskie. W Polsce było podobnie, o czym już mówiliśmy. Czy, podobnie jak w ZSRS, zakopywano ciała poza cmentarzem?***

K.S. – Rzeczywiście nie wolno nam zapominać, że cmentarze nie były jedynymi miejscami pochówku. Znając realia lat czterdziestych i pięćdziesiątych oraz stosowane wówczas przez aparat represji metody, można przypuszczać, że miejscami pochówków były również tereny wokół kilkuset byłych siedzib UB w całej Polsce. Na podstawie relacji ludzi wiadomo, że podczas prowadzenia prac remontowych znajdowano w tych miejscach szczątki ludzkie. Tak było m.in. w Bielsku Podlaskim, Bochni, Bydgoszczy, Ełku, Grajewie, Kłodzku, Krakowie, Łodzi, Łomży, Nidzicy, Poznaniu, Przasnyszu, Puławach, Sokółce, Suwałkach i Świebodzinie.

Ciała grzebano także w lasach i na poligonach, by wspomnieć tylko: las w pobliżu wsi Olmonty pod Białymstokiem, wąwóz Babie Doły k. Gdyni, uroczysko Baran k. Kąkolewnicy, poligon w Biedrusku, las k. Głogowa Małopolskiego, las k. Ciechanowa, Bąkową Górę k. Radomska, Las Kabacki i teren lotniska Okęcie w Warszawie.

B.P. – ***Jeśli tak, to badaniami powinny zostać objęte zapewne także same więzienia.***

K.S. – Oczywiście. Na terenach więziennych także dochodziło do pochówków. Ciała więźniów grzebano w więzieniach: przy ul. Kopernika w Białymstoku, przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, przy ul. Sterlinga 16 w Łodzi, w Rzeszowie, przy ul. 11 listopada w Warszawie i w Gdańsku, gdzie znaleziono niedawno zwłoki prawdopodobnie Danuty Siedzikówny „Inki" i Feliksa Salmonowicza „Zagończyka", straconych w tym więzieniu w 1946 r.

B.P. – ***Mówiliśmy dotąd o rzeczach strasznych i zatrważających. Czy istniały jakieś pozytywne wyjątki w postępowaniu władz więziennych ze zwłokami?***

K.S. – Spośród wszystkich więzień w Polsce, w których wykonywano egzekucje, wyjątkiem było Więzienie Karno-Śledcze w Jeleniej Górze, kierowane w latach 1946–1949 kolejno przez naczelników Stanisława Podsiadło i Eugeniusza Ramusa. Ich postawie należy zawdzięczać to, że rodziny osób straconych – nawet te zamieszkałe za granicą – otrzymywały listy pożegnalne i rzeczy pozostawione przez straconych. Były też informowane o miejscu pochówku, czego nie praktykowano w innych miastach, gdzie krewni straconych i zmarłych w więzieniach i aresztach UB jedynie własnemu uporowi zawdzięczali wiedzę o wykonaniu wyroku i miejscu pogrzebania ciał ich bliskich.

Naczelnicy Podsiadło i Ramus dbali też o godziwy pochówek ciał więźniów. W przeciwieństwie do innych naczelników, nieprzywiązujących zbytniej wagi do szczegółów związanych z grzebaniem straconych, po każdej egzekucji zwracali ciało rodzinie lub też informowali ją o miejscu pochówku, a w przypadku braku krewnych występowali do Miejskiego Komitetu Opieki Społecznej w Jeleniej Górze o przydział trumny.

We Wrocławiu z dużą skrupulatnością odnotowywano dane o miejscach pochówków więźniów zmarłych w więzieniach przy ul. Kleczkowskiej i ul. Sądowej lub w którymś z wrocławskich aresztów UB. W aktach więziennych, czyli aktach nadzoru nad wykonaniem kary, zapisywano nazwę cmentarza, numery pola i grobu, w którym dokonano pochówku. Na wąskich kartonowych karteczkach, zawierających takie dane, wszytych w akta, często widnieje podpis osoby odbierającej zwłoki z więzienia, np. pracownika cmentarza. Niezależnie od zapisów dokonywanych w aktach więźnia, pochówek więźniów odnotowywano w zachowanej do dziś księdze cmentarnej, a miejsca oznaczano cementową stelą z numerem grobu. Identyczne stele Niemcy stosowali na Osobowicach już w czasie I wojny światowej.

B.P. – ***Jak można wytłumaczyć te osobliwe w owych czasach i warunkach, a jednocześnie tak zwyczajne, zachowania wrocławskich funkcjonariuszy?***

K.S. – Wielokrotnie zastanawiałem się, czemu przypisywać tak odbiegający od ogólnopolskiego sposób dokumentowania miejsc pochówku więźniów na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu. Wydaje mi się, że jest on związany z tym, że jeszcze kilka lat po wojnie obsługę cmentarza stanowili przyzwyczajeni do skrupulatności Niemcy. Przybyli tutaj Polacy, w tym także i władze więzienne, przyjęli procedury stosowane przez Niemców. W końcu lat osiemdziesiątych, gdy ujawniono prawdę o kwaterach więziennych na Osobowicach, postawione w latach czterdziestych i pięćdziesiątych stele stały się punktem orientacyjnym przy poszukiwaniach innych grobów na tym cmentarzu. Mimo upływu czasu i dokonanej w ubiegłych latach likwidacji niektórych pól, Cmentarz Osobowicki we Wrocławiu wciąż pozostaje jedyną nekropolią w Polsce, w której zachowały się w prawie niezmienionym kształcie kwatery więźniów – ofiar terroru komunistycznego.

B.P. — ***Czy po 1956 r. w Polsce podejmowano oficjalne próby ustalenia miejsc pochówków więźniów? Zainteresowanych przecież były tysiące.***

K.S. — Pierwsze urzędowe próby wyjaśnienia okoliczności pochówków straconych i zmarłych więźniów podjęto na początku 1956 r. Powołano wówczas do życia tzw. komisję Kosztirki[2], której powstanie, podobnie jak i późniejszej komisji Mazura[3], związane było z represjami zastosowanymi wobec oficerów WP. Celem obu komisji nie było ustalenie wszystkich okoliczności funkcjonowania zbrodniczego systemu w minionym dziesięcioleciu, lecz poznanie fragmentu jego działań wobec jednej i stosunkowo nielicznej grupy oficerów.

W skład pierwszej z wymienionych komisji weszli: Kazimierz Kosztirko, zastępca prokuratora generalnego PRL — jako jej przewodniczący, ppłk Marian Frenkiel — ówczesny szef III. Oddziału Naczelnej Prokuratury Wojskowej, i Jan Barczak — wicedyrektor Centralnego Zarządu Więziennictwa. Od początku komisja działała tak, aby za dużo nie znaleźć. W protokole kończącym jej działalność, przygotowanym 12 kwietnia 1956 r., napisano: „[...] komisja dochodzi do wniosku, że aczkolwiek wiadomo jest, na jakim terenie zwłoki rozstrzelanych są pochowane, nie można obecnie ustalić, gdzie konkretnie i w którym grobie zwłoki się znajdują".

Ponurym żartem lub naigrawaniem się z ofiar można by nazwać włączenie do składu komisji Kosztirki ppłk. Frenkla, tego samego, który swą działalnością w prokuraturze wojskowej doprowadził do śmierci ludzi, a teraz miał poszukiwać ich zwłok. Przypomnijmy tylko niektóre zarzuty stawiane Frenklowi przez komisję Mazura w 1957 r.: „niereagowanie na wiadomości o stosowaniu wobec oskarżonych przymusu w formie bicia w nadzorowanym przez siebie śledztwie w tzw. sprawie bydgoskiej (np. skargi Jana Kryski); niereagowanie na wyjaśnienia oskarżonych w tej sprawie składanych na rozprawie, a zawierające zeznania o niedozwolonych metodach śledztwa, przeciwnie — w odpowiedzi na skargę Kryski zażądał wyższej kary, uznając to za okoliczność obciążającą. Na stosowanie niedozwolonych metod śledztwa wskazywało wniesienie osk[arżonego] Alfreda Rolińskiego na noszach na salę sądową, czym prokurator się nie zainteresował; niezorganizowanie nadzoru nad śledztwami prowadzonymi przez G[łówny] Z[arząd] I[nformacji] w latach 1950–1953, wbrew swemu podstawowemu obowiązkowi (np. dopiero w 1953 r. powołał do tego specjalnego oficera, co przyznał we własnym oświadczeniu w 1956 r.); zatwierdzanie aktów oskarżenia sporządzonych przez GZI w większości spraw »spi-

[2] Kazimierz Kosztirko (1917–1977), w 1956 r. zastępca prokuratora generalnego PRL, następnie prokurator generalny PRL (1961–1972).

[3] 10 grudnia 1956 r. powołano komisję do zbadania odpowiedzialności pracowników Głównego Zarządu Informacji MON, Naczelnej Prokuratury Wojskowej i Najwyższego Sądu Wojskowego za wypadki łamania prawa. Jej przewodniczącym został zastępca prokuratora generalnego Marian Mazur.

sku wojskowego« i w głównej »sprawie zamojsko-lubelskiej« bez badania akt śledztwa, co przyznał przed Komisją 7 VI 1957 r.; oskarżanie w znacznej liczbie spraw »spisku wojskowego«, w »sprawie bydgoskiej« i żądanie wysokich kar, jakkolwiek w sprawach tych było wiele niewyjaśnionych sprzeczności i wątpliwości, do wyjaśnienia których nie dążył wbrew obowiązkowi prokuratora".

B.P. — ***Czy zrobiono coś w tej dziedzinie w latach osiemdziesiątych?***

K.S. — Kolejną komisję mającą za zadanie wyjaśnić okoliczności i miejsca pochówków więźniów powołał wojewoda wrocławski w 1988 r. Gdy sprawa odkrycia na Osobowicach setek grobów więźniów okresu stalinowskiego stała się głośna, ówczesne władze zmuszone były podjąć działania wyjaśniające. W tym przypadku, podobnie jak w przypadku komisji Kosztirki, mimo że dysponowano pełną dokumentacją, rzeczywistym celem jej działania nie było odnalezienie i wskazanie miejsc pochówków ofiar reżimu, lecz pacyfikacja negatywnych w stosunku do władzy nastrojów społecznych.

B.P. — ***Jakie były wyniki nieoficjalnych prób poszukiwań?***

K.S. — Odpowiem tak: przez wszystkie lata PRL wiele osób i instytucji robiło wszystko, żeby wszelki ślad po straconych — zamordowanych — więźniach zaginął. Ujawnianie kolejnych miejsc pochówków ofiar reżimu komunistycznego w Polsce było każdorazowo związane z indywidualną aktywnością grupy lub pojedynczych osób, które swoją dociekliwością i determinacją ujawniały kolejne miejsca i fakty związane z grzebaniem ofiar minionego systemu. W latach 1956–1957 podejmowano np. takie działania w Warszawie. Osoby związane z Okręgiem Wileńskim AK poszukiwały miejsc pochówków gen. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka", mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", kpt. Gracjana Fróga „Szczerbca". Za każdym razem działania te były nieformalne. Nie zrażeni niechęcią, a często i arogancją urzędników — niemogących zrozumieć, jak człowiek może latami wydeptywać ścieżki w urzędach w nie swojej sprawie — ludzie ci swym działaniem wyręczali państwo. Wspomnę tylko niektórych z nich: Irenę Klubę i Danutę Skrabę z Wrocławia, Małgorzatę Szejnert, Tadeusza Swata i Tadeusza Kostewicza z Warszawy czy ks. Piotra Stróżyńskiego z parafii św. Katarzyny we Wronkach. Ks. Stróżyński, kapelan w więzieniu we Wronkach, przed wojną i w pierwszych latach powojennych wymuszał na władzach dane o zmarłych i straconych w więzieniu, które następnie skrupulatnie odnotowywał w parafialnej księdze zmarłych. Dzięki temu i jego zapiskom, m.in. o miejscach poszczególnych grobów, po latach można było odtworzyć ich właściwą lokalizację.

Na początku lat dziewięćdziesiątych z ogromnym przejęciem czytano kolejne numery „Wokandy", w której drukowano listę straconych, obejmującą 2810 nazwisk. Potem była książka Henryka Pająka *Straceni w polskich więzieniach*. Wszystkie te — skądinąd niezmiernie ważne przedsięwzięcia — były jednak nadal działaniami pozainstytucjonalnymi.

B.P. — ***W naszej wcześniejszej biuletynowej rozmowie padła liczba około pięciu tys. osób skazanych na karę śmierci. Nie jest znana ostateczna liczba wykonanych wyroków śmierci, a przecież w tych czasach zaginęło znacznie więcej osób. Czy można powiedzieć, jakiej liczby ludzi, a właściwie ich szczątków, poszukują historycy z IPN?***

K.S. – Jest to trudny problem badawczy. Należy odszukać miejsca pochówku około 5 tys. osób straconych na podstawie wyroków sądowych, kilku tysięcy zmarłych, zamordowanych w więzieniach i aresztach, oraz nieznanej wciąż liczby zabitych w walce lub w wyniku akcji pacyfikacyjnych UB, KBW, wojska. Dziś wiemy, że w latach 1944–1956 tylko na Mokotowie śmierć poniosło ponad tysiąc osób, w więzieniu we Wronkach – 219, W Rawiczu – kolejnych 211. O kilkuset zmarłych i straconych możemy mówić w przypadku Białegostoku, Gdańska, Katowic, Krakowa, Lublina, Rzeszowa, czy Wrocławia. Lista ta wciąż nie jest zamknięta.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 7 (30), lipiec 2003

ZA WASZĄ I NASZĄ NIEWOLĘ

O interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 r.
z Łukaszem Kamińskim, Grzegorzem Majchrzakiem
i Pawłem Piotrowskim rozmawia Barbara Polak

B.P. – ***W najnowszej historii naszego południowego sąsiada PRL, niestety, miała swój mało chwalebny udział. Zanim przejdziemy do opisu dramatycznych wydarzeń Praskiej Wiosny, powiedzmy o jej genezie.***

Ł.K. – Przede wszystkim trzeba pamiętać, że historia Czechosłowacji po II wojnie światowej toczyła się nieco inaczej niż historia Polski. Komunistyczny zamach stanu dokonał się dopiero w lutym 1948 r. Do tego czasu był tam normalny ustrój wielopartyjny, chociaż nie wszystkie nurty polityczne dopuszczono do legalnego istnienia (zwłaszcza na Słowacji). W maju 1946 r. odbyły się wolne i demokratyczne wybory. Komuniści dostali wtedy blisko 40 proc. głosów (już przed wojną cieszyli się sporym poparciem społecznym), ale nie byli w stanie sami rządzić. W parlamencie istniała pięciopartyjna koalicja z udziałem wszystkich liczących się sił politycznych. Premierem został lider KPCz, Klement Gottwald. Komuniści opanowali wszystkie kluczowe stanowiska, stopniowo przygotowując się do przejęcia władzy. Niemniej formalnie Czechosłowacja pozostawała krajem demokratycznym. Po powstaniu Kominformu w Szklarskiej Porębie we wrześniu 1947 r. towarzysze czechosłowaccy zostali pouczeni, że należy coś z tym wreszcie zrobić, i w lutym 1948 r. (to był według komunistów zwycięski luty, według historyków praski zamach stanu) komuniści, przy poparciu sporej części społeczeństwa, przejęli pełnię władzy. W czerwcu prezydent Edvard Beneš zrezygnował ze stanowiska i to zakończyło proces przejmowania władzy. Zaczął się okres stalinizmu. W Polsce często zapomina się o tym, że w Czechosłowacji trwał on znacznie dłużej niż w naszym kraju.

P.P. – W Czechosłowacji w odróżnieniu od innych krajów Europy Wschodniej, będących w orbicie Związku Sowieckiego, rządząca Komunistyczna Partia Czechosłowacji miała duże tradycje jeszcze przed II wojną światową. Działała legalnie i cieszyła się znacznym poparciem społeczeństwa, przede wszystkim wśród robotników. Dlatego sposób, w jaki przejęła władzę w 1948 r., bardzo różnił się od przebiegu analogicznych zdarzeń w innych krajach. Nie był to zamach stanu przeprowadzony za pomocą sowieckich bagnetów...

Ł.K. – ...bo ich tam przecież nie było...

P.P. – ...ale towarzyszyło temu przejmowaniu władzy ogromne poparcie wielu robotników czeskich i słowackich, którzy byli głęboko przekonani do idei socjalizmu i komunizmu.

B.P. – ***Pierwszy poważniejszy kryzys w Czechosłowacji nastąpił jednak już w czerwcu 1953 r.***

P.P. – 1 czerwca 1953 r. władze dokonały reformy walutowej, która – najkrócej mówiąc – polegała na pozbawieniu ludności dużej części zgromadzonych na kontach oszczędności. Miało to wspomóc system finansowy państwa i równocześnie rozwiązać problem reglamentacji, ponieważ do 1953 r. w Czechosłowacji wiele artykułów można było kupić jedynie na kartki. Reformę walutową przeprowadzono w taki sposób, że znaczna część społeczeństwa straciła oszczędności gromadzone często jeszcze od okresu przedwojennego, zdeponowane na tzw. wkładach wiązanych, których od 1945 r. wprawdzie nie można było wykorzystać, ale „teoretycznie" ludzie te pieniądze nadal mieli. Zabieg władz spotkał się z ogromnym niezadowoleniem społecznym. W wielu miejscowościach doszło do spontanicznych strajków i wystąpień ulicznych. Najgwałtowniejszy przebieg miały one w Pilznie – niektórzy historycy używają nawet określenia „powstanie pilzneńskie" – oraz w Strakonicach, gdzie były zakłady czeskiej zbrojeniówki. W całym kraju strajkowało kilkaset zakładów pracy. Bunt społeczny tłumiono kilka dni, bardzo szybko nastąpiły represje, sporo osób aresztowano i osądzono, wiele wyrzucono z pracy.

Ł.K. – W efekcie nastąpił krótkotrwały okres swoistej liberalizacji. Położono wówczas większy nacisk na konsumpcję, złagodzono nieco kolektywizację wsi. Na tym polega podstawowa różnica, gdy porównamy ówczesną sytuację Czechosłowacji z Polską w tamtym czasie, u nas apogeum stalinizmu przypada właśnie na rok 1953. Dopiero po XX Zjeździe KPZS w 1956 r. sytuacja w Czechosłowacji zaczęła wyglądać tak jak w Polsce. Zaczęły się niepokoje i napięcia w partii. Wcześniej, po śmierci Klementa Gottwalda w 1953 r., wybrano nowego sekretarza generalnego Antonina Novotnego. Był on osobą mało znaczącą i liczono, że różne frakcje partyjne będą mogły nim manipulować. Okazało się, że Novotny szybko opanował sytuację i tylko prezydent Antonin Zapotocky był dla niego konkurentem. Jesienią 1956 r., kiedy system komunistyczny w Polsce znajdował się w głębokim kryzysie, Novotny zdołał w Czechosłowacji doprowadzić do jego mobilizacji, rzucając m.in. hasło zakończenia i przyspieszenia kolektywizacji wsi. Ten swoisty neostalinizm trwał do 1962 r. Zakończono kolektywizację wsi, zwiększono normy w przemyśle, nasilono terror, odbyło się wiele procesów politycznych, w tym także wewnątrz partii komunistycznej. Sytuacja odmieniła się w 1962 r., przede wszystkim pod wpływem wydarzeń w Związku Sowieckim po XXII zjeździe KPZS. Novotny pod naciskiem Nikity Chruszczowa przystąpił do stopniowej destalinizacji, czego symbolem było wysadzenie w powietrze pod koniec 1962 r. wielkiego pomnika Stalina, który górował

(miał wysokość 37 m, kubaturę 5,5 tys. m sześc.) nad Pragą. Wśród gapiów były dwie ofiary śmiertelne, a architekt, który wzniósł tę olbrzymią konstrukcję (można było wejść do środka Stalina i na platformę widokową), popełnił samobójstwo. Powołano Komisję Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji do zbadania przypadków nadużywania prawa, czyli represji politycznych, przede wszystkim tych skierowanych przeciw komunistom. Wypuszczono z więzień wiele osób, m.in. Gustava Husaka, późniejszego lidera KPCz. Proces ten nie poszedł jednak zbyt daleko. Narastał kryzys gospodarczy, który był jedną, choć nie jedyną, z podstawowych przyczyn tego, co zdarzyło się w 1968 r. Wewnątrz partii zaczęły się pojawiać rożne pomysły, jak wybrnąć z sytuacji.

B.P. — ***Można to nazwać kryzysem systemowym?***

G.M. — Oczywiście, ten system był niewydolny. W krajach „demokracji ludowej" normą było to, że kryzys gospodarczy doprowadzał do przemian społecznych. Kolejna prawidłowość tego systemu polegała na tym, że w momencie kiedy system łagodniał, stawał się mniej represyjny — rozpoczynało się odreagowywanie. Jego przebieg zależał od władz danego „demoluda". Czasem, jak w 1968 r. w Czechosłowacji czy w Polsce w latach 1980–1981, wydarzenia częściowo wymykały się spod kontroli władz.

B.P. — ***Czechosłowacja startowała z zupełnie innego poziomu gospodarczego niż chociażby bardzo zniszczona wojną Polska. Nie było tam ciężkich, powojennych warunków bytowych.***

P.P. — W okresie międzywojennym Czechosłowacja była jednym z najlepiej rozwiniętych gospodarczo krajów europejskich. W latach sześćdziesiątych Zachód bardzo znacząco wyprzedził ją w rozwoju gospodarczym. Szukano sposobów, które pozwoliłyby nadrobić to, co stracono w latach pięćdziesiątych. Wielu ekonomistów czechosłowackich, członków partii komunistycznej, uważało, że istnieje konieczność przeprowadzenia zmian, które pozwoliłyby dogonić świat zachodni. Uznali oni, że kontynuacja modelu gospodarki z lat czterdziestych czy pięćdziesiątych jest anachronizmem. W tym kontekście także należy szukać korzeni Praskiej Wiosny — zmiana systemu wyszła od elit partyjnych, gospodarczych i politycznych.

Ł.K. — Tuż przed Praską Wiosną istniało już pewne napięcie społeczne. Trzeba przypomnieć demonstrację studentów praskich z 31 października 1967 r., która zaczęła się prozaicznie — od braku światła w akademikach. Studenci z okrzykami „chcemy światła", które wtedy brzmiały dwuznacznie, przemaszerowali przez centrum Pragi. W czerwcu 1967 r. odbył się zjazd Związku Pisarzy Czechosłowackich, na którym otwarcie stawiano żądania pewnej liberalizacji systemu. Pewien społeczny nacisk oczywiście był, ale nie można tego nazwać klasycznym kryzysem, który zaczyna się od zaburzeń społecznych. Poszukiwano drogi wyjścia z ciężkiej sytuacji gospodarczej, choć i tak była ona lepsza niż w Polsce.

B.P. — ***Pamiętam z tych czasów rozmowę w pociągu ze studentem z Pragi, który opowiadał mi, że Czesi dostrzegli, jak gospodarka komunistyczna dewastuje przemysłową infrastrukturę kraju, prawie niezniszczoną w czasie wojny.***

Ł.K. – Trzeba tu wymienić Otę Šika, głównego autora reform gospodarczych. Na plenum KC KPCz w grudniu 1967 r., gdy doszło do pierwszego starcia, Novotny jeszcze się wybronił. Na plenum styczniowym w 1968 r. – kiedy Leonid Breżniew, który zastąpił Chruszczowa, zapalił zielone światło dla zmian na najwyższych szczeblach KPCz – Novotny utracił stanowisko sekretarza generalnego KPCz, chociaż do marca formalnie pozostawał jeszcze prezydentem Czechosłowacji. Plenum styczniowe jest symbolicznym początkiem Praskiej Wiosny, chociaż oczywiście nikt wtedy się nie spodziewał, że wydarzenia zajdą tak daleko.

G.M. – Dodajmy, że Alexander Dubček wówczas cieszył się jeszcze pełnym poparciem Moskwy.

Ł.K. – Był faworytem Moskwy, co nie oznacza, że jego kandydatura była przesądzona. Dubček był Słowakiem. Należy pamiętać, że kolejną odmiennością Czechosłowacji w porównaniu z innymi krajami socjalistycznymi była jej dwunarodowość. W genezę Praskiej Wiosny trzeba też wpisać inny bardzo istotny problem, mianowicie brak niezależności Słowacji. Po krótkim okresie istnienia państwa federacyjnego, po 1945 r. stworzono państwo, które formalnie tylko było dwuczłonowe – naprawdę o wszystkim decydował centralny rząd w Pradze. Szczególnego znaczenia nabierało zatem to, że Słowak stanął na czele KPCz. Dla Słowaków cała Praska Wiosna miała nieco inne znaczenie niż dla Czechów. Oczywiście dla nich też ważne były problemy liberalizacji, ograniczenia cenzury itd. Najważniejszym jednak ich postulatem było utworzenie państwa dwupodmiotowego, połączonego federacją. Taką próbę podjęto. Oczywiście po upadku Praskiej Wiosny częściowo wycofano się z tych reform.

G.M. – Ciekawostką związaną z Praską Wiosną była koncepcja, która pojawiła się w gronie zaufanych towarzyszy w słowackim aparacie partyjnym i bezpieczeństwa – mianowicie pomysł federacji nie z Czechami, a z Polską. Było to zapewne stanowisko marginalne, niemniej jednak taka idea się pojawiła.

B.P. — ***W jakim momencie Sowieci, którzy początkowo popierali Dubčeka, zaczęli się niepokoić?***

Ł.K. – Najszybciej wyczuł, że istnieje jakieś zagrożenie dla systemu, Władysław Gomułka podczas lutowego spotkania z Dubčekiem, które zorganizowano w Ostrawie. Wtedy odbył się słynny wspólny spacer Dubčeka z Gomułką.

G.M. – Gomułka miał wtedy powiedzieć, że gdy się zaczyna reformy, to natychmiast podnoszą głowę elementy antysocjalistyczne.

Ł.K. – Dubček liczył na to, że namówi Gomułkę do poparcia tych reform, które *de facto* jeszcze się nie dokonywały; był zaledwie zamiar, nie do końca sprecyzo-

wany, jak miałyby one wyglądać. Gomułka po swoich doświadczeniach związanych z Październikiem 1956 r. od razu bardzo ostro wystąpił przeciw reformom systemu, wiedząc, że to jest właśnie kamień, który poruszy lawinę, i nie da się jej zatrzymać.

B.P. — ***Czy Gomułka bał się w imieniu bloku, czy to była jego osobista obawa?***

G.M. — Już w Marcu 1968 r. krążyło takie powiedzonko: „Cała Polska czeka na swego Dubczeka". Według informacji MSW po agresji wojsk Układu Warszawskiego ówczesny zastępca redaktora naczelnego „Expressu Wieczornego" Teofil Głowacki stwierdził — oczywiście w rozmowie prywatnej — że następstwem wkroczenia „w Związku Radzieckim powinien być wstrząs jak po XX Zjeździe", a w Polsce powinna nastąpić zmiana I sekretarza KC PZPR — z Gomułki na... Kuronia.

Ł.K. — Po Marcu 1968 r. Gomułka obawiał się, że tego procesu nie da się ograniczyć tylko do Czechosłowacji, iż wymknie się spod kontroli i doprowadzi do rozkładu całego systemu i całego bloku. Gomułka był niewątpliwie ideowym komunistą i zdawał sobie sprawę z zagrożenia. To była pierwsza przyczyna, do której później stopniowo zaczęły dochodzić inne, jak ta, że po Marcu 1968 r. Gomułka chciał wzmocnić swoją pozycję w kraju, a mógł to osiągnąć dzięki poparciu Moskwy — musiał się zatem przed nią wykazać, wychodząc przed szereg. Niewątpliwie Gomułka był tym, który najgorliwiej — momentami bardziej od Breżniewa — dążył do zdławienia Praskiej Wiosny. Kolejna przyczyna to antyniemiecka obsesja Gomułki. Był on przekonany, że jeżeli Czechosłowacja poluźni więzy łączące ją ze Związkiem Sowieckim, to bardzo szybko — podobnie jak w 1939 r. — Polska od południa i od zachodu będzie otoczona przez Niemcy i powtórzy się wrzesień 1939 r. Dodatkowo — Gomułka miał niewątpliwie jakiś uraz psychiczny — nienawidził wprost Dubčeka, czego wyrazem było m.in. to, że choć doskonale wiedział, jak pisze się nazwisko I sekretarza bratniej partii, zawsze pisał je przez „p", żeby chociaż symbolicznie go upokorzyć. Być może uraz Gomułki wiązał się z zazdrością, że Dubček realizował to, czego Gomułka nie spełnił w Październiku 1956 r., czyli był ideałem komunisty, który jest w stanie reformować system.

B.P. — ***Na przebieg polskiego Marca 1968 r. miały wpływ m.in. wydarzenia w Czechosłowacji, a Marzec w dużej mierze zaważył na dziejach sąsiadów za południową granicą.***

Ł.K. — Niewątpliwie Gomułkę umocnił w przekonaniach Marzec 1968 r., kiedy demonstrujący otrzymali właśnie z Czechosłowacji wyraźne dowody solidarności, przede wszystkim od studentów, którzy np. wysyłali listy z poparciem dla swoich polskich kolegów i protesty do polskich władz. Poza tym w prasie czechosłowackiej dość ostro zaatakowano kampanię antysemicką czy — jak to określano — antysyjonistyczną, która toczyła się w Polsce. Chyba najbardziej nieprzychylne polskim władzom były reportaże z Polski Jižiho Lederera, analizowane przez peerelowską

ambasadę. Niemniej jednak aż do początków maja, poza forum międzynarodowym (narada w Dreźnie), polskie władze niezbyt przejmowały się tym, co się dzieje w Czechosłowacji.

G.M. – W Dreźnie Breżniew po raz pierwszy użył słowa kontrrewolucja.

P.P. – Tam również po raz pierwszy zauważono rozbieżność w kierownictwie KPCz. To był okres, kiedy usuwano Novotnego ze stanowiska prezydenta.

Ł.K. – Studenci czechosłowaccy podczas wiecu przed ambasadą polską w Pradze 1 maja 1968 r. protestowali przeciw represjom wobec swoich kolegów w Polsce i kampanii antysemickiej. Ich wystąpienie sprowokowało władze PRL do złożenia 6 maja oświadczenia rządu PRL i KC PZPR zawierającego protest – w ostrym tonie – przeciw tzw. antypolskim prowokacjom w Czechosłowacji.

G.M. – Dzień po oświadczeniu sporządzono informację dla organizacji partyjnych, w której m.in. jest mowa o tym, że w Czechosłowacji prowadzone są działania zmierzające do likwidacji socjalizmu.

Ł.K. – Poza oświadczeniem, które opublikowano w prasie, aż do sierpnia ten problem nie był w mediach obecny. Oczywiście informowano o różnych napięciach, zagrożeniu socjalizmu. Była też nieoficjalna propaganda, prowadzona przede wszystkim na zebraniach struktur partyjnych. Odbyło się kilka fal zebrań – po oświadczeniu z 6 maja, później między 28 a 30 lipca i oczywiście po interwencji (dwukrotnie). Odgrywały one ważną rolę, gdyż pojawiały się podczas nich akcenty, których nie chciano oficjalnie umieszczać w prasie – o zagrożeniu niemieckim, grupach rewizjonistycznych i „syjonistach" zdobywających władzę w Czechosłowacji.

P.P. – Niewątpliwie był w tym element manipulacji stosowany przez informatorów, którzy mówili stronie polskiej np., że osoby narodowości żydowskiej odgrywają bardzo dużą rolę w życiu politycznym Czechosłowacji. Często podkreślali, że były to osoby o nastawieniu proniemieckim. Za pomocą tego rodzaju manipulacji chciano polskim decydentom wykazać, że umacnia się nie tylko syjonizm, ale także proniemieckość. Te wątki silnie eksponowano. Oprócz oficjalnych tez na zebraniach podawano też pewne nieoficjalne interpretacje wydarzeń. Przede wszystkim zwracano uwagę na „syjonizm", a także na to, że Czesi (trzeba pamiętać, że mówiono Czechosłowacja, a myślano cały czas o Czechach) za mało wycierpieli podczas II wojny światowej. Argument ten miał przekonać polskie społeczeństwo, że oni teraz nie powinni mieć lepiej, nie należy im się liberalizacja, bo za mało wycierpieli...

B.P. – ***...i jeszcze używano argumentu, że nie stawiali oporu Niemcom...***

Ł.K. – ...tak, i teraz chcą się z nimi kumać, jak twierdziła nieoficjalna propaganda. To był najbardziej skuteczny argument władzy przed 21 sierpnia.

G.M. – W krajach tzw. demokracji ludowej wszelkie podległe służby, ministerstwa itd. przejawiały taką tendencję, żeby władzy mówić to, co chciała usłyszeć. Poza tym ważne były źródła informacji, z których korzystano. Byli nimi tzw. wypró-

bowani towarzysze, na których zawsze można liczyć, czyli twardogłowi komuniści i bezpieczniacy. Przed interwencją dochodziło do spotkań i wymiany doświadczeń między bezpieczniakami polskimi i czechosłowackimi. Zapewne – już po stłumieniu Praskiej Wiosny – w CSRS wykorzystano pewne doświadczenia peerelowskiej Służby Bezpieczeństwa z przemian po Październiku 1956 r. i z wydarzeń marcowych w 1968 r. Zachowało się kilka notatek z takich spotkań na wysokim szczeblu, m.in. autorstwa Franciszka Szlachcica, ówczesnego wiceministra spraw wewnętrznych. Wracając do problemu niemieckiego – rzeczywiście bardzo mocno rzutował on na stosunek polskiego społeczeństwa do wydarzeń w Czechosłowacji. Prawdą jest bowiem, że doszło do pewnego zbliżenia między Czechosłowacją a Niemcami.

Ł.K. – Może nie do zbliżenia, ale otwarto granicę, przyjeżdżało trochę turystów, co było w Polsce bardzo źle odbierane. Nie można mówić o zbliżeniu politycznym, bo do 1973 r. nie podpisano nawet umowy z NRF, nie było zatem stosunków dyplomatycznych.

B.P. – ***Gomułka więc jako pierwszy przestraszony i najostrzej reagujący na te zmiany. A Breżniew?***

Ł.K. – Gomułka zachęcał Breżniewa do ostrego rozprawienia się z Czechosłowacją.

B.P. – ***Czy gdyby nie to stanowisko Gomułki, nie doszłoby do interwencji? Co by się wtedy działo?***

G.M. – Moim zdaniem decydujące było stanowisko Breżniewa. W latach 1980–1981 Niemcy czy Czesi i Słowacy bardzo chętnie wzięliby udział w interwencji w Polsce, ale Moskwa takiej decyzji nie podjęła. Nie musiała tego robić, w przeciwieństwie do roku 1968 w Czechosłowacji. Wojciech Jaruzelski, który był ministrem obrony narodowej w chwili interwencji w CSRS, dobrze zapamiętał tę lekcję. Mimo narzekań na jego postawę kilkanaście lat później, Moskwa mogła na niego w pełni liczyć, co udowodnił 13 grudnia 1981 r.

P.P. – Gomułka cieszył się ogromnym autorytetem wśród przywódców krajów komunistycznych. Jako lider partyjny miał większe od Breżniewa doświadczenie z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, mógł więc przeforsować swój punkt widzenia szczerego komunisty. Przekonał Breżniewa, że sytuacja w Czechosłowacji jest groźna, co dowodzi, iż Gomułka miał duży wpływ na jego ostateczną decyzję.

Ł.K. – Możemy spekulować, co by było, gdyby Gomułka zajął takie stanowisko jak Janos Kadar. Bez udziału Polski i udostępnienia polskiego terytorium można było wprawdzie interwencję przeprowadzić, ale byłoby to znacznie trudniejsze zadanie. Gdyby Gomułka tak jak Kadar zdystansował się od pomysłu interwencji, znacznie trudniej byłoby podjąć tę decyzję. Nie można jednak przesądzać, że bez uporu Gomułki nie byłoby jej. Chociaż, być może, gdyby Breżniew poprzestał na ustaleniach z Czernej z początku sierpnia 1968 r., zgodnie z którymi KPCz zobowiązała się do określonych działań, m.in. ograniczenia niezależnych ruchów

politycznych, skończyłoby się na zdławieniu kontrrewolucji własnymi rękami, jak w Polsce w 1982 r.

P.P. – Myślę, że jest to wątpliwe, bo nie było w Czechosłowacji takich sił, które by mogły tego dokonać.

Ł.K. – Być może nie byłby to stan wojenny, ale pewne ograniczenia w imię racji stanu, ograniczenia reform.

B.P. – ***Czy te reformy były aż tak radykalne?***

Ł.K. – Patrząc na Praską Wiosnę z polskiej perspektywy lat 1980–1981, widać, że reformy w Czechosłowacji nie były bardzo radykalne. Ograniczały się do likwidacji cenzury i wprowadzenia wolności prasy, która nie publikowała wyraźnie antysowieckich czy antykomunistycznych tez, oraz powstania Klubu Zaangażowanych Bezpartyjnych jako przejawu pluralizmu, odrodzenia skautingu, ożywienia niekomunistycznych partii. W Czechosłowacji bowiem formalnie przetrwał system wielopartyjny, chociaż oczywiście partie były podporządkowane KPCz i dopiero w 1968 r. zaczęły się uniezależniać. Jednak nie był to masowy antykomunistyczny ruch społeczny jak „Solidarność" w 1980 i 1981 r. w Polsce.

P.P. – Sytuacja była odwrotna – ruch odnowy skupiał się w KPCz – tam byli głowni inicjatorzy reform, ogromna liczba członków, którzy widzieli potrzebę zmian. W KPCz powstały najważniejsze dokumenty dotyczące reform politycznych i gospodarczych. Zarówno decydenci sowieccy, jak i Gomułka traktowali ten ruch w kategoriach ogromnego zagrożenia przejściem na pozycje socjaldemokratyczne, a socjaldemokracja była strasznym wrogiem i niebezpieczeństwem dla ruchu komunistycznego. Mówiono nawet, że gorszym od faszyzmu.

B.P. – ***Wróćmy do Polski, do maja.***

Ł.K. – Po fali zebrań i ostrym oświadczeniu rządu PRL z 6 maja, rozpoczyna się działalność Ministerstwa Spraw Wewnętrznych skierowana przeciw Czechosłowacji. Aparat MSW, przede wszystkim z województw przygranicznych: rzeszowskiego, krakowskiego, katowickiego, opolskiego i wrocławskiego, zaczął poszukiwać jawnych i tajnych współpracowników za południową granicą. Zbierano bardzo dokładne informacje o tym, co się dzieje w Czechosłowacji, gromadzono dokumenty i gazety, tłumaczono je na język polski.

G.M. – Nazwałbym to monitoringiem sytuacji.

Ł.K. – Zaczęły powstawać pierwsze analizy. To samo działo się w aparacie partyjnym, gdzie największą rolę odegrał I sekretarz KW PZPR w Rzeszowie, Władysław Kruczek, który był głównym informatorem, miał dobre kontakty w Komunistycznej Partii Słowacji (formalnie odrębna KPS była częścią składową KPCz, nie było natomiast Komunistycznej Partii Czech). W Katowicach, bliżej granicy, powstało coś w rodzaju stanowiska kierowania, skąd już w maju bezpośrednio do wiceministra spraw wewnętrznych Franciszka Szlachcica kierowano meldunki o rozwoju sytuacji.

G.M. – MSW działało dwutorowo: zdobywało informacje zewnętrzne, o czym mówiliśmy, i prowadziło swoiste badanie opinii społecznej w Polsce. To ostatnie rozpoczęto jeszcze w lipcu. Wszystkim przedsięwzięciom resortu związanym z sytuacją w Czechosłowacji nadano 20 sierpnia kryptonim „Podhale", minister spraw wewnętrznych Kazimierz Świtała 21 sierpnia powołał Centralne Stanowisko Kierowania (na wypadek sytuacji kryzysowej), a w resorcie wprowadzono stan podwyższonej gotowości. Jednostkom operacyjnym nakazano „rozpoznanie środowisk, grup i osób w celu sprawnego przeciwdziałania ewentualnym wrogim zamierzeniom". Zalecano zwracać szczególną uwagę na: rewizjonistów, kler, dyplomatów i zagranicznych dziennikarzy. Komendanci wojewódzcy MO mieli utrzymywać stały kontakt z Komitetami Wojewódzkimi PZPR i informować partię o „aktualnej sytuacji".

B.P. – ***Co wynikało z tego monitoringu?***

Ł.K. – Generalnie zarówno słowackie informacje Kruczka, jak i te pochodzące ze struktur MSW potwierdzały to, co Gomułka chciał usłyszeć – w Czechosłowacji ma miejsce kontrrewolucja.

P.P. – Koronnym argumentem był słynny manifest *Dwa tysiące słów* z czerwca 1968 r. (autorstwa Ludvika Vaculika, opublikowany 27 czerwca m.in. w „Literarnich Listach" i „Mlada Fronta", przedstawiający stanowisko wielu członków partii), który czytany dzisiaj, nie zawiera specjalnie „kontrrewolucyjnych tez", ale wówczas tak go odebrano.

Ł.K. – Pod koniec lipca przez Polskę przemaszerowywały oddziały sowieckie. Było to bezpośrednie przygotowanie do interwencji. Myślano o niej jeszcze przed rozmowami Breżniewa z Dubčekiem w Bratysławie i Czernej. W tym momencie wystosowano kolejny list do członków PZPR, który kończył się komunikatem, że przez terytorium Polski trwa przemarsz wojsk sojuszniczych. Chodziło zapewne o to, żeby uniknąć paniki związanej z nagłymi, dość dużymi ruchami wojsk i przygotować ludzi na wypadek interwencji. Na zebraniach partyjnych ujawniał się dystans części członków PZPR do stanowiska kierownictwa. Stawało się jasne, że nie chodzi tylko o potępienie wydarzeń w Czechosłowacji, wszystko wskazywało na to, że będzie interwencja zbrojna. Wśród szeregowych członków PZPR pojawiły się wątpliwości, padały pytania: po co ten przemarsz wojsk, czy czasem nie dojdzie do agresji? Po rozmowach Breżniewa z Dubčekiem nastąpiło przecież odprężenie. Interwencja 21 sierpnia 1968 r. była ogromnym zaskoczeniem dla polskiego społeczeństwa.

B.P. – ***Ogromnym. Chciałabym to potwierdzić. Doskonale ten dzień pamiętam. To była paraliżująca, zaskakująca informacja. Ludzie byli na wakacjach i do tej wakacyjnej społeczności dotarła informacja o interwencji. Byliśmy w Kołobrzegu, nad plażą leciały, startujące gdzieś w pobliżu, bombowce. To był szok i jednoznaczne potępienie tej agresji. Poczucie wstydu i przerażenie. Społeczeństwo na taki obrót wydarzeń nie było przygotowane.***

Ł.K. – Widać to zarówno w analizach MSW, jak i w dziennikach intelektualistów. W lipcu rozważano – wejdą, nie wejdą, w sierpniu wszystkim wydawało się, że znaleziono rozwiązanie sytuacji, Dubček zobowiązał się do ustępstw, więc to był szok. Dla nastrojów społecznych 21 sierpnia to przełomowa data. Do tego dnia Polacy byli skłonni zgodzić się z argumentami propagandy, że Czechom należy utrzeć nosa, bo się nie nacierpieli, kumają się z syjonistami i Niemcami. Przez pierwsze kilkanaście dni po 21 sierpnia w raportach MSW o nastrojach społecznych najczęściej pojawiają się słowa: hańba, wstyd i ubolewanie, że Polacy, którzy zawsze walczyli za wolność naszą i waszą, teraz tę wolność odbierają.

G.M. – Często też pojawiała się opinia, zapewne szczególnie bolesna dla władz, że jest to drugie Zaolzie.

Ł.K. – Trzeba przypomnieć, że Zaolzie było w polskiej propagandzie komunistycznej wykorzystywane jako przykład burżuazyjnej, faszystowskiej polityki sanacyjnej.

G.M. – Jednak w materiałach MSW są też dane świadczące o tym, że wiele osób popierało interwencję. W stosunkach między Polską a Czechosłowacją było pewne podskórne napięcie. Przypomnijmy, że pierwsza połowa XX w. to okres sporów terytorialnych, granicznych. Zebrała też żniwo peerelowska propaganda o rzekomym zagrożeniu niemieckim, w ten sposób najczęściej usprawiedliwiając udział Polaków w interwencji.

Ł.K. – Właśnie 21 sierpnia rozpoczęła się kolejna, oficjalna faza kampanii propagandowej, związana z tym, że pojawiła się ogromna fala sprzeciwu, i to wśród członków PZPR. Nawet na zebraniach partyjnych mówiło się o drugim Zaolziu, o zhańbieniu polskiego munduru. Pytano, kto konkretnie poprosił o tę pomoc, kontestowano oficjalną wersję władz. Po kilku tygodniach część społeczeństwa jednak uwierzyła, że interwencja była konieczna, bo uratowała Polskę przed wielkim zagrożeniem.

B.P. – ***Jak doszło do tej decyzji?***

P.P. – Przygotowania do interwencji podjęto w sztabie generalnym Armii Sowieckiej na pewno przed naradą w Dreźnie. Stwierdzono wówczas, że w kierownictwie KPCz są już na tyle silne rozdźwięki, że frakcja prawdziwych komunistów może przegrać. Już podczas tego spotkania, które miało miejsce 23 marca, na pytanie wicepremiera rządu CSRS, Odrzicha Czernika, co oznacza obecność sowieckiej generalicji, Breżniew odpowiedział: „obecność tych dowódców może oznaczać także i to, że jeżeli będziecie potrzebować pomocy w rozwiązywaniu waszych problemów, może być ona natychmiast udzielona". Na początku kwietnia do sztabów generalnych armii Układu Warszawskiego (oprócz Rumunii i Czechosłowacji) wpłynęły dyrektywy zawierające informacje o tym, jakie zadania miały realizować wydzielone kontyngenty tych wojsk. W Polsce te prace koordynował szef Zarządu I Sztabu Głównego WP gen. Wojciech Barański. Pierwszą przymiarką do interwencji były ćwiczenia „Szumawa", które odbyły się w lecie. Brały w nich udział sztaby tych

jednostek wojskowych, które później uczestniczyły w interwencji. Podczas ćwiczeń oficerowie mogli dobrze zapoznać się z terenem przyszłych działań. W interwencji wzięły udział jednostki Śląskiego Okręgu Wojskowego WP. Były to: dowództwo 2. Armii, dowodzonej przez gen. Floriana Siwickiego, 4. Pomorska Dywizja Zmechanizowana, 10. Sudecka Dywizja Pancerna i 11. Dywizja Pancerna. Pod koniec sierpnia siły te wsparła przerzucona w trybie nagłym z poligonu na Mazurach 6. Pomorska Dywizja Powietrzno-Desantowa.

Przygotowania do interwencji zakończono w lipcu i 29 tego miesiąca wojska zajęły pozycje wyjściowe. Oczekiwano tylko na decyzję polityczną, która zapadła na posiedzeniu Biura Politycznego KPZS odbywającego się od 15 do 17 sierpnia. Operacja „Dunaj" miała rozpocząć się 20 sierpnia o godzinie 23.00.

B.P. — ***Warto przypomnieć, że z tzw. zaproszeniem wojsk Układu Warszawskiego w sierpniu 1968 r. wystąpiła grupa pięciu członków KC KPCz z Vasilem Bilakiem na czele.***

P.P. — W interwencji wzięły udział wojska ZSRS (25 dywizji), Polski (4 dywizje), Węgier (1 dywizja) i Bułgarii (1 pułk zmotoryzowany). W ostatniej chwili, na prośbę czechosłowackich polityków popierających interwencję, wstrzymano wkroczenie dwóch dywizji Narodowej Armii Ludowej NRD. Oczywiście zdecydowaną większość sił stanowiły jednostki Armii Sowieckiej, natomiast drugi kontyngent wystawiło WP. Wojska interwencyjne łącznie liczyły ponad 250 tys. żołnierzy i około 6500 czołgów. Z tego siły WP stacjonujące na terenie Czechosłowacji liczyły 25 tys. żołnierzy i 650 czołgów, co stanowiło 10 proc. zaangażowanych w interwencję sił. WP okupowało Hradecki Kraj (odpowiednik naszego województwa) w północnej części Czech. Do kraju żołnierze polscy wrócili jesienią.

B.P. — ***Ilu Polaków zginęło?***

P.P. — W Czechosłowacji zginęło dziesięciu polskich żołnierzy. Ich śmierć związana była z nieostrożnym obchodzeniem się z bronią albo z wypadkami komunikacyjnymi.

G.M. — Były też straty na terenie Polski — przypadkowe ofiary wypadków drogowych, zarówno po stronie żołnierzy, jak i ludności cywilnej. W województwie olsztyńskim zmarł cywil potrącony przez pojazd wojsk sowieckich, a w Wodzisławiu w wyniku zderzenia amfibii z lokomotywą — żołnierz sowiecki.

Ł.K. — W Jičinie 5 września doszło do tragicznego wydarzenia. W mieście pojawił się polski patrol, którego żołnierze byli pijani — jeden z nich otworzył ogień do ludzi, zabił dwie osoby, kilka następnych ranił. Były to jedyne ofiary spowodowane przez WP. Odbyła się ogromna manifestacja patriotyczna, publiczny pogrzeb, wystawienie trumien ze zwłokami. To niewątpliwie ugruntowało negatywny stosunek Czechów do Polaków, który trwa do dziś. Niestety, jeśli wprowadza się taką ogromną liczbę wojska, ponad 20 tys. żołnierzy, trzeba się liczyć z tym, że bywają takie tragiczne wypadki, to niemalże wynika z praw statystyki. Dowództwo przywiązywało

bardzo dużą wagę do tego, aby trzymać żołnierzy w ryzach, ale tym razem sprawa wymknęła się spod kontroli. Finał był taki, że żołnierza, który strzelał, dla celów propagandowych skazano na karę śmierci, ale wyroku nie wykonano. Stosunek Czechów do Polaków był już ugruntowany i to było jedną z przesłanek wycofania wojsk zaledwie dwa miesiące po interwencji, mimo że Gomułka raczej był skłonny je pozostawić.

P.P. – W październiku i listopadzie wycofano *gros* wojsk bułgarskich, polskich i węgierskich. Zostawiono tylko sowieckie.

G.M. – Dodajmy, że na skutek różnych wypadków ofiar po stronie polskiej było więcej niż ofiar po stronie Czechów i Słowaków. Z Jičinem wiąże się też inny – tym razem chwalebny dla Polski epizod. Dwie wymienione z imienia i nazwiska Polki (Wiesława Moryń i Helena Willas) zwróciły się z apelem na falach nielegalnej radiostacji do żołnierzy WP przeciw interwencji w „imieniu grupy robotników polskich znajdujących się w CSRS". Takie wystąpienie wymagało wówczas dużej odwagi. Generalnie jednak, kilkanaście tysięcy pracujących w Czechosłowacji polskich robotników od 21 sierpnia spotykało się z dużą niechęcią. Znaczna ich część powróciła do Polski, nie wytrzymując atmosfery, która panowała w ich zakładach pracy. Jednocześnie polskie władze wyciągały konsekwencje wobec osób otwarcie popierających Praską Wiosnę. Nie znamy dalszego losu autorek apelu, ale z dużym prawdopodobieństwem można przypuszczać, że zakończył ich pracę za granicą.

Ł.K. – Paradoksalnie powracający stanowili dla polskich władz niemały problem. Wysyłali bowiem do swoich rodzin lub przywozili ze sobą ulotki, wszelkie materiały propagandowe, także po polsku, broniące zdobyczy Praskiej Wiosny. To był poważny problem dla MSW, bo te kilkanaście tysięcy osób mogło być przekaźnikami idei, które były bardzo groźne dla systemu.

B.P. – ***Jak zachowała się mniejszość polska w Czechosłowacji?***

Ł.K. – Mieszkańcy Zaolzia, którzy mieli negatywne doświadczenia z państwem czechosłowackim – byli wynaradawiani, aż do Praskiej Wiosny ograniczano im szkolnictwo, życie kulturalne – zachowali się bardzo szlachetnie, nie wykorzystali tej sytuacji. Oczywiście wojska polskie nie wkroczyły do Zaolzia, bo to byłoby bardzo źle odebrane, ale Polacy tam mieszkający mogli wykorzystać obecność sowieckich wojsk okupacyjnych dla wzmocnienia swojej pozycji. Polacy jednoznacznie poparli Dubčeka i kierownictwo KPCz, naród czeski i słowacki. „Głos Ludu", czyli oficjalna gazeta mniejszości polskiej (ukazało się kilka jej wydań nadzwyczajnych), bardzo zdecydowanie poparł Praską Wiosnę, starano się przemycać jego egzemplarze do Polski.

G.M. – Z raportów MSW wynika, że „Głos Ludu" był głównym „wrogim" materiałem nadsyłanym z Czechosłowacji, choć był przecież oficjalnym organem partii komunistycznej (północno–morawskiej KPCz). Z raportów wynika także, że przy

okazji odbywających się w Czechosłowacji przemian miały dojść do głosu nacjonalizmy: niemiecki, słowacki, ukraiński i oczywiście żydowski.

Ł.K. – Był to też czas odrodzenia mniejszości polskiej w Czechosłowacji. Doszło nawet do wydania zakazu przyjazdu do Polski czołowych działaczy mniejszości polskiej w Czechach, z Zagłębia Ostrawskiego i Zaolzia. Telewizja katowicka nadawała specjalny program *Do przyjaciół z Ostrawy*. Mniejszość polska protestowała przeciw kłamstwom w nim zawartym. Polacy uznali, że należy poprzeć Praską Wiosnę.

B.P. – ***Jaką datą możemy zamknąć polski wątek interwencji?***

Ł.K. – Akcję „Podhale" w większości województw zakończono 19 października 1968 r. W województwach przygranicznych trwała ona oczywiście – już w bardzo ograniczonym zakresie – aż do końca 1971 r. Dopiero w lutym 1972 r. w województwach przygranicznych przekazano do archiwum materiały z tej akcji, bo uznano, że sytuacja się uspokoiła.

G.M. – Władze obawiały się reperkusji wydarzeń w Czechosłowacji, stąd np. zbierały dane dotyczące nastrojów społecznych, aby moc przeciwdziałać ewentualnym zaburzeniom.

B.P. – ***Jakie były nasze koszty wynikające z udziału w tłumieniu Praskiej Wiosny?***

G.M. – Możemy wyliczyć koszty zaangażowania militarnego. Najwyższą cenę zapłaciliśmy jednak w stosunkach międzynarodowych. Gospodarcze koszty interwencji były stosunkowo nieduże, wielkim tego świata nie przeszkadzał nasz udział w interwencji. Za to zdarzały się przypadki zrywania z Polską kontaktów przez mniejsze firmy zachodnie. Notabene niekiedy okazywało się to dla nas korzystne, np. gdy dany towar udawało się później wyeksportować za wyższą cenę. Przede wszystkim jednak nastąpiło znaczne zahamowanie wymiany kulturalnej i sportowej. W tej dziedzinie można mówić nawet o bojkocie Polski i Polaków.

Ł.K. – Nie odbyło się wiele wizyt międzynarodowych, zarówno Gomułki za granicą, jak i wizyt w Polsce.

G.M. – Interwencja spowodowała utratę autorytetu Polski.

Ł.K. – W znacznie większym stopniu niż kampania antysemicka w Marcu 1968 r. Zachodni artyści wycofali się z sopockiego festiwalu piosenki. W Warszawie nie odbył się zaplanowany międzynarodowy kongres internistów.

G.M. – Wiele ekip nie wzięło udziału w kolarskim wyścigu dookoła Polski, odwołano mecze międzypaństwowe w piłce nożnej. Zdarzały się przypadki szykanowania Polaków na Zachodzie, np. we Francji. Podobnie było w Rumunii. W bojkocie Polski i Polaków nie uczestniczyła Republika Federalna Niemiec.

B.P. – ***Jakie koszty poniosło społeczeństwo Czechosłowacji? Jest takie społeczne przekonanie, że Czesi i Słowacy byli mniej heroiczni niż my.***

Ł.K. – Najkrócej ten mit można obalić jednym zdaniem: w obronie Praskiej Wiosny zginęło prawie tyle samo obywateli Czechosłowacji co Polaków we

wszystkich masowych protestach społecznych – od poznańskiego Czerwca 1956 r. aż do stanu wojennego włącznie. Tylko w ciągu praktycznie jednego roku, co wskazuje na zaskakująco wielką skalę oporu.

Społeczeństwo Czechosłowacji było jednolite w oporze, bez podziału na komunistów i niekomunistów. W pierwszych miesiącach nastąpił masowy opór całego społeczeństwa, poza nielicznymi wyjątkami – agenturą sowiecką czy agenturą polską. Przybierał rozmaite pomysłowe formy.

G.M. – Kobietom, które podejrzewano o kolaborację z wojskami okupacyjnymi, podobnie jak w czasie II wojny światowej golono głowy. Za kolaborację uznawano również dobre kontakty pograniczników słowackich czy czeskich z ich polskimi odpowiednikami. Chociaż akceptacja interwencji wśród Polaków pracujących sezonowo w Czechosłowacji była znacznie większa niż u Czechów i Słowaków, to również i oni brali udział w oporze. Zdarzało się, o czym już wspominałem, że nasi rodacy występowali w czechosłowackim radiu przeciw interwencji, uczestniczyli w budowaniu barykad czy kolportowali w Polsce ulotki popierające przemiany w CSRS i objaśniające rodakom w kraju, co się działo za naszą południową granicą.

P.P. – Stawianie oporu rozpoczęło się już nad ranem 21 sierpnia 1968 r. Ludzie spontanicznie, bez wytycznych czy instrukcji z góry, wychodzili na ulicę, demonstrowali już na trasie przemarszu wojsk. Powstawały barykady z palących się opon, przewracano autobusy, tramwaje, podpalano je, by przeszkodzić w marszu wojsk. W pierwszych godzinach interwencji powszechnie przestawiano drogowskazy, na skutek czego np. 10. Dywizja WP zmieniła kierunek marszu i nie dotarła na czas w rejon Hradca Kralove. Działania te były na tyle dokuczliwe, że dowództwo zjednoczonych sił zbrojnych Układu Warszawskiego, które monitorowało na bieżąco kierunki marszu, zaniepokoiło się jego spowolnieniem i zmianą kierunku. Warto wspomnieć tu o różnicach zachowań – jednostki polskie omijały barykady z płonących pojazdów i opon. Żołnierze Armii Sowieckiej radzili sobie w całkiem inny sposób – barykady forsowali siłą, najczęściej wystrzałem z czołgu, nie oszczędzali ludności cywilnej – marsz, kierunek i cel były najważniejsze.

Do Pragi pierwsze wkroczyły jednostki desantowe – wylądowały na międzynarodowym lotnisku Ruzyn. Lot komandosów sowieckich zaawizowano jako rejsowy lot Aerofłotu. Gdy samolot wylądował, komandosi szybko i sprawnie opanowali najważniejsze punkty lotniska i mogli sprowadzić całą 7. Dywizję Powietrzno-Desantową z Kowna, która po wylądowaniu błyskawicznie opanowała najważniejsze miejsca w mieście. W Pradze pierwszym celem wojsk interwencyjnych były siedziba Komitetu Centralnego KPCz i budynek radia i telewizji na Vinohradach, czyli punkty strategiczne. Pod KC KPCz pojawili się ludzie, choć była godzina czwarta nad ranem. Zaczęli się gromadzić, doszło do pierwszych wystrzałów, zginął pierwszy człowiek. Natomiast próba dotarcia żołnierzy sowieckich do rozgłośni radiowej na Vinohradach była prawdziwą walką, trwającą kilka dobrych godzin.

Ł.K. – Z jednej strony były czołgi, a z drugiej – bezbronni ludzie.

P.P. – Prażanie używali koktajli Mołotowa, uniwersalnej broni wszystkich uczestników walk ulicznych. Spalono kilkanaście czołgów. Rolę opanowanej przez Rosjan rozgłośni na Vinohradach przejmowały kolejno stacje lokalne. Ostatnią oficjalnie funkcjonującą na terenie Czechosłowacji była rozgłośnia w Pilznie, która nadawała sygnał do końca. W Pilznie także wylądowały i zajęły miasto sowieckie oddziały desantowe. Na zakończenie spiker rozgłośni radiowej w Pilznie powiedział: musimy kończyć, bo właśnie żołnierze sowieccy dobijają się do drzwi.

G.M. – Poza tym bardzo zaangażowali się członkowie ruchu krótkofalowców amatorów, którzy próbowali docierać do okupantów.

B.P. – ***Jak zachowywała się w tym czasie armia Czechosłowacji?***

P.P. – Armia czechosłowacka nie stawiała oporu zbrojnego. Już dwadzieścia minut po północy minister obrony narodowej Czechosłowacji gen. Martin Dzur wydał rozkaz podległym wojskom, w którym nakazywał: „[...] zabezpieczyć [armię tak], aby w żadnym przypadku nie użyto broni, [...] radzieckim wojskom, które weszły na nasze terytorium, udzielić maksymalnej, wszechstronnej pomocy". Wojska okupacyjne ograniczyły się do blokowania garnizonów armii czechosłowackiej. W tej sytuacji armia stawiała opór bierny, polegający na udostępnieniu wojskowych środków łączności do nadawania audycji radiowych potępiających interwencję. Całe terytorium państwa było pokryte obiektami, które miałyby służyć działalności wojennej: składami broni, żywności, a także zapasowymi węzłami łączności, czyli nerwem armii. W Czechach na wypadek wojny przede wszystkim przygotowano zapasowe radiostacje, za pomocą których miano nadawać komunikaty w przypadku „agresji państw NATO". Strona sowiecka nie znała lokalizacji tych obiektów, ponieważ były zbudowane i zarządzane przez stronę czechosłowacką. Już po interwencji, kiedy zamilkły rozgłośnie radiowe kraju, wojskowe radiostacje wykorzystano do nadawania audycji radia czeskiego, jako tzw. zapasowe punkty nadawcze. Gdy zamilkło radio na Vinohradach, miejsce transmisji radiowej przeniesiono do budynków wojskowych, zwłaszcza wojsk łączności. Wydaje się, że na początku wkraczające wojska nie były przygotowane na przeciwdziałanie takiej formie oporu armii. Dopiero później, po kilku dniach zaczęto sprowadzać ze Związku Sowieckiego i z Polski środki techniczne, które miały służyć ustaleniu miejsc nadawania tych radiostacji.

Ł.K. – Rozgłośnie były tak skonstruowane, żeby utrudnić ich lokalizację. Do ich likwidowania – co trwało kilka tygodni – trzeba było sprowadzić komandosów.

P.P. – Sprowadzono 6. Dywizję Powietrzno-Desantową, której żołnierze ze śmigłowców, w kaskaderski sposób opanowywali kolejne ośrodki nadawania audycji radiowych, znajdujące się na terenie okupowanym przez WP.

B.P. – ***Powróćmy do oporu społecznego.***

Ł.K. – Niezależnie od radiostacji istniały inne, zróżnicowane narzędzia propagandy. Wydrukowano np. specjalne ulotki, które wręczano wszystkim

powracającym do Polski turystom; tłumaczono w nich niesprawiedliwość tej interwencji i to, że Praska Wiosna nie była skierowana przeciw socjalizmowi. Używano nawet gołębi pocztowych, którym do nóżek przyczepiano ulotki. Drukowano ulotki adresowane do żołnierzy, pisane po rosyjsku, bułgarsku, węgiersku i polsku. Nadawano dla żołnierzy wojsk okupacyjnych audycje radiowe, dyskutowano z nimi, na murach umieszczano ogromną liczbę napisów. Ulice wszystkich miast i wiosek Czech i Słowacji „krzyczały" napisami skierowanymi przeciw interwentom w ich językach, nie tylko po czesku i słowacku. Napisy przeznaczone dla Polaków głosiły, że to hańba, powrót do tego, co było w 1938 r., do Zaolzia, a także: Polacy, a co na to papież? Czesi i Słowacy, którzy przebywali w Polsce, starali się informować Polaków, czynili to zarówno pracownicy ambasady, jak i zatrudnieni u nas robotnicy.

G.M. – Szczególnie utkwił mi w pamięci pewien przypadek. Otóż w jednym z polskich ośrodków akademickich studenci z Czechosłowacji wprost domagali się zwołania wiecu, podczas którego mogliby przedstawić racje swojego kraju.

P.P. – Bierny opór jest specyfiką czeskiego społeczeństwa. Przybierał on bardzo rożne formy. Pojawiło się mnóstwo kawałów ośmieszających przywódców państw biorących udział w interwencji. Wyśmiewały ich kabarety, występujące w piwiarniach. W menu gospód figurował np. móżdżek Breżniewa. To wszystko miało podnieść na duchu społeczeństwo, które zdawało sobie sprawę z tego, że czynny opór skończyłby się ogromną liczbą ofiar. Trwano w przekonaniu, że prawda kiedyś zwycięży – z tymi słowami szedł na stos Jan Hus: *pravda vitězí*. Opór był powszechny. W meldunkach wojskowych wciąż jest mowa o tym, że żołnierze polscy są witani gwizdami, inwektywami. Tak samo byli traktowani turyści. Zatrudnionych w Czechosłowacji Polaków szykanowano, zwalniano z pracy, obrzucano wyzwiskami.

G.M. – Oskarżano ich o zdradę – wczoraj bracia, a dziś okupanci. Chyba najczęściej padającym epitetem były słowa „polskie świnie".

B.P. – ***Wygląda na to, że nasza zdrada bardzo ich zabolała, a przecież nasze wzajemne stosunki nie należały do najlepszych.***

Ł.K. – Przede wszystkim Czesi (w mniejszej mierze Słowacy) byli rusofilami. To był jeden z nielicznych narodów słowiańskich, który przez cały XIX i pierwszą połowę XX w. był rusofilski. Dla nich interwencja była ogromnym szokiem – traktowali Rosjan jako swoich przyjaciół, bo w XIX w. wszelkie nadzieje na odzyskanie własnej państwowości pokładali w Rosji. Później mit Monachium głosił, że Związek Sowiecki jako jedyny nie chciał się przyłączyć do dokonanego w 1938 r. rozbioru Czechosłowacji.

P.P. – To zbytnie uproszczenie. Na Słowacji ten mit przyjaznej Rosji prysł w 1945 r., kiedy wkroczyła Armia Czerwona i potraktowała ją jako kraj, który był sojusznikiem Niemiec. Zaskoczenie społeczeństwa czeskiego wynikało natomiast z przekonania, że przecież oni nie występują przeciw socjalizmowi, chcą go zaled-

wie nieco zmodyfikować, dostosować do teraźniejszości. Nie spodziewali się agresji wojskowej.

Ł.K. – Istotna jest zamiana rusofilstwa na rusofobię. Po 1968 r. w Czechach i na Słowacji całkowicie wygasły wszelkie sympatie do Związku Sowieckiego i Rosjan. Z Polakami stosunki nie były najlepsze począwszy od 1918 r. Do 1958 r. nie uregulowano sprawy granicy między Polską a Czechosłowacją i to napięcie było bardzo istotne. Wystarczy wspomnieć czerwiec 1945 r., kiedy niemalże doszło do konfliktu zbrojnego, próby uzyskania przez Czechosłowację części Kotliny Kłodzkiej i powiatu raciborskiego. Rosjan zaś idealizowano, uznając za obrońców Słowiańszczyzny, obrońców Czech.

B.P. – ***W rewanżu nie dostaliśmy zbyt wielkiego poparcia w okresie »Solidarności«, niemniej nasze poparcie dla ich aksamitnej rewolucji było spontaniczne i szczere.***

Ł.K. – W okresie „Solidarności" bardzo skuteczna była propaganda KPCz, według której „my musimy na tych leni Polaków płacić; oni strajkują, a my musimy pracować". Taki stosunek do nas był przede wszystkim efektem udziału Polski w interwencji. Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce zdarzyło się dosłownie kilka przypadków pojawienia się solidaryzujących się z Polakami ulotek czy napisów na murach, co było kroplą w morzu w porównaniu z zasięgiem protestu Polaków po interwencji w Czechosłowacji. Ten uraz istniał i nałożył się na sprawę Zaolzia. Być może w całym XX w. nie było bardziej hańbiącego nas – z czeskiego punktu widzenia – zdarzenia niż udział polskiego wojska w tej interwencji.

B.P. – ***Przejdźmy do przedstawienia reakcji Polaków na interwencję.***

Ł.K. – Wspomniałem, że 21 sierpnia jest przełomową datą. Pojawiła się wówczas zaskakująca fala oporu przeciw interwencji w Czechosłowacji. W sprawozdaniach Służby Bezpieczeństwa za rok 1968 ze wszystkich województw podkreśla się, że były dwa trudne momenty: marzec i sierpień. Sierpień zwłaszcza tam, gdzie nie było dużych ośrodków akademickich. Do października w skali kraju zanotowało kilkaset rozmaitych ulotek, powielanych w różnych nakładach, od pojedynczych do kilku tysięcy sztuk, zawierających protesty przeciw interwencji, odnotowano pojawienie się rozlicznych napisów na murach. Były przypadki wrzucania petard do Komitetów Powiatowych PZPR.

Ł.K. – To było szokujące dlatego, że po Marcu 1968 r. spacyfikowano wszystkie środowiska opozycyjne.

G.M. – Ulotki i napisy pojawiły się nie tylko w Warszawie i dużych miastach, ale też w małych miejscowościach. Protesty przeciw interwencji i formy poparcia dla Czechów i Słowaków były bardzo liczne. Dla mnie szokujące były zachowania zwykłych, prostych ludzi, znacznie odważniejszych od tzw. elit. W raportach MSW wymieniono wiele osób, które kolportowały ulotki z Czechosłowacji czy werbalnie wyrażały protest przeciw interwencji i poparcie dla naszych południowych

sąsiadów. Każdy przypadek takiej aktywności, wykryty przez MSW, łączył się z natychmiastowymi represjami.

Ł.K. – Kilkadziesiąt osób aresztowano za redagowanie ulotek, wyrażanie poparcia na zebraniach partyjnych, pisanie haseł na murach. W większości miały one procesy i były skazane na kilka lat pozbawienia wolności. Wyodrębniłbym jednak postawę elit intelektualnych, spacyfikowanych w Marcu 1968 r. Najlepiej znanym przykładem jest pięciu członków PZPR z Instytutu Historii PAN, którzy wystąpili z partii na znak protestu. Byli to: Lucjan Dobroszycki, Bronisław Geremek, Krystyna Kersten, Tadeusz Łepkowski, Krystyna Zienkowska.

G.M. – Podobnie zachowali się pracownicy innych wydziałów PAN, Uniwersytetu Warszawskiego czy „czerwonego" SGPiS (dziś SGH). Z partii odchodzili też niektórzy dziennikarze, np. Barbara Kudrewicz z „Gazety Krakowskiej".

Ł.K. – Otwarte protesty na znak solidarności wystosowali: Jerzy Andrzejewski do prezesa Związku Literatów Czechosłowacji Eduarda Goldstucera, Zygmunt Mycielski do Związku Kompozytorów i Sławomir Mrożek – list otwarty opublikowany podczas jego pobytu we Francji w tamtejszej prasie.

G.M. – Warto wspomnieć o inicjatywie pisarza Witolda Dąbrowskiego, który wpadł na pomysł kolportowania listu protestacyjnego literatów. Do jego realizacji jednak nie doszło, gdyż wyperswadował mu to Wiktor Woroszylski, związany później z opozycją, tłumacząc, że byłaby to gotowa lista osób do aresztowania. Głosy protestu zdarzały się również w środowisku byłych funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Jozef Kratko i Henryk Piasecki (z byłej kadry dyrektorskiej MBP) uznali wkroczenie do CSRS za „wielką grandę i ordynarną agresję". Interwencję krytykowali emerytowani wojskowi, np. gen. Wacław Komar. Na początku września w związku z krytyką inwazji zwolniono z pracy wiceprokuratora Prokuratury Wojewódzkiej w Szczecinie Eliasza Andermana, który nazwał ją okupacją i gwałtem wynikającym z „imperialistycznej taktyki ZSRR i Polski jako satelity".

Ł.K. – Protestowali również tzw. przekonani komuniści. Do KC PZPR napłynęło od nich sporo listów z opinią, że interwencja jest sprzeczna z ideą internacjonalizmu.

G.M. – Protesty odnotowano także w środowisku mniejszości greckiej. Grecy nie ograniczali się do swego środowiska, próbowali oddziaływać na Polaków za pomocą ulotek i pism „szkalujących" PZPR i KPZS.

Ł.K. – Protesty w Polsce trwały mniej więcej do października, chociaż później wciąż na niewielką skalę pojawiały się ulotki w obronie Czechosłowacji, nawet do 1970 r. W rocznicę agresji w 1969 r. w wielu miastach rozpowszechniano ulotki przypominające o interwencji w Czechosłowacji. Grudzień 1970 r. i własne doświadczenia przytłumiły polską pamięć o Praskiej Wiośnie. W styczniu 1970 r. na kilku uczelniach chwilą ciszy uczczono pamięć Jana Palacha, pierwszego Czecha, który podpalił się na znak protestu przeciw interwencji.

G.M. – Pierwsze wyrazy poparcia dla Czechów i Słowaków pojawiły się już w dniu interwencji.

G.M. – O skali polskich protestów świadczy to, że do końca sierpnia SB zebrała ponad dwa tysiące ulotek i odnotowała niespełna dziewięćdziesiąt „wrogich" napisów. Największa akcja ulotkowa odbyła się 24 i 25 sierpnia. Zdarzały się też takie przypadki jak w Koźlu, gdzie nieznana osoba (osoby) podłączyła się do miejscowego radiowęzła i przez blisko godzinę retransmitowała audycje RWE i nielegalnej radiostacji z CSRS.

Ł.K. – W Kotlinie Kłodzkiej, przez którą jechały wojska, na trasie ich przejazdu pojawiły się napisy „hańba"...

G.M. – Z powodu kolportażu ulotek zatrzymano i represjonowano przynajmniej kilkanaście osób, m.in. w warszawskim Centralnym Domu Towarowym aresztowano dwóch studentów, Andrzeja Jałoszyńskiego i Witolda Zalewskiego.

B.P. – ***Można postawić pytanie, dlaczego wygasł opór w Czechosłowacji, skoro był tak silny do 1969 r. Przede wszystkim nie miał perspektywy – społeczeństwo Czechosłowacji nie było w stanie cofnąć interwencji.***

G.M. – Pojawiły się głosy, że te same siły, które okupują Czechosłowację, pacyfikowały robotników Poznania, dławiły rewolucję na Węgrzech. Polacy po raz kolejny obawiali się możliwości wybuchu konfliktu ogólnoświatowego. Jak wynika z materiałów MSW, masowo wykupywano żywność, wycofywano wkłady z PKO. Porozumienie, do którego później doszło, zostało przyjęte z ulgą, że nie będzie wojny.

B.P. – ***Powiedzmy coś o tym porozumieniu.***

Ł.K. – Czołowi przywódcy Praskiej Wiosny zostali uwięzieni przez jednostki specjalne Armii Sowieckiej i porwani do Moskwy, gdzie toczyły się tzw. negocjacje, czyli negocjacje z pozycji siły. Jedni byli *de facto* więźniami, drudzy decydowali nie tylko o ich losach, ale i o losach całego narodu. Dubček i inni członkowie kierownictwa zdecydowali o zawarciu tzw. porozumienia moskiewskiego, w którego wyniku Sowieci zgodzili się na to, by Dubček, Ludvik Svoboda i inne osoby pozostały nadal na swoich stanowiskach, ale pod warunkiem że będą działać na rzecz unormowania sytuacji w Czechosłowacji. To porozumienie zostało bardzo źle odebrane, jako zdrada ideałów Praskiej Wiosny i oporu społecznego. Trzeba pamiętać, że przez długi czas nie było wiadomo, co stało się z przywódcami Praskiej Wiosny. Porwano ich do Moskwy i przez kilka dni ich los pozostawał nieznany. Wreszcie ogłoszono, że trwają negocjacje. Po podpisaniu porozumienia Dubček i jego towarzysze powrócili do Pragi. Kilka dni po interwencji odbył się XIV Zjazd Komunistycznej Partii Czechosłowacji; wzięli w nim udział legalnie wybrani delegaci, którzy bardzo ostro potępili interwencję. Zjazd przygotowano wcześniej, niezależnie od interwencji. Powracający przywódcy natrafili więc na bardzo trudną sytuację, a ich zadaniem było spacyfikowanie nastrojów społecznych – oporu i napięcia.

B.P. — ***Może wybiegając nieco w przyszłość powiedzmy, jak to się skończyło.***

Ł.K. — Dubčekowi to się nie udało, choć opór samoistnie stopniowo zamierał. Najsilniejszy był w sierpniu i wrześniu. Odżył 16 stycznia 1969 r., kiedy na Vaclavské Náměstí, pod pomnikiem św. Wacława, czyli w miejscu o szczególnie symbolicznym znaczeniu dla Czechów, na znak protestu przeciw interwencji wojsk UW w Czechosłowacji — również w tym celu, żeby obudzić społeczeństwo i skłonić do oporu — podpalił się Jan Palach. Jego pogrzeb zgromadził pół miliona ludzi. Kilka osób poszło w ślady Palacha i w ten sam sposób popełniło samobójstwa. Kolejne niepokoje miały miejsce w marcu 1969 r., po zwycięskim meczu w finale mistrzostw świata, kiedy reprezentacja Czechosłowacji pokonała w hokeju reprezentację Związku Sowieckiego. W tym przypadku oczywiście nie chodziło o sport, lecz o symbol. Doszło do masowych demonstracji w całym kraju, być może w wyniku prowokacji zaatakowano rożne obiekty sowieckie, m.in. biura Aerofłotu. Wtedy nastąpiły kolejne wydarzenia. W kwietniu 1969 r. Dubčeka zastąpił Gustav Husak i rozpoczął się okres tzw. normalizacji, czyli próby uspokojenia nastrojów i wycofania się z reform. Przywrócono cenzurę, rozpoczęto czystki w partii i innych środowiskach. Ostatni masowy akt oporu nastąpił 21 sierpnia 1969 r. — demonstrowano w całym kraju, znowu były dziesiątki rannych i kilka ofiar śmiertelnych. Te protesty zostały brutalnie stłumione, już nie tylko przez Armię Sowiecką, która pozostała jako jedyna siła okupacyjna w Czechosłowacji, ale także przez jednostki Ludowej Milicji. To był prawdziwy koniec Praskiej Wiosny. Husak, nowe kierownictwo KPCz, ściśle związane z Moskwą, do połowy 1970 r. praktycznie opanowało sytuację w Czechosłowacji.

Interwencja 21 sierpnia sprawiła, że wydarzenia w Czechosłowacji stały się prawdziwym kryzysem systemowym. Praska Wiosna przestała być próbą reformy podejmowaną przez elity, większość społeczeństwa stanęła bowiem w obronie dotychczasowych zdobyczy. W momencie interwencji wydarzenia te nabrały cech klasycznego kryzysu systemu komunistycznego, znanego z Polski i Węgier czy NRD w 1953 r. Stłumienie oporu trwało przynajmniej półtora roku. Skala represji stosowanych przy tłumieniu Praskiej Wiosny była nieporównywalnie większa od tych, jakich doświadczyła Polska — może z wyjątkiem lat czterdziestych — również podczas stanu wojennego.

G.M. — Dodajmy, że represje były mniejsze niż na Węgrzech w 1956 r.

Ł.K. — Oczywiście — nie było wyroków śmierci, ale jeśli chodzi o czystki, to ta była największa w dziejach państw bloku socjalistycznego, poza samym Związkiem Sowieckim. Najwybitniejszych profesorów — neurochirurgów, socjologów, psychologów itd. — w najlepszym przypadku kierowano na stanowiska palaczy centralnego ogrzewania, a większość z nich w ogóle nie miała żadnej pracy.

G.M. — Bardzo ważna była postawa Zachodu, która ograniczyła się do tego, że zaprotestowano werbalnie. Nie zamierzano podjąć żadnych działań, ponieważ przyjęto, że wydarzenia te mają miejsce w sowieckiej strefie wpływów.

Ł.K. – Protestowały społeczeństwa, a nie rządy. Taki sygnał był bardzo czytelny. Ekipa Husaka w początku lat siedemdziesiątych zawarła ze społeczeństwem swoisty kontrakt, niepisaną umowę społeczną: wy nie będziecie stawiać oporu, skończy się ta cała konspiracja (bo oczywiście jeszcze w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych były rozmaite organizacje konspiracyjne, głownie młodzieżowe), a my w zamian za to zajmiemy się poprawą waszej sytuacji materialnej. Rzeczywiście, z pomocą Związku Sowieckiego oraz za sprawą rzeczywistych reform ekonomicznych standard życia w Czechosłowacji podniósł się znacząco. Opór zamarł aż do jesieni 1977 r., czyli do momentu aresztowania i procesu legendarnej grupy rockowej *Plastic People of the Universe*. Powstała Karta 77. Warto zwrócić uwagę, że pod Kartą 77 pierwotnie podpisało się kilkaset osób, a do czasu upadku systemu komunistycznego niewiele ponad tysiąc osiemset.

B.P. – ***Ten gigantyczny opór całego społeczeństwa z końca lat sześćdziesiątych skurczył się do garstki osób.***

Ł.K. – Obie strony: władze i społeczeństwo dotrzymały słowa w kontrakcie społecznym. Czechosłowacja była praktycznie ostatnim krajem bloku wschodniego, który sprzeciwił się systemowi komunistycznemu – 17 listopada 1989 r., tj. dziewięć miesięcy po okrągłym stole i cztery miesiące po powstaniu niekomunistycznego rządu w Polsce, dziesięć miesięcy po podjęciu rozmów okrągłego stołu na Węgrzech, dwa miesiące po rozpoczęciu masowych demonstracji w NRD, dwa tygodnie po upadku muru berlińskiego. Czesi i Słowacy chcieli mieć pewność, że rzeczywiście ten system upada. Byli tak głęboko doświadczeni interwencją 1968 r., że nie chcieli ryzykować drugi raz.

G.M. – Kwestia złych doświadczeń czy kontroli nad społeczeństwem była inną sprawą, a warunki życia inną.

P.P. – Rzadko zwraca się uwagę na to, że po 1968 r. bardzo łatwo było wyemigrować z Czechosłowacji. Myślę, że miało to duże znaczenie. Każdy, kto był niespolegliwy wobec systemu, w tym okresie dostawał propozycję – jeżeli ci się tu nie podoba, wyjeżdżaj. Do lat siedemdziesiątych wyjechało około dwustu tysięcy osób.

G.M. – Powstało nowe zjawisko, pojawiła się masowa emigracja polityczna z Czechosłowacji.

P.P. – Dla władz było lepiej, gdy niezadowoleni byli poza Czechosłowacją niż w kraju.

B.P. – ***Warto wspomnieć o postawie Kościoła katolickiego i środowisk katolickich w Polsce na wieść o interwencji.***

G.M. – Kościół nie zajął oficjalnego stanowiska. Znana jest wypowiedź prymasa Stefana Wyszyńskiego dotycząca Gomułki, w której stwierdza on, że nie należy kopać leżącego. Inaczej reagowali biskupi niż tzw. szeregowi księża. „Szeregowy kler" był znacznie bardziej podatny na sugestie o rzekomym zagrożeniu niemieckim. Utkwiła mi w pamięci wypowiedź bp. Franciszka Musiela, sufragana diecezji

częstochowskiej. Powiedział on m.in.: „Strach bierze, co się stanie z wolnością małych narodów, gdy człowiek bezbożny zacznie urządzać życie po swojemu, gdy pogwałcać będzie Kartę Praw Człowieka. Pojęcie wolności u bezbożników to wolność tylko dla tych, którzy są z nimi – innym będą gruchotać kości i strzelać do nich z karabinów maszynowych".

Ł.K. – Niewątpliwie największym przyjacielem Praskiej Wiosny, człowiekiem, który jeszcze przed 21 sierpnia nie wahał się mówić w swoich kazaniach, że wieje dobry wiatr z południa, był abp wrocławski Bolesław Kominek, który dobrze rozumiał wydarzenia, wiedział, co się dzieje w Czechosłowacji, i bardzo temu sprzyjał. Kościół polski na miarę swoich możliwości starał się pomagać czechosłowackiemu Kościołowi podziemnemu, chociażby przyjmując stamtąd do seminariów duchownych kleryków, którzy mogli zdobywać wykształcenie teologiczne, a także ukrywając zakonników. W 1950 r. w Czechosłowacji skasowano zakony, część zakonników, którzy się z tym nie pogodzili, przebywała w Polsce, w bratnich zakonach. Część hierarchii kościelnej jeszcze przed Praską Wiosną była związana ze sprawami czeskimi. Postawa kard. Stefana Wyszyńskiego niestety jest niejednoznaczna...

B.P. – ***...ale on był dezinformowany przez władze...***

Ł.K. – ...właśnie do tego zmierzam. Od początku bardzo mocno interwencję w Czechosłowacji przeżyło środowisko „Znaku", które miało być pośrednikiem między państwem a Kościołem. Starało się więc trzymać pewnych wartości katolickich, a równocześnie angażowało się, chociażby przez swoją obecność w Sejmie, w życie polityczne. Po interwencji w Czechosłowacji środowisko to opracowało trzy propozycje: list protestacyjny, niestartowanie w następnych wyborach i wystąpienie z Sejmu. Całe pięcioosobowe Koło Poselskie „Znak" – łącznie z posłem Januszem Zabłockim, który potem okazał się oportunistą – poparło pomysł, żeby na znak protestu demonstracyjnie złożyć mandaty. Po Marcu 1968 r. to byłaby gigantyczna manifestacja, której nie dałoby się ukryć, naprawdę byłby to wielki akt odwagi. Ci ludzie byli zdecydowani, żeby tak postąpić. Dwukrotnie spotkał się z nimi kard. Wyszyński i wyperswadował im to, gdyż prawdopodobnie był fałszywie informowany przez władze. Sądził, że Gomułka musiał wziąć (co jest całkowicie niezgodne z rzeczywistością) udział w interwencji, ponieważ w przypadku odmowy Polsce też groziła okupacja sowiecka. Wyszyński uważał, że dla dobra narodu należy powstrzymać się od protestów. Uznał, że Gomułka podjął trudną decyzję, ale jednak dla dobra narodu polskiego. Taki obraz sytuacji oczywiście podsunęły mu władze, a on zdołał nakłonić posłów „Znaku", żeby nie wycofali się z Sejmu.

B.P. – ***Jak twierdzi Jan Żaryn w swej ostatniej książce – »Dzieje Kościoła Katolickiego w Polsce 1944–1989« – spotkania z grupą posłów »Znaku« miały nieco inny przebieg i sens. Prymas, rozumując w kategoriach interesu narodowego, uważał, że operacja w Czechosłowacji osłabiała komunistów i ekipę Gomułki, niszcząc jednak przy okazji wi-***

zerunek Polaka – obrońcy, a nie agresora. A zatem, zdaniem Kardynała, trzeba było wykorzystać ten moment i żądać od władz większego dostępu katolików do dóbr kultury czy osłabienia cenzury. Demonstracyjne wyjście posłów mogłoby tutaj wiele zepsuć.

G.M. – Trzeba uwzględnić to, że Kościół nie był zainteresowany zaognianiem sytuacji, działał bowiem na rzecz spokoju społecznego. Kierował się wprawdzie nie tylko interesem społecznym, ale również swoim własnym. W Kościele obawiano się represji ze strony władz, włącznie z nasileniem wcielania kleryków do wojska. W związku z wspomnianą inicjatywą wycofania się posłów „Znaku" z Sejmu bliscy współpracownicy Janusza Zabłockiego wezwali go do powrotu z urlopu w celu „stonowania" innych posłów tego koła.

B.P. – ***Jaki ślad zostawiła Praska Wiosna, a przede wszystkim interwencja państw Układu Warszawskiego, w elitarnych co prawda, ale istniejących już opozycyjnych kręgach rosyjskich?***

Ł.K. – Najbardziej znanym przykładem jest kilkuosobowa demonstracja na placu Czerwonym w Moskwie. Natalia Gorbaniewska (z dzieckiem w wózku) i sześć innych osób rozwinęli transparent ze słowami protestu przeciw interwencji w Czechosłowacji.

B.P. – ***To jest pierwszy taki przypadek, kiedy Sowieci zostali poruszeni tym, co się dzieje w bloku.***

Ł.K. – Przeżyłem niezwykły moment, gdy przeglądałem materiały Służby Bezpieczeństwa, a wśród nich raport z kontroli korespondencji z 1968 r. Znalazłem w nim wzruszający, jednozdaniowy fragment listu żony pewnego wrocławskiego profesora, który w sierpniu 1968 r. przebywał na stypendium w Moskwie. Jego żona napisała list do swojej przyjaciółki, wkrótce po powrocie, we wrześniu 1968 r. Była świadkiem tej kilkuosobowej demonstracji i napisała, że serce pękało jej z bólu, iż nie mogła się do niej przyłączyć. Było to jedno z najbardziej wzruszających świadectw solidarności, która przenikała granice wewnątrz bloku, solidarności zwykłych ludzi. Gdyby ta kobieta wykonała gest solidarności na tym placu, zniszczyłaby karierę swojego męża, życie jego i swoje. Przeżywała ogromny ból i wstyd. Taki właśnie wstyd rzutował na późniejszą działalność opozycyjną w Polsce, poczucie hańby i odpowiedzialności, mimo że ludzie nie mieli na to wpływu.

G.M. – Nie znamy natomiast żadnego przypadku zorganizowania manifestacji w Polsce, mimo że były one zapowiadane w kolportowanych w kraju ulotkach.

Ł.K. – Ograniczyło się to do manifestacyjnego składania kwiatów przy ośrodku kultury czechosłowackiej...

G.M. – ...i przed ambasadą. Wysyłano telegramy i listy bezpośrednio do ambasady CSRS lub za pośrednictwem ambasad krajów zachodnich. Niestety, prawdopodobnie jedynie niewielka ich część trafiała do adresatów, pozostałe przechwytywało MSW, stosując perlustrację korespondencji.

B.P. — ***Jednak — na szczęście — okazało się, że możemy być ze sobą solidarni, pomocni, co więcej, nawet inspirować się nawzajem...***

Ł.K. — Myślę, że postawa wspomnianej żony profesora była dla Polaków symboliczna. Cierpieli i bolała ich własna bezsilność. Nieliczni decydowali się na redagowanie ulotek czy pisanie na murach. Cień Praskiej Wiosny pozostał na długo. W 1978 r. nawiązano stosunki między Kartą 77 a Komitetem Obrony Robotników, wydano wspólne oświadczenie w dziesiątą rocznicę interwencji. W grudniu 1981 r., w dużo trudniejszej sytuacji niż w Polsce w 1968 r., pojawiły się w Czechosłowacji ulotki w obronie „Solidarności". W 1983 czy 1984 r. ponownie nawiązano te kontakty, zerwane przez stan wojenny. A jeszcze wcześniej, w 1979 r., odbyła się głodówka w obronie uwięzionych sygnatariuszy Karty 77. W 1987 r. ogłoszono głodówkę w obronie uwięzionego dysydenta Petra Pospichala. W 1987 r. powstała Solidarność Polsko-Czechosłowacka.

G.M. — Nawiązanie takich kontaktów nie było łatwe. Bezpieka polska i czechosłowacka czuwały. Czasem pomagał przypadek. Przykładowo w latach osiemdziesiątych do Zbigniewa Janasa zgłosił się nieoczekiwanie jakiś człowiek z Czechosłowacji...

Ł.K. — ...to był Rudolf Vévoda. W 1983 r. był studentem, uzyskał kilkutygodniowe stypendium w Polsce. Przygotowywał się do wyjazdu razem z Pospichalem, który miał zachodni przedruk *Konspiry* z zamieszczonymi listami gończymi za rożnymi ludźmi w Polsce w czasie stanu wojennego. W kalendarzyku zapisał szyfrem adresy, a ponieważ pojechał do Warszawy, zgłosił się do Janasa i powiedział, że jest studentem, przywozi pozdrowienia od opozycji czechosłowackiej, której przedstawiciele siedzieli wtedy w więzieniach, i że jest zainteresowany nawiązaniem ponownego kontaktu.

Rozmowę tę prowadziliśmy w pobliżu Śnieżki, a tutaj właśnie w 1978 r. po raz pierwszy spotkał się Kuroń z Vaclavem Havlem. Tu odbyło się pierwsze spotkanie opozycji polskiej i czechosłowackiej, nawiązano kontakty, co doprowadziło w 1987 r. do powstania Solidarności Polsko-Czechosłowackiej (potem Polsko-Czesko-Słowackiej) i kolejnych spotkań na granicy. Grzbietem Karkonoszy prowadzi szlak przyjaźni polsko-czechosłowackiej. Postanowiono go wykorzystać. Opozycjonistom jednej i drugiej strony udawało się zmylić czujność Służby Bezpieczeństwa. Spotkali się w lesie, w umówionym miejscu. Oczywiście miało to znaczenie symboliczne, bo tam się nic specjalnego nie działo, przyjmowano oświadczenia i cieszono się wzajemnie ze swojej obecności. Myślę, że dla Polaków to była forma ekspiacji za sierpień 1968 r. W Polsce drukowano i przemycano ulotki i książki w języku czeskim, przemycano powielacze, uczono Czechów i Słowaków, jak drukować na sicie. Ogromne znaczenie miała wizyta posłów polskiego Sejmu w sierpniu 1989 r. w socjalistycznej jeszcze przecież Czechosłowacji. Tam pojechał Adam Michnik i Zbigniew Janas. Mieli paszporty dyplomatyczne i okazało się, że

Czechosłowacja je honorowała, co było ogromnym szokiem. Poszli do Havla i powiedzieli mu – słuchaj, Waszek, to już jest koniec, komuna upada. W tym czasie w Czechosłowacji był szczyt represji, wielu ludzi siedziało w więzieniach, była cisza, ukazywało się tylko parę periodyków podziemnych. Ostatni akt, symbolicznie łączący sąsiadów, to festiwal kultury czeskiej i słowackiej we Wrocławiu, na początku listopada 1989 r., zorganizowany wysiłkiem społecznym w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Zapowiedziano go tylko w Wolnej Europie. Czesi i Słowacy mogli przyjeżdżać do Polski na podstawie umowy o małym ruchu przygranicznym (jeśli zadeklarowali, że jadą np. tranzytem do NRD). Przyjechało wtedy kilka tysięcy młodych Czechów, studentów i bardzo niewielu opozycjonistów, również emigrantów – Karel Kryl, Jaroslav Hutka i inni. Dla emigracji po 1968 r. były to symboliczne postaci. Słuchano pieśni, słynnego songu *Bratiszku* Kryla. Czesi zobaczyli, że w Polsce wszystko się zmieniło, jest wolność. Wrócili do Pragi, a dwa tygodnie później zaczęła się aksamitna rewolucja. Oni są zgodni co do tego, że te dwa wydarzenia są w ścisłym związku. Polska opozycja zdołała zmazać hańbę 1968 r. w ten sposób, że stała się przekaźnikiem wolności.

G.M. – Wydarzenia z początku 1968 r. w Czechosłowacji były pewną inspiracją dla polskiego Marca, a z kolei inspiracją – przynajmniej w pewnym stopniu – dla Czechów i Słowaków był list otwarty Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, kolportowany w czasie Praskiej Wiosny.

B.P. – ***Nie wspomnieliśmy jeszcze jednego, najbardziej dramatycznego przykładu poruszonego sumienia po interwencji...***

Ł.K. – Nawet gdyby nie było setek ulotek, zaangażowania kilku tysięcy osób (pamiętajmy, że było to kilka miesięcy po Marcu, kiedy nastroje zostały spacyfikowane), to Ryszard Siwiec uratował honor Polski. Przypomnijmy tę postać – żołnierz Armii Krajowej, zwykły urzędnik, ojciec pięciorga dzieci. Po interwencji w Czechosłowacji uznał, że nie może zostać obojętny. Nie był to żaden szaleniec, jak usiłowały go przedstawiać władze. Normalny człowiek, który podjął świadomą decyzję, sprzeczną z jego katolickim światopoglądem – popełnił samobójstwo przez samospalenie, do której bardzo świadomie się przygotowywał. Sporządził ulotki, napisał testament-oświadczenie, poprosił dwóch kolegów, żeby przekazali je na Zachód, a oni się jednak przestraszyli. Zebrał środki, przyjechał do Warszawy, wybrał moment symboliczny – 8 września, centralne dożynki, 100 tys. ludzi na stadionie w Warszawie, władze państwowe i partyjne. Kupił łatwopalne środki chemiczne, przygotował biało-czerwony sztandar z napisem „za wolność waszą i naszą", rozrzucił ulotki, w których zaprotestował przeciw udziałowi Polski w interwencji, oblał się płynem i podpalił. Wciąż krzyczał: protestuję, protestuję! Odpychał od siebie ludzi, którzy usiłowali go ugasić. Nawet wtedy, gdy spaliło się na nim ubranie. Trzy dni umierał w szpitalu. (Wiadomość o samospaleniu Siwca podała rozgłośnia RWE w kwietniu 1969 r., w 1981 r. pojawiła się na ten temat

broszurka, a w 1991 r. powstał film dokumentalny). Nawet gdyby nie było innych zachowań, można powiedzieć, że Ryszard Siwiec uratował honor Polaków. Nie miał żadnego przykładu, nie naśladował Jana Palacha. Był pierwszym człowiekiem, który na znak protestu przeciw interwencji poświęcił swoje życie.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 8–9 (31–32), sierpień–wrzesień 2003

O WAKACJACH, WYPOCZYNKU I CZASIE WOLNYM

Z Krzysztofem Kosińskim i Pawłem Sowińskim rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Władze PRL dążyły do tego, żeby ich nadzór, ingerencja i kontrola nad społeczeństwem obejmowały również czas wolny obywateli. To oczywiste w systemach totalitarnych. Jedną z możliwości takiej kontroli było »zabezpieczenie ludowi pracującemu« wypoczynku. Ustalmy, kiedy pojawiło się zjawisko zorganizowanego wypoczynku i czasu wolnego.***

P.S. — Oczywiście bardzo wiele zależy od tego, co uznamy za wypoczynek zorganizowany. W dawnych czasach wyjazdy bywały dużym przedsięwzięciem organizacyjnym. Jednak nas interesuje moment pojawienia się masowego wypoczynku zorganizowanego przez wyspecjalizowane organizacje turystyczne. Za Antonim Mączakiem można powiedzieć, że erę nowoczesnej turystyki zapoczątkował Thomas Cook, otwierając w Wielkiej Brytanii pierwsze na świecie biuro podróży. W 1841 r., idąc piechotą 24 km na zebranie lokalnego towarzystwa trzeźwości, wpadł na pomysł, aby zorganizować wycieczkę koleją dla kilkuset osób ze swojego rodzinnego miasta do odległego o 15 mil miasteczka Leicester. Tak narodziła się jedna z najpotężniejszych branży gospodarczych współczesnego świata.

W XIX w. pojawiła się większość podstawowych form wypoczynku, rozwijanych potem w wieku XX. Wraz z upowszechnianiem się w Europie pracy najemnej turystyka zaczęła obejmować coraz szersze kręgi społeczne. Klasowa struktura ówczesnego społeczeństwa sprzyjała wyłanianiu się odrębnych form wypoczynku dla poszczególnych grup społecznych, np. robotników. Czyniono takie próby w Austrii. Również niemiecka SPD organizowała podobne formy wypoczynku dla robotników. Zorganizowany wypoczynek jest więc znany od dosyć dawna. Najszybciej rozwijał się w państwach wysoko uprzemysłowionych i tam najszybciej wszedł do pakietu powszechnych praw socjalnych. Tak jest do dziś.

Istniał on jednak także w Polsce międzywojennej. Na przykład PPS organizowała wczasy dla robotników. Były też inicjatywy branżowe, poszczególne związki zawodowe, często związane z PPS, np. kolejarzy czy drukarzy, miały nawet własne ośrodki wypoczynkowe. Tworzono również rozmaite zorganizowane formy wypoczynku młodzieży. Od początku lat dwudziestych we Lwowie działało Polskie Biuro

Podróży „Orbis", proponujące bardzo szeroką ofertę usług turystycznych, skierowaną raczej dla zamożniejszej klienteli. Był to wypoczynek zorganizowany, jednak w zupełnie inny sposób niż w wersji komunistycznej.

K.K. – Spróbujmy uchwycić genezę zjawiska wolnego czasu, które jest historycznie nowe. Można je datować na koniec XIX w. Warto wskazać kilka tendencji, które zaczęły występować równocześnie. Pod koniec XIX w. nastąpił ogólny wzrost dobrobytu, obejmujący różne grupy społeczne. Niektórzy historycy nazywają to „rewolucją konsumencką". Na przełomie XIX i XX w. zaczął upowszechniać się ośmiogodzinny dzień pracy. Normą były wolne niedziele. Przywilejem robotników i innych „miejskich" grup zawodowych stawały się także coroczne urlopy. Reprezentanci wolnych zawodów zaczynali dysponować również wolnymi sobotami. Pojawiła się więc spora ilość wolnego czasu, którą próbowano jakoś wykorzystać. Upowszechniały się wynalazki techniczne, ułatwiające życie codzienne. Sprawiły m.in., że kobiety – na ogół pełniące funkcję gospodyń domowych – zaczęły dysponować pewną nadwyżką czasu, którą mogły przeznaczyć na rozrywkę czy życie towarzyskie. Te tendencje można zaobserwować szczególnie wyraźnie na przykładzie społeczeństwa amerykańskiego. Dość powiedzieć, że Amerykanie w 1919 r. wydali na rozrywkę (tzn. na różne atrakcje czasu wolnego) 2,5 mld, a w 1929 r. – 4,5 mld dolarów. W tamtych czasach były to zawrotne kwoty.

Przełom XIX i XX w. to czas narodzin kultury masowej: kina, literatury i prasy brukowej, radiowych „oper mydlanych", reklamy, masowych igrzysk sportowych. Był też czasem demokratyzacji społeczeństw – zaczynały rozpadać się tradycyjne, sztywne struktury społeczne. Demokratyzacja społeczeństw i upowszechnienie kultury masowej przyczyniły się do ujednolicenia gustów, zachowań, ubiorów milionów ludzi. Na przełomie XIX i XX w. specjalizacji ulegała przestrzeń miejska. Zaczęły się wyodrębniać dzielnice fabryczne, mieszkalne i służące rozrywce. Symbolicznym przykładem może tu być tzw. Karta Ateńska z 1930 r., w której wzywano urbanistów planujących przestrzeń miejską do wyodrębniania przestrzeni przeznaczonej na rozrywkę i wypoczynek w czasie wolnym.

B.P. – ***Niemniej czym innym jest zorganizowanie turystyki, przez np. wytyczenie szlaku i założenie towarzystw turystycznych, schronisk, sanatoriów, a czym innym jest pełny nad tym nadzór.***

P.S. – Tak, będziemy więc mówić o nowej formule zorganizowanego wypoczynku, która istniała wcześniej w państwach faszystowskich, a także w ZSRS. Cechował ją szczególnie bardzo duży udział państwa w organizowaniu społeczeństwu czasu wolnego. Być może ważniejszy był nie tyle udział państwa – był on znaczny także w zachodnich demokracjach, ewoluujących w kierunku państwa opiekuńczego – co jego totalitarna formuła. We Włoszech w latach trzydziestych, a nawet dwudziestych, istniały bardzo ciekawe formy tego nowego stylu wypoczynkowego, które potem pojawiały się w komunizmie. W nazistowskich Niemczech organizowano masowe

wakacje dla robotników na wyspie Rugia. Powstał tam wielki ośrodek wczasowy, mogący pomieścić około 50 tys. osób naraz. Tak duże imprezy turystyczne *de facto* organizowane przez państwo i połączone z agitacją polityczną nasuwają skojarzenia z koncepcją kolektywnego wypoczynku w komunizmie. Podobnie jak w komunizmie istniała też wymiana wczasowa pomiędzy „bratnimi krajami faszystowskimi".

W Polsce po 1945 r. pojawiły się te nowe komunistyczne formy, symbolizowane przez Fundusz Wczasów Pracowniczych, ale do 1949 r. nie były one wszechobecne. Lata 1945–1949 to bardzo specyficzny okres, ponieważ dominacja władzy nad wypoczynkiem nie tylko nie była pełna, ale powiedziałbym, że jej w ogóle nie było. FWP do 1947 r. dysponował siedmioma domami wczasowymi. Natomiast pozostałe sześćset tylko finansował, były one w rękach zupełnie innych organizacji, także niepaństwowych. Począwszy od 1945 r. władze komunistyczne mówiły o potrzebie nowego zorganizowania wypoczynku, ale ich naciski na początku nie były takie duże. Rosły jednak z każdym rokiem. W 1949 r. idea ta skrystalizowała się w postaci całkowitej centralizacji wypoczynku i podporządkowania czasu wolnego wypoczywających komunistycznym wzorcom obyczajowym oraz tego, co pani nazywa nadzorem nad wypoczynkiem.

B.P. — ***Ideologia marksistowska też miała na ten temat coś do powiedzenia.***

K.K. — Posłużmy się dla ułatwienia słynnym dramaturgicznym ujęciem amerykańskiego socjologa Ervinga Goffmana, który zakładał (upraszczając nieco), że życie człowieka składa się z występów publicznych (jak praca zawodowa, kontakty z instytucjami publicznymi, czynności „na pokaz") oraz z działań podejmowanych „po zejściu ze sceny", za kulisami. W idealnym państwie komunistycznym człowiek miał odgrywać kilka ról w ramach tego samego występu, w jednym teatrze, którego wyłącznym reżyserem była władza komunistyczna, stojąca na straży scenariusza (ideologicznego). Pytanie o czas wolny człowieka jest także, a może przede wszystkim, pytaniem o indywidualne zachowania jednostki. Marks i Engels np. we wspólnie napisanej rozprawie *Ideologia niemiecka* (w latach 1845–1846) stawiali głównie dwie tezy. Po pierwsze, komunistyczne społeczeństwo przyszłości będzie społeczeństwem kolektywistycznym, nastąpi dialektyczny powrót do gospodarki naturalnej, wspólnoty pierwotnej, wzbogaconych jednak przez samoświadomość uzyskiwaną w kolejnych etapach rozwoju dziejów. Po drugie — co jest istotniejsze z punktu widzenia naszej rozmowy — przewidywali, o czym pisali wprost, kres indywidualizmu: ludzie staną się identycznymi egzemplarzami gatunku, tzn. uwolnią się od tego, co ich różni, a pozostanie to, co ich łączy. Innymi słowy, złączy ich racjonalna jednomyślność.

B.P. — ***Co to miało znaczyć w praktyce?***

K.K. — Engels dopowiedział to w pochodzących z 1845 r. *Przemówieniach w Elberfeldzie*. Przepowiadał, że w tym komunistycznym społeczeństwie przyszłości

nie będzie konkurencji i rynku. To oczywiste. Nastąpi także budowa nowej administracji, która zajmie się organizacją już nie tylko poszczególnych segmentów życia, ale całego życia społecznego, czyli władza będzie odgrywała właśnie rolę reżysera, scenarzysty i dyrektora tego jedynego teatru życia społecznego. Także życie i obyczaje rodzinne staną się funkcją życia w kolektywie. Wreszcie – i to warto podkreślić – nastąpi likwidacja podziału życia społecznego na sferę publiczną i prywatną. Można to podsumować wnioskiem, że zgodnie z doktrynalnymi wyobrażeniami kolejne sfery aktywności człowieka, takie jak praca, samorozwój, rozrywka, prokreacja – miały być funkcją życia w kolektywie. W idealnym państwie komunistycznym nie przewidywano miejsca na życie prywatne czy na indywidualne formy spędzania wolnego czasu, które sprawiałyby, że jednostka funkcjonowałaby poza kolektywem. Takie zjawiska nie miały w ogóle zaistnieć. Myślę, że Orwell w *Roku 1984*, przejaskrawiając nieco obraz, dość dobrze wyczuwał intencje ideologów. Dlatego historia czasu wolnego w komunizmie to bardziej historia „wypoczynku zorganizowanego" niż... czasu wolnego.

B.P. — ***To była podstawa teoretyczna, która jednak zaczęła w pewnym momencie przekładać się na konkretne społeczne realia. Taką szczególną sytuacją jest wymuszenie przejścia na ustrój komunistyczny, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Na istniejące przyzwyczajenia i tradycje społeczne nakładały się inne normy zachowań i funkcjonowania. Państwo nie od razu przejęło monopol nad organizacją wypoczynku i czasu wolnego, bo okres tuż powojenny był czasem umacniania się, budowania władzy, eliminowania przeciwnika itd.***

P.S. – Komuniści próbując organizować wypoczynek masowy, stanęli przed trudnym zadaniem. Społeczeństwo polskie nie miało wielkich tradycji wypoczynkowych. Było społeczeństwem w znacznej mierze agrarnym, mało zurbanizowanym, o niewielkim odsetku ludzi wykształconych i – mówiąc najprościej – biednym. Aktywne wykorzystanie czasu wolnego, szczególnie gdy mówimy o turystyce wyjazdowej, możliwe jest tylko wtedy, gdy są na to pieniądze i wiedza. Pobudzenie do aktywności polskiego społeczeństwa w tej dziedzinie było zatem problemem i oczywiście musiało być procesem. Na początku komunizm nie przywiązywał zbyt dużej wagi do treści wychowawczych wypoczynku chociażby dlatego, że miał inne, ważniejsze problemy. Potem, wraz ze stalinizacją, nacisk na tworzenie zorganizowanych form wypoczynku był coraz większy. Nigdy jednak nie był aż tak wszechobecny, jak w przypadku kluczowych dla utrzymania władzy dziedzin życia. Sprawy masowej turystyki bardzo często w socjalizmie spychano na dalszy plan. Dla komunizmu wybudowanie drogi do miejscowości turystycznej zawsze miało mniejszy sens niż ułożenie kolei między hutą i kopalnią.

B.P. — ***Pojawiła się rzesza robotników. Ludzie pracowali bardzo ciężko, wykonywali normy. Bardzo trudne były warunki pracy i sytuacja***

mieszkaniowa. Myślę, że danie tym ludziom możliwości odpoczynku w zdrowym miejscu, za niewielkie pieniądze było rzeczywistym osiągnięciem systemu.

P.S. – Nie zawsze musiało być aż tak zdrowo z uwagi na rozwijający się przemysł. Prawdziwe koszty wypoczynku dość trudno ustalić z uwagi na nierynkowy charakter gospodarki komunistycznej. Mówiąc o wydatkach, nie można jednak pominąć subwencji państwowych, którymi objęto niemal wszystkie sfery produkcji i usług w Polsce, od żywności przez turnus wczasowy po mieszkanie. Jak zwykle w takich wypadkach wiele też zależy od tego, co przyjmiemy za punkt odniesienia. Niewątpliwie wiele osób wyjechało wtedy po raz pierwszy i mogło to odczuwać w kategoriach awansu w zestawieniu z sytuacją przedwojenną. Sprawa staje się bardziej skomplikowana, gdy zaczniemy o tym awansie myśleć w kategoriach ogólniejszych, sytuując go na tle przemian ogólnoświatowych. Na świecie wzrost mobilności turystycznej w latach pięćdziesiątych i później wiązał się z szerszym procesem podnoszenia stopy życiowej mas w modernizujących się społeczeństwach kapitalistycznych. Dość łatwo wykazać, że Polska komunistyczna znalazła się na marginesie tych przemian. Dla zobrazowania procesu podwyższania standardu życia społeczeństw zachodnich możemy posłużyć się modnym w socjologii terminem: efekt windy. Można powiedzieć, że w komunizmie ta winda pięła się w górę znacznie wolniej niż na Zachodzie, a w pewnym momencie po prostu się zacięła, pozostawiając polskie społeczeństwo między piętrami.

W Polsce wypoczynek, nawet po wojnie, był przede wszystkim domeną inteligencji, w małym stopniu robotników, a chłopów w zasadzie wcale. Tego nie udało się w komunizmie zasadniczo zmienić przez czterdzieści pięć lat. Oczywiście wyjazdy umasowiły się – powiedzmy – tak jak w XIX w. kolej żelazna. Dysproporcji dotyczących wypoczynku nie udało się przełamać do dziś. To dosyć naturalna tendencja związana z tym, że wypoczynek jest elementem kształtowania się nowoczesnego społeczeństwa miejskiego. Proces ten zaczął się w Europie Zachodniej i tam przybrał najbardziej charakterystyczne formy. W tym sensie komunizm był raczej biorcą, a nie dawcą. Oczywiście próbowano ten proces wpisać w scenariusz ideologiczny – podporządkować, przerobić. Nie udało się jednak osiągnąć takiego poziomu wyjazdów jak na Zachodzie czy nawet w Czechosłowacji i NRD, bo Polska tradycyjnie nie była krajem z kręgu kultury turystycznej. Gdy już udało się trochę tę kulturę zaszczepić, dalsze plany rozwoju zniweczył kryzys gospodarczy komunizmu, którego skutki odczuwamy do dziś. Kryzys ten dotknął – ośmielam się zauważyć – w znacznie większym stopniu robotników niż inteligencję, mimo wszystko lepiej przygotowaną do zagospodarowania własnego czasu wolnego. Najbardziej uzależnieni od idei zbiorowych i dotowanych wczasów robotnicy stracili najwięcej. Od drugiej połowy lat siedemdziesiątych udział robotników w letnim wypoczynku zmniejszał się znacznie szybciej niż w przypadku inteligencji. System poniósł

porażkę w bardzo czułym punkcie. Gdy po 1989 r. runął sztucznie podtrzymywany system wczasów pracowniczych, robotnicy nie pojechali na wczasy do Grecji czy Hiszpanii, tylko zostali w domach.

B.P. — ***Niemniej próby zagospodarowania chociażby nawet paru dni w życiu obywateli były skuteczne. Wraz ze zmianą ustroju i politycznych wytycznych pojawiły się nowe święta, inne zaś znikły. W scenariuszach obchodów poszczególnych świąt uwzględniano specyfikę społeczną, zróżnicowanie społeczne, podkreślając ich charakter ludowy, ale równocześnie skrupulatnie dbając o ich odsakralizowanie. Starano się także o masowy udział we wszelkiego rodzaju zlotach, festynach oraz o to, by w atmosferze święta i zabawy nie zagubiła się podbudowa ideologiczna. Wysiłek organizacyjny władzy był w tej dziedzinie ogromny.***

P.S. — Z pewnością ma pani rację. To, co powiedziałem wcześniej, było analizą na najbardziej ogólnym poziomie. Chciałem wykazać, w jakich warunkach komunizm funkcjonował.

Podstawową ideą komunistycznego wypoczywania było to, że czas wolny ma należeć do państwa, a nie obywatela. To państwo miało decydować o tym, kto będzie wypoczywał, a kto nie, gdzie będzie wypoczywał, a gdzie nie, co podczas tego wypoczynku będzie robił, a czego nie, jakie zabytki będzie zwiedzał, a jakich nie itd. Tę ideę najgorliwiej realizowano w okresie stalinowskim, kiedy rzeczywiście wczasy miały być modelowym laboratorium społeczeństwa komunistycznego. Tam chłop miał poznawać robotnika, Kaszub — górala, w ośrodkowej świetlicy wszyscy mieli czytać prasę polityczną, grać w szachy, a nie w brydża, spotykać się z literatem, śpiewać pieśni rewolucyjne albo uczyć się życiorysów Stalina czy Bieruta.

B.P. — ***W jakim stopniu udawało się realizować ten scenariusz?***

P.S. — Bywało różnie. Bardzo często sami organizatorzy ulegali atmosferze wypoczynku. Poza tym często brakowało pomieszczeń, żeby te prace prowadzić. Zapleczem do wypoczynku były w większości poniemieckie wille i pensjonaty, w których nie było porządnej świetlicy i dużej stołówki, która była jednym z centrów kolektywnego życia. Jeśli jej nie było, to trzeba było ją zbudować, ale to zabierało sporo czasu. Do tego dochodziły problemy natury przestrzennej — w przypadku schronisk górskich i różnych izolowanych ośrodków kłopotem było dostarczenie żywności, co dopiero mówić o prelegencie. Niemniej jednak w pierwszym okresie ten scenariusz starano się realizować z największą gorliwością.

B.P. — ***W jaki sposób poznawali się robotnicy z chłopami, skoro ci ostatni na wczasach nie bywali?***

P.S. — Wczasy były dobrym miejscem do zrealizowania komunistycznej koncepcji o szerszym zasięgu łączenia miasta z wsią, bratania się klas, kontaktu między nimi. W ciągu czternastu dni można było zebrać różne osoby z różnych stron Polski i je „wymieszać". Trochę chłopów kierowano na wczasy z pegeerów. W okresie sta-

linowskim – według oficjalnych statystyk – na wczasach trzydzieści parę procent stanowili robotnicy, około siedemdziesięciu – inteligencja, chłopów było parę procent. Moim zdaniem te proporcje były jeszcze bardziej drastyczne – prawie 90 proc. to była szeroko rozumiana inteligencja, 10, góra 20 proc. – robotnicy, szczególnie w dużych kurortach.

Świat robotnika i świat inteligenta to dwa zupełnie różne światy. Gdy w latach pięćdziesiątych robotnik wyjeżdżał na wakacje, musiał najpierw zdobyć walizkę, której na ogół nie miał. Dobrze, gdy miał garnitur, pastę i szczoteczkę do zębów. Tych rzeczy brakowało po wojnie, społeczeństwo było bardzo biedne. Robotnicy źle się czuli w takich kurortach jak Zakopane czy Sopot, bo tam panowała podniosła atmosfera daleka od ich codzienności. Nie wiedzieli, jak zachować się przy stole. Bali się, że taki inteligent, gdy będzie siedział z nimi przy stole, będzie się z nich śmiał. Robotnicy często nie rozumieli, na czym polega wypoczynek w kurortach. Oczekiwali czegoś bliższego ich tradycji spędzania wolnego czasu. W komunizmie bardzo źle patrzono na wczasy rodzinne, starano się organizować wczasy oddzielne dla dorosłych, oddzielne dla dzieci. W rodzinie robotniczej w tym okresie było to coś niewyobrażalnego, żeby żona pojechała na wczasy bez męża, albo mąż bez żony, albo dzieci same. To nie były takie czasy jak teraz, że dziecko w wieku piętnastu lat opuszcza rodziców na trzy tygodnie i nie bardzo wiadomo, co ono robi. Robotnicy nie chcieli jeździć na wczasy z powodów obyczajowych i materialnych.

B.P. – ***Czy były przypadki zmuszania ludzi do wyjazdu na wczasy?***

P.S. – Zdarzały się nawet ucieczki robotników z wczasów. Głównym powodem nie musiał być zły stosunek do komunizmu. To był coś, do czego nie nawykli, czego nie rozumieli i co ich denerwowało. Dzisiaj wszystkim się wydaje, że to zdrowo chodzić po górach albo wynająć kajak i popływać po mazurskich jeziorach. W latach pięćdziesiątych takiego przekonania w społeczeństwie nie było. Wiele osób nie odczuwało potrzeby wypoczynku poza miejscem zamieszkania. Inni urlop z chęcią przeznaczyliby na dodatkową pracę. Gdy robotnik po jedenastomiesięcznej pracy w hucie czy pod ziemią w kopalni przyjeżdżał na wczasy, najpierw spał cztery dni. Potem chciał posiedzieć na werandzie, poleżakować, ale chodzić w góry – to niekoniecznie. Nie miał zresztą ubrania, żeby chodzić po górach, przyjeżdżał często w garniturze i pantoflach (jeśli miał), bo mu się wydawało, że musi się pokazać, bo tam będzie inteligencja...

B.P. – ***...i nie może sobie pozwolić na zwykłe cajgowe spodnie i flanelową koszulę. Niemniej pamiętam z opowieści znajomych rodzin, że przydział wczasów był rarytasem, o to się zabiegało.***

P.S. – Na początku komunizmu większość społeczeństwa nie chciała brać w nich udziału. Dzisiaj na wakacje wyjeżdża tylko 51 proc. społeczeństwa.

B.P. – ***Tak się dzieje nie z niechęci, tylko z powodów ekonomicznych.***

P.S. – W późniejszym okresie, po 1956 r., wczasy stały się towarem deficytowym. Liczba tych, którzy chcieli wyjechać, była znacznie większa od tego, co

państwo mogło zaoferować. Dostać wczasy nie było więc łatwo. Zawsze możemy mówić o tych, którzy wypoczywali, i o tych, którzy nie wypoczywali. Można nawet napisać historię niewypoczywających. Być może oddawałaby lepiej naturę ówczesnego społeczeństwa. Wypoczywało około pół miliona osób w ramach wczasów FWP do 1956 r. Potem liczba ta bardzo szybko rosła. W okresie gierkowskiej prosperity ponad 4 mln osób skorzystało z wczasów pracowniczych i chyba drugie tyle było na wczasach indywidualnych. Do tego trzeba doliczyć jeszcze 2–3 mln uczestników kolonii młodzieżowych. Na pierwszy rzut oka był to olśniewający postęp, ale trzeba pamiętać, że startowaliśmy z bardzo niskiego pułapu i że w drugiej połowie lat siedemdziesiątych tendencja wzrostowa ustąpiła na rzecz tendencji spadkowej. Ktoś, kto mile wspomina te czasy, może się na mnie obrazić. Powiem jednak, że wzrost ten sztucznie podtrzymywało państwo, które topiło tu mnóstwo pieniędzy, a sama idea wypoczynku zbiorowego symbolizowanego przez zakłady pracy i FWP była archaiczna na tle przemian światowych.

K.K. – Pytanie o czas wolny w okresie stalinizmu to w znacznej mierze pytanie o czas spędzany z rodziną lub w ramach kręgu rodzinnego. Nie unikniemy zatem pytania o stosunek komunizmu do rodziny. W historii komunizmu zaistniał dylemat, czy rodzina jest „komórką społeczeństwa komunistycznego". W latach trzydziestych rozstrzygnięto tę sprawę tak (przykładem może tu być sowiecki kodeks rodzinny z 1936 r.), że rodzina ma być „podstawową komórką społeczeństwa komunistycznego", ale obyczaje rodzinne muszą ewoluować i dostosowywać się do scenariusza ideologicznego. W PRL rolę swoistego medium między władzą oświatową, rodziną i szkołą miał odgrywać m.in. miesięcznik „Szkoła i Dom", wydawany od 1949 r. przez Ministerstwo Oświaty. Dostarczał on instrukcji, jak ma wyglądać życie rodzinne i organizowanie czasu wolnego w rodzinie, szczególnie młodzieży. Podliczmy: na dzień powszedni ucznia miało się składać pięć–sześć lekcji w szkole, zbiórka organizacyjna, praca i zabawa w świetlicy lub udział w pracach czy czynach społecznych, następnie powrót do domu, udział w obowiązkach domowych (co ciekawe, sugerowano, żeby od najmłodszych lat przygotowywać dzieci do dorosłych ról społecznych).

B.P. – ***Bez wątpienia musiał się w tym miesięczniku pojawić problem niedziel.***

K.K. – W tamtych czasach tydzień roboczy trwał na ogół sześć dni. Jeden dzień pozostawał niezagospodarowany. Rządzący podejmowali próby zagospodarowywania tego dnia, narzucając młodzieży jakieś zobowiązania lub oferując takie formy spędzenia wolnego czasu, które by odciągały młodych ludzi od tradycyjnych przyzwyczajeń, mówiąc wprost – od udziału w porannej Mszy św. Na przykład w marcu 1950 r. kuratorzy wydali następujące zarządzenie (adresowane głównie do dyrektorów szkół): „W niedziele w godzinach rannych dla młodzieży należy organizować ćwiczenia sportowe, zajęcia świetlicowe, koncerty itp. To spowoduje, że młodzież

nie będzie potrzebowała chodzić do kościoła". W tym samym zarządzeniu zalecono, aby punkty kolonijne nie były umieszczane w pobliżu kościołów. Powiedzmy od razu, że o ile niedziela była pewnym kłopotem z punktu widzenia organizowania młodym ludziom czasu wolnego, o tyle wakacje stawały się już niemal dramatycznym wyzwaniem. Ten problem miał dwojaki charakter. Przede wszystkim był problemem natury organizacyjnej. Nowym zjawiskiem drugiej połowy XX w. w Polsce było to, że oboje rodzice pracowali. Trzeba więc było coś zrobić z dziećmi i młodzieżą, których rodzice przebywali osiem godzin poza domem. Pojawiał się też problem natury ideologicznej. Z wielu dokumentów i wypowiedzi wyziera niepokój, że po dziesięciu miesiącach aplikowania rozmaitych bodźców wychowawczych młodzież znajdzie się poza zasięgiem władzy. Mogło się zdarzyć, że wyjedzie ona do rodziny na wsi i znajdzie się w enklawie zupełnie nienaruszonej tradycji, zabiegi wychowawcze okażą się więc nieskuteczne. Wysiłek państwa komunistycznego w okresie stalinowskim, by zaoferować młodzieży nowe formy spędzania wolnego czasu czy wypoczynek wakacyjny, był ogromny. Często jednak przynosił efekty odwrotne do zamierzonych. W 1948 r. zlikwidowano dotychczasowe instytucje organizujące czas wolny młodzieży, jak YMCA, Towarzystwo Przyjaciół Ogrodów Jordanowskich, Stowarzyszenie „Ognisko", a na ich gruzach organizowano sieć dziecięcych i młodzieżowych domów kultury, świetlice, pałace młodzieży. Wiele z tych działań okazywało się nieskutecznych. Na przykład w grudniu 1953 r. redakcja „Życia Warszawy" stawiała pytania, dlaczego na imprezach Młodzieżowych Domów Kultury wciąż bywa tak niewiele osób. W tym samym czasie „Express Wieczorny" przestrzegał przed wałęsającą się po ulicach młodzieżą i apelował o zapewnienie jej właściwych warunków „wyżycia się". Nawet gazety reżimowe zauważały, że próby tworzenia nowych form spędzania czasu wolnego są mało skuteczne. Niemniej już w 1949 r. z zorganizowanego przez rządzących wypoczynku wakacyjnego skorzystało ponad milion młodych ludzi poniżej osiemnastego roku życia. Liczba ta wskazuje, że skala przedsięwzięcia była naprawdę znacząca.

B.P. — ***Przy przyznaniu pełnej racjonalności zalecenia, żeby wypoczynek był aktywny, sądzę, że władze PRL bardzo się obawiały aktywności indywidualnej, w tym intelektualno-refleksyjnej. Myślę, że kult sprężystego ciała, promowanie wszelkich zajęć sportowych, igrzysk, gier terenowych itd. wiązało się z obawą, tak mi podpowiada intuicja, że nie chciano, aby ludzie za wiele myśleli czy czytali. Przecież nawet wyjście do kina czy teatru organizowano wybierając określone spektakle.***

P.S. — Na sprawę komunistycznego odpoczywania można też spojrzeć inaczej — nie akcentując jego aktywnej strony. Władza mówiła społeczeństwu — macie być pasywni. Wypoczynek zorganizowany jest bardziej pasywny niż wypoczynek indywidualny. Wczasy FWP najczęściej oferowały bardzo mało rozwijającą aktywność. Najpierw była to ośrodkowa świetlica, gry świetlicowe, potem upowszechniło się

oglądanie telewizji. Autorzy tej koncepcji nie oferowali wypoczynku aktywnego. W gruncie rzeczy w koncepcji komunistycznego społeczeństwa chodziło o spowodowanie jego bierności, aby obywatele za bardzo nie rozwijali swoich niekonwencjonalnych zainteresowań, wymykających się spod kontroli. Na tym polegała idea kolektywizacji. W propagandowym obrazie wprawdzie można było zobaczyć komunistycznych herosów, którzy na wczasach z rana gimnastykują się na plaży, ale warto pamiętać, że aktywność wypoczywających w dużej mierze zależała od tego, co proponował im instruktor kulturalno-oświatowy, a ten bardzo często nie miał ochoty robić za wiele.

B.P. — Poświęćmy mu trochę czasu. Ci, którzy widzieli »Rejs«, wiedzą, że taki człowiek był, delikatnie mówiąc, nie najlepiej przygotowany do swojej funkcji.

P.S. — Nie analizowałem społecznego składu tej grupy zawodowej. W okresie stalinowskim byli to ludzie nieraz nieprzygotowani do jakiejkolwiek roli wychowawczej, dobrani pod kątem kryteriów klasowych lub partyjnych. Niektórzy jednak odgrywali pozytywną rolę w sensie najbardziej elementarnym. Dziś do tego mało kogo przekonam, ale wydaje mi się, że bez pomocy owych instruktorów czas wielu robotników upływałby jeszcze bardziej monotonnie i bezsensownie. Wiele osób, po raz pierwszy wyrwanych ze swojego domowego mikroświata, nie wiedziało, co robić z tak dużą ilością czasu wolnego z dala od rodziny. Gdyby puścić je samopas, nie zorganizowałyby sobie czasu lepiej w warunkach komunistycznych. Wielu z nich dobrze to rozumiało i domagało się lepszej pracy „kaowców", co dziś brzmi śmiesznie, ale w tamtych czasach da się zrozumieć. Oczywiście zdarzali się też różni aktywiści, politrucy, którzy bardzo aktywnie próbowali realizować akcję wprowadzania obrzędowości komunistycznej w postaci różnych form zorganizowanego wypoczynku, np. wspólnych wycieczek...

B.P. — *...szlakiem partyzantów GL...*

P.S. — ...i życia świetlicowego. Dosyć typowym zjawiskiem w ośrodkach FWP przed 1956 r. było to, że po południu jakiś prelegent występował z referatem o sytuacji międzynarodowej.

B.P. — *Czy piętnowano jakieś indywidualistyczne zapędy wczasowiczów, którzy na własną rękę próbowali zorganizować sobie wycieczkę, oddzielali się od grupy?*

P.S. — Zapewne takie rzeczy się zdarzały. Proszę jednak pamiętać, że najlepszą metodą kontroli był monopol na usługi turystyczne. Indywidualna aktywność w systemie kolektywnym była całkiem inna niż dziś. Do lat siedemdziesiątych indywidualny turysta zmuszony był do korzystania z państwowej stołówki, często nie miał własnego sprzętu turystycznego, bo nie można było go kupić, musiał zatem korzystać z państwowej wypożyczalni. Ponieważ komunizm wypełniał ogromną część całego sektora — nazwijmy go gospodarką turystyczną — skutecznie ograniczał moż-

liwości indywidualne. Na przykład w taki sposób, że nieobecność w stołówce przy obiedzie kończyła się tym, że po prostu było się głodnym.

B.P. — ***Proszę mi jeszcze wytłumaczyć, dlaczego brydż był taki skompromitowany, a szachy godne zaufania.***

K.K. — Odpowiedź wydaje się stosunkowo prosta. Brydż traktowano jako wykwit elitarnego życia burżuazyjnego, szachy zaś postrzegano jako rosyjską, a potem sowiecką grę narodową.

B.P. — ***Ona nie była ani rosyjska, ani narodowa, poza tym jest zajęciem niesłychanie absorbującym umysłowo. Nie jest też żadną grą zespołową, a wysiłek intelektualny dla rozegrania partii brydża czy szachów jest porównywalny; preferowanie jednej, a piętnowanie drugiej jest więc dla mnie absurdem.***

K.K. — Od połowy XIX w. rosyjscy szachiści odnosili ewidentne sukcesy i rosyjska, a potem sowiecka szkoła szachowa należała do najlepszych na świecie, co widać i dzisiaj. Ten fakt był rozstrzygający. W historii komunizmu nie wszystko da się wytłumaczyć racjonalnie.

P.S. — Dla jeszcze lepszego wprowadzenia w klimat wczasów pracowniczych trzeba powiedzieć, że miały to być wczasy purytańskie i poważne. Rozrywka w okresie stalinowskim nie miała polegać na przebywaniu w dusznej kawiarni, popijaniu piwka czy czegoś innego i grach rozrywkowych, do jakich zaliczają się rozmaite gry karciane, jak tysiąc, dureń, skat itp., tylko na poważnych doniosłych aktywnościach. Komuniści wyobrażali sobie, że szachy są właśnie taką poważną grą, która oznacza też pewien awans społeczny, bo gdy nagle robotnicy zaczną grać w szachy, staną się innymi ludźmi niż w okresie, kiedy grali w karty. W tym upatrywałbym istotę sprawy, ale nie wykluczam tego, że istotne było i to, iż szachy były grą do jakiegoś stopnia „sowiecką". Transmisję sowieckich wzorów widać bardzo wyraźnie. Ponieważ w ZSRS szachy były aktywnością popularną, pożądaną, automatycznie powielano ten wzorzec.

K.K. — Chcę nawiązać do wątku, że komunizm promował aktywne formy wypoczynku, które miałyby służyć rozwojowi fizycznemu. Sądzę, że warto przeanalizować wizję nowego człowieka komunizmu, jaka pojawiała się w tekstach ideologicznych nie tylko w czasach stalinizmu, ale także wcześniej. Zgodnie z wizjonerskimi tekstami, ów nowy człowiek komunizmu miał się odznaczać także doskonałością biologiczną, jak wprost pisał Lew Trocki w rozprawce *Literatura i rewolucja* już w 1926 r. Gdy zajrzymy do *Pedagogiki* Iwana Kairowa, dzieła niezwykle ważnego i wpływowego w okresie stalinizmu, dowiemy się, że nowy człowiek komunizmu miał się odznaczać nie tylko nową świadomością, ale także pięknem fizycznym i właśnie doskonałością biologiczną. Jeśli spojrzymy na plakaty propagandowe z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, to ujrzymy na nich efektownych mężczyzn...

B.P. — ***...i dorodne kobiety...***

K.K. — ...tak, bardzo dorodne. Może nie jest to ideał piękna kobiecego z naszego punktu widzenia, ale z całą pewnością są one okazałe fizycznie... Krótko mówiąc — wypoczynek miał być aktywny. Udało mi się znaleźć dziennik wakacyjny sporządzony przez organizatorów obozu letniego z warszawskiej szkoły im. Władysława IV w Nowej Wsi w lipcu 1951 r. W dzienniku mamy dokładne zapiski o tym, co młodzież robiła danego dnia od godz. 7.00 do 22.00. Najpierw pobudka — wyznaczony dyżurny odgrywał sygnał na trąbce; szybkie mycie, ubieranie się i gimnastyka; apel i wyznaczenie obowiązków na dany dzień; krótka prasówka, w trakcie której odczytywano najważniejsze artykuły z najważniejszych dzienników o tym, co danego dnia wydarzyło się na świecie albo co istotnego zrobiła władza; śniadanie; prace porządkowe w obozie; wymarsz do pobliskiej spółdzielni rolnej i ileś godzin pracy w polu (także dla zademonstrowania sojuszu klasowego); potem kilka chwil wolnych; obiad; około godz. 15.00 obowiązkowe leżakowanie; mniej więcej dwie–trzy godziny na zajęcia rekreacyjne (w istocie kolektywne), tzn. wspólne kąpanie się w pobliskiej rzece, bieganie albo gra w piłkę; około godz. 19.00 kolacja; obowiązkowe „pogadanki ideologiczne", którym towarzyszył „śpiew masowy"; apel wieczorny, w trakcie którego podsumowywano dzień i ewentualnie udzielano pochwał lub nagan, i wreszcie sen...

B.P. — ***...regenerujący i niczym niezakłócony...***

K.K. — ...aż do porannej trąbki. Kolejne dni były bardzo podobne. Z obozów i kolonii wracać mieli dziarscy, krzepcy, uświadomieni „nowi ludzie", budowniczowie „nowej rzeczywistości". Trzeba jednak zaznaczyć, że mówimy tu raczej o tym, jak miało być. W praktyce bywało różnie, o czym można się przekonać, sięgając choćby do wspomnień Jacka Kuronia.

B.P. — ***To ciekawa sprawa. Znane są relacje z okresu stalinizmu o tym, jak kolektywnie, na zebraniach partyjnych czy ZMP osądzano niewiernych małżonków, pouczano ich na temat moralności. Są też opowieści obalające mit o purytańskim scenariuszu życia obywateli na wczasach, obozach, w sanatoriach. Dotyczy to zarówno młodzieży, jak i osób dorosłych. Pijaństwo w pracy zawsze piętnowano, ale w chwilach odpoczynku alkohol lał się szeroką strugą. Pijaństwo było najmniejszym grzechem, ta purytańska zasłona była więc bardzo dziurawa. W Związku Sowieckim takie paradoksy były jeszcze silniejsze — z jednej strony żelazna dyscyplina, a z drugiej bardzo swobodne normy obyczajowe.***

K.K. — Komunizm purytański stawał się stopniowo. W latach dwudziestych w Związku Sowieckim występowały silne tendencje antypurytańskie (tzn. antyburżuazyjne). W tym okresie popularna była np. teoria „szklanki wody" Aleksandry Kołłontaj mówiąca o tym, że stosunek seksualny to tyle, co wypicie szklanki wody. Sowieckie kodeksy rodzinne z lat dwudziestych pozwalały na przeprowadzenie

rozwodu przez powiadomienie partnera o swoich zamiarach za pośrednictwem poczty. Komunizm stał się purytański dopiero w latach trzydziestych i w tej właśnie wersji dotarł do Polski w 1944 r. Nie przeszkodziło to temu, że w 1948 r. – i to na „obrzeżach" Związku Młodzieży Polskiej – zaczęły powstawać w dużych miastach tzw. koła wolnej miłości, które odwoływały się do sowieckich tradycji z lat dwudziestych. Takie koło (na krótko) powstało np. w Liceum Ogólnokształcącym im. Juliusza Słowackiego w Warszawie, notabene żeńskim! Tego typu tendencje już wówczas traktowano jak odchylenia. W lutym 1950 r. szef ZMP, Władysław Matwin, stanowczo zabronił takich inicjatyw. Podczas Krajowej Narady Aktywu Szkolnego mówił: „Sprawa moralności, sprawa *kół wolnej miłości* – to bardzo istotne zagadnienie dla klas ostatnich. Podobny problem istniał w Komsomole po rewolucji. [...] Nie uważamy, że kochać się można tylko raz, lecz ZMP-owiec winien w stosunkach z dziewczętami odnosić się z powagą i zrozumieniem, z poczuciem odpowiedzialności. Teoria *wolnej miłości* nie ma nic wspólnego z moralnością socjalistyczną".

Polityka względem młodzieży w okresie stalinowskim miała zresztą kilka faz. Pierwsza faza, czyli lata 1949–1951, to czas przyzwolenia na rewolucyjne postawy młodzieży z ZMP – zachęcano ją do obalania dawnych struktur społecznych, występowania przeciw starszemu pokoleniu. Po 1951 r. zaczęło obowiązywać hasło „ZMP pomaga nauczycielowi". Młodzież miała być bardzo precyzyjnie wpisana w strukturę społeczną i zająć ściśle określoną pozycję.

B.P. – ***Wydaje mi się, że to naturalna kolej rzeczy – w pierwszym okresie w szkołach byli jeszcze ci »przerośnięci« chłopcy z lasu, z AK, z podziemia. Trudno ich było traktować jako niedorosłych.***

K.K. – Roczniki, które świadomie przeżyły wojnę, inaczej odbierały zalecenia władz i odmiennie na nie reagowały niż te, które tych doświadczeń nie miały. W latach pięćdziesiątych zaczęła następować powolna przemiana mentalna. Po latach w rozmowie z Jackiem Trznadlem Jarosław M. Rymkiewicz (urodzony w 1935 r.) wspominał ten okres: „[System] przeszkadzał mi jednak żyć, jak chciałem. Przeszkadzał mi korzystać z przyjemności życia, z koleżeńskich bibek, z picia w restauracjach z kolegami. Wobec tego przestałem ulegać systemowi, bawiło mnie co innego, nie bawiło mnie chodzenie na zebrania, system był jednak przeciw życiu". Stopniowo przybierała na sile subkultura bikiniarzy. Pojawiały się próby organizowania sobie prywatnego życia przez młodzież, spędzania wolnego czasu w sposób mniej kontrolowany. Odbywały się prywatki, młodzież w mieście zaczęła słuchać jazzu, rock and rolla itd., próbowała spędzać czas w zupełnie odmienny sposób, niż nakazywały komunistyczne wzorce. Jak wyglądały takie imprezy, można przeczytać chociażby w *Złym* Leopolda Tyrmanda.

Żeby zamknąć problem stalinizmu: rok 1956 był przełomowy – na co zwracała uwagę Hanna Świda-Ziemba – przede wszystkim dlatego, że możliwe stało się stworzenie przestrzeni życia prywatnego, w którą władza raczej nie ingerowała. Można

było próbować żyć swoim prywatnym życiem. Człowiek bierny, który nie kontestował władzy i nie angażował się w działania opozycyjne, mógł przeżyć swoje życie w kręgu rodzinnych, tradycyjnych obyczajów, rytuałów, obrzędów, poprzestając na symbolicznych gestach, jak pójście na wybory...

B.P. — ***...i na pochód pierwszomajowy.***

K.K. — Niemniej jednak w 1956 r. rządzący podjęli próbę — dotyczy to zwłaszcza młodzieży — stworzenia infrastruktury spędzania wolnego czasu. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych reaktywowano organizacje, które za czasów stalinowskich uznano za wrogie ideologicznie — Towarzystwo Przyjaciół Ogrodów Jordanowskich, Stowarzyszenie „Ognisko". W różnych miastach Polski budowano nowe place zabaw, powstawały nowe młodzieżowe domy kultury, których oferta była znacznie atrakcyjniejsza niż wcześniej. W MDK młodzież uczyła się gry w ping-ponga, uczestniczyła w kursach tańca, czasami zdobywała podstawy języków obcych. Był to także czas pojawienia się różnych oddolnych inicjatyw, których jeśli nie wspomagało państwo, to przynajmniej ich nie hamowało. Myślę zwłaszcza o ruchu pedagogiki podwórkowej. Inicjatywa ta narodziła się w 1956 r. w Grudziądzu i zyskała charakter ogólnopolski. W różnych miastach Polski zaczęły powstawać tzw. komitety dziecięce, których członkowie, ludzie o skłonnościach społecznikowskich, organizowali drużyny młodzieżowe, zabawy i rozrywkę na lokalną skalę. Ten ruch rozwijał się ciekawie do 1964 r., kiedy wzięły go pod kontrolę Towarzystwo Przyjaciół Dzieci oraz Komitet Dzieci i Młodzieży Frontu Jedności Narodu. Zinstytucjonalizowana i zbiurokratyzowana inicjatywa zaczęła wygasać.

Musimy też pamiętać, że na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych rodziła się spontaniczna kultura młodzieżowa, której swoistym zwornikiem stał się big-beat. Organizacji przeciwstawiano indywidualizm (choć zarazem był to jednak indywidualizm dostosowany do wzorców kultury masowej). Jako ciekawostkę podam, że pierwszą polskojęzyczną radiostacją, która nadała — wiosną 1964 r. — wywiad z członkami zespołu „The Beatles", było... Radio Wolna Europa. Władze oczywiście starały się tę młodzieżową kulturę ograniczać. Na przykład w 1966 r. „Świat Młodych" przestrzegał, co brzmi dość zabawnie, przed „inwazją nastolatków w nasze codzienne życie". Zabiegi władz mające na celu narzucenie młodzieży oficjalnych norm zachowań okazały się niezbyt skuteczne. Wreszcie, choć dopiero w latach siedemdziesiątych, rządzący jakby uznali, że słuchanie „Beatlesów" i czesanie się na „beatlesa" wcale nie musi być społecznie szkodliwe z punktu widzenia komunizmu. To zresztą, jak sądzę, ciekawy przyczynek do ewolucji mentalnej komunizmu.

B.P. — ***W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych było inaczej, ludzie mieli i wypoczynek, i (choć oczywiście socjalistycznie siermiężną) rozrywkę. Należał do niej, może to nie zabrzmi najlepiej, alkohol, który był też (obok telewizora) synonimem wolnego czasu.***

K.K. – Spożycie alkoholu (a ściślej mówiąc: wódki) rosło od lat pięćdziesiątych skokowo. W połowie lat pięćdziesiątych na statystycznego Polaka przypadało 3,3 l czystego spirytusu. Dekadę później – już 4,5 l. Na początku lat siedemdziesiątych – 6,1 l. Apogeum spożycia alkoholu nastąpiło w latach 1979–1980. Na statystycznego Polaka przypadało wówczas 8,5 l czystego spirytusu. Spożycie alkoholu spadło nieco w stanie wojennym, by ponownie wzrosnąć u schyłku PRL. Oczywiście statystyka ta nie uwzględnia trunków przyrządzanych własnym sumptem.

W dniu wypłaty zataczała się niemal cała robotnicza Polska. Chyba od lat sześćdziesiątych upowszechniał się na masową skalę obyczaj urządzania imienin, najczęściej przybierających postać alkoholowych imprez. Zabrzmi to brutalnie, ale zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych kilka milionów Polaków spędzało czas wolny w alkoholowym zamroczeniu.

Popularne wówczas wycieczki zakładowe zamieniały się w alkoholowe libacje. Alkohol towarzyszył też coraz częściej spotkaniom młodych ludzi. Zacytuję tu dwa znamienne listy. Pierwszy z nich nadesłał do „Świata Młodych" w 1981 r. pewien nastolatek: „Od najmłodszych lat przebywałem z chłopakami, którzy mieli dość pieniędzy, a nie wiedzieli, co z nimi zrobić, i nie umieli spędzić wolnego czasu, bo nie było gdzie. I dlatego może słyszałem często takie słowa jak: *chłopaki, składamy się na alkohol*". W 1986 r. do redakcji „Jestem" nadszedł jeszcze bardziej dosadny list, od pewnej siedemnastolatki, będącej w ciąży: „Pod koniec września w pewną sobotę pojechałam do kuzynki, której rodzice byli na wycieczce. Korzystając z ich nieobecności, urządziłyśmy prywatkę z alkoholem, na którą zaprosiłyśmy koleżanki i kolegów Krystyny (takie imię ma kuzynka). Początkowo bawiliśmy się wspaniale, ale później alkohol uderzył nam do głowy. [...] Byłam odurzona i sama nie wiem, kiedy znalazłam się w jego ramionach, poszliśmy do drugiego pokoju, on zamknął drzwi na klucz, no i... zaczęło się [...]".

Zdarzały się zresztą i bardziej dramatyczne wypowiedzi. Inny nastolatek pisał w 1981 r.: „Przysiągłem sobie, że nie będę pił alkoholu, ponieważ wiem, na przykładzie taty, do czego to prowadzi". Te tak różne listy dobrze oddają atmosferę tamtych czasów.

P.S. – Rezygnację z traktowania odpoczynku jak obywatelskiego zadania na rzecz bardziej rozrywkowego spędzania tego czasu można zilustrować przykładem – do 1956 r. w spisie wyposażenia świetlicy ośrodka KC PZPR „Świtezianka" w Mierkach były takie pozycje, jak granaty ćwiczebne. W 1956 r. zastąpiono je warcabami, „chińczykiem", stołami bilardowymi i szafą grającą. Władza w pewnym momencie zrozumiała, że najlepszą propagandą dla Polski Ludowej będzie sam wyjazd wypoczynkowy. Ludzie będą wyjeżdżać i cieszyć się z tych wyjazdów, i to właśnie będzie czynnikiem stabilizującym system. Oczywiście propaganda w jakimś stopniu towarzyszyła wypoczywającym, ale kto wie, czy nie była ona lepiej przyjmowana i absorbowana w późniejszym okresie, właśnie dlatego że system był stabilny,

ludzie nie mieli innych perspektyw poza nim, a jednocześnie propaganda nie była aż tak nachalna jak w okresie stalinowskim.

K.K. – Władza komunistyczna zawsze miała ambicje reżyserskie i stała na straży scenariusza ideologicznego, do którego miały być (przynajmniej teoretycznie) dostosowywane wszelkie obszary życia. Możliwości władzy jednak zawsze były czymś ograniczone. W latach siedemdziesiątych społeczeństwo PRL zaczęło uczestniczyć, chyba po raz pierwszy na taką skalę, w ogólnych przemianach cywilizacyjnych. Pojawiła się możliwość spędzania weekendu gdzieś poza domem, na zielonej trawce – dzięki posiadaniu własnego samochodu, najczęściej „malucha" – co zresztą w Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej było modne już w latach dwudziestych. Zjawisko spędzania wolnego czasu na własną rękę wystąpiło w Polsce z wieloletnim opóźnieniem.

P.S. – Lata siedemdziesiąte są rzeczywiście dobrym punktem dla obserwacji ewolucji systemu komunistycznego. Wówczas, kiedy ruch wczasowy w Polsce Ludowej osiągnął apogeum, władze coraz bardziej odchodziły od ideologizacji wypoczynku. Wczasowe obchody 22 lipca, pogadanki z działaczami partyjnymi czy tzw. ludźmi dobrej roboty (przodownikami pracy dekady Edwarda Gierka) nadal były elementem wczasowego scenariusza. Jednak coraz częściej stawały się pustym rytuałem w myśl niepisanej umowy pomiędzy władzą a społeczeństwem: „wy uczestniczycie w rytuale, my nie wnikamy, czy jesteście wierzący".

Z propagandowego punktu widzenia o wiele ważniejsze były kolejne koncesje na rzecz rozwoju masowej turystki. Masowe wyjazdy wypoczynkowe miały być wyrazem dobrych perspektyw państwa, szczególnie wtedy, gdy okazało się, że to może być nie tylko wyjazd z FWP, ale także wyjazd zagraniczny, czasem nawet na Zachód, lub jakaś forma odpoczynku indywidualnego, wczasy bardziej specjalistyczne – kajakarskie, żeglarskie itd. W latach siedemdziesiątych z wypoczynku wyjazdowego korzystało już 34 proc. społeczeństwa, z tego wiele osób wyjechało samodzielnie, bez pośrednictwa, choć często wynajmując miejsce w zakładowym ośrodku wczasowym albo korzystając z jego stołówki, bo system kolektywny nie dawał zbyt wiele pola dla prywatnej inwencji. Jednocześnie właśnie rozszerzanie się pola dla działalności prywatnej inicjatywy było jedną z ciekawszych zmian, zachodzących w gospodarce turystycznej w tym okresie. W latach siedemdziesiątych w Zakopanem trudno było znaleźć miejsce noclegowe poza bazą prywatną, tzw. prywatnymi kwaterami. Takich silnych i świadomych ekonomicznie społeczności lokalnych nie było jednak wiele. Ktoś, kto wyjeżdżał w peerelu na wakacje, rzadko mógł nie mieć kontaktu z państwową gospodarką.

B.P. – ***Kontrola państwa nad przemieszczaniem się obywateli miała swój wyraz nawet w rozkładach jazdy, które miały stanowić utrudnienia w dotarciu do niektórych miejsc. Powiem o konkretnej sprawie, czyli o braku bezpośrednich połączeń wielu dużych miast z Częstochową, miejscem licznych pielgrzymek. Jeździło się tam z kilkoma przesiadka-***

mi. Potem, w latach gierkowskich, kiedy Polska otworzyła się na Zachód i Częstochowa stała się miejscem przybywania pielgrzymów z całego świata, połączenie z nią trochę się poprawiło, lepiej nawet zaczęła funkcjonować komunikacja lokalna.

K.K. – Mówiąc o ogólnych przemianach cywilizacyjnych, nie można nie wspomnieć o wpływie na formy spędzania wolnego czasu przełomowego wynalazku XX w., jakim była telewizja. Samo pojęcie wolnego czasu zaczęło nabierać nowego znaczenia. Już w 1967 r. w gospodarstwach domowych znajdowały się 3 mln odbiorników telewizyjnych. Kilkanaście lat później każde gospodarstwo miało telewizor czarno-biały, co piąte – kolorowy, a w 1989 r. w co trzecim gospodarstwie domowym był telewizor kolorowy. Już w 1969 r. niektórzy socjologowie zaczynali ostrzegać, że wielu młodych ludzi spędza przed telewizorem do trzech godzin dziennie. Upowszechnienie się telewizji spowodowało pewien paradoks, polegający na tym, że ludzie zaczęli zamykać się w przestrzeni domowej, a równocześnie absorbować problemy całego świata. To także wówczas „władza ludowa" po raz pierwszy bardziej dosłownie przeniknęła do mieszkań. Można by się zastanawiać, jak rządzący, za pośrednictwem (swojej) telewizji, podsuwali wzorce codziennego życia, w tym również wypoczynku.

Trzeba przy tym jednak podkreślić, że spędzanie wolnego czasu przed telewizorem, np. wspólne oglądanie meczów z udziałem „orłów Górskiego", sprawiało radość milionom Polaków. Prawdopodobnie w jakimś stopniu telewizja, pokazująca np. sukcesy polskich sportowców, przyczyniała się do poprawy (krótkotrwałej zresztą) nastrojów społecznych w latach siedemdziesiątych.

B.P. – ***Pomówmy o poznawaniu świata, bratnich krajów, a na początek – może o tzw. pociągach przyjaźni.***

P.S. – Idea powstała po 1956 r. Pociągi te jeździły do wszystkich krajów „demokracji ludowej", choć najbardziej popularne były te do ZSRS. Organizowało je Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, a jego lokalne czy zakładowe oddziały typowały i kwalifikowały osoby do wyjazdu.

B.P. – ***Było to oczywiście wyróżnienie, przede wszystkim finansowe.***

P.S. – Sprawa ta miała dwa wymiary. W rozumieniu władz „pociągi przyjaźni" miały charakter propagandowy. Chodziło o to, żeby obywatele bezpośrednio doznawali przyjaźni między naszymi narodami. Równocześnie podczas tych podróży ludzie fantastycznie handlowali, bo te pociągi rzeczywiście traktowano jak „pociągi przyjaźni", w których celnicy pasażerów nie kontrolowali. Byłoby bardzo źle, gdyby w takim pociągu ujawniono, że ktoś wywozi złoto, futra czy ortaliony, bardzo w pewnym momencie popularne. W ten sposób rodziły się strategie zwane przez socjologów pasożytniczą innowacyjnością. Chodzi w nich o wykorzystywanie przez społeczeństwo słabych punktów komunizmu dla własnego zysku.

B.P. – ***Tym sposobem istotnie przekonywano się o dobrobycie u sąsiadów. Pamiętam ludzi wychodzących z tych pociągów, wyglądali jak***

przesiedleńcy. Na ich bagaż składały się garnki, wielkie samochody dla dzieci, później telewizory i mnóstwo innych, opakowanych w gazety i twardy szary papier tajemniczych pakunków.

P.S. – Podróże zagraniczne stopniowo się upowszechniały. Po 1956 r. propagowano wyjazdy do krajów socjalistycznych. W latach siedemdziesiątych na Zachód wyjeżdżało z Polski około pół miliona ludzi (w poszczególnych latach ta liczba różnie się kształtowała, ale był to mniej więcej ten rząd wielkości), a do krajów socjalistycznych wyjeżdżało – łącznie z ruchem przygranicznym między NRD a Polską – ponad dziewięć milionów. Te proporcje zmieniły się dopiero u schyłku PRL, kiedy więcej ludzi wyjeżdżało na Zachód, przede wszystkim w celach zarobkowych. Wówczas też kraje socjalistyczne izolowały się od Polski, gdyż nie chciały u siebie „polskiej zarazy". Niemniej przez cały okres PRL było odwrotnie – wyjazdy do krajów socjalistycznych miały być podstawą polityki w turystyce zagranicznej.

B.P. – ***Dla młodych ludzi nową formą wolności, w sensie w miarę swobodnego przemieszczania się w przestrzeni, improwizacji i przygody, był autostop, który pojawił się jako pewne zjawisko kulturowe w latach sześćdziesiątych. Autostopowicze przejeżdżali Polskę wzdłuż i wszerz, czasami spędzali w ten sposób całe wakacje, bez planu i bez pieniędzy. Byli wolni i niezależni. Ten ruch bardzo szybko skanalizowano i zorganizowano. Autostop – spontaniczne podróżowanie – uwieńczono książeczką autostopowicza. Władza chciała być uczestnikiem i współtworzyć różne zjawiska, których powstanie nie należało do jej inicjatywy.***

P.S. – Sprawa autostopu dobrze pokazuje pewną ambiwalencję komunizmu. Autostop był w peerelu zorganizowany, co jest samo w sobie rzeczą paranoiczną i absurdalną, bo przecież on należy do kręgu aktywności zupełnie samodzielnej.

B.P. – ***Mało tego, polegającej na dobrowolnym układzie podróżnik–kierowca. Dla kierowców to też były ciekawe przygody...***

P.S. – ...a tu pojawiają się jakieś książeczki, rejestry, kupony. To było absurdalne, ale oczywiście wynikało z chęci sprawowania kontroli nad społeczeństwem. Wszystkie, nawet najbardziej oddolne działania miały być kontrolowane. Jednocześnie proszę zauważyć, że autostop był dozwolony tylko w Polsce, w żadnym innym kraju komunistycznym nie można było uprawiać tej formy podróżowania, a jeśli istniała, to była nielegalna. Przyjeżdżali więc młodzi ludzie z Węgier, NRD i Związku Sowieckiego, żeby sobie pojeździć autostopem, nawet tym zorganizowanym. Tu znowu występuje dwoistość zagadnienia – władza dopuszczała bowiem pewne formy aktywności, często zakładając, że będzie je kontrolować, co było lipą w dużym stopniu, bo ruch turystyczny szybko stał się zbyt duży, żeby go kontrolować...

B.P. – ***...i stosunkowo mało szkodliwy i w gruncie rzeczy działał jako pewien wentyl, więc lepiej, żeby był, niżby miało go nie być.***

P.S. – Komuniści musieli też wyrazić ciche przyzwolenie na przykład na prywatną inicjatywę noclegową, bo inaczej podróżujący nie mieliby gdzie mieszkać. W Zakopanem – jak przekonuje Jerzy Kochanowski – w latach siedemdziesiątych było około 140 tys. miejsc noclegowych w „bazie góralskiej" i tylko 10 tys. w „bazie państwowej". W roku 1972 w tej dziedzinie była właściwie pełna prywatyzacja. Mówię o bazie otwartej, ogólnie dostępnej, bo oczywiście istniały też ośrodki zamknięte, typu FWP i ośrodki zakładów pracy, nie dla wszystkich przeznaczone; by się do nich dostać, trzeba było mieć skierowanie.

Jednocześnie rządzący od czasu do czasu próbowali pokazać ludziom, że są silni, trzymają władzę i są pewne decyzje, które zależą wyłącznie od nich, przede wszystkim w organizowaniu wypoczynku czy turystyki młodzieży. Najatrakcyjniejsze wycieczki zagraniczne organizowano wyłącznie dla aktywu ZMS, SZSP, którego działacze np. w 1981 r. pojechali nawet do Nowego Jorku, w dużej mierze na koszt państwa. Nie każdy mógł na taką wycieczkę pojechać. Tu też nie brakuje paradoksów. Oni tam pojechali, żeby „podążać szlakiem Kazimierza Pułaskiego", a oglądali luksusowy hotel Waldorff Astoria, wjechali na ostatnie piętro World Trade Center, byli w Rockefeller Center, na Wall Street. Oglądali ikony kapitalizmu. To przykład, jak postępował rozkład ideologii tego systemu. Takie wycieczki równocześnie niesłychanie stabilizowały ten aktyw. Aktyw wiedział, że jeśli pozostanie „wierny systemowi", będzie mógł żyć w miarę atrakcyjnie, mając możliwości wyjazdów.

B.P. – ***Pamiętam kalkulacje ludzi, którzy mieli pełną świadomość, że nie opłaca im się »wychylić« w pracy czy zaangażować się w opozycję, bo nie dostaną przydziału na taki wyjazd, nie dostaną paszportu itd.***

P.S. – To samo, co w latach 1971–1975 stabilizowało społeczeństwo, po 1975 r. zaczęło je destabilizować. Bardzo urosły aspiracje społeczne w zakresie czasu wolnego, a system nie mógł ich zaspokajać, bo wszedł w fazę kryzysu. Przez to, że je wcześniej rozbudził, potem miał kłopoty. Na tym polegała pułapka stabilizacji i destabilizacji. Jeszcze w 1956 r. czy nawet w 1970 r. rzadko który robotnik za ważną rzecz uznawał możliwość wyjazdu wypoczynkowego. Takie postulaty jednak pojawiały się już w czasie wystąpień robotniczych na Wybrzeżu w 1970 r. W 1980 r. sprawa zapewnienia wypoczynku i sprawiedliwej jego dystrybucji była znacznie wyraźniej słyszalna. „Masy pracujące" stały się „masami wypoczywającymi".

B.P. – ***Wyobrażam sobie, że również państwo w sensie ekonomicznym przestało być wydolne, dlatego że umasowienie tego wypoczynku nie pozwoliło utrzymać określonego, przyzwoitego standardu na wczasach. Pogorszyła się jakość wyżywienia, pojawiły się zatrucia pokarmowe, niszczył się sprzęt. Umasowienie spowodowało, jak w każdym takim procesie, że zarówno jakość wczasów pracowniczych bardzo się pogorszyła, jak i zmniejszyło się zainteresowanie nimi.***

P.S. – Komunizm z definicji był nieturystyczny. Przemieszczenia ludności były raczej atrybutem kapitalizmu, a nie komunizmu. W systemie gospodarki planowej zakłada się, że człowiek nie będzie się przemieszczał, bo jest planowo przypisany do konkretnego miejsca. W miejscowości X przypisano mu ileś tam kostek masła rocznie, ileś plasterków wędliny itd. Kiedy zaczyna się przemieszczać, tworzy pewne poziome struktury i system pionowy zarządzania państwem załamuje się. Z tego punktu widzenia turystyka nie mogła być specjalnym atrybutem komunizmu. Gdy turystyka zaczęła być zjawiskiem powszechnym (co musiało nastąpić, bo tak zmienił się świat), władza miała coraz więcej problemów z jej organizowaniem. W pewnym momencie stała się jej przekleństwem, szczególnie gdy system wszedł w fazę kryzysu. Turystyka może rozwijać się tylko w sprzyjających warunkach. To nie jest towar pierwszej potrzeby, lecz raczej specjalistyczna usługa, tak jak dziś np. bankowość internetowa. Aby z niej korzystać, trzeba już mieć komputer i pewną wiedzę. Aby stworzyć społeczeństwo turystów, należy najpierw usunąć kłopoty związane z brakiem mieszkań, pożywienia ubrania, zbudować drogi, stworzyć szereg usług. Jednym słowem – zapewnić dobrobyt społeczeństwu. Wtedy to działa. To akurat udało się wykonać w państwach z kręgu ekonomii kapitalistycznej. Mówiąc najprościej, komunizm nie był w stanie wygrać takiej rywalizacji z uwagi na swoją permanentną słabość ekonomiczną.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 10 (33), październik 2003

O SOWIECKICH REPRESJACH WOBEC POLAKÓW

Ze Sławomirem Kalbarczykiem, Tomaszem Łabuszewskim
i Kazimierzem Krajewskim rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Kto pierwszy wpadł na pomysł deportacji wielkich grup osób, bo przecież nie Sowieci?***

K.K. — Deportacja była elementem zbiorowej represji stosowanym od wieków. Sposób rozprawiania się ze społeczeństwem podbitego, anektowanego lub własnego opornego terytorium, polegający na wysiedleniu ludności z miejsca zamieszkania i zesłaniu jej do odległych zazwyczaj miejscowości na przymusowy pobyt, znany był od czasów starożytnych, i to w skali dotyczącej całych ludów czy narodów. Wszak już Naród Wybrany, pokonany i wysiedlony ze swej ojczyzny przez Asyryjczyków, jak mówi psalmista, „płakał nad rzekami Babilonu". Współczesnemu człowiekowi deportacja kojarzy się jednak przede wszystkim ze zbiorowymi represjami zastosowanymi przez władze Związku Sowieckiego wobec opornych narodów w latach II wojny światowej — w tym w stosunku do Polaków, w mniejszym stopniu z masowymi wysiedleniami prowadzonymi przez władze Niemiec hitlerowskich, które dotknęły Polaków zamieszkałych na terenach włączonych do III Rzeszy. W naszej rozmowie skupimy się na zbiorowych represjach stosowanych przez władze sowieckie wobec Polaków.

B.P. — ***Musimy jednak cofnąć się nieco dalej w przeszłość. Polacy pojawiający się w latach 1939–1945 w głębi Związku Sowieckiego jako deportowani lub więźniowie obozów nie byli pierwszymi naszymi rodakami będącymi ofiarami zbiorowych represji ze strony wschodniego sąsiada.***

K.K. — Obecność Polaków na „rosyjskim wschodzie" jako ofiar represji ze strony państwa carów datuje się od XVI–XVII w. Jako pierwsi trafili tam jeńcy z wojen moskiewskich. Następną dużą grupą Polaków zesłanych na Syberię byli konfederaci barscy wzięci do niewoli przez wojska rosyjskie podczas niefortunnych, kilkuletnich walk w obronie praw I Rzeczypospolitej. Po upadku powstań narodowych w głębi imperium rosyjskiego pojawili się kolejni represjonowani Polacy. Byli to ludzie skazani na katorżniczą pracę w kopalniach, przymusowe osiedlenie, wcielani do wojska rosyjskiego. Właśnie wtedy, w XIX w., problem polskiej martyrologii na wschodzie nabrał znaczenia nie tylko jakościowego, ale i ilościowego. Represje

popowstaniowe dotykały dziesiątki tysięcy Polaków. Po powstaniu listopadowym z Guberni Zabranych deportowano duże skupiska ludności polskiej na Sybir, Kaukaz i nad Wołgę. Po powstaniu styczniowym na Syberię zesłano wiele tysięcy Polaków. W latach 1863–1864 mamy do czynienia także z represjami zbiorowymi, zwłaszcza na Litwie i Białostocczyźnie. Kilkanaście wsi i zaścianków oskarżonych o udział w powstaniu spalono wraz z dobytkiem, a ich ludność pod konwojem popędzono na Syberię.

B.P. — ***Polacy w państwie rosyjskim to nie tylko więźniowie i zesłańcy. Na społeczność polską w imperium rosyjskim, potem sowieckim, składali się także ludzie, którzy dobrowolnie znaleźli się na tym obszarze.***

K.K. — Wielu Polaków znalazło się na terenie imperium rosyjskiego w poszukiwaniu pracy. Ludzie posiadający odpowiednie zawody łatwiej mogli znaleźć tam dobrą pracę niż w „Priwisliańskim Kraju". Budowali linie kolejowe, wykonywali wiele zawodów technicznych, służyli w wojsku. Przede wszystkim stanowili jednak znaczną część rdzennej ludności tzw. Guberni Zachodnich, których duża część pozostała poza granicami z traktatu ryskiego.

B.P. — ***To o tych ludziach pisał Florian Czarnyszewicz w swojej poruszającej powieści »Nadberezyńcy«.***

K.K. — W latach międzywojennych w Związku Sowieckim mieszkało około 1,2 mln Polaków. Między innymi w zwartych skupiskach zamieszkiwali wiele rejonów Białoruskiej i Ukraińskiej Republiki Socjalistycznej. Były też skupiska Polaków w wielkich miastach i ośrodkach przemysłowych. Społeczność polska w BSRS i USRS stała się przedmiotem sowieckiego eksperymentu, powstały tam dwa rejony autonomiczne — Dzierżyńszczyzna na Białorusi i Marchlewszczyzna na Ukrainie. W niezrealizowanych planach postulowano kolejne działania w tym kierunku, tj. powołanie następnych polskich rejonów autonomicznych. Wiązało się to z początkowymi zamierzeniami władz sowieckich wobec społeczności polskiej, którą planowano poddać przyspieszonej sowietyzacji i w przyszłości wykorzystać w walce z państwem polskim, m.in. jako rezerwę kadrową „Polskiej Armii Czerwonej". Ludność polska, na ogół stojąca materialnie i cywilizacyjnie wyżej niż pozostali mieszkańcy tych republik, okazała się jednak niepodatna na te zabiegi, była przy tym głęboko patriotyczna i przywiązana do religii katolickiej.

B.P. — ***Można się domyślać, że właśnie ci Polacy padli w pierwszej kolejności ofiarą kampanii »likwidacji kułaków jako klasy«, prowadzonej w Sowietach w latach 1929–1933. A później już były tylko kolejne, coraz bardziej brutalne represje.***

K.K. — Zmiana sowieckiej polityki wobec autochtonicznej ludności polskiej w BSRS i USRS wiązała się z podjęciem decyzji o powszechnej kolektywizacji wsi w 1929 r., która — rzecz jasna — była wymierzona także w polskich rolników zamieszkujących sowiecką Białoruś i Ukrainę. Ocenia się, że związane z tą akcją wywózki do-

tknęły mniej więcej 10 tys. Polaków. Dużo bardziej groźna była antypolska kampania, zapoczątkowana w roku 1935. Zlikwidowano wtedy polskie rejony autonomiczne. W roku 1936 miała miejsce pierwsza wielka fala deportacji Polaków z Ukrainy, głównie do Kazachstanu. Objęła ona prawdopodobnie około 70 tys. Polaków. Analogicznie w 1938 r. wywieziono około 20 tys. Polaków z Białorusi. Najbardziej jednak brutalny, po prostu zbrodniczy charakter miały kolejne represje, do których pretekstu dostarczyła prowokacyjna sprawa rzekomej polskiej organizacji podziemnej – Polskiej Organizacji Wojskowej – na Ukrainie. W efekcie w latach 1937–1938 (w historii Związku Sowieckiego jest to czas tzw. wielkiej czystki) skromnie licząc, około 140 tys. Polaków – obywateli sowieckich poddano najostrzejszym represjom. Jak dziś wiemy m.in. na podstawie ustaleń badaczy rosyjskiej organizacji pozarządowej „Memoriał", większość z tej ostatniej grupy (około 75 proc.) zamordowano (rozkaz NKWD dotyczący tzw. operacji polskiej mówi o 111 091 osobach skazanych na śmierć). Być może część z tych ludzi leży w zbiorowych grobach w Kuropatach niedaleko Mińska, stolicy Białorusi.

B.P. – ***To wszystko wydarzyło się przed wrześniem 1939 r. 17 września do Polski wkroczyła armia sowiecka.***

K.K. – Wejście armii sowieckiej było zsynchronizowane z dywersyjnym wystąpieniem organizacji komunistycznych, niewątpliwie przygotowanym wcześniej przez sowieckie służby specjalne. Wobec znikomych możliwości polskiego oporu na wschodzie, działania te nie miały większego znaczenia militarnego. Odegrały natomiast pewną rolę w rozprawieniu się z grupami obywateli polskich, uznanych za nastawionych antysowiecko. Dotknęły one przede wszystkim ludzi związanych z państwem polskim i jego życiem społecznym. Różnorodne samozwańcze komitety rewolucyjne i „czerwone" milicje napadały na pracowników administracji, policjantów, oficerów i żołnierzy Wojska Polskiego, przedstawicieli warstw oświeconych, zawodów inteligenckich, ziemian, osadników wojskowych, a nawet na zamożniejszych polskich wieśniaków, i ich mordowały. Typowym, niezmiernie drastycznym przykładem działań tzw. jaczejek komunistycznych jest rzeź osadników wojskowych w powiecie grodzieńskim, w rejonie Skidla i Ostryny, gdzie „rewolucyjny komitet z Obuchowa" zorganizował planową eksterminację osadników wojskowych z kilku wsi powiatu grodzieńskiego. W Zelwie w powiecie wołkowyskim samozwańcza „czerwona milicja" dokonała rzezi polskiej inteligencji, a w Mokranach na Polesiu wymordowano grupę wycofujących się oficerów i podoficerów Flotylli Pińskiej. Trudno dziś oszacować liczbę polskich ofiar tych wystąpień. Ten okres przejściowy, w którym zrewoltowany motłoch mógł bez ograniczeń rozprawiać się z przedstawicielami polskiego aparatu państwowego i „pamieszczykami" (posiadaczami), nazywano niekiedy „dniami wolności". Były to straty szczególnie dotkliwe, ofiarami „czerwonego terroru" stali się we wrześniu 1939 r. najlepsi, najbardziej świadomi i zaangażowani przedstawiciele społeczności polskiej. Czasem także ludzie zupełnie przypadkowi, którzy wpadli w ręce tłuszczy...

B.P. — ***Jakie były skutki sowieckiej dywersji?***

T.Ł. — Należy zwrócić uwagę na bardzo ważny efekt propagandowy i psychologiczny tego typu działań. Tych kilka dni — pozornie spontanicznych, niekontrolowanych, często inspirowanych przez władze sowieckie — represji, które tworzyły wrażenie pewnego chaosu, znacznie skuteczniej przyczyniło się do zastraszenia miejscowej społeczności niż początkowe represje administracyjne. Kiedy miejscowi ludzie zorganizowani w samozwańcze milicje dopuszczali się morderstw, przemocy i rabunków, każda władza, nawet ta, która była wroga, nieznana i budząca grozę, mogła być przyjmowana jako pewien element porządkujący i stabilizujący.

K.K. — Tych kilka dni bezprawia i samowoli mocno wpłynęło na kształtowanie się w świadomości Polaków obrazu władzy sowieckiej i państwa sowieckiego w ogóle. Pamiętam relację młodego człowieka z Baranowicz, który potem był żołnierzem Polskiego Państwa Podziemnego, komendantem akcji czynnej na terenie jednego z inspektoratów AK i wykonawcą akcji likwidacyjnych. Gdy ujrzał wjeżdżających do Baranowicz czerwonoarmistów przemieszanych z cywilami — „milicjantami", będącymi jeszcze wczoraj sąsiadami Polaków, którzy na platformie ciężarówki wieźli polskiego policjanta z rozprutym brzuchem, z jelitami owiniętymi dookoła szyi, przeżył taki wstrząs, że zaprzysiągł sobie być zawsze bezwzględnym dla komunistów. Potem, jako egzekutor pionu działań akcji czynnej na terenie dwóch obwodów AK, rzeczywiście nie pobłażał amatorom „czerwonego raju". Sądzę, że ten początkowy okres „dni wolności" i wkraczania armii sowieckiej ma dla Polaków ogromne znaczenie dla postrzegania wschodniego sąsiada.

B.P. — ***Czy wystąpienia te miały charakter klasowy, czy rozgrywały się według kryteriów narodowościowych?***

K.K. — Można powiedzieć, że miały podłoże zarówno klasowe, jak i narodowościowe. Te wystąpienia były jednak przygotowane — lokalne organizacje, tzw. jaczejki komunistyczne, zawczasu szykowały broń, a także wybierały cele ataku. Jak już wspomniałem, sądzimy, że tego typu działania były inspirowane czy nawet organizowane przez sowieckie służby specjalne. Cele ataków zapewne wyznaczano dość ogólnie, natomiast realizacja należała do miejscowych komunistów — ludzi, którzy doskonale wiedzieli, w kogo uderzyć.

S.K. — Należy tu poczynić pewne rozgraniczenie. We wrześniu 1939 r. na Wschodzie mamy do czynienia zarówno ze świadomie realizowaną polityką państwa sowieckiego wobec innego państwa, które stało się obiektem podboju, jak też z pewnymi czynami, które w zawierusze wojennej dokonywane są niemal zawsze. To znaczy z przestępstwami, popełnianymi z własnej inicjatywy: w akcie zemsty, w celach rabunkowych itd. Jeżeli mówimy o „dniach wolności", które władze sowieckie ofiarowały zrewoltowanemu motłochowi, to niewątpliwie pojawia się kwestia szczebla, na którym zapadła decyzja o daniu marginesowi „wolnej ręki". Dodajmy,

że znane są liczne przypadki przestępstw popełnionych w czasie inwazji na Polskę nie tylko przez męty społeczne czy elementy komunistyczne, ale także przez samą Armię Czerwoną. Są to niekiedy zbrodnie bardzo drastyczne. Jeden z przykładów: pewien politruk kazał czerwonoarmistom ustawić w szeregu piętnastu wziętych do niewoli polskich żołnierzy i wystrzelić do nich z armaty. Powstaje pytanie, czy te wszystkie zdarzenia były sterowane odgórnie. Zapewne częściowo były inicjatywą oddolną, ale – jeżeli już się dokonały, najczęściej uzyskiwały aprobatę – władze sowieckie rozgrzeszały ich sprawców. Zdarzały się wprawdzie przypadki, w których prokuratorzy Armii Czerwonej, najwyraźniej przejęci swoją rolą, występowali z aktami oskarżenia wobec wspomnianych nadgorliwców.

B.P. – ***Jeśli nawet karano sprawców tych zbrodni, to nie dlatego że je popełnili, ale dlatego że działali samowolnie.***

S.K. – Można przypuszczać, i jesteśmy z pewnością co do tego zgodni, że nie chodziło tutaj o żadną sprawiedliwość. Każda armia, w której popełniane są takie czyny, może zamienić się w zbiorowisko elementu przestępczego. Chodziło więc o zachowanie dyscypliny i panowanie nad własnymi ludźmi. W systemie sowieckim nic nie mogło dziać się w sposób spontaniczny, improwizowany. Nawet mordowanie „kontrrewolucjonistów". Ludzie byli trybikami w systemie i mieli działać wyłącznie na rozkaz.

T.Ł. – Warto wskazać jeszcze na jedną kwestię, bardzo istotną dla naszych dalszych rozważań. Represyjne organy sowieckie wkraczające na Kresy Rzeczypospolitej miały doskonale spenetrowany teren. Wywiad sowiecki prowadził precyzyjne rozpoznanie szczególnie tych środowisk, w które potem zamierzano uderzyć.

B.P. – ***Robiono to już od lat dwudziestych.***

S.K. – Znane są nawet nazwiska funkcjonariuszy sowieckiego wywiadu z lat trzydziestych, których potem wynagrodzono za przeprowadzenie skutecznego rozpoznania. Na przykład tych, którzy dokonali rozpoznania wywiadowczego w Brześciu nad Bugiem, gdzie po wejściu Armii Czerwonej natychmiast zostały przeprowadzone aresztowania Polaków na podstawie przygotowanych wcześniej list. To nie było tak, że wkraczający Sowieci byli bezradni i musieli dopiero zbierać konieczne informacje. Mieli już doskonale spenetrowany od strony wywiadowczej teren. Nieocenione usługi oddali im miejscowi ludzie, m.in. działacze Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi i Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Specjalne formacje NKWD, grupy operacyjno-czekistowskie, wkraczały z gotowymi spisami osób przewidzianych do aresztowania. Zabierano zatem nie ludzi przypadkowych, choć w chaosie wojennym i takich aresztowań nie brakowało, tylko osoby wcześniej wytypowane według określonego klucza.

B.P. – ***Słowem, szybko skończyło się bezhołowie i wobec Polaków zaczęto realizować określone plany państwa sowieckiego.***

S.K. – NKWD aresztowało przede wszystkim funkcjonariuszy państwowych, bo na Polskę patrzono przez pryzmat jej ustroju, a ustrój ten nadawał się tylko do jednego – do zniszczenia przez „rewolucję z zewnątrz". Przecież Stalin, uzasadniając wojnę z Polską, powiedział do Georgi Dymitrowa: „cóż się stanie złego, jeśli zniszczymy kolejne państwo o ustroju kapitalistycznym i rozciągniemy system komunistyczny na nowe tereny i nowych mieszkańców". Represje sowieckie uderzały głównie w ludzi związanych z państwem polskim, a więc w urzędników państwowych, w armię, zwłaszcza w korpus oficerski, organy państwa odpowiedzialne za jego bezpieczeństwo: policję, straż graniczną, żandarmerię, wywiad, kontrwywiad. Ponadto dążąc do unifikacji zajętych terenów z ZSRS, niszczono całą, przebogatą strukturę życia społeczno-politycznego, bo była ona inna niż struktura państwa komunistycznego. Aby przygotować grunt pod obowiązujący w Sowietach system monopartyjny, likwidowano partie polityczne o najrozmaitszych orientacjach, w tym także partie mniejszości narodowych. Nawet zwalczająca państwo polskie Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów stała się przedmiotem ataku sowieckiego aparatu represyjnego, gdyż niezależnie od jej programowej wrogości do Polski ją także uważano za ugrupowanie antysowieckie. W nowym systemie nie było też miejsca dla organizacji o charakterze społecznym, w szczególności zaś tych, które posiadały orientację patriotyczną, jak Związek Oficerów Rezerwy czy Związek Strzelecki. Aresztowano kombatantów walk o niepodległość Polski, np. członków POW.

B.P. – ***Chyba także księży Kościoła katolickiego?***

S.K. – Rzeczywiście Kościół katolicki nie uniknął włączenia w system sowieckiej polityki represyjnej, z tym że początkowo prześladowania Kościoła przybrały nieco inny wymiar. Polegał on przede wszystkim na niszczeniu podatkami, natomiast nie był tak ostry w sferze represji policyjnych. Te ostatnie dotknęły przede wszystkim tych duchownych, którzy angażowali się w konspirację antysowiecką, wypowiadali się przeciw władzy okupacyjnej lub po prostu zajmowali stanowisko patriotyczne, np. publicznie głosząc wiarę w odrodzenie państwa polskiego. Wydaje się, że taki model postępowania w stosunku do duchowieństwa był motywowany obawą Sowietów przed sprowokowaniem gremialnego oporu społecznego, gdyż ludność polska uważana była za bardzo religijną i przywiązaną do Kościoła. Można przypuszczać, że przyjęto założenie, iż w początkowym okresie, kiedy sowiecka machina represyjna stanęła wobec gigantycznego zadania spacyfikowania polskiego społeczeństwa – należy chwilowo ograniczyć masowe represje wobec duchowieństwa. Mogły one bowiem wywołać nieobliczalne konsekwencje.

B.P. – ***Jak z tego widać, w Sowietach także represje musiały mieć planowy charakter. Ofiary podzielono na różne kategorie. Jedni mieli być represjonowani niemal natychmiast, inni później. Można tutaj wyróżnić także grupę tych byłych obywateli polskich, których chciano poddać***

swoistej reedukacji, i tych, których w pewnym sensie uznawano za »przypadki beznadziejne«, zasługujące jedynie na wyeliminowanie z sowieckiego społeczeństwa, raz na zawsze kulą w tył głowy czy też na skutek niewolniczej pracy na którejś z wysp niesławnego archipelagu Gułag.

K.K. – Mamy rzeczywiście do czynienia z kilkoma kategoriami podmiotów represji. W pierwszej kolejności byli to jeńcy, żołnierze WP, którzy wpadli w ręce sowieckie w wyniku działań wojennych w 1939 r. Ich liczbę ocenia się na około 250 tys. ludzi, z czego blisko połowę przekazano NKWD. Część szeregowych zwolniono do domów, część w październiku i listopadzie 1939 r. na mocy umowy z Niemcami dostała się w ręce niemieckie. Jednocześnie Niemcy przekazali kilkanaście tysięcy polskich jeńców stronie sowieckiej.

T.Ł. – Pominę na razie losy oficerów i policjantów, którzy zostali zamordowani w ramach zbrodni katyńskiej, do tego wątku jeszcze wrócimy. Na mocy decyzji Ławrientija Berii z końca września 1939 r. władze sowieckie zatrzymały około 25 tys. jeńców – szeregowych i podoficerów, celem wykorzystania ich do pracy przy budowie dróg strategicznych. Ostatecznie do tzw. systemu obozów budowy NKWD nr 1 w rejonie równeńskim trafiło około 15 tys. jeńców polskich. Skierowano ich przede wszystkim do budowy drogi łączącej Nowogród Wołyński ze Lwowem. Pozostawali tam aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Na ogół nie byli dość skrupulatnie pilnowani i części – około 1,5 tys. – udało się szczęśliwie zbiec.

S.K. – Jednak i wobec tej grupy zastosowano elementy bardziej ostrych represji. Część z nich, około 10 tys. ludzi, skierowano później do pracy przymusowej w rozmaitych zakładach przemysłowych, kopalniach metali na wschodniej Ukrainie – w Zaporożu, Krzywym Rogu i Jeleno-Karakubie. Ponieważ na samym wstępnie obiecano im, że będą pracować krótko i niebawem zostaną zwolnieni, po pewnym czasie zaczęli się buntować i odmawiać pracy. I właśnie w odwecie za to w połowie 1940 r. przerzucono ich z południa na daleką północ, do republiki Komi, i skierowano do niewolniczej pracy przy budowie linii kolejowej Kotłas–Workuta. Pracowali tam w bardzo ciężkich warunkach w Północnym Kolejowym Obozie Pracy, tzw. *Siewżeldorłagu*.

T.Ł. – Trzeba zwrócić uwagę na oczywisty fakt, że nie zapewniono im praw jeńców wojennych.

S.K. – Należy jeszcze dodać, że także w tym przypadku zaznaczyło się klasowe podejście. Szeregowych, ale raczej chyba już nie podoficerów, władze sowieckie w zasadzie nie uważały za wroga klasowego; dla nich był to „lud". Natomiast oficerów, a potem też i podoficerów, traktowano jak wrogów klasowych – korpus oficerski był szczególnie znienawidzony przez władze sowieckie.

T.Ł. – Jeśli chodzi o szeregowych, mamy tu do czynienia z wyróżnikiem narodowym. Można powiedzieć, że byli oni represjonowani głównie z uwagi na przynależność do narodu polskiego, natomiast w przypadku oficerów czynnikiem współdecydującym była niewątpliwie tzw. przynależność klasowa.

K.K. – Nie można pominąć kolejnej formy represji, jaką był bezprawny pobór obywateli Rzeczypospolitej do armii sowieckiej. Kilka roczników, sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi, wcielono do Armii Czerwonej. Prawdopodobnie większość z nich zginęła w początkowym okresie wojny niemiecko-sowieckiej. Istnieje mnóstwo wspomnień, pamiętników i relacji osób uwięzionych lub deportowanych, wspomnienia „polskich czerwonoarmistów" należą natomiast do rzadkości. To, że tak niedużo mamy relacji tych ludzi, świadczy o tym, jak wielu z nich zginęło.

S.K. – Wcielenie obywateli napadniętego państwa do armii agresora jest zbrodnią wojenną. Możemy sobie wyobrażać czy domyślać się, w jakich nastrojach, w jakim stanie psychicznym znajdowali się ludzie, których nagle wcielono do armii napastniczej, zaborczej, a oni pod przymusem stali się jej żołnierzami.

B.P. – ***Drugą wielką grupę osób dotkniętych sowieckimi represjami tworzą ci, których uznano za przestępczy »element antysowiecki«.***

K.K. – I aresztowano ich z tego powodu. Ocenia się, że osób, które spotkał taki los w latach 1939–1941, było sto kilkadziesiąt tysięcy. Byli wśród nich przedstawiciele różnych struktur państwa polskiego, organizacji politycznych i społecznych, a także ci, którzy podjęli konspiracyjną działalność niepodległościową. Najliczniejszą grupę w tej kategorii (prawie połowę) stanowili jednak ludzie, którym nie powiodła się próba sforsowania granicy sowieckiej, przebiegającej – jak wiadomo – przez sam środek ziem polskich. Aresztowanych obywateli polskich sowiecki wymiar sprawiedliwości skazywał następnie na różne kary, w tym na karę śmierci. Do obozów pracy niewolniczej, a więc do łagrów, trafiło około 40 tys. Polaków. Pozostali byli trzymani w więzieniach, w bardzo trudnych warunkach.

S.K. – Łagiernicy to odrębna grupa. Nie byli oni represjonowani na mocy decyzji administracyjnej, jak zesłańcy, ale na podstawie sowieckiego kodeksu karnego. Najczęściej wyrok łagru zapadał z osławionego artykułu 58, traktującego o „przestępstwach państwowych", do których zaliczano m.in. antysowiecką agitację i propagandę, aktywną walkę przeciw międzynarodowemu ruchowi robotniczemu czy szpiegostwo. Jak w praktyce rozumiano te przestępstwa? Za antysowiecką agitację uważano najmniejszą krytyczną wypowiedź pod adresem władz ZSRS. Dlatego pozornie niewinna uwaga o złym zaopatrzeniu sklepów mogła zaprowadzić jej autora do obozu. Za szpiega mógł być uznany każdy schwytany podczas próby przekroczenia linii Ribbentrop-Mołotow. Uważano, że jeśli przychodził ze strony Niemców, to niewątpliwie w celach szpiegowskich, jako agent Gestapo. Oczywiście, do łagrów trafiali też rzeczywiści przeciwnicy władzy sowieckiej, np. członkowie organizacji konspiracyjnych – o ile nie spotkał ich los jeszcze gorszy, czyli kara śmierci.

Życie w obozach to była nieustanna walka o przetrwanie: nie zamarznąć na mrozie, nie umrzeć z głodu, nie dać się zabić przez nadzorców czy więźniów kryminalnych. Skazani Polacy trafili głównie na północ Związku Sowieckiego, do re-

publiki Komi, obwodu archangielskiego, na słynącą z zabójczych mrozów Kołymę. Kierowano ich tam głównie do wyrębu lasów, kopalń węgla kamiennego, ropy naftowej i złota.

Wielu naszych rodaków przeszło przez łagry, wśród nich postacie tak znane jak prof. Stanisław Grabski, prof. Mojżesz Schorr czy Eugeniusz Bodo. Dwaj ostatni nie przeżyli piekła Gułagu.

B.P. — ***Losy polskich łagierników opisali Gustaw Herling-Grudziński w swoim wstrząsającym »Innym świecie« i Aleksander Sołżenicyn w »Archipelagu Gułag«. Wielu ludzi nie dostało jednak nawet takiej szansy.***

K.K. — Wiadomo mniej więcej, ilu z aresztowanych zostało następnie zamordowanych. Tych ofiar było prawie dokładnie osiem i pół tysiąca (w tym 7305 bez sądu na mocy tzw. decyzji katyńskiej Biura Politycznego partii bolszewickiej z 5 marca 1940 r.). Do dziś nie wiemy, gdzie większość z nich została pochowana, a właściwie wrzucona do masowych grobów.

B.P. — ***Czy da się powiedzieć, że to jest koniec tego strasznego bilansu, czy można się spodziewać odnalezienia kolejnych miejsc? Czy w tym bilansie brakuje jeszcze jakichś ludzi — wojskowych, funkcjonariuszy państwa, tych, którzy zaginęli? Czego jeszcze nie wiemy?***

S.K. — Brakuje nam dokładnej wiedzy, co się stało ze wspomnianymi 7305 osobami, rozstrzelanymi na mocy decyzji katyńskiej. Ślad po nich urywa się w więzieniach Ukrainy i Białorusi. Najprawdopodobniej były to więzienia w Kijowie, Charkowie, Chersoniu i Mińsku. Ich dalszy los to prawdziwa „biała plama". Zostali rozstrzelani, to pewne, ale gdzie, przez kogo, w jakich okolicznościach i gdzie są pochowani — tego, niestety, dotąd nie ustalono. I nie mamy pewności, czy kiedykolwiek się to uda.

K.K. — Znana jest lista osób rozstrzelanych na Ukrainie, tzw. lista ukraińska. Lista białoruska do tej pory nie jest znana. Są spisy osób rozstrzelanych, natomiast dalej nie wiemy, gdzie je rozstrzelano i pochowano. Okoliczności popełnienia tej zbrodni są niejasne, zwłaszcza że w grę wchodzą przynajmniej cztery więzienia. W sytuacji niemożności zlokalizowania miejsc ich pochówków nie da się uczcić ich pamięci wzniesieniem cmentarzy wojennych.

B.P. — ***Rzeczywiście ważne jest to, co pan powiedział, że wcale nie mamy pewności, czy się kiedykolwiek tego dowiemy. Czy kiedykolwiek, komukolwiek z tamtej strony będzie zależało na tym, żeby zostały udostępnione wszystkie zachowane dokumenty. Ta niepewność dotyczy struktur rządowych, nie tylko zresztą rosyjskich, ale np. białoruskich. Szczęśliwie nieco inaczej, jak wspominaliśmy, wygląda współpraca z Ukrainą. Nie można też zapomnieć o ofiarnym wysiłku takich organizacji społecznych jak rosyjski »Memoriał«, skupionych na***

dokumentowaniu wszystkich systemowych zbrodni komunistycznych, dotyczących również narodów spoza imperium sowieckiego.

K.K. – Nie wspomnieliśmy jeszcze o aktach ludobójstwa, towarzyszących sowieckiemu odwrotowi w momencie wybuchu wojny pomiędzy III Rzeszą a ZSRS w czerwcu 1941 r. Wycofujący się Sowieci wymordowali więźniów politycznych z licznych więzień na Litwie, Białorusi i Ukrainie. Część z nich zginęła podczas próby ewakuacji w tzw. marszach śmierci. Liczba ofiar, wśród których większość stanowili Polacy, sięgała co najmniej kilkunastu tysięcy osób. Największe miejsca zbrodni to Berezwecz, Oszmiana, droga Mińsk Białoruski–Czerwień, Lwów (gdzie w trzech więzieniach, m.in. Brygidkach, zamordowano blisko 4 tys. osób), Dubno, Żółkiew, Tarnopol, Czortków, Sambor, Borysław, Szczerce, Złoczów, Wilejka. Pisał o tym ostatnio pracownik Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie Bohdan Musiał w ciekawej i zarazem kontrowersyjnej książce *Rozstrzelać elementy kontrrewolucyjne!: brutalizacja wojny niemiecko–sowieckiej latem 1941 roku*.

B.P. – ***Jednak największą liczebnie grupę represjonowanych tworzyli wywiezieni w czterech wielkich deportacjach tzw. specpieresielency.***

K.K. – Na anektowane przez ZSRS województwa wschodnie spadły cztery masowe deportacje: z 10 lutego, 12–13 kwietnia i czerwca 1940 r. oraz z końca czerwca 1941 r. Znawcy tematu wymieniają jeszcze mniejsze strumyczki deportacji. Podstawowe pytanie dotyczy liczby osób, które dotknęła ta forma represji. Ocena ta wygląda inaczej w źródłach sowieckich niż w polskiej literaturze. W dawniejszych polskich publikacjach szacowano liczbę ofiar deportacji na 1,2–1,5 mln. Dokumenty sowieckie, wykazy wojsk konwojowych wskazują na liczbę znacznie mniejszą. Mówi się tam o 320–330 tys. deportowanych.

S.K. – Deportacje były formą represji o charakterze administracyjnym. Przedmiotem zainteresowania władz nie były poszczególne osoby, lecz całe, zwarte grupy społeczne. Pierwsza deportacja – lutowa – objęła służbę leśną i osadników wojskowych z rodzinami; ofiarami deportacji z kwietnia 1940 r. były rodziny oficerów – jeńców wojennych i osób aresztowanych przez NKWD; kolejna deportacja, z czerwca 1940 r., dotyczyła uchodźców z terenów okupowanych przez Niemcy, tzw. bieżeńców, którzy zgłosili chęć powrotu na drugą stronę linii Ribbentrop–Mołotow, lecz nie zostali przyjęci przez stronę niemiecką. Paradoksalnie byli to w większości polscy Żydzi, którzy dzięki tej odmowie mogli uratować życie. Co było przyczyną ich wywózki? Otóż zgłoszoną przez nich chęć wyjazdu władze ZSRS uznały za oczywiste świadectwo antysowieckiego nastawienia. Według charakterystycznego dla władzy sowieckiej sposobu myślenia „bieżeńcy" byli jej przeciwnikami, bo nie chcieli pozostać na sowieckim terytorium. Znam przypadek kobiety, która zgłosiła NKWD, że chce wrócić do GG, i z tego powodu została aresztowana i skazana. Uznano, że skoro nie chce zostać na terytorium sowieckim,

to bez wątpienia jest nastawiona antysowiecko. To jest sposób myślenia dla nas zupełnie niepojęty.

B.P. — ***Jest jednak zgodny ze stanem rzeczy, przecież ona naprawdę nie chciała tam zostać.***

S.K. — Chciała po prostu wrócić do domu. Ostatnia deportacja, z przełomu maja i czerwca 1941 r., wyłamuje się z wcześniejszego jednolitego schematu. Wywózka ta miała bardziej złożony charakter aniżeli deportacje wcześniejsze, „rozszczepiała się" bowiem na prowadzone w rozmaitym trybie, a zatem w pewnym sensie autonomiczne, wywózki z Wileńszczyzny, Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy. Oczywiście, to wewnętrzne zróżnicowanie mieściło się w ramach jednej, wielkiej akcji. Na Wileńszczyźnie tzw. głowy rodzin aresztowano i wywieziono do obozów, a ich rodziny deportowano; na Zachodniej Białorusi „kontrrewolucjoniści" zostali aresztowani i osadzeni w więzieniach, natomiast ich rodziny również deportowano; deportacja z Zachodniej Ukrainy polegała na wywiezieniu rodzin osób aresztowanych wcześniej.

T.Ł. — Trzy wcześniejsze deportacje przeprowadzono w ciągu jednego czy dwóch dni, natomiast ta z czerwca 1941 r. była bardziej rozłożona w czasie. Na tzw. Zachodniej Ukrainie rozpoczęła się już w maju, w połowie czerwca objęła republiki nadbałtyckie, a w trzeciej dekadzie tego miesiąca — Białoruś.

K.K. — Z nasileniem w ostatnich dniach. Transporty z wielu miejscowości wyjeżdżały już po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, dosłownie pod niemieckimi bombami.

B.P. — ***Moje pytanie może panów zdziwić: czy można oszacować, ile kosztowała ta olbrzymia operacja przeprowadzenia deportacji? Państwo sowieckie miało wówczas wiele olbrzymich wydatków, chociażby związanych ze zbrojeniami czy z nieudolnie prowadzoną wojną z Finlandią. Deportacje musiały być dla niego dużym wysiłkiem zarówno organizacyjnym, jak i finansowym.***

K.K. — Zapewne władze ZSRS, decydując się na przeprowadzenie deportacji ludności polskiej, dokonały kalkulacji kosztów tej olbrzymiej operacji, podobnie jak oszacowały zyski — polityczne i materialne. Ludzie ci wyrzuceni z ojcowizny, wsadzeni do pociągów i wywiezieni do odległych republik ZSRS pozostawili po sobie cały swój majątek — domy w miastach, gospodarstwa, konie, krowy, mienie ruchome. Trzeba też pamiętać, że deportowanych Polaków osiedlonych w nowych miejscach przymusowego pobytu wykorzystywano jako najtańszą, niewolniczą siłę roboczą. Najważniejsze były jednak zyski polityczne, „rozpolaczano" nowo anektowane tereny, pozbywając się potencjalnych przeciwników.

B.P. — ***Czyli istniało coś takiego, jak ekonomia wojenna. Pewnie się te działania bilansowały.***

S.K. — Zbadanie ekonomicznej strony represji sowieckich byłoby dla historyków bardzo ciekawym tematem. W dotychczasowych badaniach kwestia ta pojawia

się marginalnie. Nie znam prac, w których dogłębnie analizowano by problem deportacji z ekonomicznego punktu widzenia.

B.P. — ***Zadałam to pytanie dlatego, że przemieszczenia całych narodów, których dokonywano w Związku Sowieckim, musiały się wiązać — o czym często się zapomina — z ogromnym wysiłkiem finansowym państwa. Mam tu na myśli również olbrzymie wysiedlenia, jakim poddawano całe narody kaukaskie i azjatyckie, także w czasach pokoju. To państwo nie liczyło się z żadnymi kosztami, żeby móc zrealizować pewne szalone lub bardziej racjonalne pomysły swoich przywódców.***

S.K. — Wydaje się, że w Sowietach na wszystko mogło nie być pieniędzy, ale na represje musiały być i były, w końcu mówimy o państwie policyjnym. Wywiezienie powiedzmy 140 tys. ludzi w pierwszej deportacji to olbrzymia logistyczna operacja, która wymagała skierowania armii enkawudzistów, milicjantów i aktywistów partyjnych, zaangażowania wojsk konwojowych, przygotowania składów kolejowych i nowych miejsc osiedlenia. Operacja taka przynosiła jednak także wymierny zysk. Bardzo skrupulatnie zajęto się mieniem pozostawionym przez wywiezionych. Na przykład w każdym gospodarstwie deportowanych osadników wojskowych wszystko dokładnie policzono, zważono, zmierzono i przejęło to państwo.

T.Ł. — Niemniej podstawowymi i decydującymi o powstaniu takiej koncepcji były czynniki: klasowy i narodowościowy. Chodziło o rozbicie struktury wrogiego klasowo państwa, które podbito. W kolejnych fazach deportacji mamy do czynienia z planową eliminacją konkretnych grup społecznych. Zaczęto od tzw. warstw oświeconych, kierowniczych, osadników wojskowych, ludzi tworzących społeczną „tkankę państwa", skończono zaś na ich rodzinach i bliskich. Wszystkie koszty związane z przeprowadzeniem operacji były w tym wypadku podporządkowane decyzji politycznej. Rachunek ekonomiczny był w gruncie rzeczy najmniej istotny. Jasne było przecież, że gospodarz pracujący we własnym gospodarstwie był bardziej wydajny od robotnika rolnego przymusowo osiedlonego na stepach Kazachstanu, gdzie w kołchozie uzyskiwano plony wielokrotnie mniejsze niż na polskich Kresach. Nawet wspomniana już kwestia zagrabienia dóbr pozostawionych przez deportowanych była jedynie efektem ubocznym realizacji decyzji politycznej, której głównym celem było rozbicie konkretnych grup — klas społecznych państwa podbitego.

B.P. — ***Była realizacją polityki agresji, której celem było zniszczenie »białopolskiego« państwa, stojącego na drodze sowieckiej światowej ekspansji.***

S.K. — Trzeba wyraźnie podkreślić, że w przypadku osób deportowanych mamy do czynienia z ofiarami represji politycznych. Zasadniczym celem deportacji nie było przesiedlenie obywateli Rzeczypospolitej do nowych miejsc pobytu. Celem było usunięcie ich z tych ziem, które zostały anektowane. Chodziło tutaj o — jest takie sowieckie pojęcie — „obezhołowienije", czyli obcięcie głowy. Jeżeli spojrzymy na

strukturę społeczną zbiorowości poddanej deportacjom czy aresztowaniom, stwierdzimy, że obiektem represji były przede wszystkim osoby zdolne do odgrywania w społeczeństwie polskim roli przywódczej i opiniotwórczej, najbardziej świadome politycznie i narodowo. Główny nurt represji to walka z państwem polskim, które jako państwo „nacjonalistyczne" miało być zniszczone. Teren musiał być spacyfikowany, element związany z polską państwowością i nienadający się do zsowietyzowania eksterminowany, a co najmniej fizycznie usunięty. Po tym oczyszczeniu, „odchwaszczeniu" terenu implantowano tam system sowiecki.

K.K. – Mówiliśmy o kryteriach klasowych, ale w grę wchodzą także kryteria narodowe. Chociaż, trzeba przyznać, że proporcje, jeżeli chodzi o narodowość deportowanych, wyglądały tutaj bardzo różnie, w zależności od kategorii poddawanej tej formie represji. I tak w pierwszej deportacji z lutego 1940 r. Polaków było ponad 80 proc., Ukraińców trochę mniej niż 9 proc., wreszcie Białorusinów nieco ponad 8 proc. Z kolei w wywózce z lata 1940 r., która dotknęła głównie tzw. bieżeńców (a więc ludzi zamieszkujących stale na ziemiach okupowanych wówczas przez Niemców) prawie 85 proc. stanowili polscy Żydzi, a tylko kilkanaście procent rdzenni Polacy. Nie zmienia to faktu, że większość wywiezionych obywateli polskich było Polakami, obywatelami polskimi narodowości polskiej.

S.K. – Rzeczywiście, zbiorowe represje stosowane przez sowiecki aparat państwowy wobec obywateli Rzeczypospolitej miały nie tylko wymiar klasowy, ale także narodowościowy. Wracamy tutaj do tego, o czym mówiliśmy poprzednio, do losu jeńców wojennych. Mówiąc o jeńcach obozów specjalnych, czyli tych, których przetrzymywano w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku, pamiętajmy, że były to wielkie skupiska ludzi potencjalnie niebezpiecznych dla państwa sowieckiego. Ludzi, którzy nigdy nie pogodzili się z utratą niepodległości przez Polskę i cały czas myśleli o odrodzeniu, restytucji Polski – o walce o państwo polskie. Oto dlaczego zginęli oficerowie Wojska Polskiego i funkcjonariusze państwowi z tych trzech obozów.

K.K. – Zwraca uwagę to, że represyjne, ludobójcze działania sowieckie zbiegają się w czasie z podobnym postępowaniem Niemiec hitlerowskich, skierowanym przeciw polskiej inteligencji, prowadzonym w ramach specjalnej akcji oznaczonej kryptonimem A–B. Na terenie okupacji sowieckiej niszczenie polskich warstw przywódczych odbyło się w ramach operacji, którą dziś określamy terminem zbrodni katyńskiej. Zginęło wówczas w zbiorowych egzekucjach 14 700 polskich oficerów i pracowników służb państwowych wziętych do niewoli w 1939 r. oraz 11 tys. osób przetrzymywanych w więzieniach na Białorusi i Ukrainie. Łącznie 21 700 ludzkich istnień.

S.K. – Mówiliśmy już o osobach deportowanych i aresztowanych. Status deportowanych łatwo mógł ulec zmianie, dochodziło do wtórnych represji wobec zesłańców. Wiadomo, że byli oni pod stałym nadzorem NKWD w posiołkach oraz innych miejscach, w których ich osiedlano. O wejście w konflikt z sowieckim

prawodawstwem, tamtejszym drakońskim kodeksem karnym, penalizującym nawet spóźnienie się do pracy, było bardzo łatwo. Zesłańców cały czas inwigilowano, wystarczyła, dajmy na to uwaga, że nie mamy co jeść, albo że jedzenia jest za mało, żeby zostać oskarżonym o antysowiecką agitację, dostać wyrok i znaleźć się w obozie. Zmiana statusu z zesłańca czy specprzesielenca w aresztowanego, a potem więźnia łagru, była dość prosta i odbywała się według schematu – aresztowanie, śledztwo, wyrok.

K.K. – Wolny skazaniec był w gruncie rzeczy też kimś w rodzaju więźnia, nie miał możliwości decydowania o sobie, przemieszczania się, decydowania o wyborze pracy.

B.P. – ***Gwoli sprawiedliwości powiedzmy, że właściwie gros obywateli sowieckich było pozbawionych tych wszystkich elementarnych praw. Polacy znajdowali się więc w sowieckich realiach.***

K.K. – Ogrom cierpień i strat obywateli sowieckich wykracza poza ramy naszej dyskusji...

B.P. – ***Sytuacja polskich więźniów i zesłańców uległa jednak okresowej zmianie na lepsze po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r.***

K.K. – Po układzie Sikorski–Majski, w sierpniu 1941 r. ogłoszono amnestię dla Polaków więzionych w ZSRS. Według sowieckich szacunków miała ona dotyczyć blisko 400 tys. osób.

S.K. – Ta amnestia miała bardzo skomplikowany charakter. Sowieckie dane na jej temat nie są w pełni wiarygodne. Mamy ogólne informacje, z których wynika, że nieomalże wszyscy obywatele RP zostali zwolnieni, ale wiadomo, że nie była to prawda. Chociażby z tego powodu, że z prawa do amnestii wykluczono od grudnia 1941 r. przedstawicieli mniejszości narodowych II Rzeczypospolitej. Sowieci uznali, że tylko obywatele polscy narodowości polskiej zachowali polskie obywatelstwo i tylko ich obejmuje amnestia. Znamy przykłady – co ciekawsze, ze źródeł sowieckich – z których wynika, że w samej tylko Workucie zatrzymano 600 Polaków. To dużo więcej niż funkcjonująca w ogólnych rozliczeniach całkowita liczba obywateli polskich wyłączonych z dekretu o amnestii. Należy przyjąć, że ta amnestia wciąż kryje w sobie tajemnice. Nadal nie wiemy, ile osób zatrzymano w wyniku dowolnych interpretacji dokonanych przez lokalne władze sowieckie. Wydaje się, że zesłańcy mimo wszystko mieli większą możliwość skorzystania z amnestii. Władze sowieckie skupiły większą uwagę na aresztowanych i skazanych, wśród których byli ludzie według nich w ogóle niezasługujący na zwolnienie, np. oskarżeni o szpiegostwo, a także tacy, których według sowieckiego kodeksu karnego skazano za przestępstwa kryminalne. Pewne zagadnienia prawne zupełnie inaczej regulowano w polskim kodeksie karnym niż w sowieckim. W czerwcu 1940 r. wprowadzono karę za spóźnienie się do pracy (za *proguł*), można było za nie dostać dwa lata łagru.

W polskim prawie była to rzecz zupełnie nieznana. Polskie władze musiały więc walczyć o zwolnienie z mocy amnestii tych obywateli RP, których władze sowieckie z niej wyłączyły. Walka ta czasem kończyła się sukcesem, nie brakowało jednak porażek. Nie mogło być inaczej, bo pełnia władzy wykonawczej w sprawie amnestii znajdowała się w rękach sowieckich. Strona sowiecka z tego korzystała, swobodnie decydując, kogo należy zwolnić, a kogo zatrzymać, jakie kategorie osób należy wyłączyć z prawa do amnestii. Obecnie wiadomo już z dokumentów sowieckich, że niektórych kategorii osób po prostu z założenia nie zwalniano, nawet nie informując o tym strony polskiej.

B.P. — ***To znaczy?***

S.K. — Na przykład skazanych za przestępstwa „kryminalne", członków rozmaitych organizacji „nacjonalistycznych", oskarżonych o szpiegostwo, współpracowników policji oskarżonych o inwigilację KPZU i KPZB, obywateli polskich narodowości niemieckiej, włoskiej, fińskiej i węgierskiej. Ludzi tych wyłączono z możliwości skorzystania z amnestii i strona sowiecka odrzucała wszelkie sugestie rewizji swego stanowiska w tej sprawie. Polskie zabiegi o ich uwolnienie były bezskuteczne, nic się nie dało dla nich zrobić.

K.K. — Walkę w sprawie osób zatrzymywanych przez władze sowieckie prowadziły delegatury ambasady RP w Związku Sowieckim. Placówki te, powołane jako filie ambasady, funkcjonowały w wielu miastach, w zasadzie w każdym mieście obwodowym. Zajmowały się opieką nad Polakami, nie uprawiały żadnej polityki, nie miały więc charakteru konsulatów. To były placówki wyłącznie opiekuńcze, powołane po to, żeby pomagać ludności polskiej, która znajdowała się w straszliwych warunkach, wyniszczona, wygłodzona, pozbawiona ubrań, obuwia. Przedstawiciele polskich placówek w pewnym momencie też stali się obiektami działań represyjnych, i to jeszcze przed wyjściem armii gen. Władysława Andersa. Był taki moment, kiedy w planowy sposób zaatakowano te placówki i aresztowano grupę ich pracowników i współpracowników. Co prawda potem tych ludzi zwalniano, ale nie wszystkich, a jeszcze później, w okresie paszportyzacji, o której tutaj jeszcze będzie mowa, po raz drugi poddano ich represjom.

S.K. — Szefowie placówek, delegaci, mieli status dyplomatyczny, nie mieli go natomiast pracownicy delegatur. Uderzono we wszystkich, nie pominięto nawet osób posiadających paszport dyplomatyczny. Większość tych ostatnich zwolniono na skutek protestu władz polskich i korpusu dyplomatycznego akredytowanego w Związku Sowieckim. Zwolnienie ich — to rzecz mniej znana — polegało na skazaniu zaocznym wyrokiem na wydalenie z granic ZSRS.

Amnestia, o czym trzeba pamiętać, nie położyła kresu represjom, choć niewątpliwie zmniejszyła ich skalę. Sowieci w dalszym ciągu rościli sobie pretensje do sprawowania jurysdykcji nad naszymi obywatelami. Wystarczyło znowu cokolwiek powiedzieć lub zrobić, co według władz sowieckich było skierowane przeciw ich

interesom, by zostać aresztowanym i skazanym. Według danych sowieckich po amnestii aresztowano kilkanaście tysięcy osób. Ewidentnym przykładem omawianego procederu jest głośna sprawa Henryka Ehrlicha i Wiktora Altera – przywódców polskiego „Bundu" [żydowskiej partii o charakterze socjaldemokratycznym – red.] i jednocześnie pracowników ambasady RP w ZSRS. Aresztowano ich w Kujbyszewie w grudniu 1941 r. Pierwszy z wymienionych powiesił się we własnej celi (przynajmniej tak głosi wersja sowiecka) w 1942 r. Drugiego rozstrzelano w roku następnym. Władzom polskim powiedziano, że obaj zostali aresztowani za współpracę z Niemcami, i zatajono prawdę o ich dalszym losie.

T.Ł. – Amnestia z sierpnia 1941 r. była jednak czymś wyjątkowym w polityce represyjnej władz sowieckich. Nadal prowadzono planowe represje, w takim czy innym wymiarze. Strona polska nie miała żadnych atutów w tej rozgrywce z „sojusznikiem naszych sojuszników", mogła liczyć wyłącznie na jego dobrą wolę, na to, że zechce on respektować podjęte ustalenia i będzie gotów zwalniać obywateli polskich. Kiedy tej dobrej woli nie było, Polacy nie mieli praktycznie żadnych instrumentów, żeby doprowadzić do wyegzekwowania umów już zawartych, ani możliwości sprawdzenia, czy amnestia ma wymiar pełny czy selektywny. Tę wiedzę pozyskiwano wyłącznie dzięki relacjom osób, które docierały do polskich przedstawicielstw i placówek z różnych części Związku Sowieckiego i przekazywały informacje o Polakach nadal pozostających w łagrach i więzieniach.

B.P. – ***Pojawia się tutaj wielokrotnie dyskutowana przez polityków i historyków kwestia interpretacji znaczenia układu Sikorski–Majski z punktu widzenia interesów Polski i interesów Związku Sowieckiego. Samo zawarcie tego układu, a w konsekwencji przeprowadzenie amnestii, da się wpisać znowu w pewną ekonomię działań imperium; był to czas wojny, kiedy trzeba było niektóre rzeczy niezbędne wykonać, jak np. zapewniać sobie jakiś rodzaj lojalność ze strony Polaków i użyć ich w wojnie przeciw Niemcom.***

S.K. – Zgadzam się z tym, co pani powiedziała o swoistej sowieckiej ekonomii w działaniach politycznych, choć nieco inaczej bym ją rozumiał. Weźmy pod uwagę, że układ Sikorski–Majski i amnestia nastąpiły w momencie, gdy Związek Sowiecki ponosił klęski i rozpaczliwie poszukiwał sojusznika. Moim zdaniem tym sojusznikiem niekoniecznie miała być suwerenna Polska. Nasz kraj był wówczas aliantem brytyjskim, a Sowieci potrzebowali wsparcia w walce z Niemcami. Anglia wystąpiła z propozycją sojuszu, ale stawiała warunek, że ma być zawarty także układ z Polską. Dla Sowietów była to transakcja wiązana, której nie mogli uniknąć. Znana jest wypowiedź wiceministra spraw zagranicznych ZSRS Andrieja Wyszyńskiego, który stwierdził, że ten układ był właściwie dla nich niekorzystny i tak naprawdę nie chcieli go zawrzeć. Przypuszczam, że jego zdaniem to, co stało się po układzie Ribbentrop–Mołotow, było sytuacją optymalną. Chociaż niektórzy

historycy twierdzą, że Sowieci już wtedy mieli bardziej dalekosiężne plany – pójść jeszcze dalej na Zachód.

K.K. – Związek Sowiecki, będący dotychczas dla Polski agresorem i okupantem, po układzie Sikorski–Majski stał się nieoczekiwanie naszym sojusznikiem. W istocie pozostawał jednak nadal śmiertelnym wrogiem Polski. Jedno jest pewne, amnestia ta dała blisko 120 tys. ludzi szansę wyjścia ze Związku Sowieckiego z gen. Andersem na Bliski Wschód.

B.P. – ***W związku z odkryciem przez władze niemieckie grobów katyńskich Stalin zerwał oficjalne stosunki dyplomatyczne z rządem Polski na uchodźstwie. Akt ten prowadzi do kolejnego wielkiego problemu dotyczącego wszystkich Polaków przebywających na terenie ZSRS, jakim była tzw. paszportyzacja w 1943 r.***

S.K. – Rozprawę z Polakami, którzy pozostali na terytorium sowieckim po ewakuacji armii gen. Andersa, zapoczątkowała nota sowiecka z 16 stycznia 1943 r.; zawiadomiono w niej, że rząd sowiecki przestaje uznawać obywatelstwo polskie Polaków, którzy 1–2 listopada 1939 r. przebywali na terenie tzw. Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Polacy przebywający na terytorium sowieckim stawali się zatem, w myśl wspomnianej noty, obywatelami ZSRS. Ponieważ nie posiadali sowieckich dokumentów tożsamości, władze sowieckie przystąpiły do akcji paszportyzacyjnej, polegającej na odbieraniu dokumentów stwierdzających obywatelstwo polskie i wręczaniu sowieckich dokumentów tożsamości – paszportów. Tym ludziom po raz wtóry narzucono obywatelstwo ZSRS, po raz pierwszy zrobiono to w 1939 r., równie bezprawnie. Jednak metody zastosowane w 1943 r. przekroczyły wszelkie wyobrażenie. Polaków wzywano do NKWD i wszelkimi sposobami – także zastraszaniem i biciem – zmuszano do przyjęcia sowieckiego dowodu osobistego. Znane są relacje z okresu paszportyzacji, mówiące o dramatach matek, którym grożono, że w razie odmowy przyjęcia sowieckiego obywatelstwa odbierze im się dzieci i odda do sowieckich sierocińców.

B.P. – ***Co zrobiono z tymi nielicznymi ludźmi, którzy nie poddali się presji i zdecydowanie odmówili przyjęcia sowieckiego dowodu osobistego?***

S.K. – Z armią gen. Andersa wyszło z terytorium sowieckiego bardzo wielu mężczyzn. Pozostały w przeważającej mierze kobiety, którym trudno było stawiać opór władzom sowieckim, bo pójście do więzienia czy do obozu groziło pozostawieniem dzieci na łasce losu. Wiadomo było, że dzieci oddano by wówczas do sowieckich domów dla sierot czy – jak grozili przedstawiciele władz sowieckich – pójdą na ulicę. Wybór był ciężki: wytrwać w wierności Polsce czy narazić dzieci na sowietyzację, tułaczkę i nędzę. Za odmowę przyjęcia paszportu karano dwoma, trzema latami obozu pracy poprawczej. Według danych NKWD liczba osób, które ukarano pobytem w łagrze za odmowę przyjęcia obywatelstwa sowieckiego, wyniosła niepełne 2 tys.

K.K. – W efekcie dokumenty sowieckie przyjęło ponad 160 tys. osób, a około 2 tys. aresztowano i skazano za odmowę ich przyjęcia. Być może pewna liczba osób pozostała z polskimi dokumentami bez skazania.

S.K. – Niestety, nie mamy żadnych polskich szacunków, ile osób wówczas skazano.

B.P. – ***Co działo się w tym czasie na polskich Kresach okupowanych przez Niemców?***

T.Ł. – Gdy Polacy cierpieli niedolę w głębi państwa sowieckiego, w czasie, o którym mówiliśmy, na terenach okupowanych, określanych przez Sowietów jako Zachodnia Białoruś – w województwach nowogródzkim, poleskim i częściowo wileńskim – toczyła się niewypowiedziana wojna polsko-sowiecka. Partyzantka sowiecka realizowała tam polityczne wytyczne ZSRS, przygotowując teren na ponowne wejście Armii Czerwonej. Skala represji nie była tak wielka jak w latach 1939–1941, ale dla ludności polskiej na Kresach niezwykle dokuczliwa, wyniszczająca ją przede wszystkim ekonomicznie. Mieliśmy tutaj do czynienia z kolejnym przykładem dwulicowej polityki władz sowieckich. Wiadomo, że rozmowy przedstawicieli dowództwa partyzantki sowieckiej z przedstawicielami władz Polski Podziemnej w okręgach nowogródzkim i wileńskim prowadzono wyłącznie po to, żeby uzyskać wiedzę na temat tej konspiracji i wyzyskać ją w celu jak najszybszej likwidacji. Jednocześnie kontynuowano rabunkową politykę, niszczącą gospodarczo ludność polską.

K.K. – Strona polska do pewnego momentu ulegała iluzji, że z partyzantką sowiecką da się rzeczywiście prowadzić partnerskie rozmowy, w których wyniku ustali się rozgraniczenie stref działania, zapewni się ochronę ludności cywilnej, doprowadzi się do ukarania sprawców najbardziej brutalnych ekscesów ze strony partyzantki sowieckiej, podejmie wspólne działania przeciw Niemcom. Na ogół sowieckie napady, rozboje i morderstwa uznawano początkowo za wynik jakiejś niekontrolowanej działalności, zdziczenia w szeregach sowieckich. Dzisiaj wiemy, że z tych ataków na dwory, palenia polskich osad, mordowania przedstawicieli warstw oświeconych sporządzano podobne raporty jak z działań bojowych przeciw niemieckim siłom okupacyjnym. Owe antypolskie zadania traktowano tak samo jak operacje przeciw Niemcom. Później całymi latami mówiono o teorii dwóch wrogów, która miała przyświecać polskim strukturom podziemnym, podczas gdy na Kresach to właśnie Sowieci sami dokonali takiego określenia stykających się ze sobą stron, traktując polskie struktury niepodległościowe, a nawet ludność polską, która dawała oparcie dla tej działalności, jak przeciwnika, drugiego obok Niemców.

T.Ł. – Działania wywiadowcze i represje nie dotyczyły tylko województw wschodnich, np. województwa białostockiego, Sowieci prowadzili je w całej Polsce. Za integralną część ZSRS uznawano nie tylko tereny na wschód od linii Curzona, ale cały obszar, który znalazł się w strefie okupacji sowieckiej w wyniku paktu

Ribbentrop–Mołotow. Ustalenia te mimo zmiany aliansu cały czas uznawano za obowiązujące. Przy wszystkich sztabach sowieckich jednostek partyzanckich, operujących na tym terenie, znajdowali się przedstawiciele struktur partyjnych, którzy nominalnie byli tam przedstawicielami władz.

B.P. — ***Kolejne niemieckie klęski na froncie sprawiły, że sowiecki walec już w początkach 1944 r. wtoczył się powtórnie na ziemie polskie.***

S.K. — Trzeba powiedzieć najpierw o sowieckich planach wobec ziem polskich. 5 stycznia 1944 r. Armia Czerwona przekroczyła granice Polski w okolicach Sarn na Wołyniu. Jej dalsze działania, przede wszystkim zaś poczynania powracającego na ziemie polskie sowieckiego aparatu represyjnego, służyły realizacji planów stworzonych na Kremlu. Wiadomo już było, że ziemie na wschód od linii Curzona będą ponownie anektowane przez ZSRS. Inny wariant przewidziano dla ziem leżących na zachód od tej linii.

Miało tam powstać wasalne państwo polskie, rządzone przez ludzi oddanych Moskwie. Oczywiście, oznaczało to, że cały element niepodległościowy musi być albo prostu wyniszczony, albo co najmniej usunięty poza nowe granice Polski, żeby nie przeciwdziałał instalowaniu reżimu posłusznego mocodawcom ze wschodu.

B.P. — ***Sowieci przekraczając tę granicę nie zaskoczyli polskiego społeczeństwa swoimi zachowaniami.***

T.Ł. — W odniesieniu do zwalczania polskiego podziemia niepodległościowego nie było różnicy jakościowej w postępowaniu władz sowieckich na wschód i na zachód od linii Curzona. Mieliśmy do czynienia z takimi samymi represjami o podobnej skali. Kwestia szczegółowego wytyczenia tzw. linii Curzona nie była początkowo do końca jasna. Na przykład w 1944 r. w Białymstoku w pierwszych dniach „po wyzwoleniu" zaczęły instalować się sowieckie władze administracyjno–partyjne. Być może dowódcy frontowi z Białorusi nie mieli jeszcze pełnej wiedzy na temat decyzji podejmowanych w Moskwie. Ostateczne rozstrzygnięcie co do przynależności terenów, które znalazły się w strefie okupacji sowieckiej po 1939 r., nastąpiło dopiero w pierwszych tygodniach po ponownym wkroczeniu Armii Czerwonej. Dopiero wtedy Sowieci wycofali się z pewnych działań administracyjnych, ustalając mniej więcej tę granicę, którą mamy obecnie. Nie miało to jednak wpływu na jakościową zmianę działań NKWD po obu stronach granicy. Nadal dochodziło do identycznych pacyfikacji, aresztowań, działalności grup operacyjnych, zakładania obozów na terenie tzw. Polski Lubelskiej i masowych represji, według szacunków dotyczących kilkudziesięciu tysięcy osób do momentu ruszenia ofensywy styczniowej w 1945 r.

K.K. — W Grodnie i Lidzie powstały kierownicze centrale koordynujące działalność NKWD, mającą na celu zwalczanie polskiego podziemia.

T.Ł. — Granicę obsadziły wojska pograniczne NKWD w celu zahamowania i kontrolowania ruchu ludności pomiędzy terytorium tzw. Polski Lubelskiej i Ziem Zabranych. Dla sowieckiego aparatu represji, zwłaszcza w 1945 r., granica ta była

jedynie umowną linią na mapie, obowiązującą wyłącznie jedną stronę. Całe terytorium ówczesnej Polski było obszarem działań operacyjnych NKWD i sowieckich służb specjalnych.

Trzeba jeszcze powiedzieć o umowie zawartej między PKWN a rządem sowieckim 26 lipca 1944 r., oddającej Sowietom prawo sądzenia obywateli polskich w tzw. bezpośredniej strefie przyfrontowej, której nie określono i która do końca działań wojennych obejmowała całe terytorium obecnej Polski. Umowa ta stanowiła *quasi*–prawną podstawę sowieckich działań represyjnych w stosunku do mieszkańców tzw. Polski Lubelskiej. Jak dużą wagę przywiązywano do zapanowania nad sytuacją w Polsce, świadczy chociażby procentowa obecność całości sił Wojsk Wewnętrznych NKWD po czerwcu 1945 r. – ponad 40 proc. sił użytych w opanowanej przez Rosjan części Europy stacjonowało na terenie obecnej Polski.

B.P. – ***Traktowali nas poważnie.***

T.Ł. – Prowadzone przez nich działania również były poważne. Mieliśmy tu do czynienia zarówno z olbrzymimi operacjami trzech dywizji NKWD: 62., 63. i 64., jak i działaniami sowieckich wojsk frontowych, angażowanych doraźnie w trakcie operacji wycofywania się z Niemiec, już po zakończeniu działań wojennych. W 1945 r. Sowieci przeprowadzili na obecnych wschodnich ziemiach Polski i na terenach anektowanych przez ZSRS Kresów II Rzeczypospolitej olbrzymie obławy, w których brało udział nawet po kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy i funkcjonariuszy. Jedna z nich to obława w Puszczy Augustowskiej, w wyniku której Sowieci aresztowali około 1600 Polaków podejrzanych o związki z AK. Niemal wszyscy ci ludzie zaginęli bez śladu, zapewne zamordowani przez NKWD.

B.P. – ***Celem tych działań na Kresach była, tak jak w latach 1939–1941, ich pełna sowietyzacja. W tzw. Polsce Lubelskiej chodziło na razie o trochę coś innego, o osadzenie komunistów u władzy. Stąd powstanie takich »narodowych« struktur jak PKWN.***

S.K. – Sowieci wychodzili ze słusznego zresztą założenia, że komuniści polscy nie mają wystarczających sił, czyli – mówiąc wprost – dostatecznie silnego aparatu przemocy, do zainstalowania swojej władzy w Polsce. Jedyną drogą do zapewnienia im władzy było zaangażowanie własnego, sowieckiego aparatu przemocy, i to właśnie on dokonał pierwszego, potężnego uderzenia w przeciwników koncepcji komunistycznej Polski. Widząc to, można powiedzieć, że stwierdzenie, iż władza komunistyczna została przyniesiona do Polski na sowieckich bagnetach, nie jest żadnym frazesem. Ono po prostu dotyczy procesu historycznego w jego rzeczywistym kształcie. Jakakolwiek próba samodzielnego zdobycia władzy przez komunistów polskich przy tak silnym podziemiu niepodległościowym była niemożliwa. To *quasi*–prawne porozumienie miało doprowadzić do uznania za legalny zbrodniczy proceder zwalczania obrońców idei niepodległości Polski przez organy represyjne ZSRS.

Porozumienie z PKWN było też przydawaniem mu znaczenia i kreowaniem na twór o charakterze rządowym. Przecież PKWN od początku miał strukturę resortową i chociaż Stalin oficjalnie deklarował, że nie może go jeszcze uznawać za rząd polski, *de facto* Związek Sowiecki traktował PKWN jak rząd. Zawierano umowy i porozumienia o charakterze międzypaństwowym, takie jak umowa o przebiegu granicy i wymianie ludności, gdzie PKWN występował w roli pełnoprawnego partnera.

B.P. — ***Przeszkodą na tej drodze były legalne władze Polskiego Państwa Podziemnego.***

S.K. — Kulminacyjnym momentem walki Sowietów z polskimi aspiracjami do niepodległości było aresztowanie szesnastu Przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Wywiezienie ich do Moskwy było wydarzeniem dla nas bardzo bolesnym, mającym też kontekst międzynarodowy. Obecnie uważa się, że usunięto ludzi, którzy mogli być brani pod uwagę przez aliantów jako przyszli członkowie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, a o jego powstaniu zadecydowano już w Jałcie. Sowieci postanowili zrobić ten rząd po swojemu — bez udziału ludzi z ich punktu widzenia „niewygodnych". Mamy finał — proces moskiewski i wyeliminowanie przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Z „placu boju" o kształt przyszłej Polski usunięto również zdekonspirowanych w czasie akcji „Burza" żołnierzy AK, których wywieziono do różnych obozów w głębi ZSRS, m.in. do Borowicz i Stalinogorska.

B.P. — ***Co się z nimi stało?***

S.K. — Tu znów mamy podejście klasowe ze strony Sowietów, bo część z nich, głównie szeregowych, zwolniono już w 1946 r. Cel osiągnięto: okres instalowania władz komunistycznych w Polsce spędzili oni poza krajem. Ich „wina" wobec władzy sowieckiej, czy może nawet bardziej wobec nowej, komunistycznej władzy była stosunkowo najmniejsza, byli „tylko" członkami AK, nie sprawowali w niej żadnych dowódczych stanowisk. W najgorętszym okresie — i o to chodziło — zostali zneutralizowani. Zatrzymano natomiast kadrę dowódczą, którą więziono dłużej, niektórych z jej członków postawiono przed trybunałami wojskowymi lub sądami i skazano.

K.K. — Jeszcze kilka lat po zakończeniu wojny na Ziemiach Utraconych, naszych dawnych Kresach, istniały ośrodki polskiego oporu wywodzące się ze struktur AK. Można wymienić trzy najpoważniejsze: w powiecie grodzieńskim kierowany przez oficera AK Mieczysława Niedzińskiego „Mena", „Rena", „Niemna", w powiecie wołkowyskim dowodzony przez Bolesława Chwieduka „Cietrzewia", wreszcie największy, obejmujący powiaty szczuczyński i lidzki, kierowany przez oficera 77. pułku piechoty AK ppor. Anatola Radziwonika „Olecha".

B.P. — ***Represje dotyczyły nie tylko osób zaangażowanych w polski ruch oporu. Prześladowania bywały też skutkiem choćby przymusowej kolektywizacji.***

K.K. – W związku z kolektywizacją i tlącym się dalej polskim oporem – do 1949 r. wcale niebagatelnym – na społeczność polską Kresów północno-wschodnich nadal spadały sowieckie represje. Do łagrów wciąż płynął strumień aresztowanych. Jeszcze w początkach lat pięćdziesiątych w sowieckich łagrach przebywało 23–25 tys. Polaków.

S.K. – W drugiej połowie lat czterdziestych Sowieci zaczęli te ziemie kolektywizować. Przez Kresy przetaczały się niszczące fale kolektywizacji, czy też – używając oficjalnej terminologii – rozkułaczania. Badania, które na ten temat prowadzono, nie dają jeszcze pełnej wiedzy na ten temat. Nie potrafimy podać liczby Polaków deportowanych w ramach różnych akcji z Białoruskiej, Ukraińskiej i Litewskiej SRS po zakończeniu wojny.

K.K. – To była represja zbiorowa dotycząca całych rodzin.

S.K. – Były też pomniejsze fale, które w ramach pewnych ogólnych kategorii ogarnęły również ludność polską, np. represje wobec świadków Jehowy, których uznano za wrogów władzy sowieckiej. Wśród tego „kontyngentu", deportowanego na Syberię, byli Polacy. Kolejna fala represji spadła w 1951 r. na żołnierzy armii gen. Andersa, którzy zdecydowali się na powrót do miejsc swego zamieszkania, leżących już w granicach ZSRS. Aresztowano i wywieziono na Syberię około 4,5 tys. osób.

T.Ł. – Tu czynnik narodowościowy nie odgrywał roli, ponieważ represjom tym jednakowo podlegali wszyscy byli obywatele polscy bez względu na narodowość – Polacy, Białorusini i Ukraińcy.

S.K. – I ta represja objęła także ich rodziny.

K.K. – Wędrując w 1991 r. przez powiat nowogródzki, pod przydrożnym krzyżem w osadzie Saplice spotkałem starca, który zorientowawszy się, że jestem turystą z Polski, zapytał: „A czy generał Anders jeszcze żyje? Dobry był generał..." To był jeden z tych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy zdecydowali się na powrót. Potem z rozmowy z nim dowiedziałem się, że aresztowano go wraz z całą rodziną, z której dwie osoby nie przeżyły obozu.

B.P. – ***Czy można mówić o czymś takim jak bilans sowieckich represji wobec Polski i Polaków?***

S.K. – Na pełny bilans jest chyba mimo wszystko nadal za wcześnie. Nasza wiedza nie jest jeszcze kompletna. Do dziś istnieją jeszcze białe, czy może raczej szare plamy na mapie sowieckich represji wobec obywateli polskich. Chociażby wspomniane tu wydarzenia z drugiej połowy lat czterdziestych. Nie wiemy dokładnie, jakie ofiary pociągnęły za sobą pacyfikacje na Kresach, prowadzone przez wojska NKWD. To oczywiście tylko przykłady spraw słabo jeszcze zbadanych. Niemniej obraz represji, jaki wyłania się ze źródeł i literatury przedmiotu, budzi pewne refleksje.

K.K. – Kiedy zaczynaliśmy się tym zajmować, pracowaliśmy głównie na podstawie relacji. Dzisiaj mamy do dyspozycji dokumenty archiwalne.

S.K. – Jest możliwość prowadzania pracy badawczej, bo mamy dokumenty, które historykowi są potrzebne: dokumenty urzędowe wytworzone przez aparat represyjny, a zarazem głosy ofiar, czyli relacje, wspomnienia. Możemy materiały te konfrontować i tworzyć kalendarium zbrodni, wydarzeń, represji z nadzieją, że kiedyś ten bilans zamkniemy. Historia powinna nas uczyć szacunku i troski o suwerenność. Wszystko, co się stało, o czym mówiliśmy, wiązało się z utratą suwerenności i żyjąc w czasach pokoju, powinniśmy cały czas o tym pamiętać. Naród, który traci suwerenność, może paść ofiarą takich zbrodni.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 11 (34), listopad 2003

ZABIJANIE SŁOWA

O cenzurze w PRL z Aleksandrem Pawlickim, Tomaszem Strzemboszem i Wiesławem Władyką rozmawiają Władysław Bułhak i Barbara Polak

B.P. — ***Tytułem wstępu przytoczę historię, którą usłyszałam od mojego znajomego w Moskwie o jego ojcu. To był ciężko chory człowiek, inwalida, od wielu lat leczony z powodu choroby psychicznej. Choroba zaczęła się, jak twierdzi rodzina, w momencie, kiedy po śmierci Stalina on się przeraził, że jego wewnętrzna radość z tego powodu jest tak widoczna na jego twarzy i spojrzeniu, że bał się wyjść na ulicę. To była taka psychoza lękowa, która się utrwaliła. To jest przykład najstraszniejszej, wewnętrznej cenzury, kiedy człowiek usiłuje cenzurować swoje myśli i uczucia. Ale przedmiotem naszej dzisiejszej rozmowy jest przede wszystkim działanie cenzury w PRL, która przejawiała się praktycznie we wszystkich dziedzinach życia.***

W.B. — ***W ślad za moją koleżanką proponuję, abyśmy dyskutowali o cenzurze w pojęciu możliwie szerokim. A zatem nie tylko o działaniach Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, ale także o ludziach, instytucjach, obyczajach społecznych, które krępowały wolność wypowiedzi w epoce PRL.***

T.S. — Cechą zasadniczą cenzury była jej wszechogarnialność. Cenzurowano absolutnie wszystko. Zaproszenia ślubne i nekrologi (w których już po 1956 r. przez wiele lat nie można było napisać, że zmarły był żołnierzem Armii Krajowej. Obowiązywała formuła „członek ruchu oporu"), programy telewizyjne, prace naukowe i literaturę piękną. Cenzura obejmowała zakaz pisania o pewnych ludziach, nie wolno było wspominać o niektórych książkach czy wydawnictwach, obejmowała całe sfery tematyczne i poszczególne kwestie. To spowodowało zniknięcie pewnych obszarów historii z obiegu społecznego. Dość powiedzieć, że „ścigałem się" z doktorem Jerzym Koweckim, która książka dłużej będzie w cenzurze, czy tekst Konstytucji 3 Maja w jego opracowaniu naukowym, czy moje *Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy*. Fenomenem było, że konstytucja, z której jesteśmy dumni, o której się pisze w podręcznikach, nie mogła wyjść w opracowaniu naukowym. To, że *Oddziały szturmowe* Strzembosza nie mogły, było bardziej zrozumiałe.

W.B. — ***Myślę, że dobrze byłoby zarysować genezę tej instytucji w PRL, może nawet sięgając do jakichś wcześniejszych wzorów, do których się odwoływano.***

A.P. — Jedno jest pewne: państwowa kontrola nad słowem nie jest wynalazkiem komunistów, znana jest bodaj tak długo, jak długo istnieje literatura, przy czym cenzura totalitarna jest jednak jakościowo odmienna od swoich poprzedniczek. Różnicę świetnie uchwycił Pantelejmon Romanow, który już w 1928 r. napisał, że „w dawnych czasach pisarz walczył o swe przekonania. Były one dla niego święte. Rząd był dla niego w pewien sposób obcy i wrogi wolności. Teraz musimy patrzeć na rząd jako na nasz własny. Jakie przekonania ma teraz pisarz? Jeśli mu powiedziano, że jego linia jest »nieodpowiednia«, rumieni się jak uczeń, który popełnił błąd, i jest natychmiast gotowy przepisać wszystko i nazwać białe czarnym, ponieważ jest tak przestraszony. Jesteśmy tak pogrążeni w kłamstwie, że boimy się nawet jeden drugiego".

W.B. — **Na *czym wobec tego polegała różnica między cenzurą »tradycyjną« a totalitarną?***

A.P. — Cenzura nowożytna odbiera autorowi głos — cenzura totalitarna duszę (choć nazwy sugerowałyby sytuację odwrotną, bo to cenzura w zaborze pruskim z początkiem XIX w. zwie się ambitnie Wydziałem Pomnażania Ducha Publicznego); cenzura nowożytna to cenzura dokonywana raczej po publikacji, cenzura totalitarna to przede wszystkim cenzura prewencyjna; cenzura nowożytna ma do dyspozycji niewielki aparat urzędniczy, cenzura totalitarna jest częścią omnipotentnego aparatu przemocy; cenzura nowożytna ściga przede wszystkim tych, co godzą w autorytet monarszy i religię, a cenzura totalitarna stara się poddać kontroli wszystko, cokolwiek zaistnieje w sferze publicznej; wreszcie — cenzura nowożytna podlega prawu, a cenzora totalitarnego wzgląd na prawo nie ogranicza.

Szwejkowi wytoczono proces za to, że oświadczył, iż „ma w dupie Najjaśniejszego Pana". Adwokat próbował zmienić klasyfikację czynu z obrazy majestatu na „rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji o miejscu pobytu JCM". Anegdota anegdotą, ale jest faktem, że wiele zdjętych przez austriacką cenzurę tekstów można było poznać dzięki lekturze publikowanych orzeczeń sądowych, gdzie znajdowały się obszerne cytaty z zakwestionowanych artykułów.

B.P. — ***Nawiasem mówiąc, relacje Szwejka z C.K. urzędnikami niezwykle przypominają relacje obywateli i władz PRL. Postawa Szwejka — chronicznego idioty — chroniła wielu Polaków przed głęboką frustracją.***

A.P. — Jest oczywiste, że wymykanie się rygorom ustawy pozwalało komunistom na pełną arbitralność decydowania, ale fakt, że pierwsza z prawdziwego zdarzenia peerelowska ustawa o cenzurze powstała dopiero w roku 1981, tłumaczy się także i na pół jawnym żywotem Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Na przykład w *Encyklopedii Wiedzy o Książce* cenzura usunęła wszystko, cokolwiek dotyczyło jej samej, uznając to za zbędną — uwaga! — „popularyzację".

A zatem, z punktu widzenia struktury prawnej, od początków peerelu aż do 1981 r. (kiedy uchwalono odpowiednią ustawę) cenzura działała na podstawie dekretu Krajowej Rady Narodowej z 5 lipca 1946 r. o utworzeniu Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (GUKPPiW). To jest dokument, który ma pół strony maszynopisu. *Notabene*, gdy dekret ów został wydany, cenzura działała już od dwóch lat (najpierw jako Wydział Cenzury w MBP, potem pod nazwą Centralnego Biura KPPiW, a od listopada 1945 r. już jako Główny Urząd KPPiW). Regulacja z 1946 r. okazuje się rychło kompletnie niewystarczająca, biorąc pod uwagę, jak urząd później się rozbudowuje, jak zwiększa się liczba zadań i zmienia ich charakter i wreszcie jak powstają jego lokalne odnogi. Gdy w końcu lat sześćdziesiątych do urzędów wojewódzkich cenzury wkroczył z kontrolą NIK, to okazało się, że tylko trzy z nich, w Koszalinie, Zielonej Górze i Opolu, mają oficjalne akty erekcyjne, a cała reszta jest nielegalna!

W.B. — ***To skądinąd bardzo ciekawe zjawisko, że instytucje kluczowe dla utrzymania władzy przez komunistów działały, opierając się na nader wątłych podstawach prawnych. Podobnie było przecież z aparatem bezpieczeństwa. W tym przypadku o odpowiednią ustawę zadbał dopiero gen. Czesław Kiszczak w okresie stanu wojennego.***

A.P. — Na jednej z narad cenzorów sam Józef Siemek, prezes urzędu od 1965 r., powiedział, że „z dokumentów NIK wynika, że jesteśmy nielegalni". Krótko mówiąc, podstawa prawna była kompletnie nieadekwatna do działań instytucji powołanej na jej mocy. Brakowało też rozporządzeń wykonawczych, na przykład GUKPPiW otrzymał statut dopiero w 1953 r., ale już w chwili nadania nie był on — powiada Siemek — „przystosowany do wykonywania bieżących zadań". Dopiero później pojawia się pomysł, żeby napisać ustawę, która by wszystko porządkowała, mówiła, kto za co jest odpowiedzialny itd. Myśli się o tym i dyskutuje już w drugiej połowie lat sześćdziesiątych. W aktach cenzury znajduje się interesująca notatka pochodząca z sekretariatu prezesa GUKPPiW, która relacjonuje opinie „odnośnych czynników", to jest odpowiednich przedstawicieli kierownictwa PZPR. Owe „odnośne czynniki" uznały, że dekret jest rzeczywiście fatalny, ale trzeba przy nim pozostać, bo wszelkie próby ustawowej regulacji będą miały negatywne skutki społeczne. Cenzura jest i zarazem jakby jej nie było — ta dwoistość wyraża się na przykład i w tym, że cenzorzy wolą komunikować ingerencje ustnie lub przez telefon, niż utrwalać swą działalność na papierze.

W.W. — Dzieje PRL da się streścić tak (to skrót, ale lubię tę figurę): pierwszy okres — to jest zdobywanie władzy, potem jest próba zdobycia społeczeństwa (to jest ta inwazja w latach pięćdziesiątych, glajchszalt, atak na duszę narodu), a lata sześćdziesiąte — przegrywanie tego społeczeństwa. Wyraźnie widać, że drugi manewr im się nie udaje, po Październiku '56 wszystko się załamuje. Najkrócej mówiąc, Gomułka przegrywa z Wyszyńskim. Ostatni okres — to jest oddawanie władzy. Bardzo wy-

raźnie rzutuje to wszystko na sytuację słowa. Wydaje mi się, że Gomułka bardzo mocno próbował walczyć ze słowem, ale już mu się wszystko sypało. To był bardzo represyjny władca, za słowa wsadzał ludzi do więzienia. Gierkowi już brakowało egzekutywy, miał już zresztą drugi obieg, miał alternatywny świat nauki, a Gomułka jeszcze walczył ze słowem. Jak wyszedł List 34, *notabene* dotyczący m.in. spraw związanych z wolnością słowa, to zapisy cenzuralne, czyli zakaz publikacji, obejmowały nazwiska kilkunastu spośród jego sygnatariuszy. To nie były żarty!

W.B. — ***Tak przedstawioną skróconą historię PRL można zapewne odnieść do dziejów cenzury.***

W.W. — Oczywiście. Można na to spojrzeć tak: w okresie PRL pewne tematy wychodzą z cienia tabu — pod naciskiem nowoczesności, świata zewnętrznego i autentycznej pluralizacji społeczeństwa, które, gdy miało jakąś lukę i szczelinę, potrafiło ją wypełnić. I tak w połowie lat pięćdziesiątych prasa mogła odkryć chuligaństwo jako zjawisko („idzie Fikus Targową ulicą"), a w drugiej połowie lat siedemdziesiątych jako temat pojawiła się narkomania, wcześniej jeszcze tzw. drugie życie, gitludzie. Nie wiem, czy działo się tak pod naciskiem realiów, czy inteligencji własnej prasy. Powstają sensacyjne artykuły na tematy społeczne, a golizna pojawia się już nie tylko na ekranie, pokazuje ją na przykład pismo „Razem", założone pod koniec lat siedemdziesiątych. „Razem" było swego rodzaju flirtem Komitetu Centralnego z młodzieżą, udanym zresztą z komercyjnego punktu widzenia. W tym piśmie na pierwszych stronach były omówienia kolejnych plenów partii, a dalej plakaty zespołów młodzieżowych i rozebrane dziewczyny. To się dobrze sprzedawało. A redaktorem naczelnym był Leszek Gontarski — instruktor KC.

Rygor cenzury i kontrola słowa były najostrzejsze w latach pięćdziesiątych, w okresie najsilniejszej sowietyzacji i inwazji stalinizmu. Potem — tak po polsku — sprawy zaczynają się na tysiąc sposobów wikłać. Po stronie społecznej — mam tu na myśli autorów, pisarzy, dziennikarzy — jest to wypracowanie różnych metod konfrontacji z tym systemem: omijania, używania języka ezopowego, metajęzyka, mrugania okiem do publiczności. Na przykład w „Obrazie Tygodnia" w „Tygodniku Powszechnym" w marcu 1968 r. jest notatka, że pod Warszawą Wisła jest brudna. Cenzor nie może tego zatrzymać, a wszyscy wiedzą, o co chodzi. To jest cała gra. Można opowiadać miliony anegdot o tym, w jaki sposób obchodzono cenzurę.

W.B. — ***Powiem złośliwie, że byli tacy, którzy wręcz uprzedzali decyzję cenzora.***

W.W. — Trudno mówić o samej cenzurze, to jest cały system politycznego dozoru, kontroli, represji i cały system współudziału w tym różnych ludzi — z autorami włącznie. Nie należy mistyfikować, że jest cenzor, a reszta towarzystwa tylko próbuje go ominąć. Przede wszystkim funkcjonuje autocenzura. Dziś bardzo wielu autorów może się bić w piersi. Niech sami o sobie powiedzą, jak szukali szansy dla swojej książki czy swojego tekstu. To jest cała strategia pisarska — pewnych

tematów się nie podejmuje, bo z góry było wiadomo, że nie mają szans, w każdym razie na tym etapie, w tym okresie. Ludziom trudno się przyznawać do tego, że wybierali to, co miało szanse.

W.B. — ***To właśnie te słynne pisarskie szuflady, w których okazało się, że nic nie było albo było bardzo niewiele.***

W.W. — Dlaczego autor ma stracić osiem lat, zaprzepaścić karierę, skoro nie ma żadnej szansy, żeby coś opublikować? Szuka tematów uczciwie dobranych, ale które mają szanse. Poza tym funkcjonował cały system wydawców i redaktorów. Ja nie wierzę, że cenzor dopisuje, cenzor może wykreślać, dopisuje redaktor i wydawca — to on naciska na autora, pertraktuje z nim i mówi: puścimy to panu, ale niech pan napisze, że ktoś tam to był kawał łobuza — jak pan to dopisze, to my to puścimy. Piłeczka jest po stronie autora.

W.B. — ***Czyżby zatem był to swoisty sport o stosunkowo jasno określonych regułach?***

W.W. — Pamiętam gry, które toczyły się między cenzurą a redakcjami „Mówią wieki" czy „Polityki", w której zacząłem pracować w 1985 r. Istniały trzy rodzaje uwag cenzuralnych, nanoszone nawet różnymi kolorami ołówka. Pierwszy kolor to jest bez dyskusji do zdjęcia, inny kolor — do dyskusji, można było pertraktować. Zdarzyło mi się dwa razy pertraktować z cenzorem w sprawie jakiegoś fragmentu tekstu. Pamiętam, że pisałem wtedy o Październiku 1956 r. w jakimś kalendarium i użyłem w nim określenia „ruchy wojsk radzieckich". Cenzor powiedział, że on mi tego nie puści. Ja na to, że bez tej informacji cały tekst jest bez sensu, bo to jest kluczowa informacja. Wtedy on mi mówi, to pertraktujmy, może by tam dać określenie, proponuje mi: „dyslokacja oddziałów wojskowych radzieckich". Odpowiadam, że właściwie to jest to samo. On na to, wie pan, ale nie każdy to zrozumie, a ja jestem kryty. A trzecia kategoria uwag dotyczyła redaktora naczelnego — jeżeli chce się upierać, to rozmawia nie z cenzurą, ale z decydentem politycznym. Taka sytuacja dotyczyła większości pism RSW „Prasa". W pewnym momencie pod koniec lat osiemdziesiątych można było zamieszczać w miejscach cenzorskich cięć w nawiasach numer dziennika ustaw o cenzurze, tzw. ingerencje. „Tygodnik Powszechny" wręcz tym, zdaje się, handlował. Ci z cenzury mówili: możemy wam zdjąć trzy czwarte numeru, a oni na to: bardzo chętnie, bardzo się cieszymy, że trzy czwarte numeru ukaże się z ingerencjami. Ale cenzor mówi — macie pozwolenie na dwa zacytowania dziennika ustaw, ale musicie odpuścić nam tu i tu, my za to wam puścimy tekst — powiedzmy — o Miłoszu. Cenzura dbała o to, żeby ich ingerencje nie były zbyt widoczne. W wielu pismach RSW „Prasa" większość interwencji w ogóle nie była zaznaczana.

W.B. — ***Ciekawa jest sprawa instrukcji dla cenzury, czyli tzw. zapisów.***

A.P. — Jeżeli chodzi o źródła zapisów cenzury, to były one bardzo rozmaite. Mogły być instytucjonalne i mogły być personalne. Dopiero na takiej podstawie

wytwarza się te księgi zapisów. Zasób archiwalny po GUKPPiW jest wciąż jeszcze nieuporządkowany. Nie ma żadnych teczek personalnych i nie ma – na ile mogłem to sprawdzić – książek zapisów cenzorskich, znalazłem tylko jedną, zdekompletowaną. Ograniczenia co do publikowania tego czy owego tak naprawdę pochodzą zewsząd, a zbierane są ostatecznie w GUKPPiW, przy czym każdy zapis zyskuje akceptację czynników partyjnych. Mogą to być zatem wskazówki pochodzące z instytucji, na przykład jest lista, która przychodzi z Ministerstwa Zdrowia, że LSD jest tematem zakazanym, żeby zdejmować wszystkie informacje na ten temat. Pamiętam też taką bardzo szczegółową wskazówkę któregoś z ministerstw związaną, o ile pamiętam, z problemem wkładki mięsnej w posiłkach regeneracyjnych dla robotników wielkich zakładów przemysłowych. Z planów wynika, że ta wkładka nie będzie zapewniona, więc temat trzeba zdjąć i nie wolno go ruszać.

Zapisy jednak to jedno, a próby formułowania bardziej ogólnych zasad to drugie. W cenzurze często rozsądza się na przykład, co jest „słuszną krytyką", a co „krytykanctwem". Spotkałem bardzo zabawne i długie wypowiedzi, a nawet całe referaty o różnicach między krytyką a krytykanctwem, wygłaszane przez jednego z czołowych działaczy PRL Eugeniusza Szyra wobec cenzorów i tłumaczy. Jak rozpoznać krytykę, która pokazuje dobre i złe strony oraz możliwe rozwiązania, od krytykanctwa, które jest nieuzasadnione. Często ofiarami krytykanctwa padają rozmaici lokalni towarzysze.

T.S. – Dla mnie jest rewelacyjne to, co pan powiedział, że niektóre zakazy pochodzą z ministerstw, a nie od władz partyjnych.

A.P. – Przychodzą nawet listy tematów do zastrzeżenia z zakładów przemysłowych, ale tu GUKPPiW jest zasadniczy i dopuszcza tylko ścieżkę przez rząd lub Biuro Polityczne.

W.W. – Nie chcę wdawać się w rozważania, ile w PRL było totalitaryzmu, a ile autorytaryzmu, ale cechą każdego totalitaryzmu jest gadanina. Totalitaryzmy legitymizują się miliardami słów. Produkcja piśmiennicza lat pięćdziesiątych była potworna, można pójść do biblioteki przejrzeć katalogi. W dziesiątkach i setkach tysięcy nakładu produkowano tysiące broszur, gazety itd. Większość tych dzieł, tkwiących na półkach w bibliotekach po dziś dzień, nie została nawet rozcięta, miała i ma wartość wyłącznie makulatury. Ale słowa w nich zawarte są skontrolowane i ocenzurowane, a potem represjonowane, jeśli niechcący przez to sito coś przeszło. Gdy Adam Ważyk napisał *Poemat dla dorosłych*, to trzech członków Biura Politycznego KC PZPR, na wielkim sabacie czarownic, odbywało nad nim sąd jesienią 1955 r. Paweł Hoffman, redaktor naczelny „Nowej Kultury", za puszczenie poematu wyleciał ze stanowiska. Ze słowami w tym systemie nigdy nie było żartów. Stąd powiedzenie Stalina, że pisarze to inżynierowie dusz. Słowo było ogromnie ważne dla tego reżimu i chcąc nie chcąc, podejmując rozmowę o cenzurze, dotykamy morza problemów PRL.

B.P. — ***Moim zdaniem istnieją dwa przykłady najbardziej drastycznych, o największym zasięgu dotkliwości społecznej działań cenzorskich i paracenzorskich: na poziomie informacji codziennej i perlustracja listów. To jest odcinanie człowieka od elementarnego prawa do informacji i ingerowanie w jego prywatne życie.***

A.P. — Wbrew temu, co można sądzić, *bete noire* peerelowskiego cenzora niekoniecznie była publicystyka czy reportaż. GUKPPiW zmieniał nawet treść informacji agencyjnych przeznaczonych dla prasy codziennej i to nie przez blokadę tej czy innej wiadomości, ale przez jej przeredagowywanie, mówiąc wprost — przeinaczanie.

T.S. — To jest groźne, bo my, historycy, traktujemy prasę jako źródło.

W.B. — ***Mnie to się kojarzy z zakazem fotografowania, jaki obowiązywał w PRL na najbardziej nawet zapyziałych stacyjkach kolejowych. Uznawano to za tajemnicę wojskową chyba w skali całego Układu Warszawskiego.***

A.P. — Do spraw wojskowych była wyspecjalizowana komórka, a mianowicie Samodzielny Wydział Wojskowy (nietypowa w zasadniczo terytorialnej strukturze urzędu) z pułkownikiem Pancerem na czele. W rozkładzie jazdy PKS oznaczono trzy przystanki w Pilchowicach pisząc, że autobus zatrzymuje się w miejscach zwanych kolejno Pilchowice, Pilchowice most, Pilchowice zapora. Po ingerencji cenzury zostało Pilchowice, Pilchowice, Pilchowice.

W.B. — ***Ochronę tajemnicy wojskowej można jakoś pojąć. Mniej zrozumiałe z dzisiejszego punktu widzenia są zapisy dotyczące zakazu publikacji przez konkretne osoby, czy też nawet wspominania o tych osobach w pozytywnym czy neutralnym kontekście. Tak było na przykład z Czesławem Miłoszem do momentu otrzymania przezeń Nagrody Nobla.***

A.P. — Wskazówki co do konkretnych ludzi są niekiedy także śladem napięć w samym aparacie partyjnym. Z dokumentów nie wynika, gdzie było źródło takich decyzji, ale na przykład jest takie zalecenie, że w tym danym roku nie powinny ukazywać się żadne życzenia urodzinowe dla towarzysza Mariana Spychalskiego, bądź co bądź długoletniego członka Biura Politycznego, a przez pewien czas formalnej głowy państwa. Mogą się pojawiać krótkie wzmianki, ale nie życzenia. To już jest po tym, jak gomułkowcy zjeżdżają w dół. Bardzo interesujące z punktu widzenia badań nad zapisami cenzury PRL są właśnie momenty kryzysów ideologicznych. Wtedy tak naprawdę nie wiadomo — ciąć czy nie ciąć. A trzeba ciąć na bieżąco, bo chodzi o prasę codzienną. Dobrze to widać na przykładzie 1968 r. Jest generalna linia — bić w syjonistów, ale na tej fali nagle wyjeżdżają różne wątki, na przykład krytyki stalinizmu. I tu pojawia się straszny problem, bo od początku lat sześćdziesiątych przyjęto zasadę, że stalinizmu już nie krytykujemy. I nagle w 1968 r., w kwietniu czy w maju pojawia się taka dyrektywa — wszystkie decyzje polityczne dotyczące prasy codziennej podejmuje Główny Urząd Kontroli Prasy, ewentualnie przekazuje

je Biuru Politycznemu. Poszczególne terenowe oddziały cenzury ciągle się gubią, nie wiedzą, co puszczać, a czego nie puszczać, tu są za daleko, tu są za blisko, albo są za bardzo pryncypialni, albo są zbyt elastyczni. Mają kłopot.

W.W. – Jak władza była w kryzysie, a zdarzyło się tej władzy parę razy być w aktywnym kryzysie w 1956, 1968, 1970 i 1976 r., to wchodziła w taki stan chaosu, zagubienia się, wewnętrznej konkurencji, walki o władzę, że rzeczywiście często używano prasy do gier wewnątrzpartyjnych. To szczególnie było widać w 1956 r., kiedy tzw. liberałowie rządzili prasą i walczyli za pomocą prasy z Natolinem, to jest z konserwą partyjną. W 1980 i 1981 r. Stefan Olszowski, który kieruje prasą, nauczony doświadczeniem z 1956 r., próbuje wzmocnić to silne skrzydło. Zakłada „Grunwald" i „Rzeczywistość" i próbuje zbudować bastion doktryny. Ale zawsze tak było, że prasa – czyli społeczeństwo – korzystała na tym chaosie. Po pierwsze władza, traktowana jako monolit, nie wie, jakie podjąć decyzje między wtorkiem a środą czy czwartkiem. Pamiętam przemówienie Jerzego Morawskiego do literatów z kwietnia 1956 r. On, największy liberał partyjny, naczelny redaktor „Trybuny Ludu" rządzący całym frontem prasowym, przychodzi do literatów i mówi im, na czym polega wolność słowa. Mówi, ja wam powiem, gdzie jest granica słowa – nie walczymy z kolektywizacją, prymas Wyszyński nie wyjdzie z internatu itd. Nie pozwolimy na taką wolność słowa. Mijają trzy miesiące, prymas Wyszyński jest na Miodowej. Większość kołchozów rozpada się jeszcze szybciej – w jeden miesiąc. Sekretarz nie jest w stanie dogonić tej rzeczywistości. Próbuje trzymać swoją gazetę i inne też na określonej granicy, a ta granica mu się przesuwa. Zresztą na początku lipca przestaje być redaktorem naczelnym „Trybuny Ludu", bo po wypadkach czerwcowych publikuje – on, sekretarz KC – tekst pod tytułem *Pierwsze wnioski* i na wniosek Biura Politycznego zostaje zdjęty ze stanowiska. Nie da się w takich warunkach zapanować nad dynamiką historii. Cenzura głupieje, wariuje, ona nie wie, gdzie towarzysze, gdzie dyrektywy, co jest słuszne, a co niesłuszne. To wciąż jest ten problem: słuszne – niesłuszne. Wczoraj nie wolno było grać jazzu, a dzisiaj wolno, przesuwamy te wszystkie granice. Tak samo było w 1980 i 1981 r., to im się sypało, a jeszcze się nawzajem podpuszczali. Jeden rządzi takim redaktorem, inny rządzi innym, gazety nawzajem na siebie napadają. To jest zresztą zawsze najbardziej interesujące, wydaje mi się, ta swoista biologia władzy. Gdy ją widać publicznie, to właśnie w takich momentach włącza się zawsze tzw. problem sowiecki, bo oni interweniują i od razu coś widać.

B.P. – ***Wąskim gardłem cenzury były kłopoty kadrowe; ograniczały one jej sprawność, szczególnie na początku, kiedy po prostu brakowało dyspozycyjnych ludzi, odpowiednio przeszkolonych i zaufanych współpracowników.***

A.P. – To prawda. Postulat „wszechogarnialności" kontroli cenzuralnej nie zawsze udawało się zrealizować. Zwłaszcza kiedy pojawia się telewizja, cenzura sobie

nie radzi, ma za mało ludzi. Cenzorzy tak naprawdę nie są w stanie wszystkiego obejrzeć i bardzo dużo rozmaitych rzeczy przepuszczają niechcący. Wszystkie te wpadki potem oczywiście pilnie są omawiane. Przynajmniej przejściowo zatrudnia się „cenzorów zewnętrznych", którzy analizują zwłaszcza druki obcojęzyczne albo wysoko specjalistyczne, przede wszystkim z zakresu nauk ścisłych i przyrodniczych. GUKPPiW notorycznie domaga się większej liczby etatów i rzeczywiście – przynajmniej w niektórych ośrodkach – ma to swoje uzasadnienie.

Wypada przy okazji dodać, że były pewne kategorie druków zwolnione z kontroli cenzury, na przykład etykiety na produkty spożywcze, jeżeli zawierały tylko podstawowe informacje o towarze, czy wizytówki, pod warunkiem że znajdowały się na nich tylko nazwisko i adres.

W.B. – ***Potwierdza to moje wspomnienie o dostępnych w stanie wojennym ciasteczkach, których producentem była spółdzielnia »Solidarność«. Wróćmy jednak do miejsca cenzury w systemie zależności obowiązującym w PRL.***

A.P. – Dla peerelowskiej cenzury charakterystyczne jest to, że władza posługuje się nią zawsze tym intensywniej, im sama jest słabsza. Tak na zdrowy rozum tej władzy nie zawsze jest potrzebna tak ostra cenzura, jak ją nieraz stosuje, bo władza była w stanie się utrzymać, nawet gdyby w tej sferze poluzowała. To pierwsza zaskakująca rzecz. Druga – to niekoherencja ideologiczna. Komunizm, zakładający prymat bytu nad świadomością, słowo powinien mieć w pewnym lekceważeniu i akurat słowa nie powinien aż tak bardzo się obawiać. Na ten paradoks zwracała uwagę prof. Antonina Kłoskowska.

Z relacji osób, które miały doświadczenia z cenzurą, wynika, że tak naprawdę nie fakty były dla cenzury najważniejsze, nie opinie, bo one mogą się zmieniać, ale styl. Jeżeli będziemy pisać w odpowiednim stylu, począwszy od składni przez słownictwo, pisać szaro, nudno, odwołując się do prac naukowych czy quasi-naukowych, to generalnie wszystko przejdzie. Jest taka relacja historyka Ludwika Hassa, który mówi, jak redaktor jego książki uspokoił go, że ta książka na pewno przejdzie, bo on ją tak wyprasuje, że będzie taka szara i nudna, i wtedy na pewno przejdzie. Na takim języku „naukawym", szarym, beznamiętnym i nudnym, cenzorzy najczęściej się przejeżdżali, ponieważ puszczali bardzo dużo „błędów" w tych książkach, sądząc, że nie ma w nich nic groźnego. Tak na przykład ukazała się „niecenzuralna" ankieta socjologiczna, której autorzy starali się wyjaśnić, dlaczego Polacy uciekają do Niemiec i podają się za Niemców. To wszystko było podlane sosem naukowym i cenzor niczego groźnego tam nie znalazł. Jeżeli ktoś się nauczy takiego stylu, jest idealnym autocenzorem. Stefan Kisielewski w podziemnym „Zapisie" (z 1977 r.) odsłonił istotę cenzury zauważając, że zmierza ona do „przyzwyczajenia piszących, aby myśleli i formułowali swe myśli w pewien określony sposób, bo pisanie w inny będzie likwidowane lub przez odpowiednie skreślenia zmieniane".

B.P. — ***Nie mogę sobie odmówić w tym miejscu przypomnienia pewnego przewrotnego przykładu z relacji Wiktorii i René Śliwowskich — pewien niezły sowiecki pisarz, chyba chodziło o Arkadiusza Bielinkowa, gdy znalazł się na emigracji, stał się pisarzem zdecydowanie marnym, ponieważ zaprzestał używania w swoich tekstach bardzo wyrafinowanego, eleganckiego, pogłębiającego formułowane myśli języka. Brak cenzury spowodował, że jego język stał się nieciekawy. »Wot, probliema«.***

A.P. — Bodaj najbardziej charakterystyczną dla cenzury komunistycznej rzeczą jest jej funkcja „pozytywna" czy też aktywna. Wycinała każda cenzura, raz lepiej, raz gorzej, wedle rozmaitych kryteriów, natomiast najgorsze jest to, że cenzura komunistyczna starała się wstawiać rozmaite rzeczy. Jeden z byłych cenzorów powiada tak (w wywiadzie dla Pawła Misiora): „Rutynowany cenzor nie myślał o tym, żeby wstrzymać cały tekst, tylko o tym, żeby zmienić słowo, zmienić lekko znaczenie zdania, coś złagodzić, poprawić wydźwięk". Jeśli przedwojenny cenzor wyrzucał cały tekst, to wyrzucał cały tekst, natomiast najgorsze w PRL było to, że idzie do dystrybucji książka i wszyscy myślą, że wszystko, co w niej jest napisane, jest dziełem autora, a autor jej nie poznaje — i tak to zostaje. A czytelnik? Raz jeszcze warto zacytować Kisiela — „należy zasugerować czytającym, że autorzy tak myślą, jak piszą".

T.S. — Pamiętam taką historię z seminarium prof. Stanisława Herbsta. Na tym seminarium było grono bardzo różnych ludzi i między nimi był (wtedy już chyba pułkownik) Tadeusz Rawski. W 1963 r., jeśli dobrze pamiętam, wyszła pierwsza synteza *Polacy w II wojnie światowej* wydana przez Wojskowy Instytut Historyczny, której autorami było czterech pułkowników, takich tuzów, między innymi on. Leszek Moczulski recenzował to i straszliwie krytykował, w ogóle wszyscy się okropnie czepiali. Gdybym był na miejscu Rawskiego, to wyszedłbym i powiesił się, a on się śmieje. Zabrał głos i mówi — ja nie wiem, kto to napisał, tu jest tyle rzeczy, których myśmy nie napisali, my w tej książce mamy tylko nazwiska, czytamy ten tekst jak cudzy.

W.B. — ***Jest też pewne prawdopodobieństwo, że on nie do końca mówił prawdę, że się wstydził w tym środowisku tej książki, a gdzie indziej...***

T.S. — Autorzy książki pozwalali na te ingerencje, gdyż nadal chcieli zachować swoje stanowiska w WIH, mimo że ingerencje cenzury, a zapewne także innych czynników politycznych, szły bardzo daleko i dotyczyły wielu fragmentów opracowania. I to jest groźne, gdyż firmowali oni swoim autorytetem pracowników nauki sformułowania będące owocem nie badań, lecz aktualnej „linii politycznej" w odniesieniu do konkretnych zjawisk historycznych.

W.W. — To jest specyfika środowiska wojskowego, na uniwersytecie czy w PAN nie wyobrażam sobie takiego dzieła, choć może się mylę.

W.B. — ***Jest taka piosenka Jana Krzysztofa Kelusa, w której śpiewał on m.in. o cenzorze-filozofie, który »zabija ludzkie myśli jak zwierzęta«,***

w zamian za co może liczyć »zamiast 4800 na rękę 8400«. Niektórzy z panów pewnie zetknęli się z tą kategorią ludzi w życiu. Są różne relacje, znany jest wywiad z cenzorem opublikowany swego czasu w »Tygodniku Solidarność« czy sprawa Tomasza Strzyżewskiego i Czarnej księgi cenzury PRL. Może powiedzmy coś o cenzorach jako ludziach.

B.P. — ***Może paradoksalnie ja zacznę. Gdy pracowałam jako goniec w miesięczniku »Więź«, jednym z moich zadań było zanoszenie i odbieranie z cenzury tekstów. Po drodze, między ul. Kopernika a ul. Mysią (gdzie była siedziba cenzury), była na ul. Foksal księgarnia PIW, miejsce–klub. Tam właśnie dowiedziałam się, że umarł Breżniew. Byłam bardzo podekscytowana, odbierałam od naszej cenzorki teksty i zagadnęłam ją — czy pani wie, że umarł Breżniew!? Ona zachichotała i natychmiast strasznie się spłoszyła. Po raz pierwszy wtedy zobaczyłam na jej twarzy uśmiech i takie jej normalne oblicze.***

W.W. — W cenzurze oczywiście była olbrzymia specjalizacja wewnętrzna. Pamiętam wywiad zatytułowany *Ja, cenzor*, który ukazał się na wiosnę w jednym z pierwszych numerów „Tygodnika Solidarność" w 1981 r. Rozmowa była kryptonimowana, a cenzor był już poza zawodem. Wstydził się, ale mówił. On był w elicie zawodu, bo był specjalistą od prasy katolickiej, to była taka wewnętrzna elita. Był najlepiej przygotowany ze wszystkich, miał bardzo luksusowe warunki pracy, w tym również finansowe. Tacy jak on byli pepinierą zawodu. Opowiadał o tym, jaką miał ciekawą robotę — pierwszy czytał wszystkie teksty i był jedyną osobą, która mogła pertraktować z redakcjami. Czyli tam, wewnątrz też była jakaś hierarchia, elita itd. Warto byłoby zajrzeć do tego tekstu, ja nie pamiętam innej spowiedzi cenzora.

B.P. — ***Ten sam cenzor, tym razem już pod własnym nazwiskiem — Andrzej Góralczyk, socjolog — był bohaterem audycji w II programie PR. On się w tej rozmowie szalenie puszył, tym chociażby, że był świetnie poinformowany. Pamiętam, że właśnie z tego zrobił wielką wartość — wie mnóstwo rzeczy, o których inni nie mają pojęcia, bo on własnymi rękami wycinał te właśnie rarytasy, które potem były jego atutem towarzyskim. Mam wrażenie, że specjalizacja i wyrafinowanie cenzury przyszło z czasem, na początku była ona prosta jak karabin, bez finezji, przynajmniej w pierwszych latach i w stalinizmie.***

A.P. — Cenzorzy byli bardzo różni w zależności od ośrodka. Są takie bardzo mocne ośrodki — Gdańsk, Warszawa czy Kraków — gdzie cenzorzy są najczęściej niedopieczonymi naukowcami, nieudanymi doktorantami. Byli w środowisku naukowym, coś im się nie powiodło i trafiają do cenzury, gdzie w walce ze swoimi kolegami albo promotorami odbijają sobie własne niepowodzenia. Są też takie ośrodki, gdzie cenzorami są ludzie o bardzo wąskich horyzontach, którzy w najlepszym razie mają średnie wykształcenie. Na początku lat siedemdziesiątych weszło rozporządzenie,

które stawia cenzorom wymóg wyższego wykształcenia, ale cenzorzy w większości nie spełniają tego wymogu. W GUKPPiW w 1971 r. tylko 67 proc. urzędników cenzurujących miało skończone studia. A przecież w stosunku do sytuacji sprzed 1956 r. to niezwykły skok, bo wcześniej ludzi wykształconych można by ze świecą szukać.

Ciekawi są cenzorzy prowincjonalni – ci ludzie to są tacy inteligenci, którzy na swój sposób wręcz rozczulają. Przyjeżdżają na przykład na szkolenia do Warszawy, przy tej okazji idą do teatru. Potem muszą pisać relacje z tych swoich podróży szkoleniowych. Oczekuje się od nich, że napiszą, czego się dowiedzieli, z jakimi problemami cenzorskimi się zapoznali, jakie są aktualne trendy u dziennikarzy, a jakie wśród cenzorów, na co trzeba zwracać uwagę, jak kształtować politykę wydawniczą itd., a oni piszą, na przykład trochę szkolne, ale piękne recenzje z przedstawienia. Byli w teatrze, są poruszeni scenografią, reżyserią. Często wchodzą w inną, zaskakującą rolę. Spotkałem taką cenzorkę (przez tekst archiwalny), która była absolwentką socjologii, domniemywam, że próbowała swoich sił w zawodzie. Weszła w bardzo trudną rolę obrończyni dzieł Stanisława Ossowskiego, bo tam były zalecane jakieś cięcia, a ona napisała recenzję od serca: „Widać, jak ogromny zasób wiedzy i głęboka znajomość zagadnień cechowała St. Ossowskiego. Jako uczony i jako filozof jest on niewątpliwie postacią niezwykłą i godną popularyzacji. W kontekście tych spraw uważam, że wszystkie jego prace i artykuły winny się ukazać, nawet jeśli niektóre zagadnienia podlegają obecnie zapisom lub przestały być aktualne (sprawy rozrachunkowe)". Dla wzmocnienia argumentacji dodaje jeszcze, że niecenzuralne treści „zgubią się w tak olbrzymim wydawnictwie, jakim jest sześciotomowe wydanie dzieł profesora Ossowskiego". Książka opuściła gmach cenzury bez skreśleń. Albo inny przykład takiej „odwrotnej ingerencji". „[...] W nowym filmie Wajdy *Polowanie na muchy* dokonaliśmy dwu drobnych ingerencji. Film jest bardzo dobry, lecz w pewnych kołach już przygotowuje się akcję zmierzającą do zakazu wprowadzenia tego filmu na ekrany" – skarżył się jeden z cenzorów w 1969 r.

Cały problem z tą ich wrażliwością wynika stąd, że to wcale nie byli kaci, którzy z siekierą czyhali na słowo. Oni wchodzili w rolę krytyka, ojca, który prowadzi, który zachęca, sugeruje. Taka rola jest zawarta w definicji peerelowskiej cenzury, bo w *Słowniku wiedzy obywatelskiej* z 1970 r. jest dokładnie tak napisane, że rola cenzora polega na tym, by chronić autora przed jego niezawinioną niewiedzą. Cenzor ma być dla autora wsparciem. Wybitny prawnik epoki PRL prof. Jerzy Bafia napisał w 1983 r. taki komentarz do ustawy o cenzurze, że cenzura to jest po prostu upaństwowiona krytyka.

W.W. – To jest taki zawód, który jest chory na brak poparcia społecznego. Cenzor jest trochę jak grabarz. Groby trzeba zrobić, ale nie każdy chce być grabarzem. Z cenzorami był ten kłopot, że oni cały czas mieli poczucie nieudanego życia zawodowego, skazania przez partię. Z niektórych ludzi cenzorów po prostu zrobiono – „decyzją Komitetu Centralnego staniecie, towarzyszu, na odcinku cenzura".

Funkcjonowało nawet takie powiedzenie: zesłanie na Mysią. Siłą rzeczy potem oni powoli racjonalizowali swoją rolę, bo mieli ten potworny kompleks kastrata, który innym musi niszczyć słowa. W 1956 r. jakiegoś cenzora wyrzucono z pracy, bo coś puścił w „Życiu Warszawy", więc zaraz przyjęto go do pracy w tej gazecie. Po Sierpniu 1980 r. cenzura przeżyła jakąś wewnętrzną rewoltę – zawiązała się tam jakaś struktura pozioma.

A.P. – Cenzorzy bardzo starali się o to, żeby dostać legitymacje prasowe. Pokazywali się w rozmaitych klubach dziennikarzy, uwielbiali to. Chcieli być traktowani jak zwykli dziennikarze, zwykli pracownicy słowa, którzy są pomocni.

T.S. – Chyba nigdy nie dojdziemy, jacy oni byli, bo po pierwsze na pewno byli bardzo różni, po drugie było ich bardzo wielu. Co kartofel, to problem. Myślę, że byli jakoś dobierani, a jednocześnie byli ludźmi. Nigdy nie miałem kontaktu z cenzorem, zawsze robiła to za mnie redakcja PWN lub PIW. Cenzor kontaktował się nawet nie z panią redaktor, która redagowała moją książkę, tylko z jej zwierzchnikiem. Natomiast ważnym elementem, którego nie można pominąć, byli recenzenci. Mówimy o pracach naukowych. Cenzor cenzorem, ale recenzent mógł cię „załatwić" – łącznie z cenzorem lub niezależnie. I tak na przykład WIH przez wiele lat był instytucjonalnym recenzentem prac naukowych dotyczących II wojny światowej. Ja rozmawiałem z pewnym docentem z tego instytutu, który nie wszystko rozumiał w mojej książce o oddziałach szturmowych, chciał ze mną rozmawiać i było wiadomo, że on od tego jest. Płk Stanisław Nałęcz-Komornicki recenzował książkę Władysława Bartoszewskiego *1859 dni Warszawy*. Po pewnych zmianach i uzupełnieniach – dodajmy, korzystnych dla książki i uzgodnionych z autorem – puścił ją i został usunięty z wojska i z WIH. Był to akt dużej odwagi. To jest sytuacja, w której fachowy recenzent, historyk tego okresu, spełnia rolę cenzorską, ale były także sprawy zwykłych recenzentów, powoływanych przez daną redakcję do ocenienia książki.

W.B. – ***Mówimy o ludziach, którzy nie byli zawodowymi cenzorami, ale też »zabijali ludzkie myśli jak zwierzęta«.***

T.S. – Napisałem taką książeczkę *Odbijanie i uwalnianie więźniów w Warszawie 1939–1944*. Wyszła ona w 1972 r., a powinna wyjść wcześniej. Jeden z recenzentów, do których ją posłano, pan Czesław Pilichowski, człowiek mocny politycznie, szef poprzedniczki IPN – Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, napisał następujące zdanie: „Nie wiem, czy tak było, jak pisze dr Tomasz Strzembosz, bo nie znam się na tych sprawach, ale jeśli tak było, to temat został źle wybrany". Recenzja kończyła się wnioskiem, że książki nie wolno publikować pod żadnym pozorem, nawet po dokonaniu zmian.

W.B. – ***W książce wspomnień historyków o cenzurze w PRL opracowanej przez Zbigniewa Romka wyczytałem historię Edmunda Makowskiego, profesora historii z Poznania. Zaczynał on swoją karierę właśnie jako***

cenzor. Potem został redaktorem w Wydawnictwie Poznańskim właśnie dlatego, że znał metody pracy swoich byłych kolegów. Awansował nawet na zastępcę redaktora naczelnego w tym wydawnictwie. Stracił i pracę i stanowisko, kiedy zgodził się na publikację głośnej książki Leszka Moczulskiego »Wojna polska«. W końcu stał się historykiem, znanym specjalistą od dziejów PRL.

W.W. – Książki rządziły się trochę innymi prawami niż prasa, a zwłaszcza książki naukowe, bo można było wiele rzeczy załatwić za pomocą nakładu, kolportażu i dystrybucji. Były cenne, wartościowe książki, które właściwie nie wchodziły w obieg społeczny, pozostawały w obiegu prawie zamkniętym. Na fali bardzo nieprzyjemnych wydarzeń mogły pojawić się bardzo interesujące publikacje, chociażby wokół Marca 1968 r. pojawiła się taka literatura historiograficzna, mająca swoją wartość, a była wspierana przez partyzantów Mieczysława Moczara, który chciał podać rękę akowcom. Wiadomo, że to była pewna gra. W wydawnictwie PAX, choć nie tylko, ukazały się książki, które wcześniej nie miały żadnej szansy. Ja potwierdzam opowieść pana profesora o tych recenzentach wewnętrznych – to była zgaga. Myśmy ze Zbysławem Rykowskim mieli tę przygodę z *1956 rokiem*, sześć lat trzymali tę książkę, mieliśmy 25 recenzji wewnętrznych, w PIW, w Wydawnictwie Literackim, tam były bez przerwy jakieś wielkie kłótnie. Oni nam pokazywali te recenzje, myśmy stawali do dyskusji, to było i tak przegrane, bo za każdym razem domagano się od nas wyrzucenia pierwszego rozdziału, gdzie analizowaliśmy słowa Stalina. To ich doprowadzało do szału. Powiedziałbym nawet, że działalność recenzentów to jest już nie tylko rodzaj cenzury, to jest realizacja doktryny politycznej. To jest pewna koncepcja polityczna, która nie ma formy cenzorskiej, ale jest formą nagany, odrzucenia, murem, przez który nie można się przebić, w którym się utyka. Miałem też raz doświadczenie z redaktorem z Czytelnika, jego nazwiska nie będę wymieniał, który bardzo nieporadnie, po chamsku próbował grzebać w jakichś fragmentach tekstu i próbował coś wymuszać. Każda rozmowa z nim kończyła się grubą awanturą, był szalenie irytujący.

A.P. – Gdy śledzi się rozmaite protokoły interwencyjne, najczęstszym materiałem do cenzurowania wcale nie są prace naukowe, ale rozmaite popularyzacje. To bardzo zresztą słuszna identyfikacja, jeżeli gdzieś toczy się walka o świadomość społeczną, to odbywa się ona raczej na poziomie „Tygrysów", kryminałów opartych na realiach wojennych itd. Oni dobrze wiedzieli, gdzie jest pies pogrzebany.

W.W. – Chcę wrócić do pamięci środowiskowej dziennikarskiej i powołać się na nią – opowiadali mi o tym koledzy, którzy z racji funkcji, na przykład zastępcy redaktora naczelnego, musieli co tydzień rozmawiać z cenzorem i dogadywać się z nim co do numeru. Wiadomo było, że jest jeden lepszy cenzor, że można się z nim dogadać, on jakoś tam paktuje po tamtej stronie, i drugi, oszalały zupełnie, prymus zawodu, z którym nie można się było dogadać. Ja miałem do czynienia z obydwoma

gatunkami. Jeden cenzurował „Mówią wieki", gdzie pracowałem przez wiele lat. Zdarzało mi się pójść na Mysią z tekstem. Ten cenzor to było takie życzliwe chłopisko, bardziej przerażony od nas, bo się bał, że mu zrobią jakąś awanturę od góry, a z drugiej strony bał się nas – że jesteśmy ustosunkowanym środowiskiem historyków, jak nam coś zdejmie, to Wolna Europa zrobi z tego *show*. Był przerażony i próbował coś wypertraktować. Ten drugi – „zły", jak o nim mówiono w „Polityce" – to był jakiś oszalały facet, bardzo sprawny, wyedukowany, czepiał się tekstu potwornie, mówiąc cały czas – to nie do dyskusji, i to nie do dyskusji. Widziałem przed sobą człowieka, który lubi tę robotę.

B.P. – ***Lubili ją chyba ci, którzy mieli potrzebę władzy.***

T.S. – Istotny w ich pracy był zapewne element anonimowości, dość straszny.

W.B. – ***Mam takie wrażenie, że trudniej było być partyjnym historykiem, który zajmuje się tematyką ściśle partyjną, chociażby historią KPP, PPR czy PZPR, niż takim, który wybrał inną, bezpieczniejszą dziedzinę, nawet historii najnowszej. Tutaj był taki obszar wyjątkowo drażliwy, urzędowo zajęty, w pewnych momentach stający się wręcz elementem systemu.***

W.W. – Pamiętam, jak w 1971 r. prosiłem starszego kolegę o radę w sprawie specjalizacji. Zajmowałem się okresem międzywojennym, a bardzo mnie ciągnęło w kierunku historii PRL. On mi mówi, broń cię Panie Boże, zostań w tym okresie międzywojnia, bo to jest jeden z ostatnich okresów, którym się można zajmować, no, może jeszcze II wojną. Doktorat robiłem z II Rzeczpospolitej i długo się tego trzymałem, dopiero po 1980 r. wydawało mi się, że można się do tego PRL zbliżyć, bo wcześniej to był zaklęty krąg takiej talmudyczno-partyjnej historii pisanej nie przez historyków, tylko przez Komitet Centralny. Pamiętają państwo zapewne – Władysław Góra, Kadłubek Polski Ludowej.

T.S. – Jak pan mówi Władysław Góra, to muszę coś powiedzieć. W 1984 r. poszedłem do Pałacu Kultury do księgarni. Jest książka Władysława Góry *Historia PRL 1944–1984*. Ja jej nie zamierzałem kupić, ale kupiłem. Przejrzałem indeks – zwracam uwagę, że to nie była historia partii, tylko historia Polski – nie było w tym indeksie człowieka, który się nazywał Stefan Wyszyński, a prymas Józef Glemp był wspomniany cztery razy. Uznałem, że to jest dokument czasów i dlatego muszę to kupić. To też są pewne kurioza. Nie sądzę, żeby Władysław Góra miał zakaz napisania czegoś o Wyszyńskim.

W.W. – O tej książce można by wiele mówić. Gdy on pisał swoją książkę, nie obowiązywała politycznie kryzysologia, czyli konstatacja, że PRL rozwijał się od kryzysu do kryzysu. Góra wobec tego, aby uzasadnić wewnętrzne podziały, przyjął je według planów gospodarczych. Takich książek było mnóstwo, iluś tam historyków na dobrych etatach, korzystając z materiałów albo nie korzystając, mimo że je mieli pod ręką, napisało obfity zbiór makulatury o PRL, bardzo żałosny. Blokowali w ten

sposób innych. Starszy kolega naprawdę mądrze mi powiedział – ty się do tego nie zbliżaj, nie masz żadnej szansy, nie będziesz miał dostępu do źródeł, wszystko będzie tak cenzurowane i pilnowane politycznie, że nie masz szans.

T.S. – Jest jeszcze jedna rzecz, którą należy zauważyć, przecież byli i wtedy uczciwi historycy PRL, na przykład pracownia prof. Franciszka Ryszki, prof. Tomasz Szarota, prof. Krystyna Kerstenowa i inni. Nie wychodzili oni poza pewną cezurę czasu, poza rok 1949, bo nie można byłoby powiedzieć czegoś, nie mówiąc o tym, że jest to rozkwitający stalinizm.

W.B. – ***Jeszcze nie rozmawialiśmy o alternatywie. Oczywiście było nią Radio Wolna Europa. Były działy prohibitów (czyli książek zakazanych) w lepszych bibliotekach i nie było to specjalnie trudne, aby się do nich dostać. Z wyjazdów zagranicznych przywoziło się znaczną liczbę nieocenzurowanych książek i czasopism. Był wreszcie – od pewnego momentu – drugi obieg.***

W.W. – Pamiętam z opowieści moich starszych kolegów dziennikarzy, że do tego momentu, dopóki nie pojawił się drugi obieg, znakomicie pełnili funkcję takich demiurgów społecznych. Nie bez przyczyny była wielka popularność tekstów takich wybitnych autorów jak Hanka Krall, wielkich reporterów polskich, którzy metatekstem umieli dużo o rzeczywistości powiedzieć. Dziennikarka pisała reportaż o cyrku i kończyła zdaniem: dyrektor kieruje, a treser rządzi, i wszyscy wiedzieli, że chodzi o partię i o premiera, zgodnie z hasłem, że partia kieruje, a rząd rządzi. Na tym polegały te zabawy. I nagle przychodzi 1976 r. – po co udawać, po co pisać jakieś metafory i aluzje, kiedy można tak prosto walnąć. Wielu ludziom pióro zaczęło wylatywać z rąk.

T.S. – A już można było prosto walnąć? To jest pytanie.

W.W. – Oczywiście w drugim obiegu. Jeszcze inny wątek wart jest wspomnienia. Wyszła niedawno książka niemieckiego historyka Stefana Wolle o NRD, w której on opisuje schizofreniczną sytuację enerdowską. Warto się tamtej sytuacji przyjrzeć. Oni już od połowy lat siedemdziesiątych przeżywali inwazję zachodnioniemieckiej telewizji, radia. Wszyscy tego słuchają, a reżim cały czas działa po swojemu. Wolle zaczął to badać i stwierdził, że tej enerdowskiej prasy nie da się pojąć, jeżeli się nie pobiera informacji z Zachodu, ponieważ ona jest w pewnej relacji z tamtym obiegiem.

W.B. – ***Z tego może wynika, że poszczególne obiegi informacji – oficjalny i nieoficjalny – składały się w takich »półotwartych społeczeństwach« jak Niemcy Wschodnie, ale chyba też i Polska czy Węgry, w jakąś, mimo wszystko, spójną całość.***

B.P. – ***Chciałabym powrócić do społecznych skutków działania cenzury i tego, że jej obecność i aktywność była odczuwalna przez szeroki ogół; to widać w choćby w hasłach nawołujących do zniesienia cenzury podczas różnych fal wzrostu napięcia społecznego.***

W.W. – To ładnie brzmi, ale nie wiem, czy to jest wątek, który warto ciągnąć. Mnie się wydaje, że problem cenzury jest jednak dla tych, którzy produkują słowa, i tych, którzy je odbierają świadomie, na pewnym poziomie aktywności umysłowej. Nie sądzę, żeby to był tak powszechnie uświadamiany sobie kłopot. Dla chłopa wolność jest, kiedy może on sprzedać buraki cukrowe czy porzeczki. Więc jednak to jest problem tej klasy umysłowej, jej wartości i stylu myślenia, on oczywiście łatwo był przyjmowany przez wiece, w atmosferze wolnościowej. Tam każde hasło by przeszło, byle dobrze brzmiało. Jeżeli dzisiaj mamy około trzech i pół miliona odbiorców prasy, w tym wyrobów prasopodobnych typu „Naj" itd., to jest niecałe 10 proc. społeczeństwa, z czego przynajmniej połowa nie wie, że cenzura istniała, że może istnieć, bo ta prasa jako byt nie poddaje się cenzurze, chyba że obyczajowej.

A.P. – Mam wrażenie, że pan profesor sam sobie zaprzeczył, właśnie dlatego, że w istocie rzeczy problem cenzury dotyczył raczej stosunkowo wąskiej grupy ludzi, stosunkowo wąska grupa ludzi wiedziała, jak daleko potrafi sięgnąć cenzura. To dlatego ten 1976 r. nie jest jednak datą przełomową. To, co mogło być ważne dla środowisk uniwersyteckich, i to też nie we wszystkich pewnie szkołach wyższych, było zupełnie nieistotne dla innych środowisk. Raczej zwróciłbym uwagę na problem pojawienia się kultury masowej. To jest tak, że z całą pewnością do Gierka cenzura ma bardzo dużo obowiązków związanych ze zwykłą cenzurą obyczajową. Oni mają nawet specjalne powiedzenie, które sobie ukuli na to – kultura w celofanowym opakowaniu. Co oznacza miazmaty z Zachodu – pornografia, sensacje, filmy wojenne, kryminał, detektywi. To jest zupełnie niezgodne z takim gomułkowskim estetyzmem. Oni to wszystko wyrzucają, tną, pod tym kątem też kontrolują rozmaite przesyłki z Zachodu, a jeżeli ktoś ma założoną jakąś prenumeratę, to wcale niekoniecznie wyrzucają tylko te numery, gdzie są jakieś informacje na temat bloku, które oni uważają za niewłaściwe, ale często wyrzucają także rzeczy obyczajowo niepoprawne. One są zresztą w bardzo ciekawym sprzęgnięciu z tym, co uważają za wolę Kościoła. Na przykład bardzo ciekawe są losy filmów Kena Russela, które oni tną niemiłosiernie, i kiedy jest jakiś moment napięcia między Kościołem a państwem, oni mówią, puszczamy *Diabły* tego reżysera w wąskim obiegu DKF w Warszawie, żeby środowiska klerykalne przekonały się, co się dzieje na Zachodzie i jak dobrze im tutaj. Problem kultury obyczajowej i później pojawienie się kultury masowej na szerszą skalę to jest rzecz w moim przekonaniu bardzo ważna i to ma chyba większe znaczenie. W telewizji pojawia się więcej golizny. Cenzorzy zupełnie nie wiedzą, co z tym zrobić. Są bardzo przejęci, mówią: myśmy to zdjęli, a potem okazało się, że to trzeba było puścić. Mówią też – kazaliśmy zdjąć taki film sensacyjny, bo to jest zwykła gangsterka, oni się tam tylko mordują, zupełnie bez sensu, a potem się okazuje, że on ma iść. Oni pod tym względem rzeczywiście byli zasadniczy. W końcu lat sześćdziesiątych połowa zatrzymanych filmów to dzieła zablokowane z powodów obyczajowych.

W.B. — ***A zatem inną jest rzeczą świat inteligentów...***

A.P. — ...a inną świat kultury popularnej, która zresztą też posiadała swój drugi obieg. Znam taki przykład. Na maszynie drukarskiej w jakichś zakładach produkcyjnych, przeznaczonej do robienia gazetki zakładowej, pracownicy na lewo tłukli rozmaite rzeczy. Sporządzono protokoły z tego, co tam znaleziono. Tam są dwie kategorie druków — książeczki do nabożeństwa i pornografia. Bywały drukowane, również nielegalnie, przemówienia Mao Zedonga, ale głównie jest to właśnie pornografia i książeczki do nabożeństwa. Takie było zapotrzebowanie na rynku. Więc w naszej rozmowie nie chciałbym, żebyśmy przeoczyli wtargnięcie kultury masowej.

W.W. — To bardzo słuszne, ale nie przeczy to mojej tezie. Produkcja niezależnego słowa po 1976 r., pozacenzuralnego przecież w końcu, sięgała tysiąca tytułów. Tego jest naprawdę bardzo dużo. To jest inna konkurencja, konkurencja treści, idei, wartości, różnych rewindykacji, to nie jest kultura masowa. To jest taka dziewiętnastowieczna rola polskiego inteligenta, który tworząc słowa, widzi się w roli misjonarza społecznego. Ta rola kończy się po 1980 r. i wychodzi to, o czym pan mówi. Równolegle pojawia się kultura masowa, w znacznej mierze elektroniczna. Stosunkowo najmniej o tym wiemy, bo króluje słowo ulotne, elektroniczne, radiowe, telewizyjne i obraz. W 1963 r. telewizja ma milion abonentów, a pod koniec lat siedemdziesiątych jednorazowo przed telewizorem zasiada piętnaście, szesnaście milionów ludzi — jak Jan Paweł II przyjechał z pierwszą pielgrzymką. No i oczywiście opanowanie przez telewizję wsi. Jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych na wsi jest 2 proc. odbiorników telewizyjnych. W latach siedemdziesiątych jest to już zjawisko masowe.

W.B. — ***Tu się pojawił taki ciekawy wątek związku Kościoła i cenzury. Czy hierarchia kościelna uważała, że cenzura państwowa wyręcza ją w pewnych kwestiach, na przykład obyczajowych, czy był taki ostry podział, te struktury z zasady nie mogły współpracować? Czy pan to badał źródłowo?***

A.P. — Nic takiego nie znalazłem. W archiwach cenzury jest korespondencja z wnioskodawcami. Hierarchowie Kościoła nie korespondowali z Głównym Urzędem Kontroli, ich korespondencja zawsze szła przez Urząd do spraw Wyznań, w ten sposób zachowała się korespondencja Karola Wojtyły, który przez Urząd do Spraw Wyznań interweniował w sprawie cięć w jakiejś gazecie archidiecezjalnej. Kościół prowadził negocjacje wyłącznie taką drogą.

W.B. — ***Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy, a warto o tym wspomnieć. Czy rzeczywiście były te słynne interwencje Wielkiego Brata z ambasady? Często się o tym mówiło. Czy to nie był tylko straszak i takie kłamstwo tłumaczące cenzora? »Wiecie kolego, chętnie byśmy to puścili, ale towarzysze radzieccy itd.«***

W.W. – Ja nie zaryzykuję żadnej tezy, znam jednak przykład wtrącania się w prasę, w gazetę. To był Nikołaj Bułganin w 1956 r., który w przemówieniu 22 lipca pozwolił sobie ochrzanić prasę polską. Wyszedł na trybunę i przyłożył, że ona uprawia czarnowidztwo, kapitulanctwo itd. Jego przemówienie było w połowie VII plenum, którego obrady przerwano tylko z racji święta. Gdy tylko skończył, to zaraz na sali plenarnej skoczyli ci twardzi na wszystkich liberałów partyjnych za to, że oni uprawiają czarnowidztwo. Jeden z nich powiedział – towarzysze, to dziennikarze z „Po prostu" maczali w krwi poznańskich robotników swoje pióra. To oni zapędzili ich na ulicę. To była straszna rozróba, która pokazuje, jak się kotłowało na górze. W takiej sytuacji cenzor przestaje być ważny, a Bułganin wyraźnie powiedział, gdzie jest racja, że trzeba przykręcić śrubę i pogonić towarzystwo.

T.S. – Były też zamknięte doktoraty. Roman Korab-Żebryk broni na Uniwersytecie Warszawskim doktoratu o bitwie pod Krawczunami stoczonej między żołnierzami sowieckimi i akowcami a Niemcami. Nie można było przyjść na tę obronę i posłuchać, mimo iż wydawało się, że wszystko było „słuszne", bo to była bitwa z Niemcami. Obrona była zamknięta, żeby kogoś nie urazić, żeby nie wywołała sensacji, żeby ktoś czegoś nie napisał – nie wiem, z jakiej przyczyny.

W.B. – ***Była też słynna książka poświęcona Ukraińskiej Powstańczej Armii, która najpierw się pokazała, potem znikła. Bo temat był zastrzeżony dla historyków sowieckich.***

T.S. – Była to praca Antoniego Szcześniaka i Wiesława Szoty *Droga donikąd. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i jej likwidacja w Polsce*. Skądinąd bardzo dobra, pokazuje struktury itd. Pracowałem wtedy w Instytucie Historii PAN. Trzeba było się zapisać imiennie, bo ta książka była dostępna w odrębnym obiegu „tylko dla specjalistów". I przyszło do instytutu dwadzieścia egzemplarzy. Ja bym jej nie cenzurował, ona jest bardzo „słuszna". Podobnie jak u Jana Gerharda w *Łunach w Bieszczadach* – UPA ma nóż w zębach – ale jest wiele informacji faktycznych o tej organizacji.

W.B. – ***Czy panów zdaniem można mówić o czymś takim jak trwałe dziedzictwo epoki cenzury w Polsce?***

A.P. – Trudno mi znaleźć trwalsze i bardziej straszne dziedzictwo PRL niż biblioteki pełne książek współpisanych przez cenzorów. Te książki w pewnym sensie są niezastąpione, bo nie ma innych. Co więcej – często nie ma już wersji oryginalnych. Trzeba czytać te, które są, a myślę, że wrażliwość na to, co w tych książkach znajduje się między wierszami, jest coraz mniejsza. Prof. Henryk Samsonowicz opowiadał o tym, jak kiedyś pojechał do nauczycieli, gdzieś na tzw. prowincję i tam się podzielił jakimiś nowinkami mediewistycznymi. Ci zaczęli z nim polemizować, ale nie to jest straszne, że polemizowali z Samsonowiczem. Rzecz w tym, że powoływali się, jako na ostateczny argument, na książki do historii, których jak się okazało, już ich uczniowie nie używają, bo nie są drukowane, ale ich zdaniem są bardzo dobre

w niektórych miejscach. Słowem, machali mu przed nosem książkami z początku lat pięćdziesiątych. Widać, że studenci studentami, młode pokolenie młodym pokoleniem, ale poza tym jest ogromna liczba nauczycieli, którzy szerzą wiedzę i nawykowo sięgają do tych, a nie do innych książek.

W.B. — ***Żeby rozumieć zapisy między wierszami, żeby rozumieć poszczególne aluzje, dostrzec przemilczenia czy koncesje na rzecz tej czy innej formy cenzury, trzeba mieć tak naprawdę gigantyczną wiedzę o epoce, o tym, w czym człowiek PRL był zanurzony.***

T.S. — Tak, ale żeby ocenić, czy książka prof. X jest książką, na której rzeczywiście można się w tym przypadku oprzeć, to znów trzeba mieć tę wiedzę, której student trzeciego roku nie ma. Na moim seminarium magisterskim obejmującym lata II wojny światowej studenci w swoich pracach szeroko wykorzystywali książki napisane według modelu z 1953 r. (np. prof. Szaflika), ponieważ po pierwsze były one często jedynymi poruszającymi dany problem, a po drugie nie dysponowali wiedzą pozwalającą na odróżnienie popiołu od diamentu.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 2 (37), luty 2004

ZWALCZANI I KONCESJONOWANI

O mniejszościach wyznaniowych w PRL
z Kazimierzem Urbanem rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Wojna i zmiana władzy w Polsce spowodowały, że wszystkie wspólnoty religijne w Polsce poniosły nie tylko wielkie straty materialne, ale wiele z nich stanęło wobec rzeczywistości znacznego uszczuplenia społecznej bazy swej działalności duszpasterskiej. Wiele świątyń, domów modlitwy uległo zniszczeniu, inne pozostały na Kresach. Przyjęliśmy majątek poniemiecki, który trzeba było zagospodarować. Każda wspólnota religijna musiała na nowo określić liczbę swoich wiernych...***

K.U. — Pytanie o liczbę wiernych poszczególnych wyznań jest o tyle trudne, że można było podejmować jedynie próby szacunkowego jej określania. Podawano liczby, jakimi środowiska wyznaniowe próbowały opisać stan faktyczny w warunkach wielkiej improwizacji, w jakich wówczas funkcjonowało społeczeństwo i całe państwo. Zawyżano liczbę wiernych, choćby tylko przed władzami, z prozaicznej przyczyny, ubiegając się o przydział jakiegoś majątku, obiektów sakralnych, pomieszczeń na ośrodki duszpasterskie, nie mówiąc o innych nieruchomościach, szczególnie na terenach poniemieckich. Niejednokrotnie więc podawano liczby iście księżycowe. W latach 1948–1949 zdecydowano się zebrać te szacunki co do liczby wiernych, placówek duszpasterskich, duchowieństwa, świątyń i innych instytucji, jak domy opiekuńcze. Dane te są bardzo niedokładne i mało wiarygodne. W odniesieniu do wyznań nierzymskokatolickich bardziej wiarygodne dane pochodzą z początku lat pięćdziesiątych. Ich liczebność ocenia się na niespełna 600 tys., a gdyby uwzględnić luteran niemieckich, których wówczas było jeszcze sporo, to byłoby około 650 tys. Z jednym zastrzeżeniem, szczególnie dwa Kościoły fałszowały dane dotyczące liczby wiernych przez cały okres po 1950 r. To było prawosławie i Kościół polskokatolicki. Wielkości, które oni podawali, niekiedy przybierały astronomiczne rozmiary w porównaniu ze stanem posiadania. W przypadku prawosławia w latach 1952–1953 liczbę wiernych zawyżono przynajmniej dwukrotnie — z niespełna 200 tys. do 400 tys. I to się wlokło w statystykach, jakie przedkładano Urzędowi do Spraw Wyznań, aż do lat osiemdziesiątych, gdzie natknąłem się na liczbę 1,2 mln wyznaw-

ców. Teraz jeszcze jesteśmy świadkami sporów na Białostocczyźnie, ilu rzeczywiście jest tam prawosławnych.

B.P. — ***Dlaczego prawosławni zawyżali statystyki?***

K.U. — To się dokonywało za przyzwoleniem władz, bo Urzędowi do Spraw Wyznań ta manipulacja była potrzebna w związku z likwidacją grekokatolicyzmu, co oczywiście miało uzasadnienie polityczne. I tak zaczęło to w statystyce funkcjonować przez następne dziesiątki lat.

B.P. — ***A Kościół polskokatolicki?***

K.U. — Trudno uwierzyć w to, co oni wyprawiali ze statystykami. Na przykład uznawano za współwyznawcę kogoś, od kogo otrzymano korespondencję listowną czy zamówienie prenumeraty nieregularnie ukazującego się miesięcznika „Posłannictwo".

B.P. — ***Czy jakieś wyznanie obecne w międzywojniu nie odrodziło się w PRL? Czy pojawiła się jakaś grupa religijna nieobecna wcześniej?***

K.U. — Posłużę się konkretnymi przykładami jednostkowymi... Ewangeliczni Chrześcijanie w Duchu Apostolskim — społeczność działająca przed wojną na zasadzie autonomicznych zborów na północno-wschodniej Grodzieńszczyźnie i Białorusi — starała się o legalizację w początkach lat pięćdziesiątych, złożyła stosowną dokumentację, ale została spacyfikowana przez UdSW. Zaproponowano jej, żeby na wzór sowiecki połączyła się ze Zjednoczonym Kościołem Ewangelicznym. W ramach ograniczania aktywności wspólnot ewangelicznych w ZSRS w latach 1943–1944 powołano Związek Ewangelicznych Chrześcijan Baptystów. U nas próbowano realizować ten model od 1947 r. Zjednoczony Kościół Ewangeliczny, szarpany tendencjami odśrodkowymi, przetrwał prawie do końca lat osiemdziesiątych. W 1987 r. ostatecznie cztery tworzące go różne związki wyznaniowe usamodzielniły się i działają jako osobne. Ci, którzy w PRL nie przyłączyli się Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego, a było ich wielu, ujawnili się dopiero wtedy, gdy zaistniały warunki polityczne. Do tego czasu zarówno w literaturze naukowej, jak i w archiwaliach nazywano ich separatystami zielonoświątkowcami.

Przykładem nieistniejącej już w Polsce wspólnoty jest Ewangelickie Stowarzyszenie Modlitwy. Pojawiło się na mapie wyznaniowej w 1945 r. w Giżycku i w okolicy. Nigdy jego liczebność nie przekroczyła 200 osób, zaprzestało swej działalności w latach siedemdziesiątych w wyniku wyjazdu wszystkich wyznawców do Niemiec Zachodnich. Od czasów przedwojennych funkcjonowało (i funkcjonuje do dzisiaj) w Hamburgu, jako pokrewny zbór, zresztą utworzone przez tych mazurskich członków, ale w Polsce już tej społeczności nie ma. Zabrakło też mazurskiej społeczności mormońskiej, która zaprzestała działalności również na skutek wyjazdu jej członków na początku lat siedemdziesiątych. Później, na zasadzie chyba specyficznej koncesji ówczesnego UdSW, w 1977 r. zarejestrowano Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich (mormonów), tyle tylko że zarejestrowali i utworzyli go

mormoni spoza terenów Mazur, niezwiązani z nimi. Kościół prowadzi działalność w Warszawie, gdzie znajduje się imponujące, choćby tylko architektonicznie, centrum mormońskie.

Inny przykład takiej wspólnoty to Jednota Braci Polskich – powstała w Krakowie w 1945 r., formalnie nawiązując do przedwojennej działalności pewnego emerytowanego duchownego luterańskiego Karola Grycza-Śmiłowskiego. Utworzył on związek, wspólnotę ekumeniczną, bardzo liberalną pod względem religijnym, nawiązującą do koncepcji Braci Polskich z szesnastego stulecia, o nazwie Polski Kościół Braci Unitarian, później Jednota Braci Polskich (zarejestrowana ostatecznie w 1967 r.). Po śmierci założyciela funkcjonowała siłą bezwładu, a w latach osiemdziesiątych jej nazwa została przechwycona przez ugrupowania zielonoświątkowe, którym przez lata odmawiano legalizacji i rejestracji. Siedzibę przeniesiono do Wrocławia. I jeszcze przykład dwóch niewielkich społeczności separatystycznych, odłamów w obrębie adwentyzmu, które zarejestrowały się dopiero na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Wcześniej odmawiano im rejestracji, a niektórych ich członków dosięgały areszty i represje.

B.P. – ***O ile wiem, nie przetrwał jeden z Kościołów ormiańskich, eczmiadzyński.***

K.U. – Tak, to Ormiański Kościół Dyzunicki, na którego ślady nie natrafiłem w powojennej Polsce. Natomiast Kościół unijno-ormiański przetrwał do dzisiaj, już w symbolicznej postaci, jeśli chodzi o liczebność, duchowieństwo, rozmiary działalności. Ta wspólnota daje znać o sobie także w Krakowie.

B.P. – ***Istniał jeszcze Kościół starokatolicki.***

K.U. – Wiele było zamieszania w obrębie wspólnot czy Kościołów, które się określały mianem starokatolickich. Na podstawie ustawy z 1947 r. działał Kościół starokatolicki, którego zwierzchnik, bp Zygmunt Szypold, dokonał żywota w 1963 r. we Wrocławiu. Do końca lat pięćdziesiątych Kościół ten miał oprócz nominalnych parafii zakon żeński, franciszkański, liczący w 1958 r. cztery zakonnice. Klasztor został później przechwycony przez bp. Maksymiliana Rodego z Kościoła polskokatolickiego, który bezskutecznie zresztą nawiązywał do koncepcji Szypoldowych. Różne odmiany Kościoła starokatolickiego próbował uruchamiać biskup – czy arcybiskup (używał obydwu godności) – Ignacy Jan Wysoczański, jedna z najbardziej barwnych i tajemniczych postaci na nierzymskokatolickiej mapie wyznaniowej.

B.P. – ***Istotnie, proszę o nim powiedzieć coś więcej.***

K.U. – Zmienił on ze cztery wyznania, po drodze utworzył ileś tam nowych, kolejnych „związków religijnych", począwszy od odmian Kościoła starokatolickiego, bo tam na pewien okres się zatrzymał. Szypold uznał jego konsekrację, czy też powtórzył konsekrację biskupią, którą miał uzyskać w warunkach wojennych jako kapelan w armii gen. Władysława Andersa, gdzieś – jak mówił – na południu Afryki. Powojenne polskie władze nie chciały uznać tej konsekracji. Po 1956 r. Wysoczański

zaczął prowadzić działalność wśród przesiedleńców z akcji „Wisła", przede wszystkim na Mazurach, tam też zresztą dokonał żywota. Związał się z ruchem Popowców–Staroobrzędowców. Podróżował, o dziwo, aż do ówczesnej Rumunii, bo tam znajdowała się siedziba władz jednego z nurtów popowsko–staroobrzędowych, i aż do lat siedemdziesiątych zasypywał władze podaniami o rejestrację tego Kościoła, już staroobrzędowego.

B.P. — ***Powojenne społeczeństwo rozpoczęło odbudowywanie swoich struktur wyznaniowych, a przecież ustrój nowego państwa był ateistyczny. Jak w kolejnych latach władze PRL próbowały politycznie rozwiązywać sprawy wyznaniowe? Władza musiała przyjąć do wiadomości, że wyznawcy poszczególnych konfesji istnieją, prowadziła wobec nich swoje gry, m.in. po to, by osłabić najsilniejszy w Polsce Kościół rzymskokatolicki. Chciałabym, żeby pan omówił politykę wyznaniową władz.***

K.U. — Pierwszy okres, kiedy w odniesieniu do niektórych przynajmniej Kościołów i wspólnot religijnych realizowano politykę według modelu przedwojennego, trwał mniej więcej do 1947 r. Po spotkaniu partii komunistycznych w Szklarskiej Porębie wyraźnie zmieniono politykę wewnętrzną w sprawach wyznaniowych, jeśli idzie o wyznania nierzymskokatolickie. Nastąpił odwrót od pewnego liberalizmu i otwartości, załatwiania spraw zgodnie z artykułami konstytucji marcowej czy przedwojennymi aktami prawnymi, które regulowały status Kościołów. W 1947 r. uregulowano jedynie sytuację Kościoła ewangelicko–reformowanego oraz starokatolickiego związanego z bp. Szypoldem i Kościoła mariawickiego. (Wtedy był taki bałagan, również w sferze prawa, że w dekrecie użyto terminu „Kościół Mariawicki", chociaż od lat trzydziestych działały dwa — Starokatolicki Kościół Mariawitów [Płock] i Katolicki Kościół Mariawitów [Felicjanów]. Ostatecznie wątpliwości rozstrzygnął w latach sześćdziesiątych Urząd do Spraw Wyznań, zatwierdzając oddzielne statuty wewnętrzne dla obu Kościołów). Później zaniechano całej koncepcji stworzenia podstaw prawnych dla tych mniej lub bardziej liczebnych wspólnot religijnych, które w międzywojniu nie miały uregulowanego statusu prawnego. Było tych społeczności nie tak mało, niektóre prowadziły swą działalność jeszcze od czasów zaborów, inne pojawiły się w okresie międzywojennym. Jakąś próbą rozwiązania tego problemu (mającą charakter operacyjny i polityczny, gdyż za tym nie poszły dalsze regulacje) było narzucenie 5 sierpnia 1949 r. znowelizowanego prawa o stowarzyszeniach (jeszcze z 1932 r.) i zobowiązanie kierownictw tych społeczności do złożenia stosownych wniosków o rejestrację. Dotyczyło to tych wspólnot wyznaniowych, których byt prawny nie był uregulowany przez ustawę, dekret (rozporządzenie) czy tzw. reskrypt administracyjny. Tym ostatnim Ministerstwo Administracji Publicznej „uregulowało" status Polskiego Kościoła Chrześcijan Baptystów, Unii Zborów Adwentystów Dnia Siódmego i Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego.

Znowelizowane prawo o stowarzyszeniach objęło kilkanaście wspólnot religijnych. Przewidywało też możliwość tworzenia i rejestracji nowych. W gruncie rzeczy narzucenie tegoż prawa było bardzo nieudolną próbą uchwycenia stanu faktycznego wyznań nierzymskokatolickich, w czym władze nie miały zbyt wielkiej orientacji (nie miały jej zresztą i później). Myślę tu przede wszystkim o UdSW i podległych mu wojewódzkich czy powiatowych referatach. Trudno mi powiedzieć, jak w tym względzie funkcjonował resort czy to bezpieczeństwa publicznego, czy później spraw wewnętrznych, gdyż nie miałem dostępu do ich archiwaliów.

Znowelizowane prawo o stowarzyszeniach przysłużyło się zainteresowanym wspólnotom (wyjątek – świadkowie Jehowy). Przedłożono wówczas do rejestracji m.in. projekty statutów wewnętrznych, regulujących np. wyłanianie władz, funkcjonowanie placówek duszpasterskich. Statuty te stanowiły podstawę do prowadzenia działalności. Nie wynikało to jednak z mocy samego prawa, ale z przyzwolenia władz. Można nadmienić, że pierwsza rejestracja nastąpiła dopiero w 1949 r. (dotyczyła ciężko doświadczonego w latach 1950–1952 Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego).

B.P. – ***Trzeba pamiętać, że były to społeczności diasporowe albo też społeczności lokalne, ograniczone do jednego terenu, funkcjonujące w otoczeniu dominującego środowiska katolickiego.***

K.U. – Na marginesie ciekawostka, że o tym dekrecie z 1949 r. wiele wspólnot w ogóle nie słyszało i dowiedziało się o nim dopiero po 1956 r. Jeszcze w 1956 r. jesienią ówczesny kierownik Wydziału do Spraw Wyznań w Lublinie apelował do UdSW, żeby przysłać mu wykaz legalnie działających związków religijnych w Polsce, ponieważ milicja w terenie nie rozróżnia różnowierców od świadków Jehowy, wszystkich rozpędza i odbiera im Biblie. W późniejszych latach – po 1956 r. – można dostrzec pewną liberalizację polityki wyznaniowej. Zwróciłbym uwagę na następujący po stanie wojennym okres wyraźnej liberalizacji w polityce wyznaniowej, z czego wyłączono jednak całkowicie opozycję polityczną proweniencji kościelnej (tu można podać sporo nazwisk, z nieżyjącym już księdzem Bogdanem Trandą z Kościoła ewangelicko-reformowanego).

Poczyniłbym tu jeszcze jedną uwagę – niezależnie od tych etapów polityka władz miała charakter selektywny. W odniesieniu np. do świadków Jehowy represyjna, w odniesieniu do innych koncesyjna, w odniesieniu do jeszcze innych kompromisowa czy nawet liberalna.

B.P. – ***Trochę się gubię, jeśli chodzi o politykę władz wobec świadków Jehowy – z jednej strony byli represjonowani – aresztowano wyznawców za odmowę służby wojskowej, ale z drugiej strony w stanie wojennym dostali pozwolenie na zjazd w hali »Gwardii«…***

K.U. – Przełom w polityce władz wobec nich dokonał się w połowie lat siedemdziesiątych. Wówczas umożliwiono przyjazd do Polski przedstawicielom z centrali

w Brooklynie. Po raz pierwszy po wojnie prowadzili oni tu rozmowy z władzami w UdSW i nie tylko. W maju 1989 r. zarejestrowano ich wspólnotę. Od połowy lat siedemdziesiątych odstąpiono od stosowania wobec nich represji, liberalniej zaczęto też patrzeć na „przestępstwa" związane ze służbą wojskową i zgromadzeniami. Jeszcze w latach sześćdziesiątych utrudniano im praktyki religijne i ograniczano możliwość zatrudnienia, wytaczano procesy i wydawano wyroki skazujące. Świadkowie byli swego rodzaju fenomenem oporu społecznego. A jednocześnie w latach 1956–1957 pojawiała się informacja o osiemnastu ofiarach śmiertelnych – ludzi zamęczonych w śledztwie czy w aresztach w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych.

B.P. — ***Nie słyszałam również o konfiskacie ich drukarni.***

K.U. – W większości ich wydawnictwa były drukowane w Polsce. Nakłady były olbrzymie i sięgały całości nakładów wszystkich wspólnot nierzymskokatolickich. Co do drukarni: prosperowały znakomicie przez cały okres od 1950 r. – spektakularnie były też konfiskowane...

B.P. — ***O których wyznaniach można powiedzieć, że były hołubione przez władze?***

K.U. – Gdyby któreś z nich hołubiono, to jego stan posiadania powinien się powiększać i umacniać. Tymczasem, z wyjątkiem świadków Jehowy, żadne wyznanie nie odnotowało wzrostu. Myślę tu przede wszystkim o bazie społecznej i wiernych. Nawet jeśli umacniały się struktury organizacyjne i nie odczuwało się braku np. duchowieństwa, jako tako uporządkowano sprawę obiektów sakralnych, to baza społeczna się kurczyła z rozmaitych powodów. Między innymi wynikało to z emigracji wiernych.

B.P. — ***Myślę, że miały na to wpływ również procesy sekularyzacji kolejnych pokoleń.***

K.U. – Procesy laicyzacji rozmaicie przebiegały w obrębie tej czy innej wspólnoty, zresztą nikt tego nie badał. Trzeba uwzględnić również małżeństwa mieszane z rzymskimi katolikami. Co się tyczy pani pytania o to hołubienie – władze ówczesne miały swój Kościół: mianowały biskupów, wyrzucały ich ze stanowisk, kierowały polityką kadrową, obsadzały duchownych, wyrzucały duchownych, finansowały całą działalność organizacyjną. To był przez długie lata, prawie do czasów współczesnych, Kościół polskokatolicki. Archiwalia, przynajmniej te obecnie dostępne, w pełni to potwierdzają. Był to Kościół funkcjonujący tak jak w obrębie prawosławia rosyjskiego w międzywojniu słynny ruch obnowlenczeski. To był rodzaj „piątej kolumny", mającej ostatecznie zniszczyć prawosławie. W przypadku Kościoła polskokatolickiego jego dezintegracyjna działalność była skierowana przede wszystkim przeciw Kościołowi rzymskokatolickiemu, stąd też tyle tak głośnych konfliktów. W jednej z koncepcji próbowano użyć tego Kościoła również do rozbijania Świadków Jehowy, w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. Zerwać z tą praktyką

zdecydował się obecny jego zwierzchnik, bp Wiktor Wysoczański. Niewątpliwie była to historyczna decyzja...

B.P. — ***Formuła wielowyznaniowości społeczeństwa była w sprzeczności z polityką budowania społeczeństwa homogennego, w którym ukrywało się obecność innych nacji. A społeczeństwo jednonarodowościowe powinno być też jednowyznaniowe, o ile w ogóle toleruje się religijność.***

K.U. – Dotknęła pani paradoksu. Z jednej strony były to wysiłki władz, z drugiej strony na tę homogenizację wpływały również kompleksy mniejszości, nie tylko narodowych, ale i wyznaniowych. To w niektórych środowiskach jest zauważalne do dziś.

B.P. — ***Myślę, że kolejnym przykładem rozgrywania kwestii narodowości w polityce wyznaniowej jest sprawa stosunków między Kościołem prawosławnym a Kościołem greckokatolickim. Władze PRL z pewnością nie były w tej dziedzinie obojętne.***

K.U. – Te stosunki nigdy, od początku, od unii brzeskiej nie były dobre na terenie tego zderzenia greckokatolicko–prawosławnego, czyli na wschodnich krańcach Rzeczypospolitej. Kościół greckokatolicki raz likwidowano, raz reaktywowano. Tak było również po II wojnie światowej, a trudna koegzystencja trwa do dzisiaj. Stosunki wzajemne obu Kościołów dalekie są od poprawności, choć w wymiarze ilościowym problem w zasadzie przestał istnieć. W ostatnim spisie powszechnym jako Ukraińcy zadeklarowało się zaledwie 31 tys. obywateli, natomiast ze źródeł Kościoła greckokatolickiego wynika, że tę cyfrę należy pomnożyć przynajmniej dwa, jeśli nie więcej razy. Władze zawsze próbowały wykorzystywać prawosławnych do likwidacji grekokatolików, nie tyle struktur, ile przechwytywania wiernych, czyli bazy społecznej. Zwykle czyniły to z opacznym skutkiem. O tym wiedziano już w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy po raz pierwszy podjęto taką akcję, gdy metropolitą Kościoła prawosławnego w Polsce został importowany ze Lwowa Makary Oksijuk. Nie pomogło wykorzystanie uprzedzeń, jeśli nie wrogości doktrynalnej. Już wówczas władze oceniały realnie, że wpływy i możliwości prawosławia nie są wielkie. Nie można powiedzieć, że władza wzmacniała Kościół prawosławny, bo przecież chodziło raczej o wychowanie niereligijnego człowieka. Natomiast z pewnością liczono, że ujawnianie tego konfliktu będzie bardzo wygodnym instrumentem do likwidowania mniejszości ukraińskiej w Polsce. Tworzono placówki prawosławne na Podkarpaciu, przekazywano świątynie. Spory o świątynie trwały nawet wówczas, gdy były one opustoszałe. Przy okazji na tych terenach dochodziło do konfliktów z Kościołem rzymskokatolickim. Władze traktowały prawosławnych jako „mniejszych nacjonalistów", ale tylko w przypadku terenów ukraińskich, bo na obszarze białoruskim akces do prawosławia miał przez długie lata charakter deklaracji narodowościowej. Przypominam, w okresie międzywojennym sytuacja prawosławia na Kresach

Wschodnich nie była najlepsza, bo i polityka taka była, jaka była. W swoim konflikcie z unitami po II wojnie prawosławni czuli się więc w jakimś sensie misjonarzami.

B.P. — ***Z jakim skutkiem?***

K.U. — Na ziemiach zachodnich okazało się to już po 1956 r. O wiele wyraźniej widać to w chwili obecnej. Na Podkarpaciu są 4 tys. wyznawców prawosławia, po pięćdziesięciu latach obecności i aktywności przy wsparciu państwa, choć placówek duszpasterskich jest wiele. A skutek kolejny, w wymiarze bardziej społecznym, jest taki, że wszystko jest tam skłócone i nieufne, na styku rzymskokatolicy–grekokatolicy–prawosławni. Przykładów jako takiej koegzystencji nie znalazłem, a jeśli, to jednostkowe wydarzenia, np. w Sanoku...

B.P. — ***Interesuje mnie także funkcjonowanie wspólnot niechrześcijańskich.***

K.U. — Po II wojnie istniały trzy wspólnoty niechrześcijańskie, tak jak przed wojną — Karaimski Związek Religijny, Muzułmański Związek Religijny i przed wojną Żydowski Związek Religijny, a po wojnie od 1949 r. Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego.

Wspólnotę karaimską zaraz po wojnie szacowano na 250 wiernych. Miała zorganizowane władze tymczasowe, przewodniczącym Zarządu Tymczasowego był wybitny orientalista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Ananiasz Zajączkowski. Poza prywatnymi zbiorami w archiwaliach UdSW nie ma żadnych sprawozdań czy dokumentów. Ostatni dokument to sprawozdanie z 1952 r. prof. Zajączkowskiego i rok później pismo NBP do urzędu, że zlikwidowano konto, bo na tym koncie nie było przez rok żadnego obrotu. W archiwach urzędu następne dokumenty dotyczą lat siedemdziesiątych.

Podobnie sytuacja przedstawiała się ze społecznością muzułmańską do lat sześćdziesiątych, jakkolwiek była ona o wiele liczniejsza. Nie wiem, czy wierzyć statystykom z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, są to dane mówiące o około 1200 wiernych w pięciu gminach wyznaniowych, o pięciu imamach i o tymczasowym zarządzie, który funkcjonował i zmieniał się co parę lat. Muzułmanie prowadzili swoją działalność, praktykowali bez utrudnień, władze zbytnio się tą społecznością nie interesowały. Zainteresowanie okazywał międzynarodowy świat muzułmański, m.in. islamskie ośrodki naukowe, np. w Teheranie w 1954 r. Ktoś z Tunisu zbierał dane o polskich muzułmanach do encyklopedii. Trudno byłoby mi przywołać jakieś konflikty związane z ich bieżącą działalnością religijną czy zatwierdzaniem kolejnych zarządów oraz imamów. Polityka wobec muzułmanów była nie tyle obojętna, ile traktowano ich obecność w Polsce jako swojego rodzaju rodzimy orient, co miało zaświadczać o swobodach wyznaniowych.

B.P. — ***Czy podobną obojętność władze PRL przejawiały w stosunku do wyznawców religii mojżeszowej?***

K.U. – W przypadku wyznania mojżeszowego polityka była bardzo zróżnicowana. W pierwszym powojennym dziesięcioleciu, ale i w latach następnych, społeczność wyznania mojżeszowego była totalnie skłócona i prowadziła wieczne spory z tą częścią Żydów, którzy nie przyznawali się do religii mojżeszowej. Wydarzenia marcowe i ogromna emigracja Żydów zdezorganizowały i podcięły tę wspólnotę od strony organizacyjnej, materialnej i od strony bazy społecznej. W połowie lat siedemdziesiątych władze zdecydowały się na wzmocnienie i odbudowę Związku Religijnego Wyznania Mojżeszowego.

B.P. – ***Czy od tego momentu ta społeczność korzystała z przychylności władz?***

K.U. – Tak, na zasadzie swojego rodzaju paradoksu. W połowie lat siedemdziesiątych (zdecydowano o tym ze względów politycznych) postanowiono odbudować to, co się da, bo międzynarodowy świat żydowski wywierał silną presję. Rozpoczęto od sprawy bardzo drażliwej – cmentarzy żydowskich, następnie majątku gmin wyznaniowych żydowskich, co znalazło rozwiązanie dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych i ustawie o stosunku państwa do żydowskich gmin wyznaniowych z lutego 1997 r. Natomiast dotąd życie religijne tej wspólnoty toczyło się siłą bezwładności. Warto pamiętać, że społeczność ta znalazła się pod względem organizacyjnym, a przede wszystkim liczbowym, w tak katastrofalnym stanie, że przeważającą część ówczesnych gmin wyznaniowych można by było zlikwidować, a w każdym razie nie respektować poszczególnych władz kongregacji, bo nie spełniały przepisów statutu z 1966 r. Komisaryczne zarządy gmin też o czymś świadczyły. W końcu nawet całym związkiem kierował na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych komisaryczny zarząd.

B.P. – ***A wschodnie religie – hinduizm, buddyzm?***

K.U. – One zaczęły się pojawiać w latach siedemdziesiątych. Przed wojną, poza pojedynczymi osobami, jak Wanda Dynowska, która wówczas chyba w największym stopniu propagowała buddyzm i hinduizm, nie było prób tworzenia takich wspólnot religijnych.

B.P. – ***Jak w tym kontekście należy ocenić powołanie, a następnie funkcjonowanie Polskiej Rady Ekumenicznej? Chyba nie chodziło tutaj o patronat władz nad prawdziwą ekumenią.***

K.U. – Po 1956 r. Chrześcijańska Rada Ekumeniczna reaktywowała swoją działalność pod nazwą Polska Rada Ekumeniczna. Mimo że wśród jej członków można było spotkać różne postawy, od otwartych ekumenicznie do karierowiczostwa, był to ekumenizm kontrolowany, bo tylko taki mógł wówczas się rozwijać. Był to twór popierany przez władze w celu tworzenia przeciwwagi dla Kościoła rzymskokatolickiego, przede wszystkim jeśli chodzi o sprawy społeczno-polityczne. A jeśli chodzi o wymiar międzynarodowy – to przede wszystkim miano na uwadze oddziaływanie na międzynarodowe organizacje kościelne, jak Światowa Rada Kościołów,

Konferencja Kościołów Europejskich, Światowa Federacja Luterańska, Światowy Alians Kościołów Reformowanych czy chociażby Chrześcijańska Konferencja Pokojowa w Pradze. Mimo to daleki byłbym od potępiania Rady czy jej działaczy...

B.P. — ***Czy duchowni i wierni poszczególnych wspólnot wyznaniowych angażowali się po jakiejś stronie w momentach kryzysów politycznych?***

K.U. — Każdy kryzys społeczny przynosił jakieś swobody czy korzyści dla Kościoła rzymskokatolickiego, tym samym ograniczenia dla innych. W czasach pierwszej „Solidarności" czy po 4 czerwca 1989 r. było to szczególnie widoczne. Reakcja zwierzchników poszczególnych wyznań na informację o wyborze na papieża kardynała Karola Wojtyły była bardzo różna — od obawy i całkowitego dystansu do dopatrywania się w tym historycznego wydarzenia. Podobnie, jeśli idzie o zachowania, było w chwilach zakrętów politycznych. A jednocześnie, przypominam, że po wydarzeniach grudniowych 1970 r. powstała ustawa o nadaniu tytułu własności, odnosząca się do obiektów i innego majątku na ziemiach zachodnich. W pierwszej wersji tej ustawy w ogóle nie było mowy o mniejszościach religijnych. W Polsce powojennej mniejszości narodowe i religijne zawsze sytuowały się bardzo peryferyjnie. A w PRL tak na dobrą sprawę mniejszości religijne w okresach kryzysów i przesileń politycznych były pozostawione przez władze na pastwę losu.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 3 (38), marzec 2004

DZIEL I RZĄDŹ

O polityce wobec Kościołów protestanckich w PRL
z Ryszardem Michalakiem rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Jak w sposób jakościowy i ilościowy zmieniła się sytuacja polskich protestantów po II wojnie światowej, po tych wielkich ruchach ludnościowych, zmianach granic...***

R.M. — Pod koniec lat trzydziestych na terenach II Rzeczypospolitej działało około 50 Kościołów i związków religijnych nierzymskokatolickich. Ich wyznawcy stanowili około 30 proc. ogółu obywateli (ok. 11,5 mln osób). Według spisu powszechnego z 1931 r. w Polsce zamieszkiwało m.in. 3,8 mln prawosławnych, 3,1 mln wyznawców judaizmu, 840 tys. protestantów, około 80 tys. staroobrzędowców, 6 tys. muzułmanów. Wśród najlepiej mi znanych protestantów największym Kościołem był Kościół ewangelicko-augsburski, który przed II wojną światową liczył około 450 tys. wiernych. Z II wojny światowej Kościół ten wyszedł całkowicie rozbity. Hitlerowcy postrzegali jego przywódców jako zdrajców sprawy niemieckiej. Wkraczając w 1939 r. do Polski, pamiętali, że zwierzchnik Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce, superintendent generalny (od 1936 r. — biskup) Juliusz Bursche był lojalnym obywatelem państwa polskiego. Jednoznacznie propolska postawa bp. Burschego w okresie międzywojennym sprawiła, że Niemcy uznali go za zdrajcę, za pozbawionego skrupułów polonizatora. Wstępem do „zdrady niemieckości" była jego aktywna działalność na rzecz polskiego Górnego Śląska i Mazur, prowadzona w trakcie Konferencji Paryskiej w 1919 r., podczas której superintendent rozmawiał w sprawie tych dzielnic z dyplomatami Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji, a następnie wystąpił — jako rzeczoznawca Komitetu Narodowego Polskiego — z *Memoriałem w przedmiocie protestantów polskich w Prusiech Wschodnich*. Równie aktywnym orędownikiem polskich Mazur okazał się w okresie zarówno poprzedzającym głosowanie mające zadecydować o przynależności tego regionu — kiedy objął przewodnictwo w Mazurskim Komitecie Plebiscytowym — jak i po plebiscycie, kiedy patronował Zrzeszeniu Ewangelików Polaków na Mazurach. Źle widziana przez niemieckich działaczy ewangelickich była również działalność Burschego w takich organizacjach jak Związek Obrony Kresów Zachodnich czy też Związek Polskich Towarzystw i Zborów Ewangelickich. W rezul-

tacie w 1939 r. nastąpiły masowe prześladowania polskiego duchowieństwa ewangelicko-augsburskiego przez niemieckich okupantów. Biskup Bursche, członkowie konsystorza i wielu pastorów zostało aresztowanych już w pierwszych dniach najazdu hitlerowskiego i wysłanych do obozów koncentracyjnych. W obozach tych zginęli m.in. wspomniany bp Bursche, jego brat ks. prof. Edmund Bursche, księża Kahane, Bieliński, Falzman, Mamica, Kulisz, Pawlas, May. Przez niemieckie obozy przeszło też wielu późniejszych liderów Kościoła – księża Preiss, Lucer, Michejda, Sztwiertnia, Karpecki, Klus, Wojnowski, Michelis, Gastpary i wielu innych. W parafiach Niemcy przeprowadzili ścisły podział narodowościowy, odsunęli Polaków od kierownictwa, skonfiskowali majątki polskich parafii na rzecz niemieckich itp. W części Polski, która została przyłączona do Rzeszy, polskie parafie ewangelickie zostały w ogóle zlikwidowane, ludność polską zaś przymusowo wpisano na folkslisty. Warto wspomnieć również i o tych ewangelikach augsburskich, którzy czynnie sprzeciwili się niemieckiej agresji na Polskę. W tym gronie byli m.in. gen. Władysław Anders i gen. Juliusz Karol Rómmel. Bursche, Anders, Rómmel – po tym zestawieniu widać najlepiej, że nie trzeba mieć polskiego nazwiska, by być polskim patriotą.

B.P. – ***Gdzie przed wojną mieściła się siedziba biskupa ewangelicko-augsburskiego?***

R.M. – Tak przed wojną, jak i obecnie centralną świątynią luterańską jest kościół Świętej Trójcy w Warszawie. Siedziba konsystorza, czyli kolegialnej władzy wykonawczej, w której skład wchodzi również biskup, znajduje się przy ul. Miodowej w Warszawie. Odbudowę Kościoła w 1945 r. rozpoczynano jednakże z perspektywy Częstochowy. To w tym mieście, kojarzonym z miejscem rzymskokatolickiego kultu, rozpoczął (w lutym 1945 r.) działalność Tymczasowy Konsystorz Kościoła ewangelicko-augsburskiego. Okoliczności odbudowy Kościoła były tragiczne. Szybko okazało się, że liczba wiernych skurczyła się blisko o połowę (ofiary wojny, osoby które pozostały na Kresach Wschodnich, na Zachodzie czy na Zaolziu). Wliczając nowy ewangelicki nabytek – ewangelików zamieszkujących Mazury czy Śląsk – Kościół ewangelicko-augsburski liczył bezpośrednio po wojnie około 250 tys. wiernych. Jednakże w ciągu kilku (kilkunastu) lat liczba ta uległa zmniejszeniu. Opuścili bowiem Polskę ewangelicy Niemcy, a także, co szczególnie bolesne, ewangelicka ludność rodzima. Ludzie, którzy będąc obywatelami Rzeszy, przez długie lata uważali się za Polaków, podtrzymywali polskość w ruchu gromadkarskim (opozycyjnym wobec niemieckiej linii Kościoła ewangelicko-unijnego), a także działając w polskich organizacjach, w propolskich akcjach plebiscytowych, w ciągu krótkiego czasu zniechęcili się do państwa polskiego i wyjechali do Niemiec. Nieprzychylna polityka władz wobec autochtonów, ale również nieprzyjazna wobec nich postawa ludności napływowej, wywołały falę emigracyjną. W 1958 r. Kościół luterański liczył już tylko 110 tys. wiernych. Dzisiaj ma on ich około 80–90 tys. Ale protestanci

to nie tylko luteranie. Kościół ewangelicko-reformowany, który przed wojną liczył około 20 tys. wiernych, po jej zakończeniu miał już tylko około 4,5 tys. wiernych. „Skurczył się" również stan posiadania innych Kościołów protestanckich. Nie zmienia to faktu, że bezpośrednio po wojnie na gruncie protestanckim znów mamy do czynienia, jak w II Rzeczypospolitej, z mozaiką wyznaniową.

B.P. — ***Jakich Kościołów zabrakło w tej mozaice?***

R.M. — Przestał istnieć Kościół ewangelicko-unijny, jednoznacznie niemiecki. Właśnie dlatego władze państwowe nie godziły się na jego dalsze funkcjonowanie. Zupełnie nieuzasadnione było natomiast karanie za „niemieckość" Kościoła ewangelicko-augsburskiego i wyznania helweckiego. Nie można jednak powiedzieć, że tuż po wojnie nowe władze były programowo nastawione na likwidację Kościołów i związków wyznaniowych. Perspektywa zrównania wyznań pod względem prawnym roztaczana przed Kościołami mniejszościowymi przez „władzę ludową" po II wojnie światowej sprawiła — w połączeniu z ich negatywnym doświadczeniem polityki wyznaniowej II Rzeczypospolitej — że wielu przywódców protestanckich z nadzieją i ufnością ustosunkowało się do padających deklaracji. Wiele obiecywali oni sobie już po zawartej w manifeście PKWN zapowiedzi przywrócenia „wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, prasy, sumienia" — stwarzała ona przecież możliwość nobilitacji „drugo- i trzeciorzędnych", dyskryminowanych niekiedy w II Rzeczypospolitej, Kościołów. W efekcie w większym lub mniejszym stopniu część duchownych protestanckich legitymizowała i wspierała propagandowo uzurpatorskie rządy komunistów.

B.P. — ***W zmienionej sytuacji politycznej władze dążyły do stworzenia państwa jednonarodowościowego, często identyfikowały wyznania z narodowością, prowadziły politykę wyznaniową podporządkowaną swoim interesom doraźnym.***

R.M. — Formalnie władze centralnego szczebla dementowały w pismach wysyłanych do wojewodów (a oni z kolei do niższych instancji), jakoby protestanci mieli być Niemcami. Wręcz apelowano o to, żeby takiego stereotypu nie powielać. Bardzo często w pismach do wojewodów Ministerstwo Administracji Publicznej podkreślało, że Kościół ewangelicko-augsburski zdał egzamin z patriotyzmu i polskości w czasie II wojny światowej. Wielu duchownych nie podpisało — mimo często niemieckich korzeni — folkslisty i straciło życie w obozach koncentracyjnych. Stanowisko centrali a stanowisko władz w terenie to jednak dwie różne rzeczy. Odnoszę też wrażenie, że władze centralne jedynie formalnie — w imię propagandowego wizerunku państwa tolerancyjnego — kierowały takie pisma do wojewodów, faktycznie zaś przyzwalały na ich politykę przypinania ewangelikom etykiety Niemców. A etykieta ta okazała się przydatna w kontekście przydziału spornych świątyń. Praktycznie w większości wypadków władze wojewódzkie i powiatowe trzymały stronę Kościoła rzymskoka-

tolickiego, dowodząc przede wszystkim, że zmieniła się rzeczywistość polityczna, pojawili się repatrianci zabużańscy i trzeba zadośćuczynić tym, którzy utracili swoje majątki na Wschodzie. Trzeba im też zorganizować opiekę duszpasterską i dlatego potrzebne są kościoły. Te racjonalne argumenty były akceptowane przez wielu luterańskich duchownych, jak choćby pracującego wśród autochtonów na Śląsku Opolskim ks. Karola Klusa.

Oczywiście, nie było problemu, gdy całe miejscowości złożone z Niemców migrowały do niemieckich stref okupacyjnych, pojawiał się on natomiast tam, gdzie pozostała ludność rdzenna, rzeczywiście mająca cechy ludności niemieckiej (np. posługująca się językiem niemieckim), a jednak uważająca się za ludność śląską, mazurską czy wprost polską. Niestety, władze lokalne w większości przypadków opowiadały się bezkrytycznie za argumentacją księdza rzymskokatolickiego, a nie pastora luterańskiego. W efekcie kościoły, które nie zostały po wojnie opuszczone przez ewangelików pozostałych na Opolszczyźnie czy na Mazurach, były jednak przekazywane ludności napływowej.

Popierając stanowisko ludności katolickiej, przedstawiciele władz, poza argumentami prawnymi, powoływali się na argumenty natury demograficznej („kościół winien przypaść większości wyznaniowej na danym terenie"), narodowościowej („ewangelicy to Niemcy, którzy powinni opuścić Polskę, a kościół trzeba przekazać katolikom"), historycznej („Kościół ewangelicki ma przedreformacyjne korzenie, więc w rzeczywistości jest Kościołem katolickim") i ekonomicznej („zbyt mała liczba wiernych nie będzie w stanie utrzymać kościoła"). Zdarzały się również argumentacje opierające się na tezie, że rewizja stanu posiadania Kościoła większościowego wywołać może „niepokój społeczny" i z tego też względu należy pominąć inne kryteria oceny danej sytuacji. Lokalnymi „włodarzami", którzy swoją postawą i działaniami najbardziej dyskryminowali protestantów, byli łódzcy decydenci: Kazimierz Mijal i Mieczysław Moczar.

B.P. — ***Jak długo trwało to »popieranie« Kościoła rzymskokatolickiego, bo polityka wyznaniowa państwa polegała jednak przecież na ateizacji społeczeństwa?***

R.M. — Mówiłem o tym pierwszym okresie, kiedy mieliśmy wielki transfer ludności i przyszło władzom rozstrzygać, komu przydzielić kościół. W tych sytuacjach Kościół rzymskokatolicki był na ogół popierany. Przełom w całej polityce wyznaniowej przyszedł niewątpliwie wraz z rokiem 1948. Skończył się czas stosunkowo liberalnej polityki wyznaniowej (liberalnej — w porównaniu z tym, co nastąpiło w okresie stalinowskim). Możemy zauważyć różnice w traktowaniu Kościołów. Można odnieść wrażenie, że Kościół ewangelicko-augsburski w pewnych kwestiach i na niektórych obszarach państwa polskiego był faworyzowany, tyle że nie w relacjach rzymskokatolicko-luterańskich, ale luterańsko-metodystycznych. Nie wszyscy autochtoni opuścili Polskę. Powstał problem polonizacji czy też repolonizacji

ludności rodzimej. Ponieważ wyznaniem tych ludzi, w szczególności na Mazurach, był zwykle luteranizm, władze uznały, że trzeba rozstrzygnąć, któremu Kościołowi należy powierzyć akcję repolonizacyjną przy okazji misji religijnej (niechętnie zresztą widzianej), czy to będzie Kościół ewangelicko-augsburski, czy Kościół metodystyczny. Zdecydowano się na ten pierwszy, pewnie dlatego, że dysponował on większym potencjałem duchownych, zapleczem, logistyką. Kojarzono go również z propolską postawą duchownych w czasie wojny. Sądzono więc, że przy udziale tego Kościoła repolonizacja będzie skuteczniejsza. Efektem tego było stopniowe eliminowanie metodystów z Mazur, a nawet – uważam – docelowo miała nastąpić likwidacja tego wyznania.

B.P. – ***Czy przybrało to formę prześladowania tego Kościoła?***

R.M. – Jeśli chodzi o region mazurski, to zdecydowanie tak. Z kilkunastu tysięcy po wojnie dziś pozostało zaledwie kilkuset wiernych. Parafiom metodystycznym na Mazurach odbierano świątynie, wydalano stamtąd metodystycznych pastorów. Opornych autochtonów metodystów w pierwszej kolejności zniechęcono do pozostania w Polsce. W innych częściach Polski tak drastycznej antymetodystycznej polityki nie było. Ale inna związana z Kościołem metodystycznym rzecz zasługuje na wspomnienie. Otóż jego duchowieństwo zorganizowane było w dwóch rywalizujących frakcjach. A były to frakcja „pastorów demokratów" (bliźniaczo podobna do frakcji „księży patriotów" w Kościele rzymskokatolickim) i tzw. grupa konserwatywna, oporna wobec wpływów władz partyjno-państwowych. Niewątpliwie źle wiodło się tym „konserwatystom", którzy nie chcieli posłusznie poddawać się wszystkim dyrektywom władz. „Pastorzy demokraci" w zasadzie bez przeszkód mogli funkcjonować w innych poza Mazurami częściach kraju. Nie można było postawić im żadnego formalnego zarzutu, skoro z kazalnicy deklarowali i propagowali całkowitą lojalność wobec władzy i partii. Wielu z nich oferowało swoje usługi, gotowość zwalczania Kościoła rzymskokatolickiego. Chodziło na przykład o propagandową walkę na łamach „Pielgrzyma Polskiego". To gwarantowało tolerowanie tych osób przez władze, ale nie zapewniło im zwycięstwa. Władze państwowe nie były bowiem specjalnie zainteresowane Kościołem metodystycznym jako takim i tym, by wynieść któregoś z „pastorów demokratów" do władzy w Kościele. W dokumentach widoczna jest raczej chęć likwidacji tego Kościoła, jako do niczego (z punktu widzenia władz) niepotrzebnego. W momencie, gdy okazywało się, że nie można „skorzystać" z metodystów w akcji repolonizacyjnej na Mazurach, darowano sobie rozróżnianie duchownych na „postępowych" i „reakcyjnych". Dla obu rywalizujących ze sobą w Kościele grup miano w dokumentach wspólne określenie: „klika metodystyczna". W 1953 r. rozważano wprost kwestię likwidacji Kościoła metodystycznego.

B.P. – ***Czy »postępowi« to tylko problem metodystów?***

R.M. – Równie prorządowych duchownych jak „księża patrioci" czy „pastorzy demokraci" nie brakowało także w innych Kościołach: grupa pastorów z otoczenia

ks. Zygmunta Michelisa w Kościele ewangelicko-augsburskim, grupa pastorów popierających Jana Kulaka w Unii Zborów Adwentystów Dnia Siódmego oraz stronnicy Stanisława Krakiewicza i Pawła Bajeńskiego w środowisku ewangeliczno-baptystycznym. Z walką frakcyjną w Kościołach wiązała się często ścisła współpraca danej grupy z władzami państwowymi na rzecz dokonania przewrotu na szczytach kościelnej władzy. A władzom zależało w szczególności na tym, by pozbyć się niepokornych przywódców kościelnych. Do tych liderów Kościoła ewangelicko-augsburskiego, którzy nie godzili się na poddaństwo wobec władz partyjno-państwowych, należeli bp Jan Szeruda i wiceprezes konsystorza Maksymilian Rudowski. Władze nie tolerowały ich nonkonformizmu i w rezultacie doprowadziły – przez zakulisowe działania przed trzecią sesją Synodu Kościoła, która odbywała się w listopadzie 1951 r. – do odsunięcia obu wymienionych liderów z władz Kościoła. Podobna sytuacja miała miejsce także w Unii Zborów Adwentystów Dnia Siódmego, gdzie jej przywódcy (z Franciszkiem Steklą na czele), podtrzymujący lojalną postawę wobec władz adwentystycznych za granicą, zostali w 1953 r. zdjęci z tego powodu ze swoich funkcji przez Urząd do Spraw Wyznań. Wkrótce urząd powołał nowe, posłuszne mu kierownictwo. W efekcie istniała odtąd – przez następne cztery lata – oficjalna i „podziemna" Unia. Z kolei w 1954 r. urząd zmusił do rezygnacji ze stanowiska niepokornego naczelnego superintendenta Kościoła metodystycznego, ks. Józefa Naumiuka. Wcześniej zmuszono do emigracji innego superintendenta tego Kościoła, Konstantego Najdera. Nie mieli też prawa funkcjonować, jako przywódcy kościelni, autentyczni liderzy Kościołów ewangeliczno-baptystycznych: Józef Czerski, Jerzy Sacewicz czy Ludwik Szenderowski. Tego ostatniego nie dość, że usunięto z władz naczelnych Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego, to jeszcze skazano na dziewięć lat więzienia za to, że będąc synem robotnika maszynisty kolejowego „sprzeniewierzył się klasie robotniczej" i zamiast do Armii Ludowej wstąpił do Armii Krajowej, czym „zdradził klasę robotniczą".

B.P. – ***Które z Kościołów były szczególnie poddawane represjom? Czy można mówić o męczennikach z tych Kościołów?***

R.M. – Jeśli chodzi o przywódców protestanckich, nie było takiej sytuacji, że ktoś został męczennikiem. W Kościele polskokatolickim więźniem na Rakowieckiej był bp Józef Padewski. W areszcie został zamordowany i o nim można mówić jako o męczenniku. Kolejni biskupi Kościoła polskokatolickiego byli wręcz wyznaczani na funkcje biskupie przez władze, a jeden z nich ogłosił w pewnym momencie, że mu się już znudziło być biskupem i że w rzeczywistości jest ateistą. Najbardziej drastyczne przypadki wśród protestantów, poza tymi, o których już mówiłem, to dziesiątki przypadków rugowania, wyrzucania, pozbawiania funkcji duchownego, proboszcza, pastora, przewodniczącego zboru.

B.P. – ***Łącznie z wysiedlaniem z plebanii?***

R.M. – Tak, podam przykład z mojego miasta, z Żar, gdzie pastor Kościoła metodystycznego Franciszek Ruprich za to, że nie chciał podpisać apelu sztokholmskiego,

dostał krótki czas na spakowanie się i opuszczenie powiatu żarskiego. Bez opieki duszpasterskiej zbór metodystów w Żarach w ciągu kilku następnych miesięcy praktycznie przestał istnieć. Do najbardziej drastycznych przypadków należy zaliczyć wydarzenia z 19 września 1950 r. W ciągu jednej nocy aresztowano dokładnie 199 pastorów i aktywnych wiernych Kościołów typu ewangeliczno-baptystycznego.

B.P. — ***Co było powodem tej akcji?***

R.M. — Atak służb bezpieczeństwa na duchownych Kościołów ewangelicznych był częścią akcji represyjnej, jaką władze komunistyczne nasiliły pod koniec 1949 r. wobec wszystkich Kościołów chrześcijańskich. Pozostawał on też w ścisłym związku z sytuacją wyznaniową w ZSRS i innych państwach bloku sowieckiego, gdzie również zaatakowano ewangelicznych protestantów jako „szpiegów imperializmu". Na przykład 25 lutego 1949 r. rozpoczął się w Bułgarii proces 15 duchownych protestanckich. Oskarżono ich o współpracę z wywiadem anglo-amerykańskim. W całym bloku sowieckim trzeba było „przyjrzeć się" dokładnie ich współwyznawcom. Zatrzymanych w Polsce oskarżono o całą gamę przestępstw. Ich Kościoły miały być w okresie międzywojennym stworzone od podstaw przez funkcjonariuszy ówczesnego Departamentu Bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w celu „prowadzenia działalności wywiadowczo-dywersyjnej przeciw ZSRS i ruchom narodowowyzwoleńczym". Na Kresach Wschodnich II RP Kościoły te (określane w notatkach jako „sekty" lub „odpryski sekty baptystycznej") miały zajmować się akcją „agitacyjno-propagandową na rzecz reżimu sanacyjnego", a ponadto miały pomagać w polonizacji tych ziem. Szczegółowo brzmiały również zarzuty dotyczące pracy „sekt" w czasie okupacji niemieckiej, gdy w całości przejść miały one „na służbę wywiadu niemieckiego". Najpoważniejsze zarzuty dotyczyły wszakże działalności Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego, Zjednoczenia Kościołów Chrystusowych i Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w okresie powojennym, kiedy to ich aktywiści mieli nawiązać kontakty „ze swoimi ośrodkami dyspozycyjnymi w USA i Szwecji". Z ośrodków tych spływać miała do nich „efektywna waluta" wykorzystywana następnie do szpiegostwa. Nie byli jednak ostrożni ci „szpiedzy", skoro, jak zaznaczono dalej, prowadzili oni „szeroką propagandę antyradziecką, antypokojową i proamerykańską". Równie „szeroka propaganda" obejmować miała krytykę „Rządu Ludowego" i spółdzielni produkcyjnych. Wskazywano, że czołowe miejsce w tej propagandzie zajmowali Władysław Kołodziej i Teodor Maksymowicz.

B.P. — ***Co było dalej z tymi 199 aresztowanymi osobami?***

R.M. — Podzielono je (według nieznanych kryteriów) na trzy grupy — 87 spośród nich zwolniono przed 1 października 1950 r. Drugą grupę (około połowy z pozostałych w areszcie 112 osób) zwolniono „w związku z zaplanowanymi przedsięwzięciami operacyjnymi". Zapewne chodziło tu o śledzenie zwolnionych z nadzieją, że wskażą w ten sposób innych, którzy winni znaleźć się w areszcie, oraz o złożenie propozycji współpracy z UB. Pozostali podlegać mieli długotrwałemu

śledztwu. Większości aresztowanych stanowiących trzecią grupę wytoczono procesy. Ponadto zamknięto wszystkie kościoły, zniszczono biblioteki, skonfiskowano archiwa i majątek kościelny. Nikomu nie udowodniono wprawdzie działalności antypaństwowej, ale to nie było równoznaczne z uniewinnieniem niektórych oskarżonych. W każdym razie zakładane przez władze osłabienie, a nawet likwidacja chrześcijaństwa ewangelicznego w Polsce poprzez aresztowanie i oskarżenie jego przywódców zakończyły się fiaskiem. Niepowodzenie to władze postanowiły sobie zrekompensować, proponując wielu aresztowanym – przed wypuszczeniem ich na wolność – współpracę z UB. Dzięki temu władze mogłyby w przyszłości oddziaływać na pracę społeczności ewangelicznych i w ten sposób szukać dróg ich osłabienia. O otrzymanych od UB propozycjach współpracy wspominali moi rozmówcy, pastor Stanisław Daszkiewicz i prezbiter Eugeniusz Pawłowski. Obaj odrzucili współpracę z UB, jednak z całą pewnością nie uczynili tego wszyscy z aresztowanych. Przypuszczalnie współpraca ta polegała nie tyle na przekazywaniu jakichś informacji, ile na realizowaniu – niezrozumiałych często nawet dla współpracownika – wytycznych władz, dotyczących struktury organizacyjnej ewangelicznego protestantyzmu. Przynajmniej taką właśnie rolę odegrali Stanisław Krakiewicz i Paweł Bajeński. Oni to, po konsultacjach z władzami, podjęli się roli inicjatorów i organizatorów połączenia Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego, Zjednoczenia Kościołów Chrystusowych i Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej. Tak oto w 1953 r. powstał „nowy" Zjednoczony Kościół Ewangeliczny. Pierwotnie władzom zależało na scaleniu pokrewnych odłamów, jak to miało miejsce w ZSRS, a to w celu lepszego nadzoru nad ich działalnością. Z czasem władze uzyskiwały w ten sposób jeszcze jedną korzyść. Kościoły te mają co prawda punkty wspólne w swoim nauczaniu, jednak w wielu fundamentalnych dla nich kwestiach występują między nimi zasadnicze rozbieżności. W praktyce okazało się, że powstał „walczący wewnątrz" Kościół. Codzienne współżycie w jednym organizmie tych wyznań opierało się właśnie na sporach wynikających z różnic doktrynalnych. O tym, że Kościoły ewangeliczno-baptystyczne zostały połączone w sposób nienaturalny, świadczyła secesja zielonoświątkowców z „nowego" Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego w 1956 r., kiedy nadzór władz nad działalnością Kościołów był na krótko rozluźniony.

B.P. – ***Czy ten »zjednoczony« Kościół nadal istnieje?***

R.M. – Nie. W 1988 r. przestał istnieć Urząd do Spraw Wyznań i wtedy pięć na siłę złączonych Kościołów powróciło do pierwotnych struktur. Jedyna zmiana to zjednoczenie Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej i Związku Stanowczych Chrześcijan w Kościół Zielonoświątkowy. Dzisiaj Kościół ten ma 20 tys. wyznawców. Gdyby funkcjonował w strukturze Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego, miałby pewnie połowę tego stanu.

B.P. – ***Jakie były relacje Kościołów protestanckich z Kościołem rzymskokatolickim w PRL?***

R.M. – Taktyka *divide et impera* znajdowała wielokrotnie zastosowanie w działaniach komunistów w odniesieniu do wielu przeciwników w różnych dziedzinach życia. W polityce wyznaniowej inspirowano walki wewnątrzkościelne. Dlaczego inaczej miałoby być w relacjach między Kościołami mniejszościowymi a Kościołem największym? A jednak antyrzymskokatolickie działania Kościołów mniejszościowych (w tym protestanckich), podejmowane w wyniku presji czy nakazu władz, nie znajdują – w odniesieniu do doby stalinizmu – jednoznacznego oparcia w źródłach. Archiwa nie zawierają tego rodzaju instrukcji władz dla Kościołów (analogicznych do źródeł, które informują o nakładanym na Kościół ewangelicko-augsburski obowiązku zwalczania Kościoła metodystycznego). Co prawda, brak tego typu dokumentów w odniesieniu do lat stalinizmu nie oznacza wcale, że myśl o takim właśnie wykorzystaniu mniejszościowych Kościołów była w ogóle obca decydentom wyznaniowym PRL. Tego rodzaju założenia występowały, ale dopiero po 1956 r., szczególnie w odniesieniu do Kościołów polskokatolickiego i prawosławnego. Oba te Kościoły teoretycznie mogły odgrywać rolę ośrodków osłabiających Kościół rzymskokatolicki, gdyby przyjąć, że osłabienie to miało polegać zarówno na konwersji rzymskich katolików, jak i przejściu duchownych rzymskokatolickich do któregoś z tych Kościołów. Względna bliskość doktrynalna w odniesieniu do Kościoła rzymskokatolickiego mogła rzeczywiście eliminować inne bariery dla potencjalnych konwertytów, a wśród nich księży. Ewentualne przechodzenie wiernych i duchownych rzymskokatolickich do Kościołów protestanckich byłoby znacznie bardziej skomplikowane. Takiego rozwoju wydarzeń UdSW nigdy się nie spodziewał. Władze partyjno-państwowe musiały też liczyć się ze swoimi sojusznikami. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych byli wśród nich rzymskokatoliccy „księża patrioci". Wykorzystywanie Kościołów mniejszościowych przeciw Kościołowi rzymskokatolickiemu prowadziłoby nieuchronnie do konfliktu władz z członkami tego ugrupowania. Taki scenariusz był więc dla władz nieopłacalny. Myślę, że wystarczała im krytyka Kościoła rzymskokatolickiego (niezależnie od jej powodów) przez Kościoły mniejszościowe, np. na łamach prasy wyznaniowej.

B.P. – ***Czy władze oczekiwały tylko krytyki?***

R.M. – Po roku 1956 władze przyjęły założenie, że w walce z religią i jej przedstawicielami należy skupić się na Kościele rzymskokatolickim. W rezultacie zaprzestano zwalczania społeczności nierzymskoaktolickich – poza frakcjami i wspólnotami odśrodkowymi – ograniczając się do zwiększenia nadzoru nad nimi. Jednocześnie pojawiły się wówczas działania polegające na aktywizowaniu kierownictw niektórych przynajmniej Kościołów nierzymskokatolickich do przeciwdziałania posunięciom Kościoła rzymskokatolickiego. W następnych latach zjawisko to rozszerzało swój zasięg. Szczególnie preferowany przez władze był Kościół polskokatolicki i jemu to wyznaczano najważniejszą rolę w zakresie przeciwdziałania wpływom Kościoła rzymskokatolickiego w społeczeństwie. Planowano rozbudować potencjał

tego Kościoła przez ogólnopolską akcję „parafialnych rebelii". Wykorzystując nieporozumienia pomiędzy proboszczem a biskupem, czy też pomiędzy proboszczem a wikarym, organizowano tzw. Samodzielne Niezależne Parafie Rzymskokatolickie, które planowano następnie włączyć w struktury prorządowego w tym czasie Kościoła polskokatolickiego. W latach sześćdziesiątych niektóre parafie Kościołów mniejszościowych były niekiedy dofinansowywane przez państwo ze środków Funduszu Kościelnego, tylko po to, by ograniczać poprzez ich działalność wpływ Kościoła rzymskokatolickiego na społeczeństwo.

B.P. — ***Czym był Fundusz Kościelny?***

R.M. — Fundusz Kościelny został powołany w 1950 r. Miały go tworzyć dochody z zagarniętych przez władze kościelnych nieruchomości ziemskich oraz dotacje państwowe. Ze środków Funduszu miała być dotowana odbudowa i utrzymanie kościołów, działalność charytatywna i opiekuńcza Kościołów oraz pomoc lekarska i świadczenia emerytalne dla duchownych. Kościół rzymskokatolicki odmówił korzystania z tego Funduszu, gdyż zakładał, że służyć będzie on uzależnieniu i być może upokorzeniu Kościoła. Ze środków Funduszu korzystali natomiast „księża patrioci" oraz Kościoły mniejszościowe. Abstrahując od politycznych motywacji władz, trzeba przyznać, że pieniądze z tego źródła uratowały wiele świątyń protestanckich. Dzięki dotacjom finansowym mogła też rozwijać się Chrześcijańska Akademia Teologiczna, która kształciła (i kształci) duchownych innych niż rzymskokatolickie wyznań.

B.P. — ***Jak wyglądało kształcenie duchownych protestanckich?***

R.M. — Dzisiaj przyszły duchowny protestancki zdobywa wykształcenie teologiczne w ChAT lub w wyższych seminariach prowadzonych przez dane wyznanie — np. Kościół Zielonoświątkowy kształci duchownych w Warszawskim Seminarium Teologicznym, a Kościół Chrześcijan Baptystów w wyższych szkołach w Warszawie i we Wrocławiu. W okresie PRL nie wyglądało to tak dobrze. Na przykład największy protestancki Kościół w obliczu dużego zapotrzebowania na duszpasterzy kształcił diakonów na błyskawicznych kursach.

B.P. — ***Jaką bazą prasową dysponowali protestanci?***

R.M. — Prasa protestancka zawierała w okresie stalinowskim teksty absolutnie kontrolowane, cenzurowane, redagowane niekiedy przez pracowników UdSW. Podkreślić należy, że zmieniony w latach pięćdziesiątych, odpowiednio upolityczniony charakter „Strażnicy Ewangelicznej" (największego protestanckiego pisma) nie odpowiadał znacznej części czytelników, w tym wielu duchownym. Donosił o tym UdSW redaktor Henryk Wencel. Według jego danych tylko pomiędzy numerem lipcowym i sierpniowym z 1953 r. nastąpił spadek sprzedaży pisma o 470 egzemplarzy (przy ówczesnym — i tak zmniejszonym już o 700 egzemplarzy — nakładzie 8300 egzemplarzy). Na posiedzeniu Konwentu Seniorów Kościoła ewangelicko-augsburskiego Wencel ubolewał z pozycji prorządowych nad tym, że linia

programowa pisma niestety nie jest jeszcze właściwie oceniana zarówno przez część księży, jak i wiernych Kościoła. Nie znajdował również zrozumienia dla „wrogich" oraz „biernych" i „wyczekujących" postaw księży i wiernych w odniesieniu do „ustroju ludowego". Chcąc zapobiec upadkowi pisma, Wencel proponował urządzenie „miesiąca propagandy »Strażnicy Ewangelicznej«" oraz zobligowanie księży do prenumeraty i kolportażu pisma. Nie wiadomo, czy kierownictwo Kościoła zgodziło się z tym wnioskiem. Wiadomo zaś na pewno, że redaktor Wencel uległ sugestii UdSW, by w treści pisma zwiększyć proporcje na rzecz artykułów odpowiadających nowej „linii programowej". W konsekwencji w następnych latach nakład „Strażnicy Ewangelicznej" ulegał kolejnemu zmniejszeniu. Wierni przestawali kupować to pismo. W ciągu kilku lat dramatycznie spadło zapotrzebowanie w parafiach na tego rodzaju literaturę. Domyślam się, że decydowała o tym właśnie treść artykułów, niemających nic wspólnego z charakterem i misją Kościoła. Był to swego rodzaju bierny opór, kontestacja działań niektórych duchownych i świeckich aktywistów współpracujących z władzami. Po 1956 r. pisma kościelne wyzwoliły się z rażącej instrumentalizacji i brutalnej ingerencji w treść artykułów. Nie oznaczało to oczywiście końca cenzury. W okresach przełomowych władze wpływały na redakcje pism kościelnych. Wtedy to, jak w przypadku obchodów millenijnych w 1966 r. (co opisał szczegółowo w „Rocznikach Historycznych" prof. Olgierd Kiec), w luterańskim „Zwiastunie" czy kalwińskiej „Jednocie" więcej było artykułów o charakterze politycznym niż o charakterze religijnym.

B.P. — ***A jak wyglądała kwestia nauki religii?***

R.M. — Koncesję na prowadzenie lekcji religii w szkołach, gdy dwukrotnie, choć bardzo krótko, była ona tam obecna, miały te Kościoły, które posiadały status wyznania prawnie (przynajmniej na podstawie decyzji administracyjnej) uznanego. To w praktyce dotyczyło Kościoła ewangelicko-augsburskiego, ewangelicko-reformowanego i jeszcze w latach czterdziestych metodystycznego. Natomiast wierni Kościołów ewangeliczno-baptystycznych czy adwentyści nie mieli takich uprawnień. Mieli swoje szkółki niedzielne (adwentyści — sobotnie); podczas gdy dorośli spotykali się na głównym nabożeństwie, w innym pomieszczeniu dzieci uczyły się religii. Na świadectwie nie można było oczywiście tego odnotować. Pomijając kwestię religii, ale pozostając przy szkole, trzeba wspomnieć, że największe problemy ze szkołą mieli adwentyści. Ponieważ uznawali za dzień święty sobotę, nie posyłali tego dnia dzieci do szkoły. Rodzice płacili grzywny, byli ciągani po sądach, a mali adwentyści, z uwagi na dużą liczbę nieusprawiedliwionych nieobecności, nie mogli liczyć na dobrą ocenę z zachowania. Analogiczne problemy dotykały osoby dorosłe, które odmawiały przychodzenia do pracy w soboty. Kłóciło się to z ustawą o socjalistycznej dyscyplinie pracy.

B.P. — ***Czy konflikty między wyznaniami mniejszościowymi nie utrudniały prób współdziałania, budowania jedności?***

R.M. – Najbardziej bolesnym problemem była kwestia relacji pomiędzy samymi protestantami, między metodystami i luteranami. Prof. Kazimierz Urban wydał kilka lat temu zbiór dokumentów *Luteranie i metodyści na Mazurach 1945–1957*. Trudno się dziwić, że książka ta wzbudziła wiele dyskusji w środowiskach protestanckich. Po opublikowaniu wielu nieznanych dokumentów okazało się, że niektórzy duchowni luterańscy angażowali się nie tyle w misję religijną czy akcję repolonizacyjną, ile w działania na rzecz wyrugowania metodystów z Mazur. Ta i inne publikacje odsłoniły z kolei przykrą dla metodystów informację o niechlubnej działalności „pastorów demokratów". Wśród członków tej formacji znajdowali się wybitni, przynajmniej w ocenie samych wiernych, późniejsi czołowi działacze Kościoła. Wydaje się, że mimo upływu lat, wielu pojednawczych deklaracji i mimo inicjatyw ekumenicznych, przeszłość z okresu stalinowskiego wpływa na wzajemne uprzedzenia we współczesnych relacjach. To jest czarna karta w historii protestantyzmu po II wojnie światowej. Po dziś dzień różnego rodzaju niesnaski występują w relacjach pomiędzy małymi Kościołami typu ewangeliczno–baptystycznego – między zielonoświątkowcami a wolnymi chrześcijanami. Omówiony wcześniej okres wspólnego ich funkcjonowania w Zjednoczonym Kościele Ewangelicznym sprawił, że idea jedności wszystkich ewangelikalnie wierzących poczeka jeszcze trochę na spełnienie.

B.P. – ***Kościoły protestanckie były bardzo aktywne w Polskiej Radzie Ekumenicznej.***

R.M. – W latach czterdziestych Chrześcijańska Rada Ekumeniczna (nazwa „Polska Rada Ekumeniczna" obowiązywała dopiero od 1958 r.) wydawała się organizacją wolną od politycznego zaangażowania. Jej działalność koncentrowała się na sprawach *stricte* religijnych, w imię podstawowego statutowego zadania: „szerzenia w społeczeństwie idei braterstwa i lojalnej współpracy w imię Chrystusa". Począwszy od 1950 r. organizacja zaczęła przeżywać kryzys. Było to m.in. skutkiem powszechnego rozczarowania duchownych i wiernych mniejszościowych Kościołów i związków wyznaniowych „władzą ludową". Najpierw ingerencja władz, a później ograniczanie działalności niektórych Kościołów sprawiły, że wielu dotychczasowych zwolenników sojuszu z „władzą ludową" zaczęło dostrzegać konflikt między zapowiedziami i faktyczną działalnością władz partyjno–państwowych. W efekcie od początku 1950 r. z Chrześcijańskiej Rady Ekumenicznej, głoszącej lojalność wobec państwa, zaczęły występować niektóre Kościoły. Jako pierwsi uczynili to w marcu 1950 r. adwentyści, którym wówczas jeszcze przewodził Franciszek Stekla. Był to jednocześnie sprzeciw wobec sztucznego i upolitycznionego ekumenizmu, z którego faktycznie korzystali tylko aktywiści przestający w dobrych układach z przedstawicielami władz.

B.P. – ***Delikatnie mówiąc...***

R.M. – Oczywiście, chodziło niekiedy nie tylko o „układy", ale o ścisłą współpracę bądź nawet całkowite posłuszeństwo. Chrześcijańska Rada Ekumeniczna przez

samych wiernych i duchownych z poszczególnych Kościołów, którzy nie angażowali się w jej prace, oceniana była jako twór istniejący po to, żeby ściągać zagraniczne dary. To były zapewne skrajne, niesprawiedliwe, czy wręcz złośliwe oceny. Nie można jednak ulec iluzji, jakoby organizacja zajmowała się wyłącznie ekumenizmem. Najdziwniejsze jest jednak to, że rozwojem mającej tak przyjazny dla państwa kierunek Rady nie był zainteresowany UdSW. Z obojętnością odnosił się do kryzysu w łonie Rady główny architekt polityki władz wobec Kościołów mniejszościowych Serafin Kiryłowicz. Upadek Rady byłby zresztą zgodny ze stalinowskim kursem walki z religią. A kurs ten dobitnie został oddany przez władze państwowe w odniesieniu do organizacji blisko współpracującej z Chrześcijańską Radą Ekumeniczną, tj. w odniesieniu do Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego w Polsce, któremu w 1950 r. zakazano druku Biblii. Nie trzeba wyjaśniać, że to było właśnie istotą działalności Towarzystwa. W marcu 1951 r. obradowało w Warszawie doroczne plenarne posiedzenie Chrześcijańskiej Rady Ekumenicznej, podczas którego dyskutowano o likwidacji Rady i całkowitym zerwaniu łączności ze Światową Radą Kościołów w Genewie. Ks. Edward Dietz pytał wówczas wprost prezesa Rady ks. Zygmunta Michelisa „czy projekt zlikwidowania Rady nie jest wynikiem sugestii władz państwowych?". We wszystkich państwach objętej stalinizmem Europy Środkowo–Wschodniej Kościoły zobowiązane zostały bowiem do wrogiego określenia się wobec Światowej Rady Kościołów. Niechętnie widziano też w tych państwach krajowe odpowiedniki genewskiej organizacji. W głosowaniu obroniono Radę, godząc się jednak na zamrożenie kontaktów ze Światową Radą Kościołów. Te dawne dzieje z polityką i ryzykiem likwidacji w tle stanowią już oczywiście odległą historię. Nie było też do końca beznadziejnie w PRL, skoro powstało wówczas wiele cennych inicjatyw ekumenicznych. Najwięcej dla tej sprawy uczynił chyba Kościół ewangelicko–reformowany. W czasie kiedy Kościoły luterański i metodystyczny zerwały ze sobą kontakty i prowadziły rywalizację na Mazurach, duchowni i świeccy działacze Kościoła ewangelicko–reformowanego potrafili zawiązać rzeczywistą współpracę z obydwoma Kościołami. Wyrazem tych autentycznie ekumenicznych dążeń były Komitety Współpracy ewangelików reformowanych z luteranami i metodystami. Swoje ekumeniczne nastawienie potwierdził Kościół ewangelicko–reformowany również po 1989 r. Godzi się podkreślić, że idee ekumeniczne są żywe także w światowym ewangelicyzmie reformowanym.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 3 (38), marzec 2004

STÓŁ BEZ KANTÓW

O genezie roku 1989, okrągłym stole i agonii komunizmu
z Antonim Dudkiem, Grzegorzem Sołtysiakiem i Krystyną Trembicką
rozmawiają Barbara Polak i Jan M. Ruman

B.P. — ***Pewnie nie jestem odosobniona w przekonaniu, że obrady okrągłego stołu były bardzo ważne, ale nie najważniejsze w historii wychodzenia Polski z realnego socjalizmu. Zacznijmy zatem od ustalenia, kiedy zaczął się w Polsce rok 1989.***

G.S. — Wygląda na to, że 1989 r. ma swoje początki przynajmniej w roku 1986, kiedy ogłoszono amnestię dla więźniów politycznych, co było warunkiem *sine qua non* prowadzenia jakichkolwiek ruchów czy rozmów. Taką wersję przyjmuje się najczęściej. Można się jeszcze cofnąć do 1984 r., do rozmów między generałem Czesławem Kiszczakiem a arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim w sprawie uwolnienia Adama Michnika i Jacka Kuronia, dwóch spośród uwięzionych jedenastu przywódców opozycji. Coś się zaczęło dziać, dochodziło do rozmów władz z pewną częścią opozycji w 1984 i 1985 r. To były wstępne harce i sondaże, doprowadziły one do 1986 r., który jest tu datą przełomową.

K.T. — Jeśli chodzi o cezurę początkową, to pewnie zgodnie przyjmiemy rok 1986. Oczywiście, były wcześniej rozmowy, o których pan wspominał, w 1984 r., ale ja potraktowałabym je jako ledwie dostrzegalny sygnał. Władza chciała rozwiązać problem więźniów politycznych, a jedną z dróg było po prostu pozbycie się ich z Polski, zmuszenie do emigracji. W 1986 r. obserwuje się już więcej działań ze strony władzy, które mogą wskazywać na zmianę kursu wobec opozycji. Problem więźniów politycznych był jednym z wielu. Była też pewna liberalizacja, np. umożliwienie oficjalnego wychodzenia pisma „Res Publica". Ja to nazywam rozpoczęciem kursu na kooptację części opozycji, oczywiście na warunkach postawionych przez PZPR. Ten okres trwał niemalże do końca 1988 r.

A.D. — Ja bym jednak wyraźnie oddzielał rozmowy z 1984 r. od tych z 1986 r. Pierwsze służyły pacyfikacji oporu bez użycia siły — takie próby podejmowano prawie natychmiast po wprowadzeniu stanu wojennego, rozmawiano m.in. z Lechem Wałęsą (rozmowy zakończyły się wręczeniem mu aktu internowania w styczniu 1982 r.). Rozmowy te służyły pacyfikacji opozycji. W 1986 r. zaczynają się rozmowy

określane przez prof. Andrzeja Paczkowskiego manewrem kooptacji. To już jest coś innego niż pacyfikacja. Lech Mażewski głosi wprawdzie pogląd, że w 1984 r. ekipa Jaruzelskiego podjęła próbę zrobienia tego wszystkiego, co stało się w 1989 r., ale została ona zablokowana na poziomie bezpośrednich rozgrywek sowiecko–amerykańskich. Według mnie nie da się tego udowodnić. Mażewski opierał się na dokumentach znanych głównie z archiwów ks. Alojzego Orszulika, a dotyczących negocjacji o zwolnieniu jedenastu przywódców „Solidarności", i nazwał to niedoszłym okrągłym stołem.

B.P. — ***Myślę, że warto tutaj również powiedzieć o tym, co było może najbardziej obiektywną okolicznością umożliwiającą te polskie zmiany, kurs na liberalizację. Mam na myśli śmierć Leonida Breżniewa w 1982 r., a w trzy lata później pojawienie się na kremlowskiej scenie Michaiła Gorbaczowa.***

G.S. — Nie przeceniałbym początków Gorbaczowa, one nie wskazywały na jakąś gwałtowną zmianę w ZSRS. Dopiero w kolejnym etapie, w 1987 r., możemy mówić, że sygnały z Moskwy zostały wysłane, że przyszła ta wiosna ze wschodu. Początek nie sugerował jakichś zmian.

B.P. — ***Mam jednak wrażenie, że pojawienie się Gorbaczowa, a mówię to na podstawie tego, co wiem o wewnętrznej sytuacji społecznej w Związku Sowieckim, oszołomiło tym, że pojawił się ktoś nowy, mówiący zupełnie innym językiem. Pamiętajmy, że pierwszym rzeczywiście realizowanym hasłem nowego genseka była »głasnost'«, czyli jawność. Już nie bardzo wypada wypierać się popełnionych w przeszłości błędów i zaniechań.***

J.R. — ***Ponadto zarówno w Sowietach, jak i w Polsce jest wyraźny krach gospodarczy, który wymusza zmiany.***

B.P. — ***Także awaria w Czernobylu obnażyła wobec własnej i światowej społeczności gospodarczą i organizacyjną niewydolność systemu. Zmiany okazały się nieodzowne.***

A.D. — To, co dzieje się po roku 1986, ma rzeczywiście związek z Gorbaczowem. Przy czym trzeba odróżnić przekaz zewnętrzny od wewnętrznego. Pierestrojka rozwija się w sferze przekazu zewnętrznego, kierowanego do społeczeństwa, bardzo powoli, z roku na rok. Natomiast w kontaktach Gorbaczowa z przywódcami krajów satelickich, czyli w przekazie wewnętrznym, sygnały o konieczności zmian idą wcześniej. W 1986 r. do bratnich stolic z sowieckiego biura politycznego dociera jasny sygnał, który brzmi następująco: „nie możemy was dłużej trzymać na swoim karku — radźcie sobie sami, będziemy was wspierać, ale nie tak jak dawniej". Honecker i Husák reagują na to histerycznie, natomiast ich zręczniejsi koledzy, którzy widzą, że grożą im niepokoje wewnętrzne (mam tu na myśli przede wszystkim Jaruzelskiego i do pewnego stopnia Kadara), zaczynają wykonywać ruchy o charakterze wyprzedzającym.

J.R. — ***Jaka jest ta pierwotna koncepcja Jaruzelskiego? Czy już wtedy można mówić o idei kooptacji?***

A.D. — Działania ekipy Jaruzelskiego z roku 1986 mają charakter wyprzedzający wobec grożącej kolejnej eksplozji niezadowolenia społecznego w Polsce. Znamy wyniki badań przeprowadzanych w latach osiemdziesiątych przez CBOS i OBOP, z których widać wyraźnie, że od stanu wojennego do końca 1985 r. nastroje powoli się poprawiają, ale od 1986 r. dość niespodziewanie zaczynają się pogarszać. Stąd pomysł kooptacji, ale nie takiej, jaka będzie realizowana na przełomie roku 1988 i 1989. W 1986 r. głównym partnerem ma być Kościół i kręgi „okołoepiskopalne". Przez prawie dwa lata (1986–1988) trwały próby nakłonienia Episkopatu do wystąpienia w roli głównego partnera przy — jeszcze tak nie nazywanym — okrągłym stole. Przy czym nie chodziło o samych biskupów, lecz o tych, których ci biskupi by wydelegowali, konstruując jakieś stowarzyszenie, chadecki związek zawodowy czy chadecką partię. W pierwszej połowie 1988 r. sekretarz Komitetu Centralnego Stanisław Ciosek mówił wprost arcybiskupowi Bronisławowi Dąbrowskiemu: dlaczego wy z nami nie chcecie rozmawiać, dlaczego nie chcecie się zaangażować, dlaczego nie dopuszczacie różnych naszych inicjatyw do realizacji?

G.S. — Rok 1984 to była taka sonda, jeżeli chodzi o współpracę Kościoła i władz. I ta sonda wypadła bardzo dobrze. To nie były zwykłe negocjacje. Współpraca poszła wówczas tak daleko, że na przykład wspólnie redagowano do siebie korespondencję, uzgadniano niektóre sformułowania.

A.D. — Musimy rozdzielić dwie różne sprawy. Kontakty były i 13 grudnia, i wcześniej. Z punktu widzenia kontaktów państwowo-kościelnych 13 grudnia 1981 r. nie jest żadną istotą cezurą. Jest nią raczej zabójstwo ks. Jerzego Popiełuszki, kiedy następuje ochłodzenie tych kontaktów.

J.R. — ***Padło słowo o księdzu Jerzym. Warto to wspomnieć, skoro sięgamy aż do 1984 r. To jest przecież rzecz niezwykła, że ponad pół miliona ludzi przyjeżdża do Warszawy na pogrzeb kapelana »Solidarności«. Przybywa wielka rzesza ludzi, ale oni, pod skrzydłami Kościoła, zachowują się spokojnie. To są sygnały dla władz, z jednej strony, że nie udało się zdławić oporu, z drugiej, że tylko w jakimś porozumieniu z Kościołem można okiełznać ten żywioł, którym wówczas było społeczeństwo.***

K.T. — W 1984 r. rzeczywiście chodziło tylko o pacyfikację podziemia. Ale pamiętajmy, że koncepcje władzy dotyczące porozumienia w 1986 r. i te z początku 1989 r. to były dwie różne propozycje. Pierwsza obowiązywała do jesieni 1988 r., do pierwszej Magdalenki. Władzy chodziło o to, żeby mieć partnera w postaci wiarygodnej siły, kontrolowanej w jakiś sposób przez Kościół. Mogły to być kręgi związane z Klubami Inteligencji Katolickiej i „Tygodnikiem Powszechnym". Natomiast od jesieni 1988 r., kiedy zaszły pewne zmiany już w ramach samej opozycji, gdy uznała ona, że należy powrócić do formuły „Solidarności", władza musiała

zaakceptować opozycję jako realnego partnera. Nawiasem mówiąc, w dokumentach Biura Politycznego mamy takie wypowiedzi, że Kościół był partnerem zbyt silnym, nie mógł być to sojusz władzy i Kościoła, chodziło o jakiegoś trzeciego partnera, o wiele słabszego, z którym władza mogłaby się porozumieć. Stąd szukanie innej formuły. Ale oczywiście mediacyjnej roli Kościoła nie można było wyeliminować.

J.R. — ***Jakie znaczenie dla poczucia siły zdelegalizowanej jeszcze »Solidarności« miała pielgrzymka Ojca Świętego w 1987 r., spotkanie na Zaspie, gdzie do ponad miliona ludzi Papież mówi »o nas i za nas«? Ci zgromadzeni, którzy później się rozjadą na całą Polskę, widzą tę wielką manifestację »Solidarności«, mimo że cenzura tnie prasowe relacje, wymusza pisanie słowa »Solidarność« małą literą. Ludzie rozjeżdżają się na cały kraj z poczuciem, że pomimo lat niewiele się zmieniło, że jesteśmy potęgą. Takie było doświadczenie tych, którzy tam byli. Takie doświadczenie przekazywali innym. Jakie to mogło mieć znaczenie dla tego, że w samej opozycji umacnia się pomysł, iż trzeba się odrodzić koniecznie jako »Solidarność«?***

A.D. — Wizyta Papieża jest istotna dla podtrzymania „Solidarności". Właśnie dla podtrzymania, a nie dla odrodzenia — w tym ostatnim przypadku ważniejsze są bowiem dwie fale strajków w 1988 r. Ze statystyk Służby Bezpieczeństwa jasno wynika, że wielki napływ „świeżej krwi" do struktur opozycyjnych nastąpił jesienią 1988 r. Liczba tzw. sympatyków — jak oni ich określali — wzrosła między pierwszym i drugim półroczem 1988 r. z kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy. To byli głównie ludzie młodzi, studenci, młodzi robotnicy itd. Oczywiście rola trzeciej pielgrzymki papieskiej jest istotna z kilku innych względów. Ona przede wszystkim była ważna dla tej rozgrywki z Kościołem, o której wcześniej mówiłem. Jaruzelski zabiegał, żeby tę pielgrzymkę poprzedzała jego wizyta w Rzymie, co nastąpiło w styczniu 1987 r. O przeprowadzonej wówczas rozmowie wiemy nieco ze sprawozdania, które się znalazło w aktach partyjnych. Jaruzelski dał do zrozumienia Papieżowi, że pole manewru się zwiększyło, że jesteśmy gospodarzami we własnym domu, a doktryna Breżniewa i to wszystko, co się z nią wiązało, odchodzi w cień. To był bardzo istotny sygnał dla strony kościelnej. Natomiast wciąż nie wiemy, co tak naprawdę robił wówczas zakulisowo Papież. Wiemy, że bardzo dużo informacji poszło do Watykanu nie tylko, co ciekawe, ze struktur kościelnych czy ze struktur opozycyjnych. Ale też — jak się okazuje — różne informacje były kierowane do Stolicy Apostolskiej ze strony aparatu władzy. Nie wiemy natomiast, co płynęło z drugiej strony — to jest jedna z istotnych niewiadomych.

J.R. — ***Bezpośrednio po samej pielgrzymce Kazimierz Barcikowski, bardzo zdenerwowany, na posiedzeniu komisji wspólnej mówił, że miało nie być o »Solidarności«, a było. Oni są bardzo przejęci, że Papież nie dał się ująć w karby.***

G.S. – Jest jeszcze jedna ważna sprawa, o której wspomniał już Antoni, otóż pielgrzymka przyspieszyła zmianę pokoleniową w „Solidarności". Była w „Solidarności" stosunkowo wąska grupa ludzi nieprzejednanych, wiernych bez względu na to, co się dzieje, i jednocześnie spora grupa ludzi wykruszała się – to było pokolenie traumy stanu wojennego, z poczuciem klęski, poczuciem beznadziei, z pomysłem, że już lepiej wyjechać. Pielgrzymka Ojca Świętego doprowadziła do tego, że nastąpiła wymiana pokoleniowa. Młodzi ludzie poczuli, że coś mogą zacząć robić. Potem to zresztą będzie widoczne w tych dwóch falach strajkowych, to są całkiem nowi ludzie. Co prawda część ludzi odeszła, wyjechała, przestała działać, ale na ich miejsce przyszli całkiem nowi ludzie z pokolenia, którego sposób myślenia kształtował nie stan wojenny i nie klęska, nie marazm, ale słowa Ojca Świętego, otucha i nadzieja.

B.P. – ***Ja wrócę jeszcze do Moskwy. Do władz w Warszawie docierają informacje o tym, że najpierw pod płaszczykiem Komsomołu, a potem samoistnie pojawia się mnóstwo różnych grup tzw. nieformałów o poglądach liberalnych. Otwierają się kluby dyskusyjne. Pojawiają się aktywiści związków zawodowych. Ten ruch jest na pewno silnie monitorowany, ale jednocześnie jest bardzo widoczny. Pojawiają się zupełnie inne programy telewizyjne i radiowe, robione przez ludzi młodych, adresowane do młodych, odrestaurowują się popularne tygodniki – »Ogoniok«, »Moskowskije Nowosti«, »Komsomolska Prawda«, powstają nowe tytuły. Władza nie tylko nie ukręca temu łba, ale jest wręcz zainteresowana patronatem nad młodą, myślącą częścią społeczeństwa. Informacje o tych klubach, a nawet ich przedstawiciele, docierają do Polski. To, co się wtedy dzieje w Związku Sowieckim na poziomie »głasnosti«, zaczyna wyprzedzać to, co się dzieje w Polsce.***

A.D. – Rzeczywiście jest tak, że Związek Sowiecki wyprzedza nas nie tylko na poziomie ruchów oddolnych, ale i stopnia ich legalizacji. I tu pojawia się najbardziej skryta część wydarzeń z końca lat osiemdziesiątych, czyli pewne ruchy władz sowieckich pod adresem polskiej opozycji. W marcu 1988 r. Sowieci są skłonni zaprosić Adama Michnika do Moskwy, ale polskie władze się na to nie zgadzają. Mamy jednak do czynienia z różnego rodzaju rozmowami sondażowymi. We wspomnieniach Mieczysława Rakowskiego z 1991 r. pada takie zdanie (dotyczące drugiej połowy 1988 r.), że dla niego i pewnych ludzi w aparacie władzy nie były tajemnicą kontakty towarzyszy sowieckich z niektórymi ludźmi z opozycji. Być może Rosjanie szukali jakichś kontaktów z „zapasową ekipą", na wypadek, gdyby Jaruzelskiemu powinęła się noga. Chcieli mieć kontakty i rozeznanie, kto ewentualnie mógłby zagwarantować, żeby Polska pozostała członkiem Układu Warszawskiego. Godząc się na zmiany systemowe – gospodarcze i polityczne w Polsce, zakładano, że nasz kraj pozostanie w sowieckiej strefie wpływów. Obecnie wiemy o tym bardzo niewiele, z prostej

przyczyny: po pierwsze ludzie, z którymi się wówczas kontaktowano, nie są dzisiaj zainteresowani mówieniem o tym i, po wtóre, nie mamy dostępu do archiwów rosyjskich, w których najprawdopodobniej te kontakty są udokumentowane.

K.T. – Chyba najwięcej wiemy o tym, jak władze komunistyczne w Związku Sowieckim projektowały przyszłą Europę Środkowo–Wschodnią. Są na ten temat ekspertyzy, ale o ile wiem, pochodzą one z 1988 r. czy nawet 1989 r. Czy zakres i zasięg zmian w Związku Sowieckim wykraczał poza to, co się działo w Polsce? Nie zaryzykowałabym takiego stwierdzenia, bo z samej dyskusji, istnienia klubów politycznych czy przyzwalania na ich istnienie jeszcze nie zmienia się system polityczny. Bardzo niewiele wiemy o tym, co projektowano w Związku Sowieckim w 1987 r. Wiemy, że na pewno chodziło o zmianę formuły głowy państwa, czyli na pewno planowano wprowadzenie urzędu prezydenta, być może w jakiś sposób zakładano zmianę roli partii komunistycznej, może przez ograniczenie nomenklatury, która okazała się nieskuteczna. Z dokumentów późniejszych, z 1988 r., wiemy, że projektowano pewne zmiany w gospodarce, to znaczy rozbicie wielkich gigantów socjalizmu, ale nie ma tam mowy ani o wolnym rynku, ani o prywatyzacji. Czy więc te zmiany w Związku Sowieckim szły dalej? Chyba nie.

B.P. – ***Wydaje mi się, że jeśli chodzi o przyzwolenie na oddolne działania, to tak.***

A.D. – W 1987 r. w Polsce nie można się było tak swobodnie spotykać. Przemiany w Polsce zaczynają wyprzedzać przemiany w Związku Sowieckim od drugiej połowy 1988 r., gdy rząd Rakowskiego wprowadził reformy przygotowane zresztą przez rząd Zbigniewa Messnera. Wtedy zaczyna się przyspieszenie, które poprzedzają dwie fale strajków – wiosenna i letnia.

B.P. – ***Proponuję zatrzymać się przy tych strajkach.***

G.S. – Pierwszy strajk zaczął się bardzo dziwnie. W kwietniu 1988 r. w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym w Warszawie była cicha podwyżka płac. Potem się okazało, że kolejne województwa też chciałyby mieć taką podwyżkę. No i zaczęło się. 24 kwietnia autobusy zablokowały bramę wyjazdową Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Bydgoszczy, a pracownicy pierwszej zmiany ogłosili strajk, żądając od dyrekcji podwyżki płac. Po kilkugodzinnym zamieszaniu na czele strajku stanęła zakładowa organizacja związkowa, należąca zresztą do OPZZ. Wieczorem tego samego dnia zawarto porozumienie i wicewojewoda bydgoski zgodził się na podwyżkę płac. To był strajk OPZZ. W Warszawie też zresztą OPZZ załatwił podwyżkę. I zaczyna się znany mechanizm. Jedni dostali podwyżkę, więc strajkują następni i też ją dostają. W Bydgoszczy „Solidarność" na początku jest przeciwna temu strajkowi, przyłącza się później.

J.R. – ***Strajk w Bydgoszczy traktowany był jako prowokacja.***

A.D. – Nie można wykluczyć, że problem podwyżek został wywołany celowo.

B.P. – ***Ale czemu ta ewentualna prowokacja miała służyć?***

A.D. – Miała doprowadzić do upadku rządu Messnera. Obóz władzy był już wówczas pęknięty wewnętrznie, a w jego ramach działały różne grupy. Jedną z nich, najbardziej hałaśliwą, był OPZZ z Alfredem Miodowiczem. OPZZ to taki golem ulepiony przez Jaruzelskiego, który miał zastąpić „Solidarność". To miała być taka „nasza socjalistyczna opozycja", jak powiedział Jaruzelski, wewnątrzsystemowa, nierozbijająca, ale autentyczna. Ten golem stopniowo wymyka się spod kontroli, atakując jednak nie tyle samego Jaruzelskiego, ile jego mniej wpływowych pomocników. Już pod koniec 1987 r. OPZZ wypowiada wojnę rządowi Messnera. Radykalizuje się w kolejnych miesiącach. To nie jest spisek, ale rzeczywisty, oddolny ruch społeczny, mający kilka milionów członków. Jest w nim iluś autentycznych przywódców, którzy są w partii, ale tam nie odgrywają wielkiej roli, a jednocześnie chcą wykazać się przed załogami, przed kolegami i mają na to przyzwolenie.

J.R. – ***Po podwyżce cen o 50 proc. w lutym 1988 r. OPZZ boi się »Solidarności« i szuka jakiegoś uwiarygodnienia. To była trochę taka ucieczka do przodu.***

K.T. – Ja oczywiście w pełni się z tym zgadzam. Nie ma dokumentów, z których wynikałoby, że zachęcano OPZZ do bardziej radykalnych działań, ale ze splotów różnych okoliczności można to po prostu wywnioskować.

G.S. – Od strajku bydgoskiego zaczynają się poważne strajki – w Nowej Hucie, Stalowej Woli, potem w stoczni. To już jest poważna sprawa. Okazuje się, że są odpowiednie nastroje. Co więcej, zaczynają strajkować nowi ludzie, którzy wchodzą do ruchu i stają na czele.

A.D. – Pierwszy raz po kilku latach w strajkach pojawia się hasło legalizacji „Solidarności", wcześniejsze były czysto ekonomiczne, jak ten w Bydgoszczy. Druga fala strajków jest silniejsza i dociera na Górny Śląsk, wzrasta strajkowa dynamika. Władze to wiedzą, stąd w wypowiedziach różnych ludzi w aparacie władzy pojawia się konstatacja: mamy coraz mniej czasu.

G.S. – Po raz pierwszy od dłuższego czasu władze zareagowały bardzo brutalnie, pacyfikując Nową Hutę, choć i ten strajk można było spacyfikować negocjacjami. Władza pokazuje pazury.

J.R. – ***Widać, że w różnych miejscach stosowane są różne scenariusze, jakby chciano je przetestować. Podczas gdy w większości przypadków spokojnie negocjowano, w Nowej Hucie raz jeszcze zdecydowano się na manifestację siły. To było zachowanie zupełnie nieadekwatne do sytuacji.***

A.D. – Ale to się układa w pewną całość. Jaruzelski i jego otoczenie zaczynają pracować nad dwoma scenariuszami: negocjacyjnym i siłowym. Natychmiast po wybuchu strajku w Bydgoszczy, jeszcze przed pacyfikacją Nowej Huty, w końcu kwietnia 1988 r. Kiszczak wydaje tajne polecenie rozpoczęcia przygotowań do stanu wyjątkowego. Niestety, większość dokumentów na ten temat zniszczono. To miał być stan wojenny bis.

B.P. — ***Jakie towarzyszyły temu nastroje w aparacie władzy?***

A.D. — O tym wiemy najmniej, bo istotne dokumenty dotyczące nastrojów wewnętrznych zostały w większości zniszczone albo nie udało się ich do tej pory odnaleźć. Te, którymi dysponujemy, pokazują, że już w 1988 r. istniała daleko posunięta erozja wewnątrz struktur aparatu władzy. Ludzie nie chcieli bronić istniejącego reżimu. Wynikało to między innymi z rozpoczynającego się wówczas uwłaszczenia nomenklatury, ale dotyczyło też służb mundurowych. W dokumentach Zarządu Polityczno-Wychowawczego MSW jest informacja, że nasiliło się zainteresowanie funkcjonariuszy dorabianiem poza służbą, w sektorze prywatnym. Jednocześnie rośnie liczba wakatów, na przykład w milicji. W Warszawie jedna trzecia etatów jest nieobsadzona.

Wprowadzenie stanu wojennego bis wymagałoby przygotowania psychologicznego, takiego jak w 1981 r. Zbudowania poczucia zastraszenia — że za chwilę będą wam gardła podrzynać i wieszać na latarniach. W 1988 r. nie dało się tego przeprowadzić.

G.S. — No i nie dało się już straszyć Breżniewem. Nastroje w aparacie partyjnym są takie marne, bo ludziom żyje się coraz gorzej. Pogarszanie się warunków życia dotyka także rodziny ludzi partyjnych, no, może nie z nomenklatury, ale działaczy średniego i niskiego szczebla.

A.D. — Fenomen tej sytuacji polega na tym, że nie ma wyraźnie gorszego zaopatrzenia, ale następuje podniesienie się poziomu aspiracji, ludzie chcą żyć lepiej.

G.S. — Jeszcze jest jedna sprawa związana z Nową Hutą. Czy wiedzą państwo, skąd się wywodzi Alfred Miodowicz? Z Nowej Huty. To rozwiązanie w Nowej Hucie jest pewnym policzkiem dla niego.

A.D. — Nie mniej oburzony jest Episkopat. Jaruzelski naraził się akcją w Nowej Hucie niemal wszystkim: Episkopatowi, zachodniej opinii publicznej, opozycji i na koniec OPZZ.

B.P. ***Czy tzw. aparat partyjny również rozumiał konieczność zmian?***

K.T. — Stan nastrojów bazy partyjnej czy aparatu to jedna z kwestii, która jest chyba najbardziej zakłamana. Jest taka teza, upowszechniana zresztą przez uczestników okrągłego stołu ze strony koalicyjno-rządowej, że światła góra chciała zmian, natomiast bez przerwy była blokowana przez aparat. I na ogół na potwierdzenie tej tezy przytaczane są badania prowadzone przez socjologów z Akademii Nauk Społecznych, które pokazywały, że sekretarze wojewódzcy byli rzeczywiście przeciw. Natomiast, co ciekawe, w tym samym okresie były przeprowadzone inne badania. Jest taki dokument z 1988 r., z listopada, który jasno pokazuje, że oceny były zupełnie inne, że prawie 90 proc. członków partii chciało zmian, chciało pokojowego rozwiązania i legalizacji opozycji. Te same wnioski można wysnuć o nastrojach administracji rządowej. Przecież ona była w stu procentach partyjna. Jeżeli przyjąć za Jadwigą Staniszkis, że było uwłaszczenie nomenklatury, to trzeba pamiętać, kto się uwłaszczał, bo przecież nie ludzie pracujący w zakładach na stanowiskach robot-

niczych. Musiała uwłaszczać się góra i przede wszystkim aparat, więc nie było możliwe w końcu 1988 r. zachowanie władzy i własności, to byłby dodatkowy absurd, więc oczywiście nastroje się zmieniały. To wszystko raczej niekorzystnie świadczy o kierownictwie partii, która mając takie a nie inne koncepcje, bez przerwy straszyła opozycję buntem aparatu, a opozycja, co ciekawe, chyba przyjęła ten punkt widzenia.

A.D. – Od połowy 1988 r. aż do powstania rządu Tadeusza Mazowieckiego włącznie trwał okres wojny psychologicznej prowadzonej przez ludzi aparatu władzy z otoczenia Jaruzelskiego z ludźmi z opozycji. Prowadzonej skutecznie. Oni wygrywali kolejne etapy tej wojny, strasząc buntem pułkowników bezpieki i wojska. Zachowały się dokumenty, z których wynika, że ta druga strona w to wierzy, że jeszcze chwila i proces liberalizacji systemu zostanie cofnięty. Symbolem tego działania są słynne taśmy wideo z zapisem niektórych wystąpień na X Plenum KC PZPR ze stycznia 1989 r., na którym zadecydowano, że będzie zgoda na legalizację „Solidarności", co otworzyło drogę do okrągłego stołu. Te taśmy Stanisław Ciosek woził do Episkopatu i pokazywał biskupom, żeby oni usłyszeli, jakie ostre są te głosy, i co to za chwilę się stanie. Mówił wręcz o puczu. A jednocześnie na tym samym plenum zachęcał do takich wystąpień, mówiąc wprost, że ostre głosy są potrzebne, że gdyby rozkład głosów w sprawie legalizacji „Solidarności" był 40 do 60, to będzie to bardzo dobry argument dla drugiej strony. Oczywiście, nastroje w aparacie władzy były różne. Byli też tacy sekretarze wojewódzcy, którzy mówili, że to wyprzedaż socjalizmu i ani kroku w tył. Był na przykład słynny I sekretarz warszawskiego Komitetu Wojewódzkiego Janusz Kubasiewicz. Podczas narady sekretarzy KW w Słupsku jesienią 1988 r. większość mówiła w miarę normalnie, ale nagle wstał Kubasiewicz i stwierdził, że idei Lenina trzeba strzec jak źrenicy oka.

G.S. – Te same taśmy Miodowicz woził na posiedzenia KW OPZZ i tam właściwie był jeden chór niezadowolonych.

K.T. – Miodowicz miał kilka pomysłów, których nie można tak zupełnie dyskwalifikować. To jest logiczne, że najpierw powinien być pluralizm polityczny, a równolegle wprowadzany pluralizm związkowy. A jeśli nie przewidywano istnienia opozycyjnych partii politycznych, to gdzie miałaby się toczyć działalność polityczna, to normalne, że w związku zawodowym.

J.R. – ***W pierwszych propozycjach zmian prezentowanych przez Cioska przedstawicielom Kościoła jeszcze w połowie 1988 r. też jest mowa o pluralizmie politycznym, choć bardzo dziwnie pojętym. Mowa jest już konkretnie o tych 35, a nawet 40 proc. w Sejmie, natomiast broń Boże »Solidarność«.***

A.D. – Paradoks 1988 r. polega na tym, że obie strony zaczynają walczyć o szyld „Solidarności". Władze były skłonne zgodzić się na to, co jeszcze w 1981 r. byłoby

herezją: partie polityczne, własna prasa, dostęp do parlamentu. To wszystko możecie mieć, tylko zrezygnujcie z „Solidarności". Druga strona się jednak przy tym upiera. Dla obu stron to jest kwestia walki o symbol.

G.S. – Warto byłoby prześledzić memoriały tej trójki – Urbana, Pożogi, Cioska. Tam praktycznie prawie do końca nie pojawia się „Solidarność", za to są różne pomysły na rozwiązanie sytuacji.

J.R. – ***Jaką rolę w legalizacji »Solidarności« odgrywa Kościół?***

K.T. – W literaturze jest taka opinia, że polski Episkopat w stosunku do odtworzenia „Solidarności" był bardzo wstrzemięźliwy. Za ponowną legalizacją „Solidarności" opowiadał się raczej papież Jan Paweł II. Wydaje się więc, że to nie polski Kościół wymógł powrót „Solidarności" na scenę polityczną.

A.D. – Jeżeli cytowana w książce prof. Andrzeja Garlickiego *Karuzela* wypowiedź kard. Franciszka Macharskiego jest prawdziwa, to on zdecydowanie odżegnywał się w połowie 1988 r. od „Solidarności". Jednak w miarę upływu czasu ludzie Kościoła obserwowali rozwój wydarzeń i widzieli, co się dzieje jesienią 1988 r. Dlatego zaczęli deklarować, że nie będą naciskać na działaczy „Solidarności", żeby oni się z tego szyldu wycofali, bo sytuacja jest taka a nie inna.

B.P. – ***Skoro mówimy o różnych rozbiciach i w obozie władzy, i w Kościele, to warto pod tym kątem scharakteryzować też »Solidarność«.***

K.T. – Opozycja oczywiście była rozbita. Gdyby próbować znaleźć linie podziałów, to była część opozycji, która wśród naczelnych wartości za cel stawiała sobie niepodległość, i była druga część opozycji, która za najważniejszą uznawała demokrację. Ta część opozycji, której rodowód sięga korzeniami aż do rewizjonistów partyjnych, choć potem podlegała oczywiście różnym modyfikacjom, dopuszczała w pewnych okolicznościach możliwość porozumiewania się z władzą. W niej też były podziały, ale generalnie była to grupa, która wcześniej – od 1976 r. – tworzyła Komitet Obrony Robotników. Oczywiście w pierwszym KOR-ze byli różni ludzie, Kuroń z Michnikiem, bracia Kaczyńscy, Jan Olszewski, Antoni Macierewicz. Ale potem ton w tej grupie nadają zwolennicy porozumienia. Ta grupa wstąpiła później do „Solidarności", a po wprowadzeniu stanu wojennego miała pewien wpływ na taktykę związku. Tu najbardziej wyrazistą postacią jest Jacek Kuroń i jego program działań radykalnych. W połowie lat osiemdziesiątych ta taktyka się zmienia. Pojawia się idea pewnej ugody.

B.P. – ***Czyli zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.***

K.T. – Kuroń milknie, wycofuje się ze swoich bardzo radykalnych, groźnych zresztą – gdyby je zrealizować – planów, i zaczyna dominować ten ton ugodowy. W 1985 r. pojawia się praca Michnika *Rzecz o kompromisie*, która jest zachętą do późniejszego kompromisu, dobrze znaną władzom. Ta część opozycji zasiadła przy okrągłym stole nie jako jedyna – były jeszcze Kluby Inteligencji Katolickiej i ludzie

związani z „Tygodnikiem Powszechnym". Komuniści chcieli to wykorzystać i wymyślili „opozycję konstruktywną" i „opozycję niekonstruktywną". Część opozycji może nieco różniła się w szczegółach, ale na pewno nie różniła się, jeśli chodzi o zasadniczą sprawę, czyli przekonanie, że istniejący system należy obalić; różnice dotyczyły dróg i ewentualnie środków.

A.D. — Zgoda co do podziału na takie dwa nurty, ale może pomówmy o ich potencjale, bo to miało podstawowe znaczenie w roku 1989. Będę się odwoływał do danych SB. Ta część, którą ja nazywam opozycją wałęsowską, a w której dominującą rolę, jak powiedziano, mieli jako stratedzy Kuroń, Michnik, Geremek i Mazowiecki — stanowiła główny nurt polskiej opozycji. Natomiast druga część, rozproszona na najróżniejsze grupki, nurty i struktury, była w większości radykalna, choć były też grupy umiarkowane, jak na przykład Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe. Jego założyciel Mirosław Dzielski mówił wręcz, że trzeba uwłaszczyć nomenklaturę, bo to jest demontaż systemu. Jednak tę drugą część opozycji, mniejszościową, o wyraźnej orientacji radykalnie antykomunistycznej, tworzyła przede wszystkim „Solidarność Walcząca" Kornela Morawieckiego. Według analiz SB była drugą co do wielkości strukturą opozycyjną (po środowisku wałęsowskim). Dopiero długo, długo za nią była Konfederacja Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego, Liberalno–Demokratyczna Partia „Niepodległość" czy PPS Rewolucja Demokratyczna (reaktywowany w 1987 r. PPS został wskutek intryg SB rozbity na kilka odłamów). To były ugrupowania, które w różny sposób mówiły o tym, że trzeba dążyć do obalenia dyktatury komunistycznej, czy to w drodze strajku generalnego, czy demonstracji ulicznych, czy wręcz — jak głosiła Polska Partia Niepodległościowa Romualda Szeremietiewa — nawet drogą zbrojnego powstania. Oczywiście nie podejmowano żadnych praktycznych prób takich działań, nie było działalności terrorystycznej czy zbrojnej. Nie przeszkadzało to jednak SB pisać o „Solidarności Walczącej" jako o grupie o aspiracjach terrorystycznych i straszyć nią rządzących generałów.

B.P. — ***Jest tajemnicą poliszynela, że przez cały ten czas trwały różne nieformalne kontakty. Mimo wszystko spotykano się też towarzysko.***

G.S. — Spora część z tej — nazwijmy to — grupy Wałęsy miała nieformalne, towarzyskie kontakty z drugą stroną. Czasem to są jakieś starsze zaszłości, kiedy indziej towarzyskie, szerokie wspólne kręgi. Przygotowując do druku pracę *Okrągły stół. Materiały i dokumenty*, znaleźliśmy sporo notatek z czysto prywatnych rozmów, sporo listów, w których były odniesienia do prywatnych rozmów, na przykład list Andrzeja Wielowieyskiego, który po rozmowie ze Stanisławem Cioskiem pisze do Jaruzelskiego. Są ślady rozmów Cioska i Andrzeja Stelmachowskiego. Jan Strzelecki rozmawia z Barcikowskim itd. Te koła jakoś się mieszają. To jest też pewna cecha tej grupy Wałęsy, która w pewnym sensie tłumaczy kanały przepływu informacji, pewne kontakty.

A.D. – Dwaj główni negocjatorzy przy okrągłym stole – Bronisław Geremek i Janusz Reykowski – to byli koledzy ze szkoły, którzy od początku rozmów mówili sobie na ty.

G.S. – Co więcej, u Reykowskiego odbywały się te mniej znane uzgodnienia i rozmowy. Ten dom był jeszcze jednym punktem, jeszcze jedną płaszczyzną, gdzie się dogadywano. Pojawia się nawet pewien metajęzyk, wspólni znajomi.

K.T. – Myślę, że to miało też związek z przekształceniami w elicie wpływów. Znane są w końcu 1988 r. próby wyjścia poza klasyczny aparat. Pojawia się wielu nowych ludzi, którzy mogli realizować nowe projekty. Generalnie, gdyby nawiązać do tej zasadniczej myśli, co łączyło tych ludzi – tak chronologicznie można by to uporządkować następująco: najwcześniej, kiedyś wspólna przeszłość partyjna, pewnie przez długi czas wspólny krąg towarzyski (w końcu Warszawa to małe miasto), później praca na tej samej uczelni, w tym samym środowisku. Ktoś jeszcze wspomina o powiązaniach rodzinnych, ale to zbyt skomplikowane.

G.S. – Czasem niektóre zwroty robią pewną karierę – na przykład sformułowanie Jaruzelskiego o okrągłym stole podczas czerwcowego plenum w 1988 r.

J.R. – ***Ale to miało wtedy zupełnie inne znaczenie.***

G.S. – Niemniej jest ważne w sensie psychologicznym. Ma jakieś znaczenie, bo z relacji Stelmachowskiego wiemy, że kiedy zadzwonił do Józefa Czyrka, uczepił się tej wypowiedzi, tego zaproszenia. Było to zaczepienie.

A.D. – Ja bym nie przeceniał znaczenia tego sformułowania. Jaruzelski był już zdecydowany na jakieś rozmowy, ale na pewno nie sięgało to tak daleko jak legalizacja „Solidarności". Jeszcze w lipcu 1988 r. mówi on Gorbaczowowi, że „tak jak Armia Czerwona broniła Wołgi i Moskwy, tak i my dwóch spraw nie odpuścimy – nie zgodzimy się na legalizację »Solidarności« i nie dopuścimy do pluralizmu partyjnego w Polsce".

B.P. – ***Zanim stolarze w Henrykowie zbudowali ten najsłynniejszy polski mebelek, została podjęta decyzja. W którym momencie okrągły stół został zbudowany politycznie?***

K.T. – Po pierwszych strajkach kwietniowych, o których mówiliśmy, mamy w połowie 1988 r. już konkretne propozycje. Myślę, że to jest początek bardziej konkretnych działań na rzecz kooptacji opozycji do obozu władzy. Te zabiegi – reklamowane przez Cioska i Kiszczaka na łamach prasy jako „posunięcie się na ławce" – trwają mniej więcej do pierwszej Magdalenki. Były one ważne, gdyż władze uznały, że ten wariant nie jest możliwy do realizacji i należy zaakceptować opozycję już jako partnera. To był wrzesień 1988 r.

G.S. – Pierwsze spotkanie odbyło się 31 sierpnia w Warszawie, w willi MSW przy ul. Zawrat. Znamy przebieg tych rozmów, przynajmniej fragmentaryczny, z tzw. taśm Kiszczaka. Brali w nich udział z jednej strony Ciosek i Kiszczak, z drugiej strony Wałęsa i ks. Orszulik. Najbardziej utkwił mi w głowie taki fragment filmu,

gdy już po zakończeniu rozmów wszyscy idą do samochodów, podjeżdża mercedes chyba Episkopatu i Ciosek mówi do Wałęsy: dogadajmy się, a wszyscy będziemy jeździli takimi mercedesami.

J.R. — ***Co było inspiracją dla planów Cioska? Przecież to jest niemożliwe, żeby on sam przedstawiał tak daleko idące plany dotyczące uczestnictwa opozycji w Sejmie, przywrócenia Senatu etc.***

G.S. — Na początku jest to scenariusz zrobiony przez tę trójkę, o której już wspomniałem: Pożogę, Urbana i Cioska. Widać jednak, że jest przyzwolenie na wypełnienie tego scenariusza.

A.D. — Ostateczna decyzja zawsze należała do Jaruzelskiego, który dał Cioskowi pewną swobodę działania. Znamienny jest list Cioska do Jaruzelskiego, wyrażający rozczarowanie pacyfikacją Nowej Huty. Widać, że Ciosek, który miał bardzo duże pełnomocnictwa od Jaruzelskiego, nie był jednak informowany o wszystkim. Ciosek jest bardzo istotnym graczem, jest głównym negocjatorem, ale w każdej ważnej sprawie musi się pytać Jaruzelskiego.

G.S. — Gdybyśmy porównali to do szachów, to jest on najwyżej gońcem.

A.D. — Ja go oceniam wyżej, jako wieżę lub konika. Hetmanem w tej konwencji byłby Kiszczak, a królem oczywiście Jaruzelski.

G.S. — Po drugiej stronie to byłoby dużo ciekawsze.

J.R. — ***Czy przyzwolenie Sowietów wiąże się z tym, że oni chcą przetestować pewien scenariusz, który może im być przydatny, czy po prostu odpuścili?***

K.T. — W literaturze jest taka opinia, że Polska ma być laboratorium, natomiast nie sądzę, aby Gorbaczow mógł powielić te rozwiązania, bo przede wszystkim u siebie nie miałby z kim rozmawiać.

A.D. — Ja bym rozdzielił sferę polityki i gospodarki. Zgadzam się z tym, co pani powiedziała, w sensie politycznym. Ale system gospodarczy w Polsce był wzorowany na systemie sowieckim. Rosjan mogło zatem interesować, jakie są możliwości modernizacji gospodarczej. Są trzy ekspertyzy z początku 1989 r., które zostały opublikowane: sowieckiego MSZ, Wydziału Zagranicznego KC KPZS i tamtejszej Akademii Nauk, gdzie wyraźnie jest mowa o tym, że w krajach Europy Środkowej dojdzie do jakiejś demokratyzacji, a partie komunistyczne będą musiały „posunąć się" bądź wręcz mogą stracić władzę. Oczywiście konkluzja jest taka, że to nie przekreśla faktu konieczności utrzymania tych krajów w naszej orbicie wpływów, przede wszystkim polityczno-wojskowych. To jest decydujące dla postawy Kremla. Od tego momentu są już bardzo wyraźne kontakty z opozycją w Polsce. W 1989 r. trwają rozmowy, w których między innymi Andrzej Wajda jest wykorzystywany jako pośrednik, kurier czy łącznik.

G.S. — Jest jeszcze sprawa sytuacji gospodarczej, tych wzajemnych powiązań z Bankiem Światowym, Międzynarodowym Funduszem Walutowym, warunków

pomocy i stanowiska Związku Sowieckiego, który sobie tak naprawdę odpuścił to wszystko, jeżeli chodzi o pomoc. Tu jest jasna taktyka, że jeżeli wy się nie dogadacie z Bankiem Światowym i z MFW, to my oprócz tego, co robimy dla podtrzymania, nic więcej nie zrobimy. Sprawa gospodarki jest dosyć ważna dla zrozumienia też pewnej determinacji obozu władzy, jeżeli chodzi o okrągły stół, o pewne negocjacje. Bo już było jasne w pewnym momencie, że ta władza – obojętnie, czy chodzi o rząd Rakowskiego, nie mówię już o Messnerze, czy o każdy inny rząd – nie ma szans na dogadanie się z Bankiem Światowym i MFW. Nie miały znaczenia nawet najbardziej rewolucyjne zmiany ustawowe.

K.T. – Sprawy gospodarcze są do tej pory całkowicie bagatelizowane przy okazji dyskusji o roku 1988 czy 1989. Raczej skupiamy się na kwestiach politycznych. Tymczasem są pewne, nieliczne dokumenty w Archiwum Akt Nowych, które wskazują, że nawet w okresie okrągłego stołu były prowadzone rozmowy z MFW. Bardzo delikatnie wspomina o nich Ireneusz Sekuła. Warunki stawiane przez MFW były nie do zrealizowania przez PZPR dlatego, że to groziło nowymi strajkami. Ktoś musiał przeprowadzić te reformy, które później są znane jako reforma Balcerowicza.

J.R. – ***Jakie reakcje w kierownictwie PZPR, we władzach wywołała kolejna fala strajków z sierpnia 1988 r., o których najmniej wspominaliśmy?***

G.S. – Władza była trochę przerażona tym, że krakowski pokaz siły, majowy, nie tylko nie przyniósł rezultatu w sensie spacyfikowania, ale że ta fala się rozlewa. Więcej, właściwie nie bardzo jest z kim gadać.

J.R. – ***Doszedł cały Śląsk...***

G.S. – Śląsk, który jest całkiem nową jakością, całkiem nowi ludzie zaczynają tam strajkować, nie wiadomo, z kim rozmawiać. Sytuacja Wałęsy wcale nie jest taka mocna. A ten kanał jest drożny, z Wałęsą jest kontakt. Sytuacja zaczyna być naprawdę poważna i wymyka się spod kontroli. Władza ma świadomość tego, że zaczynają się schody. W tym sensie to ma znaczenie. Pojawia się wyraźna alternatywa: albo trzeba już zdecydowanie i stanowczo coś robić, albo ta władza będzie miała policzone dni.

J.R. – ***Czy Magdalenka, która się wkrótce odbyła, to – jak mówią krytycy okrągłego stołu – było zawarcie jakiegoś tajnego układu, którym potem wszyscy są związani? Czy są jakieś ślady, które pozwalają na ten temat coś powiedzieć?***

G.S. – Ja bym nie przeceniał Magdalenki, w sensie jakiegoś tajnego układu czy dogadania się. Myślę, że ona ma inne znaczenie, jeśli mówimy o drugim dnie. Władza chciała sobie drugą stronę obłaskawić, spacyfikować, bliżej się poznać i bliżej do niej dotrzeć. Temu służyły te spotkania, swobodniejsza atmosfera rozmów, cały ten anturaż po rozmowach. A oprócz tego następowała, zresztą po obu stronach, zmiana obrazu wroga. To jest taka czarna legenda, że tam powstały jakieś

tajne układy, którymi wszyscy są do tej pory zobowiązani. Myślę, że to nie było tak, ale zgodziłbym się, że Magdalenka miała ważne znaczenie właśnie jeśli chodzi o te sprawy dotyczące bardziej sfery psychologii, sfery walki psychologicznej.

B.P. — ***Czy pytanie o Magdalenkę ma już swoją pełną odpowiedź?***

K.T. — Nie było oczywiście żadnego tajnego protokołu. Dokumenty, które znamy, pozwalają stwierdzić, że spisku nie było. Natomiast niewątpliwie wydarzenia z sierpnia miały ważne znaczenie dlatego, że strajki, które przyspieszały decyzje o konkretnych rozmowach, pokazały, iż wyłoniły się nowe elity i wyraźnie przestraszyła się nie tylko władza, ale i ta część opozycji, która ostatecznie zasiadła przy okrągłym stole. Myślę, że te nowe strajki spowodowały decyzję, że „Solidarność" będzie zalegalizowana. W sierpniu 1988 r. generał Jaruzelski podjął taką myśl. Świadczy o tym zakulisowa rozmowa Kiszczaka z Wałęsą i Mazowieckim, znana z nielicznych przekazów, z której wynikało, że teraz władze jeszcze nie mogą zalegalizować „Solidarności", ale będzie moment, kiedy to nastąpi. Poinformowano opozycję o tym, że rząd Messnera będzie obalony i że na czele rządu stanie polityk, który kojarzy się z kursem reform, czyli Rakowski.

A.D. — Zawsze można oczywiście powiedzieć, że są jakieś dokumenty, których nie znamy, i że kiedyś one wypłyną. Nie można jednak mówić o spisku z jednego podstawowego powodu. Moim zdaniem mówienie o spisku wynika z błędnego spojrzenia na rolę okrągłego stołu i przywiązania do tego mitu, że przy okrągłym stole komuniści pokojowo oddali władzę. Jeśli to jest biała legenda, to tu następuje kropka. W czarnej legendzie następuje przecinek i ciąg dalszy brzmi: w zamian za gwarancje bezpieczeństwa i świetlanej przyszłości w postkomunistycznej rzeczywistości. Tymczasem oni żadnej władzy przy okrągłym stole nie zamierzali oddawać. okrągły stół był, w moim przekonaniu, zabiegiem w dużym stopniu o charakterze socjotechnicznym, nad którego wyborczymi konsekwencjami nie w pełni później udało się kierownictwu PZPR zapanować. Przy okrągłym stole tak naprawdę chodziło przede wszystkim o przeniesienie centrum władzy z KC PZPR do urzędu prezydenta. PZPR miała się gdzieś tam reanimować na zapleczu urzędu prezydenckiego.

J.R. — ***Są takie interpretacje, że elity władzy i opozycji dogadały się, bo obawiały się radykalnego, niesterowalnego ruchu społecznego sprzeciwu; rewolty, która zmiotłaby jednych i drugich.***

A.D. — Doraźnie okrągły stół miał rozładować falę niezadowolenia, która się zaczęła z końcem 1988 r., o czym ja osobiście dowiedziałem się dopiero z dokumentów SB. Wcześniej nic nie wiedziałem o strajkach z początku 1989 r., bo to nie były strajki polityczne, ale było ich bez porównania więcej niż w dwóch falach strajków w 1988 r. Ich znaczenie polegało przede wszystkim na skali i na tym, że w 90 proc. one nie były organizowane przez nikogo. Najgroźniejsze dla obu stron okrągłego stołu było to, że mogli zacząć nimi dowodzić ludzie z młodego, radykalnego pokolenia. Mam na myśli zarówno środowiska studenckie, jak i młodych robotników. To

byłoby dla władz bardzo groźne. Jest taka wypowiedź Reykowskiego na posiedzeniu Biura Politycznego, że główne niebezpieczeństwo stanowi radykalizm młodego pokolenia. Z kolei zachowały się informacje SB dotyczące nastrojów w środowisku określanym przez samych funkcjonariuszy jako postkorowskie. Miano się tam obawiać, że ktoś ich wymiecie, że zostaną zdetronizowani jako przywódcy opozycji. Dlatego obie strony — od momentu rozpoczęcia wrześniowej Magdalenki — były skazane na dogadanie się.

K.T. — Jeżeli chodzi o sam okrągły stół, na pewno należy się zgodzić z tym, że nie była to debata o końcu komunizmu czy o wychodzeniu z komunizmu, a tym bardziej nie o oddawaniu władzy. O tym nie było mowy. Nie zgadzam się jednak z taką myślą, że był to zabieg socjotechniczny. Chciałabym widzieć taką socjotechnikę, która w warunkach komunizmu wygląda tak jak oddanie opozycji 35 proc. mandatów, do tego rezygnacja przez PZPR z większości w Sejmie, do tego wolne związki zawodowe, stowarzyszenia, część mediów dla opozycji. Możemy się zastanawiać, czy — po tych zmianach — to jeszcze był system komunistyczny, czy już coś nowego. Na pewno nie demokracja, ale i nie komunizm. Nie bagatelizowałabym tego, co się wtedy wydarzyło.

J.R. — ***Wcześniej powiedziała pani, że już w sierpniu Jaruzelski jest zdecydowany na legalizację »Solidarności«, na co wobec tego władze liczyły, dopuszczając do debaty telewizyjnej Wałęsa–Miodowicz, czy nie na to, że Miodowicz sobie poradzi z Wałęsą? W tym samym czasie, kiedy władze deklarują, że legalizacja »Solidarności« nie wchodzi w grę, padają znane słowa Wałęsy: »Mnie się nie spieszy. Mam czas. Poczekamy«.***

K.T. — Myślę, że należy oddzielić decyzje od socjotechniki. Gdyby odwoływać się do całej sfery propagandy od pierwszej Magdalenki aż do połowy listopada, to mamy sztywne stanowisko władzy. Ale niezależnie od tego, moim zdaniem, była pewna myśl wybrnięcia z sytuacji, w jakiej znalazła się PZPR po demonstracyjnym rozmontowaniu Stołu w październiku.

A spotkanie Miodowicz–Wałęsa? Ja to traktuję jako inicjatywę, która też wymknęła się spod kontroli i którą można wpisać w taki ogólny proces dezorganizacji władzy, bo w innym okresie, gdyby władze uznały, że jest to spotkanie groźne, to by je zablokowały, a w listopadzie, a nawet wcześniej, pewne procesy miały już charakter żywiołowy.

G.S. — W kontekście debaty Wałęsy i Miodowicza nie zapominajmy o postawieniu w stan likwidacji Stoczni Gdańskiej, co spowodowało poważny kryzys w negocjacjach. Myślę, że w tym Miodowicz upatrywał swoją szansę. Frustracja Miodowicza i jego najbliższego kręgu, ale także i szerszych kręgów OPZZ, narasta. Po pierwsze, Miodowicz nie bierze udziału w rozmowach, a nawet nie jest o nich informowany, nie licząc tych posiedzeń, w których uczestniczy. Po drugie, ten afront związany z pacyfikacją Nowej Huty. Działacze terenowi zaczynają się burzyć. On widzi, że je-

żeli nie przejawi własnej inicjatywy – strajki niespecjalnie wchodzą tutaj akurat w grę, przemówienia na jakichś zamkniętych obradach to też nie jest to – to traci rację bytu. Konieczne jest zrobienie jakiegoś ruchu do przodu i pokazanie, co on potrafi. Miodowicz był przekonany, że potrafi zgnieść Wałęsę, dla niego to jest jedyna szansa na zaistnienie.

A.D. – Co sądzisz o takiej hipotezie, że ja, lider OPZZ, jestem też autentycznym przywódcą związkowym, a zgniecenie Wałęsy mogłoby być punktem wyjścia do walki o spadek po Jaruzelskim? Może Miodowicz zaczął grę o najwyższą stawkę, żeby zostać nowym przywódcą całego ugrupowania komunistycznego, który poradził sobie z Wałęsą, czego Jaruzelski nie potrafił zrobić.

G.S. – Nie wiem, czy ja bym tak daleko poszedł, nie ma na to dowodów. Widziałbym to łagodniej, że to jest włączenie się do gry, znalezienie się w pierwszym szeregu rozgrywających. Jeżeli się uda, osiągamy cel najwyższy, możliwe, że ta twoja teza ma wtedy rację bytu.

A.D. – Pozostaje jednak pytanie, dlaczego Jaruzelski pozwolił mu wystąpić w telewizji, bo nie jest tak, że oni tego nie mogli zablokować. Rakowski próbował to zrobić, ale Jaruzelski mu zabronił.

B.P. – ***Przecież oni liczyli na to, że Miodowicz będzie lepszy, inteligentniejszy!***

G.S. – Ludzie przede wszystkim chcieli zobaczyć Wałęsę. Pamiętali go ze stoczni i ze spotkania z Rakowskim, gdzie wypadł kiepsko, mizernie. Minęło kolejnych parę lat przy czarnej propagandzie peerelowskiej, głupka, który nie umie rozmawiać...

B.P. – ***...kukły, bo tak o nim mówiono w KC...***

G.S. – ...za którym stoją doradcy i wszystko mu mówią. Po pierwszych słowach okazało się, że on jest super, że umie się zachować, że ludzie mogą znów być z niego dumni.

J.R. – ***Natychmiast po debacie CBOS robił badania, które pokazują, że 64 proc. oglądających uważało, że wygrał Wałęsa, a tylko 1 proc., że wygrał Miodowicz. Wynik tych badań poraża komunistów, bo jednak po samej debacie mieli nadzieje, że to nie wypadło tak źle.***

G.S. – Jest taka relacja Bronisława Geremka, który opowiadał, że po wyjściu ze studia Wałęsa był przekonany, iż przegrał. Dopiero jak zadzwonił do domu i usłyszał od żony pochwały, że to wielki sukces, uwierzył w to. A z kolei dwa dni później jest posiedzenie Sekretariatu OPZZ i tam też nie ma nastroju klęski. Tam jest poczucie, że dobrze nam poszło, właściwie cel został osiągnięty. Wałęsa nie jest zmiażdżony, ale nie o to chodziło.

A.D. – Ale już na posiedzeniu kierownictwa partii Jaruzelski mówi, że ta nieszczęsna rozmowa wszystko zmieniła.

B.P. – ***Zainteresowanie okrągłym stołem, na początku znaczne, stopniowo malało. Wiele osób uważało, że nie jest to debata, nie są to rozmowy***

o losach Polski, ale że jest to właściwie załatwianie interesów i autoreklama, telewizyjny »show«.

G.S. – Poza tym początkiem, kiedy nie wiadomo było, czy to się na pewno zacznie, to tak naprawdę wszystko było strasznie nudne. Jerzy Urban mówił w jednym z moich programów, że strona rządowa czy władze telewizyjne strasznie się starały, żeby coś z tego zrobić, bo poza pierwszym i poza ostatnim posiedzeniem to było bardzo nudne. Nie wiem, czy państwo pamiętają, że w pewnym momencie przerwano transmisję i rozpoczęto relację z meczu piłkarskiego. To ludzi interesowało. Założenia były takie, mniej więcej, że to się zacznie, trochę pogadają i to się skończy. A tu mamy cały luty, marzec i kawałek kwietnia i oni gadają.

A.D. – Z wyników badań widać, że zainteresowanie spadało.

G.S. – Sprawa autokreacji bohaterów tego wydarzenia wyglądała jeszcze inaczej, bo siłą rzeczy wybierano takich, którzy ludzi mogą jakoś zaciekawić. Kilka dni temu widziałem w Archiwum Wytwórni Filmów Dokumentalnych godzinny film o kulisach okrągłego stołu. Tam jest generał Kiszczak, bardzo medialny Michnik, Krzysztof Teodor Toeplitz, wypowiedź Władysława Frasyniuka, Bronisława Geremka. To jest ten krąg. Tam nie ma żadnej osoby, która byłaby dzisiaj nieznana z twarzy, tam są znane głowy. Jeśli chodzi o Sejm, kontraktowy, już po wyborach, to zgodziłbym się, że było tam sporo autokreacji.

J.R. – ***Powiedzmy słowo o finale okrągłego stołu i o tym, co nastąpiło później.***

A.D. – Czym jest tak naprawdę zamknięcie okrągłego stołu? To jest problem. Ja uważam, że to jest moment, w którym ma nastąpić przesunięcie centrum władzy z PZPR do urzędu prezydenta. Do tego trzeba przeprowadzić wybory i one stają się absolutnie rzeczą priorytetową. Znaczenie okrągłego stołu polega głównie na wykreowaniu wolnych wyborów do Senatu. Powstaje w ten sposób szczelina, przez którą w ciągu kilku tygodni kampanii wyborczej dojdzie do przerwania tamy chroniącej monopol komunistów na władzę. Ale nie chodzi tylko o wolne wybory, lecz także o przyjęcie modelu ordynacji. Strona opozycyjna wcale nie upierała się przy modelu większościowym do Senatu. To był pomysł obozu władzy, który uważał, że ordynacja większościowa będzie dla niego korzystniejsza niż proporcjonalna. Okazało się, że było dokładnie odwrotnie.

K.T. – I błędy w sposobie wystawiania własnych kandydatów. Miarą demokratyzacji miała być konkurencyjność w obrębie mandatów koalicyjno-rządowych. „Solidarność" taktycznie milczała w tej kwestii. A na koniec efekt był taki, że strona koalicyjno-rządowa uzyskała mniej mandatów, niż zagwarantowała sobie w umowie z opozycją.

A.D. – Skala błędów popełnionych wewnątrz, na własnym podwórku, jest zaskakująca. Później w MSW wyjaśniano, że winien błędów w ordynacji był między innymi wiceprzewodniczący Rady Państwa Tadeusz Szelachowski, bo zabronił do-

konania zmian w sprawie listy krajowej. Sekretarz KC PZPR Marian Orzechowski twierdził, że na jego oczach Jaruzelski kazał ordynację tak zmienić, by kandydaci z listy krajowej przechodzili do drugiej tury, gdyby nie otrzymali 50 proc. poparcia. I to zostało zignorowane! Mamy do czynienia z ciągiem niewiarygodnych niedopatrzeń w sprawie absolutnie newralgicznej.

G.S. – Andrzej Garlicki cytuje taką notatkę Andrzeja Werblana, adresowaną do Rakowskiego na parę dni przed wyborami. Dokładnie przewiduje wyniki, może myli się o parę procent. Zaznacza, że wyjeżdża na wakacje, i mówi o wyborach z rezygnacją, jakby tylko dla porządku, ale on ma inne podejście, inne spojrzenie, bo to historyk.

A.D. – Muszę powiedzieć, że gdy pisałem swoją książkę, dużym zaskoczeniem dla mnie było porównanie dokumentów partyjnych i SB z okresu kampanii przedwyborczej. O ile w dokumentach partyjnych było jeszcze sporo urzędowego optymizmu, mówienia, że są problemy, ale wychodzimy na prostą, o tyle w dokumentach SB, może z jednym wyjątkiem, powtarzało się stwierdzenie, że jesteśmy na równi pochyłej, to wszystko skończy się jedną wielką katastrofą, kampanii koalicji nigdzie nie widać, wszędzie jest „Solidarność" ze swoimi plakatami. Ludzie na górze dostawali informacje z obu źródeł i pytanie, komu wierzyli bardziej. To zależało od konkretnego człowieka. Ciosek, Urban i Rakowski nie bardzo wierzyli aparatowi partyjnemu, a jak się zachowywał Jaruzelski – to jest dla mnie zagadka. Mam wrażenie, że on się łudził do końca, szczególnie kiedy mu Reykowski powiedział, że w ostatnim przedwyborczym tygodniu zmienimy taktykę, przestawimy nastroje. Z poważnych badań CBOS czy OBOP wynikało, że rzeczywiście do ostatniej chwili była bardzo duża grupa niezdecydowanych. Ta grupa wbrew nadziejom władz poparła jednak „Solidarność". Kalkulacja komunistów opierała się na tym, że w mniejszych miejscowościach, gdzie nie było „Solidarności", w województwach rolniczych, tam powinni wygrać. I tu się pojawia rola Kościoła – to jest ten aspekt wyborów czerwcowych, który jest najmniej podnoszony.

B.P. – ***To było zaangażowanie bezpośrednie.***

A.D. – Większość dokumentów SB zawierała lamenty, że księża się za bardzo angażują. I prośbę – zróbcie coś z tym w tej Warszawie. Dodajmy, że władze zrobiły bardzo dużo, żeby zneutralizować Kościół. W maju 1989 r. uchwalono ustawę o stosunku państwa do Kościoła rzymskokatolickiego; zgodnie z nią Kościół otrzymał osobowość prawną, której nie miał przez czterdzieści lat, przywileje podatkowe, celne, zwolnienie z cła artykułów na potrzeby sprawowania kultu, pozwolenie na własne stacje radiowe i telewizyjne. Była też obietnica porozumienia z Watykanem, zapowiedź konwencji, nuncjusza. Cały pakiet żądań Kościoła został zaspokojony w tym celu, żeby duchowieństwo zachowało neutralność. To się jednak władzom nie udało.

J.R. – ***Ale obok tych prób obłaskawienia Kościoła w tym czasie ludzie bezpieki – jak wszystko na to wskazuje – mordują księży Niedzielaka***

i Suchowolca, później Zycha. Sprawy te do dzisiaj nie zostały do końca wyjaśnione.

G.S. – Jest jeszcze jedna ciekawa rzecz, posiedzenie Komisji Porozumiewawczej po okrągłym stole z 8 czerwca 1989 r., po wyborach. To zastanawiająca sprawa, bo to rozmowa nawet nie przeciwników, tylko jednej grupy o tym, jak tę żabę zjeść, jak z tego wyjść. Trzy dni po, kiedy już są wyniki, trwa dyskusja, bardzo ciekawa, jak z tego się wykaraskać. To ciekawe, jak zachowuje się Komitet Obywatelski czy „Solidarność", czy ludzie Wałęsy. To jest taka trochę większa Magdalenka. Mamy nagle dyskusję, jak pomóc tej władzy, żeby kontrakt był zachowany.

A.D. – Inaczej – jak nie dopuścić do żywiołowych wystąpień społecznych, które doprowadziłyby do destrukcji układu władzy.

G.S. – Czyli chodzi o utrzymanie *status quo*.

A.D. – To jest problem zaskoczenia rozmiarami klęski strony rządowej i rozmiarami sukcesu opozycji. Na początku jest strach obu stron przed tym, że teraz tłumy wyjdą na ulice i zacznie się jakiś niekontrolowany bieg wydarzeń, ludzie wtargną do komitetów PZPR, do siedzib SB. Dlatego w wewnętrznych ustaleniach opozycja godzi się na to, żeby pacyfikować nastroje, wyciszać wszelkie przejawy entuzjazmu, który mógłby nastąpić po 4 czerwca. Od tego zaczyna się pęknięcie wewnątrz obozu „Solidarności". Przebieg prac czerwcowej Komisji Porozumiewawczej to znakomity przykład tego, o czym już mówiliśmy – wojny psychologicznej. Kiszczak mówi, że właśnie wraca z narady kierownictwa MSW, na którym jego generałowie mówią, że my rozwalamy socjalizm i trzeba zrobić z tym porządek. Wałęsa zachowuje się przyzwoicie i odpowiada: nas proszę generałami nie straszyć, bo myśmy już to przerabiali. Tu zachowuje się twardo, ale w chwilę później zgadza się na rzecz absolutnie zdumiewającą, czyli zmianę reguł gry w czasie wyborów – nowelizację ordynacji wyborczej między pierwszą i drugą turą głosowania. Niedawno rozmawiałem z Mieczysławem Gilem, który tam był. Opowiadał, że jeden z głównych ekspertów prawniczych „Solidarności", prof. Janina Zakrzewska rozpłakała się, kiedy grupa ludzi na czele z Michnikiem usiłowała ją zmusić, żeby przedstawiła prawne uzasadnienie dla zmiany ordynacji wyborczej, tak aby 33 mandaty, które przepadły z listy krajowej, przenieść do okręgów. Zachowała się też wypowiedź Kiszczaka, że „nasi prawnicy" odmawiają takiej interpretacji, ale ci solidarnościowi ją w końcu dali.

G.S. – Jedna sprawa to psychologiczne zagrywki i późniejsza współpraca, ale druga sprawa, myślę, że dużo poważniejsza, to jest to, że kończy się okrągły stół, mamy wybory i mamy uchwaloną indeksację skierowaną właściwie przeciw rządowi, bo nikt nie myślał, że będzie ona obciążeniem dla rządu Mazowieckiego. Do tego mamy te dramatyczne wystąpienia działaczy, ministrów gospodarczych na ekonomicznym posiedzeniu Komisji Porozumiewawczej, gdzie oni mówią, że za chwilę będą naruszone strategiczne zapasy a to masła, a to tam czegoś innego, że jest hi-

perinflacja. To wynik pomysłu urynkowienia cen żywności. Gospodarka ciągnie to wszystko w dół i cały ten bagaż za chwilę dostanie nowy rząd, bo wiadomo było, że to już jest koniec rządu Rakowskiego. Wybór prezydenta nie ma tu większego znaczenia; indeksacja i kryzys gospodarczy to są poważne problemy.

A.D. — Ktoś sobie przyrządził, wszystko jedno, która strona, potężną bombę w postaci tej indeksacji płac, czyli automatycznej waloryzacji wynagrodzeń, która wpędziła Polskę w połowie 1989 r. w hiperinflację.

K.T. — Indeksacja nie była planowana przez rząd. To jest pomysł, który zrodził się przy okrągłym stole, i tutaj zasługi miała nie tylko opozycja, ale i OPZZ. Natomiast urynkowienie gospodarki żywnościowej to jest — jak sądzę — postulat ZSL. My nie doceniamy sojuszników PZPR. Zmiany w rolnictwie dokonywały się już od 1983 r. Kto wie, czy w całym dziele reformowania gospodarki te zmiany w rolnictwie nie były najdalej idące, jak na system socjalizmu realnego? Przecież w warunkach tego ustroju gwarancje dla indywidualnej gospodarki chłopskiej były rzeczą zupełnie nową, chłopi wreszcie mogli przestać bać się o swoje gospodarstwa. Dalszym krokiem na rzecz zmian w rolnictwie było wyrównanie struktury dochodów, do czego miało prowadzić urynkowienie gospodarki. Z tym warunkiem przyszedł do rządu Rakowskiego Kazimierz Olesiak. Była to jedna z dwóch decyzji, które, oprócz kwestii politycznych, były zrealizowane.

G.S. — Równocześnie główne założenia Międzynarodowego Funduszu Walutowego czy Banku Światowego postulowały zdławienie inflacji. A urynkowienie cen żywności i indeksacja to była prosta droga do hiperinflacji, co oznaczało całkowity rozjazd między zaleceniami tych światowych organizacji a podjętymi w Polsce krokami. Pamiętam, że prof. Wacław Wilczyński w książce *Pięć lat po Sierpniu* napisał wprost, że to była bomba podłożona pod rząd PZPR, bo nikomu nie przychodziło do głowy, że on się zmieni, a później nie można było z tego wyjść.

B.P. — ***Wróćmy jeszcze na chwilę do wątku o stronnictwach sojuszniczych.***

A.D. — One wkraczają po wyborach na otwartą scenę i z ich rolą związane jest powstanie rządu Mazowieckiego. To był bunt przeciw PZPR, po 4 czerwca spowodowany między innymi sposobem, w jaki sojusznicy zostali potraktowani przy okrągłym stole, gdzie niby byli reprezentowani i niby byli równorzędnym partnerem, a jednocześnie o wszystkim dowiadywali się później. To mogło być między innymi odreagowanie za to upokorzenie.

K.T. — Myślę, że to jest sprawa bardziej złożona. Ludzie, którzy przyszli do Sejmu po wyborach czerwcowych, nie pochodzili z aparatu. Ci przedstawiciele ZSL, którzy zasiadali przy okrągłym stole, w dużej części przegrali wybory. Po stronie SD i ZSL w jakiejś części znaleźli się ludzie wspierani przez opozycję. To był wynik tego, że w obrębie mandatu koalicyjnego były rzeczywiście wybory i konkurencja. Poza tym oni wreszcie pochodzili z wyborów. To była nowa sytuacja. To, co się działo w kraju,

czyli radykalizacja, euforia, udzielało się również przedstawicielom stronnictw sojuszniczych, a poza tym, co tu dużo mówić, także i PZPR.

Zmiany w ZSL i SD były naturalne, oddolne. Rokowania między OKP a przedstawicielami stronnictw sojuszniczych były dokładnie kontrolowane przez PZPR. Generał Jaruzelski wiedział o wszystkich posunięciach Romana Malinowskiego.

J.R. — ***Mówi pani o tych nowych ludziach, którzy doszli do głosu w ZSL i SD. Może warto spojrzeć pod tym kątem na »drużynę Lecha«? Jakie były kryteria tworzenia tej drużyny, dlaczego tak mało było w tym demokracji? Wycinano choćby kandydatów zgłaszanych przez teren. Czasami działacze z regionów musieli interweniować wprost u Wałęsy.***

K.T. — Rzeczywiście, o ile reprezentacja opozycyjna przy okrągłym stole była bardzo zróżnicowana, tam wyróżnić można kilka grup, o tyle reprezentacja, która startowała w wyborach ze zdjęciem Lecha Wałęsy, była bardziej jednorodna. To generalnie byli ci, którzy współtworzyli porozumienie przy okrągłym stole.

A.D. — Ważna jest wypowiedź Aleksandra Halla, który powiedział, że miał wrażenie, jakby w Komitecie Obywatelskim powstało jakieś biuro polityczne, które mówiło „ten — tak", a „ten — nie". Tak postępowało wtedy środowisko postkorowskie. Dzięki poparciu, jakiego mu udzielił Wałęsa, ono miało dominującą rolę. I przypomnijmy, że Tadeusz Mazowiecki i Aleksander Hall w proteście przeciw sposobowi selekcji kandydatów na listach wyborczych nie zdecydowali się na kandydowanie w wyborach czerwcowych, chociaż jak wiemy, później ich losy polityczne zbiegły się z tym środowiskiem. Mieliśmy tu do czynienia z pewnym dyktatem, ale trzeba też powiedzieć jasno, że ten dyktat okazał się wyjątkowo skuteczny. Gdyby przeszły propozycje tej konkurencji w ramach listy solidarnościowej, gdyby rzeczywiście było tak, że na Żoliborzu walczyłby Władysław Siła–Nowicki z Jackiem Kuroniem i obaj mieliby plakaty wyborcze z Wałęsą, to wynik wyborów mógł być zupełnie inny.

J.R. — ***Problem był nie w tym, czy oni mają rywalizować i obaj kandydować ze zdjęciem Wałęsy w jednym okręgu, ale dlaczego obaj nie znaleźli się w drużynie Lecha z różnych miejsc?***

A.D. — Dlatego, że grupa skupiona wokół Wałęsy zdominowała decyzje w tej sprawie. Ona się okazała w ramach obozu „Solidarności" najsilniejsza, ona już wcześniej była najsilniejsza, bo środowisko postkorowskie było najlepiej zorganizowane. Nie doszukiwałbym się w tym jakiegoś drugiego dna, to wynikało z kwestii lepszej lub gorszej organizacji pewnych środowisk.

B.P. — ***Jakie gry operacyjne prowadziła SB w 1989 r.?***

A.D. — Na przykład przed wyborami czerwcowymi były mniej więcej takie instrukcje: tam, gdzie nie ma innej liczącej się siły opozycyjnej, nie ma zarejestrowanych kandydatów innych niż z Komitetu Obywatelskiego, tam należy walczyć z Komitetem Obywatelskim, ale tam, gdzie są siły opozycji radykalnej, na przykład KPN, która się zdecydowała kandydować, tam trzeba walczyć głównie z KPN. Przede

wszystkim nie wolno do parlamentu dopuścić radykałów. SB w całym tym okresie prowadziła kontynuowaną zresztą od lat grę, która miała na celu dezintegrację środowisk opozycyjnych. Zachował się dokument SB, w którym stwierdzono: jesteśmy w posiadaniu nagrań operacyjnych rozmowy Michnika z Geremkiem, gdzie padają bardzo obraźliwe słowa pod adresem prymasa Józefa Glempa, sugerujemy przekazanie ich do Episkopatu. To było oczywiście robione w celu zasiania nieufności i zniszczenia tych stosunków, które i tak były dość chłodne, bo wiadomo, że to nie byli ulubieńcy Kościoła.

B.P. — ***Czy rok 1989 kończy się w grudniu? Kiedy kończy się PRL?***

K.T. — Kluczowe było odejście generała Jaruzelskiego w grudniu 1990 r.

A.D. — Moim zdaniem kończy się w roku 1990, tylko jest pytanie kiedy, czy wiosną, czy w końcu 1990 r.? Dla mnie istotna jest prezydentura Jaruzelskiego. Po pierwsze faktem jest, że sposób jego wybrania to było typowe pyrrusowe zwycięstwo. Koszty tego zwycięstwa były tak wielkie, że osłabiły tę prezydenturę i nie odegrała ona swojej roli planowanej przy okrągłym stole. Ale jest też pytanie, na które nie ma odpowiedzi, jaką rolę zakulisową Jaruzelski odgrywał po powstaniu rządu Mazowieckiego. O tym wiemy bardzo mało.

G.S. — Dla mnie i dla wielu działaczy także opozycyjnych, wbrew temu, co oficjalnie mówili, była to logiczna kontynuacja porozumień okrągłostołowych. Jaruzelski był tym wielkim nieobecnym, skrytym za całymi negocjacjami, tym, który dał przyzwolenie na rozmowy. Jak to wynikało z reakcji na przykład amerykańskich, dla nich to była logika wydarzeń. Opublikowałem notatkę Wiesława Górnickiego z rozmowy z płk. Dennisem Monroe, attaché wojskowym ambasady amerykańskiej, który mówił wprost, że oczywiście jedyna kandydatura to Jaruzelski. Problem tylko polega na tym, że wpływy amerykańskie sięgają ludzi typu Geremek, Michnik i oni są przewidywalni. Zwycięstwo generała może zależeć od tych nowych ludzi, którzy przyszli z terenu, a tak naprawdę jest to logika rozwoju wydarzeń. I te wszystkie protesty, cała ta dyskusja, czy jego prezydentura była ustalona czy nie była, właściwie nie mają specjalnego znaczenia. To samo zresztą wynika z rozmów, że tak powiem, przygotowawczych przed wyborami prezydenckimi, w których pierwszoplanowi działacze OKP mają pełną jasność, że jest tylko problem techniki, jak to zrobić. Nie ma dyskusji, czy to ma być on, czy może Kiszczak.

A.D. — Wynikało to z głębokiego przekonania Amerykanów, że próba przyspieszenia przemian w Polsce grozi cofnięciem ich, czyli stanem wyjątkowym, a w konsekwencji upadkiem Gorbaczowa.

B.P. — ***Cały świat grał dla Gorbiego.***

K.T. — Gdyby przyjąć taki punkt widzenia, że w roku 1988 i 1989 wszystko zależy od Gorbaczowa, od tego, jak się w Polsce zakończy okrągły stół, to rzeczywiście „świat" mógł nie mieć świadomości, że ten system się kończy. Można uznać, że większość polityków i obserwatorów — przynajmniej najbardziej wpływowych —

pomyliła się w ocenie sytuacji. Co ciekawe, pisząc artykuł o mitach i stereotypach okrągłego stołu, musiałam pozbierać trochę materiałów i ocen w dziesięć lat później. Nawet Jan Nowak-Jeziorański pisze – dziesięć lat po okrągłym stole (!) – że oczywiście groziło nam rozwiązanie siłowe, ze wszystkimi tego konsekwencjami. A to przecież nie było prawdą.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 4 (39), kwiecień 2004

POWRÓT DO RUIN
CZY REJS DO ZIEMI OBIECANEJ?

Z Bogdanem Chrzanowskim rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***W historycznych wnętrzach zamojskiego ratusza IPN zorganizował dyskusję dotyczącą problemu wypędzeń dokonywanych przez Niemców w czasie II wojny światowej na terenie podbitej i okupowanej Polski. Niejako w cieniu tych zagadnień znajdują się sprawy związane z powrotami wypędzonych do swoich domów, a przynajmniej do swoich utraconych małych ojczyzn, choćby na Pomorze. Dla historyków jest to może temat marginesowy, ale w ludzkich biografiach bardzo ważny.***

B.C. — Wojenną i tuż powojenną specyfiką Trójmiasta, czy szerzej Pomorza Gdańskiego, było daleko idące zróżnicowanie zarówno scenariuszy wypędzeń, jak i scenariuszy powrotów. Powrót wysiedlonych mieszkańców Gdyni to było coś zupełnie innego niż w Gdańsku, gdyńszczanie wracali bowiem do swoich domostw. Niektórzy gdańszczanie też wracali na swoje, ale wśród przedwojennych mieszkańców Gdańska Polacy byli mniejszością. W zniszczonym Gdańsku (śródmieście w ponad 90 proc., inne dzielnice w 60 proc.) życie trzeba było budować od nowa. Taki właśnie zrujnowany Gdańsk wracał do Polski.

B.P. — ***Należy pamiętać, że o ile większość ludzi opuszczała Gdynię pod przymusem w zorganizowanych transportach, o tyle ich powroty miały zupełnie inny charakter. Ludzie wracali różnymi sposobami i z bardzo różnych miejsc. Był to jednak powrót niezorganizowany, nie wynikał on z polityki państwa, w odróżnieniu od wygnania Polaków z Gdyni i Pomorza czy Wielkopolski, które były skutkiem zbrodniczej polityki Trzeciej Rzeszy.***

B.C. — W 1939 r. Niemcy wysiedlali ludzi z Wielkopolski, z Pomorza i ze Śląska do Generalnego Gubernatorstwa (GG). Tworzyli tam skupiska wysiedlanych. Warto powiedzieć, że istniał pewien plan powrotów, i był to plan w pewnym sensie urzędowy. Pracowały nad nim struktury Polskiego Państwa Podziemnego i emigracyjne władze Rzeczypospolitej w Londynie. Na kanwie wspomnianych środowisk wysiedlonych z ziem zaanektowanych do Rzeszy, wiosną 1941 r. w Generalnym Gubenatorstwie utworzono Korpus Zachodni (KZ), w którego skład wchodzili

Polacy przesiedleni z Pomorza, Wielkopolski i Śląska. Według istniejących od 1941 r. planów powstania powszechnego, Korpus miał wkroczyć na teren Wielkopolski i Pomorza. Przewidziany był do odtworzenia sił zbrojnych w tzw. drugim rzucie. Na terenie GG powstały liczne placówki KZ, m.in. w Warszawie, Krakowie, Lublinie, Częstochowie. Te plany nie zostały jednak zrealizowane, bo wydarzenia militarne i polityczne potoczyły się zupełnie inaczej.

Po wojnie ziemie zachodnie stały się miejscem schronienia dla wielu osób zagrożonych aresztowaniem ze strony sowieckich i polskich władz bezpieczeństwa. W tym celu, z polecenia szefa sztabu Komendy Obszaru Zachodniego Delegatury Sił Zbrojnych mjr. Kazimierza Leskiego, w końcu maja 1945 r. udał się na Pomorze Zachodnie, m.in. do Szczecina, Bolesław Jackiewicz, szef Biura Informacji i Propagandy tejże komendy, który miał tam budować bazy dla przyszłych osiedleńców. Było to związane z tym, że w Polsce centralnej oddziały leśne traciły powoli rację bytu. Aby uniknąć represji w stosunku do żołnierzy, planowano ich przenieść na nowe tereny, w tym właśnie Pomorza Zachodniego i Środkowego. Tutaj jeszcze NKWD czy Urzędy Bezpieczeństwa nie były tak mocno osadzone w terenie. Łatwiej było się ukryć, bo w jakimś sensie wszyscy byli obcy. Rozpoczynała się wielka powojenna wędrówka ludów.

B.P. — ***Można powiedzieć, że fala osób powracających na Pomorze z wygnania w GG ginęła w większym nurcie owej wędrówki.***

B.C. — To była ogromna migracja ze wschodu i zachodu. Przyjeżdżali tu ludzie zewsząd, jak do Eldorado. To byli nie tylko Polacy, ale i Ukraińcy, Białorusini, trochę Żydów. Z obozów koncentracyjnych i z pracy przymusowej w Niemczech wracali na wschód tzw. dipisi (ang. *displaced persons*). Niektórzy z nich zatrzymywali się właśnie tutaj. Przybywali również ludzie z Polski centralnej, zwłaszcza ze zniszczonej Warszawy. To była też część masowego exodusu warszawiaków, którzy w Powstaniu Warszawskim stracili cały swój dobytek. Trójmiasto znalazło się również na szlaku ludzi opuszczających swoje ojczyste strony utracone przez Polskę na rzecz Związku Sowieckiego, czyli Kresy Północno-Wschodnie, a więc Wilno, Grodno, Lidę. Trafiali tu również ludzie ze Lwowa. Przybyszami ze wschodu zajmował się Państwowy Urząd Repatriacyjny.

Wiatr od morza pociągał także ludzi z Mazur, z terenów Polski południowej czy południowo-wschodniej. Znam taki przypadek, że w wyniku spalenia wsi Temeszów, niedaleko Dynowa (na ten temat wśród miejscowej ludności krążą różne opinie, mówi się o Ukraińcach), jej mieszkańcy trafili na Pomorze Środkowe, konkretnie w Koszalińskie. Także Mierzeję Wiślaną: Stegnę, Sztutowo, zasiedlali m.in. ludzie z Kieleckiego i Lubelskiego. Napływ ludności był wzmacniany jeszcze komunistyczną propagandą. To zresztą dotyczyło wszystkich tzw. ziem odzyskanych. Nie padało to w próżnię, jeszcze przed wojną wiele partii politycznych lansowało w swoim programie szerszy dostęp do morza niż ten, który zapewnił nam po

I wojnie światowej traktat wersalski. Przybywali tu również żołnierze z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Propaganda komunistyczna zachęcała, żeby przyjeżdżać, wracać do Ojczyzny. Oczywiście nie informowano, jaki los ich tutaj czeka. Legalne władze polskie przebywające na wychodźstwie były temu przeciwne, bo przewidywano, co tych ludzi może tutaj spotkać. Część z nich przybyła na m/s „Sobieski", inni na pokładzie najsłynniejszego polskiego okrętu z czasów II wojny światowej, niszczyciela ORP „Błyskawica". Najpierw witano ich kwiatami, a później poddawano represjom, może nie wszystkich, ale znaczną część.

Oczywiście, zawsze w takich przypadkach z nieustabilizowanej sytuacji politycznej starały się korzystać osoby przypadkowe. Na ziemie zachodnie, a więc na Pomorze i do Trójmiasta, przyjeżdżali tzw. szabrownicy, którzy zamierzali się szybko wzbogacić, przywłaszczając sobie porzucone mienie, np. poniemieckie na obszarze byłego Wolnego Miasta Gdańska. Można powiedzieć, że przykład „szedł z góry". Na oczach miejscowej i napływowej ludności dokonywała się eksploatacja gospodarcza, m.in. poprzez rabunek, dewastację, demontaż i wywożenie mienia przemysłowego do ZSRS. Takie przypadki miały miejsce niemal na całym Pomorzu. Do tego dochodziły deportacje ludności pomorskiej na wschód.

B.P. — ***Powróćmy do sprawy zasiedlania przez powracających i nowych mieszkańców Trójmiasta. Dokąd oni właściwie przybywali? Historyczne centrum Gdańska zostało spalone przez Sowietów. Mniej zniszczone były takie dzielnice jak Oliwa czy Wrzeszcz. Właściwie ocalały Gdynia i Sopot.***

B.C. — Najpierw oczywiście zasiedlano ocalałe domy i mieszkania w lepiej zachowanych częściach budzącego się do życia Trójmiasta, w Gdańsku Oliwie, we Wrzeszczu. Także władze wielu urzędów, które nominalnie funkcjonowały w Gdańsku, swoje początkowe siedziby miały na jego obrzeżach, np. w Oliwie.

B.P. — ***Wśród powracających do Gdyni znalazł się również budowniczy tego miasta — Eugeniusz Kwiatkowski. Jakie były jego losy?***

B.C. — Początkowo władze komunistyczne starały się stworzyć obraz „politycznego otwarcia" dla wszystkich kierunków politycznych. Do pracy w gospodarce morskiej angażowano ludzi z różnych środowisk tak przedwojennych, jak i Polskiego Państwa Podziemnego. Jako przykład może tutaj posłużyć postać ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego, który po pobycie za granicą, w lipcu 1945 r. powrócił do kraju. Mianowany delegatem rządu do spraw odbudowy Wybrzeża, przewodniczył jednocześnie Komisji Planu Rozbudowy Trójmiasta. Jednak ówczesna władza dość szybko pozbyła się tego wielkiego człowieka i znakomitego fachowca. Już w połowie 1948 r. otrzymał nakaz opuszczenia Gdyni i musiał wyjechać do Krakowa. Bardzo krótko prowadził wykłady w Szkole Nauk Politycznych przy Uniwersytecie Jagiellońskim, w 1949 r. został odsunięty od pracy dydaktycznej. Później utrzymywał się z pisania podręczników z zakresu chemii. Odebrano mu

również majątek Owczary, który dopiero stosunkowo niedawno odzyskały jego córki. Podobnych przypadków szykan, a nawet represji w stosunku do części kadry gospodarki morskiej, która powróciła na Wybrzeże, było więcej. Gospodarka ponosiła niepowetowaną stratę, gdyż ludzie ci byli świetnymi fachowcami pracującymi w swoich dziedzinach jeszcze przed wojną, a niektórzy z nich podczas okupacji związali się z komórkami zajmującymi się zagadnieniami morskimi w łonie Komendy Głównej AK (np. Wydział Marynarki Wojennej „Alfa") i Delegatury Rządu RP na Kraj (np. Wydział Morski Departamentu Przemysłu i Handlu). Wymienić tu można mjr. rez. Jerzego Michalewskiego, kmdr. por. Konstantego Jacynicza, kmdr. Adriana Migurskiego, kmdr. Hilarego Sipowicza i innych.

B.P. — ***Część nowych mieszkańców Pomorza to ludzie, którzy szukali tu schronienia.***

B.C. — Po akcji „Burza" przyjeżdżali tu ludzie uciekający przed represjami NKWD i UB. Na przykład członkowie oddziału Józefa Kurasia „Ognia", uciekając z Podhala przed represjami UB, rozproszyli się po Trójmieście. Ale było też i odwrotnie — znam człowieka, który w 1946 r. uciekł z Gdańska przed NKWD i UB i zamieszkał w Karpaczu pod zmienionym nazwiskiem (prawdziwe ujawnił dopiero w 1956 r.). Ruchy migracyjne w obu kierunkach były wówczas zjawiskiem bardzo częstym. Różne były ludzkie motywacje i różne losy.

B.P. — ***Nowa sytuacja społeczna Pomorza i Trójmiasta stworzyła szczególne warunki dla powojennej konspiracji antykomunistycznej.***

B.C. — Rzeczywiście powstała ciekawa sytuacja, jeśli chodzi o sprawy konspiracji, zwłaszcza tzw. poakowskiej. Działała tutaj organizacja „Nie" (Niepodległość), która zresztą szybko musiała zwinąć swoje żagle, następnie Delegatura Sił Zbrojnych, a później WiN. Przyjeżdżali do Trójmiasta ludzie z Polski centralnej, ponieważ uznawali, że mają tutaj szersze możliwości działania, bo nie są znani na tym terenie. Uciekali tu przed represjami UB, ale nie tylko — przez polskie porty prowadziła po prostu, tak jak w okresie II wojny światowej, jedna z dróg komunikacji morskiej z Zachodem.

Działało tutaj również podziemie obozu narodowego. Powstał Okręg Pomorski Narodowego Zjednoczenia Wojskowego „Semper Fidelis". Była np. bardzo silna kolonia członków i sympatyków Stronnictwa Narodowego w Sopocie, której działacze przybyli z Warszawy.

B.P. — ***Najbardziej chyba znanym oddziałem powojennego podziemia zbrojnego działającym na Pomorzu była 5. Brygada Wileńska mjr. Zygmunta Szendzielarza »Łupaszki«.***

B.C. — Rzeczywiście większość żołnierzy tego doborowego oddziału (odpowiadającego liczebnością mniej więcej kompanii regularnego wojska) trafiła tutaj z Wileńszczyzny, za swoim charyzmatycznym dowódcą „Łupaszką". Liczył on, że w swojej działalności znajdzie oparcie w innych przesiedleńcach z Kresów, a tak-

że w miejscowych patriotach. Nie bardzo to się udało. Mjr. Szendzielarz nie zawsze rozumiał specyfikę Pomorza, chociaż zdawał sobie sprawę, że teren ten nie nadaje się do prowadzenia akcji bojowych na szerszą skalę. Był to dla niego także i osobisty dramat, zaistniała bowiem konieczność rozwiązania oddziału i opuszczenia Pomorza. Dodatkową przyczyną były, niestety coraz bardziej skuteczne, działania operacyjne podejmowane przez resort Bezpieczeństwa Publicznego.

Generalnie partyzantki pomorskiej, zarówno antyniemieckiej, jak i antykomunistycznej, nie można porównać z tym, co było w GG, nie mówiąc już o Kresach Wschodnich. Trzeba pamiętać o trudnych warunkach terenowych, niesprzyjających tego typu działaniom. Tylko Bory Tucholskie były większym kompleksem leśnym, w którym partyzanci mogli znaleźć naturalne schronienie.

B.P. —*Jaki stosunek do Polski i polskiej walki o niepodległość w latach wojny i w latach powojennych mieli Kaszubi?*

B.C. — To są bardzo trudne sprawy. Trzeba pamiętać, że Kaszubi zamieszkiwali przed wojną po obydwu stronach granicy. Podczas jesieni 1939 r. (nazywanej „krwawą jesienią 1939 r.") na całym Pomorzu zginęło około 40 tys. osób (dane są tutaj nieco rozbieżne), w tym wielu Kaszubów optujących za Polską. Najbardziej znane miejsca martyrologii z tego okresu to lasy w Piaśnicy, w Szpęgawsku czy las Barbarka. Już 2 września 1939 r. przywieziono pierwszy transport do budowanego obozu Stutthof. Istotnym elementem dezintegrującym społeczeństwo ziem zachodnich (a także północnych) była niemiecka lista narodowościowa, aczkolwiek sytuacja na poszczególnych obszarach kształtowała się w sposób zróżnicowany. W słynnym *Aufrufie* (odezwie) z 22 lutego 1942 r. namiestnik (Gauleiter) Okręgu Rzeszy Gdańsk–Prusy Zachodnie — Albert Forster — groził, iż niewpisanie się na listę będzie uznane jako postawa wroga wobec narodu niemieckiego. Mieszkańcy Pomorza mieli żywo w pamięci rok 1939 i nikt nie mógł przewidzieć, że sytuacja ta się nie powtórzy. Stąd duży odsetek wpisywanych, zwłaszcza w północnych powiatach. Były też wioski, które masowo odmawiały składania tych deklaracji. Był to ogromny dramat ludności Pomorza dostrzegany przez czynniki kierownicze Polskiego Państwa Podziemnego (zarówno aparatu wojskowego, jak i cywilnego) już podczas okupacji. Efektem podpisania listy było wcielenie do wojska niemieckiego. Prowadzono walkę z językiem polskim (paradoksalnie, później przebywający po wojnie w polskim więzieniu Forster sam uczył się naszego języka!). Upraszczając: na ziemiach zachodnich, w tym na Pomorzu, nie wolno było być Polakiem. Jednak Pomorze podjęło walkę z niemiecką okupacją. Masowy udział w konspiracji antyhitlerowskiej umożliwił zorganizowanie struktur Polski Podziemnej i Polskiego Państwa Podziemnego. Pomorze wniosło więc istotny wkład w walkę z okupacją niemiecką, ponosząc przy tym ogromne straty ludnościowe.

B.P. —*A jaki był stosunek Kaszubów do instalującej się po wojnie »władzy ludowej«?*

B.C. – Społeczność kaszubska nie była jednorodna. Cezary Obracht-Prondzyński w książce *Kaszubi. Między dyskryminacją a regionalną podmiotowością* (Gdańsk 2002) postawę Kaszubów ujął w czterech zasadniczych kategoriach: strategia zaangażowania, strategia dystansu, strategia selektywnej akceptacji i strategia odrzucenia. Można powiedzieć, że w tych kategoriach mieści się cała kwintesencja postaw w stosunku do rzeczywistości, zwłaszcza powojennej. Tę nową rzeczywistość zamierzano tworzyć przez włączenie się w odbudowę kraju, zachowując jednocześnie dystans i nieufność, a nawet wrogość wobec systemu narzuconego z zewnątrz. Powodowane to było również zachowaniem się sowieckich władz okupacyjnych i rodzimych komunistów, w tym organów bezpieczeństwa publicznego. Tzw. grupy operacyjne PPR i późniejsze władze nie rozumiały specyfiki Pomorza i ludności kaszubskiej. Do tego dochodziły oskarżenia o wpisywanie się na niemiecką listę narodowościową. Część społeczeństwa pomorskiego podjęła walkę niepodległościową z nową okupacją. Powstawały tutaj struktury Delegatury Sił Zbrojnych, WiN oraz licznych organizacji o różnych orientacjach politycznych, nie zawsze zakładanych przez przybyszy z Polski centralnej. Jednak udział ten nie był może tak masowy jak w innych częściach kraju, co wcale nie oznaczało bezkrytycznego poparcia władz komunistycznych. Oddział mjr. „Łupaszki", gdyby miał pełniejsze oparcie na Kaszubach, utrzymałby się znacznie dłużej. Ale nie było też jakiejś totalnej wobec niego wrogości. Po prostu ludzie byli już zmęczeni prawie sześcioletnią wojną i okupacją.

B.P. – ***Jak Kaszubi przyjmowali ludność napływającą na Wybrzeże?***

B.C. – Różnie. Tutejsza ludność jest bardzo nieufna. To jest ludność, która była gnębiona przez wieki i intensywnie poddawana brutalnemu procesowi germanizacji. Kaszubi doświadczyli naprawdę bardzo dużo tak od Niemców, jak i od Sowietów i generalnie są zamknięci w sobie, a wilniucy i lwowiacy pomimo wszystkich doświadczeń są ludźmi bardziej otwartymi. To są pewne różnice kulturowe. Była też kwestia folkslisty – przynależność ludności rodzimej do którejkolwiek grupy budziła w przybyszach nieufność, niekiedy traktowano Kaszubów jak Niemców. Kaszubi też nie zawsze przyjmowali przybyszy z otwartymi ramionami. Nawet w stanie wojennym kwestia niemieckiej listy narodowościowej stanowiła czasem element walki politycznej.

Jak wiadomo, nie tylko wśród Kaszubów, ale wśród całej ludności Pomorza byli ludzie, którzy się oparli przyjęciu folkslisty. Ale nawet wśród tych, którzy podpisali folkslistę, byli tacy, którzy pomagali Polakom, przekazywali informacje, bo mieli dostęp do radia. Wielu było bardzo czynnie i ofiarnie zaangażowanych w pracę konspiracyjną. Przykładowo jedna z bardziej zasłużonych łączniczek Komendy Okręgu Pomorskiego AK miała „grupę", bo podpisali ją jej rodzice. Takich przypadków na Pomorzu zdarzało się wiele. Na tle wpisów pojawiły się pewne rozbieżności w aparacie Okręgowej Delegatury Rządu (ODR). Przyjęto tam zasadę, że pracownicy

Wydziału Bezpieczeństwa ODR nie mogą wpisywać się na listę. Przypomnijmy raz jeszcze, że tu w czasie wojny nie wolno było być Polakiem. Tu nie było nawet tzw. prasy gadzinowej. To był teren przeznaczony w pierwszej kolejności do germanizacji. Należy przy tym podkreślić, że wszelkie postawy, oceny i sądy ludności pomorskiej, w tym ludności kaszubskiej, nie mogą być uogólniane.

B.P. — ***Niemniej w końcu stosunki między przybyszami i ludnością miejscową ułożyły się przynajmniej poprawnie, animozje może pozostały, ale wyrosły nowe pokolenia, dla których miejscem urodzenia jest Trójmiasto czy Pomorze, już są »tutejsi«.***

B.C. — Mimo istniejących do dziś pewnych odrębności kulturowych nie istnieją jakieś wyraźne antagonizmy. Przybyli tu różni ludzie, tworząc różne społeczności, również wyznaniowe. Ale najlepszym przykładem pogodzenia różnych losów, tradycji i historii jest wielki kult obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, której wizerunek wisi w gdańskiej katedrze. Symboliczne znaczenie mają też tablice poświęcone martyrologii i walkom Polaków na Wschodzie, które znajdują się w licznych kościołach Trójmiasta.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 5 (40), maj 2004

BYĆ ŚLĄZAKIEM

Z Adamem Dziurokiem, Ryszardem Kaczmarkiem i ks. Jerzym Myszorem
rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Jak zdefiniujemy Śląsk? Czy będziemy mówić o nim w jego granicach geograficznych, czy zmiennych granicach administracyjnych, czy o Śląsku jako miejscu i społeczeństwie?***

J.M. — Przyjęło się mówienie o Śląsku w granicach województwa śląskiego, jeśli mówimy o okresie przedwojennym. Dolny Śląsk znajdujący się w polskich granicach po 1945 r. jest zupełnie inną jakością, jest czymś odrębnym, więc geograficznie obejmiemy Górny Śląsk, razem z Cieszyńskim.

A.D. — Górny Śląsk to jest pewien przypadek kulturowy, jako miejsce zamieszkania społeczności, która jest mocno związana wewnętrznie i przez to odrębna od innych.

B.P. — ***A jak sobie radzimy z Opolszczyzną w takim podziale?***

J.M. — Opolszczyzna stanowi część Górnego Śląska.

R.K. — Nie ma takiego pojęcia.

A.D. — Od XV w. funkcjonuje nazwa Górny Śląsk (zastępująca termin Księstwo Opolskie), a jego stolicą było Opole.

R.K. — Faktem jest, że historycznie nie istnieje coś takiego jak Opolszczyzna, która kształtuje się dopiero w momencie stworzenia województwa opolskiego. Można mówić o rejencji opolskiej, ale nawet po stronie niemieckiej nikt nie miał wątpliwości, że to jest Górny Śląsk.

B.P. — ***Ale od strony Opolszczyzny nie ma wątpliwości, że to jest byt odrębny.***

J.M. — Po 1945 r. zaczyna się tworzyć pewna odrębność Śląska Opolskiego. Jego mieszkańcy skutecznie budują swoją odrębną tożsamość faktami politycznymi i kulturowymi. Poszukują swoich korzeni także na gruncie kościelnym, sprowadzają definicję Śląska Opolskiego do granic kościelnych. Od kilkudziesięciu lat jesteśmy świadkami bardzo dynamicznego procesu kształtowania się poczucia nowej świadomości ludzi mieszkających na Śląsku Opolskim. Historyk będzie szukał jej źródeł w wydarzeniach z najnowszej historii Polski i mówił o pewnej całości lub odrębności w stosunku do Dolnego Śląska i Górnego Śląska rozumianego jako obszar

dawnego województwa śląskiego. Tzw. Zaolzie, mimo że historycznie związane ze Śląskiem, to osobny problem.

B.P. — ***Został określony teren. Warto opisać specyfikę społeczno-narodowościową Śląska. Z jednej strony są granice administracyjne, ale z drugiej Śląsk jest miejscem, gdzie ścierała się polityka przynajmniej polska i niemiecka, a wcześniej także czeska. Powiedzmy też, kogo traktuje się jako Ślązaka, czyli rodowitego mieszkańca Śląska. Jak opisać Ślązaków? Jak od strony społeczno-narodowościowej wygląda struktura tego regionu?***

J.M. — Krąży takie obiegowe powiedzenie, że aby być uznanym za Ślązaka, trzeba się urodzić na Śląsku i mieć przynajmniej trzy pokolenia Ślązaków za sobą. A przecież jest grupa ludzi, którzy przybyli na Śląsk i ich dzieci już uważają się za Ślązaków, mówią piękną gwarą śląską (o ile gwara jest piękna). Żartobliwie mówiąc, wstydzą się rodziców, że oni pochodzą z Wilna czy ze Lwowa. Wcale niemała jest ta grupa ludzi, którzy oczywiście nie wypierają się swoich korzeni historycznych, pochodzenia, swoich rodziców, ale czują się Ślązakami i utożsamiają się ze Śląskiem. No i jest jeszcze taka luźna grupa składająca się z tych, którzy tu przybywają, a potem wyjeżdżają — napływowi pracownicy hut, kopalń.

A.D. — Zdefiniować Ślązaka jest szalenie trudno i na tym między innymi polegał problem i nazistów, i komunistów. Ślązakiem na pewno jest osoba, która uznaje wartości wspólne dla mieszkańców tego regionu.

B.P. — ***No właśnie, które są wspólne, przy takiej różnorodności losów?***

A.D. — To jest wspólne przeżywanie historii i wyciąganie wniosków na przyszłość, w tym między innymi podejście do władzy, zwykle z dużym dystansem. To jest też poczucie przynależności do grupy zamieszkującej ten region, przywiązanie do tradycji, do religii, kultury, gwary. Każdy z tych wyróżników jest bardzo istotny. Jeżeli nie zaakceptuje się przynajmniej większości wartości śląskich, to trudno mówić o przynależności do tej grupy.

B.P. — ***Można na te kwestie spojrzeć bardziej szczegółowo, chociażby pod względem konfesji religijnej. Na Śląsku obecny jest przede wszystkim katolicyzm, ale związany ze Śląskiem jest również protestantyzm, łączony z polskością, bo to jest protestantyzm w »odmianie polskiej«. Wyznawcy protestantyzmu byli przecież obiektem germanizacji właśnie dlatego, że walczyli o zachowanie tej swoistej odmiany protestantyzmu związanego z językiem polskim. Bardzo zmienna jest też sprawa stosunku do władzy — reprezentowała ona tutaj, w ostatnich latach, dziesięcioleciach, stuleciach, przynajmniej dwa państwa. Jeśli chodzi o tradycję i kulturę, w dużej mierze tworzy ją słowo, więc rodzi się pytanie, ku któremu językowi bardziej skłaniają się członkowie tej społeczności. Gwara nie jest jedynym wyznacznikiem językowym śląskości, przecież jest tu obecny i język polski, i niemiecki.***

J.M. – Jest pewna odrębność, wyłoniona z procesu historycznego, jakiemu został poddany cały Śląsk lub jego części, związany dawniej z Czechami, monarchią austro-węgierską, potem Prusami i Polską: Śląsk najczęściej był przedmiotem przetargów, manipulacji. To sprzyjało tworzeniu się odrębności, zawsze w opozycji, swego czasu w stosunku do Prus, innym razem w stosunku do Polski. Nazywamy to może niezbyt ostrymi pojęciami, ale na tym terenie wskutek narożnikowego usytuowania wytworzył się właściwy dla Śląska system wartości i ten, kto go przyjmuje, jest akceptowany i przyjmowany do grona Ślązaków i będzie się dobrze czuł na Śląsku.

B.P. – ***Na Śląsku istnieje syndrom mniejszości narodowej, mimo że nie ma narodowości śląskiej. Ci, którzy naprawdę czują się Ślązakami, są związani z tym regionem, funkcjonują jak mniejszość narodowa i właściwie dopiero to, w moim przekonaniu, w pełni określa tę społeczność. Ona się poddaje takiej analizie, jak mniejszość narodowa, ze wszystkimi odrębnościami, poczuciem osobności, również autonomii.***

R.K. – Trzeba to traktować bardzo dynamicznie. Pewne cechy Górnoślązaka sprzed stu lat nie muszą się przekładać na sytuację obecną. Drugą sprawą jest traktowanie Górnoślązaków jak swego rodzaju *quasi* mniejszość narodową, czyli grupę charakteryzującą się pewną odrębnością. Badania socjologiczne wyraźnie wskazują, że grupa, która ma poczucie tożsamości górnośląskiej, jest tutaj liczbowo mniejszością. Ksiądz profesor przed chwilą mówił o osobach, które już w drugim pokoleniu utożsamiają się z górnośląskością. Powiem o własnym doświadczeniu – moje dziecko absolutnie z tym się nie utożsamia. Moja córka uważa się wyłącznie za Polkę i koniec, nie ma tego utożsamienia Polak-Górnoślązak, nawet w dialekcie. Mieszkamy w diasporze, w Tychach, choć jest to diaspora specyficzna. Bardzo różne czynniki wpływają na stanowisko mojego dziecka, w tym szkoła. Nie zawsze jest więc tak, że ludzie ukorzeniają się w górnośląskości. Bardzo często pozostają przy swoim poczuciu narodowości, na przykład polskości.

B.P. – ***W losach Górnego Śląska i jego mieszkańców, szczególnie po 1939 r., wiele było momentów, w których myślano kategoriami nie tylko odrębności, ale i obcości. Nie tylko Ślązacy reprezentowali takie myślenie, ale również ci, którzy Śląsk posiadali i traktowali jego mieszkańców instrumentalnie. Udziałem mieszkańców Górnego Śląska były bardzo trudne doświadczenia, również natury moralnej, gdy stawiano ich wobec konieczności dokonywania wyboru między losem swoim a losem społeczności do której należeli. Te wybory były dramatyczne, tak samo jak losy poszczególnych osób. Wymagano od ludzi tego, by opowiedzieli się za Polską czy Niemcami i na dodatek rozliczano ich z dokonanego wyboru.***

A.D. – Wydaje mi się, że problemem jest patrzenie na Śląsk przez pryzmat wyraźnych postaw narodowych i świadomości narodowej, funkcjonujących w Polsce

poza Śląskiem. Czyli przenoszenie pewnych wzorców zachowań i postaw w patrzeniu na Śląsk. Trzeba jasno powiedzieć o roku 1939, że zupełnie inna była sytuacja tej ludności pogranicza, inaczej reagującej, mającej inne doświadczenia. Jeśli nie będziemy o tym pamiętali, to będą się rodziły złe skojarzenia. Istnieje stereotyp Ślązaka – zaprzańca i zdrajcy narodu polskiego. Przed 1939 r. Wojciech Korfanty szacował, że 30 proc. mieszkańców Śląska to ludzie labilni pod względem narodowym, Niemcy w czasie wojny mówili nawet, że stanowią oni połowę mieszkańców Górnego Śląska. Do tego trzeba dodać osoby zdeklarowane jako Niemcy – w 1931 r. było ich około 170 tys. Istniał tu cały katalog postaw, jeśli chodzi o stosunek do narodowości czy państwa. Nie można powiedzieć, że byli Polacy, Niemcy i Ślązacy. Byli Ślązacy, którzy czuli się przede wszystkim Ślązakami, byli Ślązacy polscy, niemieccy i byli Niemcy. Byli też Polacy, którzy czuli się Ślązakami, i byli Polacy, niemający żadnych związków ze Śląskiem, i wreszcie byli również Niemcy, którzy nie czuli się związani ze Śląskiem.

J.M. – Śląsk po 1945 r. jest specyficznie traktowany przez władze polityczne i odpowiednio postrzegany przez resztę Polski. Zwróciłbym uwagę na to, że w okresie międzywojennym umocnił się na Śląsku syndrom odrzucenia, pogłębiony w czasie okupacji. Jest on związany z konkretnymi wydarzeniami politycznymi – w okresie międzywojennym między innymi polityką personalną ówczesnych władz wojewódzkich. Natomiast w okresie okupacji mamy do czynienia z nieszczęsną „palcówką", a potem folkslistą. Po 1945 r. (warto zrobić na ten temat badania socjologiczne) nadal funkcjonuje, często wypierany do podświadomości, problem skutków folkslisty i „palcówki". W mniejszym stopniu u nas, na Górnym Śląsku, w rozumieniu tzw. Śląska Polskiego, który wszedł w granice II Rzeczypospolitej, gdzie problem ten został skutecznie stłumiony albo wyjaśniony i usprawiedliwiony, między innymi na gruncie akcji zwanej rehabilitacją. Funkcjonuje on przede wszystkim w Polsce centralnej w postaci stereotypu Ślązaka – niepewnego narodowościowo, a nawet zaprzańca. Ślązak był stale zmuszany do potwierdzania swojej przynależności narodowej.

Należy przede wszystkim postawić pytanie: czy „palcówka", a w mniejszym stopniu folkslista, stanowiła plebiscyt o charakterze narodowościowym?

R.K. – W końcu 1939 r. na terenie przedwojennego województwa śląskiego niemiecka policja przeprowadziła rejestrację mieszkańców. Nazwa „palcówka" wynika stąd, że na formularzu zamiast fotografii zostawiało się odcisk palca. Był to pierwszy od dłuższego czasu rodzaj spisu czy sondażu, dzisiaj byśmy powiedzieli – sondażu socjologicznego, w którym każdy Ślązak (nie chcę tu użyć słowa „mógł"), wypełniając ankietę, sam się klasyfikował pod względem narodowościowym. Trzeba podkreślić, że to nie było tak, że robił to bez nacisku, bo decydowało istniejące już przeczucie, co może się stać. Doświadczenie wielkopolskie pouczało, że deklaracja polskości może się skończyć wysiedleniem. Był to sondaż przeprowadzony na

podstawie odczuć subiektywnych dotyczących tego, kim ja jestem. Możliwości było kilka: jestem Polakiem, jestem Niemcem, albo jestem Ślązakiem, bo taka opcja też była. Podobnie z językiem: mówię po polsku, po niemiecku bądź po śląsku. Prawie 90 proc. odpowiedziało – jestem Niemcem albo – jestem Ślązakiem – jeśli te kategorie zsumować. Mówię o dawnym pruskim Śląsku, nie o Śląsku Cieszyńskim.

We wrześniu 1939 r. mamy do czynienia – jak wspomniano – z całym wachlarzem postaw, w odczuciu współczesnym panuje zaś przekonanie, że społeczeństwo działało jak monolit. Wtedy było to niemożliwe. Specyfika tamtej sytuacji została wytworzona nie przez wojnę, tylko przez cały okres przed wybuchem wojny. Trudno więc sobie wyobrazić, że wszyscy jak jeden mąż będą się zachowywali tak lub tak.

B.P. – ***Jeśli żyjący w administracyjnych granicach Polski zdeklarowani Niemcy nie obchodzili chociażby polskich świąt państwowych, to trudno było oczekiwać od nich propaństwowej postawy.***

R.K. – Część z nich naprawdę była przesiąknięta wiarą w to, że państwo niemieckie przyjdzie z powrotem. I to nie chodzi o to, że to był jakiś rodzaj „piątej kolumny", chociaż i takie przypadki się zdarzały. Po plebiscycie z 1922 r. takie były oczekiwania, a minęło zaledwie siedemnaście lat, prawie tyle, ile trwają nasze przekształcenia od 1989 r. To był tak niewielki dystans, że te siedemnaście lat wydawało się jakimś historycznym epizodem, a nie wielkim okresem polskości na Górnym Śląsku.

J.M. – Biskup katowicki Stanisław Adamski sugerował, żeby w czasie „palcówki" podawać się za Niemców, ze względów taktycznych. Rodzi się pytanie, czy właściwie odczytał nastroje panujące wśród ludności górnośląskiej, która była labilna narodowo, czy też jednak stosował bardzo przemyślaną taktykę. Jestem skłonny sądzić, że przeważyły racje taktyczne, które przeniósł z Wielkopolski, wyznając zasadę: przetrzymaliśmy kiedyś Prusaków w Wielkopolsce i „pracą organiczną" skłoniliśmy do odwrotu pruski żywioł, to przetrzymamy i teraz tę nawałę hitlerowską. To jest tylko kwestia czasu, więc należy tutaj pozostać i przyjąć postawę, jak sam powiedział – maskującą. Nadal bez odpowiedzi pozostaje pytanie, czy palcówka nie stała się w jakimś sensie, jeśli nie dla wszystkich, to jednak dla wielu plebiscytem o charakterze narodowym.

A.D. – Nie zapominajmy – to był policyjny spis ludności. Nie można tego rozpatrywać w oderwaniu od sytuacji wojennej. Nie zgadzam się z tym, że „palcówka" była plebiscytem. To nie była wolna, swobodna możliwość wypowiedzenia swojego głosu za taką a nie inną państwowością, narodowością i językiem. Nawet jeśli nie czuło się fizycznego terroru, choć z pewnością wielu ludzi pod takim wpływem działało, to przecież Niemcy w ciągu kilku dni zajęli Śląsk bez większego problemu. Przez ten teren przetoczyła się cała machina wojenna. Trzeba sobie z tego zdawać sprawę, żeby zrozumieć, że to nie była deklaracja czy wyraz dezaprobaty dla tego, co się przeżywało przez te siedemnaście lat, ale to była odpowiedź na taki a nie inny przebieg działań wojennych. Ślązacy nauczeni doświadczeniem życia w różnych organizmach pań-

stwowych starali się unikać sytuacji konfliktowych i podeszli do „palcówki" bardzo pragmatycznie, wypełniając po prostu obowiązek nałożony przez nowe władze.

J.M. – Na gruncie kościelnym już w czasie wojny próbowano sformułować pewne kryteria zachowań możliwych do zaakceptowania przez Polaków czy Ślązaków, którzy czuli się związani z Polską, oraz zachowań zakazanych, które znamionowały zdradę nie tylko zewnętrzną, ale także i wewnętrzną. Zwracano uwagę na przykład na to, jakie imiona nadawano przy chrzcie – władze preferowały oczywiście nadawanie imion niemieckich – ale była przecież jeszcze możliwość nadawania imion obojętnych, neutralnych, może nie czysto polskich, ale takich, które funkcjonują w obszarze kultury łacińskiej. Obserwowano też zachowania duchownych – czy ktoś nie jest zbyt aktywny w stosunku do administracji okupacyjnej, czy nie pokazuje się manifestacyjnie z urzędnikami gestapo na ulicy wtedy, kiedy nie musi, czy używa języka niemieckiego wtedy, kiedy nie musi. Jeśli na przykład ksiądz w kancelarii parafialnej, wiedząc, że ma do czynienia z kimś, kto bezbłędnie mówi po polsku, używał języka niemieckiego, to taki ksiądz był podejrzany albo jako oportunista, albo jako skłaniający się w tę drugą stronę. Można wymienić szereg takich kryteriów, które pozwalały w kurii diecezjalnej w Katowicach określić stopień odstępstwa; czy już doszło do tej wewnętrznej zdrady, a więc nie tylko tego zalecanego maskowania się.

B.P. – Wtrącę kilka słów na prawach dyskutanta. Pod koniec XIX w. na Śląsku powstało wielkie środowisko przemysłowe. Mieszkańcy Śląska mogli zobaczyć, jaka jest różnica w administrowaniu zakładami przemysłowymi, czy w ogóle administrowaniu regionem przez Niemców, którzy byli z jednej strony właścicielami, często bezwzględnymi wyzyskiwaczami, ale z drugiej strony budowali specjalne osiedla dla robotników. Różnie może było z wypłatami, ale coś z tej niemieckiej praworządności czy porządku budziło podziw. Moi koledzy ze studiów mówili, że nie mogą patrzeć na tę socjalistyczną bylejakość, bo oni z doświadczeń swoich rodzin wiedzą, jak można administrować państwem, regionem, ulicą, dbać o czystość. To są może trudno definiowalne sytuacje, ale tłumaczą, dlaczego wielu Ślązaków spogląda na Niemcy nie jako na ojczyznę, ale jako na pewien wzór funkcjonowania społeczeństwa. Ich oczekiwania wobec Polski, jako kraju sprawiedliwego i dobrze rządzonego, zostały zawiedzione.

B.P. – ***Powróćmy do roku 1939, jak to było z obroną Katowic i Śląska?***

R.K. – Obrona Śląska była częścią obrony całej Rzeczpospolitej. Plan wojskowy zakładał obronę Górnego Śląska przez wydzieloną jednostkę podporządkowaną Armii Kraków. Była to Samodzielna Grupa Operacyjna Śląsk pod dowództwem gen. Jana Jagmina Sadowskiego. W praktyce Górny Śląsk, jako obszar wysoko zindustrializowany, nie był atakowany przez Niemców. Także strona polska wiedziała wcześniej, że atak raczej nie nastąpi. Obydwa uderzenia armii niemieckich poszły po skrzydłach – jedno na Częstochowę, drugie na Pszczynę. Do 2 września 1939 r.

można mówić o dość skutecznej obronie części centralnej Śląska. Mimo pewnych zagrożeń, które się pojawiły pod Mikołowem, obrona była skuteczna. Załamanie na obydwu skrzydłach zadecydowało o tym, że po rozmowie między gen. Sadowskim a gen. Szyllingiem (dowódcą Armii Kraków) i konsultacjach między Szyllingiem a marsz. Rydzem-Śmigłym zdecydowano się na opuszczenie Górnego Śląska przez regularne wojska. „Odskok" zaczął się już w nocy z 2 na 3 września i trwał przez cały dzień 3 września. Żeby przeciąć jakiekolwiek wątpliwości, muszę dodać, że był to bardzo sprawnie przeprowadzony manewr wojskowy. Nie było sensu utrzymywania wydzielonego obszaru. Sadowski rozważał taki pomysł, żeby zostawić część grupy „Śląsk" i bronić się w wydzielonych punktach oporu. Prawdopodobnie dość długo by to trwało, bo trzeba by prowadzić walki uliczne. Grupa operacyjna po sprawnym opuszczeniu Śląska działała jako zwarta jednostka aż do bitwy pod Tomaszowem Lubelskim, czyli w praktyce okazała się jednostką zdolną do działania bardzo długo, przez trzy dekady. To, co działo się po 3 września na Górnym Śląsku, trudno nazywać obroną wojskową.

B.P. — ***Pozostał już tylko opór społeczny.***

R.K. — Tak, dlatego miało to charakter epizodyczny w wydzielonych miastach czy dzielnicach, gdzie pozostały grupy młodzieży powstańczej, albo gdzie działali powstańcy, wcześniej jeszcze zorganizowani w oddziałach samoobrony.

B.P. — ***A jeśli chodzi o działalność dywersyjną Niemców przed 3 września?***

R.K. — Freikorpsy (niemieckie oddziały ochotnicze) organizowano od sierpnia, a na Opolszczyźnie nawet od czerwca 1939 r. Dywersja nie była taka prosta, bo zakłada ona działanie na tyłach wrogów. Trzeba pamiętać, że Freikorpsy nie były przerzucane za linię frontu — oddziały te szły niejako na czele wkraczających wojsk niemieckich. W momencie wkraczania wojsk niemieckich na Górny Śląsk uaktywniły się grupy folksdojczów. To byli miejscowi Niemcy, prawdopodobnie mający kontakty z władzami wojskowymi. Zakładali opaski, niekiedy wyciągali posiadaną broń i wychodzili na ulice miast. Istniały specjalne instrukcje wojsk niemieckich pozwalające rozpoznawać grupy folksdojczów. Znakiem rozpoznawczym były żółte opaski na lewym przedramieniu i hasła. Te dane przekazano dowódcom wkraczających czołowych jednostek niemieckich.

B.P. — ***Długie lata stojąca w katowickim Parku Kościuszki wieża spadochronowa uchodziła za symbol oporu we wrześniu 1939 r. Mówiono o broniących się na niej harcerzach, ciężkich stratach, jakie poniósł w tej walce wkraczający Wehrmacht, w końcu o bestialskim potraktowaniu obrońców przez rozwścieczonych oporem Niemców. A jak naprawdę wyglądała obrona wieży?***

R.K. — Z dużą dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że nie odbyła się ona 3 września. Do tej pory przyjmowano, że walki toczyły się od popołudnia 3 i trwały

jeszcze dnia następnego, 4 września. Wojska niemieckie wkraczały do Katowic między innymi od strony Chorzowa. Jeżeli 3 września w rejonie wieży była jakaś strzelanina, to raczej z grupami folksdojczów. Tego dnia w tym rejonie nie mogło jeszcze być regularnych wojsk niemieckich. 239. Dywizja Neulinga weszła do Katowic od strony Mikołowa wczesnym rankiem 4 września. Wieża spadochronowa też znajduje się po południowej stronie miasta. Gdyby nawet założyć, że wcześniej jeszcze, 3 września, wyszły jakieś oddziały zwiadu, o których nie wiemy, to trudno sobie wyobrazić, żeby po ostrzelaniu takiego zwiadu (a mamy takie informacje, że zwiady były ostrzeliwane), ta dywizja szła otwartym marszem następnego dnia, jakby czekając, aż do niej zaczną strzelać. To nierealne. A ona rzeczywiście szła w otwartym marszu, to znaczy tylko z oddziałem zwiadu z przodu, w rozwiniętym szyku. Wynika z tego, że te walki 3 września nie mogły mieć miejsca.

Wiemy, że dywizja podeszła do Parku Kościuszki, gdzie stoi wieża, i została ostrzelana z karabinów maszynowych. Wiemy, że Niemcy podciągnęli działo, potem drugie, ale to drugie służyło tylko do osłony. Z jednego działa przeciwpancernego oddano prawdopodobnie dwa strzały artyleryjskie i chyba na tym ostrzał się skończył. To mogło trwać 15–20 minut. Później mamy lukę. Wiemy, że oddziały niemieckie weszły do Parku Kościuszki, wiemy też, że tam byli Niemcy, prawdopodobnie grupy folksdojczów. Wiemy z raportu, że oni jakby oczekując na nadejście wojsk niemieckich w okolicach parku, rozproszyli się. Oddziały niemieckie podeszły pod wieżę. Nasza niewiedza polega na tym, że nie wiemy, ile osób było na wieży, kim były te osoby. Do tej pory przyjmowano, że byli to harcerze.

J.M. – Są zeznania, że pod wieżą widziano ciała harcerzy.

R.K. – Pewności jednak nadal nie mamy, bo nie wiemy, czy to były ciała tych, którzy zostali na wieży, choć z dużym prawdopodobieństwem można to przyjąć. Wiemy na pewno, że toczyły się walki w Parku Kościuszki. Prawdopodobnie w samym parku były oddziały polskie – Młodzieży Powstańczej, także harcerzy.

Cała ta dywizja wkracza do centrum Katowic około godz. 11.30. Pod wieżą była mniej więcej w godzinach 8.00–10.00 (jeszcze musimy mieć czas na walki w centrum Katowic). Walki pod wieżą trwały więc około dwóch godzin. Przypuszczam, że nawet krócej, bo podciągnięcie tej dywizji i znacznie ostrożniejszy marsz do centrum miasta musiał pochłonąć więcej czasu. To zresztą nie ma większego znaczenia. Nie wiemy dokładnie, co się działo w samym Parku Kościuszki, co się działo na wieży, jak dalece ta wersja zrzucania ciał jest prawdziwa.

J.M. – Może je zrzucano.

R.K. – No więc właśnie. Ja nie mówię, że ich zrzucano żywcem, bo to jest część legendy. Jestem przekonany, że nikt ich nie znosił. Bo ci, którzy widzieli wieżę, wiedzą, że to nie jest miejsce, na które łatwo wejść i łatwo zejść, nawet dzisiaj, kiedy jest niższa. Nie sądzę też, że ktoś, kto zdobywał tę wieżę, wspinał się na nią, bo to ze względów taktycznych jest zupełnie bezsensowne. O wiele prościej było „uciszyć"

wieżę przez ostrzał. Myślę, że problem wieży to nie jest problem wydarzeń, które się tam rozegrały, według mnie problem tkwi w tym, jak wieża funkcjonuje w świadomości historycznej.

B.P. — ***Jako symbol.***

R.K. — Zgoda. Mówienie o obronie Górnego Śląska przez pryzmat wieży to jest teza ahistoryczna. To był tak niewielki epizod, że proszę mi wierzyć, dla większości historyków zajmujących się II wojną światową poza Górnym Śląskiem ten fakt w ogóle nie istnieje. On nie istnieje w syntezach historii Śląska, tych które ostatnio się ukazały, dlatego że z punktu widzenia wojskowego to jest epizod bez większego znaczenia.

B.P. — ***Dla mnie to jest historia przejmująca. Czytałam o tym książkę w dzieciństwie i zalewałam się łzami. Myślę, że nie ja jedna.***

R.K. — Na Górnym Śląsku są dziesiątki, jeżeli nie setki takich przykładów, jak wieża spadochronowa, w których Górnoślązacy pokazali, że chcą walczyć o Polskę, nawet w tej sytuacji, kiedy odeszły wojska polskie. Czy to było sensowne, czy bezsensowne, to jest inna sprawa. W poszczególnych małych miejscowościach mamy do czynienia ze strzelaninami, z ostrzeliwaniem *Einsatzgruppen*. To jest problem innego typu, mianowicie czy te kilkudniowe walki — od 3 do połowy września (jeszcze wtedy, jak wynika z raportów *Einsatzgruppen*, „czyszczono" lasy pszczyńskie z oddziałów samoobrony narodowej) — miały sens, czy były skuteczne. Te oddziały działały na własną odpowiedzialność, bo chciały walczyć i nie chciały opuszczać tej ziemi. Sadowski wydał wyraźną dyspozycję, żeby opuścić obszar Górnego Śląska. Wieża spadochronowa dlatego ma taką rangę, że symbolizuje ileś przypadków samoobrony.

J.M. — W sferze symbolicznej streszcza pewne pragnienia czy wyobrażenia o Śląsku w 1939 r., przynajmniej tej grupy, która widziała klęskę Polski w tych pierwszych dniach wojny. Wieża spadochronowa pięknie oddaje pewien stan świadomości.

R.K. — W świadomości Górnoślązaków po 1945 r. tkwiło jeszcze jedno wspomnienie, o którym się rzadko pisze — wyjścia z Górnego Śląska ludności napływowej i urzędników. Polacy, którzy przybyli tutaj budować Polskę w 1922 i 1923 r. — odjeżdżają. Opuszczają Śląsk jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych — furmankami, własnymi samochodami, koleją. To głęboko zapadło w świadomość tutejszych mieszkańców. Symbol wieży miał równoważyć tamto wspomnienie. Ten wyjazd Polaków to też jest jakiś mit, chociaż nie wszyscy wyjeżdżali, poza tym niektórzy dostali rozkaz wyjazdu.

A.D. — To nie są zjawiska równoważące się. Fakt obrony Śląska można przeciwstawić jedynie natychmiastowemu ujawnieniu postaw proniemieckch, a właściwie nazistowskich. Z jednej strony — wywieszanie flag ze swastykami, z drugiej — obrona wieży. Zresztą historycy podkreślają, że działania prowadzone tu przez grupy samo-

obrony, harcerzy, byłych powstańców – to jest fakt w skali kraju wyjątkowy. Czegoś takiego gdzie indziej nie było – wszędzie obronę prowadziły oddziały wojskowe, a na Śląsku działania wojskowe prowadziła ludność cywilna. To bardzo ważne.

J.M. – To wynik istnienia syndromu powstań śląskich.

A.D. – Nawet jeśli w sensie wojskowym była to demonstracja całkowicie nieistotna i skazana z góry na niepowodzenie, to opisywała ona postawę taką – pamiętajcie, Niemcy, nie przychodzicie na swój teren, polskość jest tutaj silna.

J.M. – Po 1945 r. starano się ujednolicić wizerunek Śląska i Ślązaków z 1939 r., nie ukazując tego, co nazwane tu zostało pełnym wachlarzem postaw. Przypominano wejście Niemców, swastyki, ludzi siedzących ze strachu w domu. Dlatego historia wieży spadochronowej nabrała tak wielkiego znaczenia i wartości symbolicznej. Tak zachowywali się Górnoślązacy – byli na wieży, byli rozstrzeliwani, byli zastraszeni.

A.D. – Między wywieszaniem flagi ze swastyką a strzelaniem do wojsk niemieckich jest przecież wiele zachowań pośrednich: ludzie wychodzili na ulice, stali, obserwowali wojska. I w relacjach wielu osób istnieje wspomnienie, że wychodziło się oglądać te wojska niemieckie bez poczucia nienawiści, chęci zemsty czy obawy, choć oczywiście te uczucia też były, ale że obserwowano te wojska z dużym podziwem – ze względu na sprawność organizacyjną, szybki przemarsz. To nie jest dominująca, ale znacząca grupa.

J.M. – Jeszcze o tym wywieszaniu flag. Należy osłabić siłę tego obrazu, bo to brzmi strasznie – wojska niemieckie wkraczają do Katowic i są z radością witane. Zrobiłem ankietę wśród starszej generacji księży i spotkałem się z ciekawą refleksją, którą powtarzam, bo jest przekonująca: w moim pokoleniu, mówił jeden z uczestników ankiety, to myśmy cztery razy zmieniali flagi – do 1917 r. posiadaliśmy pruskie flagi, następnie w 1922 r. należało wywiesić polskie, w 1939 – niemieckie i w 1945 r. – polskie; a mój dziadek służył w wojsku pruskim, ja byłem w wojsku polskim, potem w Wehrmachcie, a po 1945 r. mogłem być jeszcze w armii polskiej. Być może jakaś grupa zdeklarowanych Niemców z radością w 1939 r. witała ich wojska, ale stan nastrojów zmieniał się w czasie II wojny. Po Stalingradzie oni by już takiej flagi nie wywiesili z taką radością albo w ogóle by tego nie zrobili, już się zaczęli bać albo wstydzić. Poza tym świadomość zmieniała się także, gdy docierała do ludzi prawda o tym, co niesie ze sobą wojsko hitlerowskie, Wehrmacht, gestapo. Niektórzy księża, którzy z pewną ulgą stwierdzali, że „wróciliśmy do naszej ojczyzny", gdy dowiedzieli się o pierwszych aresztowaniach wśród duchownych w październiku 1939 r., już nie byli tacy rozradowani. Datami granicznymi są dla duchownych pierwsze wieści o represjach i obozach koncentracyjnych, a dla przeciętnego mieszkańca Śląska – Stalingrad.

R.K. – Przecież ludzie nie witali wojsk nazistowskich, w większości nie mieli zielonego pojęcia, czym jest nazizm. Jasne, że była grupa górnośląskich Niemców,

która została „znazizowana", ale to nie była w żadnym razie grupa większościowa. Większość Ślązaków jeżeli witała z entuzjazmem czy z radością wkraczających Niemców, to witała ich jako Niemców, a nie jako nazistów. To jest rzecz niebywale istotna, bo ci ludzie dopiero z czasem zebrali doświadczenie, że to są zupełnie inne Niemcy niż te Niemcy Kaisera. To nie była naiwność Górnoślązaków. Można przypomnieć 1939 r. w Krakowie – otwarcie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przyszła na nie większość profesorów, ponieważ oczekiwano, że to będą te Niemcy legalistyczne, w każdym razie podstawy porządku niemieckiego na pewno zostaną zachowane. Takim złudzeniom tym bardziej ulegali ci, którzy często byli wychowani w tradycji niemieckiego legalizmu. Zostało to później zweryfikowane w świadomości Górnoślązaków przez sześć lat wojny.

A.D. – Istnieje takie określenie – *Septemberdeutsche*, Niemcy wrześniowi – to byli tacy przedstawiciele Górnoślązaków, którzy uwierzyli, że wrzesień 1939 r. przesądza o ich przyszłości na długie lata. Byli oczarowani wszystkim tym, co niesie ze sobą armia niemiecka. Wracając do stanu świadomości i doświadczeń okresu międzywojennego – istotnie była taka ocena wyższości państwa niemieckiego, jego zorganizowania. Większość Górnoślązaków doświadczyła życia w dwóch organizmach państwowych i to porównanie w 1939 r. wychodziło na korzyść państwa niemieckiego. W tym sensie te niemieckie sentymenty były mocne i to, co tutaj zostało powiedziane, niekoniecznie wiązało się z przyjęciem opcji nazistowskiej.

B.P. – ***Tu pojawia się specyficzny problem pogranicza – patriotyzmu, jako umiłowania małej ojczyzny i pragmatycznej potrzeby funkcjonowania w dobrze zorganizowanym mechanizmie administracyjnym. Cały ten dramat odbywał się na takiej właśnie płaszczyźnie. Granice małej ojczyzny były rozszerzane przez jedność językową w stronę państwa polskiego, a jednocześnie żywe pozostawały z tej strony nie najlepsze doświadczenia bytowe. Stąd postawa akceptacji dla przyjścia Niemców i ich administracji. Tym bardziej, że to nie była historycznie nowa sytuacja, takie zmiany były wpisane w historię Śląska.***

R.K. – Pokolenie, które uczestniczyło w obronie Śląska, nie miało doświadczenia życia w dwóch systemach państwowych. Wychowane przez nauczycieli galicyjskich reprezentowało zupełnie inne pojmowanie patriotyzmu. To byli tacy górnośląscy Kolumbowie – pierwsze pokolenie, które wchodzi w ostry konflikt narodowościowy wywołany wojną – oni mieli za sobą jedynie doświadczenie polskiej szkoły, polskiej tradycji kulturowej, byli do niej głęboko przywiązani, byli rzeczywiście głęboko patriotyczni. To było inne pokolenie niż pokolenie ich ojców.

A.D. – Ale była też bardzo liczna grupa, dla której wartości narodowe nie były najbardziej istotne, wyżej od nich stawiała przynależność grupową, więzi rodzinne, powiązania językowe, kulturowe. To zaciążyło na efekcie „palcówki" – dla nich

określenie przynależności narodowej, czy jestem Niemcem czy Polakiem, było sprawą wtórną, drugorzędną.

B.P. — ***Najważniejsze było, że jestem na przykład z Siemianowic.***

J.M. — Najmłodsze pokolenie duchowieństwa wychowane już w diecezji katowickiej jest najbardziej zradykalizowane — bierze udział w ruchu oporu, angażuje się w Armii Krajowej i w nielegalne w działania o charakterze charytatywnym. Starsze pokolenie reprezentowało mniej wyrazistą postawę i to nie był oportunizm, ale raczej doświadczenie historii — byli tu Niemcy, przyszli Polacy, teraz znowu przyszli Niemcy i tak toczy się koło historii, nie wiadomo, co będzie, a więc trzeba przede wszystkim zajmować się duszpasterstwem. Pamiętajmy, że tutaj jeszcze funkcjonował nakaz bp. Adamskiego, żeby ksiądz trzymał się przede wszystkim duszpasterstwa, a nie polityki. Młode pokolenie za swoje zaangażowanie konspiracyjne zapłaciło wysoką cenę w obozach koncentracyjnych i więzieniach.

R.K. — Gdy się mówi o tym młodym pokoleniu patriotycznym, to trzeba pamiętać, że to było pokolenie sanacji. Nie twierdzę, że wszyscy byli zwolennikami sanacji, ale generalnie Związek Powstańców Śląskich i wszystkie organizacje, które dawały świadectwo swojej polskości, to były grupy sanacyjne, w tym Oddziały Młodzieży Powstańczej i Związek Harcerstwa Polskiego. Byli za młodzi, żeby stać się elitą polityczną czy administracyjną. Pokolenie starsze, to z tym podwójnym doświadczeniem, reprezentowała głównie chadecja górnośląska, tzw. korfanciarze.

B.P — ***Powiedzmy o niemieckiej liście narodowościowej i jej konsekwencjach, już powojennych. Bo te wojenne są jasne.***

J.M. — Pomysł weryfikacji postaw i rehabilitacji Górnoślązaków nie narodził się w PRL, powstał w rządzie londyńskim, na przełomie grudnia 1939 r. i stycznia 1940 r. W rządzie londyńskim utrwaliła się opinia, że ci wszyscy, którzy zdradzili, albo z jakichś powodów przeszli na stronę niemiecką, będą musieli po wojnie poddać się weryfikacji, która wyjaśni ich zachowania i wybory dokonane po 1939 r.

A.D. — Niemiecka koncepcja była taka — przychodzimy na tereny spolszczone w okresie międzywojennym, ale odwiecznie niemieckie, więc należy wszystkich, którzy przynależą do narodu niemieckiego, albo są w jakiś sposób do odzyskania dla Niemiec, objąć listą narodowościową. Akcja folkslisty odbywała się w warunkach wojennych, w obliczu zapotrzebowania na rekruta do wojska, a zarazem konieczności pozostawienia odpowiednich fachowców w ważnym ośrodku przemysłowym, więc nie mogła być obiektywną czy w miarę prawdziwą klasyfikacją Ślązaków pod względem narodowym. To był pewien paradoks — Niemcy dokonali czegoś z nadużyciami, przy nacisku, zastraszaniu itd., a władze komunistyczne powiedziały — dobrze, mamy taki stan na Śląsku, mamy podział ludności na cztery grupy folkslisty, i to jest nasz stan wyjściowy. Nazwałem to polityką odwróconej folkslisty, bo myślano dokładnie takimi samymi kategoriami — im wyższa grupa folkslisty, tym „większy" Niemiec. Tzw. likwidacja skutków folkslisty odbyła się

przy olbrzymich nadużyciach administracyjnych, aparatu bezpieczeństwa, MO, nadużyciach popełnianych podczas rehabilitacji. Wszystko pod hasłem: nie oddamy ani jednego Polaka, ale nie chcemy ani jednego Niemca.

B.P. — ***Folkslista była jedyną wskazówką, bo według jakiego klucza miałaby następować rehabilitacja zaraz po wojnie?***

A.D. — Naturalnie, chociaż już wojewoda Aleksander Zawadzki uznał, że wpis na folkslistę w województwie śląskim odbywał się na zasadzie przymusu. Coraz częściej dostrzegano, że to nie jest narzędzie, którym należy się posługiwać. Co więcej, zrazu przykładano niewłaściwą miarę do tych spraw, ponieważ aresztowania na początku 1945 r. przebiegały na podstawie dekretu PKWN z 4 listopada 1944 r. „o środkach zabezpieczających w stosunku do zdrajców Narodu", dotyczącego osób, które się deklarowały jako folksdojcze na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Taką podstawę aresztowania wpisywano na Górnym Śląsku, choć dekret ten tutaj nie obowiązywał. Trudno też było się powoływać się na dekret z 28 lutego 1945 r. o wyłączeniu ze społeczeństwa polskiego wrogich elementów, gdyż ostatecznie nie wszedł w życie. Mamy wreszcie ustawę o tej samej nazwie z 6 maja 1945 r., która przymusowemu, sądowemu postępowaniu rehabilitacyjnemu poddawała osoby wpisane do II grupy folkslisty, a posiadacze grupy III i IV w celu otrzymania tymczasowego zaświadczenia obywatelskiego (od sierpnia już stałego) byli zobowiązani do złożenia deklaracji wierności wobec państwa i narodu polskiego. Majątek osób z II grupą folkslisty podlegał zajęciu do momentu uwzględnienia wniosku o rehabilitację, a kiedy sąd odrzucał wniosek, wówczas wnioskodawca trafiał na czas nieokreślony do obozu pracy, zostawał pozbawiony praw honorowych i publicznych, a cały majątek ulegał konfiskacie. Ustawa nie przewidywała żadnych regulacji pośrednich pomiędzy pełnym zrehabilitowaniem a odrzuceniem wniosku i umieszczeniem w miejscu odosobnienia. Osoby zaszeregowane do I grupy folkslisty uznane zostały za Niemców i nie miały możliwości uzyskania obywatelstwa polskiego na drodze rehabilitacji. W połowie 1946 r. uznano, że sprawa folkslisty jest wtórna, a kryterium stanowi zachowanie się danego człowieka w czasie wojny, to, czy w jakiś sposób wykazywał przywiązanie do narodowości polskiej albo czy nadmiernie nie wykazywał przywiązania do narodowości niemieckiej. W ciągu kilkunastu miesięcy postrzeganie spraw śląskich przez władze centralne i wojewódzkie znacznie się zmieniło — od początkowego uznawania za Niemców wszystkich posiadaczy I i II grupy folkslisty, poprzez możliwość zrehabilitowania tych drugich, do przyznania, że kryteria niemieckiej listy narodowościowej nie były wystarczającą podstawą do przeprowadzenia selekcji narodowościowej. Ostateczne zerwanie z zasadą, że stopień winy zależy od kategorii niemieckiej listy narodowościowej, zostało potwierdzone w ustawie z 28 czerwca 1946 r. o odpowiedzialności karnej za odstępstwo od narodowości w latach 1939–1945. Ostatecznie sprawę folkslisty formalnie zamknięto w 1950 r. ustawą o zniesieniu sankcji oraz

ograniczeń w stosunku do obywateli, którzy zgłosili swą przynależność do narodowości niemieckiej.

B.P. — ***Można sobie wyobrazić, że rozstrzyganie o wierności lub jej braku było polem do wszelkiego rodzaju manipulacji i nadużyć, chociażby wynikających z osobistych animozji.***

A.D. — Ważne były również sprawy majątkowe. W wysoce skomplikowanej sytuacji narodowościowej na Górnym Śląsku wystarczył donos sąsiada, by wskazany, jako zdrajca narodu, znalazł się w więzieniu lub obozie, a jego mieszkaniem zaopiekował się „życzliwy sąsiad" lub jeszcze częściej osoba, która dopiero co przybyła na te tereny. Jeśli chodzi o osoby z II grupą folkslisty, można mówić o masowej skali nadużyć. Bez oglądania się na decyzje władz prokuratorskich, władze bezpieczeństwa zatrzymywały na ulicach, w domach, w zakładach pracy tzw. dwójkarzy i kierowały do obozów pracy. Nadużycia takie odbywały się na dużą skalę, łącznie z fałszowaniem folkslist. Znaleziono nawet w katowickim magistracie swoistą „fabrykę nielegalnych folkslist", gdzie wystawiano, na oryginalnych drukach, z oryginalnymi pieczęciami, odpowiednie dokumenty — niższe grupy folkslisty dla tych, którzy chcieli uniknąć represji i wyższe dla chcących wyjechać do Niemiec.

R.K. — Należy pamiętać, że w końcu lat czterdziestych raczej wracało się tutaj, bo życie w Niemczech było bardzo trudne. Składano podania o zgodę na powrót, na przykład z obozów jenieckich. Lata, w których trwały rozliczenia z folkslisty, pozostawiły wielki ślad w świadomości Górnoślązaków. W większości czuli się zupełnie niewinni tej sytuacji, bo przecież urzędnik niemiecki dał im jakąś tam grupę folkslisty i na przykład ci, którzy mieli III grupę, przez pół roku nie mieli obywatelstwa polskiego, żyli na tymczasowych zaświadczeniach, groziła im utrata majątku albo już zostali go pozbawieni. Osadnicy wchodzili do ich domów. Ten horror trwał przez trzy lata po wojnie. Ludzie żyli w stanie zawieszenia i nie wiedzieli, czy zostaną tutaj, czy nie. Koczowali na walizkach. Byli zagrożeni nie tylko denuncjacją, ale powolnością działań administracyjnych. W większości rodzin górnośląskich usłyszy się jakąś historię o tym, jak rozliczano ich z folkslisty, i każda z tych historii jest inna, trudno to skategoryzować.

J.M. — Biskup Adamski proponował, żeby wysiedleniom podlegali tylko i wyłącznie funkcjonariusze państwowi, czyli ludzie zaangażowani w administrację państwową, przede wszystkim partyjni, w jakiś sposób włączeni w struktury NSDAP i czynnie zaangażowani w życie polityczne. Do NSDAP nie ściągano siłą, tam trzeba było przyjść samemu i mieć rekomendację. Wychodził z założenia, że ślepo stosowane prawo może skaleczyć. Dlatego świadomie bronił na przykład księży pochodzenia niemieckiego, twierdząc, że jeśli któryś z nich w sumieniu nie ma nic sobie do zarzucenia, i jeśli parafianie bronią takiego księdza, wykazując jego właściwą postawę w czasie okupacji, to znaczy, że trzeba po prostu przyjąć inne kryteria, o charakterze nie prawnym, lecz moralnym. Biskup Adamski, mając na uwadze

także swoją politykę z okresu międzywojennego, uważał, że wielu Ślązaków, którym groziło wysiedlenie, to ludzie do „odzyskania" dla polskości. Trzeba im tylko pozwolić tutaj pozostać; z pewnością się spolonizują. Mam na myśli ludzi określanych jako Pantowcy (zwolennicy Eduarda Panta, Niemca, stanowczego przeciwnika narodowego socjalizmu w okresie międzywojennym). Będą lojalni wobec państwa polskiego, a z biegiem czasu — taka była taktyka Adamskiego — ten żywioł śląski, polski, wchłonie ich i spolonizuje. Taką taktykę stosował przed wojną i w pierwszych dniach okupacji (chodzi o „palcówkę") i z takimi samymi założeniami występował po 1945 r.

A.D. — To jest cały czas patrzenie na ten problem od strony formalnej. Zwracał na to uwagę gauleiter Fritz Bracht w czasie wojny, który stwierdził, cóż z tego, że my mamy Ślązaków wpisanych na folkslistę, jeżeli oni się zachowują tak, jakby w ogóle folkslisty nie mieli, dalej rozmawiają po polsku. Ale jeśli chodzi o kryterium przynależności do NSDAP, to też było bardziej skomplikowane. Zawadzki mówił, że ostry kurs wobec „dwójkarzy" wynikał z tego, iż władze nie miały rozeznania w sytuacji na tym terenie, a nawet, że podchodzenie formalne do członków NSDAP, na zasadzie odrzucenia, bo to są Niemcy, nie jest do końca racjonalne. W 1950 r. władze polskie przyznały, że w województwie katowickim nawet formalna przynależność do NSDAP nie zawsze może decydować o pozbawieniu obywatelstwa.

J.M. — Ale to jest rok 1950, to już trochę inna sytuacja. Przynależność do NSDAP była czytelniejszym kryterium, bardziej sprawiedliwym niż sama folkslista.

R.K. — Problem rozliczenia folkslisty dotyczył wszystkich regionów graniczących z Niemcami w Europie. Władze komunistyczne nie były tu osamotnione, podobnie było między innymi we Francji, w Jugosławii. Na rozliczenie folkslisty prawdę powiedziawszy nie ma metody doskonałej. A pamiętajmy, że po 1945 r. panowała taka atmosfera, że każdy Niemiec był nazistą. Sytuacja Górnego Śląska była nietypowa. Czym innym była folkslista na terenach wcielonych — w Wielkopolsce, jeszcze inaczej było na Pomorzu. Ja myślę, że władze w 1945 r. nie miały pojęcia o masowości tego problemu na Śląsku, okazało się, że dotyczy on prawie wszystkich jego mieszkańców pośrednio lub bezpośrednio. Na dawnym tzw. pruskim Górnym Śląsku folkslistą objęte było prawie 90 proc. ludności. W 1945 r. potrzebne było i samo rozstrzygnięcie tego problemu, i narzędzie, które pozwoliłoby to zrobić. Proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby nie dokonano tej operacji. Mielibyśmy do czynienia z dużą grupą mniejszości niemieckiej, która pozostałaby na tym terenie, może zaczęliby wyjeżdżać w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Jak wyglądałaby sytuacja ludności polskiej, szczególnie w małych, zamkniętych społecznościach wiejskich? Jak żyłyby te zbiorowości, ze świadomością, że sąsiad to ten, kto robił to i to?

A.D. — Władze londyńskie przygotowując rozwiązanie kwestii folkslisty, widziały to bardzo podobnie i nie można zakładać, że odbyłoby się to łagodniej dla

mieszkańców tego terenu tylko dlatego, że rządziłaby inna władza. Trzeba powiedzieć, że kwestie rozliczeń z przeszłością okupacyjną to kolejna zadra u Ślązaków, która pozostała na długie lata, bo brały w niej udział osoby z zewnątrz. W komisjach weryfikacyjnych, w sądach nie mogli zasiadać folksdojcze. Ocenę polskości podejmowały osoby, które nie orientowały się w specyfice sytuacji przed wojną i w czasie wojny na tym terenie. Widziały Górny Śląsk przez pryzmat doświadczeń wojennych w GG, a sprawa folkslisty wyglądała zupełnie inaczej na tych terenach. Tam folksdojcze to byli zdrajcy...

J.M. – ...a tutaj często to byli Wallenrodzi, jak zauważył Zbyszko Bednorz.

A.D. – I zdarzały się głosy w różnych komisjach weryfikacyjnych, że najpierw wszystkich Ślązaków wysiedlimy do obozów, a później zobaczymy, co z nimi zrobić. Trzeba pamiętać też i o tym, że folkslista to nie jest jedyny problem Górnego Śląska, bo z tym jest związana rehabilitacja (sama nazwa daje wiele do myślenia). Jest również weryfikacja osób, które już przed wojną posiadały obywatelstwo niemieckie i były mieszkańcami III Rzeszy – to problem tzw. Śląska Opolskiego, w tym dużych miast przemysłowych – Bytomia, Zabrza, Gliwic.

B.P. – ***A jak wyglądało zasiedlanie tego terenu?***

J.M. – Dam pewien przykład z opolskiego, ciekawy i wiele mówiący. Tam zostało trochę szkół polskich z okresu międzywojennego, z polskimi dyrektorami. I co po 1945 r. zrobiła władza ludowa? Wyrzuciła z urzędu dyrektorskiego właśnie tych dyrektorów szkół polskich i obsadziła swoich. To był przejaw nowej rzeczywistości politycznej i ideologicznej, której Ślązacy kompletnie nie rozumieją. To jest nie do pojęcia z różnych powodów: ideologicznych – bo rozpoczyna się nacisk ateizmu, gospodarczych – bo przychodzą zupełnie nowe elity z zewnątrz. Przed wojną przyszli tu ludzie zwłaszcza z Galicji, z Wielkopolski i (z uzasadnionych może powodów) zasiedli na tych wyższych stołkach, na stanowiskach kierowniczych. Ślązak pozostał robolem. Po 1945 r. znów przychodzą różnymi drogami elity urzędnicze i Ślązak znów pozostaje tylko robolem. To miało nieco mniejsze negatywne znaczenie na Śląsku polskim, poplebiscytowym, ale bardzo mocno zapadło w świadomość na Opolszczyźnie i odbiło się dalekim echem po 1989 r. Od 1945 r. drogi Opolszczyzny, czy chcemy, czy nie chcemy, rozchodzą się z polskim Śląskiem, czego przykładem jest, przynajmniej dla mnie, rozwój związku Mniejszości Niemieckiej na Opolszczyźnie.

A.D. – Przeobrażenia społeczne i mentalne, jakie dokonały się po 1945 r. na Śląsku, były daleko głębsze niż te z okresu wojennego. Weźmy skalę ruchów migracyjnych, wysiedleń, deportacji kilkudziesięciu tysięcy Górnoślązaków do Związku Sowieckiego, przesiedleń czy tzw. repatriacji. W ciągu kilku lat powojennych spowodowały one całkowitą dekompozycję tego społeczeństwa. Z województwa wysiedlono 295 tys. osób narodowości niemieckiej, nie licząc tych, którzy sami wyjechali. Na to miejsce przybyła nieco mniejsza grupa repatriantów ze wschodu i przesiedleńców z innych regionów Polski – głównie z rzeszowskiego, kieleckiego i krakowskiego.

Zastąpiono jeden żywy organizm drugim. To rodziło określone zachowania, określone stereotypy. Przyjechali tu ludzie zróżnicowani pod względem społecznym, a dużą grupę, szczególnie wśród przybyszów z ościennych województw, stanowiła biedota, ale z aspiracjami.

J.M. – To byli chętni na mieszkania, urzędy. Jednym z dramatów po 1945 r. związanych z wysiedleniami było to, że bardzo często zajmowano mieszkania ludzi, którzy później wracali z obozów, z frontu. Trzeba było dać im papier, że zostali wysiedleni, wyrzuceni ze Śląska.

B.P. – ***A jak przyjmowano repatriantów, przesiedleńców zza Buga?***

A.D. – Repatrianci doświadczyli wiele krzywdy. Oni sami czuli się bardzo mocno poszkodowani przez wojnę i jej konsekwencje. Sądzili, że przeniesienie na Śląsk zakończy tułaczkę i będzie formą rekompensaty za utracone mienie. Byli przekonani, że zostaną przyjęci z otwartymi ramionami, że zastaną wręcz puste tereny, do których nikt nie będzie sobie rościł prawa, że to jest rekompensata za ich utracony Lwów... Napotkali tutaj zwartą grupę, która trzymała się razem i dosyć nieufnie reagowała. Przybysze również wykazywali nieufność, a istniejąca bariera kulturowa i językowa powodowała, że wielu mieszkańców Górnego Śląska postrzegali właściwie jako Niemców.

B.P. – ***Niemniej padło już w tej rozmowie i takie stwierdzenie, że już następne pokolenie zabużan potraktowało Śląsk jako swoją ojczyznę.***

R.K. – Trzeba pamiętać, że przyszła tutaj jeszcze druga fala osadnictwa, późniejsza, niezorganizowana. Już w okresie planu sześcioletniego powstało tutaj sporo inwestycji. W latach sześćdziesiątych budowano nowe kopalnie, sporo zakładów przetwórczych, nowych miast, w tym socjalistyczne Tychy. W latach siedemdziesiątych, w okresie gierkowskim przybyła trzecia fala zwabiona tym, że można tu szybko zrobić karierę. Przeorywanie struktury społecznej Górnego Śląska następowało regularnie. Dlatego grupa Górnoślązaków, która ma wyraźne poczucie tradycji, jest obecnie grupą mniejszościową.

A.D. – Imigracja spowodowała utrwalenie wizerunku osoby spoza Śląska, traktującej Ślązaków z góry, jako ludzi nadających się jedynie do pracy fizycznej. Nie traktuje ich poważnie, nie ufa się im. W pierwszych miesiącach 1945 r., szczególnie z przyległych województw, przyjeżdżano na Śląsk w celach rabunkowych – tu było mienie poniemieckie, bogate puste mieszkania. Pojawia się też element konfliktu śląsko-zagłębiowskiego.

B.P. – ***Ten konflikt jest znacznie starszy.***

A.D. – Jest starszy, ale zaostrzył się w czasie wojny, kiedy Górnoślązacy byli kierowani na różnego rodzaju stanowiska w przemyśle i tam wyrobili sobie markę osób wiernych Niemcom, z wyższością traktujących tych innych. Po wojnie istniała ogromna chęć zemsty na folksdojczach, szczególnie silna u tych, którzy w jakiś sposób doświadczyli jakiegoś poniżenia w czasie okupacji ze strony Górnoślązaków.

B.P. — ***Myślę, że proletariackie, socjalistyczne tradycje Zagłębia też mają tutaj znaczenie. A Śląsk był chadecki. Ale jeszcze jedną sprawę dobrze byłoby wyjaśnić. Padło w naszej rozmowie takie sformułowanie o plebejskości Śląska. Chcę zrozumieć, dlaczego tak było. W XIX i XX w. były przecież w pobliżu te uniwersytety austriackie, niemieckie, na które można było iść, przecież bardzo niedaleko był Kraków. Mam wrażenie, że ludzie mieli tu możliwości zdobywania wyższego wykształcenia, a jednak ta plebejskość była modelem społecznie zadowalającym. Człowiek był związany z zakładem pracy czy własnym gospodarstwem i nie miał aspiracji do wyższego wykształcenia. A może było to jakieś upośledzenie społeczne wynikłe z czynników zewnętrznych?***

A.D. — W okresie międzywojennym śląskie elity polityczne i społeczne w znacznym stopniu pochodziły z „importu". Jeżeli Śląsk jako region wyjątkowy pod względem kulturowym i etnicznym przez długie lata czy nawet wieki takim pozostał, to dzięki określonej specyfice polegającej na plebejskości kultury śląskiej, bardziej odpornej na procesy asymilacyjne. Tu było bardzo spłaszczone zróżnicowanie na grupy społeczne. Elity były blisko szarego człowieka, mocno z nim związane, ale też bardzo nieliczne. W czasie wojny zabrakło takich jasnych drogowskazów, które mogłyby wskazać Ślązakom określony kierunek. Był bp Adamski, ale jednak z myśleniem wielkopolskim, Korfantego już zabrakło.

R.K. — W tej chwili badania struktury społecznej Górnego Śląska, tej tradycyjnej grupy, pokazują, że awans poprzez wykształcenie jest główną wartością. Ale co najmniej do połowy XX w. awans kulturowy związany z przejściem do warstwy inteligenckiej zazwyczaj wiązał się z wynarodowieniem, w jedną albo w drugą stronę. Kultura wysoka do I wojny światowej to była kultura niemiecka. Kultura polska to była kultura górnośląska, związana z dialektem, bez własnej literatury, bez tego, co nazywamy wysoką kulturą. Jeśli ktoś szedł na uniwersytet niemiecki, to był to awans, ale związany z niemieckością. Jeżeli zostawał po stronie polskiej, to bardzo rzadko zdarzało się, żeby szedł na uniwersytet do Krakowa. Jedynym wyjątkiem jest tutaj duchowieństwo.

J.M. — Jeśli chodzi o tę wyższą kulturę i proces wynarodowienia, to zaczynał się w gimnazjach, z pewnością nie w domu rodzinnym, nie w szkole elementarnej, bo w niej były jeszcze resztki języka polskiego, zwłaszcza jeśli chodzi o katechizację. Gimnazja i uniwersytet oferowały kulturę wysoką. Mamy bardzo interesujące wypowiedzi niektórych duchownych, którzy czuli się Polakami, ale z tym większym podziwem patrzyli na dorobek kultury niemieckiej (ks. Emil Szramek). Specyfika sytuacji, jeśli chodzi o duchowieństwo, polega na tym, że to byli synowie robotników, wieśniaków. Mówię o pokoleniu dojrzewającym na przełomie XIX i XX w., kiedy decydowała się przyszłość Polski. Bliżej im było do chłopa i robotnika, dalej do jakiegoś urzędnika niemieckiego i przemysłowca, który był albo protestantem, albo

niemieckim katolikiem. Związek duchownych z grupą, z której wyszli, był bardzo silny. Kazania były mówione najczęściej gwarą, bo duchowni służyli ludziom w takim języku, jaki oni rozumieli. Była też grupa, która wychodząc z rdzennie śląskich rodzin, mających tradycje języka polskiego, przeszła na stronę niemiecką.

A.D. – W jakimś sensie pozostanie w środowisku plebejskim było gwarancją zachowania tożsamości. I to była swego rodzaju pułapka. Na Górnym Śląsku były określone pola pracy – pracy fizycznej, dobrze wynagradzanej. Mało ludzi zarabiało na życie w inny sposób. To niosło ze sobą określone konsekwencje. Na Śląsku funkcjonował taki model rodziny – pracujący mąż i ojciec utrzymywał całą rodzinę. Przed wojną w szkolnictwie górnośląskim wprowadzono zakaz pracy kobiet zamężnych, przez długi czas był tu w ogóle najniższy procent kobiet pracujących. Kult pracy, głównie fizycznej, wiązał się z tym, że Ślązacy czuli się fachowcami, takimi robotnikami zachodnioeuropejskimi, i mieli ku temu podstawy: kwalifikacje, przygotowanie, przekazywanie doświadczeń zawodowych z pokolenia na pokolenie.

J.M. – Należy rozróżnić kulturę wysoką i tzw. plebejską. Jeśli sięgamy pamięcią historyczną nie głębiej niż w wiek XIX, to należy zauważyć, że podziały zarówno wśród twórców kultury, jak i jej odbiorców szły po linii podziałów narodowościowych; Niemcy tworzyli kulturę wysoką i w jej kręgu znajdziemy nawet noblistów, natomiast polskojęzyczna ludność najwyżej mogła się pochwalić Karolem Miarką i śląskim Mickiewiczem, czyli ks. Norbertem Bonczykiem, teatrem amatorskim, a także stosunkowo wyrobionymi odbiorcami muzyki. W okresie międzywojennym sytuacja ulega zmianie; szerszy dostęp młodzieży śląskiej do szkół zaczął przynosić owoce, ale dopiero w następnym pokoleniu. Na Śląsku zaczęli też tworzyć uznani pisarze i poeci, żeby wspomnieć tylko Zofię Kossak-Szczucką. Po wojnie w wyniku wysiedleń ze Wschodu na Śląsk napłynęła szeroka fala ludzi nauki i kultury, głównie z Kresów Wschodnich. To oni tworzyli podwaliny Politechniki Śląskiej, Uniwersytetu Wrocławskiego, Opery Śląskiej w Bytomiu, Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Dzisiaj ludziom z centralnej Polski nauka i kultura na Śląsku kojarzy się z Uniwersytetem Wrocławskim, Uniwersytetem Śląskim w Katowicach i Akademią Muzyczną, z takimi nazwiskami, jak Górecki, Kilar i Kutz. Ten ostatni utrwalił na taśmie filmowej nostalgiczny obraz Ślązaka, kojarzonego z kulturą zbliżoną do hodowli gołębi i grą w orkiestrze górniczej. Do całości tak konstruowanego obrazu brakuje jeszcze dyskusji w karczmie lub na werandzie przy kuflu piwa.

R.K. – Taki system organizacji pracy pozostał także w PRL. W kopalni nie można było inaczej pracować. W tej pracy ważne jest to wielowiekowe doświadczenie podporządkowane systemowi organizacyjnemu, który wytworzono w kopalniach głębinowych na początku XIX w. Ludzie przenosili to w genach i musieli mieć zwierzchników, którym ufali, bo z sytuacją bezpośredniego zagrożenia życia w kopalni stykali się właściwie codziennie.

B.P. — ***Ale to chyba nie jest tak, jak mówi stereotyp, że mieszkańcy Górnego Śląska, ta część męska, są związani tylko z wydobyciem węgla. Tutaj były przecież dość znaczne obszary rolnicze.***

R.K. — Dla każdego, kto się tutaj wychował, górnik to faktycznie był ktoś. Nie chodzi nawet o to, że więcej zarabiał czy miał jakieś specjalne przywileje. Ten stan zawodowy można porównać do stanu kolejarzy w II Rzeczpospolitej. Przedstawiciel tego stanu to osoba, która ma pewny zawód, umie to robić, ma swój specyficzny honor i sposób zachowania, który promieniował dookoła.

B.P. — ***To nie była grupa folklorystyczna.***

R.K. — Jak górnik przychodził do przedszkola czy do szkoły w mundurze, to nie dlatego, że taki był nacisk komunistyczny, tylko on faktycznie był tam osobą chętnie widzianą. Ludzie chcieli się z nim spotkać, dzieci też chciały się z nim spotkać. Do końca ubiegłego wieku górnictwo było górnośląską tradycją, ono budowało tutejszą tożsamość. Górnictwo jednak umiera, prawie już nie istnieje. Jesteśmy świadkami zapaści socjalnej wszystkich środowisk, które wokół górnictwa funkcjonowały. Ten proces był nieuchronny, ale nastąpił za późno, dlatego jest tak dramatyczny. To jest zapaść gospodarcza, socjalna i społeczna. Koszty społeczne tego całego przedsięwzięcia są dla regionu olbrzymie.

A.D. — Wróciłbym jeszcze do 1945 r. Wtedy obserwujemy dramatyczne poszukiwania osób do pracy w kopalniach, mogących wypełnić lukę po górnikach wywiezionych do ZSRS. Na przykład w kopalni „Miechowice" pracowało wtedy 800 osób, z tego 600 stanowiły kobiety, a pozostałe 200 kalecy i osoby starsze. Brakowało mężczyzn do pracy, w 1946 r. próbowano nawet sprowadzić tutaj do pracy fizycznej włoskich kamieniarzy. Pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych rozpoczęło się niszczenie tradycyjnego etosu pracy górników. Przez dziesięciolecia była to praca, którą się szanowało, wykonywało się ją rzetelnie, sumiennie. I nagle w środowisko górnicze wchodzą zupełnie inni ludzie — więźniowie, jeńcy, a w latach 1949–1959 nawet bataliony robocze, złożone z poborowych, którzy odbywali zastępczą służbę wojskową, pracując w kopalniach. A jednocześnie wciąż starano się zwiększyć wydobycie węgla, który był czarnym złotem.

R.K. — Żaden z tych eksperymentów się nie udał. Za każdym razem wracano do starego. Do karczmy piwnej, do zebrania, do pasowania, do munduru. Każda — i polska, i niemiecka — próba wprowadzenia nowych zasad organizacyjnych w kopalni kończyła się fiaskiem i trzeba było wracać do starych.

J.M. — Jeśli sztygar, nawet największy ateista, nie pozdrowił górnika na dole „Szczęść Boże", to nie miał czego tam szukać, mógł jeszcze oberwać.

B.P. — ***Śląsk, jako obszar najbardziej zindustrializowany w PRL, był oczkiem w głowie władz komunistycznych. Z jednej strony miał zapewnić krajowi węgiel, w tym, co istotne, na eksport, z drugiej zaś strony pilnie strzeżono, by świadome swej wartości środowiska górnicze***

i wielkoprzemysłowe (nie należy zapominać o zlokalizowanych tu hutach żelaza, stalowniach, przemyśle chemicznym) nie wymknęły się spod kontroli. Jakie były metody obłaskawiania społeczności tego regionu?

A.D. – Do 1948 r. dopuszczano Górnoślązaków do pełnienia stanowisk w administracji państwowej. Przykładem może być trzech wicewojewodów – autochtonów: Jerzy Ziętek, Arka Bożek i Paweł Nantka-Namirski. Od 1948 r. rozpoczęto ideologicznie motywowaną czystkę, usuwając Ślązaków ze stanowisk administracyjnych, na przykład prezydentów miast. Pojawia się inne spojrzenie na Śląsk, także na powstania śląskie – nie jako na ruch narodowowyzwoleńczy, a niemal jak na dywersję w ruchu robotniczym. Z jednej strony dokonywano czystek, a z drugiej promowano przodowników pracy.

R.K. – Śląskość była postrzegana jako separatyzm. Uważano, że Arka Bożek i Ziętek budują grupę zajmującą stanowisko separatystyczne.

A.D. – Nie ma już administracyjnej autonomii Śląska. I to, co się zaczęło w czasie wojny, czyli zacieranie granic Śląska, po wojnie trwa nadal. Najpierw stworzono województwo śląsko-dąbrowskie, później katowickie i opolskie. Górny Śląsk został sztucznie poszatkowany i potraktowany jako organizm przemysłowy. To rozpoczęli już Niemcy, którzy do rejencji katowickiej włączyli Zagłębie Dąbrowskie.

R.K. – W powszechnym przekonaniu w latach siedemdziesiątych w Polsce rządzą Ślązacy, tzw. grupa śląska. Nic bardziej mylnego – cała albo prawie cała ekipa Gierka pochodzi z Zagłębia i ze Śląskiem nie ma żadnych związków. To jest pokłosie tych sztucznych struktur administracyjnych.

B.P. – ***Dlaczego Śląsk nie stanął w 1970 r.?***

A.D. – Sprawdziły się słowa ówczesnego I sekretarza KW PZPR w Katowicach Edwarda Gierka, który przekonywał Gomułkę, że nie należy spodziewać się protestów w województwie katowickim. Można sądzić, że miały na to wpływ wyższe od krajowych zarobki w regionie, ale także polityka umożliwiająca łączenie rodzin. Wtedy pojawiła się realna perspektywa wyjazdu do Niemiec i lepszego życia, nie warto było się narażać. Śląsk był (niesłusznie) postrzegany przez długie lata jako bastion i zaplecze komunizmu. Tutaj doświadczenie zdobywały późniejsze elity partyjne: Zawadzki, Gierek, Ochab, Szydlak. Gierek bardzo zyskał w oczach towarzyszy, zwłaszcza tych, którzy nie odróżniali Śląska od Zagłębia, bo on ugasił jeden ze strajków w 1951 r. Pojechał na dół do górników kopalni „Kazimierz Juliusz" w Sosnowcu, gdzie zginął jego ojciec i dziadek, i tam przekonał górników, żeby przestali strajkować. To była trampolina, która go wyniosła. Później dbał o to, by ten jego region był postrzegany jako taka cicha oaza, gdzie się przede wszystkim pracuje i wyrabia kolejne normy. Uspokajał towarzyszy, że gdzie jak gdzie, ale na Śląsku rozruchów nie będzie. Wiedział, co mówi. Kupował górników – lepszymi płacami, specjalnymi sklepami, przydziałami. Ta społeczność była trzymana bardzo mocno w ryzach.

J.M. – Pokolenie, które pamiętało jeszcze aktywną walkę o śląskość i tożsamość, dojrzewało przed wojną i w czasie wojny. Ono w sposób naturalny odeszło mniej więcej w latach sześćdziesiątych, a wraz z nim resztki oporu społecznego. Jako następne pojawia się to, które bierze udział w protestach i strajkach w Jastrzębiu, jest w „Wujku" i „Piaście". Uczestniczy w odrodzeniu solidarnościowym. Ono jest trudne do opisania. Nie ma już na Śląsku jednorodnych środowisk o wspólnym rodowodzie. Najwcześniej uaktywniły się środowiska akademickie i związane z katowickim KIK. Spotykają się w podziemiu i dyskutują o pewnych problemach społecznych. Pewnie są też i inne grupy, które nie wywodzą się ze środowisk katolickich czy prawicowych. Pewnym ewenementem jest tu postać Kazimierza Świtonia, którego milicja tropi już od lat siedemdziesiątych. Ten czas i rodzenie się oporu powinien opisać socjolog. To ciekawy problem. Okazuje się, że w tych komisjach zakładowych i wśród ofiar „Wujka" w większości znaleźli się nie Ślązacy, lecz robotnicy napływowi.

A.D. – W tym kontekście warto powiedzieć o genezie Uniwersytetu Śląskiego, który był tworzony pospiesznie z kadr spoza Śląska, właściwie jako odpowiedź na zamęt w środowisku studenckim w 1968 r. Miał być sztandarową czerwoną uczelnią, wychowującą młodzież w odpowiednim duchu, w umiłowaniu socjalizmu.

R.K. – Sam pomysł nie był nowatorski, jak bumerang powracał jeszcze od czasu II Rzeczypospolitej, najbardziej zaawansowany był na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Ale Gierek zrealizował to błyskawicznie.

J.M. – A ferment w środowisku młodzieży akademickiej był naturalny.

B.P. – ***Sądzę, że jedną z przyczyn znacznie mniejszej aktywności Ślązaków w oporze antykomunistycznym było to, że bardzo wielu ludzi rzutkich wyjechało ze Śląska, nie tylko w latach tuż powojennych.***

R.K. – W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nastąpił ogromny odpływ ludzi, który bardzo zubożył to, co nazywamy zjawiskiem tożsamości górnośląskiej, rzeczywiście wyjeżdżali ludzie najbardziej dynamiczni. Miało to swoją drugą stronę – kontakty Górnego Śląska z Europą Zachodnią przez Niemcy były niewspółmiernie bardziej ożywione niż jakiegokolwiek innego regionu, a tzw. Zachód był częścią prawie codziennego doświadczenia przez kontakty rodzinne, wyjazdy, przyjazdy, regularną korespondencję.

B.P. – ***Ta łatwość wyjazdu do Niemiec przez kontakty rodzinne to jedno, ale należy pamiętać, że w przypadku Ślązaków praktycznie nie istniała bariera językowa.***

R.K. – To wszystko powodowało, że Ślązacy dobrze wiedzieli, jak można żyć inaczej, ich wiedza o Zachodzie była porównywalna z wiedzą podróżujących po Europie elit z innych regionów Polski. Znajomość Zachodu odgrywała tutaj sporą rolę, wiedziano, że realność wygląda inaczej niż realny socjalizm.

A.D. – Warto powiedzieć, że postrzeganie województwa katowickiego jako bardzo uległego skończyło się w latach 1980–1981. To właśnie tutaj stosowano

najliczniejsze represje, również skala internowań była tutaj największa w kraju. Nie gdzie indziej, lecz tutaj dokonano manifestacji zbrojnej, bo tak należy odczytywać atak na kopalnię „Wujek".

R.K. – Dramatyczny był strajk w kopalni „Piast". Ten strajk pod ziemią odbił się na Śląsku olbrzymim echem. Po spacyfikowaniu „Wujka" obserwowano go z zapartym tchem. To był najdłuższy czynny strajk na Śląsku. W obydwu tych kopalniach pracowali w większości napływowi górnicy.

J.M. – Propagandzie Gierka udało się skutecznie skłócić Śląsk z resztą kraju (przywileje górnicze, specjalne sklepy, wysokie zarobki itp.). Strajki 1980 r. zrobiły dobrą atmosferę dla Śląska. Porozumienia jastrzębskie i opór w kopalni „Wujek" zrehabilitowały Śląsk w oczach całej Polski, pokazując determinację robotników śląskich. Wydarzenia w kopalni „Wujek" uzmysławiają nam, że mamy do czynienia z robotnikami oszukanymi, znajdującymi się w sytuacji krańcowej. Z jednej strony władza daje jasno do zrozumienia, do czego jest zdolna, zdeterminowana użyć każdego środka, aby spacyfikować nastroje wolnościowe. A ci po drugiej stronie to górnicy, ludzie postawieni pod ścianą, urażeni w swojej górniczej dumie. Ci byli zdecydowani na wszystko, nie liczyli się z konsekwencjami. I taka postawa nobilitowała Śląsk w oczach całej Polski. Śląsk nie milczał.

A.D. – Ale też w tym okresie bardzo wiele osób uciekło do Niemiec. W stanie wojennym zwolniono część internowanych, gdy wyrazili chęć wyjazdu na Zachód. W celu osłabienia opozycji i rozładowania napięcia wydano zgodę na wyjazd ponad trzystu internowanym. Wyjazdy te stanowiły część szerszego problemu – w latach 1950–1989 z Górnego Śląska wyjechało ponad pół miliona ludzi.

B.P. – ***Pod koniec lat osiemdziesiątych »wybuchła« niejako sprawa mniejszości niemieckiej na Śląsku.***

J.M. – Tak, to jest pewien fenomen. Można zadać pytanie, skąd oni się wzięli, jeśli do 1950 r. wysiedlono z Polski prawie wszystkich Niemców. Relatywnie więcej pojawiło się ich oczywiście na Śląsku Opolskim.

B.P. – ***Pewnie da się to wpisać w dynamikę procesu poszukiwania tożsamości.***

J.M. – Z pewnością, ale z drugiej strony wiele osób potraktowało taką deklarację narodowościową bardzo koniunkturalnie, w aspekcie ekonomicznym. Mieli możliwość wyjazdu ze względu na to, że na przykład ojciec był w Wehrmachcie, a on sam urodził się na Śląsku i mógł zdobyć tzw. papiery. Uważam, że większość wyjechała z powodów ekonomicznych.

A.D. – To jednak nie tylko były powody rodzinne i ekonomiczne, którymi kierowali się tzw. volkswagendeutsche. Jest jeszcze typ motywacji wynikający z wotum nieufności do państwa – to jest państwo, które jest źle rządzone, tu się nie da żyć; panuje tu taka organizacja, do której my nie jesteśmy przyzwyczajeni; nie można być porządnym Ślązakiem i mieszkać w takim bałaganie.

R.K. – To było zjawisko ogólnopolskie, jeśli nie miało się szans na obywatelstwo niemieckie, to jechało się na azyl polityczny. Przede wszystkim chodziło o prawo do pracy, a tu zawsze było takie przekonanie, że jak ktoś ma pracę, to powinien coś z tego mieć. Jeśli chodzi o mniejszość niemiecką, to ona ujawniła się w sytuacji, gdy nie było możliwości napisania o sobie, że jestem Górnoślązakiem czy Ślązakiem. Wtedy pisano – jestem Niemcem, bo to jakoś tę własną tożsamość określało. Jak się okazało, że można w spisie określić się jako Ślązak, to wpisywano Ślązak. Proszę zauważyć, że w momencie pojawienia się tej możliwości nastąpił spadek liczebności mniejszości niemieckiej. A pojawienie się i problem tej mniejszości śląskiej to jest poszukiwanie tożsamości. Gdyby była opcja: Polak–Ślązak, czy Polak–Górnoślązak, czy Niemiec–Ślązak, byłoby to o wiele bardziej precyzyjne.

B.P. – ***Śląsk to są kresy dwóch narodów, nasze kresy zachodnie, niemieckie kresy wschodnie. Nawet w przyrodzie jest tak, że każda sytuacja pogranicza dwóch środowisk przyrodniczych stwarza wielkie bogactwo gatunkowe i jest jakościowo czymś innym niż te otaczające je środowiska. W biologii się to nazywa efekt ekotonu, wielkie bogactwo, różnorodność i niepowtarzalność. W przypadku Śląska ta niepowtarzalność bierze się też z tego, że są to kresy dwóch bardzo różnych kultur – słowiańskiej i niesłowiańskiej...***

A.D. – Tak, Ślązacy wchłonęli dużą dawkę zachodniej cywilizacji, ale na tym terenie przenikają się trzy wymiary kulturowe: polski, niemiecki i czeski (morawski).

B.P. – ***Poznałam kilku Ślązaków już w Niemczech i słuchałam ich dramatycznych opowieści o wielkim cierpieniu, jakiego tam doświadczają, żyjąc poza Śląskiem. Mówię o pokoleniu rodziców dorosłych dzieci, które podjęły decyzje wyjazdów z powodów właśnie ekonomicznych. Wyjeżdżają dorosłe już dzieci i ich rodzice. Rodzice wcale nie wyjeżdżają z potrzeby serca, tylko z takiego tradycyjnego myślenia, że rodzina nie może się rozpaść, nie dzieli się, członkowie rodziny nie porzucają się nawzajem. Opowiadali o tęsknocie, wielkim trudzie odnajdywania się w niemieckim społeczeństwie. To jest kolejny przykład na to, że górnośląskość jest faktem nie tylko społecznym, ale i cechą osobowości, w którąkolwiek stronę zostanie taki człowiek przeciągnięty, to jednak pozostaje odrębny.***

A.D. – Śląsk próbowano regermanizować, repolonizować, a jak pokazują te wynikające z ostatniego spisu deklaracje, po kilkudziesięciu latach różnych zabiegów wiele osób identyfikuje się tylko ze śląskością. Może to jest ucieczka, ale jeśli mówimy o pewnych błędach w polityce wobec Ślązaków, to zawsze jest to brak akceptacji dla nich, takich, jakimi oni są. Zabrakło takiego stanowiska – bierzemy was, mimo całej waszej odrębności, budujcie razem z nami to państwo. Zawsze było traktowanie podejrzliwe, pogardliwe.

B.P. — ***Pogardliwe również w sferze materii, bo jednak zniszczenia, jakich pozwolono sobie dokonać na Śląsku, pokazują właśnie pogardę dla jego mieszkańców.***

R.K. — Górny Śląsk w tych organizmach państwowych, w których egzystował, czy niemieckim do początku XX w., już nie mówiąc o II Rzeczpospolitej i PRL, zawsze był regionem, w którym koncentrowała się siła gospodarcza państw macierzystych. Utracił dzisiaj tę pozycję i to jest oczywiste, i tu jest główny problem. To rzeczywiście powoduje, że z Górnego Śląska następuje ciągły odpływ zdolnych, dynamicznych, głównie młodych ludzi, dokonuje się zapaść wielkich miast, z których uciekają ich mieszkańcy, zniszczenie przyrody i środowiska naturalnego.

A.D. — Nie bez powodu nazywano Śląsk Polską Katangą, nawiązując do kolonialnych metod eksploatacji tego regionu. Najtragiczniejszy był jednak stereotyp Ślązaka – beneficjenta PRL.

R.K. — Nastąpił jednak proces ponownego odczuwania „śląskości" jako wartości pozytywnej, bo to rzeczywiście jest zauważalne, chociaż pewnie nie wśród większości mieszkańców tego regionu. To zjawisko wpisuje się w pewien proces cywilizacyjny, związany nie tylko ze Śląskiem. Państwa narodowe są znacznie słabsze w swoim przyciąganiu wartościami kulturowymi. Amerykanizacja czy globalizacja kultury powoduje, że pewna część ludzi ma wielkie trudności w odnalezieniu dla siebie wartości w tej „wielkiej" kulturze, natomiast łatwiej identyfikuje się z kulturą lokalną, traktowaną jako „własna", „swojska", bo stwarza ona możliwość autentycznego w niej uczestnictwa. Samoidentyfikacja z kulturą śląską jest czymś nowym i optymistycznym dla przyszłości Górnego Śląska.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 6–7 (41–42), czerwiec–lipiec 2004

TO ON MIAŁ RACJĘ

O księdzu Jerzym Popiełuszce, jego posłudze i męczeńskiej śmierci
z ks. Zdzisławem Królem, ks. Janem Sikorskim i Januszem Kotańskim
rozmawiają Barbara Polak i Jan M. Ruman

B.P. — ***Ksiądz Jerzy Popiełuszko był duchownym zwykłym i niezwykłym jednocześnie. Myślę, że również Kościół był zaskoczony obecnością w nim męczennika. Jego życie i praca były rozpięte pomiędzy posługą kapłana a wydarzeniami, które uwikłały go w politykę...***

Z.K. — Zawsze mnie denerwuje umieszczanie go w polityce. Sprzeciwiam się temu jako ówczesny kanclerz kurii, który musiał z nim wtedy dyskutować na temat jego posługi. On stał się duszpasterzem hutników nie z własnego wyboru. Znalazł się wśród nich przez przypadek. Kiedy ks. Bronisław Piasecki, kapelan prymasa Wyszyńskiego, pojechał do kościoła św. Stanisława Kostki — bo strajkujący z Huty Warszawa prosili o duszpasterza — tak Pan Bóg sprawił, że pierwszym księdzem, którego spotkał, zanim dotarł do proboszcza ks. Teofila Boguckiego, był ks. Jerzy. Zasygnalizował mu po prostu, o co chodzi, i zapytał, czy poszedłby tam. I tak Jurek się tam znalazł. Był człowiekiem autentycznym i przez to konsekwentnym, przez dzieciństwo, młodość, wojsko — jeżeli się w coś angażował, to robił to do końca. Nie udawał, że coś robił. Zaangażował się w odpowiedzialność za tych ludzi, których mu Kościół powierzył. To Kościół mu powierzył, prymas Wyszyński go posłał do robotników.

Nie traktuję Jerzego jako polityka. Były pewne rzeczy, które ja jako kanclerz kurii czy abp Bronisław Dąbrowski (który dyskutował z nim wiele razy po rozmowach z rządem) musieliśmy mówić — Jerzy, to dotyka spraw trudnych. Musieliśmy go ostrzegać, żeby nie został zmanipulowany, wykorzystany przez jakąś grupę. Dzisiaj, po czasie, kiedy pojawia się ocena tamtej jego działalności, dostrzegamy, jak ten ksiądz, bardzo prosty w swoim działaniu, bo on nie był wyrafinowanym inteligentem, jak jednak dokładał starań, żeby to, co robi, nie było polityką, ale duszpasterską troską o ludzi, którzy walczą o prawdę, dobro, sprawiedliwość. Walczą z zakłamaniem, obłudą. Gdy dziś czytamy jego kazania, okazuje się, że w nich jest bardzo wiele troski o to, żeby przesłanie płynące od kapłana do wiernych znalazło się na pierwszym miejscu.

B.P. — ***Nie miałam na myśli tego, że ks. Jerzy uprawiał politykę. Powiedziałam, że ks. Jerzy został wciągnięty do polityki. Choćby przez to, że został wybrany na tego, kto zapłacił najwyższą cenę w grze rozgrywanej przez władzę ze społeczeństwem, bo był jego przedstawicielem, obdarzonym ogromnym autorytetem.***

Z.K. — Pamiętam taką rozmowę, pomiędzy tym zamachem na niego, jak jechał z Gdańska, a jego śmiercią. Był to wtorek, nie pamiętam, czy na dwa tygodnie, czy więcej przed jego śmiercią. Przyszedł do mnie, do gabinetu kanclerskiego prosto od Prymasa. Miał wtedy gorycz i taki niesmak po rozmowie z Księdzem Prymasem — że Prymas był dla niego surowy. Świadkami tej rozmowy było trzech kapłanów: ks. Edward Żmijewski, ks. Włodzimierz Jabłonowski i ks. Grzegorz Kalwarczyk. Dyskutowaliśmy, jak to jest z tą jego pracą, jak on się broni przed tym, żeby nie być politykiem. Sądzę, że ktoś mógłby napisać pracę magisterską o tym, jak rodziło się kazanie ks. Jerzego na Mszę św. za Ojczyznę. Do kogo on chodził, komu je czytał, jakich szukał rad. Proszę zauważyć, że autorami cytowanymi przez Jurka w jego wszystkich kazaniach byli Jan Paweł II i kardynał Stefan Wyszyński i ewentualnie któryś z wielkich klasyków literatury. Tam nie ma zdania, które mogłoby budzić jakąś wątpliwość. To bardzo ważna rzecz. Sam, mówiąc kazania, często mam świadomość, że jedno zdanie powiedziałem za dużo, że ono było niepotrzebne, mogło kogoś urazić. A on się przed tym uchronił. To był jego wielki sukces. Głosząc kazania, był autentycznym księdzem i zależało mu na tym, żeby nie padło nic niepotrzebnego. Denerwuje mnie to — nawet mówiłem o tym kiedyś Wałęsie — że od razu ogłoszono go patronem „Solidarności". Był kapelanem w hucie i „Solidarność" miała z nim więzy szczególne, ale jego przesłanie jest szersze niż przesłanie „Solidarności" — bronił suwerenności, niepodległości, godności człowieka. Ponieważ byłem jego przełożonym jako kanclerz, wiele razy rozmawiałem z nim na temat tych Mszy św. za Ojczyznę. Dzisiaj chętnie uciekamy od tego, cośmy wtedy robili — a przecież czasami atakowaliśmy go, nie mając racji. Nie mieliśmy tej odwagi, którą on miał. Uważaliśmy, że jeśli w pewnych momentach wyciszymy nasze działania, to nie będzie to ze szkodą dla nikogo. Ile razy szedłem do Urzędu do spraw Wyznań, gdzie mówiono mi: no tak, proszę księdza, nie możemy tego kościoła budować, bo ks. Popiełuszko znów powiedział to i to, ks. Niedzielak powiedział to, ks. Sikorski — to, ks. Tadeusz Sitko — to, a ks. Małkowski — to. Oni mi ich ciągle cytowali, więc czasami Jerzy musiał się bronić przed nami, bo myśmy go atakowali. Wtedy, nie uprawiając żadnej gry, autentycznie chciałem go utemperować. Oceniając to, teraz widzimy jego opatrznościowe działanie, jego patriotyzm, miłość, którą okazał Kościołowi. Dzisiaj widzę, że to on miał rację, a nie my.

J.R. — ***Ks. Jerzy nie uprawiał polityki, on nawet nie używał takich słów jak komunizm, całej listy słów, których używali wtedy inni kapłani. Z jednej strony był wokół niego krąg osób, które upominały ks. Jerzego, choć***

– jak ks. kanclerz powiedział – okazało się, że to on miał rację. Z drugiej strony był krąg osób, które uznały, że trzeba z nim być. Pojawiał się na Mszach św. za Ojczyznę biskup Miziołek czy biskup Kraszewski, pojawiało się bardzo wielu księży. To pewnie była też najlepsza metoda ochrony tego człowieka i dzieła, które tworzył, po prostu być z nim. Czy nie było możliwe, żeby na takiej Mszy pojawił się Ksiądz Prymas?

Z.K. – To jest trudna sprawa. Trudno powiedzieć, jakby to by było. Prowadzić Kościół i naród w tak trudnej sytuacji, jak była wówczas – prowadzić przez pustynię, prowadzić przez Morze Czerwone, to było ogromnie trudne zadanie. Jerzy czasami przychodził do mnie popłakać sobie. Dzisiaj wszyscy mienią się jego wielkimi przyjaciółmi. Rzeczywiście był przez ludzi bez przerwy oblegany. Ale wiele razy widziałem jego samotność i wewnętrzną walkę, bo on miał świadomość, że nie jest akceptowany. A zależało mu na aprobacie jego działań, przynajmniej w kręgach kościelnych. Uważam, że gdyby miał większą akceptację, byłoby mu lżej.

J.S. – My wszyscy ulegaliśmy propagandzie. Ksiądz kanclerz wspomniał, że w rozmowach były naciski ze strony władz państwowych. Oni stwarzali pewien obraz sytuacji w oczach kurialistów, biskupów. To był obraz skrzywiony. Ja również uległem tej propagandzie. Na przykład kiedy słyszałem o Mszach za Ojczyznę na Żoliborzu, początkowo nie chciałem na nie chodzić. Mówiono, że to są mityngi antykomunistyczne, i nie chciałem tam pójść. Wydawało mi się, że tam dzieje się coś złego. Kiedyś jednak poszedłem. Pamiętam, był to sierpień. Nawróciłem się natychmiast. Podszedłem do księdza Jerzego i powiedziałem: słuchaj, ty jesteś mały papież, a ten plac to się będzie nazywał twoim imieniem. Nawróciłem się w jednym momencie, kiedy dotknąłem prawdy i stałem się wielkim orędownikiem tej Mszy świętej. Od tego czasu miałem bliski kontakt z księdzem Jerzym i zapraszałem go na Msze św. do kościoła seminaryjnego.

Z.K. – Władze nas za to atakowały, za wychowywanie młodych księży w duchu zaangażowania patriotycznego.

J.S. – Bardzo cierpiałem z tego powodu, byłem wtedy ojcem duchownym, takim opiekunem kleryków, w seminarium warszawskim. Przypadek zrządził, że byłych internowanych, którzy się spotkali w kościele św. Marcina, zaprosiłem na Mszę św., już w drzwiach kościoła, kiedy wszyscy zaczynali się rozchodzić. Zapytali mnie: czy to już koniec naszego duszpasterstwa? Powiedziałem, nie, możecie przyjść do mnie do kościoła. – Kiedy? Nie miałem kalendarza przy sobie, krzyknąłem tylko – w pierwszą niedzielę po trzynastym. Spodziewałem się, że będzie kilkanaście czy kilkadziesiąt osób. Okazało się nagle, że przyszedł tłum ludzi. Byłem zaskoczony ogromną liczbą tych ludzi. Kiedy przyszedł również ks. Popiełuszko, zobaczyłem wtedy, kim on dla nich jest. Ta Msza i tak miała swój klimat, ale kiedy pokazał się ks. Jerzy, to jakby iskra przeszła, wszyscy powstali i zaczęli na jego cześć wiwatować, zapowiedziano go jako kapelana „Solidarności" i powitano oklaskami. Zobaczyłem

wtedy, jak on jest kultowo traktowany. To było pod koniec 1982 r., po uwolnieniu internowanych. Ks. Jerzy został porwany przez tę żywiołową rzeczywistość, podobnie stało się ze mną.

J.R. — ***Księża mieli nieco inną sytuację niż partnerzy rozmów z rządem.***

J.S. — My byliśmy wolni od tych nacisków, którym oni podlegali, bo nie musieliśmy prowadzić takich rozmów. Byliśmy bardziej czyści i patrzyliśmy na tę rzeczywistość od strony zwykłych ludzi i bolesnych faktów, które wtedy miały miejsce. Ks. Jerzy był w znacznej mierze wewnętrznie odporny na naciski ze strony kościelnej i pogróżki ze strony państwa. Jego myślenie było nieskażone. A jednak płakał i u mnie po spotkaniu z Księdzem Prymasem. Byłem przypadkowym świadkiem tego spotkania. Wychodziłem z nim z seminarium, kiedy z przeciwka szedł Ksiądz Prymas i natknęliśmy się na siebie. I powiedział: a to chodź, to porozmawiamy, i wziął go Ksiądz Prymas do rozmównicy. Jerzy potem przyszedł do mnie do mieszkania, był bardzo przejęty tym, że — jak mówił — nie został zrozumiany. Sądzę, że Prymas mógł być naciskany przez władze państwowe i jego ocena sytuacji była tym trochę ukierunkowana. Natomiast Jerzy miał tę przejrzystość faktów i ludzi, i polityki. I to było u niego bardzo piękne. Taką postawę zawsze traktowałem jako znak Bożej Opatrzności. Proszę zobaczyć, że w naszej historii zawsze, jeżeli coś się ważnego z narodem działo, wtedy, jako pewien symbol, pojawiał się kapłan. Wspomnę dawne czasy: na przykład kardynał Ledóchowski. Potem, w czasie ostatniej wojny, męczeństwa obozów koncentracyjnych i oporu wobec Niemców — jako symbol staje ojciec Kolbe. Przychodzi czas samoobrony przed komunizmem, pojawia się kardynał Wyszyński.

B.P. — ***Jak kamienie milowe.***

J.S. — Przychodzi czas „Solidarności". I tutaj znowu Pan Bóg jakby palcem pokazał, spójrzcie na ks. Jerzego. Wydaje mi się, że on był jednym z tych ostatnich kamieni milowych.

Z.K. — Uważam, że w wielu wypadkach można było stanąć przy Jerzym mocniej, nie narażając tych wielkich spraw. Mogliśmy stanąć przy nim, nie mieć tego przerażenia, które czasami nas ogarniało. Powiedzmy może tak — za bardzo serio traktowaliśmy komunistów, jako partnerów. Byliśmy skażeni rozmowami z nimi. Jeżeli mówią to, co mówią, to znaczy, że mają jakieś racje. A oni mówili, i tylko mówili.

J.S. — Cieszę się, że to mówisz, ja cały czas miałem takie wrażenie, że za bardzo się przejmujecie tym, co oni mówią. Za bardzo na serio to traktowaliście.

Z.K. — Tak, za bardzo na serio.

J.S. — W stanie wojennym oni byli po prostu śmieszni w tej swojej sile i tych zakutych, nawet w sensie dosłownym, łbach. Czując to właśnie tak, starałem się rozbawiać ludzi na koniec Mszy św. za Ojczyznę, czytając ogłoszenia. Chodziło mi o to, żeby wychodzili radośni i patrzyli na tamtych bez przerażenia.

Z.K. — Tak, Jan robił to regularnie. Ja też się starałem tak działać — 1 maja, gdy widziałem, że w kościele jest wielu agentów — stali z pałkami w rękawach, grotesko-

wo usztywnieni – wykpiłem ich wtedy. To była najlepsza metoda. To też potwierdza moją tezę, że w wielu innych wypadkach myśmy traktowali ich za bardzo na serio.

J.R. – ***Powróćmy do postawy władz kościelnych wobec księdza Jerzego.***

Z.K. – My w kurii analizowaliśmy pewne zdania i decyzje Prymasa – czy on najlepiej się zachował wobec Jurka. Ja widziałem, że Prymas to ogromnie przeżywał. Nie wiem, czy pamiętają państwo, że głos mu się załamał w tym momencie, kiedy mówił w maju 2000 r.: „nie udało mi się uratować życia ks. Jerzego". Prymas odkrył nam pewne swoje tajemnice, które miał, bo jednak był zawsze mądrzejszy od nas o tę jedną przesłankę, coś tam więcej wiedział w tym wszystkim niż my.

B.P. – ***O jaką przesłankę?***

Z.K. – On wiedział, co grozi Jurkowi, myśmy nie wszystko wiedzieli. Przecież Prymas spotykał się z Jaruzelskim. Ja wracam do momentu po porwaniu Jerzego. Zadzwonił Kiszczak do bp. Romaniuka do seminarium i kiedy przyjechałem za pół godziny do Romaniuka, to on tak rozłożył ręce i mówi – Chyba ks. Jerzy nie żyje. Rozmawiałem z Kiszczakiem i wynika z tej rozmowy, że on nie żyje. – Ja jako kanclerz wiedziałem znacznie więcej niż przeciętny ksiądz, ale wiedziałem tylko to, co mi powiedziano. Ksiądz Prymas na pewno miał większą wiedzę.

J.R. – ***Ale o jaką przesłankę tu chodzi? Zastanawiające jest, że nawet po latach podczas nabożeństwa pokutnego na placu Teatralnym Ksiądz Prymas wypowiada te dramatyczne słowa, że nie udało mu się ocalić życia księdza Jerzego. Dramatyczne także w tym sensie, że ta refleksja brzmi: myślałem tylko o jego życiu. Ks. Popiełuszko myślał kategoriami wiary, myślał o tym, że nie wolno mu, jeżeli Kościół go posłał do konkretnych ludzi i on z tymi ludźmi był, nie wolno mu ich zdradzić, natomiast Ksiądz Prymas nawet po latach myśli o tym, co ksiądz kanclerz powiedział, o tej jednej przesłance więcej. Jakiej? Nie o przesłance wiary, ale przesłance wynikającej z informacji ze strony przeciwnej. Czy nie jest tak, że takie przesłanki i ich ziemska logika okazują się istotniejsze niż logika wiary?***

Z.K. – Proszę pamiętać, że w chrześcijaństwie nie wolno nikomu nakazać heroicznego działania. To jest podstawowa rzecz. Wolno od nas wymagać, żebyśmy bronili prawdy, dobra, ale heroiczne działanie jest wyborem każdego człowieka i nie może zostać nikomu nakazane. Ksiądz Prymas musiał myśleć w kategoriach ochrony życia kapłana. Gdybyśmy rozważali pewne szczegóły, to widzimy, że Prymas kiedyś i to powiedział: mogłem mu nakazać wyjazd do Rzymu, ale nie mogłem mu tego zrobić, ponieważ byłoby to zwycięstwo wrogów Kościoła. Oni by to wykorzystali, ta rzesza słuchająca Jerzego zostałaby obrócona przeciw Kościołowi. Ja chciałem – zdaje się mówić Prymas – ratując go, pozostawić mu wybór i decyzja należała do niego. Oni wykorzystywali wszystko, wypowiedzi biskupa, że działalność księdza Jerzego rodzi problemy, wykorzystaliby także ewentualny nakaz wyjazdu jako potwierdzenie tego.

J.S. – Pamiętam, że nawet po śmierci księdza Jerzego praca jego proboszcza ks. Boguckiego była postrzegana jako działanie, które szkodzi Kościołowi. Z całą odpowiedzialnością o tym mówię, mówił mi to ks. Bogucki ze łzami w oczach. W tym momencie były rozmowy „na szczycie" i ustalanie pewnych rzeczy. Działania takie jak ks. Boguckiego czy ks. Popiełuszki i innych szkodziły tym wzajemnym układom. Chcąc, nie chcąc, człowiek ulega rozmówcy. Jeżeli rozmówca wmawia, że byłoby lepiej, gdyby..., to w którymś momencie przejmuje się to zdanie jako własne, że byłoby lepiej, gdyby ci księża przestali tak działać. Dobrze, że ksiądz infułat wspomniał o tym skażeniu tymi rozmowami z władzami. Ono u władz Kościoła z konieczności istniało.

Z.K. – Za bardzo wierzyliśmy w autentyzm komunistów.

J.S. – Dam przykład tej strategii, nie wiążący się ściśle z ks. Jerzym. Rozmawiam w więzieniu w Białołęce z internowanymi, a oni mówią, proszę księdza, to skandal, przychodzi abp. Dąbrowski (który notabene ze skóry dla nich wychodził, oddałby za nich swoje życie, bardzo dużo dla nich robił, od interwencji, przez starania o leki, aż po pomoc w sprawach rodzinnych), przychodzi i mówi: słuchajcie, ja mogę wam załatwić zwolnienie pod warunkiem wyjazdu za granicę. I w tym momencie pierwszy chyba Michnik zaklął szpetnie: to po co ja tu siedzę? Nie po to, żeby własną skórę ocalić. Zobaczyłem wtedy ten kontrast, z którego, podejrzewam, że obie strony nie zdawały sobie sprawy, zarówno ks. arcybiskup, jak i internowani. Ten robił wszystko, żeby im było dobrze i ich jakoś uratować, a oni myśleli innymi, szerszymi kategoriami. To samo było z Kornelem Morawieckim. Było oburzenie na księdza arcybiskupa, czy on zrobił dobrze, czy źle. To było pod wpływem presji chwili, on chciał zrobić to, co było możliwe.

B.P. – ***Jednak intencja księdza Jerzego była inna. A ci, o których ksiądz mówi, część z nich robiła i chciała robić kariery polityczne, więc ta analogia nie jest do końca pełna.***

J.S. – I teraz pytanie, czy oni nie chcieli tej pomocy przyjąć ze względu na kariery, które robili, czy ze względów czysto patriotycznych. Na ten temat nie chcę się wypowiadać. Szczerze powiem, że ja wtedy byłem przeciw stanowisku arcybiskupa.

B.P. – ***Mówiło się o wyjeździe księdza Jerzego do Rzymu. Jak to było? Czyj to był pomysł? Dlaczego nie pojechał?***

Z.K. – Ja nie wiem, i nikt z nas naprawdę nie wie, jak było z tym wyjazdem Jurka do Rzymu. I Prymas nie wie dokładnie, i my w kurii nie wiedzieliśmy dokładnie. Ośmioro ludzi przyszło z kościoła św. Stanisława Kostki, rozmawiali z Prymasem na temat ewentualnego wyjazdu księdza Jerzego do Rzymu, żeby go uratować. Bo wszyscy mieliśmy świadomość, że oni chcą go zamordować. Mieliśmy przecieki, mieliśmy podrzucane taśmy z ich tajnych narad. Wiedzieliśmy, o czym rozmawiają i jakie są ich zamiary. Oni mieli listę księży, których chcieli zlikwidować.

J.K. – Czy to znaczy, że decyzja o wyjeździe do Rzymu nie zapadła? Ksiądz Jerzy rozmawiając z ks. Antonim Ponińskim we wrześniu na propozycję, żeby wygłosił re-

kolekcje adwentowe, odpowiedział: „Mnie już tu nie będzie, nie mogę przyjąć twojego zaproszenia, bo będę w Rzymie". Czyli on do ostatniej chwili się nie zdecydował?

Z.K. – Ciągle była dyskusja, ale decyzji nie było. Wracam do tego zdania, gdy Jerzy powiedział: nie mogę tych ludzi zdradzić, nie mogę ich zostawić. Mówił, że jego wyjazd do Rzymu byłby ucieczką z miejsca, w którym go Kościół postawił. Taka była jego świadomość. To nie były wyliczenia, wyrachowanie czysto ludzkie. W Jerzym nigdy nie było postanowienia wyjazdu. I moim zdaniem, Ksiądz Prymas takiej decyzji też nie podjął. Nie mamy takiej wiedzy ani z Rzymu, ani w żadnej notatce kurialnej, ani prawdopodobnie w sekretariacie Prymasa. Była ciągła dyskusja, ale Jerzy nie miał takiej woli.

J.S. – O tym, czy wyjedzie do Rzymu, więcej mówiło się na zewnątrz niż wewnątrz Kościoła.

B.P. – ***Drążenie tej sprawy nie jest zaspokajaniem jakiejś czczej ciekawości, tylko próbą wyjaśnienia takiej sytuacji, w której z jednej strony ks. Jerzy jest odpowiedzialny za tę część Kościoła, to duszpasterstwo i misję, którą mu powierzył Kościół, ale z drugiej strony on przecież jest temu Kościołowi posłuszny. Taki wyjazd można mu było wręcz nakazać.***

Z.K. – Oczywiście, wtedy by wyjechał, można byłoby to zrobić. Myśmy się zastanawiali nad tym, ale myśląc o tym nakazie, wiedzieliśmy, że zrobimy krzywdę sprawie. Bo czy on wyjedzie, czy nie wyjedzie, wtedy już nie byłoby istotne, natomiast SB i IV Departament byłyby usatysfakcjonowane, że rządzą w Kościele. Echo tego byłoby fatalne.

B.P. – ***A więc wtedy takie było myślenie, że to jest pokazanie wewnętrznej siły Kościoła?***

J.S. – Tak, że to był odpór dany próbie mieszania się w wewnętrzne sprawy Kościoła. Takie próby były podejmowane cały czas, ale chodziło o to, by nie były one udane.

J.R. – ***W którym momencie księża towarzyszący, będący razem z księdzem Jerzym, poczuli, że zagrożenie księdza Jerzego nie polega już na tym, że mogą go napaść czy oskarżać, ale że to jest poważne zagrożenie życia, że on może być zamordowany?***

J.S. – Dla mnie to był moment, kiedy po Mszy św. zobaczyłem go otoczonego przez dziennikarzy z całego świata, reporterów, telewizje. Dziennikarze ominęli obecnych tam wybitnych opozycjonistów i pobiegli za nim. Widzę, że jest szczelnie otoczony tym wianuszkiem, z drugiej strony kolejny wianuszek przyjaciół i trzeci, który widziałem okiem wyobraźni – ludzi władzy, którzy na to patrzą. Ten obraz był dla mnie przeciwstawieniem tych dwóch potęg – państwa i komunizmu, a z drugiej strony siły ducha tego człowieka, przy całej jego kruchości. Pamiętam, że patrzyłem na to i myślałem sobie – co z tego będzie? Ty już, bracie, nie możesz się z tego wycofać. To nie była refleksja związana z przeczuciem końca, to trochę przerastało moją wyobraźnię. Ale myślałem – do czego to doprowadzi?

J.R. — ***To, że księża przychodzili tam, czy to była tylko chęć służenia tym tłumom, czy też motywacją księży było to, żeby w tym trudnym czasie, kiedy zagrożenie narastało, być przy nim, żeby on nie był sam?***

J.S. — Z racji swojego powołania jesteśmy pasterzami trzód, odczuwamy poprzez trzodę. Jeżeli ktoś czuł się naprawdę związany z wiernymi, z Polską, po prostu nie mógł tam nie być. To był jakiś wewnętrzny imperatyw, bo tam się coś ważnego dzieje dla całego kraju. Nie wszyscy to czuli. Dla mojego pokolenia, które przeżyło czas okupacji, Powstania Warszawskiego, to wszystko, co było związane z przeżyciami patriotycznymi, z Polską, to tu po prostu nie było dyskusji — trzeba było brać w tym udział. Nieraz się dziwiłem, że u niektórych księży Msze za Ojczyznę nie wywoływały takiego rezonansu. Jerzy, bez doświadczenia wojny, miał to poczucie polskości może dlatego, że otaczali go ci wszyscy ludzie.

B.P. — ***Zobaczył, jak dla tamtych ludzi to są ważne sprawy.***

J.S. — Poczuł to nerwem duszpasterza.

Z.K. — Potem już, pomiędzy tym pierwszym zamachem a śmiercią Jerzego ci, którzy o tym wiedzieli, natrętnie zaczęli przekonywać go do wyjazdu, zostawienia całej sprawy, ucieczki. Każdy na swój sposób. On wtedy mówił tak — ja to z gotowością złożenia przysięgi powtarzam — to jest ogromnie istotny moment. No dobrze, byłem z nimi w chwilach trudnych i teraz mam ich zostawić? Co im Kościół da — to, że ucieknę? Że ich zdradzę? Jemu płynęły łzy z oczu. A przecież on miał świadomość zagrożenia. Jerzy regularnie przychodził do spowiedzi, bo był człowiekiem wiary i miał świadomość, że w każdej chwili będzie musiał rozliczyć się ze swoim życiem. Można powiedzieć — ot, chodził do spowiedzi jak każdy ksiądz. Ale on tak tego pilnował, strzegł, ciągle się przygotowywał. Ktoś zacytował to jego zdanie, że „jestem gotowy na wszystko", ale on był gotów w tym sensie, że wiedział, że UB nie żartuje. Oni nie szantażują, oni wykonują to, co powiedzą. Jemu było dlatego tak trudno, że on miał świadomość, że mogą go zamordować, i mimo to się nie wycofał. Tutaj dotykamy jego heroizmu, męczeństwa. Nie dlatego, że dadzą mi krzyż, zasługę itd., ale dlatego, że nie wolno zdradzić ludzi, którzy szukają dobra, prawdy, którzy szukają oparcia, chcą mieć zaufanie do Kościoła. Kilka razy ksiądz Jerzy mówił o tym do mnie tak mocno, bo myśmy trochę go traktowali z przymrużeniem oka w pewnych momentach...

J.S. — Nawet mówiliśmy na niego — Popiełuch. Pamiętam, że jeszcze w wakacje w 1984 r. w Dębkach opowiadał mi, jak go ścigali i jak mu wrzucili pluskwę do samochodu. Ktoś tę pluskwę odkrył, potem on jechał, zgubił dwa samochody, które go ścigały. Pamiętam, że wtedy mu nie dowierzałem i myślałem sobie — bracie, przesadzasz, opowiadasz takie rzeczy. Oni akurat nie mają co robić, tylko za tobą jeździć. Tak wtedy myślałem.

Z.K. — Jedziemy na spotkanie duszpasterzy służby zdrowia do Niepokalanowa, nagle błysk, drugi raz błysk. Myślę, jakiś wariat jedzie za nami. A Jerzy mówi: księ-

że kanclerzu, oni nam robią zdjęcia. Też mają co robić, fotografują mój samochód?! Czasem nie dowierzaliśmy i dlatego nie byliśmy w stanie zrozumieć stanu duchowego tego człowieka.

Wspominam naszą rozmowę z czwartku przed jego męczeństwem. Spotkaliśmy się u sióstr wizytek na nabożeństwie dla służby zdrowia z racji św. Łukasza. Przy tej okazji toczyła się tam dyskusja. Pamiętam, jak któryś z księży – był tam bp Zbigniew Kraszewski, ks. Jan Twardowski i kilku młodych księży – zapytał: Jerzy, jak to się dzieje, że tylu agentów macie w tym tłumie, tylu ludzi przychodzi tam, żeby wam zrobić ferment, a jednak jest spokój? Jurek z takim spokojem odpowiedział: to jest zasługa ks. Boguckiego, on zawsze odprawia egzorcyzm i wypędza diabła, żeby nam nie zamącił. Zobaczyłem prostego człowieka, który ma tyle ufności, że w to dzieło, w które on wkłada tyle pracy, diabeł nie ma prawa wejść, bo to Pan Bóg go chroni i osłania. Po wyjściu od wizytek postaliśmy chwilę przed kościołem. On szybciej odjechał. Dopędziłem go na światłach na Miodowej. Wtedy wjechał między nas ten biały samochód, ten, który potem mu towarzyszył cały czas. Jechaliśmy aż do Franciszkańskiej, ja tam puściłem długie światła na jego samochód, on podniósł w górę lewą rękę, i ta ręka uniesiona do góry stała się naszym pożegnaniem.

B.P. – ***Zdarza się, że wierni kreują swojego duszpasterza. Jest taki splot wydarzeń i emocji, które wynoszą jakiegoś duchownego, zwyczajnego księdza, na pewnego rodzaju gwiazdę Kościoła lokalnego. Spotykałam się z takim gwiazdorstwem w Kościele, ale nie chcę powiedzieć, że często. To jest bardzo miłe, to unosi w pewnym momencie i duchownego, i ludzi, ale to bywa niesłychanie niebezpieczne. Jedyną gwiazdą w Kościele, jeśli można tak powiedzieć, jest Pan Jezus, i często tacy księża, uniesieni, nawet nie własną pychą, tylko tym uwielbieniem i zapotrzebowaniem ludzi, zapominają o tym, kto jest najważniejszy. Z księdzem Jerzym było tak, że był on rzeczywiście bardzo uważnie słuchany, ale i uwielbiany przez ludzi. Wykazał dużą odporność na tę sytuację.***

Z.K. – Trzeba mieć świadomość tego, jak działa psychologia tłumu, jak wynosiła trybunów ludu. Nie powiedziałbym, że to jest złe, ze strony rzeszy ludzi. Jeżeli natomiast ten, kogo rzesza wynosi, uwierzy w to, co tłum mówi, to przegrywa na starcie. Wcześniej czy później poniesie klęskę. Ja się tego bałem u Jerzego. Wtedy przy Jerzym byli różni ludzie, przypomnę byłego rektora-elekta UW Klemensa Szaniawskiego, o którym wiadomo, że był agnostykiem. Bardzo widoczna była ta wielka tolerancja Jurka, który miał przy sobie bardzo różnych ludzi. Strasznie się bałem, żeby ci ludzie nie dokonali w jego życiu jakiegoś zamętu prowadzącego do wykonania jakiegoś znaczącego, a obcego mu ruchu. Wtedy by przegrał.

Jurek był sobą, był księdzem i nie ulegał ani Michnikowi, ani Kuroniowi, ani innemu znaczącemu człowiekowi, choć ich wszystkich bardzo szanował. Oni przychodzili,

on się z nimi spotykał. Ten prosty chłopak, prosty ksiądz, który intelektualnie nie był nadzwyczajny, nie miał wybitnej inteligencji, był sobą przez całe życie, od dzieciństwa przez wojsko, początki kleryckiego życia i życie kapłańskie – nie zgubił się.

J.S. – Naprawdę był dzieckiem Kościoła.

J.K. – Jakież to cechy niezwykłe tego zwykłego księdza tak przyciągały do niego ludzi? Z moich rozmów wynika, że to był prosty ksiądz, za to szalenie otwarty. Podkreśla się, że był bardzo bezinteresowny.

Z.K. – Ludzi do niego sprowadzało to, że mieli zaufanie, że on nie zdradzi, nie zostawi. Tak ważną rzeczą było to zdanie, które powiedział, „ja nie mogę zdradzić tych ludzi". Myślał też tak w imieniu nie tylko siebie, ale i Kościoła, nie wolno nam zdradzić tych ludzi. Wiele osób zawdzięcza mu wiarę. Wielu ludzi odzyskało ufność w siebie. On otrzymywał bardzo wiele listów. W jego osobowości wierność ludziom jest cechą podstawową. „Nie wolno mi zmarnować tego zaufania, którym mnie ludzie obdarzyli, a poprzez mnie Kościół". To najważniejsza cecha jego postawy.

J.S. – Był autentyczny jako ksiądz, Polak i przyjaciel, a to jednało mu ludzkie serca. Nie zawsze było wiadomo, kto jest naprawdę szpiclem, a kto jest oddany sprawie. Przywódcy różnego kalibru zdradzali i działali koniunkturalnie. A on w tym bagnie był jak twarda opoka. Ludzie zdawali sobie sprawę, że to wszystko może się bardzo źle skończyć. On też zdawał sobie z tego sprawę.

Z.K. – Więźniowie w Białołęce wiedzieli, jakich metod używa się, żeby zmiękczyć człowieka, i dlatego oni do niego lgnęli. Ludzie spoza Kościoła szanowali w nim to, że umie być wierny do końca – przecież rzucano w jego okna cegłami, malowano mu samochód, pomawiano o niemoralność. Ów agnostyk, rektor i profesor Klemens Szaniawski, otaczał go swego rodzaju kultem.

J.S. – To prawda, i ja pamiętam, jak Szaniawski w taki właśnie sposób mówił o księdzu Jerzym.

B.P. – ***A przecież to była zimna umysłowość.***

J.S. – Nie pamiętam już, czego to dotyczyło. On mówił: proszę księdza, tu właśnie w tym miejscu, tu gdzie ksiądz stoi, ksiądz Jerzy powiedział mi to i to, słowa bardzo dla mnie ważne. Tu z nim rozmawiałem, zatrzymał się w tym miejscu przy mnie. I to było dla mnie szokujące, że ten Popiełuch, mój dużo młodszy kolega, dla tego człowieka był niemal wyrocznią.

J.R. – Kardynał Wyszyński stawiał na Kościół ludowy. Ksiądz Jerzy – jeśli wolno zabrać głos w roli dyskutanta – jest przedstawicielem tego Kościoła ludowego: prosty człowiek, ksiądz pracowicie szlifujący kazania, wygłaszający je niekiedy w sposób chropawy. Nie był na pewno krasomówcą. I ten człowiek z ludu wzięty ma bardzo prostolinijne myślenie. Wiele osób wspomina, jak z pewną emocją opowiadał, że go śledzą, że próbowano zrobić na niego zamach, ale jego myślenie jest prostolinijne. Nie dopuszcza tych wszystkich źródeł informacji, co może się stać. Ma parę prostych wskazówek i wręcz katechizmowe myślenie. Kilka jasnych prawd

w życiu, którym służy, nie spekuluje i nie zastanawia się nad tym, a co to będzie. Niezwykły jest ten jego ludowy katolicyzm w kazaniach, które nie są napastliwym mówieniem o komunizmie, o konkretnych ludziach, które są głoszeniem wiary. Wyczuwał, że w tej trudnej sytuacji trzeba nazwać rzeczy po imieniu, głosić prawdę, a najlepiej robić to, odnosząc się do autorytetu Jana Pawła II i kardynała Stefana Wyszyńskiego, uznawanych przez wszystkich. Niesłychana jest pokora i posłuszeństwo tego człowieka, ciągle szukającego aprobaty Kościoła, cierpiącego, że nie jest do końca rozumiany przez hierarchię. On spełnia tylko misję duszpasterską. Nie należał nawet do kręgu tych księży, którzy wcześniej byli związani z opozycją ani mediami zagranicznymi.

B.P. – Więc i ja też jako dyskutantka. Zwrócę uwagę na jeszcze jedną sprawę. Msze za Ojczyznę były w ówczesnej Warszawie pewnym szokiem obyczajowym, tak bym to nazwała w skrócie, zaraz to wytłumaczę. Do Warszawy, miejsca, które nie jest pielgrzymkowe, bo tutejsze sanktuaria mają charakter lokalny, wdarło się przy tej okazji coś z tej religijności ludowej, która towarzyszy pielgrzymowaniu do miejsc świętych, z całą otoczką, handlem dewocjonaliami, ściąganiem uwierających butów itd. W Warszawie to było jednak na początku dość egzotyczne i pewnie wiele osób oceniało to wszystko tak bardzo powierzchownie, jako nie swoje.

J.K. – Kilka słów na temat języka. Nie chciałbym, żeby poprzestać na tym, że ksiądz Jerzy cytował tylko prymasa Wyszyńskiego i Ojca Świętego. Zwróciłbym uwagę na specyficzny język, jaki on sam wnosił. Jest to język poetycki, bo kiedy on coś dodaje od siebie, a dodaje bardzo dużo, kiedy parokrotnie jest wpleciona jego własna modlitwa, to widać, że on ją wyprowadza z serca. Podobnie w rozważaniach drogi krzyżowej czy różańca. To musiało ludzi poruszać.

B.P. – ***No, to jest jednak znaczna różnica – głoszenie kazania a modlitwa. W modlitwie człowiek jest jednak sam na sam z Panem Bogiem.***

Z.K. – Na słuszność tezy, którą pan zaprezentował, podam następujący przykład. Ostatni dzień maja 1982 r. Pielgrzymka służby zdrowia na Jasną Górę. Mam mówić w nocy homilię i nagle odbiera mi głos, zachorowałem. Zaprosiłem Jurka do siebie i mówię: nie będziemy prosić nikogo innego. Jerzy wygłasza homilię, nie napisaną. Lekarze potem powiedzieli mi, że to było najlepsze kazanie Jurka, jakie słyszeli. Gdy stanął wobec takiego zadania, mówił z serca. Szkoda, że tego kazania nikt nie zanotował, nie jest ono zarejestrowane. Może mają to ubecy, ale oni też nie wiedzieli, że on je będzie wygłaszał. Tak było kiedyś ze zdjęciem, podczas ostatniej Mszy odprawianej przez niego w Warszawie. Ja nie odprawiałem, przewodniczył bp Kraszewski, był ks. Grefkowicz i był Jerzy. Siedziałem w konfesjonale, wyszedłem na „przekażcie sobie znak pokoju". Wziąłem go za głowę, którą położył mi na lewym ramieniu i gorzko zapłakał. To było u wizytek. W tym momencie ktoś z kościoła zrobił zdjęcie z fleszem. Wiele razy prosiłem o zgłoszenie się autora, ale się nie odezwał się do dziś. Prawdopodobnie zrobiła to SB.

B.P. — ***Powiedzmy jeszcze coś o nim jako zwyczajnym człowieku.***

Z.K. — Pewien ksiądz powiedział mi kiedyś: ja uważam, że Jerzy był trochę pyszny i zarozumiały. A z czego ksiądz to wnioskuje? A z tego zdjęcia, jak on stoi na tle drzwi plebanii z kwiatkiem. Ja mówię — przecież on się tak cieszył z tego kwiatka. On pokazał tylko swoją najprostszą radość. Umiał się cieszyć i miał w sobie radość.

J.S. — Pamiętam kiedyś nad morzem, w Dębkach, siedzieliśmy na plaży, była tam też Maja Komorowska i mec. Edward Wende. Rozmawialiśmy o przebaczeniu i mecenas i Maja mieli inne zdanie. Jerzy zdecydowanie bronił swoich przekonań, mimo że całe towarzystwo jakoś tam na niego naciskało. Miał swoje zdanie, potrafił je wyartykułować i obronić. Maja była za tym, żeby tak liberalnie traktować, jak już ktoś coś zrobił, to trzeba mu przebaczyć. A on mówił: przebaczenie po chrześcijańsku wymaga dopełnienia konkretnych warunków. Mówił tak, jak każdy normalny ksiądz powinien to powiedzieć.

Ukazują go także jego kazania. Trochę o nich mówiliśmy. Mnie rzadko było stać na to, żeby napisać sobie całe kazanie. Jak byliśmy w Dębkach, on miał mówić u św. Brygidy w Gdańsku, więc siedział w nocy i pisał kazanie. Rano poszliśmy na plażę, on został i nadal je szlifował. Dla mnie było to coś nieprawdopodobnego. Po co on to robi? Dopiero później, po tych wszystkich wydarzeniach, pomyślałem sobie, jak to dobrze, to też było jakieś opatrznościowe. Duch Święty mu kazał wszystko, słowo po słowie pisać.

B.P. — ***Mógł być to przejaw pokory, że nie dowierzał swoim umiejętnościom utrzymania dyscypliny intelektualnej podczas kazania, albo też po prostu dowód na to, jak bardzo poważnie i rzetelnie traktował swoje powołanie.***

J.S. — Podziwiałem tę jego niezwykłą pracowitość i odpowiedzialność za słowo. W moich oczach on jeszcze nie był wielkim Popiełuszką, był jednym z wielu księży, którzy byli blisko ludzi i poruszali się w nurcie dziejących się wydarzeń.

B.P. — ***Czy zdarzyło się tak w jego życiu, że spotkał kogoś, kto go zawiódł, więc stracił do niego zaufanie, unikał go?***

J.S. — Nie słyszałem, by kogokolwiek przekreślił czy znienawidził.

B.P. — ***Moje pytanie nie idzie w kierunku nienawiści, raczej w kierunku zrozumienia człowieka, który ma postawę akceptującą, ale też coś go zraniło, został zdradzony. To jest taka opozycja pomiędzy ufnością a zalecaną czujnością i roztropnością.***

J.S. — Nie było tak, że on mnie przestrzegał: uważaj na tego czy innego. Myślę, że w sytuacji, w której znaleźliśmy się, gdyby on miał takie osoby, to pewnie próbowałby mnie jakoś przestrzec.

J.R. — ***Jak ksiądz postrzegał księdza Jerzego zanurzonego w tłumach, podczas Mszy św. za Ojczyznę?***

J.S. – To, co mnie uderzyło, to klimat – Boży i religijny. To były rzeczywiście Msze święte. Pamiętam to wiszenie na ustach księdza, co sam potem odczułem, prowadząc po nim Msze święte. Homilie i wystąpienia są dialogiem z ludźmi. Ludzie chwytali każdy niuans. Słowa były tylko komunikacją formalną, tam była komunikacja duchowa, związek duchowy. Wiadomo było, że ci ludzie się po prostu rozumieją. Potem ktoś powiedział, że to są dwie godziny wolnej Polski, i ja się pod tym podpisywałem i tak to wtedy czułem. Ludzie tam byli dla siebie życzliwi, dobrze się rozumieli, a niejedno słowo rozpalało ich jak iskra.

B.P. – ***Takie doświadczenie dały nam już spotkania z Janem Pawłem II.***

J.S. – Dlatego ja mu wtedy powiedziałem, że ty jesteś mały papież.

B.P. – ***Może nie mały, ale dość chudy.***

J.S. – Ale to właśnie było moje pierwsze uczucie, że istnieje interakcja, analogiczna do tego, co się działo przy Ojcu Świętym, który jednak musiał wyjechać, a tutaj to trwało. Poruszała mnie też wrażliwość na sformułowania i słowa, o czym zresztą rozmawiałem z aktorami. Powiedziałem im wtedy – wy jesteście prawdziwą polską arystokracją. Któryś z nich odpowiedział: my w życiu nie mieliśmy takiej sceny, jaką mamy tutaj. Ludzie, których tam spotykałem, odruchowo wydobywali z siebie to, co w nich jest najlepsze.

J.K. – Uważam, że księża mieli wielkie szczęście, bo lekko traktowali w swoich kazaniach władzę. To jednak nie były jeszcze czasy Pomarańczowej Alternatywy. Komuniści najbardziej ze wszystkiego bali się ośmieszenia. Mamy tego dowody, kiedy jest mowa o zarzutach postawionych w 1983 r. ks. Popiełuszce (nie pojawia się to w odniesieniu np. do ks. Jankowskiego), „że w sposób negatywny i poniżający wyraża się o osobach, które pełnią kierownicze funkcje w państwie". Jest to zarzut szalenie istotny, pojawia się po raz kolejny pod koniec 1983 r. Ksiądz Jerzy bardzo jednoznacznie wypowiedział się o pomyśle Jaruzelskiego, żeby „ludzi skazywać na banicję". Wtedy ruszyła cała machina propagandowa: zaczęło się od Urbana i szło przez kolejnych dziennikarzy. Ja uważam, że to było coś, co przekroczyło ich „wyrozumiałość", oni tego już nie mogli znieść, że ksiądz nazywa rzeczy po imieniu. To było dla nich najbardziej upokarzające i niebezpieczne. Oni byli upokarzani, kiedy jeździli do Moskwy, dlatego nie znosili jakiejkolwiek formy ośmieszenia ze strony obywateli. Myślę, że to wyróżniało księdza Jerzego, że poprzez to dokładne przygotowanie, nazywanie rzeczy, a nie ludzi, po imieniu obnażał prawdę o systemie. Oni tego nie mogli znieść, że przychodzą dziesiątki tysięcy ludzi, są przygotowywane odpisy jego kazań, to idzie po całej Polsce. Cokolwiek by powiedział ks. Małkowski czy ks. Jankowski, to jednak miało mniejszy zasięg. Ksiądz Jerzy skupiał na sobie nieustannie czujną uwagę partyjnych decydentów. Był nie dającym się uciszyć głosem prawdy.

J.S. – Oni się bardzo bali jakiegoś opozycyjnego wobec nich systemu, bardziej niż inwektyw, na inwektywy nie zwracali uwagi. Zawsze mówiłem klerykom:

macie tak mówić kazanie, żeby córka Jaruzelskiego, gdyby znalazła się na waszym kazaniu, nie czuła się obrażona. Sam też się tego bardzo trzymałem. Gdy jednak bp Romaniuk pokazywał mi, co oni pisali o moich kazaniach, zauważyłem, że nigdy nie cytowali żadnego zdania, a jedynie opisywali klimat Mszy św. i środowisko, które na niej się znalazło. Żadnego cytatu, tylko to, że daję możliwość wypowiedzenia się komuś, a zarzutem były nazwiska ludzi, którzy uczestniczyli w tej Mszy św. Bali się alternatywy dla swojego jedynowładztwa.

Z.K. – W pierwszym okresie komuny, kiedy jak ktoś coś powiedział, to była taka bolszewicka metoda – po prostu zabijano, nie dyskutowano, nie wysyłano do obozu pracy. W czasie kiedy była sprawa księdza Jerzego, komuna się strasznie boi i chce wmówić społeczeństwu, że Kościół ją toleruje, współpracuje z nią, i że chodzi o dobro ojczyzny.

B.P. – ***Taką strategię oni mieli już przedtem kilka razy.***

Z.K. – Gdyby było to prawdą, to znaczyłoby, że Kościół jest poza społeczeństwem. Ksiądz Jerzy jest ze społeczeństwem, bo gromadzi się dwadzieścia i więcej tysięcy ludzi pod kościołem św. Stanisława. Oni się tego strasznie bali. Momentami czułem, i takie były moje rozmowy z władzami państwowymi, że im nawet nie zależało na tym, co ksiądz Jerzy powiedział, bardziej chodziło o fakt Mszy św. za Ojczyznę, gromadzenia w tej intencji ludzi. Wolna Europa, Głos Ameryki dodatkowo to nagłaśniają, kto tam był, że przyjechał ktoś znaczący z zagranicy, chciał zobaczyć księdza Jerzego, uczestniczyć w tej Mszy św., to ich przerażało. Oni się bali księdza Jerzego, zjawiska i przesłania.

J.R. – ***Myślę, że oni woleliby, żeby ludzie wychodzili po tych Mszach naładowani negatywnymi emocjami, żeby zaczęli się bić z ZOMO. Z tym potrafiliby sobie poradzić, bo siła była wtedy po ich stronie. A tu ludzie nie byli naładowani nienawiścią do zomowców, ale szli z wyprostowanym kręgosłupem, szli z podniesioną głową. To było dla nich nie do zniesienia, że ktoś organizuje takie zjawisko, po którym ludzie nie szukają konfrontacji, nie boją się, odzyskują kręgosłup, odzyskują godność.***

J.S. – To właśnie jest esencja tego, co tam się działo. A kiedy ksiądz Jerzy zaczął jeździć, kiedy zgromadził rzesze ludzi w Częstochowie, oni zobaczyli siłę tego człowieka i ogarnął ich strach.

B.P. – ***Podjęcie decyzji, żeby go zamordować, też jest przyjęciem pewnego scenariusza; zamordowanie kogoś, kto jest tak szanowany, jest niebezpieczne. Wiadomo było, że nie zniszczy się tym sposobem Kościoła. Na co oni liczyli?***

J.K. – Wystarczy zanalizować to, co mówiono w grudniu 1983 r. na konferencji Akademii Spraw Wewnętrznych i Departamentu IV MSW, który zajmował się inwigilacją Kościoła. Mówiono, ujmę to w największym skrócie, że podziemna „Solidarność" jest rozbita, i że teraz należy uderzyć w Kościół. Ważne jest też, kto

to mówił: Pietruszka, czyli ten, który bezpośrednio wydał polecenie zamordowania księdza Jerzego, jego zwierzchnik, dyrektor Departamentu IV MSW Płatek, i szef osławionego Urzędu ds. Wyznań Adam Łopatka. To dzisiaj jest taka tendencja, żeby przedstawiać ówczesne władze komunistyczne, w tym czołowych esbeków, jako pragmatyków, prekursorów jakiejś odnowy. Nic podobnego. To byli komuniści, janczarzy Moskwy, którzy wierzyli w ten system i sądzili, że układ geopolityczny jest niezmienny. To, że czerpali oburącz korzyści materialne, nic nie zmieniało z ich wiary. Widać wyraźnie z ich wypowiedzi, że w 1983 r. uważali, że znów nadszedł czas, by „reakcji zadać śmiertelny cios". Pietruszka w swoim wystąpieniu mówi to jednoznacznie, nawiązując wprost do lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Im się w ogóle nie mieściło w głowach, że za kilka lat nastąpi kres komunizmu. Zamordowanie księdza Jerzego to rzeczywiście swego rodzaju powrót do podstaw komunistycznych metod rządzenia, z lat trzydziestych, czterdziestych czy pięćdziesiątych. Nic tak nie niszczy nadziei człowieka czy narodu jak to, że ktoś, kto jest wielkim autorytetem, jest podziwiany i kochany, może być bezkarnie zamordowany. W tym było takie przesłanie do ludzi – zobaczcie, jaka jest ta „Solidarność", ona nawet nie uchroniła jednego księdza, ich kapelana. Więc dajcie już sobie spokój z tą „Solidarnością", bo to są trupy. Dla Kościoła przesłanie było nieco inne, choć równie wyraźne: my z wami będziemy rozmawiać, ale nie ma mowy o tym, żebyście się pchali z jakąkolwiek polityką; przez co rozumiano wszystkie formy publicznego czy społecznego zaangażowania. To była – moim zdaniem – groźba: uważajcie, bo to już nie będzie tak, że zakażemy wam budowy tego czy innego kościoła, nie będziecie posłuszni – będziemy zabijać waszych ludzi. To, co się stało potem, to, że musieli poświęcić niektórych ludzi, świadczy być może, że pierwotny plan całej operacji był nieco inny, czy też wykonanie skandalicznie złe. Ale to ma w gruncie rzeczy znaczenie drugorzędne.

J.S. – Podczas pogrzebu solidaryzowałem się ze zdaniem Wałęsy: „Solidarność" żyje, bo ty oddałeś za nią życie. W tym widziałem sens tej śmierci, że ona nie tylko niczego nie zatrzyma, a wręcz przyspieszy przemiany. To jest dramat tego wydarzenia, a zarazem jego sens.

J.R. – ***Dla mnie te kilkaset tysięcy ludzi, którzy tam się zebrali, to już w tym momencie był znak zwycięstwa. Komunizm był już w tym momencie pokonany. To jest tak jak z ojcem Maksymilianem w Oświęcimiu. System może go zabić, ale nie może zabić tego, co on głosił, swoim życiem i swoją ofiarą.***

Z.K. – Wtedy budowałem moje wszystkie wypowiedzi na takim przesłaniu, które jest na kościele, potem umieściłem je na kościele św. Karola Boromeusza w nawiązaniu do śmierci ks. Niedzielaka: „Nie wolno nam zmarnować tej śmierci". Tak to wtedy przeżywałem, to jest pewien dar, dla Ojczyzny, dla Kościoła, dla naszego kapłaństwa. Niedawno powiedziałem w jakimś wywiadzie radiowym, że gdyby nie

było śmierci księdza Jerzego i kilku jeszcze innych księży, to by nam tylko zostało przepraszanie za księży-patriotów.

Bardzo byłem wdzięczny Księdzu Prymasowi za to, że wydał decyzję, o którą walczyłem bardzo mocno, o pochowaniu Jerzego przy kościele. W tej sprawie zwyciężyłem z komunistami podstępem. Powiedziałem: czy wy sobie wyobrażacie, co to będzie, jak ten tłum przejdzie przez Warszawę, jak będzie szła ta procesja na Powązki, kto się temu oprze?

J.S. – A ja miałem w oczach i w pamięci pogrzeb Przemyka, który prowadziłem przez miasto. Ta manifestacja, ten milczący tłum, który szedł, umacniając świadomość, i rozrywał okowy strachu. Przyznam się, że ja marzyłem o czymś takim. W pierwszej chwili w moim przekonaniu to powinien być właśnie taki pogrzeb. Myślałem, że to da ludziom siłę i otuchę.

J.R. – ***Po pewnym czasie na Powązkach prawdopodobnie zwłoki księdza Jerzego by zniknęły.***

Z.K. – Nawet przy kościele się tego obawiano i dlatego powstała warta przy grobie księdza Jerzego. Myśmy się bali, że go ukradną. Oni przecież byli świadomi, że to jest wielka relikwia narodowa. W tych decyzjach o miejscu spoczynku ciągle cytowałem matkę Jurka, która powiedziała: „Ja go oddałam Kościołowi i Kościół będzie decydował, gdzie on ma być pochowany".

J.R. – ***Kościół stawia konkretne warunki męczennikom; co w postawie księdza Jerzego świadczy o tym, że oddał życie nie tylko za »Solidarność«, za Polskę, ale za wiarę?***

Z.K. – Można to stwierdzić na podstawie tego, co przypomnieliśmy: „jestem gotowy na wszystko", „nie mogę zostawić ludzi, żeby oni nie zwątpili w to, że Kościół jest z nimi". Nie zależało mu na tym, żeby go uwielbiano, na polityce. Odnoszę te słowa do tej rzeczywistości ewangelicznej, kiedy Pan Jezus mówi o owcach, które są bez pasterza pozostawione, i do Starego Testamentu, że pasterze pasają siebie samych. On jest tego zaprzeczeniem.

J.S. – Bo nie ma większej miłości – jak mówi Ewangelia – niż oddać życie za przyjaciół swoich. I to właśnie się dokonało.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 10 (45), październik 2004

WSZYSTKO POD KONTROLĄ

O inwigilacji zachodnich korespondentów
z Krzysztofem Bobińskim, Bernardem Margueritte'em i Krzysztofem Persakiem
rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Warto pamiętać, że na początku peerelu zagranicznych dziennikarzy było w Polsce bardzo niewielu, a służby i tak miały pełne ręce roboty, bo w ich pojęciu szpiegiem był absolutnie każdy obcokrajowiec. Potencjalnymi szpiegami byli także powracający z różnych miejsc po wojnie Polacy — repatrianci, żołnierze, jeńcy wojenni, przesiedleńcy, nawet więźniowie z obozów koncentracyjnych i przymusowi robotnicy.***

K.P. — Jeszcze tytułem wstępu. Wbrew nazwie kontrwywiad po 1956 r. zajmował się nie tylko zwalczaniem obcych wywiadów. Moje badania dotyczą okresu sprzed panów pobytu w Polsce, ale myślę, że mechanizmy działania były podobne przez kolejne lata. Kontrwywiad był po prostu częścią Służby Bezpieczeństwa, czyli częścią policji politycznej, i zajmował się także inwigilacją cudzoziemców, czyli operacyjną kontrolą wszystkich dziedzin, w których występował tzw. styk z zagranicą. Interesowali go przede wszystkim cudzoziemcy przebywający w Polsce, od studentów, stypendystów, przez handlowców, po różnego rodzaju specjalistów oraz dyplomatów. W stosunku do dyplomatów kontrwywiad zajmował się także działalnością *sensu stricte* wywiadowczą, ponieważ dokonywał penetracji ambasad. Kontrwywiad zajmował się także takimi sprawami, jak zwalczanie przemytu międzynarodowego na wysoką skalę, utrudnianie ucieczek z Polski itd. Trzeba też podkreślić, że wbrew mitom, które ostatnio usiłuje się upowszechniać, kontrwywiad był częścią SB aż do końca lat osiemdziesiątych, *de iure* — zarówno Departament I, jak i II wywiadu MSW były częścią SB. Pod koniec lat osiemdziesiątych dokonano formalnego podziału MSW na Służbę Bezpieczeństwa, Służbę Wywiadu i Służbę Kontrwywiadu. To była tzw. reforma Kiszczaka, ale przeprowadzono ją tylko na papierze. Faktycznie nadal były to zintegrowane służby.

B.P. — ***Kiedy i w jakich okolicznościach pojawili się panowie w Polsce i jakie było to pierwsze zetknięcie się z peerelem?***

B.M. — Pierwsi — Anglicy, jak na bitwie.

K.B. – Urodziłem się w Anglii, przyjeżdżałem do Polski jako chłopak, po raz pierwszy byłem u rodziny, gdy miałem dwanaście lat. Potem w 1972 czy 1973 r., już po studiach, starałem dostać się do polskiej sekcji BBC w Wielkiej Brytanii. Wtedy okazało się, że moja znajomość polskiego jest niedostateczna, żeby tłumaczyć czy mówić do mikrofonu. Pomyślałem, że przyjadę do Polski i postaram się poprawić mój język. Potem w 1974 r. dostałem stypendium do Polskiej Akademii Nauk na dwa lata, w dziedzinie historii. Byłem u prof. Ryszki i starałem się dowiedzieć, w jakich warunkach funkcjonowała inteligencja we Lwowie w latach 1939–1941, a także, porównawczo, w latach 1945–1946. Było to dla mnie dość wyszukane i chyba za trudne, niewiele z tego wyszło, choć sporo przeczytałem na te tematy. Zaprzyjaźniłem się wtedy z Ludwikiem Zimmererem, korespondentem niemieckiego radia, u którego bywałem bardzo często. Wziął mnie trochę pod swoje skrzydła i sporo mnie nauczył. W 1976 r. uzyskałem akredytację dla „Financial Times". To była wtedy jedyna gazeta londyńska, która była zainteresowana posiadaniem korespondenta w Polsce, ponieważ Polska pożyczyła sporo pieniędzy i oni uważali, że ktoś tu powinien być. To był marzec 1976 r. i odtąd do 2000 r. pisałem o Polsce dla „Financial Times".

B.M. – W moim przypadku to jest dość romantyczna historia. W Polsce znalazłem się po raz pierwszy w 1959 r. Byłem studentem i mój ojciec (jako pierwszy w naszej rodzinie był związany z Polską – był oficerem, potem walczył w ruchu oporu i był łącznikiem z armią Andersa, za co zaraz po wojnie dostał Virtuti Militari i Krzyż Walecznych), który zajmował się wymianą młodzieży, zadzwonił do mnie, gdy byłem na wakacjach u dziadka w Normandii, i powiedział, że jest wyjazd na obóz letni do Polski, tam trzeba mówić o Francji, o kulturze francuskiej, ktoś zrezygnował w ostatniej chwili, wyjazd jest za tydzień, czy mnie to interesuje. 14 lipca 1959 r. wchodziłem do autobusu czekającego przed hotelem Grand w Warszawie. Tam było pięćdziesiąt dziewcząt z gimnazjum im. Żmichowskiej, które miały francuski jako język wykładowy. Jedna z tych pięćdziesięciu dziewcząt jest od wielu lat moją żoną.

Moje studia były zupełnie niezwiązane z Polską ani z dziennikarstwem, to były studia klasyczne na Sorbonie. Chciałem pracować w Polsce, aby być blisko Joanny, wtedy to nie było proste. Po powrocie i odbyciu służby wojskowej spotkałem się z dyrektorem „Le Monde" i powiedziałem, że chciałbym zostać korespondentem w Warszawie. To był rok 1965. Już w grudniu tego roku zostałem specjalnym wysłannikiem na kilka tygodni. To był pechowy okres, wymiany listów między Episkopatami Polski i Niemiec. Chodziłem za ks. prymasem Wyszyńskim krok w krok, od ambony do ambony – to był jedyny sposób, żeby wiedzieć, co myślał Kościół. I pisałem o tym. Wróciłem i poprosiłem znowu o akredytację. Pierwsza odpowiedź była negatywna – nie chcemy mieć korespondenta „Le Monde". Ale dyrektor czynił nadal starania, tylko miał jedną prośbę: „Niech pan nie robi tego, co pana poprzednicy, obaj ożenili się z Polkami i obaj zostali wydaleni z Polski, więc

proszę tego nie powtarzać". Jako trzeci z kolei powtórzyłem tę historię, łącznie z wydaleniem.

K.P. – To taki, można powiedzieć, stały los korespondenta „Le Monde", najpierw został wydalony Philippe Ben, potem Jean Wetz. Nic w tym szczególnie dziwnego, bo w 1956 r. Polska trafiła na czołówki światowych gazet, a do Warszawy zaczęli ściągać zagraniczni dziennikarze. Ze względu na znaczny stopień liberalizacji systemu Warszawa zyskała opinię miejsca, gdzie można zdobyć cenne informacje nie tylko o sprawach polskich, ale i o problemach innych państw bloku komunistycznego. Dlatego dziennikarze zagraniczni byli szczególne interesującą grupą dla kontrwywiadu. Tym bardziej że z punktu widzenia kontrwywiadu prawie każdy dziennikarz zachodni był traktowany jako potencjalny szpieg, więc wszyscy stali korespondenci byli objęci sprawami ewidencyjno-obserwacyjnymi przez Sekcję IV Wydziału VII Departamentu II MSW.

B.P. – ***Ponieważ kontrwywiad traktował swoją działalność również jako misję polityczną, musiał efekty swojej pracy przekazywać dalej.***

K.P. – Rozpracowanie zagranicznych dziennikarzy i dyplomatów było kierowane w formie biuletynu „Informacje o działalności kapitalistycznych dyplomatów i dziennikarzy przebywających w Polsce" na biurka Władysława Gomułki, premiera Józefa Cyrankiewicza, ministra spraw wewnętrznych Władysława Wichy i wiceministra Mieczysława Moczara. A Gomułce dostarczano także *in extenso* ciekawsze korespondencje i materiały zdobyte drogą operacyjną.

B.M. – Byłem młodym, nieznanym człowiekiem, ale moje losy jako ewentualnego korespondenta rozstrzygały się na dość wysokim szczeblu. Andre Fontaine, który był szefem wydziału zagranicznego, przyjechał latem 1965 r. do Warszawy i rozmawiał z ministrem spraw zagranicznych Adamem Rapackim, a potem spotkał się ze Stanisławem Staniszewskim, dyrektorem Departamentu Prasy i Informacji MSZ. Staniszewski powiedział mu: „Jutro pan redaktor ma spotkanie z panem Kliszko, to jest bardzo duży zaszczyt". Fontaine mówi: „Dobrze, ale czy będę mógł omówić sprawę Margueritta'e, którego nie chcecie akredytować?" Staniszewski się wściekł – ma pan możliwość spotkania się z drugim człowiekiem w państwie, są chyba ważniejsze tematy. Jednak rozmawiali o tym, i Kliszko powiedział, że są dwa powody odmowy; po pierwsze, że byłem na Śląsku i pisałem o separatyzmie śląskim, a po drugie, że byłem korespondentem przy Kościele, a my takiego nie chcemy, bo to państwo akredytuje. Na to Fontaine: „Czy pan nie sądzi, że pańska policja nieco przesadziła w tych raportach?" Kliszko powiedział wtedy: „Och, to też możliwe". W ten sposób zostałem stałym korespondentem w Polsce w 1966 r.

K.P. – Chciałbym poprosić o podzielenie się własnymi doświadczeniami w tych kwestiach, które wynikają z moich badań. Jeśli chodzi o korespondentów zagranicznych, to SB interesowało przede wszystkim to, kim są, ich sylwetki, skąd czerpią dochody, ich słabości, cechy charakteru, bo to można było przeciw nim wykorzystać.

Jest rzeczą oczywistą, że zawód dziennikarza bywa przykrywką dla pracy wywiadowczej i to się zdarza, więc zainteresowanie korespondentami zagranicznymi jest naturalne, aczkolwiek w okresie, którym się zajmowałem – ośmiu lat po 1956 r. – nie dość, że nie wykryto pracy wywiadowczej prowadzonej przez jakiegoś stałego korespondenta zagranicznego, ale nawet nie pojawiły się takie podejrzenia. Celem tej inwigilacji było przede wszystkim przeciwdziałanie temu, co nazywano „dywersją ideologiczną", czyli ujawnianiu na zewnątrz, poza Polską tego, co dzieje się w Polsce za kulisami życia politycznego. Kontrwywiad był także mocno zainteresowany tym, w jakim środowisku obracają się korespondenci, z kim się spotykają i kto ich informuje.

B.M. – Dobrze pamiętam dramatyczny rok 1968. Mieszkaliśmy wtedy na Mokotowie. Przyszli do mnie między innymi panowie Michnik i Szlajfer – że mają coś do powiedzenia, ale nie chcą tego mówić w budynku. Zaproponowali, żebyśmy wsiedli do samochodu. Krążyliśmy po dzielnicy. Później, kiedy Michnik został zatrzymany, powołano mnie na świadka. Mówiłem, że żadnych specjalnych kontaktów z panem Michnikiem nie miałem, a oni mi pokazali zdjęcia nas w tym samochodzie. Powoływałem się w sądzie na prawo polskie, które umożliwia dziennikarzowi nieujawnianie treści swoich rozmów, na co przewodnicząca powiedziała: „W ten sposób pan przyznaje, że miał pan relacje zawodowe z panem Michnikiem". Odparłem, że dziennikarz niestety nigdy nie może określić, które relacje są natury zawodowej, a które natury prywatnej. Na tym się skończyło.

B.P. – ***Świadomość, że jest się inwigilowanym, to jedno, ale czy było to widoczne, odczuwalne?***

B.M. – To był okres, kiedy mieszkaliśmy na rogu Malczewskiego i Krasickiego. Później, kiedy byliśmy w Wiedniu, spotkaliśmy syna państwa, którzy mieszkali w domu naprzeciwko, powiedział „Moi rodzice ogromnie się ucieszyli, że wyjechaliście, bo przez cały wasz pobyt oni mieli jeden pokój zarezerwowany i była tam jakaś aparatura itd." Uważałem to mimo wszystko za rzecz fantastyczną, że jednemu korespondentowi okazuje się tyle zainteresowania. Kiedy wróciłem w 1977 r., wszystko już było o wiele łagodniejsze, ten pierwszy okres był gorszy. Kiedyś jechaliśmy Puławską, a za nami pojawiła się żółta wołga. Jedziemy, a ona ciągle jest za nami. Na placu Unii Lubelskiej było wtedy pełne rondo, zacząłem krążyć, ona za mną, i tak zrobiliśmy trzy okrążenia. Ale to był rodzaj zamanifestowania obecności. Kiedy na przykład chodziliśmy w niedzielę na spacer na Pole Mokotowskie z psem, zawsze jakieś pięćdziesiąt, sto metrów za nami towarzyszyła nam dwójka ludzi. To było bardzo demonstracyjne, ale poza tym nic szczególnego się nie działo.

K.B. – Bardzo szybko zorientowałem się, że wszystko, co my korespondenci robimy, jest wiadome władzom. Nie ma mowy o jakiejś tam konspiracji, jakimś specjalnym ukrywaniu się, bo wszystko mniej więcej o nas wiadomo. Wiedziałem, że jestem inwigilowany, obserwowany i wobec tego nie ma co się wygłupiać. Miałem

także świadomość, że jak oni chcieli, bym zobaczył, że za mną idą, to ich widziałem, a jak nie chcieli, to ich nie widziałem. Albo robili to dyskretnie, albo traktowali to jako sposób zastraszania.

B.P. — ***Kim byli panów informatorzy?***

B.M. — Fakty były takie — z lektury „Trybuny Ludu" mieliśmy może 10 proc. potrzebnej informacji, więc musieliśmy mieć kontakt z żywymi ludźmi. Miałem taką zasadę, że po pierwsze muszę pisać to, co myślę, nawet gdyby były wywierane na mnie naciski. Po drugie, żeby nie robić nic, co mogłoby prowadzić do zagrożenia ludzi, z którymi rozmawiałem. Kolejna zasada, że kontakty muszą być bez żadnych ograniczeń, starałem się skontaktować ze wszystkimi, którzy mieli w konkretnej sprawie coś do powiedzenia. Miałem kontakty i z ludźmi partii, i z ludźmi Kościoła czy opozycji. Na przykład w grudniu 1970 r. pojechałem do Szczecina, gdzie trwał strajk, i byłem świadkiem tych wydarzeń, ale z drugiej strony miałem również bardzo dobre informacje na ten temat z Biura Politycznego.

B.P. — ***Kto był pana źródłem?***

B.M. — Napiszę o tym w swoim pamiętniku. Ten wysoko postawiony, nieżyjący już, członek partii oczywiście nie chciał rozmawiać w pomieszczeniu zamkniętym, więc spacerowaliśmy razem po lesie. Od niego wiedziałem, co było na posiedzeniu Biura, jeszcze przed Szczecinem. Gierek, nowy pierwszy sekretarz, chciał tam pojechać. — To są robotnicy argumentował — ja też jestem robotnikiem, trzeba z nimi rozmawiać. I tu towarzysz Józef Kępa powiedział — nie, ja się nie zgadzam, niech oni wrócą do pracy, a potem zobaczymy. Gierek upierał się przy swoim. Kępa wziął go za klapy — nie, to są chuligani, z chuliganami się nie rozmawia. Potem była dwugodzinna przerwa i Gierek z Jaruzelskim, ówczesnym ministrem obrony, pojechali na lotnisko wojskowe, i do Szczecina. „Pomożecie? Pomożemy!" Opisałem to i zawiadomiono mnie telefonicznie z pałacu Mostowskich — pan redaktor jest wydalony z Polski, została anulowana moja wiza. Przez dwa dni nie wiedział o tym ani MSZ, ani ambasada PRL w Paryżu.

K.P. — W znanych mi dokumentach Departamentu II MSW wiele uwagi poświęcono kontaktom zachodnich dziennikarzy z ich źródłami informacji, pochodzącymi głównie ze środowiska inteligenckiego: dziennikarze (przede wszystkim związani z redakcją tygodnika „Świat" — małżeństwo Edda i Roman Werflowie), literaci (m.in. Antoni Słonimski, Sławomir Mrożek, Jan Kott), plastycy, filmowcy, adwokaci, naukowcy (m.in. Julian Hochfeld, Adam Schaff, Oskar Lange), a także niektórzy księża oraz działacze katoliccy (m.in. Stanisław Stomma, Stefan Kisielewski). W końcu 1961 r. Wydział VII Departamentu II MSW prowadził 26 tzw. teczek porządkowych na obywateli polskich, stanowiących ważniejsze źródła informacji dla zagranicznych korespondentów. Nie wiem, czy panom są znane nazwiska Aleksandra Wołowskiego, który współpracował z prasą francuską, Tomasza Atkinsa (który był współpracownikiem m.in. Philippe'a Bena) i Henryka Hollanda.

To są trzy przypadki pociągnięcia obywateli polskich do odpowiedzialności karnej za to, że udzielali informacji zagranicznym korespondentom (mówię o okresie gomułkowskim).

B.P. — ***Wyobrażam sobie, że panowie musieli doświadczać wielu sytuacji, utrudniających pracę. Myślę tu działaniach SB, które miały na celu utrudnienie dotarcia do źródeł informacji czy jakiejś formie nękania — rewizje, konfiskata materiałów, intrygi.***

K.P. — Jest jeszcze kwestia, na przykład rozmów ostrzegawczych w Departamencie Prasy i Informacji MSZ. I najostrzejsza forma represji, jaką można było zastosować w stosunku do niewygodnego korespondenta, czyli ekspulsja. W latach 1957–1962 na wniosek Departamentu II MSW ekspulsowano dziewięciu korespondentów zachodniej prasy, sześciu innym nie przedłużono akredytacji. W tym samym okresie uznano za *persona non grata* i wydalono z Polski około dwunastu dyplomatów i pracowników placówek dyplomatycznych oraz konsularnych.

K.B. — Gdy przyjechałem do Polski, to wiedziałem, że najważniejszą rzeczą jest nie dać się wplątać w żadne szpiegostwo, to znaczy ani na rzecz polskich służb, ani angielskich służb, bo to jest kanał straszny. To jest najważniejsze, żeby nie dać się w to wplątać, to do niczego dobrego nie prowadzi. Mój najgorętszy okres — to było tuż po otrzymaniu akredytacji — jesień 1976 r., powołanie KOR, Radom, Ursus, procesy korowskie we wrześniu. Wtedy zwracano mi uwagę: „Niech się pan odczepi od tych tzw. dysydentów". I chcieli mnie wówczas wyrzucić z Polski. Nie doszło do tego, chyba z tego powodu, że oni zabrali się za to tuż przed wizytą Jaroszewicza w Londynie. Wyrzucenie korespondenta „Financial Times" przed wizytą premiera stworzyłoby złą atmosferę. Mam wrażenie, że interweniował wtedy MSZ. W tym czasie ktoś mi opowiadał, że jechał autobusem, a obok niego stał człowiek, który wyjął z teczki notatnik, a w nim miał moje teksty z „Financial Times". Pokazał mu te teksty i palcem zrobił taki gest „nie, nie", żeby już się ze mną nie kontaktować.

B.P. — ***Zachowanie rodem z przedszkola, jeśli chodzi o uprowadzanie jakiejś dyscypliny.***

K.B. — A gdy chodzi o presję na to, co pisałem, to była ona wywierana przez MSZ. Jeżeli im się coś nie podobało, to wzywali na rozmowę. Straszne były takie doroczne przyjęcia w MSZ, tam właśnie zbierali się wszyscy ci faceci z tego departamentu, a nie był to miły departament; wizyta w nim także nie. Niemiłe też było coroczne przedłużanie akredytacji, mogli ją zawsze cofnąć. W moim przypadku nie nadużywano wywierania na mnie presji. Raczej mówiono, że oczekuje się ode mnie, żebym trzymał się tematów bardziej ekonomicznych, a mniej politycznych, co do 1980 r. nie było wcale takie proste, bo tematów ekonomicznych zwyczajnie nie było. W latach 1980–1981 dali sobie spokój.

K.P. — Mówi się, że policja polityczna wie tyle, ile jej doniosą agenci. Uderzające jest, że rzadko dokonywano merytorycznej analizy nadawanych przez dziennika-

rzy korespondencji. Najczęściej przepisywano dosłownie oceny i opinie na ich temat zawarte w doniesieniach agentów. Po części było to spowodowane dość niskim, przynajmniej w badanym przeze mnie okresie, poziomem wykształcenia oficerów operacyjnych kontrwywiadu (zwłaszcza słabą znajomością języków obcych), po części zwykłym urzędniczym lenistwem.

B.P. — ***No właśnie, to kolejna ważna sprawa – agentów w najbliższym otoczeniu – wśród współpracowników, tłumaczy, zatrudnianego przez panów personelu biura czy w domu.***

K.B. – Ja nie musiałem mieć tłumacza. Od początku liczyłem się z tym, że mam założony podsłuch, że gosposia może być współpracownikiem. Nie było na to sposobu. Nie będę przecież szukał podsłuchu, bo nawet gdybym go znalazł, to oni mi założą nowy, a jak będę znęcał się nad gosposią za to, że ona donosi – to ona odejdzie, a tę następną też zwerbują. Takie było wstępne założenie – jesteśmy w tym kraju, robimy to, co robimy, ten kraj jest taki jaki jest, i są w nim określone warunki tej pracy. A jeżeli chodzi o pracowników, to rzeczywiście poproszono mnie, żebym zatrudnił chłopaka po stanie wojennym. Pamiętam, że do niego się przyczepiali. Opowiadał mi, że oni się długo zastanawiali, dlaczego ja w faksie, w depeszy zmieniam jakieś słowa. Z tego zrozumiałem, że analizowali każdy znak, przecinek i kleks. Ale muszę powiedzieć, że okres, w którym pracowałem, nawet na początku, w 1976 r., był zupełnie inny niż ten, o którym pan mówi. W zeszłym roku oglądałem swoją teczkę w IPN. Z tego, co tam widziałem, wynika dosyć prawdziwie to, co donoszono i co pisano o mnie. Interesowano się mną z punktu widzenia zwerbowania mnie do pracy w Anglii, tutaj nie byłem im potrzebny.

B.P. — ***Pana wprowadzającym do pracy i mentorem, przynajmniej na początku, był Ludwik Zimmerer. Czy on pana przed niczym nie ostrzegał, nie dzielił się jakimiś swoimi doświadczeniami?***

K.B. – Wszystko było właściwie zupełnie jasne. Ja byłem młody i głupi i nie przychodziło mi do głowy, że może mi się coś złego zdarzyć.

K.P. – Z materiałów, które badam, wynika, że w willi Zimmerera założono podsłuchy.

K.B. – A gdzie je włożyli? I jak oni to zrobili?!

B.P. — ***Była przecież specjalna sekcja techniczna, która dysponowała takimi możliwościami. Na początku zakładano podsłuch telefoniczny, podsłuch mikrofonowy w pomieszczeniu, później stosowano także podgląd fotograficzny. Możliwości, żeby to zrobić było mnóstwo, każde przybycie do jakiejkolwiek awarii w domu było do tego stosowną okazją. Wytrenowano to dobrze, między innymi na Międzynarodowych Targach Poznańskich. Tam zawsze było duże zagęszczenie obcokrajowców, cudzoziemców umieszczano w określonym hotelu itd. Służby miały też dobrze rozpracowane mieszkania korespondentów, bo bywało***

niejednokrotnie, że oni przejmowali mieszkania po swym poprzedniku, był też w Warszawie specjalnie dla nich wybudowany hotel Zgoda.

K.P. – Pensjonat Zgoda, mówię o tym nowym, już w momencie budowania został wyposażony w odpowiednią infrastrukturę, odpowiednią instalację podsłuchową i chyba też podgląd. To był „inteligentny" budynek. Ale chciałem jeszcze zapytać, czy panowie mieli jakiś rodzaj nieprzyjemności w związku z treścią panów korespondencji, jakieś ostrzeżenia?

K.B. – Jesienią 1976 r. zwabili mnie do hotelu Europejskiego do jakiegoś pokoju, to było podczas zatrzymań całego KOR. Tam było dwóch mężczyzn. Na początku myślałem, że oni chcą mi coś powiedzieć, bo ktoś zadzwonił i powiedział, że chce mi przekazać wiadomości. I ja jak głupi tam poleciałem. Oni mówili, a może byśmy współpracowali, my byśmy panu dawali materiały... Panu byłoby łatwiej, miałby pan sukcesy zawodowe. Uciąłem tę rozmowę od razu i wyszedłem stamtąd. Taka była ideologia korowska – żadnych kontaktów. Jedyna koncesja, jaką zrobiłem na ich rzecz, to tyle, że nikomu nie powiedziałem o tym spotkaniu. I to w tej teczce mojej jest opisane. Tak, jak było. Od czasu do czasu czepiali się – to właśnie były te rozmowy w MSZ. Ich częstotliwość zależała od krnąbrności korespondenta.

B.M. – Ja miałem te rozmowy dość często, także ze Staniszewskim. Ludzie, którzy byli uprzejmi i uśmiechnięci, raptem zapraszają mnie do MSZ i mówią „Pan jest wrogiem Polski, działa przeciw socjalizmowi, w zmowie, na szkodę państwa, prowadzi pan dywersję". Tak było regularnie. Czułem taką presję. Ciekawe, że my dwaj zachowywaliśmy się nieco inaczej. Ja miałem trudności, najpierw w 1968 r., a potem przy okazji odnawiania wizy, które się odbywało w pałacu Mostowskich. Ktoś się zajął tą sprawą, wyszedł z pokoju, mówiąc, że zaraz to załatwią. W tym czasie pojawiło się dwóch panów i mówią: „No, wiza to jedno, ale czym się pan zajmuje, jakie tematy pana interesują, bo musimy sprawdzić, czy pańska działalność jest w zgodzie ze statusem korespondenta". Nie widziałem powodu, żeby im tego nie powiedzieć, bo zawsze rozmawiałem z nimi otwarcie o tych tematach i o tych osobach, o których oni doskonale i tak wiedzieli, że się nimi interesuję, czy to dlatego, że mnie śledzą, czy dlatego, że o tym po prostu piszę w swoich korespondencjach. Nie mówiłem natomiast oczywiście, z kim spotykałem się potajemnie – z ludźmi Kościoła czy opozycji, bo tak to robiłem, żeby oni o tym nie wiedzieli. To była swego rodzaju tragikomedia. Ty byłeś w Europejskim, a ja byłem w kawiarni koło Morskiego Oka. Tam w latach 1968–1971 mniej więcej raz na trzy miesiące prowadził ze mną rozmowy pewien jegomość. Skądinąd były to często bardzo ciekawe rozmowy, bo ludzie delegowani na takie spotkania byli na znacznie wyższym poziomie niż większość przedstawicieli partii. Na ogół był to absolwent wydziału prawa, młody, inteligentny człowiek. Zwykle też miał zupełnie inny punkt widzenia niż przedstawiciele aparatu partyjnego. Dla mnie jako korespondenta było to bardzo istotne. To było jeszcze jedno dodatkowe źródło informacji. Poza tym czasem chodzili za mną, jeździli samochodem.

Zakładam, że te rozmowy nie były dla nich zbyt interesujące, znacznie bardziej interesujące były one dla mnie, bo pozwalały mi na przykład rozumieć, jaka jest gra między aparatem bezpieczeństwa a aparatem partyjnym.

K.P. – Kontrwywiad interesował się też kontaktami korespondentów z własną ambasadą, przede wszystkim chodziło o to, czy ambasady zlecały zbieranie informacji politycznych, o wykorzystanie przez korespondentów kanałów dyplomatycznych do przekazywania za granicę zdobytych nieoficjalnie poufnych lub sensacyjnych wiadomości itd. Czytałem raporty wydziału Departamentu II. Oni się bardzo konspirowali, stosowali kryptonimy, ale jest to pasjonujące, na przykład kiedy te podsłuchy są zakładane, zdejmowane i zakładane znowu. A przecież ambasada jest obiektem bardziej strzeżonym niż prywatne mieszkanie, ale włamania do kas pancernych były na porządku dziennym.

B.M. – W ambasadzie francuskiej znaleziono mikrofony w windach pięć lat po ich zainstalowaniu. Ja miałem takie stanowisko, że jestem tutaj gotów rozmawiać z każdym i wykorzystuję to jak najlepiej zawodowo, w zgodzie z sumieniem, ale muszę powiedzieć, że od razu informowałem o naszych „spotkaniach przy kawie" ambasadę francuską. Po takim wypiciu kawy i rozmowie jeździłem zawsze do ambasady, do pułkownika, i szliśmy do pokoju, który był jakoby bezpieczny. Opowiadałem o przebiegu całej rozmowy, o co pytał ten człowiek, co go interesuje, jakie jest jego nastawienie i dlaczego on w niektórych przypadkach krytykuje partię. Był taki moment, w którym zostałem potępiony w prasie, nawet w prasie sportowej, gdy napisałem na temat Wyścigu Pokoju. W książce *Sąd idzie* Maria Osiadacz pisze, że na początku lat siedemdziesiątych pan Margueritte przyjechał do Polski, aby uprawiać dywersję ideologiczną według dyrektyw pana Wiesenthala z Wiednia. Kiedy to było pisane, ja w ogóle go jeszcze nie znałem. Była jeszcze jedna rzecz, która ich denerwowała. Miałem kontakt ze służbą wojskową w ambasadzie francuskiej i chciałem, żeby oni wszystko wiedzieli, a jednocześnie w ambasadzie amerykańskiej miałem swoją skrzynkę pocztową wraz z korespondentami amerykańskimi, zamawiałem przez nich oprócz korespondencji na przykład także drukarkę czy inne potrzebne mi rzeczy. W pewnym momencie jedna strona była przekonana, że jestem szpiegiem współpracującym z CIA, a druga, że może jestem współpracownikiem KGB. Podejrzenie o współpracę z CIA wynikło stąd, że kiedy byłem w Wiedniu, po czterech latach dostałem zaproszenie od Amerykanów do Harvardu i do ośrodka badań rosyjskich, gdzie był między innymi Richard Pipes. Ten ośrodek miał w krajach socjalistycznych, co jest dla mnie absurdalne, opinię ośrodka CIA, co nie było prawdą. Po prostu tam powstawały opracowania, które mogły być zamówione czy czytane przez CIA. W końcu ci „panowie" stracili ochotę do zapraszania mnie na kawę (trochę żałowałem i trochę żałowała nasza ambasada), bo zrozumieli, że ja mam z tego większą korzyść niż oni. Kiedy wróciłem po przerwie w 1977 r. do Polski, to chyba tylko raz miałem takie zaproszenie.

K.B. – Chciałem oświadczyć, że ja nie miałem żadnej skrzynki w ambasadzie amerykańskiej ani w angielskiej. Anglicy byli najgorsi, w ogóle nam nie pomagali. Nie rozmawiałem z żadnym wywiadem angielskim ani żadnym innym. Byłem zapraszany do ambasady i rozmawiałem z dyplomatami angielskimi, ale ja nawet nie wiedziałem, kto z nich jest z wywiadu wojskowego.

B.P. – ***To jest miejsce naszej rozmowy, w którym podzielę się z panami pewnym swoim doświadczeniem. Pracowałam przez kilka lat w Ośrodku Studiów Wschodnich, byłam już po sowietologicznym stypendium w Stanach, między innymi w ośrodku Pipesa. OSW metodą białego wywiadu zbierał informacje oficjalne o Wschodzie. Bardzo często wyjeżdżałam najpierw do ZSRS, potem do Rosji. Kolejny wyjazd zdarzył mi się, kiedy zaczynało się zainteresowanie Polski rynkiem paliwowym i perspektywami rozwoju wydobycia ropy naftowej. Umawiałam się w różnych miejscach z rozmówcami, wcale nie kryjąc, skąd jestem, oficjalnie, korzystając z telefonów. Mieszkałam w mieszkaniu mojej znajomej, której akurat nie było, bo wyjechała na zimowe wakacje, to było tuż przed Nowym Rokiem. Wróciłam wieczorem do domu i już przy otwieraniu drzwi zorientowałam się, że coś jest nie tak, choć nic nie wskazywało na to, że ktoś był w tym mieszkaniu, do momentu, kiedy weszłam do pokoju, który zajmowałam. Tam był po prostu totalny, teatralny kipisz, łącznie z wyrzuconymi książkami dotyczącymi w znacznej mierze geologii, poniszczone moje rzeczy, ale co ciekawe, nie zginęło nic, łącznie z dolarami, które leżały na stoliku. Z rzeczy mojej przyjaciółki też nic nie zginęło, a miała i biżuterię, i jakiś nowoczesny sprzęt radiowo–telewizyjny. To była taka demonstracja i ostrzeżenie – jesteśmy. Natychmiast, tego samego wieczoru, zgłosiłam to na milicję, której przedstawiciel zameldował się po kilku dniach. Chciano mnie przestraszyć, co w jakimś sensie się powiodło, bo uświadomiło mi, że narażam moich przyjaciół.***

K.B. – Ja też miałem takie wydarzenie, ale jeszcze przed akredytacją, w 1975 albo 1976 r. Moja babcia mieszkała na Tamce i miała tam wolny pokój. Akurat wtedy Joanna Szczęsna, którą poznałem u Zimmerera, nie miała gdzie mieszkać, więc zaproponowałem jej ten pokój. I wydarzyło się to samo, zrobiono coś strasznego z tym jej pokojem. Na milicji także się tym w ogóle nie zainteresowano. Wracając do tej wywieranej presji. Oczywiście takim miejscem urabiania korespondentów był Interpress, choć pozornie było to miejsce bardziej przyjazne niż wezwania na rozmowy, bo one były bardzo nieprzyjemne.

B.M. – Dyrektorem był Mirosław Wojciechowski. To był człowiek wywiadu wojskowego.

K.B. – Maciej Górski, aktualny wiceminister obrony, szef w ostatnim okresie, był zięciem Staniszewskiego.

B.P. — ***A nigdy nie zginęły panom jakieś korespondencje, materiały, zdjęcia?***

B.M. — Nie, bo ja zawsze pracowałem sam, bez tłumacza, sekretarza. Jak przyjechałem w czasie strajku do Szczecina, to przed główną bramą stała furgonetka z Amerykanami. Cała ekipa próbowała wejść, a ja wszedłem bocznymi drzwiami, zadzwoniłem do przewodniczącego komitetu strajkowego i wszedłem w pojedynkę. Kiedyś jednak w Zalesiu Górnym, gdzie mieszkaliśmy, był napad na nasz dom. O tym zresztą sporo pisano.

B.P. — ***O ile pamiętam, ten napad nosił wszelkie znamiona napadu bandyckiego.***

B.M. — Do dziś, szczerze mówiąc, nie wiem, co to było. Nasz dziadek został wtedy z dziećmi, my byliśmy na kolacji w Warszawie. Gdy wróciliśmy, zastaliśmy go poranionego w krzakach, zdołał tylko powiedzieć, że było dwóch z nożami. Gdy wszedłem do domu, z pierwszego piętra schodził mój syn, niosąc telewizorek, miał wówczas jakieś dziewięć lat. Za nim szedł jakiś młody człowiek. Gdy mnie zobaczył, wziął od syna telewizor i rzucił nim we mnie. Ale ja kiedyś grałem w rugby i złapałem ten telewizor...

K.B. — ...odrzuciłeś go temu facetowi?

B.M. — Nie, złapałem syna, wyprowadziłem na taras i powiedziałem — uciekaj! Sąsiedzi sprowadzili pogotowie i milicję, ja chciałem wrócić do domu, córka była na pierwszym piętrze, miała wtedy rok. Kiedy przyjechała milicja i weszliśmy do domu, widok był okropny, wszystkie kable były pocięte na drobne kawałki, telefon zniszczony. To był rok 1987. Wszędzie, a zwłaszcza w dużym pokoju, było dużo krwi. Z inspektorem milicji wchodzimy do kuchni, a tam wszędzie jest czerwono, nawet na szafkach. On wyraził obawę, że dziadek stracił mnóstwo krwi, marnie z nim będzie, ale po jakimś czasie spogląda znowu na te szafki i mówi: „Zaraz, zaraz, to jest sok z buraków". W dużym pokoju rzeczywiście była krew, ale w kuchni — sok z buraków. Potem złapano jakichś dwóch młodych ludzi. Ja do dziś nie wiem, czy to miało charakter rabunkowy. Najbardziej zdumiewająca była jednak ta inscenizacja w kuchni. A syna trzymali przez pół godziny z nożem przy szyi i usiłowali od niego wydobyć, gdzie są pieniądze. On już wtedy miał zimną krew (dziś jest pilotem Air France) i zwodził ich, wskazując a to walizki, a to jakąś szafę. Potem osobiście zatelefonował do mnie Kiszczak, który gwarantował mi, że oni z tym nie mają nic wspólnego.

K.B. — Wspominaliśmy już, że najgorsze dla korespondenta było wydalenie z kraju. To była groźba i dla dziennikarza, i dla jego redakcji. Każdy szef mówił — nie daj się wyrzucić, bo to są koszty. Jak się wysyła korespondenta do jakiegoś kraju, trzeba go opłacić. Gdy go wyrzucą, trzeba wysłać następnego. Wszyscy więc rozumieli, że są pewne granice, których się nie przekracza. Oczywiście w różnych okresach te granice trochę inaczej przebiegały. To była pewna gra. Z ich strony wydalenie też było dużą rzeczą. Przede wszystkim, gdy kogoś wydalali, to była zła *publicity*

dla kraju itd. Według mnie, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych, ale także w siedemdziesiątych, im zależało na tym, żeby było dużo dziennikarzy zagranicznych w Polsce. To był prestiż, to znaczyło, że ludzie interesują się Polską, przyjeżdżają tu. Można ich urabiać i trzeba mieć nad nimi kontrolę. Jak ktoś siedzi w Nowym Jorku i pisze o Polsce, to może pisać wszystko i nikt go nie kontroluje. Wydalenie było więc dla obu stron kłopotliwe. W latach osiemdziesiątych została wydalona tylko jedna osoba, koleżanka Ruth Gruber z UPI, kompletnie nie z powodu tego, co pisała, ale oni po prostu chcieli zrobić prowokację, to na pewno jest w teczkach. Myśmy musieli o tym pamiętać, że pracowaliśmy w kraju, który nie był wolny, i w związku z tym były pewne reguły, które trzeba było respektować. Amerykanie mieli większą swobodę manewru. Ale też nie chcieli być wyrzucani. Ktoś, kto zostałby wyrzucony na przykład w stanie wojennym, tracił kontakt z historią, która wtedy była bardzo chodliwa w świecie. Każdy dbał o to, żeby go nie wydalili.

B.M. – Na pewno inne było podejście Amerykanów i inne Europejczyków. Dla naszych agencji, we Francji, Anglii czy w Niemczech, ważne było, by utrzymywać korespondenta, który jest długo, wszystkich zna, rozumie sytuację. Amerykanie nie; oni myśleli, że po trzech latach człowiek jest już za bardzo uwikłany i należy go zmienić jak najprędzej.

K.B. – Taki wyrzucony korespondent był bohaterem tylko przez chwilę.

K.P. – Jeśli chodzi o ekspulsję, to była taka ambiwalencja ze strony władz polskich. Z jednej strony oni chcieli, żeby byli tu zagraniczni dziennikarze, ale z drugiej dobrze byłoby, żeby ci dziennikarze pisali to, co podaje partia, co Urban mówi na konferencjach prasowych itd. Była więc kontrola nad źródłami i utrudnianie czy uniemożliwianie zdobywania informacji. Znalazłem taką historyjkę, którą znam ze źródeł, ale ciekaw jestem, czy panowie tego doświadczyli, czy słyszeli o podobnych rzeczach. Mianowicie w 1964 r. był w Łodzi taki rabin Wawa Morejno, swoją drogą chyba trochę wariat. Zamęczał władze różnymi memoriałami, w tym przypadku słusznymi, na temat losu cmentarzy żydowskich. Wysłał jeden memoriał i do premiera, i do ministrów, postanowił też poinformować zagranicę i umówił się z korespondentem bodaj UPI, że udzieli mu na ten temat wywiadu. Ten korespondent wraz ze swoim tłumaczem miał pojechać do Łodzi, o czym – nie wiem dokładnie skąd – ale dowiedziała się Służba Bezpieczeństwa. Zrobiono tego typu operację, że pod jakimś pretekstem zatrzymano korespondenta w Warszawie, natomiast do Łodzi pojechało dwóch oficerów kontrwywiadu, którzy przedstawili się jako korespondent i jego tłumacz, i oczywiście umówiony wywiad przeprowadzili. Czytałem ich raport. Były też różne inne sposoby utrudniające dziennikarzom dotarcie do źródła informacji, zatrzymanie w drodze, konfiskowanie tekstów, rewizje na granicy.

K.B. – Moim kolegom to się przytrafiało. Mnie tylko raz zabrali notatki, jak weszliśmy do stoczni w 1988 r. Kiedy wychodziliśmy, wszystkich nas zatrzymali i przesłuchiwali, zabrali notatki, w których i tak nic ważnego nie było.

B.M. – Nie miałem nigdy rewizji na granicy w Polsce, ale w krajach sąsiednich to się zdarzało. Kiedy wracałem do Polski, zatrzymano mnie w NRD, wieczorem. Byłem już szczęśliwy, że koło północy dotrę do Warszawy, a tu mnie zatrzymują na parkingu, zabrali paszporty i mówią: „Pan wygląda na zmęczonego, to niebezpiecznie prowadzić w takim stanie samochód, niech pan tutaj zostanie, jutro rano wrócimy z paszportem". Wrócili o szóstej rano następnego dnia. Czułem się wtedy bardzo niepewnie, bo byłem jednak przez ileś godzin bez dokumentów. Drugi przypadek, bardziej humorystyczny, zdarzył się kiedy po raz pierwszy z żoną, której rodzina jest z Kresów, jechaliśmy pociągiem do Wilna. To był 1979 r., tuż po pierwszej wizycie Ojca Świętego w Polsce. Miałem ze sobą kamerę i filmy do tej kamery, jeszcze nie rozpieczętowane nawet, przeznaczone na Wilno. Na granicy oni je złapali. Tłumaczyłem, że są nowe, firmowo zapakowane. „Tak, tak, znamy te metody" – i poszli z tym. Wrócili pół godziny później. Ale dzięki temu przewieźliśmy to, co mieliśmy w kieszeniach, mianowicie teksty wszystkich przemówień Ojca Świętego wygłoszonych w Polsce.

B.P. – ***A wtedy rzeczywiście w obrębie bloku było one traktowane jako wyjątkowo trefne materiały.***

B.M. – Trefne i bardzo ważne, tam znajome siostry zakonne, bezhabitowe dominikanki, całą noc mozolnie je przepisywały. Nawet pamiętam, że robiły to takimi mocno już stemperowanymi ołówkami...

K.B. – Jeżeli chodzi o te granice, to nie tylko enerdowcy byli okropni, Czesi też szaleli. Ja jeździłem często do Włoch samochodem. Kiedyś wiozłem ze sobą cały plik polskich gazet. Myślałem, że na wakacjach zdążę je przeczytać. To oczywiście teoretycznie świetnie nadawało się do szmuglowania tekstów. Celniczka patrzyła na te gazety, ale nie przyszło jej do głowy, żeby to przejrzeć. Czesi najczęściej zabierali książki. Czasami woziłem pieniądze od Eugeniusza Smolara dla różnych ludzi w kraju. Bardzo tego nie lubiłem, nie chciałem tego robić, bo wychodziłem z założenia, że nie należy robić niczego, co jest zabronione, ale też właściwie nie miałem z tym specjalnych kłopotów.

B.M. – W PZPR były wtedy bardzo różne prądy, jeszcze inne były w aparacie bezpieczeństwa. Opowiem, jak wróciłem po wydaleniu do Polski. Kiedy pracowałem jako korespondent w Wiedniu, będąc w Paryżu w redakcji „Le Monde" dostałem zaproszenie na koktajl do paryskiej ambasady PRL. To był pierwszy po dwóch latach milczenia sygnał od nich. Radca ambasady wziął mnie na stronę. Zapytał, czy nie mam urazu po tym, co się stało; odpowiedziałem, że moje więzi z Polską, z krajem mojej żony, są zbyt silne. A on mówi: „To ja teraz muszę panu powiedzieć, jak do tego doszło. Po tym, co pan napisał, na posiedzeniu Biura Politycznego (zatkało mnie wtedy, że losy dziennikarzy mogą być omawiane na posiedzeniu Biura Politycznego) towarzysz Kępa powiedział, no, musicie wybierać, albo Margueritte, albo ja. No i widzi pan, wówczas musieliśmy wybrać jego. To nie trwało długo, bo

pięć miesięcy później była afera Moczara i wtedy Kępa też odszedł. A teraz, jeżeli pan poprosi o wizę, to pan ją dostanie". Mówię, że jest konferencja partyjna w 1973 r. „A tak, to dostanie pan zaproszenie". W Wiedniu dostałem rzeczywiście z konsulatu zaproszenie na konferencję, ale wówczas nosiłem wielką brodę i na posterunku granicznym w Bratysławie powiedziano mi, że nie przejadę, bo na zdjęciu jej nie mam, a najbliższy, bardzo dobry fryzjer jest siedem kilometrów stąd. Wróciłem do Wiednia, zadzwoniłem do radcy i powiedziałem, że nie mogę przyjechać z powodu brody. On oddzwonił z informacją, żebym następnego dnia przeszedł przez punkt graniczny w Znojmie, powinno być dobrze. Przejechałem bez żadnych kłopotów.

K.P. – Mam jeszcze jedno pytanie dotyczące ekspulsji. Otóż odnoszę takie wrażenie, że bardzo często korespondenci nie mogąc napisać wszystkiego, co mogliby napisać, jakiś szerszy tekst czy książkę pisali dopiero po wyjeździe z Polski. Tak było na przykład z Abrahamem Rosenthalem, korespondentem „New York Timesa" w Polsce do 1959 r., kiedy go wyrzucono z Polski. Po wyjeździe napisał duży cykl artykułów i za ten cykl dostał Nagrodę Pulitzera. To była jedna z dwóch nagród, które przyznano za dziennikarstwo dotyczące Polski. Drugą otrzymał John Dart za publicystykę dotyczącą „Solidarności".

K.B. – Oczywiście, że był taki rodzaj skrępowania, który na przykład nie pozwalał napisać, że Edward Gierek jest zbrodniarzem. Ale to jest gra z każdym źródłem. Myśmy byli przy źródle w Polsce. Oczywiście, były rzeczy, o których wiadomo było, że można za to zostać wyrzuconym. Na pewno można było być wyrzuconym za napisanie nieprawdy. Aczkolwiek korespondent ANSy nie został wyrzucony, gdy napisał, że Piotr Jaroszewicz nie żyje, i o mały włos nie umarł, gdy się dowiedział, że on żyje. Gdyby człowiek pisał bez przerwy, że komunizm jest kompletnie do niczego, że ten ustrój nie działa, że wszyscy są skorumpowani, brutalni itd. i strasznie dużo ludzi siedzi za poglądy, to miałby poważne trudności.

B.P. – ***Dla wielu korespondentów, dziennikarzy, którzy przyjeżdżali do Polski, to był początek lub jakiś etap drogi. Jeśli byli zainteresowani Europą Wschodnią (znam szereg takich osób), to startowali z Warszawy do Moskwy, więc nie mogli sobie pozwolić na to, żeby tu wypaść z pewnej założonej poprawności.***

K.B. – To jest wszystko w ramach tego urabiania.

B.M. – Oczywiście, to działo się w ramach pewnej konwencji, ale nie mam wrażenia, że nie mógłbym wydać w formie książki tego, co wówczas pisałem. Z tym że ja zawsze sobie robiłem takie punkty – starać się przedstawić sposób myślenia i intencje danej grupy: opozycji, Kościoła, władzy. Dlaczego oni robią to, co robią? To miało bardzo śmieszne skutki, bo zawsze wieczorem Wolna Europa cytowała trzy czy cztery punkty z tych korespondencji, a nazajutrz w „Trybunie Ludu" były pozostałe punkty. Podczas stanu wojennego zaczęła się „zabawa" z cenzurą. To był jedyny okres, gdy mieliśmy bezpośrednio do czynienia z cenzurą. O trzeciej po południu

odnosiliśmy w trzech egzemplarzach teksty, w języku rosyjskim, francuskim i niemieckim, czyli na przykład biedni Włosi musieli to pisać nie w swoim języku. I jak wszystko dobrze poszło, to koło ósmej to wracało z cenzury wojskowej ze zmianami. Dopiero wtedy zrozumiałem, co moi koledzy w Polsce mieli na co dzień z cenzurą. Trzeba było grać.

K.B. – To było rzeczywiście potworne, tutaj mówiliśmy o tym urabianiu nas, żebyśmy pisali tak, żeby się nie narazić, ale to był szok, jak oni zaczęli cenzurować. Chciałem zwrócić uwagę na to, że w momencie stanu wojennego nas wszystkich nie wyrzucono, oni chcieli, żebyśmy tu byli. Prawdopodobnie dlatego, że uważali, iż stan wojenny będzie miał „łagodny" przebieg i chcieli, żebyśmy my o tym pisali. Mogli nas przecież wtedy wszystkich wyrzucić. Dali nam akredytację, zrobili cenzurę itd., ale odbywała się gra, urabianie nas i posiadanie nas na miejscu, pod kontrolą – bo gdybyśmy byli za granicą, to oni nie mieliby nad nami żadnej kontroli. Pamiętam taki incydent: przyjechał Michael Getler z „Washington Post", siedzimy przy jakiejś kolacji, rozmawiamy. I on pyta: „Czy są takie rzeczy, o których nie możecie napisać, to ja jako przyjezdny o tym napiszę". Myśmy nie mieli takich tematów. Były też takie techniki, że zwłaszcza jak nadeszły jakieś wyjątkowe wiadomości, to agencje starały się razem pisać, bo żadna nie chciała się specjalnie wychylać, żeby wiadomość podana jako pierwsza nie była potraktowana przez władze jako nieprzychylna. Starano się pisać w tym samym momencie i mówiło się: „Tak, no przecież koledzy pisali, to ja też musiałem". To była taka linia obrony, że koledzy napisali albo że koledzy by napisali. Może inaczej było wcześniej, my pracowaliśmy w latach siedemdziesiątych, Polska pożyczyła 20 mld. dolarów i musiała się liczyć z opinią zagraniczną znacznie bardziej niż w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych. Oni cały czas chcieli, żeby było takie wrażenie, że ten stan wojenny nie jest taki zły, jakby się wydawało. My byliśmy w dosyć komfortowej sytuacji.

B.M. – Na pewno końcówka lat sześćdziesiątych, a nawet początek lat siedemdziesiątych były znacznie gorsze. Ty miałeś lepiej, bo pracowałeś tylko w owym późniejszym, „lepszym" okresie...

B.P. – ***W tych późniejszych latach o wiele dotkliwsze represje dotyczyły ludzi, którzy nie byli chronieni statusem dyplomaty czy korespondenta – studenci, naukowcy byli znacznie bardziej bezbronni, wchodzono w ich życie osobiste.***

B.M. – Przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych to, mimo wszystkich utrudnień, dla dziennikarza był okres fantastyczny, dopingujący. W czasie trwania wielkiego strajku w Gdańsku stałem się rajdowcem, bo stamtąd nie mogłem dzwonić do Paryża, linia była zablokowana. Byliśmy tam, spałem tam, wprawdzie nie na styropianie, tylko na łóżku polowym, ciągle rozmawiałem z naprawdę niezwykłymi ludźmi, potem musiałem jechać ile sił do Warszawy, przekazać swój tekst i znowu zaraz do Gdańska na popołudnie. Każdą wiadomość trzeba było nieomalże wykopać.

Oficjalne wiadomości to była wata. Trzeba było się spotkać z ludźmi, mieć swoich zaufanych wszędzie, którzy też mieli do człowieka zaufanie. Przypomina mi się też późniejsza, śmieszna historia: robiliśmy takie małe przyjęcia w domu. W 1987 r. był taki koktajl, gdzie był wicepremier Rakowski, ks. Orszulik i inni ludzie z opozycji i z partii, to u nas było normalne. Widziałem w pewnym momencie, że w kącie rozmawiają ks. Orszulik z Rakowskim. Potem mi powiedzieli: „Słuchaj Bernardzie, bardzo ciekawie się nam rozmawia, chcielibyśmy kontynuować, ale nie możemy tego robić ani tam, ani w Episkopacie, więc czy można do ciebie jeszcze przyjechać kolejny raz? „Dwa miesiące później przyjechali i znów trzy godziny rozmawiali. Pierwszą godzinę z moim udziałem, potem sami. I to się powtórzyło jeszcze raz za miesiąc; a to było kilka miesięcy przed znanymi rozmowami w Wilanowie. O panu Rakowskim mógłbym dużo opowiadać, również w kontekście działań tych służb. Wchodzimy do biura wicepremiera, zawsze wychodził, witał, zapraszał. A tu – siedzi za biurkiem, mówi: „Jestem jeszcze zajęty, muszę coś dokończyć, proszę tutaj usiąść". Ale daje mi jakiś kawałek papieru. Czytam – sytuacja jest tragiczna, twardogłowi są w natarciu, koło Jaruzelskiego jest nas dziesięciu, a Grabski, Olszowski, Kociołek chcą tego i tego. Sytuacja jest bardzo zła. Siedzę dalej. On podchodzi do mnie: no, to już jestem gotów, to możemy porozmawiać. Odebrał mi ten papierek i zaraz go zniszczył. Zobaczyłem, że nie tylko korespondenci, ale i ludzie partii, nawet wicepremier, byli obserwowani i musieli uważać. Na zakończenie powiem, że najtrudniejsza dla zachodniego dziennikarza była zawsze sprawa odpowiedzialności za konsekwencje, jakie z powodu naszych kontaktów mogą grozić tym, z którymi rozmawiamy. To była ciągła presja osobista.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 11 (46), listopad 2004

KRESY UTRACONE

Z Adamem Hlebowiczem, Tomaszem Łabuszewskim i Piotrem Niwińskim
rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Pojęcie »Kresy« jest specyficznie polskie, ale jego sens da się zapewne uogólnić. Kresy rozumiane jako terytorium pogranicza z inną kulturą czy religią są doświadczeniem również innych państw europejskich, które, podobnie jak Polska, musiały godzić się czasami z ich utratą. Nasza rozmowa dotyczy takiej właśnie sytuacji — ziem, które nie należą już do Polski, ale bardzo mocno istnieją w świadomości Polaków, z których część (mówi się czasami, że wręcz trzecia część) ma rodowód stamtąd się wywodzący.***

A.H. — Kresy są z jednej strony pojęciem bardzo wygodnym, obejmującym swym zasięgiem ogromne terytorium, kilka krain, kilka współczesnych państw, z drugiej mocno zniekształcającym rzeczywistość. Bo przecież Wilno dla Litwy czy Mińsk dla Białorusi nie są kresami. Tak też było dla wielu pokoleń ludzi mieszkających na tych ziemiach przez stulecia, dla nich było to samo centrum. Wolę zdecydowanie pojęcie „ziemie dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego", choć jest ono dłuższe i obejmuje jedynie część terytorium określanego jako Kresy Wschodnie. Pojęcie Kresów zmieniało się przez stulecia. Za I Rzeczypospolitej nikt nie nazwałby Lwowa miastem kresowym, gdyż wówczas znajdowało się niemalże w centrum Polski. Kresami, krańcami były Smoleńsk, Orsza, Dzikie Pola. W okresie II Rzeczypospolitej używano jeszcze pojęcia „Dalsze Kresy" w odniesieniu do ziem oddanych Sowietom w wyniku traktatu ryskiego. Mowa o Mińszczyźnie, Mohylewszczyźnie — okolicach Berezyny przepięknie opisanych przez Floriana Czarnyszewicza, Wołyniu Południowym z Żytomierzem, wschodniej części Podola z głównym ośrodkiem w Kamieńcu Podolskim. W 1939 r. Kresami były województwa wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, tarnopolskie, stanisławowskie, lwowskie. Warto przy tej okazji wspomnieć, że przed II wojną funkcjonowały także takie pojęcia jak Kresy Zachodnie w odniesieniu do Śląska czy Wielkopolski czy też Kresy Południowe odnoszące się do Spisza, Orawy, Zaolzia.

B.P. — ***Kresy odegrały znaczną rolę nie tylko w polskich dziejach. Przez te ziemie przeciągały rozmaite armie. Wiodące tędy szlaki miały charakter strategiczny, myślę tu o bramie smoleńskiej i wołyńskiej.***

A.H. – Dzieje kilku stuleci dawnej Polski są ściśle związane ze Wschodem. Większość bitew XVI i XVII w., jakie toczyła Rzeczpospolita rozegrało się na terenach wschodnich: Kircholm to dzisiejsze przedmieścia Rygi, Psków to zachodnie krańce Rosji, Chocim – znajduje się na pograniczu ukraińsko – rumuńskim. To ziemie, gdzie dawna Rzeczpospolita toczyła przez kilka wieków boje z sąsiadami. Największe znaczenie miała walka z Rosją. O wpływy, o ziemie, o rząd dusz. Rosja nie mogła znieść obok siebie tak wielkiego i prężnego sąsiada, jakim była pomiędzy XV a XVII stuleciem Polska, stąd próby a potem coraz skuteczniejsze poczynania w spychaniu Polski w kierunku zachodnim. To teren rywalizacji zachodniego katolicyzmu ze wschodnim prawosławiem. W kolejnych stuleciach, wraz z narastającym czynnikiem narodowym w życiu społeczeństw, religia rzymskokatolicka była coraz istotniejszym czynnikiem identyfikującym Polaków na tych ziemiach.

B.P. – ***W czasach pokojowych wiele kresowych miast odgrywało ogromną rolę w handlu między wschodem a zachodem, północą a południem. Dobrą ilustracją tego zjawiska jest struktura narodowościowa kresowych miast – obok ludności rodzimej, Polaków i Żydów mieszkali w nich Ormianie, Niemcy, Rosjanie, Tatarzy. Obszar ten był bardzo zróżnicowany pod względem etnicznym, kulturowym i religijnym. A jednak – przy całej tej złożoności – Kresy miały bardzo silne polskie piętno.***

A.H. – Truizmem jest twierdzenie, że większość wybitnych polskich twórców kultury urodziła się, wychowała lub zdobywała wykształcenie na dawnym obszarze Wielkiego Księstwa, dalekich ziemiach ukrainnych czy w Galicji Wschodniej. Prócz Mickiewicza i Słowackiego byli to m.in.: Moniuszko, Lelewel, Grottger, Fałat, Korzeniowski–Conrad, Szymanowski, Sienkiewicz, Marian Zdziechowski, Konopnicka, Orzeszkowa, Karpiński, Goszczyński, Mehoffer, abp Szczęsny Feliński.

B.P. – ***Odmienność struktury społecznej i narodowościowej powodowała, że Polska miała na tych obszarach w okresie II Rzeczypospolitej pewne specyficzne problemy do rozwiązania.***

A.H. – Zacznijmy od struktury ludnościowej. Miasta zamieszkane były przede wszystkim przez ludność polską i żydowską. Nawet w największych ośrodkach, takich jak Wilno czy Lwów, procent ludności odpowiednio litewskiej i ukraińskiej był bardzo znikomy. Inaczej przedstawiała się sytuacja na wsiach. Z wyjątkiem Wileńszczyzny i Nowogródczyzny na wsiach Polacy stanowili mniejszość, drastycznie wyglądała ta statystyka (na niekorzyść Polaków) w takich regionach jak Wołyń, Polesie czy ziemia stanisławowska. Polacy jednak byli na prowincji warstwą najbogatszą – posiadali majątki, pałace, dwory, zamki. W efekcie prowadziło to do głębokiej polaryzacji społecznej. Należy pamiętać o silnej agitacji komunistycznej lub nacjonalistycznej o zabarwieniu białoruskim czy ukraińskim, która nie pozostawała bez wpływu na niechętne nastawienie ludności chłopskiej do Polaków.

Niezrealizowana koncepcja federacyjna Józefa Piłsudskiego przyniosła fatalne skutki dla Rzeczypospolitej. Marszałek, przypomnę, domagał się utworzenia federacji państw z Litwą, Białorusią, Ukrainą. Niestety, tak się nie stało, nie tylko z przyczyn militarnych. Zdominowana przez czynnik endecki polska delegacja biorąca udział w rozmowach pokojowych z ZSRS w Rydze w 1921 r., doprowadziła nawet do oddania władzy sowieckiej Mińska, Kamieńca Podolskiego, choć Sowieci byli skłonni te tereny pozostawić Polsce. Narodowa Demokracja opowiadała się jednak za państwem narodowym i uważała, że należy mieć tyle terytorium, ile można spolonizować. Koncepcja Piłsudskiego zupełnie inaczej ustawiała geopolitykę tego regionu i kto wie jak potoczyłyby się losy Polski i innych kresowych narodów, gdyby została zrealizowana.

Polityka narodowościowa w II RP wobec mniejszości narodowych nastawiona była głównie na asymilację, polonizację. Przy nędznym stanie gospodarki na wschodzie Polski propaganda Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi czy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów trafiała na podatny grunt. Ci spośród Polaków, którzy głosili hasła pojednania, poszukiwania *modus vivendi* dla obu stron, kończyli źle. Minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki i wybitny działacz piłsudczykowski Tadeusz Hołówko zostali zastrzeleni przez OUN, wojewoda wołyński Henryk Józewski, znany z prowadzenia liberalnej polityki wobec Ukraińców, został odwołany ze stanowiska. Symbolem złej polityki wschodniej była akcja niszczenia cerkwi prawosławnych na Chełmszczyźnie w drugiej połowie lat trzydziestych.

B.P. — ***Współistnienie nacji i wyznań stanowiło o wielkim bogactwie Kresów w sensie stworzenia stosunkowo tolerancyjnych społeczności lokalnych. Obok siebie budowano świątynie różnych wyznań, funkcjonowały narodowe stowarzyszenia, teatry, restauracje czy kluby sportowe. Do tej charakterystyki przedwojennych Kresów Wschodnich warto dodać również i to, że był to obszar stosunkowo ubogi gospodarczo o słabej infrastrukturze przemysłowej, z marnymi drogami. Status metropolii można było przyznać jedynie Lwowowi, będącemu wielkim europejskim miastem. Starano się, żeby metropolią stało się również Wilno. I rzeczywiście bardzo rozwinęło się ono w Dwudziestoleciu. Dumą miasta był Uniwersytet Stefana Batorego. Takie były polskie Kresy, gdy nadszedł wrzesień 1939 r.***

P.N. — Okupacja dla Kresów zaczęła się 17 września. Wcześniej ludność tamtejsza doświadczana była tylko przez naloty bombowe, dość zresztą ograniczone. Nie znaczy to, że kresowiacy nie brali udziału w walkach. Na przykład załoga Westerplatte w znacznej większości pochodziła z Brześcia nad Bugiem. Okupacja jednak zaczęła się dopiero po nadejściu Sowietów, którym opór stawiano sporadycznie (zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza, który interpretowano jako rozkaz nie stawiania oporu Sowietom). Krótkotrwały, choć skuteczny opór stawiało Wilno i heroicznie

broniło się Grodno. W Wilnie walczyły jednostki osłonowe WP wraz z ochotnikami – najczęściej młodzieżą. Symbolem tego oporu był przez wiele dni wrak sowieckiego czołgu wystający z nurtu Wilii i groby na Rossie trzech polskich żołnierzy, którzy zginęli w tym rejonie.

Wejście bolszewików na Kresy ich mieszkańcy porównywali do inwazji szarańczy. Wygłodzeni Sowieci najpierw grabili, a zaraz potem, wykorzystując urzędowe zrównanie złotówki z rublem wykupili wszystkie towary w sklepach. Natychmiast znacjonalizowano wszystkie przedsiębiorstwa, przeprowadzono czystki w urzędach, pozbawiając źródeł dochodów zdecydowaną grupę mieszkańców miast. Podobnie rzecz miała się na wsiach, gdzie „uspółdzielczano" gospodarstwa, tworząc kołchozy. Gdzieniegdzie proces ten przebiegał nieco wolniej, ale był równie bolesny. Zabierano ziemię, oddając ją pod zarząd kierownictwa kołchozu, zazwyczaj złożonego z marginesu wiejskiego.

A.H. – Represje w latach 1939–1941 w dużej mierze były skierowane przeciw ludziom, którzy walczyli w wojnie polsko-bolszewickiej, tym, którzy władzy bolszewickiej najboleśniej zaleźli za skórę. Byli to legioniści Piłsudskiego, dawni oficerowie carskiej armii, specjaliści sowietolodzy np. z Instytutu Europy Wschodniej w Wilnie, Ukraińcy z oddziałów Semena Petlury, Białorusini walczący w antybolszewickich ugrupowaniach generała Stanisława Bułak-Bałachowicza czy „biali" Rosjanie związani z dawnym terrorystą, a potem ministrem w rządzie Kiereńskiego, Borysem Sawinkowem. Wszyscy oni byli w pierwszej kolejności aresztowani i wywożeni.

B.P. – ***Na ogromną skalę grabiono wszelki majątek łącznie z dobrami kultury. Najcenniejsze zbiory zostały wywiezione w głąb Rosji. Jeśli coś nie było przydatne jako trofeum zdobyczne, to po prostu to niszczono, wdeptywano w ziemię, palono, łamano. Do tego trzeba dodać strach. Strach wytworzony przez kolejne fale deportacji, masowe aresztowania i represje. Jednym ze skuteczniejszych sposobów rozprawienia się ze społecznością kresową była walka z Kościołem i religią. Związek Sowiecki to przecież państwo urzędowego ateizmu. Czy zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej na tereny RP w 1939 r. doszło do bezwzględnego niszczenia Kościoła?***

A.H. – Kiedy Sowieci wkroczyli na tereny wschodnie II RP, to na całym tym terytorium rozstrzelano kilkunastu księży katolickich, którzy brali udział w aktywnej obronie Polski, czy też zostali zadenuncjowani przez miejscowe jaczejki komunistyczne, bo działali aktywnie w okresie międzywojennym. Bezpośrednie represje wobec duchowieństwa w tej pierwszej fazie okupacji nie były jednak zjawiskiem masowym, jak stało się to po 1945 r. Jeśli chodzi o deportacje okresu 1940–1941, to sytuacja była podobna. Owszem, łącznie w latach 1940–1941 aresztowano a potem wywieziono 139 kapłanów katolickich, ale przede wszystkim dlatego, że byli zaan-

gażowani w działalność konspiracyjną. Tak trafił do więzienia i następnie do łagru ks. Kazimierz Kucharski, znany jezuita wileński. Szlak łagierny przeszli duchowni, którzy potem zostali kapelanami w armii generała Władysława Andersa. Warto dodać, że prócz księży rzymskokatolickich, represjonowani byli również grekokatolicy, duchowni prawosławni, ewangeliccy, rabini.

B.P. — ***Niemniej za czasów okupacji sowieckiej Kościół poniósł ogromne straty. Polityka Sowietów na obszarze zaanektowanym była nastawiona na niszczenie wszelkich śladów polskości, polskiej kultury. A więc także na niszczenie Kościoła.***

A.H. — W przypadku Kościoła to było najbardziej dotkliwe uderzenie — całkowita nacjonalizacja jego majątku. Nie chodzi tu tylko o ziemię, ale przede wszystkim o plebanie, klasztory, szkoły katolickie czy budynki przeznaczone na udzielanie pomocy charytatywnej. Kościół został tym samym pozbawiony możliwości prowadzenia znacznej części swej zwykłej działalności. W szkołach, gdzie dotąd na ścianach wisiały krzyże, władze sowieckie wprowadzały swoje propagandowe emblematy, pod którymi krzewiły własną ideologię. Tworzono tzw. *dwadcatki*, czyli komitety dwudziestoosobowe, składające się z osób świeckich. Odtąd nie proboszcz był głową parafii, lecz komitet, czyli często podstawieni agenci NKWD. W wielu wypadkach owe komitety udawało się jednak obsadzić zaufanymi ludźmi Kościoła. Pierwsza okupacja sowiecka trwała stosunkowo krótko, nie wszystko udało się Sowietom zrealizować, ale jak się potem okazało, to był początek pewnego procesu. Kiedy władze sowieckie wróciły na te tereny w 1944 r., powróciły do swoich metod; niektóre, przerwane działania miały swe dokończenie. Ksiądz Kazimierz Świątek, obecny kardynał, przewodniczący Episkopatu Białorusi, w 1941 r. został. aresztowany w Prużanie na Polesiu. Siedział w celi śmierci, miano go rozstrzelać w czerwcu 1941 r., nagle wkroczyli Niemcy i on cudem uniknął śmierci. Minęły trzy lata, wrócili Sowieci i pierwsze co zrobili, przyszli po księdza Świątka. Mieli go już na liście.

B.P. — ***Pod jakim zarzutem?***

A.H. — Po prostu stary wyrok nie został wykonany. Skazują go ponownie, dostaje tym razem wyrok 25 lat pobytu w łagrze. Pod tym względem system represji był perfekcyjnie przygotowany, listy aresztowanych czekały tylko na realizację.

B.P. — ***Jak wyglądał polski ruch oporu na Kresach?***

P.N. — Pierwsze organizacje konspiracyjne powstały już w momencie wkraczania wojsk sowieckich w 1939 r. i to zarówno oddolnie, jak i w sposób zorganizowany za sprawą głównie SZP–ZWZ, która starała się zresztą podporządkować pomniejsze organizacje, często jednak na zasadzie włączenia całych, już istniejących struktur. Ujednolicenie miało dopiero nadejść. Jednak wobec intensywnej działalności NKWD rozszerzenie działalności podziemia było bardzo utrudnione. Błyskawicznie zbudowano szeroką siatkę agenturalną, która praktycznie obejmowała wszystkie

środowiska, co sparaliżowało większość prób stworzenia sieci konspiracyjnej. We Lwowie sieć SZP–ZWZ była infiltrowana do stanowiska komendanta okręgu włącznie. Polskie podziemie najlepiej funkcjonowało pod okupacją litewską, skąd promieniowało inicjatywami na ziemie wcielone do ZSRS. Do czerwca 1941 r. istniała partyzantka na Nowogródczyźnie i Wileńszczyźnie, jak również sieć konspiracyjna, choć zrywana i demontowana przez NKWD. Kolportowano prasę konspiracyjną, rekrutowano nowych członków, szkolono kadry, zbierano broń, likwidowano agentów. Prowadzono także działania osłonowe, mające bronić ludność polską przed prześladowaniami. Funkcjonowały komórki legalizacji, produkujące fałszywe dokumenty, starano się opanować ważniejsze urzędy, aby chronić Polaków, ukrywano zagrożony dorobek kulturalny. Ważną rolę odgrywał ruch kurierski, pozwalający przerzucać przez granicę zarówno materiały (rozkazy, środki finansowe czy techniczne), jak i ludzi.

B.P. — ***Co się zmieniło w chwili wkroczenia na te tereny wojsk niemieckich?***

P.N. — Działalność gestapo nie była tak skuteczna w zwalczaniu konspiracji, której członkowie byli zresztą już bogatsi w doświadczenia. Odbudowano siatkę konspiracyjną na Kresach i dokończono akcję scaleniową. ZWZ–AK podporządkowały się praktycznie wszystkie ugrupowania polityczne, nie tworzono odrębnych sieci BCh czy NOW. W 1942 r. ujednolicono struktury i zbudowano silną siatkę konspiracyjną. Podziemie miało być przede wszystkim polską armią i bronić polskiego społeczeństwa. Na Kresach był to bardzo skomplikowany proces. Bronić należało bowiem nie tylko przed niemieckim okupantem, ale także przed antypolskimi działaniami mniejszości, przede wszystkim ukraińskiej i litewskiej. Jedna z frakcji ukraińskich nacjonalistów OUN–B już w 1941 r. rozpoczęła wrogie działania skierowane przeciw Polakom. Akcja ta osiągnęła apogeum w 1943 r., kiedy doszło do rzezi na Wołyniu. Na Wileńszczyźnie rozpoczęły się prześladowania ze strony współpracujących z niemieckim okupantem Litwinów. Sytuacja Kresów była dodatkowo trudna w tym okresie, ponieważ ziemie te przez Związek Sowiecki były traktowane jako własne terytorium. Dochodziła więc działalność partyzantki sowieckiej, szczególnie w pierwszym okresie nastawionej głównie na przetrwanie, rabującej okoliczną ludność. W połowie 1943 r. postawa partyzantki sowieckiej zradykalizowała się. Niszczono polskie oddziały i polską siatkę konspiracyjną. Rozpoczęła się faktyczna wojna partyzancka. Na terenie Kresów północno–wschodnich funkcjonowały przecież równolegle partyzantki: żydowska, litewska, sowiecka, białoruska, polska. Mimo wielu prób porozumienia, podziemie polskie i wyrosłe już w początku 1943 r. polskie oddziały partyzanckie walczyły z niemieckim okupantem, z oddziałami UPA i litewskimi formacjami policyjnymi, a także z partyzantką sowiecką. Walka trwała więc na wielu frontach. Zawiązywano i zrywano najdziwniejsze sojusze.

B.P. — ***Jak na tym tle wyglądała polska partyzantka?***

P.N. — W czerwcu 1944 r. na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie działało kilkadziesiąt oddziałów, liczących od kilkudziesięciu do kilkuset (nawet 900!) żołnierzy, uzbrojonych w zdobyczną broń, zachowujących dyscyplinę wojskową, dążących do jednolitego, regulaminowego umundurowania. Tworzyły one swoiste „republiki partyzanckie". Niemcy na tych obszarach poruszali się tylko głównymi drogami, w silnie bronionych konwojach. Partyzanci poruszali się jawnie, stacjonując we wsiach, gdzie zakładane były np. piekarnie wojskowe czy rusznikarnie. Życie partyzanckie przypominało wtedy nieco życie koszarowe. Prowadzono teoretyczne zajęcia wojskowe (istniała Szkoła Młodszych Dowódców), prowadzono zajęcia z musztry, szyto mundury, rozwijano tabor samochodowy (co najmniej kilkadziesiąt samochodów ciężarowych i osobowych służyło w oddziałach, głównie w 3. Wileńskiej Brygadzie, nazywanej nawet niekiedy – choć zdecydowanie na wyrost – zmotoryzowaną). Funkcjonowała polska administracja, wszędzie widać było polskie flagi i godła.

B.P. — ***Co dzieje się po ogłoszeniu realizacji planu »Burza« zakładającego wspólne wystąpienie przeciw Niemcom u boku »sojuszników naszych sojuszników«, a więc ujawnienie się polskiego podziemia przed wkraczającą Armią Czerwoną?***

P.N. — Wymagało to olbrzymiej dyscypliny ze strony członków AK, którzy Sowietów postrzegali jako wroga. Pamiętano ich działania z okresu pierwszej okupacji, nie mówiąc już o doświadczeniach z sowiecką partyzantką. Niemniej podporządkowano się rozkazowi. Pierwsza przystąpiła do „Burzy" 27. Wołyńska Dywizja AK, walcząc już od marca 1944 r. Walki o Lwów zaczęły się 23 lipca 1944 r. Po czterech dniach, 27 lipca miasto zajęła Armia Czerwona, przy znacznym współudziale jednostek AK. Największa jednak mobilizacja miała miejsce na północy Kresów, gdzie skoncentrowane zostały siły partyzanckie Nowogródzkiego i Wileńskiego Okręgu AK, które miały opanować Wilno przed nadejściem Armii Czerwonej. Ostatecznie pod Wilnem znalazło się sześć tysięcy partyzantów, którzy 13 lipca wspólnie z czerwonoarmistami opanowali miasto. Jednak, podobnie jak na innych terenach oddziały AK zostały rozbrojone, a żołnierze internowani. Rozpoczęła się trzecia okupacja sowiecka. Konspirację kontynuowano w o wiele trudniejszych warunkach, spowodowanych głównie ujawnieniem znacznej części struktur podczas „Burzy". W kwietniu 1945 r. struktury m.in. Okręgu Wileńskiego i Lwowskiego ewakuowały się do Polski centralnej, gdzie podjęły dalszą działalność.

B.P. — ***W lipcu roku 1944 ogłoszone zostaje powstanie PKWN, polskiej z nazwy struktury władzy, w istocie będącej narzędziem polityki Stalina. Komitet ten już na początku września 1944 r. podpisuje umowy z »władzami« granicznych republik sowieckich litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej. Dotyczą one dobrowolnej, przynajmniej na papierze, »repatriacji«***

zamieszkujących na Kresach Polaków i Żydów do Polski, popularnie zwanej wówczas »lubelską«.

A.H. – Ogłoszenie repatriacji – bo tak propagandowo określono przesiedlenie, faktyczną ekspatriację – było szokiem dla Polaków mieszkających na Wschodzie. Ich ojczyzna była tam, gdzie się urodzili, gdzie rodzili się ich rodzice, dziadowie. To jest bardzo charakterystyczne, gdy pojawiają się pierwsze ogłoszenia, że będą wyjazdy do Polski w nowych granicach, nikt się nie rusza – ani ze Lwowa, ani z Wilna, ani z prowincji. Pełnomocnicy Państwowych Urzędów Repatriacyjnych, wspomagani przez służby specjalne NKWD/NKGB i Urząd Bezpieczeństwa zaczynają wywierać naciski. Zaczynają się aresztowania, najczęściej ludzi najbardziej wpływowych, opiniotwórczych, którym przedstawia się alternatywę – albo jedziesz na „białe niedźwiedzie", albo wyjeżdżasz w nowe granice Polski. Wielu kresowiaków postawionych w tej sytuacji podejmuje dramatyczną decyzję o wyjeździe w kierunku na Zachód.

P.N. – Na Wileńszczyźnie widać to bardzo wyraźnie, przeglądałem księgi repatriacyjne. Do kwietnia 1945 r. na repatriację, czyli faktyczną ewakuację ludności z tamtych ziem zapisały się jednostki. Od kwietnia dziennie na wyjazd zapisuje się po dwa, trzy, cztery tysiące osób. Żeby się zapisać, ludzie stoją w kolejkach.

B.P. – ***Co jest powodem takiej zmiany zachowań? Czy ma to związek z ustaleniami z Jałty?***

P.N. – Ludność Kresów uświadomiła sobie, że Kresy są stracone, słysząc w radiu czy czytając w gazetach o postanowieniach Jałty w lutym 1945 r. Wtedy zrozumiano, że to już koniec. W kwietniu komendant okręgu wileńskiego i delegat rządu wydają zarządzenie, że należy wyjechać, chronić ludność polską, te ziemie będą zrusyfikowane, a ci którzy zostaną, będą deportowani. To był dramatyczny apel. Zezwala się na wyjazd na ziemie uwolnione od Niemców, więc natychmiast zaczyna się duży ruch. Wcześniej, czy w „Niepodległości" czy w innych pismach, były apele Okręgowej Delegatury Rządu – nie wyjeżdżajcie, będzie plebiscyt, udowodnicie polskość tych ziem, mimo że was zmuszają, wytrwajcie. A teraz ludzie słyszą – nie będzie żadnego plebiscytu, koniec, musimy stąd wyjechać, musimy ocalić polskość, ocalić żywioł polski zniszczony przez wojnę. Trzeba jechać do Polski w jej nowych granicach, może stamtąd uda się jeszcze walka o nasze Wilno.

I jeszcze jedno. Na jednej z konferencji IPN historycy litewscy przedstawili bardzo ciekawy referat o prześladowaniach i zmianach narodowościowych po II wojnie światowej. Podali informację, potwierdzoną przez dokumenty sowieckie, że do czerwca 1945 r. była intencja wypychania Polaków stamtąd, nacisk był potężny. W czerwcu 1945 r. nastąpiła zmiana tej strategii, okazało się, że na Wileńszczyźnie, częściowo Nowogródczyźnie, że na tych ziemiach pozostałaby pustka, więc naciskano, żeby ludzie nie wyjeżdżali. Zabierano karty ewakuacyjne, zawracano, nawet z pociągu, przedstawicieli inteligencji technicznej, inżynierów,

majstrów, nawet tej niższej inteligencji technicznej, czyli ludzi, którzy byli w stanie obsługiwać fabryki, zarządzać koleją.

A.H. – Rzecz symboliczna, w styczniu następuje fala aresztowań hierarchii duchowieństwa katolickiego mieszkającego na Wschodzie. Arcybiskup Romuald Jałbrzykowski został aresztowany w styczniu 1945 r. w Wilnie. Był już wtedy niemłodym, schorowanym człowiekiem, spędził w celi trzy miesiące. NKWD wypuściło go, ale postawiło ultimatum – musisz wyjechać, bo inaczej ponownie cię aresztujemy i zamęczymy. Arcybiskup wyjeżdża w konsekwencji do Białegostoku. Z całą pewnością wyjazd takiej osoby był sygnałem dla ludności – nasz autorytet, nasza ostoja duchowa, pasterz wyjeżdża, zostajemy bez obrony.

B.P. – ***Sowieci wiedzieli doskonale, co znaczy pozbawić wiernych pasterza. Jaka była w tej sytuacji strategia arcybiskupa Jałbrzykowskiego?***

A.H. – Metropolita wileński wypowiedział się w sprawie wyjazdów jednoznacznie. Dopóki w parafiach są wierni, księża mają pozostać na swych placówkach i starać się normalnie wykonywać obowiązki. Jedynie najmłodsze pokolenie duchowieństwa, najbardziej zagrożone aresztowaniami, otrzymało ustną zgodę abp. Jałbrzykowskiego na wyjazdy w nowe granice Polski. Podobnie jak w Wilnie, również w diecezji łuckiej w styczniu 1945 r. został aresztowany biskup Adolf Szelążek. W zasadzie cała kapituła łucka, która pozostała na Wschodzie, w tym ksiądz Władysław Bukowiński, Karol Gałęzowski, Adolf Kukuruziński, wszyscy zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu w Kijowie. Ich proces odbył się rok później. Biskupa Szelążka po półtora roku trzymania w więzieniu, bez wyroku, deportowano na siłę, bez jego zgody, w granice PRL. Podobne represje zostały skierowane przeciw arcybiskupowi Eugeniuszowi Baziakowi we Lwowie. Nocne przesłuchania, rewizje, praca donosicieli. We Lwowie sytuacja była wyjątkowo trudna, ponieważ w 1944 r. zmarł arcybiskup Twardowski. Jego następcą został arcybiskup Baziak, który nagle znalazł się w nowej sytuacji, w nowej roli.

B.P. – ***Jak wyglądało opuszczanie Kresów przez żołnierzy, oddziały partyzanckie?***

T.Ł. – Odpływ oddziałów partyzanckich z Kresów północno-wschodnich zaczął się już w trakcie operacji „Ostra Brama". Spośród zwartych jednostek, pierwszą, która w lecie 1944 r. rozpoczęła marsz na zachód było Zgrupowanie Stołpeckie, składające się z I batalionu 78. pp. i 27. p.uł. AK. Jego dowódca, ppor. cc. Adolf Pilch „Góra" po wydarzeniach z grudnia 1943 r., kiedy to partyzantka sowiecka rozbiła większość pododdziałów zgrupowania i wymordowała około pięćdziesięciu jego żołnierzy, nie miał żadnych złudzeń co do stanowiska Sowietów wobec polskiej partyzantki, zwłaszcza zaś jego jednostki. Słuszność takiej oceny sytuacji potwierdzały zresztą ciągłe ataki oddziałów „czerwonej partyzantki" na podległe mu pododdziały. Zgrupowanie jako jedyne też z jednostek sformowanych przez Okręg Nowogródzki nie wzięło udziału w walkach o Wilno, ale wyprzedzając linę frontu

przesunęło się w lecie 1944 r. przez powiat wołkowyski, Podlasie aż do Puszczy Kampinoskiej. Żołnierze ci wzięli udział w Powstaniu Warszawskim w szeregach Zgrupowania „Kampinos", część z nich uczestniczyła w walkach na Żoliborzu. Po upadku Powstania ocalała z porażki pod Jaktorowem część zgrupowania razem z dowódcą por. cc. Adolfem Pilchem „Doliną", „Górą" przebiła się w Góry Świętokrzyskie, gdzie zakończyła swój szlak bojowy w drugiej połowie stycznia 1945 r. Jako zwarta jednostka formacja ta, licząca przeszło siedmiuset żołnierzy przeszła parę tysięcy kilometrów.

B.P. — ***Jak oni szli? Jaka była strategia tego przemieszczania się?***

T.Ł. — Był to oddział w pełni umundurowany z wozami taborowymi, które ciągnęły się na przestrzeni kilku kilometrów. Mógł on z powodzeniem udawać i udawał jedną z wielu formacji kolaboracyjnych — białoruskich czy też rosyjskich, które wycofywały się wraz z Niemcami. W celu przykrycia — zakamuflowania rzeczywistego charakteru oddziału — zgrupowanie posługiwało się grupą kilku żandarmów niemieckich zabranych w lipcu 1944 r. po rozbiciu garnizonu w Rakowie oraz oddziałem policji białoruskiej — w większości żołnierzy AK, którzy dołączyli z tej miejscowości w momencie odmarszu na zachód. Grupy te wieziono na pierwszych wozach — jako rzekomy dowód współpracy z Niemcami i kiedy dochodziło do styczności z jednostkami niemieckimi, po prostu posługiwano się nimi, jako rodzajem tarczy. Sytuacji takich starano się jednak unikać, podążając w kierunku Warszawy bocznymi drogami. Oczywiście, w momencie powstania sytuacji konfliktowych zawsze pozostawał argument siły, a był to oddział bardzo dobrze uzbrojony, dość powiedzieć, że ich uzbrojenie stanowiło praktycznie jedną czwartą wyposażenia Okręgu Warszawskiego AK w czasie Powstania Warszawskiego. Stosując wspomniany kamuflaż udało im się przejść nawet przez obsadzony przez wojska niemieckie most na Wiśle w Modlinie. Jako rejon stacjonowania wyznaczono im rejon Dziekanowa Leśnego, z którego czym prędzej wymaszerowali w Puszczę Kampinoską, nawiązując kontakt z miejscowymi oddziałami AK.

B.P. — ***Czy grupowanie por. Pilcha było jedyną jednostką, która poważyła się na taki wyczyn?***

T.Ł. — Druga zwarta jednostka, która w lecie 1944 r. uzyskała ustną co prawda, ale formalną zgodę komendanta Okręgu Wileńskiego płk Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka" na marsz na zachód, to 5. Brygada Wileńska pod dowództwem mjr. Zygmunta Szyndzielarza „Łupaszki", ostatecznie rozwiązana w rejonie Porzecza na Grodzieńszczyźnie w końcu czerwca 1944 r. Oczywiście w tym samym czasie na zachód przedziera się pojedynczo lub w kilkuosobowych grupkach wielu żołnierzy kresowej AK, wielu też zasila szeregi najbliższej terytorialnie konspiracji — tj. Okręgu Białostockiego. Na tym zamyka się rok 1944.

B.P. — ***Nie wszyscy wyszli. Nie tylko dlatego, że nie mogli, także dlatego, że nie chcieli. Jakie były rozkazy na ten temat?***

T.Ł. – Odpływ ludzi z tamtych dwóch okręgów ma swój początek w lecie 1944 r. Był usankcjonowany przez Komendę Główną i dowództwo połączonego okręgu wileńsko – nowogródzkiego, które nakazywały przerzut do Polski centralnej zagrożonych członków konspiracji. Na pozostanie na Kresach zdecydowało się jednak początkowo wielu dowódców – jak można sądzić w poczuciu odpowiedzialności za powierzonych sobie żołnierzy. Uczynił to m.in. ppłk Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz", kpt. Stanisław Sędziak „Warta", ppor. Czesław Zajączkowski „Ragner", por. Jan Borysewicz „Krysia". Przez prawie rok funkcjonowały dalej oddzielnie komendy okręgów Wileńskiego i Nowogródzkiego, które starały się kierować zbrojnym oporem przeciw Sowietom. Do pomocy w organizacji przerzutu włączona została także białostocka AK, zwłaszcza zaś Inspektorat Grodzieński – przylegający od strony wschodniej do tzw. linii Curzona. Jego żołnierze mimo, że uczestniczyli czynnie w przeprowadzaniu oddziałów wileńskich i nowogródzkich, sami przez wiele miesięcy mieli formalny zakaz opuszczania dotychczasowego terenu działania i pełnionych funkcji. Była w tym widoczna jasno formułowana nadzieja na korzystną weryfikację granic, w wyniku której wszystkie tereny przygraniczne, w tym Grodno, zostaną przyznane Polsce. Taka sytuacja w Inspektoracie Grodzieńskim trwała do 30 czerwca 1945 r., tzn. do podjęcia decyzji o likwidacji aktywów konspiracyjnych inspektoratu. Za „kordonem" miały pozostać jedynie komórki propagandowe, wywiadowcze i dywersyjne o składach skadrowanych. Wszyscy członkowie organizacji zagrożeni represjami lub też chcący wyjechać mieli być przerzuceni wszelkimi sposobami przez tzw. linię Curzona. W 1945 r. trwał dalej wzmożony ruch oddziałów kresowych na zachód.

B.P. – ***Część żołnierzy umieszczono w transportach repatriacyjnych, a część decydowała się na przejście z bronią.***

T.Ł. – W lecie 1945 r. z pomocą żołnierzy z Obwodu AKO Grodno Prawy Niemen przez granice przeszły bojowe grupy wileńsko-nowogródzkie „Lalusia", „Żuka" i „Śmiałego". Co znamienne – fakt dotarcia do ówczesnego terytorium polskiego nie oznaczał dla nich wcale zmniejszenia ryzyka likwidacji. Oddziały sowieckie w pogoni za polskimi oddziałami kresowymi zwyczajowo przechodziły bowiem umowną dla siebie granicę. Przekonał się o tym „Laluś", którego grupa już po kilku godzinach pobytu w Polsce wytropiona została i rozbita przez Wojska Wewnętrzne NKWD na terenie powiatu sokólskiego. Także w lecie następuje samolikwidacja ostatnich komend okręgowych – wileńskiej i nowogródzkiej. Proces zorganizowanych przerzutów zamykają jak się wydaje grupy grodzieńskie, z których ostatnia przekracza granicę w lutym 1946 r.

B.P. – ***Ale niektórzy żołnierze zostali. Jakie były powody podjęcia takiej decyzji?***

T.Ł. – Powody, jak można sądzić, były – zwłaszcza od lata 1945 r. – bardziej indywidualne niż organizacyjne. Wydaje się, że generalnym motywem były,

zarówno kwestia odpowiedzialności za powierzonych sobie żołnierzy, jak i gotowość obrony miejscowej ludności przed działaniami represyjnymi sowieckiego aparatu bezpieczeństwa. Wiara w to, że będzie jakiś nowy światowy konflikt, który zmieni układ sił, w przeciwieństwie do większości konspiratorów z Polski centralnej, tam była argumentem drugorzędnym. Chociaż na terenach przylegających do tzw. linii Curzona przez dłuższy czas utrzymywała się wiara w nieodległą korektę granicy. Przeważała jednak opinia o konieczności obrony własnych domów rodzinnych. Do tego dochodziły motywy o charakterze osobistym, które wzmacniały tylko determinację.

B.P. — ***Jak można scharakteryzować tę ostatnią kresową konspirację zbrojną?***

T.Ł. — Po 1945 r. na kresach północno-wschodnich mamy w zasadzie dwa centra ogniskujące działalność polskiej konspiracji niepodległościowej. Największy i najsilniejszy — bo liczący według danych sowieckich blisko ośmiuset ludzi — to Obwód 49/67 grupujący konspiratorów z dwóch obwodów Okręgu Nowogródzkiego — Szczuczyn Nowogródzki i Lida. Jego dowódcą był były dowódca kompanii z VII batalionu 77. pp. AK, nauczyciel szkoły powszechnej, ppor. Antoni Radziwonik „Olech". Drugim takim centrum, skupiającym działalność konspiracji polskiej na Grodzieńszczyźnie był Obwód nr 10 z ppor. Mieczysławem Niedzińskim „Menem, Renem, Niemnem".

Inny, bardziej lokalny charakter ma inicjatywa powstała we wschodniej części powiatu Wołkowysk w 1946 r. Próbowano tam utworzyć miejscową samoobronę, której bazę stanowili w większości byli członkowie konspiracji akowskiej. Głównym inicjatorem i pierwszym dowódcą struktury był miejscowy proboszcz parafii Krzemienica, b. kapelan 3. pułku strzelców konnych ks. Antoni Bańkowski „Eliasz". Chodzi głównie o to, żeby nadać ramy organizacyjne procesowi ucieczki ludzi do lasu i zapobiec tworzeniu grup „dzikich", które wyrodzić się mogły w grupy o charakterze bandyckim. Inicjatywa różni się od szeregu podobnych pomysłów tym, że trwa stosunkowo długo. Powstała w lecie 1946 r. i działa aż do czerwca 1948 r., przez cały ten czas dysponując stałym oddziałem partyzanckim. W przypadku struktury lidzko-szczuczyńskiej prowadzono działania o znacznie większym rozmachu, obejmującym teren dwóch powiatów. Oddziałów podległych ppor. „Olechowi" było kilka, były one silniejsze — do stu ludzi jeszcze w 1948 r.

B.P. — ***Jaki był charakter prowadzonych przez nich działań?***

T.Ł. — Działania, jakie te struktury podejmują, mają przede wszystkim charakter porządkowy, głównie są to akcje likwidacyjne agentów sowieckiego resortu bezpieczeństwa i wszystkich przedstawicieli władzy sowieckiej, którzy w ocenie wspomnianych organizacji prowadzą wobec ludności polskiej działalność szkodliwą. W dokumentach sowieckiego aparatu bezpieczeństwa tylko strukturze grodzieńskiej przypisano około stu likwidacji. W momencie rozpoczęcia akcji kolektywiza-

cyjnej w 1947–1948 r. były one w stanie praktycznie zablokować tę operację, paląc kolejne kołchozy, przeprowadzając likwidacje urzędników.

B.P. — ***Jak długo te działania przynosiły skutki?***

T.Ł. — Aż do ostatecznej rozprawy. Wszelkie działania o charakterze zbrojnym powodowały zwielokrotnioną reakcję sowieckich sił bezpieczeństwa. Nawet to, co pozornie można by nazwać doraźnym sukcesem kończyło się ostateczną klęską. W 1949 r. następuje uderzenie wojsk MWD. W wyniku kolejnej z serii operacji w maju tego roku ginie Antoni Radziwonik „Olech". Historia struktury grodzieńskiej jest dokładnie o rok krótsza. Śmierć dowódcy Mieczysława Niedzińskiego „Mena" jest końcem istnienia zorganizowanego oporu na Grodzieńszczyźnie, nie oznacza jednak całkowitego „wypalenia się" polskiego oporu. Funkcjonują jeszcze drobne oddziałki likwidowane jeszcze na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Po tym okresie zostają tylko tzw. *odinoczki* — pojedynczy żołnierze, którzy ukrywają się przed resortem do kolejnej akcji repatriacyjnej w latach 1956–1957. Niektórym z nich udaje się do Polski wrócić, ale rok 1949 jest granicą prowadzenia aktywnych, zorganizowanych działań, „dopalanie Kresów" z tym momentem się kończy.

B.P. — ***Czy o tych ludziach pozostała jakaś pamięć, legenda wśród kresowych Polaków? Czy też ich ofiara poszła na marne?***

A.H. — Dobrym świadkiem, jeśli chodzi o ziemię lidzką, jest pisarz Aleksander Jurewicz, który jako chłopiec wyjechał do Polski w latach pięćdziesiątych. Jurewicz wspomina sytuację, gdy na rynku w Lidzie pokazywano na wozie zabitego akowca, jako przykład ku przestrodze miejscowych Polaków. Świadomość legendy AK, „Kotwicza", „Ponurego", „Krysia", „Ragnera", nawet już nie żyjących, zabitych przez Sowietów, była olbrzymia. To przetrwało zresztą niemal do lat nam współczesnych.

B.P. — ***Jest grupa ludzi, którzy Kresów nie opuszczają. Dokonują świadomego wyboru. Część z nich z zesłania do odległych rejonów Związku Sowieckiego powraca tutaj, a nie do nieznanej Polski. Jednocześnie młode pokolenie Polaków zakłada rodziny, nierzadkim zjawiskiem jest tworzenie małżeństw mieszanych, polsko–rosyjskich, polsko–białoruskich itd. Coraz trudniej ocalić tożsamość. Cały ten świat był poddawany bardzo silnej presji sowietyzacji, rusyfikacji. Jak wygląda życie Polaków na byłych polskich Kresach Wschodnich, gdzie polskość w niemałej mierze została zniszczona?***

A.H. — Opowiem to na przykładzie rodziny Adamskich ze Lwowa. Stanisław Adamski, zresztą nie jest to jego prawdziwe nazwisko, to bardzo ciekawa historia przedwojennego inteligenta, oficera WP, w czasie okupacji zaangażowanego w działalność AK na terenie Lwowa. Pan Stanisław został aresztowany w 1944 r. Rodzina nie wyjechała, bo czekała na swego męża, ojca, syna; czekali aż wróci z obozu, ufając, że na miejscu łatwiej mu będzie można pomóc. Łatwiej niż z odległej Polski,

z zagranicy. I ten czynnik często działał w przypadku bardzo wielu rodzin. Stanisław Adamski wrócił z Riazania w 1948 r., już po zakończeniu procesu przesiedleń. Rodzina została zmuszona do pozostania we Lwowie. Tego typu przykładów wyborów polskich inteligentów jest wiele, wbrew temu, co się powszechnie utarło, że cała ta grupa społeczna wyjechała do Polski w nowych granicach. Wielu podobnych ludzi zostało we Lwowie, w Wilnie, Grodnie, w okolicach. Dla przykładu Walentyna Horoszkiewiczówna, ostatni sekretarz naukowy Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, jak wielu innych absolwentów USB, została na miejscu. Ponieważ nic innego nie mogła robić, została nauczycielką w polskiej szkole na Litwie. Te szkoły ocalały bynajmniej nie na skutek jakiegoś kaprysu Stalina. Chodziło o to, żeby polskości akurat w tym miejscu do końca nie redukować, była to bowiem swoista przeciwwaga dla Litwinów. W roku szkolnym 1954/1955 na Litwie działało 312 szkół z językiem polskim jako wykładowym. Oczywiście, były to szkoły sowieckie, ale jednak z językiem polskim. Obowiązywała stara rzymska zasada *divide et impera*, należy wpuszczać żądło nieprzyjaźni między Polaków i Litwinów, niech oni się kłócą między sobą, łatwiej będzie nimi rządzić.

B.P. — ***Tym niemniej kwestia szkolnictwa w języku ojczystym jest kluczowa dla zachowania świadomości narodowej Polaków, którzy tam pozostali.***

A.H. — Jeśli chodzi o podręczniki, to one pozostawały w gestii sowieckich ministerstw edukacji poszczególnych republik. Dzieci uczyły się o Leninie, sowieckiej ojczyźnie, stolicy w Moskwie, tyle tyko, że było to napisane po polsku. PRL nie miał tu ani wglądu, ani prawa do niczego. Szkolnictwo polskojęzyczne na terenach Kresów Wschodnich jeszcze jako tako działało do 1948 r. Po tej dacie likwidacji uległy ostatnie szkoły z polskim jako wykładowym na Łotwie i Białorusi. Na Litwie toczyła się swoista gra, o której wcześniej mówiliśmy. We Lwowie ocalały dwie polskie szkoły, to też był kaprys jakiegoś lokalnego kacyka partyjnego, który się na to zgodził. Wszystkie inne szkoły uległy bezwzględnej likwidacji.

P.N. — W latach sześćdziesiątych treść podręczników w języków polskim jest dokładnie taka sama, jak w języku rosyjskim. Te same zdjęcia, ten sam układ stron.

B.P. — ***Proces wynarodowienia — mimo wszystko — nie powiódł się.***

A.H. — Na Wschodzie, po zniszczeniu przez Sowietów polskiego dworu, w pewnym stopniu nośnikiem kultury i języka stały się katolickie plebanie. Nie chodzi tu o ich wartość materialną, ta częstokroć była bardzo licha, księża mieszkali w chałupinkach, w niewielkich pomieszczeniach. Jednak to właśnie plebanie częstokroć były ośrodkami polskości, kontynuatorkami dawnego, polskiego dworu. Pozostało wielu księży. W przypadku Litwy i Białorusi możemy mówić mniej więcej o połowie duchowieństwa, które pozostało na swoich dotychczasowych placówkach. Byli to ludzie zazwyczaj dobrze wykształceni, niejednokrotnie po specjalistycznych studiach na KUL czy za granicą. Wymieńmy choćby ks. Wacława Piątkowskiego

z Niedźwiedzicy na Polesiu, przedwojennego posła i senatora ks. Leona Żebrowskiego, długoletniego kanclerza kurii wileńskiej ks. Lucjana Chaleckiego, propagatorów kultu Miłosierdzia Bożego księży Stanisława Miłkowskiego z Derewnej i Józefa Grasewicza z Kamionki na Białorusi. Oczywiście, oni byli represjonowani, osadzani w więzieniach, wywożeni do łagrów, szykanowani.

Poznałem wielu księży, większość z nich już niestety nie żyje, w których domach odnajdywałem atmosferę znaną mi z kart polskiej literatury. Wspomnę tu ks. Michała Aronowicza w Grodnie, ks. Piotra Bartoszewicza w Żołudku, żyjącego w Mejszagole na Litwie ks. Józefa Obrębskiego, bp. Jana Olszańskiego z Kamieńca Podolskiego, ks. Michała Woronieckiego z Różany, ks. Józefa Łapkowskiego z Krasławia. Lista jest długa. W każdym z tych domów panowała niezwykła atmosfera dawnego, utraconego świata. Co ciekawe, wielu z tych wymienionych wcale nie pochodziło z Kresów, ale z Wielkopolski, z Mazowsza. Salezjanin ks. Tadeusz Hoppe, działający przez wiele lat w Odessie i na Kijowszczyźnie był Wielkopolaninem. Mimo to nie chciał wracać. Zaszokowało mnie, gdy byłem w Żołudku w 1989 r., że ks. Antoni Chańko, absolwent powojennych szkół sowieckich posługiwał się świetną polszczyzną. Na półkach w tych domach widziałem niezwykłe zbiory, np. pierwsze wydania dzieł Mickiewicza, Norwida, Słowackiego, Kraszewskiego i najnowsze prace teologiczne. Plebanie były nośnikami kultury polskiej, ale i współczesnej myśli teologicznej i filozoficznej. Księża seniorzy uczyli ministrantów tej kultury, przekazywali im wiedzę i często przygotowywali ich potajemnie do kapłaństwa. Bywało, że plebanie pełniły również rolę ukrytych „seminariów duchownych". Tak było u ks. Wacława Piątkowskiego w Niedźwiedzicy, u ks. prof. Henryka Mosinga we Lwowie. Te ośrodki promieniowały na okolicę.

B.P. — ***Oprócz duchowieństwa zostało — jak wspomnieliśmy — trochę świeckich inteligentów.***

A.H. — Wśród osób świeckich wymienić należy m.in. Władysława Abramowicza, poetę, historyka, tłumacza literatury litewskiej na język polski, Jana Obsta, twórcę Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie, przedwojennego redaktora naczelnego „Dziennika Wileńskiego", Władysławę Likszankę, przedwojenną asystentkę Ferdynanda Ruszczyca, a po wojnie kierowniczkę szkoły im. S. Konarskiego w Wilnie, działającą na Kowieńszczyźnie Helenę Urniaż. Kolejną ważną postacią był Jerzy Orda. Przedwojenny pracownik Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, specjalista z dziedziny historii sztuki, który pozostał, bo nie wyobrażał sobie życia poza tym miastem. Ponieważ był fachowcem, niezastąpionym znawcą archiwów wileńskich, władze sowieckie zatrudniły go, dostał najniższe uposażenie i nigdy nie awansował. On jednak robił swoje. Nie publikował, bo nie miał gdzie i jak. Nie występował publicznie, bo było to niemożliwe. Jednak zebrał wokół siebie kilkanaście młodszych osób, które nie bacząc na sowiecką rzeczywistość, zrzeszyły się w wileńskim zespole pieśni i tańca „Wilia".

P.N. – Tu dodam jeszcze coś, co wyczytałem w materiałach Delegatury Rządu – dr Orda zwrócił się do podziemia polskiego z pytaniem, czy powinien zostać i objąć to stanowisko i dostał od Juliana Kulikowskiego „Ryngrafa" zatwierdzenie.

A.H. – Wokół takich ludzi tworzyło się jakieś mikrośrodowisko. Tak było na przykład z nauczycielami – Irena Bedekanis, Stanisława Pietraszkiewiczówna, Ludwik Kuczewski, siostry Halina i Janina Mikołajunówny. Ocalenie wielu tych nazwisk dla potomnych zawdzięczamy pionierskiej, bezcennej pracy Jerzego Surwiły *Zostali tu z nami na dobre i złe. Losy przedstawicieli przedwojennej inteligencji Wilna i Wileńszczyzny po 1944 roku.*

B.P. – ***Na Wołyniu czy w Galicji Wschodniej sytuacja jest jednak inna.***

A.H. – Akurat stamtąd Polacy wyjechali masowo. Przede wszystkim na skutek rzezi ukraińskich i tego, co wydarzyło się w latach 1942–1945. Ludzie się bali, chcieli uciekać z piekła, w którym się znaleźli. Warto jednak zwrócić uwagę, że jeśli chodzi o sam Lwów, to został tam znaczny zastęp polskiej inteligencji. Farmakolog prof. Tadeusz Wilczyński, lekarze dr Irena Pelczarska i prof. Henryk Mosing, prof. Mieczysław Gembarowicz, światowej sławy teoretyk i historyk sztuk pięknych, dr filozofii Ludwik Grajewski, wybitny znawca zabytków i pamiątek Lwowa, bibliotekarze Ossolineum: Jan Rogala, Kazimierz Giebułkowski, Wacław Olazewicz, księża, w tym dwaj członkowie kapituły katedralnej lwowskiej Ignacy Chwirut i Zygmunt Hałuniewicz. Symboliczną postacią był Henryk Mosing, jego losy opisałem w książce. Był uczniem prof. Rudolfa Weigla, przed wojną kandydata do nagrody Nobla, wynalazcy szczepionki przeciw tyfusowi. Mosing był jego najwybitniejszym uczniem w dziedzinie chorób zakaźnych. W 1945 r. zdecydował się nie wyjeżdżać, nie posiadał rodziny. Akademię Medyczną we Lwowie wyodrębniono z uniwersytetu. Był jednym z najwybitniejszych, jeśli nie najwybitniejszym specjalistą w Sowietach od chorób zakaźnych. I choć nie był członkiem partii, jawnie chodził do kościoła, władze wysyłały go tam, gdzie wybuchały najgroźniejsze epidemie – do Kazachstanu, do Rosji, na Syberię, pod chińską granicę. Jeszcze przed wojną zetknął się ze Stefanem Wyszyńskim, a w czasie pobytu w Polsce po wojnie z kardynałem Karolem Wojtyłą. Finał był taki, że w 1960 r. w Laskach kardynał Stefan Wyszyński wyświęcił go na księdza. O tych święceniach wiedziało tylko kilka osób, jego przyjaciel ks. Fedorowicz, kardynał Wyszyński, kardynał Wojtyła. Mosing wrócił do ZSRS i stał się lekarzem ciała i duszy. Tam, gdzie władze sowieckie kierowały go do pracy lekarskiej, on prowadził równoległą pracę duszpasterską.

B.P. – ***I wszechwładne sowieckie służby nie wiedziały o tym?***

A.H. – Sądzę, że nie. Posługiwał się maleńkimi naczyniami liturgicznymi, maleńką stułą, z którymi się przemieszczał. Na początku lat siedemdziesiątych stworzył konspiracyjne seminarium duchowne we Lwowie. Obecny biskup pomocniczy we Lwowie Leon Mały, to jeden z jego wychowanków.

B.P. — ***Czy są jakieś dane na temat małżeństw mieszanych, przynależności do partii, komsomołu — tego wszystkiego, co w sensie nawet już czysto społecznym, nie tylko politycznym jest przejawem wynaradawiania?***

P.N. — Nie mam danych jeśli chodzi o Ukrainę, natomiast jeśli chodzi o Litwę i Białoruś, to sytuacja jest taka — spór o to wynikł zresztą na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy Polacy próbowali utworzyć autonomię na terenie Litwy — wówczas zostali oskarżeni przez Sajudis, przez siły niepodległościowe, że Polacy są najbardziej skomunizowaną nacją na Wileńszczyźnie i taka wersja była przekazywana również do Polski, bardzo skwapliwie podjęła ten wątek „Gazeta Wyborcza". Aleksander Srebrakowski z Wrocławia przeprowadził na ten temat bardzo dokładne badania — liczba członków KPL w 1990 r. wśród Polaków — 3,45 proc., Litwinów — 4,80 proc., Rosjan — 10,08 proc., Ukraińców — 12,07 proc., Białorusinów — 10,19 proc., Żydów — 14,30 proc. Polacy byli więc najmniej skomunizowaną grupą narodowościową, był wśród nich najmniejszy procent upartyjnienia. Tak samo było na Białorusi.

B.P. — ***Jak funkcjonował Kościół?***

A.H. — Przede wszystkim został pozbawiony hierarchii. Jedynie Litwa i Łotwa zachowują biskupów, choć część z nich również zostaje zamordowana. To było pierwsze uderzenie. Służby specjalne wiedziały, że trzeba zacząć od głowy, bo wtedy być może ciało przestanie funkcjonować. Później przyszło uderzenie w duszpasterzy. Jeśli pozbawi się ludzi wierzących ich duszpasterzy, wyśle się do Polski czy aresztuje, to łatwiej będzie można zamknąć kościoły i przeznaczyć je na inne cele, a zarazem rozbić poszczególne wspólnoty katolickie. Wiele świątyń uległo przekształceniu w obiekty świeckie np. neogotycki kościół w Bobrujsku na Białorusi został zamieniony na kotłownię, w Gniewaniu na Ukrainie w gorzelnię, podominikański kościół we Lwowie na muzeum ateizmu itd. Trzeba powiedzieć kilka słów o aresztowaniach wśród duchowieństwa. Ich podłoże było różne — w pierwszym okresie były to represje skierowane przede wszystkim przeciw kapelanom AK. Wystarczyło, że kapłan odprawił jedną Mszę dla oddziału partyzanckiego, udzielił ostatniego namaszczenia czy innej posługi duszpasterskiej, następowało aresztowanie, sąd, deportacja do łagru. Znane są, co prawda niezbyt liczne, przypadki rozstrzeliwań księży w 1945 r. W poznanej już stosunkowo dobrze sprawie ejszyskiej, ks. Mikołaj Tapper został skazany na karę śmierci i wkrótce potem rozstrzelany pod Wilnem. Większość księży dostała wyroki po 25 lat łagrów. Aresztowania zaczynają się w 1944 r. i kończą mniej więcej około 1953 r. Po śmierci Stalina następuje lekka odwilż.

B.P. — ***A co dzieje się z seminariami i zakonami?***

A.H. — Seminaria ulegają likwidacji. Chodzi o to, żeby ograniczyć liczbę kleryków, aby redukować liczbę duchowieństwa. Jest ścisła reglamentacja, jeśli chodzi o liczbę przyjmowanych kleryków w każdym roku. Początkowo jest ich piętnastu

na jednym kursie, potem dziesięciu, ośmiu, wreszcie pięciu alumnów. Przez wiele lat nie przyjmowano Polaków z Wileńszczyzny do seminarium w Kownie. Starsi duszpasterze wymierali, a młodych coraz bardziej brakowało. Przychodzili Litwini, którzy nieraz bardzo słabo znali język polski, Polacy ponadto nie zawsze mieli do nich zaufanie i przekonanie.

Jeśli chodzi o zakony, one również uległy formalnej likwidacji. Póki jeszcze byli biskupi, mianowali zakonników jako proboszczów do poszczególnych parafii. Wojna spowodowała, że wiele parafii zostało opuszczonych. W tej sytuacji zakonnicy zrzucali habity i zakładali sutanny, pełnili funkcje proboszczowskie. Najliczniej wśród zakonów pozostali na Wschodzie karmelici, marianie, salezjanie, jezuici. Likwidacji uległy też klasztory żeńskie. Siostry zdjęły habity, ale nie zrezygnowały z życia monastycznego, choć były wyrzucane ze swych klasztorów. Kupowały mieszkania lub ktoś z osób świeckich ofiarował im locum w zamian za opiekę. Działo się tak w Wilnie, Lwowie, Grodnie, w innych większych ośrodkach miejskich. Szły do pracy do szkół, a jeszcze częściej do szpitali jako salowe, pielęgniarki. Życie zakonne zeszło do podziemia, ale nadal funkcjonowało, szczególnie w przypadku sióstr. Oczywiście obowiązywał zakaz nauczania religii, nie tylko w szkołach, ale i poza nimi. Do Mszy św. mogli służyć tylko dorośli, powyżej osiemnastego roku życia, często w ten sposób chciano odciąć od Kościoła najmłodsze pokolenie, jednocześnie aktywnie wprowadzając ateizm. I sekretarz KPZS Nikita Chruszczow optymistycznie zapowiadał w latach pięćdziesiątych, że w 1975 r. na terenie Sowietów religia przestanie formalnie istnieć.

B.P. — ***Bardzo ciekawa jest w tym kontekście historia Kościoła w Kazachstanie.***

A.H. — Grupa księży katolickich z Wołynia, po odsiedzeniu wyroków łagiernych została osadzona na zesłaniu w tym stepowym kraju. W Kazachstanie mieszkała bardzo liczna grupa Polaków, pochodząca z deportacji lat trzydziestych, kiedy na Ukrainie zlikwidowano namiastkę polskości w postaci autonomicznego obwodu narodowościowego. Na Ukrainie autonomia nazywała się Marchlewszczyzna, analogiczny twór na Białorusi nosił nazwę Dzierżyńszczyzna. W drugiej połowie lat trzydziestych, kiedy stwierdzono, że pomysł się nie powiódł, bo Polacy byli oporni i nie dali się tak łatwo komunizować, Stalin zlikwidował obydwa okręgi autonomiczne. Wówczas wielu Polaków zostało poddanych represjom. Polacy z Marchlewszczyzny, czyli okolic dzisiejszego Dowbysza zostali wywiezieni do Kazachstanu. Wspomniani wcześniej duszpasterze natrafili na tych ludzi, w niewielkim stopniu byli tam też Polacy — zesłańcy z okresu wojny. Tacy duszpasterze jak Władysław Bukowiński, Józef Kuczyński, Bronisław Drzepecki stworzyli zalążki parafii. Działali bez zgody, zezwoleń, nie mieli formalnie możliwości rejestrowania ośrodków duszpasterskich. Kupowali domy na osoby prywatne, zamieniali je na kaplice, zaczęły się tam rozwijać coraz bardziej intensywne ogniska wiary, przy czym wiernymi byli nie tylko

Polacy, ale i zesłańcy niemieccy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Łotysze, z rzadka także ludność autochtoniczna. Tak było w latach 1956–1959, potem księża zostali ponownie aresztowani, otrzymali kolejne wyroki. Jednak ziarno raz posiane przyniosło plon. Wprawdzie księża Drzepecki i Kuczyński, po odbyciu drugich wyroków, wyjechali na Ukrainę, jednak pozostał ksiądz Bukowiński. Wkrótce dołączył do niego ksiądz Niemiec, potem dwóch duchownych greckokatolickich, przyjechał także na ochotnika jezuita z Litwy. Tak się narodził ten Kościół, który kilka lat temu, już nieźle zorganizowany, z trzema diecezjami i jedną administraturą odwiedził Jan Paweł II. Komu się o tym śniło w roku 1958?

B.P. — ***Jak w peerelu próbowano załatwiać zobowiązania wobec tej części społeczeństwa, które zostało odcięte na Kresach?***

A.H. – Władze państwowe, w myśl założeń leninowskich prezentowały pogląd, że państwo komunistyczne nie rozróżnia narodowości, a zatem nie ma też problemu Polaków w ZSRS. Jedyna pomoc szła od rodzin, które wyjechały do PRL, ale też była ona ograniczana i oczywiście ściśle kontrolowana. Wspomnieć należy o tzw. drugiej „repatriacji" z lat 1955–1958, kiedy to głównie z Litwy i Białorusi wyjechało do PRL kilkaset tysięcy Polaków. Często byli to inteligenci, którzy przeżyli gehennę lat stalinowskich i kiedy tylko furtka na chwilę się otworzyła, skorzystali z pierwszej okazji, aby dalej nie mieszkać w „sowieckim raju".

B.P. — ***Kiedy rozpoczął się ruch transgraniczny dający możliwości kontaktów między rodzinami?***

A.H. – Do 1956 r. było to praktycznie niemożliwe, pierwsze wizyty miały miejsce po 1956 r. Kontakty były bardzo ograniczane i kontrolowane przez władze. A do tego można się było poruszać wyłącznie określoną marszrutą, bezwzględnie należało się meldować. Oczywiście ulegało to w dalszych latach zmianie na lepsze, pod koniec lat siedemdziesiątych bez większych kłopotów można było wyjeżdżać już na tzw. zaproszenia.

B.P. — ***Jest jeszcze jedna historia – przeniesienie Kresów do Polski. Myślę tutaj o utworzeniu środowisk kresowych w nowych granicach Polski.***

P.N. – Z analizy akt znajdujących się w IPN wynika, że w świadomości władzy istniał problem – „kresowiacy". Dla władz jest to bardzo groźne środowisko, w szczególności ludzie wywodzący się z Nowogródczyzny, Wileńszczyzny i Lwowszczyzny. W raportach UBP mówi się o środowiskach endecji, sanacji, oficerach II Oddziału, peeselowcach, ale i o elemencie wileńskim czy lwowskim. Są traktowani jako osobna, szczególnie niebezpieczna grupa. Wilnian za szczególnie niebezpiecznych uznano wtedy, gdy w 1948 r. rozbito eksterytorialny Okręg Wileński i okazało się, że jest to potężna organizacja. Wtedy właśnie zaczęto ewidencjonować wszystkich repatriantów zza Bugu. Każdemu Wilniukowi założono teczkę, wielu poddano obserwacji, którą niekiedy kończono dopiero w 1989 r. Gdy SB miało do zaopiniowania podanie

o pracę, to pisano – w przeszłości niekarany, ale pochodzi ze środowiska wileńskiego. Był to element dyskryminujący. Początkowo rozbici, po 1956 r. Wilniucy starają się skonsolidować, co znowu powoduje wielkie zaniepokojenie władzy. Jednym z najgorszych „przestępstw" były ich kontakty towarzyskie, spotkania z okazji imienin, urodzin, chrztów itd. Było to dla władzy niebezpieczne, odnotowywane i obserwowane, agentom zlecano skłócanie tego środowiska, żeby do takich spotkań dochodziło jak najrzadziej. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych próby upamiętnienia działalności AK nawet na terenie kościołów, zamawianie Mszy, stawianie nagrobków z informacją, że zmarły wywodzi się z wileńskiego AK spotykało się z przeciwdziałaniem SB. Ciągle starano się te środowiska skłócać, puszczano plotki środowiskowe. Zwerbowani przez Służbę Bezpieczeństwa tajni współpracownicy oskarżali animatorów życia środowiskowego o... współpracę z SB. Taki los spotkał m.in. Sabinę Korejwo, która integrowała środowisko 3. Brygady Wileńskiej. Uniemożliwiano spotkania interweniując w pracy, stosując kontrole drogowe lub przeprowadzając rozmowy ostrzegawcze. Na szeroką skalę stosowano podsłuch pokojowy, kontrolę korespondencji, wydział „B" prowadził obserwację.

A.H. – Gdańsk jest miastem, gdzie spotkały się grupy ze wszystkich regionów Kresów, od Wilna po Lwów. Są tu dziś obecne towarzystwa: Wołkowyszczan, Miłośników Polesia, Lwowianie, oczywiście Wilno i Wileńszczyzna. Bardzo wielu wybitnych ludzi, którzy urodzili się na Wschodzie, funkcjonowało i funkcjonuje w kulturze polskiej, nauce, w życiu społecznym było poza tymi stowarzyszeniami. Herbert, Niemen, Miłosz, Konwicki, Jurewicz, by wymienić kilka nazwisk różnych grup i pokoleń. Ciekawy przypadek to losy Walerego Tankiewicza, urodzonego na Białorusi, w okolicach Lidy w początku lat sześćdziesiątych. Ojciec przeniósł rodzinę do Wilna, bo tam dzieci mogły uczyć się w polskich szkołach. Jakimś cudem rodzina otrzymała polskie obywatelstwo w latach siedemdziesiątych. Jeden przypadek na milion. Walery zrobił w Polsce maturę, skończył studia. Po odzyskaniu przez Litwę niepodległości, wrócił tam, ożenił się z miejscową Polką, został dyrektorem Radia „Znad Wilii". Zmęczony tamtejszymi stosunkami dokonał jeszcze jednej wolty życiowej i znów powrócił do Polski, pracuje obecnie w Porcie w Gdyni.

B.P. – ***Ważnym punktem w tożsamości ludzi tam żyjących był wybór Karola Wojtyły na papieża. Nie będzie chyba niesprawiedliwe wobec tych wszystkich ludzi i środowisk, które przez cały okres peerelowskiej smuty nie zapominały o rodakach na Kresach, spieszyły przy każdej okazji z pomocą, że najważniejszym wydarzeniem w życiu kresowej Polonii były wizyty papieskie w Wilnie, Lwowie i w Astanie. Te wizyty zwróciły im godność. Tak naprawdę dopiero wtedy Polacy, którzy heroicznie bronili swej religii, mowy, kultury zostali dostrzeżeni przez swoich rodaków w Polsce. To smutna konstatacja, ale jako społeczeństwo za mało o nich pamiętaliśmy przez te wszystkie lata. To można oczywiście próbować***

usprawiedliwić, ale do tej pory są ludzie, którzy niechętnie patrzą na przybyszy stamtąd.

A.H. – Podtrzymywanie polskości, tradycji i kultury polskiej w warunkach ZSRS było obarczone dużo większym ryzykiem, groźbą surowych represji – z utratą życia włącznie, niż analogiczna postawa w PRL. Niejednokrotnie z ust Polaków ze Wschodu, ale niekoniecznie od osób stojących na czele polskich stowarzyszeń czy organizacji, słyszałem z dumą wypowiadane zdanie: „to my przechowaliśmy najlepiej zachowanego ducha dawnej Polski, to my jeszcze potrafimy się do dziś bawić przy polskiej muzyce, zachowując dawne obyczaje, o których wy w Macierzy już nie pamiętacie".

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 12 (47), grudzień 2004

KOMUNIŚCI PRZECIW KOMUNISTOM

Z Andrzejem Paczkowskim i Robertem Spałkiem
rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Partia komunistyczna, jako zarządzana spoza kraju i podważająca integralność terytorialną Polski, była w II Rzeczypospolitej nielegalna. Skażenie koniecznością funkcjonowania w konspiracji w znacznym stopniu ograniczyło w niej procedury demokratyczne. Mogłoby się wydawać, że akurat w przypadku tej partii najważniejszą i jedyną charakterystyką jest wyznawanie określonej ideologii. A jednak w jej historii nie brak wewnętrznych konfliktów, rzadko co prawda ujawniających się na zewnątrz. Uczestnicy wewnętrznych konfliktów walczyli ze sobą bezwzględnie. Zacznijmy od Komunistycznej Partii Polski.***

A.P. — Ruch komunistyczny czy szerzej, ruch robotniczy, należał do tych nurtów ideowych, które były bardzo silnie wewnętrznie skonfliktowane, jak to bywa w ruchach o charakterze fundamentalistycznym, które mają bardzo sprecyzowaną ideologię, „pismo święte", „proroków". Poddając cokolwiek krytyce, łatwo zostać napiętnowanym mianem renegata czy odszczepieńca. Pamiętajmy, że początek ruchu bolszewickiego wziął się z rozłamu. Można powiedzieć, że Komunistyczna Partia Robotników Polski, przekształcona później w KPP, była wyjątkiem od reguły, bo powstała przez połączenie (PPS–Lewicy i SDKPiL), a nie przez podział, jak wszystkie inne partie komunistyczne. W okresie międzywojennym, jako partia nielegalna, a więc działająca w bardzo specyficznych warunkach, miała podwójne oblicze, tzn. na zewnątrz była zwartą, zamkniętą wspólnotą, taką trochę monastyczną czy podobną do grupy wojowników, ale wewnątrz aż kipiało od namiętności, ambicji i różnego rodzaju konfliktów. Najbardziej znany był podział na „większość" i „mniejszość", co, jeśli chodzi o nazewnictwo, nawiązywało do bolszewików i mienszewików. Bardzo wiele osób usunięto z partii, niektóre odeszły same i — ciekawe — już nigdy nie zaistniały politycznie poza partią, nie były w stanie niczego nowego stworzyć. KPP była naznaczona syndromem konspiracji i kamuflowania wewnętrznych konfliktów. Być może dlatego, że były one na zewnątrz ukrywane, wewnętrznie rozgrywały się w bardzo ostrych formach. Pamiętajmy, że KPP była częścią międzynarodowego ruchu komunistycznego — Kominternu, który także był podminowany różnymi wewnętrznymi walkami.

B.P. — ***Spróbujmy zdefiniować nurty w polskim ruchu komunistycznym w okresie międzywojennym.***

A.P. — Każdy ruch polityczny, trochę szerszy niż jakaś jedna mała grupka, podlega pewnym procesom. Wyłaniają się w nim tendencje radykalne i umiarkowane. W przypadku partii komunistycznej radykałami byli na przykład ci, którzy wierzyli, że wystarczy rzucić dwie bomby, wywołać strajk i już będzie rewolucja. Umiarkowani uważali, że czeka ich długi marsz, że należy wykorzystywać wszelkie istniejące możliwości, łącznie z metodami parlamentarnymi. Taka była, schematycznie rzecz biorąc, główna różnica między radykałami a umiarkowanymi (istnieje ona zresztą w każdej innej partii politycznej, łącznie z partią republikańską w Stanach Zjednoczonych). Odpowiadał temu podział na mienszewików i bolszewików, który odtworzył się w KPP. Radykałowie wciąż widzieli upadek kapitalizmu i spodziewali się lada moment rewolucji, a to, co należy do partii, to ewentualnie przyspieszyć jej wybuch.

R.S. — Ruch komunistyczny z obszaru Polski wszedł w okres wojny całkowicie rozbity. Partia została ostatecznie rozwiązana przez Stalina w sierpniu 1938 r. Nie było struktur. Działacze rozjechali się po kraju lub wyjechali za granicę. Te różne nurty ujawniają się więc ponownie dopiero po powstaniu nowej spójnej organizacji — PPR, a nawet jeszcze później — jeśli oczywiście szukamy nurtów, a nie tylko przejawów walk koteryjnych. Ujawniają się one w pełni po połączeniu działaczy „z kraju" z tymi, którzy przyjechali, powrócili z Moskwy. Podam konkretny przykład dwóch postaci, które później, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, odgrywały w Polsce zasadnicze role i są wręcz modelowymi symbolami dwóch odmiennych postaw podejścia do komunizmu — Władysław Gomułka i Bolesław Bierut. Ich mentalność w znaczącym stopniu kształtowała się podczas studiów kominternowskich. I to z całą pewnością ich łączy. Ale już u tego źródła pojawiają się ważne różnice, rzutujące później na ich całą dalszą działalność. Gomułka był słuchaczem szkoły Kominternu w Moskwie w latach 1934–1935, kiedy komunizm stawał się systemem bardziej otwartym, zbliżał się VII Kongres Międzynarodówki. Pojawiło się hasło jednolitego frontu przeciw faszyzmowi, współpracy z niemarksistowską lewicą: częścią socjalistów, ludowców czy nawet liberałów. Bierut był w tej samej szkole pod koniec lat trzydziestych, kiedy droga, którą szli komuniści, była krańcowo inna. Socjaldemokrację uznawano wówczas za zło równe faszyzmowi. Dominowało podejście rewolucyjne, co w praktyce sprowadzało się do izolacji, zwierania własnych partyjnych szeregów i polegania tylko na nich, co potem nazwano „sekciarstwem". Na przykładzie Bieruta i Gomułki widać, że moment historyczny, w którym ta ideologia ich kształtowała, był niezwykle ważny. Cała zresztą historia komunistów wskazuje, że najczęściej nie są to ludzie zmieniający swoje poglądy. Ich poglądy, jeśli już ewoluują, to zawsze w ramach sztywnej, bo wdrukowanej w podświadomość doktryny, i nazwałbym to raczej pragmatyczną zmianą taktyki postępowania.

Oczywiście, mówiąc o liderach frakcji, należy też pamiętać o cechach ich osobowości – charakterze, temperamencie. Myślę, że to wpływ tych dwóch czynników spowodował, że Gomułka nigdy nie został jedynie biernym „pasem transmisyjnym" wykonującym polecenia Kremla, o Bierucie zaś – w pewnym uproszczeniu – można tak mówić bez wątpienia.

A.P. – Baza ideologiczna jest dla wszystkich komunistów taka sama. Problem polega na swego rodzaju konkurencji – kto jest lepszym marksistą–leninistą, kto lepiej rozumie i skuteczniej wprowadza w życie ideologię. Dobrze, że padły te dwa nazwiska, gdyż według mnie czynnik personalny i charakterologiczny odgrywał znaczącą rolę. Gomułka niewątpliwie był człowiekiem bardzo samodzielnym, ambitnym, twardym, broniącym swoich pozycji, natomiast Bierut ciągle był pod czyimś wpływem.

R.S. – Czasami zachowywał się jak marionetka. To była konfrontacja dwóch postaw w partii – Gomułki, twardego robociarza, i Bieruta, twardego – no, można powiedzieć – intelektualisty, choć był tylko zecerem, ale był bardziej obyty, miał lepsze maniery.

A.P. – I więcej czytał od Gomułki, miał lepszą prezencję. Niewątpliwie istniał w ruchu komunistycznym podział na inteligentów czy intelektualistów partyjnych i na prostych działaczy, bardzo energicznych i zaradnych, ale nie mających własnych poglądów politycznych. Przedstawicielami jeszcze jednej grupy – autodydaktów – byli Gomułka i Bierut, nie mieli formalnego wyższego wykształcenia, ale dużo czytali. Nie należy bagatelizować ich „uniwersytetów więziennych", gdzie inteligenci czy intelektualiści na przykład uczyli języków obcych towarzyszy, którzy mieli skończoną zaledwie szkołę powszechną.

R.S. – Gomułce zostało to na całe życie. Wertował stosy materiałów, zapoznawał się niemalże z każdym dokumentem, praktycznie nie konsultował się z Biurem Politycznym, któremu w latach sześćdziesiątych po prostu oznajmiał swoje decyzje. Bierut odwrotnie. Nad dokumentami partyjnymi i państwowymi ślęczał razem z Jakubem Bermanem, a gdy rzecz dotyczyła gospodarki, wspomagał go jeszcze Hilary Minc. Bierut znał swoje intelektualne ograniczenia. Jego rolę można by porównać do arbitra, do którego należy ostateczna decyzja.

A.P. – W odróżnieniu od Bieruta Gomułka był osobowością autorytarną. Bierut stał się dyktatorem, wypełniał lepiej lub gorzej te funkcje dyktatorskie, ale nie miał osobowości autorytarnej. Często konsultował się, radził. Biuro Polityczne odgrywało znacznie większą rolę w czasach Bieruta niż w czasach Gomułki.

B.P. – ***Nie tylko różnice w charakterach i poziomie wykształcenia determinowały rozdźwięki wśród polskich komunistów, wpływały na to także doświadczenia życiowe. Na przykład udział w wojnie hiszpańskiej w brygadach internacjonalistycznych, członkostwo w partiach komunistycznych w Niemczech, Francji czy Belgii. Doświadczenia działaczy lo-***

kalnych były inne. Te różne drogi życiowe powodowały wzajemną nieufność. Każda z takich grup uważała, że wie lepiej i więcej.

A.P. – Takie podziały ukształtowały się dopiero w końcu lat trzydziestych w związku z wojną domową w Hiszpanii, rolą polskiej emigracji i komunistów we Francji, którzy uczestniczyli w tej wojnie i później w ruchu oporu w czasie II wojny światowej na terenie Francji. Wcześniej w KPP było trochę inaczej. Kierownictwo KPP było prawie cały czas za granicą – albo w Moskwie, albo w Berlinie, potem w Brukseli, Pradze, w Gdańsku, Kopenhadze. To była ta emigracyjna elita. Byli tacy członkowie Komitetu Centralnego, którzy od 1919 r. w ogóle nie byli w Polsce, cały czas mieszkali za granicą, co skutkowało różnicą doświadczeń. Ludzie z emigracji byli raczej teoretykami niż działaczami pracującymi „na dole". Fakt, że wielka czystka wykosiła tych, którzy byli poza Polską, spowodował, iż już w czasie okupacji i zaraz po niej na „wierzchu" znaleźli się działacze z niższego i średniego szczebla. Zabrakło starej elity, która i tak już by się wykruszyła, w związku z wiekiem. Ludzie tacy jak Adolf Warski czy Wera Kostrzewa mieli w latach trzydziestych po 50–60 lat. Doświadczenie internacjonalistyczne, o którym pani mówiła, w zasadzie dotyczyło głównie tzw. Hiszpanów i znacznie mniej licznych komunistów, którzy przed 1939 r. przebywali na emigracji. W żargonie bezpieki nazywano ich „palestyńczykami", „amerykanami", „francuzami" czy „szwajcarami", zależnie od tego, gdzie byli. W latach trzydziestych polscy komuniści znajdowali się w najdziwniejszych miejscach.

B.P. – ***W Moskwie, w samym sercu ruchu komunistycznego, różnice również ujawniają się dość szybko. Przykładem jest Trocki i jego zwolennicy.***

A.P. – Ale to wciąż jest ten generalny problem: czy radykalna rewolucja, czy też raczej okopanie się na pozycjach i umacnianie zdobyczy? Czy permanentna rewolucja, czy komunizm w jednym kraju? Lew Trocki był zwolennikiem radykalnego działania, a Stalin bardziej pragmatycznego.

B.P. – ***I Stalin bardzo szybko i jednoznacznie rozprawia się z realnymi czy wyimaginowanymi przeciwnikami.***

A.P. – To jest pewien paradygmat, który się potem powtarza. Mniej więcej do końca lat dwudziestych Stalin walkę wewnętrzną, która wynika z jego sposobu widzenia ideologii, a także ambicji osobistych, toczył przy użyciu środków politycznych – zdobywał zwolenników w najwyższej elicie, starał się mieć poparcie w średnim aparacie, przez głosowania w KC, przez kampanie propagandowe, zdobywał władzę dyktatorską, eliminując bądź podporządkowując sobie innych. Mniej więcej od przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, bardzo wyraźnie już od 1934 r., włącza do tej walki NKWD, które za niego załatwia sprawy polityczne. Podobnie zresztą w Polsce: w latach 1944–1948 toczyły się spory w łonie PPR – oczywiście nie miały takich rozmiarów i takiego znaczenia jak spory między Stalinem a Trockim po śmierci Lenina – ale były. Byli radykałowie typu Włodzimierz Zawadzki. Jego

pomysły to: siedemnasta republika, rewolucja, wieszanie klechów. Byli też ludzie bardziej pragmatyczni. Wszelkie konflikty załatwiano jednak tak, że usuwano takiego radykała ze stanowiska sekretarza komitetu wojewódzkiego i wysyłano go na inne, podrzędne stanowisko.

R.S. – Bierut nie cierpiał Gomułki, a Stalin miał swoistą obsesję właśnie na punkcie Trockiego, która z czasem się jeszcze „nakręciła". Oni żyli po części w świecie, jak byśmy dziś powiedzieli, wirtualnym. Stalin naprawdę wierzył, że wyimaginowani i „rozmnażający się jak króliki" zwolennicy poglądów Trockiego stanowią centralną sprężynę opozycji. Wydaje się to absurdalne, ale sam Trocki – jak można wnioskować z zachowania Stalina – z czasem zaczął wierzyć w swoich nieistniejących zwolenników, czemu dawał wyraz. To z kolei utwierdzało Stalina w słuszności własnego przekonania, że trockizm jest siłą jeszcze groźniejszą, niż myślał. Spirala represji po części rodziła się po prostu z osobistych obsesji. To, co się działo po wojnie wśród komunistów w Polsce, też nie było dalekie od takiego samonakręcania spirali podejrzeń. Przecież cała sprawa z „odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym" poza, z jednej strony, rzeczywistą walką o model sowietyzacji Polski, z drugiej strony była po prostu osobistą, personalną walką o władzę pomiędzy komunistami orientującymi się na Bieruta lub Gomułkę.

B.P. – ***Od 1948 r. włączono do walki wewnętrznej bezpiekę i przy jej pomocy prowadzono walkę polityczną.***

R.S. – Bezpieka nabrała dużego znaczenia przez pierwsze cztery lata rozprawiania się z podziemiem politycznym czy z partiami legalnymi. Sprawdziła się jako skuteczne narzędzie dla utrzymania władzy. Stało się to więc trochę siłą rozpędu.

A.P. – Użycie bezpieki do walki wewnątrz partii było kalką wzorów sowieckich. Z dokumentów z 1948 r. wiemy, że Stanisław Radkiewicz zarządził redukcję personelu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i ograniczenie sieci agenturalnej. Wojna z przeciwnikiem zewnętrznym, czyli z opozycją, do czego bezpieka była powołana, została wygrana. Przez cały 1948 r. zauważalna jest tendencja do redukowania aparatu bezpieczeństwa. I nagle pojawia się problem, że bezpieka ma służyć już nie tylko do walki z zadeklarowanym, otwartym przeciwnikiem, ale z „wrogiem wewnętrznym". Ma też zmaltretować społeczeństwo i zmusić je do posłusznego wykonywania poleceń władzy.

B.P. – ***Ważne jest w tym wszystkim i to, że bezpieka to nie są ludzie pojawiający się znikąd, to są członkowie partii.***

R.S. – Nie tylko są członkami partii, ale są przyjaciółmi tych, którzy na czele tej partii stoją. Roman Romkowski, Józef Różański, Anatol Fejgin, później Józef Światło – tych ludzi łączy nie tylko znajomość jeszcze sprzed wojny, wspólne studia, wspólne przeżycia w Moskwie, ale bardzo często wspólne życie prywatne...

A.P. – ...wspólne żony. Paru było z tego znanych. Ale były też inne kontakty – Romkowski był w kominternowskiej szkole razem z Gomułką w jednym pokoju...

R.S. – ...a później w jednej celi w Rawiczu w 1937 r. No, a przecież ich wszystkich, poza Światłą, znał świetnie z czasów akademickich Jakub Berman. Z Fejginem łączyła go nawet pewna sympatia, spora zażyłość w każdym razie. Choć tu też są pewne niuanse, bo Różańskiego na przykład Berman najprawdopodobniej nie znosił.

A.P. – ...a skończyło się na tym, że Romkowski był odpowiedzialny za śledztwo w sprawie „odchyleń" Gomułki i jego głównym nadzorcą w więzieniu. Nawet chyba go parę razy przesłuchiwał. Historia pary: Romkowski–Gomułka jest dobrą ilustracją pogoni za wrogiem wewnętrznym, agenturą w partii etc.

B.P. – ***Przed wojną wobec partii stawiano również różne zadania z pogranicza działań pośrednio lub bezpośrednio wywiadowczych. Poza tym działał wywiad sowiecki, który posługiwał się polskim ruchem komunistycznym.***

A.P. – W KPP był pion wojskowy, który był związany z sowieckim wywiadem (czy raczej stanowił część jego siatki), a zarazem prowadził polityczną działalność destrukcyjną wobec Wojska Polskiego – kolportowano ulotki i gazetki z hasłami podburzającymi żołnierzy przeciw oficerom. To, czy ktoś był w „wojskówce", czy nie, nie miało raczej specjalnego znaczenia dla podziałów wewnątrz partii komunistycznej – ten ktoś mógł być zarówno mniejszościowcem, jak i większościowcem. Jeżeli chodzi o penetrację przez sowieckie służby specjalne partii komunistycznej – polegała ona na wykorzystywaniu tej partii jako jednej z placówek wywiadu zagranicznego. Zarządzaniem partią zajmował się Komintern, który na wielu płaszczyznach współpracował z NKWD. Nie wiem, czy NKWD werbowało kogokolwiek z członków KPP do kontroli nad partią. Jeśli ktoś współpracował z NKWD jak Alfred Jaroszewicz czy Włodzimierz Lechowicz, to w ten sposób, że działał jako wtyczka sowiecka w instytucjach polskiego kontrwywiadu (na przykład w jakimś Samodzielnym Referacie Informacyjnym przy Dowództwie Okręgu Korpusu), ale nie w samej partii komunistycznej. Do KPP nie trzeba było nikogo wtykać. W jakimś sensie wszyscy komuniści byli „wetknięci" w Polskę przez Związek Sowiecki. Przypomnę, że podstawowa część sowieckiej siatki szpiegowskiej, niezależnie od tego, że rekrutowano do niej ludzi motywowanych ideologicznie, była nakłaniana do tego, żeby nie deklarować swoich związków z komunizmem. Klasyczny przykład to Kim Philby – był autentycznym lewicowcem, zbuntowanym przeciw swojej „burżuazyjnej" rodzinie, ale po zwerbowaniu zakazano mu ujawniania swoich poglądów. Miał stać się prawicowym dziennikarzem, i wbrew swoim poglądom stał się nim.

B.P. – ***Czy agenturalne powiązania z sowieckimi służbami były później wykorzystywane przez Sowietów do wpływania na działalność polskich komunistów?***

A.P. – Nie znalazłem takich śladów. Ale jest taka postać: Wiktor Żytłowski, związany z NKWD, już w 1929 r. stworzył Komisję Bezpieczeństwa przy Biurze

Politycznym KC KPP, która miała zajmować się „walką z prowokacją" w partii, czyli była w pewnym sensie prefiguracją komisji o identycznej nazwie utworzonej dwadzieścia lat później w Warszawie. O ile wiem, to on właśnie pierwszy wysuwał zarzuty o „piłsudczykowskiej prowokacji", i to już w 1930 r. Wskazywał też konkretne nazwiska i NKWD szło tym tropem, aresztując takich działaczy jak Tadeusz Żarski, Jerzy Czeszejko-Sochacki, Wojewódzki. Żytłowski ideologicznie „uogólnił" swoje tezy w osobnej broszurze wydanej w 1934 r. (*U źródeł prowokacji peowiackiej*). Nie uchroniło go to przed aresztowaniem przez NKWD i kulą w tył głowy.

R.S. – Tak naprawdę jeśli spojrzymy na ten problem logicznie – co w wypadku rozmowy o ruchu komunistycznym oczywiście nie musi znaczyć słusznie – to zauważymy, że ewentualne wykorzystywanie „agentury" sowieckiej do kierowania partią było przecież bez sensu. Wszyscy komuniści bez reszty byli „ludźmi sowieckimi" – oddani idei marksistowsko-leninowskiej, która przecież w latach istnienia KPP uosabiana była przez Stalina i pierwsze, wymarzone państwo komunistyczne. Poza tym Stalin nie musiał „wpływać". On ludzi „wymieniał". Kiedy przestał w zadowalającym stopniu panować nad kierunkiem rozwoju KPP, to wymordował jej kierownictwo, a partię rozwiązał jako „przeżartą agenturą". Polskim komunistom zabronił jakiejkolwiek politycznej działalności. Tyle. Ale był też inny, niezwykle istotny problem. Kierownictwo KPP kierowało swoje wtyczki, ludzi „czystych" i nie kojarzonych z komunizmem do legalnych polskich partii i organizacji w celach dezintegracyjnych, informacyjnych – tych, do których służy agentura. Często chodziło o zradykalizowanie postaw niektórych osób z tych środowisk, czy też – z mizernym skutkiem – o „zwerbowanie" na rzecz komunizmu.

B.P. – ***Jaka była rzeczywista aktywność polskich służb specjalnych w KPP? Czy partia naprawdę była »przeżarta agenturą«?***

A.P. – W sprawozdaniach Komisariatu Rządu dla m.st. Warszawy o życiu politycznym, a także o partiach nielegalnych, zakres informacji o KPP jest znaczny. Oczywiście skuteczność działania policji politycznej nie była stuprocentowa, bo żadna policja polityczna nie dąży do zlikwidowania w całości przeciwnika, zawsze zostawia jakąś „grzybnię", żeby uniknąć odradzania się przeciwnika w nowej postaci. Mając taki „rozsadnik", łatwiej kontrolować. Polska policja polityczna miała wiele informacji o KPP. Z punktu widzenia agenturalnego KPP była w znacznym stopniu pod kontrolą, ale nie znaczyło to, że nią zarządzano. Zwłaszcza że faktyczne polityczne kierownictwo znajdowało się poza Polską, a nic mi nie wiadomo o tym, aby polski wywiad miał agentów w Kominternie.

R.S. – Sprawa prowokacji w KPP i jej rozwiązania z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się absurdalna. Ale wielu komunistów, pomimo początkowych oporów, uległo kremlowskiej propagandzie. W sumie zresztą w praktyce nie pozostawało im nic innego, poza zmianą poglądów oczywiście. W ruchu komunistycznym, poza najwcześniejszym okresem, nie było miejsca na dywagacje i rozbieżności. Liczyła

się jedność, bo jedność to siła. Poza tym jednostka może się mylić, partia – nigdy. Dla nas to frazesy, dla komunistów to dogmaty. Jesienią 1938 r., po pierwszych tygodniach, kiedy polscy aktywiści doznali szoku na wiadomość, że całe ich kierownictwo jest winne zdrady, własnymi rękami rozwiązywali poszczególne komórki partii. Wiara w słuszność czy nie tego postępowania nie miała w tym wypadku nic do rzeczy. Dlatego nie dziwi mnie, że w latach czterdziestych i pięćdziesiątych wielu członków PPR, a potem PZPR, także w kierownictwie, przyzwyczaiło się do myśli, że w KPP rzeczywiście miała miejsce prowokacja „dwójkarzy" i szpiegów. Idąc tym tropem, Stalin postąpił słusznie, gdy ją zlikwidował. Z drugiej strony jestem niemal pewny, że Stalin, którego psychika była już przedmiotem wielu rozważań, święcie wierzył, iż polska partia komunistyczna naprawdę jest przesycona agenturą, która może zagrozić międzynarodowemu ruchowi komunistycznemu.

A.P. – Myślę, że w latach czterdziestych i pięćdziesiątych ci, którzy podtrzymywali tezę o prowokacji w KPP, działali zgodnie z prawem mimikry, a *Krótki kurs historii WKP(b)*, obowiązująca wszystkich wykładnia dziejów komunizmu, opierał się na spiskowej teorii dziejów. KPP została rozwiązana za sprawą Stalina – kazał ją rozwiązać i ukarać dziesiątki tysięcy ludzi, sądzę jednak, że na przykład dla Bieruta czy Bermana KPP wciąż była pozytywnym punktem odniesienia i gdy tylko pojawiła się możliwość rehabilitacji KPP, to natychmiast to uczynili. Bierut w latach 1945–1947 stale nagabywał Sowietów, żeby wypuścili tych komunistów, którzy przeżyli w łagrach.

R.S. – Są relacje wskazujące na to, że Bierut już latem 1944 r. podczas jednej z pierwszych narad u Stalina dopominał się o wypuszczenie z łagrów działaczy rozwiązanej partii. Argumentował pragmatycznie, że komunistom brakuje ludzi do objęcia władzy. Naiwnie ufał, że oni jeszcze żyją, są wykończeni i zmaltretowani, ale żywi. Stalin odesłał go z tą sprawą do Berii. Beria zaś mu oświadczył: „ich u nas niet". Bierut wracał do sprawy kilkakrotnie. Stalin i Beria zawsze „odstawiali szopkę" – Stalin zapytywał: „Ławrientij Pawłowicz, ja wieliet wam ich iskat, pocziemu wy ich nie najdiotie?". Beria zaś zbywał rzecz jakimś pytaniem w kierunku Bieruta. Po jakimś czasie Bierut wreszcie zrozumiał, że jeśli nie przestanie się interesować losami dawnych towarzyszy kapepowskich, to skończy się to dla niego źle. Po kolejnym zapytaniu skierowanym do Stalina Beria wziął go na bok i powiedział: „Czego wy prijeblis k Josifu Wissarionowiczu! Otjebities wy ot niewo! Ja wam sowietuju, a to chuże z wami budiet". Bierutowi musiało w rzeczywistości chodzić głównie o czołówkę działaczy KPP, a nie jej szarych członków. Co ważne, tych ostatnich po części udało się wyciągnąć z obozów i jednocześnie umożliwić przyjazd do kraju ludziom rozsianym po ZSRS. W latach czterdziestych do kraju wróciło – jak relacjonują niektórzy – kilkuset komunistów. Trudno o zbrodniarzu mówić coś dobrego, ale faktem pozostaje, że Bierut był jedynym spośród przywódców partii komunistycznych, który dopominał się o – jak to widział Stalin – „wrogów ludu".

B.P. — ***Ci, którzy przeżyli i wrócili, bez wątpienia reprezentowali w partii postawy bardzo ideowe. Padło już w naszej rozmowie sformułowanie o fundamentalizmie komunistycznego myślenia. Ludzie z KPP, którzy padli ofiarami stalinowskich represji, byli świadkami wymordowania przez Stalina i jego aparat wielu komunistów, nie stracili wiary w komunizm, nadal byli jego piewcami. I powróciwszy do Polski, robili to samo, co z nimi robiono w Sowietach. To fenomen, który warto wyjaśnić.***

R.S. — Przeglądając dokumenty, doniesienia agentów i listy związane ze sprawą Lechowicza, Jaroszewicza, Spychalskiego, spotkałem się z masą przykładów ludzi maltretowanych psychicznie i fizycznie, w których głowach naprawdę ani przez moment nie zaświtała taka myśl, że komunizm to nie jest dobra rzecz, to nie jest święta i świetlana idea. Wręcz odwrotnie. Personifikują zło, sprowadzają je do konkretnych oficerów śledczych. Po 1956 r. już wolno było mówić, że Różański był zły, Fejgin, Romkowski. To oni są winni, a nie komunizm. Dla ich ofiar utrata wiary w komunizm była nie do pomyślenia, byłaby utratą własnej tożsamości. Gdy siedzieli w sowieckich więzieniach, w śledztwach nadal starali się podporządkować partii, spełniając oczekiwania śledczych. Trochę to przypomina zachowania małego maltretowanego dziecka, które — nie mając innego wyjścia — wszelkie zachowania swoich rodziców interpretuje na ich korzyść i jako swoją winę. Ci więzieni komuniści dopatrywali się dobrych przesłanek w działaniach śledczych, które miały skierować całą sprawę we właściwym kierunku. Są przykłady doniesień agentów celnych z rozmów z komunistami, którzy mówili tak: no przecież oni chcą dobrze. Biją mnie, katują, bo ja pewnych rzeczy nie pamiętam.

A.P. — Do 1957 r., dla niektórych do 1968 r., dla jeszcze innych do Grudnia 1970 r. — nic nie było w stanie wybić z głów komunistów przekonania o tym, że komunizm jest słuszny, rewolucja jest konieczna, sprawiedliwość dziejowa, proletariat itd. I w zasadzie ludzi wywodzących się z przedwojennej generacji, z PPR i konspiracji wojennej, którzy całkowicie odstąpili od komunizmu, jest bardzo niewielu. Stefan Staszewski? Celina Bobińska? Na pewno Władysław Bieńkowski, ale on też nigdy całkowicie nie przeszedł na drugą stronę. Odszedł bardzo daleko, potrafił krytycznie patrzeć na rzeczywistość, ale zachował pewien intymny związek z ideologią. To było bardzo charakterystyczne dla komunistów i pod tym względem nie było podziałów w tej generacji. Wszyscy uważali się za marksistów, wierzyli w zwycięstwo rewolucji proletariackiej. Oczywiście po drodze są koszty, błędy, wypaczenia itd., ale idziemy równym krokiem czynić rewolucję światową dla szczęścia światowego proletariatu. Inna sprawa to „komuniści z posiołków", ci, którzy zaangażowali się dopiero będąc w Związku Sowieckim w latach wojny i w wojsku Berlinga, różni „komuniści powojenni", w tym pokolenie „pryszczatych". Wśród nich przypadki odchodzenia od ideologii były bardzo częste. To oni stworzyli rewizjonizm, a znaczna część potem wymaszerowała nawet z obszaru teoretycznego marksizmu.

B.P. — ***Opisy takich sytuacji z czasów wielkiej czystki znalazły się w książce Arthura Koestlera »Ciemność w południe«.***

A.P. — Ponieważ od 1948 r. powody aresztowania były takie same jak w czasie wielkiej czystki, więc mechanizmy działania obu stron — i śledczych, i aresztowanych — też były bardzo podobne.

R.S. — Śledczy, którzy prowadzili poszczególne sprawy, bardzo często byli to oficerowie, którzy przychodzili na kilka, kilkanaście godzin i nie znali całości sprawy. Czasami nawet nie wiedzieli dokładnie, kogo przesłuchują. Mieli pewne wytyczne, które musieli zrealizować, gotowe pytania. To wynika ze sprawozdań MBP z pracy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Ludzie dwudziestokilkuletni, z reguły bardzo prości, gdy trafiali do organów bezpieczeństwa, bardzo szybko byli indoktrynowani i bez specjalnej refleksji wykonywali zadania.

A.P. — Do tej pory nikt nie zrobił takiej analizy, kto kogo przesłuchiwał, ale w X Departamencie, przynajmniej na stanowiskach kierowniczych, byli „starzy" komuniści. W całym kierownictwie X Departamentu najmłodszy stażem był Światło, który również wiekowo był młodszy od Fejgina i Henryka Piaseckiego. On rozpoczynał w Komunistycznym Związku Młodzieży Polskiej, a oni byli w KPP. Wszyscy oni dobrze wiedzieli, kto to jest Gomułka, kto to jest Spychalski, nawet mogli któregoś z nich znać przed wojną. Ale oczywiście na samym dole aparatu byli chłopcy od bicia, dla których nazwiska bitych niewiele znaczyły. W maju 1945 r. na posiedzeniu KC, gdy mówiono o nadużyciach w bezpieczeństwie, Radkiewicz powiedział coś w tym sensie: jeśli dwaj młodzi chłopcy przesłuchują pułkownika z AK, to różnica potencjału intelektualnego jest taka, że oni mogą go tylko bić, bo nie mają z nim języka komunikacji. Taki Roman Laszkiewicz czy ktoś inny, kto nie miał wspólnego języka ze Spychalskim, Jaroszewiczem czy Józefem Kuropieską, bił ich.

R.S. — Pamiętam relację jednego z najmłodszych oficerów, Jana Kierasa. Gdy miał dwadzieścia lat, trafił do Biura Specjalnego i przesłuchiwał jakiegoś działacza partyjnego. Przesłuchiwał tak, jak mu się to wydawało stosowne, czyli po prostu z nim rozmawiał, zadawał pytania. Dość szybko kapitan Józef Dusza wezwał go na dywanik, bo dochodzą do niego głosy, że tenże Kieras jest lubiany przez osadzonych, że zachowuje się wobec nich zbyt kulturalnie. Niech więc nie zapomina, po co został przez partię postawiony w tej robocie. Jeśli tak dalej będzie, to oni go nie tylko wyrzucą z Biura Specjalnego, ale pozbawią legitymacji partyjnej. To był chłopak, który jeszcze chciał zdać maturę, skończyć szkołę. Dusza mu powiedział, że na to trzeba sobie zasłużyć pracą i szukaniem wroga, a potem poszedł z nim na przesłuchiwanie jakiegoś człowieka i dał mu lekcję: zwracał się do przesłuchiwanego per sk...synu, bił po twarzy i targał za włosy. Kieras potem wspominał, że wtedy poczuł się osaczony i zwolniony z myślenia, że nie bije, że się jakoś inaczej zachowuje. Liczy się operatywność i tempo działania po to, żeby wnioski z tych wszystkich spraw

były zgodne z tym, na co czekał Berman i cała reszta. No to nie było innego wyjścia, jak bić i zmuszać do mówienia określonych rzeczy.

B.P. — ***Warto byłoby scharakteryzować ten okres w życiu partii, atmosferę wzajemnych oskarżeń i podejrzeń, poszukiwania wroga wewnętrznego. Według jakiego klucza? Jak to było?***

A.P. — „Gomułkowszczyzna", odchylenia itd., to był problem z importu. Mimo istniejących w partii komunistycznej pewnych rozbieżności i konfliktów do 1948 r. kierownictwo funkcjonowało dobrze. Prezydent Bierut, „ludzki człowiek", przyjmujący dyplomatów, przysięgający na Boga, i Gomułka, „twardziel" od czarnej partyjnej roboty. W marcu 1948 r. w Moskwie na Staroj Płoszczadi, w aparacie KC WKP(b), wyprodukowano mniej więcej jednocześnie kilka dokumentów o niemarksistowskich odchyleniach w: Polskiej Partii Robotniczej, Komunistycznej Partii Czechosłowacji, Komunistycznej Partii Węgier, Jugosłowiańskiej Partii Komunistycznej. Rozpoczęła się wtedy ta cała długa gra.

B.P. — ***Czy można wytłumaczyć, dlaczego tak się stało?***

A.P. — Wydaje mi się, że było kilka powodów — po pierwsze blok komunistyczny musiał się ujednolicić, zewrzeć szyki w związku z zimną wojną i swoimi planami ofensywnymi, a jednocześnie z poczuciem znajdowania się w kapitalistycznym okrążeniu (oczywiście w sensie globalnym, a nie Polski). Oznaczało to konieczność zwarcia sił w skali całego obozu. A jeżeli ujednolicenie, to z drugiej strony niejako automatycznie pojawia się problem, który już wcześniej istniał w Związku Sowieckim, czyli — jak to sformułował Stalin — narastania walki klasowej w miarę budowy społeczeństwa socjalistycznego: im bardziej jesteśmy komunistyczni, tym więcej czyha niebezpieczeństw. Znane są niebezpieczeństwa zewnętrzne, wszyscy je doskonale widzą, natomiast gorsze są te, które znajdują się wewnątrz samej partii: ukryte macki wroga itd. Od wiosny 1948 r. takie myślenie ogarnia partie komunistyczne we wszystkich krajach. Impulsem wywoławczym była sprawa Jugosławii. Tito był radykałem i chciał czynnie walczyć z imperializmem, na przykład wspierając partyzantkę Markosa w Grecji. A jednocześnie był ambitny, uważał, że to on (jego partyzanci) wyzwolił Jugosławię, i nie chciał, żeby za niego rządzono. Zaczęto wszędzie szukać „titoistów", choć sam Tito był w jakimś sensie nietykalny, gdyż się obronił...

R.S. — ...a Gomułka po części sam się „podłożył", bo próbował negocjować między Stalinem a Tito.

A.P. — Rzeczywiście: Gomułka miał taki pomysł (debatowano nad nim na posiedzeniach Biura Politycznego). Zresztą nie ostatni raz — także w latach 1957–1960, gdy zaczynały się konflikty sowiecko-chińskie, Gomułka chciał mediować. W 1948 r. ważniejsze jednak było chyba to, że w obliczu połączenia PPR i PPS chciał on w jakiś sposób dowartościować tradycyjny w Polsce nurt niepodległościowego socjalizmu. Przywódcy komunistyczni z innych państw „podkładali" się Stalinowi z różnych powodów. W Albanii Koçi Dzodze dlatego, że był bardziej niż inni projugosłowiański;

w Bułgarii Trajczo Kostow, zabierając zbyt samodzielnie głos w sprawie federacji bałkańskiej państw komunistycznych. Na każdego można było znaleźć jakiegoś haka. Taki był mniej więcej mechanizm. W poszczególnych partiach istniały oczywiście podziały. Każda partia, nie tylko polska, składała się z takich, którzy czas wojny spędzili w kraju, i takich, którzy byli w Moskwie czy gdzie indziej za granicą. Stało się to jednym z elementów różnicujących i pozwalających prowadzić rozgrywki. Według mnie na przykład między Wacławem Komarem a Stanisławem Zawadzkim, który był szefem kadr MON, nie było różnic ideowych, ale Komar był w Hiszpanii, potem w obozach jenieckich, więc – jak to napisał płk Okręt w piśmie do Bieruta z 1949 r. – pozostawał „poza kontrolą". Ludzie, którzy w czasie wojny nie byli w Związku Sowieckim, nie budzili zaufania Sowietów. Niemal automatycznie znaleźli się w kręgu podejrzanych.

R.S. – Wtedy chyba w ogóle nie było kogoś takiego jak człowiek zaufany, poczynając od Stalina i jego układu z Mołotowem – z jednej strony najbliższy współpracownik, z drugiej człowiek, którym Stalin bez reszty pomiatał, a jego żonę za udział w rzekomym spisku syjonistycznym wsadził do łagru. Albo osobisty sekretarz Stalina Poskriebyszew – wielka kreatura w mikrej postaci – którego żona została zgładzona przez NKWD. Więcej, przecież żona syna Stalina siedziała w więzieniu. W Czechosłowacji został powieszony człowiek numer dwa Rudolf Slánský, a wraz z nim ten sam los podzieliło jedenaście osób z partii i administracji państwowej. Na Węgrzech aresztowano około dziewięćdziesięciu osób, spośród których jedenastu wysokich funkcjonariuszy zmarło w więzieniu, a piętnastu stracono, w tym Laszlo Rajka, który był weteranem hiszpańskich Brygad Międzynarodowych i ministrem spraw wewnętrznych! Chyba w tym systemie trudno mówić o kimś, kto jest człowiekiem zaufanym. W Polsce podejrzani stali się Gomułka i Spychalski – postacie pierwszoplanowe.

A.P. – Jak się czyta raporty ambasadora sowieckiego w Warszawie, to właściwie poza podejrzeniami pozostaje jedynie Bierut. Od 1949 r. obaj kolejni ambasadorowie naciskali na Bieruta, żeby pozbył się „tych Żydów" – Minca, Bermana i Romana Zambrowskiego – czy (to prawdziwe kuriozum) „nacjonalisty Radkiewicza".

B.P. – ***To była nie tyle permanentna rewolucja, co permanentna paranoja.***

A.P. – W Polsce zaczyna się ona w 1948 r. Jest to początek sowietyzacji wszystkich dziedzin życia, nie tylko zresztą w Polsce. A sowietyzacja oznacza wielką czystkę.

B.P. – ***Mechanizm czyszczenia szeregów partii komunistycznej w Polsce rozpoczął się jednak już wcześniej, w czasie okupacji. Już wtedy pomawiano się o zdradę. Przypomnijmy choćby zabójstwo Nowotki, sprawę braci Mołojców...***

A.P. – ...a później próby wplątania Gomułki w śmierć Pawła Findera i Małgorzaty Fornalskiej, jak już Gomułka siedział.

B.P. — ***W atmosferze nieustannych podejrzeń manipulowano pojęciem czystości ideowej, doprowadzając je do absurdu. Nie wahano się przed morderstwem.***

A.P. — Po 1956 r. nie wsadzano „upadłych towarzyszy" do więzień, przynajmniej w bloku sowieckim, ale w Chinach jeszcze w latach siedemdziesiątych było to stosowane. Po XX Zjeździe KPZS skończono z dintojrą wewnętrzną. Odsuniętych wysyłano do ambasad czy na emeryturę, ale nic złego im nie robiono. Nawet nie wyrzucano z mieszkania. Ale od końca lat dwudziestych do połowy lat pięćdziesiątych wszystkie konflikty wewnętrzne oparte na odmiennych wizjach działania, czy po prostu na ambicjach personalnych, kończyły się fizyczną eliminacją.

R.S. — Od czasu kiedy zająłem się osobistym życiem stalinowskiej elity, coraz bardziej dochodzę do przekonania, że dla nich największym przestępstwem nie jest zabójstwo, ale zdrada. I to też rozumiana specyficznie: nie jako zdrada kraju, ale jako zdrada ruchu robotniczego. Do więzień wsadzano więc ludzi, którzy nawet wedle obowiązującego po 1944 r. prawa nie dopuszczali się żadnych wykroczeń. Na przykład współpraca z przedwojennym wywiadem sanacyjnym nie dawała żadnych podstaw prawnych do represji karnej. Była jednak traktowana jak najcięższy grzech.

A.P. — Bo komuniści mieli mózgi zmacerowane ideowością.

B.P. — ***Najgorsze oskarżenie wobec Mołojca polegało nie na tym, że zabił Nowotkę, ale że zdradził, że przed wojną był »dwójkarzem«.***

A.P. — Na tym właśnie polegała stalinowska paranoja, bo stało się to podstawowym kanonem działania. Trzeba powiedzieć, że Stalin był świetnym socjotechnikiem. Jego syn dostał się do niewoli niemieckiej. Strona niemiecka zaproponowała wymianę na marszałka Friedricha von Paulusa, a Stalin na to odpowiedział — a setki tysięcy innych młodych jeńców? Kto ich będzie wymieniał? I Jakow Dżugaszwili popełnił w obozie samobójstwo, rzucił się na druty. To także świadczy o nieprawdopodobnej ideowej i psychicznej zaciekłości Stalina. Ale wracając do roku 1948 i mechanizmu czystek z importu. Chodziło o zwarcie obozu, sowietyzację wszystkich państw, wprowadzenie wszędzie tych samych instytucji ustrojowych. Wszędzie funkcjonowały podobne mechanizmy. W Związku Sowieckim trwało nieustanne poszukiwanie wroga wewnętrznego.

R.S. — W Polsce nadarzył się do tego jeszcze bardzo wygodny pretekst. Zaczynem tego wszystkiego, początkiem poszukiwania wroga wewnętrznego jest sprawa z połowy 1947 r., kiedy to oficerowie Głównego Zarządu Informacji znaleźli w Gdańsku Oliwie paczki z przedwojennymi dokumentami Ministerstwa Spraw Wojskowych. Opracowywała je między innymi współpracownica Spychalskiego, Stanisława Sowińska „Barbara", która była szefem Biura Studiów. Przy okazji ktoś z jej podwładnych natrafia na pokwitowania kasowe i życiorysy różnych ludzi, którzy zajmują dość wysokie stanowiska w administracji państwowej Polski Ludowej.

Z dokumentów wynika, że byli oni współpracownikami przedwojennego kontrwywiadu, „dwójki" – komórki między innymi zwalczającej komunistów. Dwa najważniejsze nazwiska to Włodzimierz Lechowicz i Alfred Jaroszewicz. Sowińska informuje o dokumentach podejrzanej treści Spychalskiego. A Jaroszewicz i Lechowicz są już posłami i pełnią ważne funkcje w Stronnictwie Demokratycznym, jeden jest ministrem aprowizacji, drugi wiceministrem, są współpracownikami Gomułki i są także od czasu wojny powiązani ze Spychalskim. W lutym 1948 r. dowiaduje się o tym Gomułka, który zupełnie bagatelizuje sprawę. Berman i Bierut najprawdopodobniej dowiadują się o tym dopiero w połowie 1948 r. W sierpniu zaczyna się tzw. rozpracowanie operacyjne Lechowicza, Jaroszewicza i współpracowników. Ono nic nie daje, bo tak naprawdę nie mogło dać. Lechowicz i Jaroszewicz zawsze działali na rzecz komunistów, zarówno w II Rzeczpospolitej, gdzie rzeczywiście byli pracownikami sanacyjnego kontrwywiadu, ale w rzeczywistości infiltrowali „dwójkę" na rzecz wywiadu sowieckiego. Jednocześnie byli też cennymi wtyczkami KPP mającymi za zadanie, dzięki dostępowi do istotnych informacji kontrwywiadowczych, ochronę kierownictwa tej partii. Natomiast podczas wojny i po niej byli jednymi z najwyżej uplasowanych agentów komunistycznych, najpierw w Delegaturze Rządu RP, a następnie w kręgach formalnie niezależnego Stronnictwa Demokratycznego. Podjęcie działań operacyjnych przez bezpiekę, później aresztowania ponad setki osób powiązanych z Lechowiczem, Jaroszewiczem, a w dalszej perspektywie także ze Spychalskim, miało więc na celu odwrócić rzeczywistość: czarne miało okazać się białe, czyli kilkuletnia praca na rzecz ruchu komunistycznego – zdradą.

A.P. – Wiedza operacyjna, nawet jeśli ją posiada sekretarz generalny partii rządzącej i prezydent kraju, nie musi przekładać się na działania polityczne. Można, a nawet należy, czekać na moment, kiedy wiedza ta okaże się przydatna. Wciąż nie wiem, kto zmontował tę sprawę, w jakim stopniu było to zrobione w Warszawie, a w jakim w Moskwie. Na pewno Moskwa miała duże doświadczenie w takich sprawach, a sowieccy specjaliści, którzy się tym zajmowali, dawali sygnał do aresztowań i wymuszania zeznań potrzebnych przeciw Spychalskiemu, a potem Gomułce.

R.S. – W tzw. bezpiece prawdopodobieństwo tych wpływów sowieckich jest dużo mniejsze niż w Głównym Zarządzie Informacji.

A.P. – To jest zupełnie co innego.

R.S. – Niemniej, kiedy jesienią 1950 r. zastępca szefa Głównego Zarządu Informacji płk Antoni Skulbaszewski chciał przechwycić sprawę Spychalskiego i podłączyć go do sprawy gen. Stanisława Tatara prowadzonej właśnie przez GZI, Fejgin, który był człowiekiem dyspozycyjnym i służbistą, bardzo mocno postawił się Bermanowi. A Berman początkowo domagał się oczywiście bezwzględnego wypełnienia polecenia Antoniego Skulbaszewskiego. Skoro bowiem kierownictwo partii i MBP zgodnie uznały, że Spychalski stał na czele antysocjalistycznej konspiracji w ludowym Wojsku Polskim, to logicznym było, iż jego sprawę rozwikłać ma

kontrwywiad wojskowy. Tylko że to mogło się okazać bardzo, ale to bardzo niebezpieczne dla kierownictwa polskiej partii. Informacja w praktyce była w dużej mierze pionem niezależnym od polskiego nadzoru. Jej kierownictwo, w osobach Skulbaszewskiego i jego szefa Dymitra Wozniesienskiego, otrzymywało bezpośrednie polecenia z Moskwy. A nad planami Moskwy, to znaczy w jakim kierunku potoczy się śledztwo, jeśli przechwyci je Informacja, nie panowałyby ani MBP, ani PZPR. Pokusiłem się o zebranie chyba wszelkich możliwych relacji dotyczących tej sprawy i wychodzi z tego taki obraz: w pewnym momencie Berman, Romkowski i Fejgin zorientowali się, że jak oddadzą Spychalskiego do Informacji, to „oni nim zakręcą takiego młynka", że nie wiadomo, co z tego ostatecznie wyjdzie i jak daleko sięgną jego oskarżenia. A jeśli jakiś trop oskarżeń padnie na aktualne polskie kierownictwo? Wpływy sowieckie w bezpiece były jednak – oczywiście nieco upraszczając – w znacznie większym stopniu do opanowania i skontrolowania, a więc przygotowywany proces Spychalskiego miał duże szanse pójść w kierunku nadanym mu przez Bieruta, Bermana i Minca, a nie jakąś wojskową czy policyjną koterię z Kremla.

A.P. – Obawiali się Informacji, zwłaszcza że ona od listopada 1949 r. podlegała bezpośrednio Konstantemu Rokossowskiemu, którego oczywiście kochano jako wybitnego rodaka, ale bano się go jak każdego Sowieta (nie Rosjanina, ale właśnie Sowieta). To były odruchy obronne, nie wiem, jak dalece uświadomione. Nie zapomniano przecież o mechanizmie wielkiej czystki, coś do nich docierało, wszyscy byli przedwojennymi komunistami. To naturalne: lepiej, jak ja będę prowadził śledztwo, niż żeby prowadził je ktoś inny.

R.S. – To pośrednio świadczyło na rzecz tej tezy, że w bezpiece wpływy sowieckie nie były tak silne jak w Informacji.

A.P. – One były innego rodzaju, bo w GZI, w aparacie operacyjnym, pracowali oficerowie sowieccy, natomiast w bezpiece oficerowie sowieccy byli doradcami, ich możliwości były trochę mniejsze.

B.P. – ***Badając archiwa X Departamentu, z pewnością widział pan materiały dotyczące planów ostatecznej eliminacji przeciwnika. Jakie to były sprawy?***

A.P. – Główną sprawą było drążenie tego, co się działo w PPR w czasie okupacji. Zrazu kluczowa była sprawa Lechowicza i Jaroszewicza, którzy przed wojną byli w kontrwywiadzie wojskowym, w czasie okupacji związani byli z kontrwywiadem AK, jednocześnie pozostawali w kontrwywiadzie GL i bezpośrednio podlegali Spychalskiemu. Ponadto przed wojną byli szpiegami sowieckimi. Zawsze odgrywali podwójną rolę. Otóż zarzucano im – a więc także ich szefowi w GL – że byli wtyczkami w ruchu robotniczym. Dokładnie odwrotnie, niż było naprawdę. Krótka też była droga od oskarżania o współpracę ze znienawidzoną przez komunistów „dwójką" do oskarżenia o współpracę z gestapo. Znamy ten logiczny wywód: skoro Polska przedwojenna była faszystowska i współpracowała z Hitlerem, a więc AK szła ręka

w rękę z gestapo... Jest w tych materiałach na przykład analiza historii jakiejś drukarni, którą jakoby Spychalski przekazał do gestapo, myśląc, że to jest drukarnia akowska, a ona była pepeerowska.

R.S. – Z dość licznych materiałów poszlakowych, zeznań, których wartość jest jednak mała, wynikałoby, że Spychalski przekazał gestapo donos z adresem drukarni akowskiej mieszczącej się przy ul. Twardej. Gestapo wkroczyło do tegoż lokalu w lutym 1943 r. Działacze podziemia ratowali się ucieczką na sąsiednią posesję. Niemcy przeszukując mieszkania natrafili na mieszczącą się „po sąsiedzku" konspiracyjną drukarnię PPR przy ul. Grzybowskiej. Wpadka komunistów była więc zupełnie przypadkowa. Z wymuszanych przez oficerów Departamentu X zeznań wynikałoby, że Spychalski przeprowadzał lub inspirował niejednokrotnie działania denuncjacyjne, służące jako narzędzie do walki z podziemiem. W swoich zeznaniach przyznał się do prowadzenia tzw. akcji dezinformacyjnej, raz mającej polegać na przekazywaniu gestapo fikcyjnych nazwisk i adresów, innym zaś razem na przekazywaniu Niemcom rzeczywistych wykazów członków AK i innych „reakcyjnych organizacji" znajdujących się w posiadaniu komunistycznego Oddziału Informacji.

A.P. – Ale to wszystko jest oparte na jego zeznaniach. O ile wiem, nie ma żadnych niemieckich dokumentów na ten temat.

R.S. – Zgadzam się w pełni, dlatego zastrzegam się i mówię o tych działaniach „denuncjacyjnych" z wielką ostrożnością i w trybie warunkowym.

B.P. – ***A czy były na przykład sprawy o charakterze kryminalnym?***

A.P. – Można powiedzieć, że to właśnie była sprawa o takim charakterze. Ale były – jakieś kosztowności, ktoś nie rozliczył się z funduszy peperowskich. Michałowi Roli-Żymierskiemu zarzucano futra żony, kosztowności. Ale chodziło o późniejsze, powojenne „zdobycze". Głównym przedmiotem dociekań był okres konspiracji, to wentylowano na wszystkie sposoby...

R.S. – ...a przy okazji rozpracowywano szczegółowo struktury akowskie.

A.P. – Oczywiście, bo to przecież AK – czy Delegatura – miała być zleceniodawcą. Ten kompleks spraw był główny. Wobec Gomułki raczej były zarzuty natury politycznej, ideologicznej, że nie dopilnował, że dopuścił takich szkodników Spychalskich i innych, że nie miał zaufania do Armii Czerwonej, nie dość podkreślał jej rolę w wyzwoleniu Polski.

R.S. – Wobec Gomułki nie było zarzutów o zdradę, w przeciwieństwie do Spychalskiego.

A.P. – Spychalski był zdrajcą, który działał na zlecenie polskiej burżuazji w postaci Armii Krajowej.

B.P. – ***Tak między nami mówiąc – był czy nie był?***

A.P. – Nie był zdrajcą, ale znalazł się w bardzo niedobrej sytuacji, bo miał brata w AK, pułkownika, komendanta okręgu krakowskiego. Sprawdzano, czy on się z tym bratem spotykał, czy nie. On sam te spotkania ukrywał.

R.S. – Na jego miejscu też bym ukrywał. Ale z tej sytuacji nie było dobrego wyjścia, no chyba że wyprzeć się brata – co zresztą w latach pięćdziesiątych by mu nie pomogło, bo oficerowie Departamentu X, kiedy to byłoby tylko potrzebne, udowodniliby mu, że się z bratem i tak spotykał. Na pewno.

B.P. – ***Znaczy się – zdrajca. Według mentalności komunistycznej, która wbrew zapewnieniom stosowała zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Niezależnie od tego, czy pytał go tylko o zdrowie...***

A.P. – Szukano na ludzi haków w najróżniejszy sposób. Na przykład był hak na Radkiewicza, gdyż, kiedy był aresztowany w latach trzydziestych, podpisał lojalkę. Wielu ludzi podpisywało lojalki w policji, a od 1948 r. starannie przeszukiwano dokumenty pozostałe po policji, więzienne, sądowe. Sam Bierut był ukarany naganą w KPP za to, że miał łączniczkę, która była urzędniczką państwową. Zrehabilitowano go dopiero w 1941 r., dochodzenie prowadzono w strukturach Kominternu i uznano, że to była przesadna kara. Były też sprawy, które wychodziły przy okazji, na przykład zamordowanie Lipskiego. Był to działacz komunistyczny, który w 1938 r. był w komisji likwidacyjnej KPP w kraju. Nie wierzył w zarzuty o prowokacji piłsudczykowskiej, chciał nawet jechać do Moskwy, żeby przekonać Komintern. Nie pojechał i dzięki temu żył parę lat dłużej, ale został zastrzelony w 1942 r., prawdopodobnie przez kontrwywiad GL. Drążono sprawę aresztowania Findera i Fornalskiej – Gomułka przecież szedł na spotkanie z nimi, ale nie doszedł. Gdyby doszedł, to by go też aresztowali, a więc pytanie, dlaczego nie doszedł, itd.

R.S. – Na listopadowym plenum w 1949 r. wprost postawiono takie zarzuty, na pewno Spychalskiemu, a chyba i Gomułce, że są zamieszani w tę sprawę.

A.P. – Drugim ważnym obszarem był zarzut formułowany bezpośrednio wobec Spychalskiego, pośrednio wobec Gomułki – „zaśmiecenie" wojska po 1945 r. Chodziło o przyjmowanie do wojska przedwojennych oficerów. Prawie wszyscy oficerowie, którzy wojnę przetrwali w oflagu w Woldenbergu, przyszli na stanowiska dowódcze w wojsku. Przyjmowano też przyjeżdżających z Zachodu: generałów Józefa Paszkiewicza, Bronisława Ketlinga, Mieczysława Borutę-Spiechowicza. Także wysokich oficerów z AK (Jerzy Kirchmayer). Stefan Mossor, który z obozu jenieckiego jeździł do Katynia, został zastępcą szefa Sztabu Generalnego! Zarzut o „zaśmiecenie" w łagodniejszej wersji postawiono Gomułce, uznając, iż z jego strony było to niedopatrzenie, ale co do Spychalskiego uznano, że to był udział w spisku. Jeśli jest spisek w wojsku, które zostało zaśmiecone, to ten, kto zaśmiecił, mógł uczestniczyć w tym spisku, albo spiskowcy chcieli się nim posłużyć, wprowadzić na stanowisko ministra zamiast Rokossowskiego. Logika spiskowej wizji polityki jest identyczna jak logika spiskowej wizji historii. Ponadto czystka w wojsku miała zdyscyplinować armię.

R.S. – Spychalski „zaśmiecając" kierował się rozsądkiem, bo wiedział, że ci przedwojenni oficerowie są fachowcami. Innych Polaków nie miał. Ale komunizm, jak już mówiłem, nie kierował się często powszechnie uznawaną logiką – miał swo-

ją własną logikę. Przypominam sobie, że podczas czystek stalinowskich w Moskwie Gienrichowi Jagodzie, który stale wydawał rozkazy rozstrzeliwania „wrogów ludu", zarzucono „zbytnią pobłażliwość". To absurd, ale nikt go nie śmiał kwestionować. To samo w Polsce po wojnie. W 1949 r. płk Stefan Kuhl zarzucił Spychalskiemu zbytnie przywiązanie do fachowości. Na naradzie centralnego aktywu wojskowego uznano, że Spychalski błędnie kierował się „nadmiernym szacunkiem" wobec wszystkich uczestników wojny z Niemcami.

A.P. – Dlatego trzeba było znów sprowadzić sowieckich oficerów, bo ktoś tych wyrzuconych fachowców musiał zastąpić.

R.S. – No tak, tyle że Spychalski rzeczywiście przejawiał czasem nieufność wobec oficerów sowieckich, i nie krył się z tym specjalnie. To prawda trudna, bo zaprzeczająca stereotypom. Ale sporo wskazuje na to, że tak było. W jednym z dokumentów Biura Informacji partii sowieckiej z 1948 r. zapisano na przykład, że Spychalski w rozmowie z jednym z sowieckich generałów zwrócił mu uwagę, że „lepiej w ogóle nie mieć w jednostkach wojskowych pracowników politycznych, niż mieć rosyjskich". Z kolei w innym dokumencie z tego samego roku został umieszczony w – jak to zapisano – „grupie zainfekowanej polskim szowinizmem". Zapewne nie stało się tak bez powodu. Takich przykładów znam jeszcze kilka.

A.P. – W przygotowanym w 1946 r. dla KC WKP(b) swoistym „who is who" Polski ówczesnej figuruje około stu osób. Mało o kim są tam tylko pozytywne opinie. O Bermanie i Zambrowskim napisano, że mają inteligenckie wątpliwości i brakuje im kontaktu z klasą robotniczą. Po 1956 r. był inny świat, ale problem braku zaufania nadal istniał. To jest naturalne w każdej instytucji i organizacji. Problem zaufania do kogoś, do czystości jego biografii, do intencji, to jest niezwykle ważne. Ruch komunistyczny ma na sobie i tę plamę, że przez wiele lat do sprawdzania tej czystości używał aparatu bezpieczeństwa.

B.P. – ***Czy były procesy rehabilitacyjne? Jak partia rehabilitowała swoich niesłusznie skrzywdzonych towarzyszy?***

A.P. – Jeśli chodzi o Gomułkę, został zrehabilitowany w dwóch fazach. Najpierw – wiosną 1956 r. zdjęto zarzut dywersji, ale pozostały błędy ideologiczne i polityczne. Po Październiku zniknęły oczywiście i te. Gomułka nie chciał jednak, żeby ta sprawa była publicznie wałkowana, uważał, iż rozliczanie jest dysfunkcjonalne wobec partii, osłabia jedność, daje argumenty wrogom.

B.P. – ***To taka gruba kreska Gomułki.***

A.P. – Stworzyłem w domowym archiwum teczkę „gruba kreska 56–57", w której mam jakieś wypowiedzi w Biurze Politycznym, notatki z prokuratury: nie ścigać, bo konfliktuje to aparat partyjny i osłabia aparat bezpieczeństwa. Na co nie można sobie pozwolić. Na marginesie: proszę zwrócić uwagę, jak wyglądały niemieckie rozliczenia z III Rzeszą i nazizmem czy francuskie z kolaboracją. We Francji już w 1946 r. była pierwsza amnestia dla kolaborantów.

B.P. — ***Warto podsumować okres stalinowski. W jakim stanie wyszła z niego PZPR? Co jej to dało i czym napiętnowało działania tej partii dalej?***

A.P. — Ten okres stanowił czarną hipotekę PZPR. Komuniści zdawali sobie z tego sprawę, ale nie mogli się jej pozbyć aż do końca istnienia PZPR, bo to wymagałoby dokonania bardzo głębokiego zwrotu. Generacja uczestnicząca bezpośrednio w stalinizmie zaczęła odchodzić od 1956 r. i trwało to mniej więcej do 1970 r. Potem odchodzili w zaświaty: Różański w 1981 r., Gomułka umarł w 1982 r., Berman w 1984 r. Najpierw, od 1956 r., zmarginalizowani zostali czynni stalinowcy z bezpieki, potem, w pierwszej fali w 1968 r., a wreszcie po dojściu do władzy Gierka, odeszła na emeryturę reszta generacji kominternowskiej. Niemniej balast lat stalinowskich ciążył nad PZPR. Przypomnę, że w czasie obrad okrągłego stołu Biuro Polityczne podjęło uchwałę „o likwidacji resztek stalinizmu w Polsce". Oni to czuli. Są takie wypowiedzi gen. Jaruzelskiego z 1988 r.: zbliża się rocznica powstania PZPR, rocznica powstania KPP, co z tym robić, jak się bronić? W jakiejś mierze to trwa do dziś, w wahaniach wobec oceny PRL. Myślę, że na przykład Aleksander Kwaśniewski ma takie poczucie — a w każdym razie niedawno je miał — że jest jeszcze coś nierozliczonego. Chodziło mu głównie o stan wojenny, ale chyba nie tylko. Ten bagaż, choćby w postaci „utrwalaczy władzy ludowej", którzy działają w komórkach SLD i tworzą własne organizacje kombatanckie, wlecze się po prostu za całą formacją postkomunistyczną.

Gomułka po 1956 r. zawiesił sprawę „rozliczeń" za stalinizm, ale ci, którzy byli „zawieszeni", chyba nie mogli być pewni swego. Gomułka, warto pamiętać, też zmieniał, choć już w sposób spokojny, ludzi, z którymi się nie zgadzał albo do których nie miał zaufania. Po kolei wylatywali zarówno wojskowi, jak i cywile. Bodaj na wszystkich w SB były prowadzone sprawy operacyjne: Jan Frey-Bielecki, Zygmunt Duszyński, Bieńkowski, Staszewski. Nawet jak w 1964 r. wyszli z więzień Fejgin, Romkowski i Różański, zostali otoczeni pełną kontrolą (tajni współpracownicy, podsłuchy, perlustracja). Nie wiem, czy Gomułka tego zażądał, nawet nie wiem, czy on wiedział o tym. Ale aparat uważał, że powinien to robić, bo jak Gomuka zażąda, żeby mu powiedzieć, co Staszewski robi, to oni już wszystko mają — wczoraj się spotkał z Bieńkowskim, poszli na kawę, pili koniak. Wszystko wiemy.

R.S. — Były także „materiały na ludzi" będących już w zupełnej „odstawce", na pędzących życie emeryta Fejgina, Romkowskiego. Na Bermana jest sporo dokumentów inwigilacji z okresu sprzed Marca 1968 aż do początku „stabilizacji Gierkowskiej" w 1971 r. Wiemy, z kim się spotkał, o czym rozmawiał z żoną, córką, odwiedzającymi go „starymi wiarusami" — jak między sobą nazywali siebie samych starzy towarzysze. Inwigilacja była prowadzona rzetelnie, dokładnie. Ale z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa to była robota zupełnie bez sensu. Albowiem co robi emeryt Berman przez cztery lata: chodzi do kina, namiętnie dyskutuje, czyta książki, tłumaczy artykuły dla znajomych. Sielanka.

B.P. — ***A kto »robił« tych z X Departamentu?***

A.P. — To robił Departament III („trójka"), a pewne sprawy prowadził kontrwywiad (Departament II), gdyż niektórzy z dawnych prominentów spotykali się z zagranicznymi dziennikarzami. Nie było osobnego wydziału do spraw ruchu robotniczego, ale może była jakaś sekcja. W latach osiemdziesiątych powstała jakaś komórka, bodaj w Biurze Studiów (które zajmowało się podziemiem „solidarnościowym").

B.P. — ***Kim oni się zajmowali?***

A.P. — Pyką, Gierkiem, Werblanem, Schaffem, wyrzuconymi lub odsuniętymi na margines po 1981 r. Nazywało się to ochroną najwyższych urzędów państwowych. Aparat bezpieczeństwa zawsze był używany jako instrument zdobywania i przekazywania informacji o ludziach, ale tylko w latach stalinowskich w Polsce był jednocześnie narzędziem fizycznego zwalczania przeciwnika wewnętrznego. Informacje z MSW zawsze otrzymywali pierwsi sekretarze, niektóre inni członkowie Biura Politycznego. Zachowało się wiele teczek z dokumentami, które Gomułka dostawał z MSW: raporty TW, bieżące materiały operacyjne, notatki służbowe z podsłuchów i perlustracji. Niektóre z odręcznymi notatkami Mieczysława Moczara. Miał to tylko do przeczytania i zwracał, dzięki temu to się zachowało.

B.P. — ***Kolejny spór w partii, związany z potrzebą przestrzegania czystości, jest w latach sześćdziesiątych.***

A.P. — Oczywiście, spory trwają właściwie cały czas. Tyle że nie są już rozstrzygane przy użyciu SB. Bezpieka może pomóc zebrać materiały, ale nie wsadza do więzienia, nie katuje. W 1971 r. nie bito Moczara, żeby móc wytoczyć mu publiczny proces, podczas którego przyzna się, że szykował zamach na Gierka, a jedynie odsunięto go na boczny tor.

R.S. — Spór w latach sześćdziesiątych, może nie najbardziej wprost, ale wynikał z tego, co działo się w latach pięćdziesiątych.

A.P. — Tak, to co działo się w latach 1948–1955, utworzyło pewne fronty. Moczara z Gomułką, z Kliszką, z Logą-Sowińskim, to znaczy z tymi, którzy byli represjonowani — mniej lub bardziej brutalnie — w latach stalinowskich. Sam Moczar był represjonowany raczej delikatnie: został „wysłany w teren", był wojewodą (później przewodniczącym wojewódzkiej rady narodowej), nic złego mu się nie stało. Prócz ujmy na partyjnym honorze. W latach sześćdziesiątych PZPR szukała nowej legitymizacji i na tym tle powstały rozbieżności w partii, może nie tyle w kierownictwie, ale na zapleczu intelektualnym. Ich odbiciem był na przykład atak „patriotów" — widoczny w publicystyce płk. Zbigniew Załuskiego — na „szyderców", których uosabiali Andrzej Munk czy Sławomir Mrożek. Były wciąż resztki walki „puławian" z „natolińczykami", którzy *summa summarum* byli bliżsi Gomułce, choćby dlatego, że byli „twardzi", ortodoksyjni, inaczej niż „puławianie" — liberalne mięczaki. W tym wszystkim SB oczywiście zbiera materiały, prowadzi teczki. Gdyby nastąpił nawrót stalinizmu, materiały na pewno byłyby wykorzystane.

R.S. – Wracając do pytania o rehabilitację. Pamiętajmy, że to wszystko działo się nieprawdopodobnie szybko. Jeszcze w połowie 1955 r. Lechowicz i Jaroszewicz dostają jeden piętnaście, drugi dwanaście lat. Gomułka jest już na wolności. Na początku 1956 r., w styczniu, Bierut własnoręcznie tworzy siódmą wersję aktu oskarżenia. Do końca 1954 r. Spychalski jest trzymany w więzieniu bez jakiegokolwiek nakazu prokuratorskiego, a przez ostatnie dwa lata, od 1954 r. do marca 1956 r., ma pięć czy sześć tymczasowych nakazów aresztowania. To ważne, bo pokazuje kompletne, ale to kompletne nieprzestrzeganie i lekceważenie procedur obowiązujących w, było nie było, Polsce Ludowej. Inaczej mówiąc, Spychalski był przetrzymywany w więzieniu przez sześć lat wedle „widzimisię" Bieruta, a w końcu na podstawie tymczasowych nakazów aresztowania. Tuż przed jego wypuszczeniem, w marcu 1956 r., zgromadziło się Biuro Polityczne, które debatowało nad możliwością ewentualnej rehabilitacji Spychalskiego. Zastanawiali się długo: jak z tego wyjść? Według Władysława Matwina ustalono: nie możemy jeszcze teraz zrehabilitować Spychalskiego i oczyścić go z zarzutów, bo musielibyśmy powiedzieć prawdę całemu narodowi i okazałoby się, że popełniliśmy zbrodnię. Konkluzja była taka: na to nas nie stać.

A.P. – Są też notatki Bieruta z tego posiedzenia. Wypuścić Tatara i innych z jego procesu, ale nie rehabilitować ich. Śmierć Bieruta niezwykle ułatwiła destalinizację. Nie mówiąc tego wprost, można było na niego zwalać winę. Trzeba jednak powiedzieć, że aż do 1989 r. w partii, kiedy ona jeszcze była partią monopolistyczną, cały czas były tarcia. Niektóre wynikały z generalnego podziału na radykałów i umiarkowanych, twardogłowych i pragmatyków. Na to nakładały się ambicje personalne poszczególnych osób i grup. Zawsze jako taktyka stosowane było „cięcie po skrzydłach", ale „odcięte skrzydło" jechało na ambasadę, a nie do piwnicy MBP. To była ta „mała" różnica. Aparat bezpieczeństwa zawsze w tym wszystkim istniał, choć już raczej jako swego rodzaju odkurzacz – zbierał informacje, ale w zasadzie nie przekładał tego na działania represyjne wobec członków, aktywistów czy działaczy partyjnych.

B.P. – ***Z wyjątkiem internowania Gierka i towarzyszy w stanie wojennym.***

A.P. – To było czysto propagandowe, absolutnie cyniczne działanie. Gen. Jaruzelski bardzo często za to przeprasza. Może z głębszym przekonaniem niż za stan wojenny jako taki.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 1–2 (48–49), styczeń–luty 2005

CO KRYJĄ TECZKI?

O tajnych współpracownikach bezpieki
z Andrzejem Chojnowskim, Grzegorzem Majchrzakiem, Zbigniewem Nawrockim
i Tadeuszem Ruzikowskim rozmawia Władysław Bułhak

W.B. — ***Szpiegostwo czy też działalność agenturalna to chyba drugi najstarszy zawód świata. Możemy jednak mówić o pewnej specyfice agentury pracującej na rzecz i w ramach państwa totalitarnego, a więc i komunistycznego. Czym zatem peerelowski TW różnił się od informatora przedwojennej »dwójki«?***

G.M. — Podstawowa różnica polega na tym, że w państwie totalitarnym władza zmierza do objęcia kontrolą wszystkich obszarów życia. Inna jest skala zjawiska, liczby agentury. Wystarczy powiedzieć, że w latach pięćdziesiątych w różnego rodzaju kartotekach MBP, czyli jako agenci, ale przede wszystkim jako podejrzani, znalazła się jedna trzecia dorosłych obywateli kraju. W państwie totalitarnym agentura jest podstawowym narzędziem kontroli całego społeczeństwa, a państwo demokratyczne chroni tylko pewne podstawowe interesy, na przykład tajemnicę wojskową.

A.C. — Ja bym nie szukał takich analogii i nie prowadził porównań między krajem demokratycznym a totalitarnym, bo to w gruncie rzeczy nie ma sensu. Natomiast trzeba by porównywać system totalitarny, przynajmniej z założenia, z systemami niewolnościowymi, które w tej czy innej postaci wprowadzają model rządów oligarchicznych, rządów jednostki itd. Różnica jest tutaj w jakości, ale rozumianej nie tylko w skali. Jeśli weźmiemy przykład imperium osmańskiego z przełomu XIX i XX w., to w miarę jak udoskonalały się pewne techniczne instrumenty władzy, pojawił się telegraf, poczta itd., można zauważyć taką tendencję, że poszczególni sułtani, zwłaszcza ci, którzy wykazywali pewne ambicje reformatorskie, zaczęli wykorzystywać i rozbudowywać sieć informatorów wszelkiego rodzaju, w tym także agentów nie związanych formalnie z aparatem państwa. A jak się pojawiały pewne fermenty polityczne wśród różnych grup, na przykład nacjonalizm arabski, to ta sieć tym bardziej stawała się potrzebna. Tę różnicę w jakości widziałbym też w tym, że system niewolnościowy ma z założenia zamiary negatywne, on zakazuje wielu rzeczy i stara się trzymać społeczeństwo pod rygorami jakiejś kontroli, przede wszystkim politycznej. Nie ma natomiast ambicji kreowania zachowań, w porównaniu z systemem, który

dąży do totalitaryzmu, gdzie ważne jest nie tylko to, czego nie robimy, ale także to, co robimy i co należy robić.

W.B. — ***Czyli władza chce, żebyśmy robili określone rzeczy, a nawet mieli określone poglądy.***

A.C. — I wtedy nie ma tego rozróżnienia między sferą życia, która państwa nie interesuje, a tym, co je interesuje. Wszystkie nasze zachowania, nawet najbardziej intymne, są wpisane w to, co władza chce o nas wiedzieć, każdy fragment naszej osobowości jest bardzo ważny z punktu widzenia kreowania zachowań, czyli zmuszania nas do pewnego typu działań i pewnego typu myślenia. To nie jest więc tylko kwestia rozrostu liczebnego agentury. Jak czyta się te różne doniesienia tajnych współpracowników bezpieki, to widać, że oni interesują się wszystkim, bo wszystko dla władzy ma istotne znaczenie. Gdy oglądam doniesienia takich klasycznych agentów, którzy obserwowali życie przedwojennej elity politycznej, to kiedy owe doniesienia w postaci tzw. komunikatów komisariatu rządu na m.st. Warszawę trafiały już do urzędników MSW, nie było w nich mowy o tym, co Witos robi w domu z żoną, to ich nie zajmowało. Natomiast, jak wiadomo, tego typu kwestie interesowały władze powojenne, nawet bardzo.

T.R. — Ja bym na to spojrzał jeszcze z nieco innej perspektywy. Jestem redaktorem i wydawcą instrukcji pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa z lat 1944–1989. Jedną z tych instrukcji Henryk Głębocki określił mianem esbeckiej „biblii". Pierwsza z nich była w dużym stopniu kopią czy też klonem odpowiedniej instrukcji sowieckiej i w tym względzie powielała sowieckie wzorce pracy z agenturą. I tutaj właśnie, jak sądzę, kryje się istotna właściwość. To był system obcy, narzucony z zewnątrz. Potem dopiero oswajany, dostosowywany do miejscowych warunków.

Z.N. — Zgodnie z tymi instrukcjami w pierwszym okresie istniał formalny podział na agenturę i sieć informacyjną i miał on pewne odniesienie do rzeczywistości. Agenci tkwili w oddziałach podziemia niepodległościowego, we „wrogich" ugrupowaniach, od PSL poczynając. Równocześnie rozbudowywana była sieć informatorów, która miała za zadanie donosić, informować o wszelkich dziedzinach, nastrojach społecznych, bo bezpiekę od samego początku interesowało przecież wszystko. Fluktuacja tych informatorów jest ogromna. Są okresy, że w czasie jednego miesiąca przybywa i ubywa jednocześnie po kilkudziesięciu informatorów w powiatowym urzędzie bezpieczeństwa. Odbywa się to bez rejestracji, bez sformalizowania, bez procedur. To można wyczytać w sprawozdaniach, które zostały po bezpiece.

W.B. — ***Pierwszym problemem, z jakim musiał sobie poradzić aparat bezpieczeństwa, było rozbicie podziemia zbrojnego i opozycji politycznej w latach czterdziestych. Jak można scharakteryzować specyfikę działalności agenturalnej w tym okresie?***

T.R. — W latach 1944–1948, w trakcie walk z podziemiem niepodległościowym, agentura urzędów bezpieczeństwa znajdowała się niejako na zapleczu sił wojskowych.

W znacznym stopniu pełniła wobec nich funkcję pomocniczą. Przez agenturę możliwe było chociażby ustalenie miejsca pobytu oddziałów podziemia. Wtedy do akcji wkraczały jednostki WP, NKWD, Smiersz czy KBW i fizycznie likwidowały „wroga".

Z.N. – Nie do końca zgadzam się z opinią kolegi. Rola, jaka przypadała agenturze ubeckiej w zwalczaniu podziemia, była dużo większa niż tylko „pomocnicza". Oddziały podziemia były infiltrowane od środka przez agentów bezpieki, najczęściej zresztą „przewerbowanych" żołnierzy AK czy NOW–NSZ, później NZW. Bardzo często owi agenci UB na zlecenie oficerów prowadzących po prostu fizycznie likwidowali członków, a zwłaszcza dowódców tych oddziałów. Takie przykłady są znane, choćby sprawa zamordowania mjr. Antoniego Żubryda i jego żony, niedawno przecież się skończył proces uniewinniający Jerzego Vaulina „Warszawiaka", który dokonał ich egzekucji. Podobnie wyglądała sprawa oddziału Wojciecha Lisa „Mściciela", kiedy to agent UB, Wojciech Paluch „Tor" w styczniu 1948 r. likwiduje dowódcę i jego zastępcę. W większej skali to oczywiście infiltracja kolejnych Zarządów Głównych Zrzeszenia WiN i słynna prowokacja z V Komendą.

W.B. – ***Bardzo podobną operację zastosowano również wobec podziemia ukraińskiego. Obszerną pracę poświęcił tej sprawie pracownik BEP IPN Igor Hałagida. Są tam zupełnie sensacyjne fragmenty, rodem wydawałoby się z Ludluma czy MacLeana, a do tego niebędące fikcją literacką, jak choćby desant agentów na balonach z okrętów podwodnych. Spróbujmy jednak zobrazować metodę prowokacji stosowanej przez UB na przykładzie przywołanej tu operacji kryptonim »Cezary«, czyli fikcyjnego V Zarządu Zrzeszenia WiN.***

Z.N. – Kluczowa osoba w tej prowokacji, a więc Stefan Sieńko „Wiktor", była oficerem Inspektoratu AK Rzeszów, Podobwód Rzeszów–Południe, czyli Błażowa. Tak się złożyło, że w kierownictwie IV Zarządu WiN znaleźli się byli oficerowie inspektoratu rzeszowskiego, z Łukaszem Cieplińskim na czele. Jednocześnie od 1946 r. Delegaturą Zagraniczną Zrzeszenia WiN kierował dawny dowódca Sieńki z AK, kpt. Józef Maciołek „Żuraw". Nieznana jest data werbunku Sieńki. Są różne opinie na ten temat, jedna z nich mówi, że został zwerbowany przy końcu 1946 r. Inni są zdania, że dopiero w grudniu 1947 r. lub nawet że w lutym 1948 r. po aresztowaniu Sieńko został po prostu złamany, zgodził się na współpracę i podjął się montowania V Komendy. Oczywiście jego rola w wydaniu ostatniego autentycznego IV Zarządu WiN w ręce UB była, jak myślę, ważna, ale nie najważniejsza. Brali w tym udział i inni agenci. Natomiast kluczowa była jego rola przy montowaniu tej fałszywki, tej prowokacyjnej V Komendy. Sieńko był autentycznym oficerem AK i WiN. Był w IV Zarządzie szefem organizacyjnym. W jego ręku skupiały się wszystkie nici, adresy, papiery legalizacyjne, cała sfera łączności między poszczególnymi ogniwami. Miał olbrzymią wiedzę, znał ludzi, znał kontakty. Za granicą Maciołek wierzył mu do końca, do likwidacji operacji „Cezary" w 1952 r. Dlatego bezpieka wybrała go do tej

roli. Całą sprawę, z tego co dzisiaj wiemy, prowadził Henryk Wendrowski, oficer kadrowy Departamentu III MBP, skądinąd też były oficer AK z terenu białostockiego.

A.C. – Z tego, co panowie mówią, także z innych doświadczeń, czy to Rosji w przededniu rewolucji, czy Rosji porewolucyjnej, bo w latach dwudziestych były tam stosowane podobne metody, wynika, że w jakimś szczególnym okresie niepokoju, wojny domowej itd. agentura odgrywa ogromną rolę. Działa ona wtedy jakby na pierwszej linii frontu i ma dwa podstawowe zadania, jedno polega na tym, że agenci naprowadzali na cel, a drugie – że przyspieszali ujawnianie pewnych rzeczy na zasadzie prowokacji. Tworzono fikcyjne organizacje po to, żeby różne nastroje społeczne się skanalizowały w formie konkretnego działania. Tutaj agentura jest nie do zastąpienia.

W.B. – ***Przed aparatem bezpieczeństwa w różnych okresach historii »Polski ludowej« stawiano różne cele, różne zadania; zmieniały się priorytety. Najpierw trzeba było rozbić podziemie zbrojne i PSL, potem przyszła kolej na Kościół. Przeciwników szukano też we własnych szeregach. Wreszcie pojawiła się opozycja demokratyczna i »Solidarność«. Jak ta ewolucja celów i priorytetów, a poniekąd po prostu meandry historii PRL, wpływały na liczbę i jakość agentury? Czy można to badać na przykład metodami statystycznymi?***

T.R. – Oczywiście, zakręty historii peerelu miały wpływ na liczebność tajnych współpracowników UB i SB. Pierwsza duża weryfikacja szeregów TW nastąpiła już w 1948 r. Było to swoiste podsumowanie pierwszego okresu „utrwalania władzy ludowej". Potem ich liczba znowu się zwiększała. Werbowano coraz to nowe osoby. Punkt kulminacyjny został osiągnięty pod koniec roku 1953, kiedy ta liczba sięgnęła 85 tys. W następnym roku zaczął się już proces odpływu, rezygnacji ze współpracy, niechęci do niej. Potęgowały się nastroje odwilżowe. Jednocześnie w aparacie bezpieczeństwa postępowały kolejne zmiany organizacyjne. Tendencja spadkowa została w pewnym stopniu powstrzymana pod koniec lat pięćdziesiątych. Lata sześćdziesiąte to jest okres, w którym liczba agentów oscylowała na stosunkowo niskim poziomie ok. 10 tys. osób. Jeśli pominąć konfrontację milenijną, także z punktu widzenia liczby tajnych współpracowników był to rzeczywiście okres „małej stabilizacji".

A.C. – W tych okresach niejako większej stabilności bardziej zwraca się uwagę na jakość, a nie ilość agentury?

G.M. – Rzeczywiście, przykładowo w połowie lat pięćdziesiątych konieczność rezygnacji z części agentury była uzasadniana tak: „mamy tych ludzi zbyt dużo, co przeszkadza, a czasem wręcz uniemożliwia nam prowadzenie efektywnej pracy z agenturą".

W.B. – ***Rezygnacja z części agentów okazywała się jednak często tylko czasowa.***

A.C. – Tak, na przykład gdy środowisko Kuronia i Modzelewskiego, zaczynało się organizować, to SB musiała szybko intensyfikować swoją obserwację i wtedy reaktywowano stare kontakty, sięgano po uśpionych agentów, próbując ich wciągać do współpracy, z różnym zresztą skutkiem. Jak dziś wiadomo, w tej wąskiej grupie działał tajny współpracownik Andrzej Mazur „Wacław", który przekazywał sporo istotnych informacji.

W.B. – ***Wróćmy jednak do szczególnej wizji historii peerelu widzianej przez pryzmat liczby TW.***

T.R. – W latach siedemdziesiątych obserwujemy znów jej systematyczny wzrost. Najpierw powolny, potem jest takie wahnięcie, co łączy się z reformą administracyjną i jednoczesną reformą struktury MSW w 1975 r. Od roku 1980 następuje szybki wzrost z przyczyn oczywistych. Ta dynamika trwa mniej więcej do 1984 r., potem zauważamy wyhamowanie. W 1984 r. liczba tajnych współpracowników SB sięgnęła 70 tys., co było skalą porównywalną z okresem stalinowskim. Niestety, dokładne dane statystyczne z końca lat osiemdziesiątych zostały – o ile wiem – zniszczone. Na podstawie tego, co się zachowało wiadomo, że w 1988 r. liczba TW osiągnęła 98 tys. Świadczą o tym źródła statystyczne, które pozwalają prześledzić pewne procesy w dłuższym okresie. Można dać pewien komentarz zaczerpnięty ze źródła MSW, a mianowicie cytat z generała Władysława Ciastonia na temat danych statystycznych. Otóż on na jednej z narad w 1983 r. powiedział, że „liczne zestawienia statystyczne potwierdzające efekty naszej pracy nie mogą pokazać wszystkiego, co się za nimi kryje, zwłaszcza ogromnego wysiłku fizycznego i psychicznego naszych ludzi".

G.M. – Te prawie 100 tys. to jest agentura podstawowych pionów SB [czyli kontrwywiadu i pionów zajmujących się obywatelami PRL uznanymi za zagrożenie dla ustroju]. Ale dane te nie uwzględniają na przykład wywiadu, który – warto to dodać – również brał udział w zwalczaniu opozycji demokratycznej, głównie środowisk i osób działających poza granicami naszego kraju, choćby paryskiej „Kultury".

Z.N. – To jest liczba podstawowa, czyli tzw. departamenty operacyjne, a więc bez jednostek operacyjnych pomocniczych, które także dysponowały sporą agenturą. Na przykład, aby mogło funkcjonować Biuro W zajmujące się perlustracją korespondencji, musiało dysponować agenturą na poczcie. Także etatowi pracownicy SB przesiadywali w sposób stały na pocztach, ale ktoś musiał im fizycznie te listy dostarczyć. Inny przykład to Biuro B, czyli obserwacji zewnętrznej. Dla nich był ważny: portier w hotelu, kelnerka, cieć na parkingu, taksówkarz, dozorca. Następnie Biuro T, czyli techniki operacyjnej. Żeby gdzieś wejść, na przykład do mieszkania, i założyć podsłuch, znów potrzebna była pomoc na przykład montera telefonów czy pracownika spółdzielni mieszkaniowej. Tego rodzaju agentura odgrywała rolę nie informacyjną, ale usługową wobec pomocniczych pionów operacyjnych.

G.M. – Do tej statystyki trzeba jeszcze doliczyć kontakty obywatelskie, kontakty służbowe, konsultantów. Nie należy też zapominać o odrębnej agenturze służb wojskowych, o której wciąż wiemy bardzo niewiele.

T.R. – Na podstawie informacji z MSW i jego analiz wiemy, że już od lat sześćdziesiątych w dużej mierze przerzucono się na formę współpracy z tzw. kontaktami operacyjnymi. Ich liczba bardzo wzrosła, a oni nie są wykazywani w tej statystyce.

W.B. – ***Czy tzw. kontakty operacyjne to też agenci, tyle że po prostu partyjni?***

T.R. – W pierwszych latach wprowadzania nowego ustroju w dużej liczbie była werbowana agentura spośród członków partii. Dopiero potem wydano zakaz werbunku. Z jednej strony założono, że zachodzi pewien konflikt. Partyjni nie powinni zbierać informacji o innych partyjnych, zwłaszcza tych wysoko postawionych. A taka sytuacja miała miejsce, choćby w latach kiedy działał słynny Departament X MBP. Wedle tego rozumowania aparat bezpieczeństwa nie może stawać ponad partią. Ma jej służyć. Z drugiej strony zakładano, że z samej natury członkostwa w partii wynika obowiązek informowania o zauważonych „wrogich" działaniach i wspierania organów bezpieczeństwa na wszelkie możliwe sposoby.

G.M. – Dodajmy jeszcze, że ten zakaz stale i bardzo sprytnie obchodzono. W związku z tym odsetek członków partii wśród „klasycznych" tajnych współpracowników wcale nie był taki mały. W pierwszej dekadzie Polski Ludowej byli oni najczęściej werbowani na podstawie tzw. materiałów kompromitujących.

A.C. – Rzeczywiście warto zderzyć się z mitem głoszącym, że to jedynie dawna opozycja boi się lustracji. Z moich skromnych badań dotyczących środowiska naukowego wynika, że *gros* informacji przekazywali członkowie partii, którzy byli nazywani raz TW, a innym razem KO. Pomijając nawet to, że członek partii mógł zostać zwerbowany jako TW za zgodą I sekretarza KW PZPR czy kierownika wydziału w KC, ale przecież te odrębne kategorie, takie jak KO czy konsultant, zostały właściwie stworzone po to, żeby oni mogli to robić także bez zgody.

G.M. – W przypadku konsultanta była jednak pewna różnica. To nie był taki typowy donosiciel, tylko często rzeczywiście fachowiec w danej dziedzinie, na przykład socjolog pomagający bezpiece znaleźć autorów ulotek.

A.C. – Praktycznie te kategorie niczym się nie różniły poza nazewnictwem. W latach sześćdziesiątych, czyli latach względnej stabilizacji, bardzo wzrosła rola takich informacji, nie plotkarskich, tylko tych o nastrojach, o funkcjonowaniu instytucji, całych środowisk, a także nawet o metodologii prowadzenia badań naukowych, przekazywanych przez aparat partyjny. Partia była moim zdaniem trochę niedocenianym źródłem wiedzy o tym, co dzieje się w społeczeństwie. Kanały partyjne okazywały się bardzo mobilne, a pamiętajmy, że to się działo w momencie przełomu, kiedy dochodziło do głosu nowe pokolenie, które zostało wychowane już w peerelu. W aparacie partyjnym i wśród tzw. aktywu silną pozycję miała formacja

przedwojenna, postkapepowska, którą cechowało niesłychane poczucie lojalności. To państwo i ta władza były traktowane jako swoje. I przychodziło się do tej władzy z różnymi spostrzeżeniami, z poczucia obowiązku, nie traktując tego jako donosu. Widziałem sporo pism skierowanych do Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR: kiedy profesor X przebywał za granicą i widział, że jakiś jego kolega zachowuje się politycznie czy obyczajowo niewłaściwie, pisał do szefa wydziału Andrzeja Werblana list informujący o takim przypadku.

Z.N. – Skoro jesteśmy przy partii, to nie zapominajmy o jeszcze jednej kategorii współpracy. Chodzi o właścicieli lokali kontaktowych. Czasami mówię nawet o aspektach kryminalnych tego zjawiska, ponieważ można było na tym nieźle zarobić, więc funkcjonariusze werbowali takie osoby spośród członków swych rodzin czy też rodzin różnych innych funkcjonariuszy, w tym partyjnych. W nomenklaturze esbeckiej właściciele lokali kontaktowych byli traktowani na równi z agentami, bo to musiały być osoby zaufane, to była wyższa kategoria. Przecież tam się odbywały spotkania z wieloma źródłami.

W.B. – ***W jakim stopniu dane środowisko musiało być nasycone agenturą, aby dzięki tajnym współpracownikom aparat miał poczucie pełnej nad nim kontroli? Myślę, że warto o tym wspomnieć w kontekście »operacyjnego zabezpieczenia« NSZZ »Solidarność«. Dziś walczą ze sobą dwa mity. Jeden o całkowitej niemal odporności wyidealizowanej »panny S.« na działania bezpieki i agentury i drugi, w myśl którego związek powstał z jej walnym udziałem i był doskonale zinfiltrowany na różnych poziomach, co także oznaczało zewnętrzne sterowanie.***

Z.N. – „Solidarność" była, owszem, infiltrowana, ale na pewno nie była sterowana.

G.M. – Ta pierwsza „Solidarność" to chyba była największa porażka SB. Gdyby bezpieka była skuteczna, to nie trzeba by było wprowadzać stanu wojennego. Z jednej strony był on bowiem wielkim zwycięstwem władz i SB, ale z drugiej – z punktu widzenia resortu spraw wewnętrznych – porażką. Porażką pomysłu na przejęcie kontroli nad „Solidarnością", próby wkomponowania jej w istniejący system. W dokumentach SB wyraźnie to widać. Funkcjonariusze bezpieki piszą bowiem, że jeżeli chodzi o zabezpieczenie dopływu informacji o poczynaniach związku, to z tym nie było problemu, ale jednocześnie SB (m.in. z powodu braku odpowiedniej liczby agentury oraz jej jakości) nie udało się wpłynąć na działalność związku. W styczniu 1981 r. bezpieka dysponowała niespełna jednym agentem na dziesięć komisji zakładowych! Oczywiście, silniej zinfiltrowana była góra „Solidarności". W Krajowej Komisji Porozumiewawczej, liczącej formalnie kilkudziesięciu członków, oraz w ich najbliższym otoczeniu było bowiem w zależności od okresu od jedenastu do siedemnastu agentów. Ta informacja musi robić wrażenie. Co ciekawe, w utworzonej po I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność" (wrzesień–październik 1981 r.)

Komisji Krajowej liczącej ponad stu członków, SB według własnych statystyk miała dysponować jedynie czterema tajnymi współpracownikami. Wracając do stanu wojennego, pamiętajmy, że rodził on z punktu widzenia SB dodatkowe problemy, bo w działalność opozycyjną angażowali się zupełnie nowi ludzie. Znacznie lepiej z punktu widzenia bezpieki byłoby konsekwentnie kontrolować znane już środowiska, a nie rozpoczynać działania niemalże od zera.

W.B. — ***Znowu powraca pytanie o jakość tej agentury. Być może część kontaktów w Krajowej Komisji Porozumiewawczej to osoby zarejestrowane, ale w tym momencie nieczynne? Czy zachowane materiały archiwalne pozwalają nam to rozstrzygnąć?***

G.M. — Rzeczywiście, nie możemy zamknąć się w cyfrach. One są ważne, bo mówią w pewnym sensie o stopniu infiltracji. Ale jeśli się spojrzy nieco dokładniej na te zestawienia dotyczące chociażby agentury w Komisji Krajowej, to tutaj nie został wykazany, według tego, co twierdzą sami funkcjonariusze SB, ich najważniejszy agent, czyli Eligiusz Naszkowski „Grażyna" (przewodniczący Zarządu Regionu Piła NSZZ „Solidarność"). Służba Bezpieczeństwa wiązała z nim ogromne nadzieje, potem został funkcjonariuszem elitarnej jednostki MSW do zwalczania „Solidarności". To był typowy agent informacyjny, którego największym sukcesem jest nagranie radomskich obrad prezydium Komisji Krajowej i przewodniczących zarządów regionów „Solidarności" na początku grudnia 1981 r. (zostało ono wykorzystane przez propagandę jako „uzasadnienie" stanu wojennego), za co otrzymał 50 tys. złotych. Co ciekawe, drugi agent, który nagrał to posiedzenie, nie dostał ani złotówki. Z kolei wśród osobowych źródeł informacji w Krajowej Komisji Porozumiewawczej wykazywany jest m.in. tajny współpracownik „Zenon" zwerbowany jeszcze przed powstaniem „Solidarności", w czerwcu 1980 r., przez kontrwywiad w jednej z komend wojewódzkich. Człowiek, który miał rozpracowywać Niemców przyjeżdżających do niego na kwaterę, a który nigdy przeciw „Solidarności" nie działał.

A.C. — Bardzo bałbym się takich uogólnień. Czy my trochę nie jesteśmy wpędzani w maliny przez te źródła? Posłużę się konkretnym przykładem, który jakoś mogę zweryfikować jako świadek historii. Trochę maczałem palce w jednym podziemnym wydawnictwie i widzę dzisiaj, że nasi młodzi koledzy, dowodzeni przez Andrzeja Friszke, napotykają problemy w badaniach nad tym zjawiskiem. Nic nie znajdują. Wynika bowiem z teczek różnych figurantów, że SB nie miała żadnej wiedzy o działalności w strukturach poszczególnych wydawnictw, co jest zupełnie nieprawdopodobne.

W.B. — ***Czy możemy się pokusić o jakąś hipotezę wyjaśniającą ten stan rzeczy?***

A.C. — Bardzo ważne jest, żeby znajdować w źródłach nie tylko to, co w nich jest, ale także czego tam nie ma i dlaczego nie ma. Na czym mógłby polegać scena-

riusz, pisany kiedyś przez SB i teraz odżywający zza grobu? Przede wszystkim na ukryciu źródeł informacji i na namaszczeniu dawnych tajnych współpracowników, tak aby przeszli do historii jako ludzie bez skazy. Czytam dzisiaj protokoły przesłuchań osób, które skądinąd były kiedyś przez nas podejrzewane o niezbyt czyste kontakty, i widzę zadziwiające zjawisko: oficer SB zadaje wyłącznie „naiwne" pytania w rodzaju: „czy kolportował pan nielegalne wydawnictwa?", na co przesłuchiwany niezmiennie „odmawia odpowiedzi". Jeśli zważam, że ów oficer nie próbuje „przycisnąć figuranta", nie wykazuje dociekliwości, nie wykorzystuje posiadanej wiedzy operacyjnej etc., to mam prawo być podejrzliwy.

Niewiele wciąż wiemy o funkcjonowaniu resortu, o jego relacjach z innymi instytucjami władzy, o zasadach i intencjach swego rodzaju gry, jaką prowadził przeciw środowiskom opozycyjnym. Bardzo byłbym ostrożny z idealizowaniem tych środowisk, z wypowiadaniem opinii, że „Solidarność" nie dała się spenetrować, że wydawnictwa drugoobiegowe były szczelne, a SB nikogo w nich nie miała. Kulisy tych spraw dopiero zaczynają wychodzić na światło dzienne.

G.M. – Ale to, co ja mówiłem, dotyczyło masowej tzw. pierwszej „Solidarności" z lat 1980–1981. Rzeczą oczywistą i zupełnie normalną jest, że w latach 1982–1989 wraz z topniejącym gronem działaczy podziemia, kiedy jest ich już tylko kilkadziesiąt, a potem kilkanaście tysięcy, nasycenie agenturą z każdym rokiem wzrasta. Widać to na przykładzie warszawskiego Radia „Solidarność", w którym w pewnym momencie bezpieka kontroluje operacyjnie bodajże trzy z czterech nadajników. Co więcej, w 1987 r. tajny współpracownik SB w radiu prowadził „kontrolowane emisje audycji".

Z.N. – To prawda stara jak świat, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Także poszczególne RKW „S" były infiltrowane przez agentów, którzy wchodzili w skład ścisłych gremiów kierowniczych i o dziwo, włos z głowy nikomu nie spadał. Służba wiedziała – co prawda – nie o wszystkim, ale o wielu poczynaniach i działalności wąskiej grupy kierowniczej podziemnej „S" dzięki agenturze i nie podejmowała żadnych działań represyjnych – zatrzymań, aresztowań.

W.B. – ***Paradoksalnie zatem z punktu widzenia bezpieki opozycja, czy w tym przypadku podziemna »S« była potrzebna, a nawet konieczna. Tyle że kontrolowana.***

Z.N. – Co dziwne, kontrola pewnych struktur kierowniczych „Solidarności" nie prowadziła do żadnych aktywności inspiracyjnych. Choćby na wzór tych z lat czterdziestych, o których tutaj mówiliśmy. Wystarczała sama kontrola, wiedza. Na tym się kończyło. A możliwości były, jeśli na przykład w piątce kierowniczej był agent, który informował SB o wszystkim. Agent, którego wynagrodzenia w latach 1982–1984 były tak poważne, że mógł sobie za nie kupić samochód marki Polonez (zezwolenie podpisywał sam wiceminister spraw wewnętrznych). Oczywiście istniała możliwość działalności inspiracyjnej, a nie ma jej śladów.

A.C. – Chciałem zwrócić uwagę na pewien aspekt tej sprawy. W 1983 r. powstało opracowanie Departamentu III dla władz resortu i dla WRON na temat sytuacji na Uniwersytecie Warszawskim. To jest dokument bardzo skondensowany, nie ma w nim wiedzy operacyjnej, w sensie intelektualnym bardzo powierzchowny, mniej więcej to samo, co można było też przeczytać w ówczesnej „Trybunie Ludu". Natomiast wnioski końcowe ewidentnie szły w kierunku przykręcenia śruby, jak to się wtedy mówiło. Są propozycje czystek personalnych, zmiany dziekanów itd. I okazuje się, że resort w tym momencie nie ma siły przebicia, „polityczna góra" nie decyduje się pójść w tę stronę.

Gdy chodzi o politykę SB wobec ruchu podziemnego, to w latach 1983–1984 zdarzały się oczywiście wpadki, zatrzymania, rewizje itp., ale jednocześnie osoby przesłuchiwane były przez esbeków jakoś kokietowane, w sposób zresztą dość tandetny, uwagami w rodzaju: „My musimy pewne rzeczy robić, ale w głębi ducha jesteśmy za »Solidarnością«". Potem przychodzi rok 1984, zakończony niewyjaśnionym nadal zabójstwem ks. Popiełuszki. Gdzieś na górze zapada w tej kwestii decyzja polityczna, a jej konsekwencją staje się fala uderzeń w opozycję wiosną 1985 r. Zaczyna się czystka pod hasłem: „Myśmy do tej pory na różne rzeczy pozwalali, ale teraz już dość". Nawet jeśli nie dochodzi do aresztowań, to SB ujawnia swoją wiedzę operacyjną. Ludzie, którzy kolportowali, coś robili przez wiele lat, są teraz pytani: „czy pan zna taki adres, ten numer telefonu, czy pan jeździł tym samochodem?". Nie po to, żeby ich wsadzać do więzienia, ale żeby przekazać, że to już koniec. Gdzie taka decyzja zapadła i z jakich wynikała kalkulacji, tego wciąż nie wiemy.

Z.N. – Odzwierciedlenie tego jest w dokumentach. Właśnie w latach 1983–1984 ludzie wzywani są rzeczywiście na przesłuchania, każe im się podpisywać tzw. lojalki, że nie będą działać przeciw władzy ludowej i ustrojowi socjalistycznemu. Po czym w bardzo krótkim czasie pojawiają się notatki, że pomimo takiego oświadczenia ta osoba wraca do działalności i nic się właściwie nie dzieje.

W.B. – ***Jaka jest wiarygodność ubeckich akt? Jest kilka takich obiegowych opinii, np. że SB fabrykowała fikcyjnych TW, a właściwie ich raporty, dla sobie znanych celów.***

Z.N. – To jest oczywiście nieprawdą.

G.M. – Wymienia się dwa podstawowe cele, dla których funkcjonariusze mieli werbować fikcyjnych agentów. Po pierwsze pochwały przełożonych związane z liczbą zwerbowanych tajnych współpracowników, po drugie pieniądze, które miały być wydatkowane na spotkania z agentami i na „prezenty" dla nich. Tu trzeba powiedzieć dwie rzeczy. Przede wszystkim funkcjonariusz nie był rozliczany z tego, że miał np. dziesięciu agentów, ale ze skuteczności działań w ramach konkretnego rozpracowania. Poza tym, z tego, co widziałem, wynika, że w większości przypadków nie ma mowy o żadnym wynagradzaniu agentury. Zatem nie za bardzo widać tu możliwość, żeby w ten sposób jakieś pieniądze, „lewą kasę" zachować dla siebie.

Z.N. – Opinia, że teczki tajnych współpracowników były fałszowane, jest z gruntu nieprawdziwa. Mogły się zdarzyć incydentalne przypadki. Ale proszę pamiętać o ryzyku, jakie ponosił funkcjonariusz dokonujący takiej fałszywki. Przecież zarówno dzisiaj, jak i wówczas wylatywał z wilczym biletem z pracy, bo po prostu oszukiwał swoich przełożonych i władze. Wylatywał dyscyplinarnie. Proszę pamiętać o tym, ile osób tak naprawdę wiedziało o tym tajnym współpracowniku. To jest grupa dwudziestu czy nawet trzydziestu osób. Oficer prowadzący zawsze mówił swojemu agentowi, że tylko on wie o współpracy, że w razie czego to oczywiście zniszczy wszystkie jej dowody i nic nie zostanie. Tymczasem w większości przypadków o tym źródle wiedzieli koledzy tego oficera prowadzącego, którzy razem z nim siedzieli w pokoju. Wiedział kierownik sekcji, zastępca naczelnika. Wiedział naczelnik, ponieważ zatwierdzał dokonanie danego werbunku. Wiedział zastępca szefa czy komendanta danego Urzędu Spraw Wewnętrznych ds. SB, a czasami było ich kilku. Wiedział pion C (czyli archiwum). Wiedziała jeszcze sekretarka w wydziale operacyjnym, która rozsyłała korespondencję, wiedziały panie z kartoteki. Wiedziały odpowiednie władze w Warszawie, bo przecież wszystkie rejestracje, zmiany itd. danego źródła były przesyłane do Biura C do Warszawy, a to się jeszcze w kilku wydziałach skupiało. Wiedzieli oczywiście przełożeni w pionie operacyjnym w centrali, czyli znów w konkretnym departamencie, wydziale i w odpowiedniej sekcji. To tyle, jeśli chodzi o wiedzę o jednym źródle.

T.R. – Chciałem zwrócić uwagę na etapowość powstawania tej dokumentacji dotyczącej TW. Po każdym etapie werbunku funkcjonariusz musiał pisać raport o zgodę na kolejny etap do swojego przełożonego. Druga rzecz to funkcje archiwalne tej dokumentacji. W momencie kiedy współpraca była zawieszana, przesyłano dokumentację do archiwum z myślą, że być może kiedyś się do tego wróci. I z tego względu te opisy, charakterystyki, będące oczywiście wynikiem subiektywnej oceny pracownika, musiały w stopniu możliwie najbardziej wiarygodnym odpowiadać rzeczywistości, bo na tej podstawie zastanawiano się, czy ta osoba może być ponownie przydatna do jakiejś akcji organizowanej przez SB.

Z.N. – Dla mnie rejestracja, oprócz incydentalnych przypadków, jest wiarygodna. Co innego z tymi materiałami, które tam się znajdują. Można było na potrzeby przełożonych sfałszować podpis pod zobowiązaniem, nie wykluczam takich sytuacji. Ani też konfabulacji zawartych w danym doniesieniu. Bo czasami przychodził informator, który nie miał nic do powiedzenia, a przełożony oczekiwał konkretnej informacji. Wtedy trzeba było dokonać pewnej manipulacji na podstawie nijakiej wiadomości spisanej z ust danego źródła. Bo na przykład trzeba rozliczyć rachunek z funduszu operacyjnego ze spotkania ze źródłem w restauracji. To są normalne ludzkie słabości.

G.M. – Kolejna rzecz – sprawa pana Wiesława Chrzanowskiego, przypomniana ostatnio publicznie przez gen. Gromosława Czempińskiego. Tutaj mamy do

czynienia – tak przynajmniej wynika z zachowanej dokumentacji – ze zbyt pochopną rejestracją Chrzanowskiego w latach siedemdziesiątych jako tajnego współpracownika. Przeprowadzono z nim cztery rozmowy, w języku SB tzw. operacyjno-sondażowe. Chrzanowski nie odmawiał rozmów, ale mówił kategorycznie, że nie chce być agentem, że nie będzie donosił na kolegów. I mimo tego oficer SB stwierdził, że właściwie można go zarejestrować jako tajnego współpracownika. Notabene stosunkowo szybko Chrzanowskiego wykreślono z ewidencji tajnych współpracowników. Można chyba zaryzykować stwierdzenie, że mamy tu do czynienia z „werbunkiem" w celu wyłączenia „figuranta" z ewentualnego zaangażowania w działalność opozycyjną. Przypadek Chrzanowskiego świadczy o tym, że nie należy wydawać zbyt pochopnych wniosków bez zbadania akt.

W.B. – ***Dochodziło też do takich sytuacji, jak oczernianie ludzi, zarzucanie im związków z SB.***

G.M. – Tak było na przykład z przewodniczącym związku w Centrali Pomorskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Gdańsku, Mieczysławem Ziętalą. W celu skompromitowania go w oczach kolegów z pracy został on wcześniej zwolniony z internowania, po czym funkcjonariusze SB przeprowadzili z nim kilka rozmów w pracy. I chociaż z Ziętalą „nie nawiązano dialogu operacyjnego", to jednak SB udało się wywołać w środowisku kolejarskim podejrzenia co do jego osoby. W efekcie udał się na dwuletni urlop bezpłatny, a „Solidarność" w centrali Pomorskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych utraciła w opinii SB „faktycznego przywódcę". Jeśli w SB wytwarzano fałszywe dokumenty dotyczące współpracy danej osoby z bezpieką, to były one przeznaczone nie do dokumentacji wewnętrznej, ale na zewnątrz. Tak było z dokumentami dotyczącymi rzekomej współpracy Lecha Wałęsy z SB w latach osiemdziesiątych. W 1982 r., żeby przewodniczący „Solidarności" nie otrzymał pokojowej Nagrody Nobla, wytworzono fałszywki wyekspediowane do członków jury przyznających tę nagrodę. Ślady tej operacji znajdziemy w aktach SB.

W.B. – ***Inna obiegowa opinia mówi, że większość tajnych współpracowników w rzeczywistości nie wyrządziła swoją działalnością żadnej szkody. Coś tam podpisała, ale nie współpracowała. Albo że spotykała się tylko kilkakrotnie w kawiarni, ale udzielała ogólnie dostępnych, nieistotnych informacji, dla świętego spokoju.***

G.M. – Służba Bezpieczeństwa była silna słabością ludzi. Wielokrotnie byłem zdziwiony tym, jak wielu osób mimo nieraz trudnej sytuacji życiowej nie udało się bezpiece zwerbować. Tu metod też było oczywiście bardzo wiele. Pamiętam przypadek kobiety z Gdańska, którą aresztowano chyba za udział w strajku, i przedstawiono jej alternatywę: albo podpisuje pani zgodę na współpracę z nami, albo idzie pani siedzieć do więzienia. Podpisała zgodę na współpracę, ustalono datę pierwszego spotkania z funkcjonariuszem w kawiarni, na które ona zaprosiła także swoich kolegów z zakładu pracy. I to był koniec jej kłopotów z SB.

Z.N. – Rzeczywiście słyszymy opinie o tym, że są agenci źli, mniej źli i nieszkodliwi itd. Wyznaję zasadę, że ci, którzy podpisali zobowiązanie i nie podjęli współpracy, nie byli agentami. Przykład podaliśmy przed chwilą, a takich przykładów byłoby sporo. Znam przypadki, że na drugi dzień ktoś dzwonił do oficera i mówił, że przemyślał to przez noc i nie będzie współpracował. Jednak pośród pozostałych właściwie nikt nie jest bez winy. Każdy był jakimś trybikiem w tej maszynie, każdy miał inne zadania do wypełnienia. Po pokwitowaniach, po dokumentacji wytworzonej przez taką osobę albo jej oficera prowadzącego można się zorientować, że taki „agent udzielający nieważnych informacji" odgrywał naprawdę bardzo istotną rolę dla resortu. Pierwsze wrażenie jest takie, że on za bardzo nikomu nie zaszkodził. Ale proszę zwrócić uwagę na te informacje. To są często jakieś drobne, kilkuzdaniowe charakterystyki na przykład kolegów z akademika czy kolegów z pracy. Tylko że te informacje służą następnie do sporządzenia opinii funkcjonariuszom SB w celu albo analizy pod kątem werbunku tej właśnie osoby albo kontroli innego źródła, o czym zainteresowani oczywiście nie wiedzą.

A.C. – Obawiam się, że nie da się na dłuższą metę udowodnić tezy, którą postawił pan Krzysztof Kozłowski, że agenci byli ostatnim, umęczonym ogniwem tamtego systemu, wręcz jego męczennikami. W tej debacie są jeszcze inne istotne kwestie, na przykład zarzuty, które już trochę się nam stawia. Po pierwsze, że historycy bezkrytycznie wierzą teczkom SB i po drugie, że te teczki stanowią w dużej mierze taką bezwartościową makulaturę, wreszcie, że są tam drażliwe materiały obyczajowe, które mogą być bardzo przykre dla rodzin. Do tej pory jednak nie można nam zarzucić, że zachowujemy się jak słonie w składzie porcelany. Ostrożność badaczy jest duża. Wszyscy mają świadomość, że to jest rzeczywiście bardzo delikatna materia. My doskonale wiemy, że te dokumenty trzeba weryfikować, poddawać procedurze krytyki źródeł. Jeśli nawet te materiały policyjne mają swoją własną specyfikę, to aż tak bardzo nie odbiega ona od innych źródeł, z którymi mamy do czynienia, żebyśmy zapominali o elementarnych zasadach naszego zawodu.

W.B. – ***A jeśli chodzi o kolejną tezę, że to jest taki materiał bezwartościowy?***

A.C. – Jest ona po prostu bezsensowna. Ja uważam, że te materiały mogą prowadzić do poszerzenia pola obserwacji historycznej. Jest to widoczne w kilku płaszczyznach. Z pewnego punktu widzenia nie jest istotne, w jakim stopniu informacje, które były zbierane i przerabiane przez resort, opisywały potwierdzone fakty. Chociaż można tutaj znaleźć na przykład naprawdę ciekawe analizy nastrojów społeczeństwa w różnych okresach. Najistotniejsze jest to, że te informacje – prawdziwe i nieprawdziwe – były podstawą podejmowania decyzji politycznych przez elity peerelu. Na tej podstawie można rekonstruować procesy decyzyjne, mentalność tych elit, ich wyobrażenia na temat społeczeństwa. To jest bardzo istotne. Po drugie, materiały policyjne swoją drobiazgowością, wchodzeniem w intymne sfery

życia, choć to bardzo delikatne i wymaga dużej ostrożności, stwarzają możliwość innego spojrzenia, niż przyjęło się w klasycznej historiografii politycznej. Panuje dzisiaj moda na odtwarzanie przeszłości przez prymat losów jednostki, pokazywanie ofiary, zagubionej w odmętach historii. A przecież indywidualny, intymny materiał wytworzony przez policję daje właśnie pewną szansę spojrzenia na historię oczyma zwykłych ludzi.

Uderzyło mnie, że w książce *Oblicza Marca 1968* profesor Jerzy Eisler oburza się na SB za marnowanie czasu i energii na zbieranie informacji w rodzaju: jakie filmy oglądał „figurant" i na jakich seansach. Gdyby mediewiści mieli takie dane o zainteresowaniach i trybie dnia średniowiecznych elit, umarliby zapewne ze szczęścia. Natomiast historyk współczesności traktuje tego rodzaju informacje jako dopust Boży, a stanowią one przecież ogromną szansę dla rekonstrukcji, przykładowo, codzienności tamtych czasów.

W.B. — ***Życia codziennego, ale chyba jednak nie tak całkiem przeciętnej grupy osób. Tajnych współpracowników pozyskiwano wszak w środowiskach interesujących operacyjnie. A zatem interesujących — jakkolwiek dwuznacznie by to brzmiało — i dzisiaj, dla nas historyków.***

A.C. — Ci TW to nie byli tylko taksówkarze, dozorcy, kucharze, to często były osoby, które znaczyły bardzo wiele w pewnych środowiskach i które nie zajmowały się tylko dostarczaniem plotek towarzyskich. Sam czytałem analizy sytuacji środowiskowej w pewnej istotnej wtedy instytucji naukowej, pisane przez wybitnych uczonych, którzy stali się TW. I to jest szansa dowiedzenia się czegoś o tych środowiskach.

W.B. — ***Jeszcze jeden zarzut dość często jest podnoszony, że ci najważniejsi agenci nigdy nie zostali zarejestrowani, ich raporty nie zostały spisane, i że oni rozpłynęli się w jakimś niebycie. A to na nich spoczywa największa moralna odpowiedzialność. Czy panowie mogą to skomentować, czy są jakieś ślady, że coś takiego rzeczywiście mogło mieć miejsce?***

G.M. — Rzeczywiście jakieś takie pojedyncze przypadki mogą być, ale zdajmy sobie sprawę, że w przypadku każdego agenta była nie tylko teczka personalna i teczka pracy, ale oprócz tego na przykład charakterystyka tego człowieka, zrobiona po iluś tam latach, gdzie znalazła się jakaś informacja o samej współpracy. Jest duże prawdopodobieństwo, że zachowały się jego doniesienia w innych miejscach. Bo jego doniesienia szły nie tylko do teczki tajnego współpracownika, ale też do akt dotyczących rozpracowania danego obiektu (mógł być nim na przykład uniwersytet, zakład pracy czy środowisko). Szły wreszcie do teczek osób, których te doniesienia dotyczyły. Wiele jest takich przypadków, że sami poszkodowani są w stanie rozpoznać danego agenta, mimo że jego dokumentacja nie zachowała się w IPN.

Z.N. — Nie sądzę, żeby były przypadki niezarejestrowania osoby, która pozostawała w zainteresowaniu SB. W takim razie mielibyśmy do czynienia po prostu z samowolą czy raczej prywatą. Oficer SB, niezależnie od jego pozycji w służbach,

nie mógł dokonać werbunku, o którym nikt nic nie wiedział. Przecież te informacje ustne, pisemne jakoś muszą wpływać i być przetwarzane w ramach systemu. Gdzieś to musi się znaleźć, chyba że to jest prywatny agent danego funkcjonariusza i on sobie pracuje na jego rzecz. Nie sądzę, żebyśmy mieli do czynienia z takimi przypadkami. Niektóre osoby natomiast rejestrowano inaczej. Szczególnie cenne źródła nie były rejestrowane pod kategorią, pod sygnaturą jako źródło czy jako TW, ale jako figuranci, czyli osoby rozpracowywane. W niektórych kombinacjach operacyjnych czy sprawach operacyjnego rozpracowania (SOR) bądź sprawdzenia (SOS) ukrywano fakt współpracy w taki oto prosty sposób, że taka osoba była wzywana na przesłuchania. W czasie przesłuchań składała informację, która stanowiła jeden z elementów przesłuchania. To jest klasyczna kombinacja przewidziana instrukcjami, kuchnia pracy operacyjnej. Dlatego tak się to odbywało, czyli ukrywanie, konspirowanie, żeby zataić fakt współpracy przed szerszą grupą wewnątrz resortu, o której mówiłem, bo przecież ona zwykle znała faktycznie dane personalne danego źródła. W takich przypadkach o tym, że ta osoba jest źródłem, a nie figurantem, wiedział tylko oficer prowadzący i jakiś jego wyższy przełożony.

A.C. – Jest taki potoczny pogląd, że dowody działalności poszczególnych TW, którzy szczególnie kompromitowaliby dzisiejszy establishment, zostały skutecznie wymazane. W przypadku tak gigantycznej struktury jest to raczej wątpliwe. Natomiast pewnie istnieje taka kategoria, która może tylko w części leży w zasięgu naszej rozmowy, mianowicie agentura KGB. Wśród polskich obywateli ona istniała, ale prawie nic o niej nie wiemy.

Z.N. – Szczególnie po roku 1980.

W.B. – ***Jakie informacje przekazywano do Moskwy? Czy to były po prostu kopie najważniejszych materiałów, czy też jakieś inne, na przykład skrócone zapisy?***

G.M. – Od 1978 r. dane dotyczące agentury nie tylko polskiej, ale też i z innych państw socjalistycznych Moskwa otrzymywała dzięki wspólnemu systemowi informatycznemu ZSKO (Zintegrowany System Kartotek Operacyjnych). System ten zawierał podstawowe informacje o zapisach (rejestracjach) archiwalnych dotyczących danej osoby. Przekazywano informacje zarówno o agenturze, jak i o osobach rozpracowywanych. Wszystkie zapisy, które były w systemie informatycznym SB, szły do towarzyszy sowieckich. Nigdy nie miałem dostępu do tej bazy elektronicznej, ale wiem, że tam znalazły się jedynie podstawowe dane. Jednak znając ówczesne realia, śmiało można stwierdzić, że na życzenie Moskwy udzielano również bardziej szczegółowych informacji.

Z.N. – Informacje te były przekazywane przez nasz aparat bezpieczeństwa, nie przez ich sieć.

G.M. – O agenturze KGB niewiele wiemy, ale jest inne pole badawcze, agentura STASI. Wiadomo, że w okresie „Solidarności" działała w Polsce specjalna grupa

operacyjna „Warszawa", która wielu oficjeli partyjnych zarejestrowała jako swoich tajnych współpracowników, oczywiście w tej niemieckiej, nieco innej nomenklaturze. Myślę, że ta kategoria też się doczeka zbadania.

W.B. — ***Zbliżamy się do charakterystyki przeciętnego tajnego współpracownika.***

Z.N. — Mówimy tu często o tym, że jeden się złamał, drugiego złamali, to on taki biedny. Ja też uważam, że im trzeba przebaczyć. Może im trzeba współczuć, ale proszę popatrzeć na podstawy werbunku. Stosowano albo zwane z sowiecka „komprmateriały", czyli szantaż, albo korzyści materialne. To mogło iść w parze albo występować osobno. Dominowały zatem osoby złamane na podstawie szantażu albo zwykli cwaniacy lub cynicy, którym obiecano dużo pieniędzy bądź inne korzyści. Ciekawe, że wobec osób, które zgłaszały się dobrowolnie, na ochotnika, zalecana była wielka ostrożność. Właściwie wykluczano wyrażenie zgody na takie werbunki. Ale też nie mylmy pojęć. Jedno to zasada „dobrowolności" werbunku, jak ktoś sam się zgłosił. Drugie to inna „dobrowolność". Jest propozycja i ktoś mówi: dobrze, tak, będę współpracował, tylko wcześniej oni mówią, co o nim wiedzą.

G.M. — W latach czterdziestych czy na początku lat pięćdziesiątych ludzie byli często zmuszani, nieraz bardzo brutalnie, do współpracy. Jednak im później, tym więcej takich przypadków, że ta współpraca bywała dobrowolna. Z bezpieką współpracowano bowiem na przykład po to, żeby otrzymać paszport, awansować, żeby zaszkodzić koledze. Z kolei mam problem, kiedy czytam, jak funkcjonariusz pisze, że zwerbował danego człowieka „na zasadzie dobrowolności", a za chwilę czytam, że SB dysponowała wiedzą, iż ten pan został wcześniej zatrzymany przez drogówkę za jazdę samochodem w stanie nietrzeźwym.

Z.N. — Zawsze jednak człowiek, poddany takiej procedurze, miał wybór.

G.M. — Jednak trzeba pamiętać, że każdy przypadek jest inny. Dla mnie niektórzy agenci bezpieki mają mniejszą „plamę" w życiorysie niż na przykład pewni sławni działacze opozycji, którzy wcześniej służyli aktywnie systemowi. Na przykład chłopak, który jako student poszedł na współpracę z Wojskową Służbą Wewnętrzną, współpracował przez miesiąc, nawet chciał być funkcjonariuszem WSW (notabene, mimo że był agentem, wyrzucono go z uczelni). Po kilku latach, gdy został przewodniczącym zarządu regionu w „Solidarności", tego człowieka ponownie próbowano werbować (tym razem SB), ale na żadną współpracę się nie zgodził. Z drugiej strony mamy agenta, który przez czterdzieści lat aktywnie działa dla swoich mocodawców z bezpieki. To są dwa zupełnie nieporównywalne przypadki. Nie poruszyliśmy tutaj kwestii tzw. dialogów operacyjnych. Podejmowano je z ludźmi, którzy formalnie nie byli agentami, ale w wyniku rozmów z nimi, zdarzało się, iż SB osiągała określone korzyści operacyjne. Znamy też wszyscy sprawę Wiktora Trościanki z Radia Wolna Europa, który nie był formalnie żadnym agentem, niewątpliwie jednak z punktu wi-

dzenia SB okazał się bardziej użyteczny niż wiele osób formalnie zarejestrowanych jako tajni współpracownicy.

W.B. — ***Nie da się ukryć, że na kierunek naszej rozmowy, choć była ona planowana od dawna i moglibyśmy od tego abstrahować, ma jednak pewien wpływ wszechogarniająca dziś polskie media debata wokół tzw. listy Wildsteina. Która — nigdy nie dość powtarzania — nie jest przecież żadną listą, tylko zapisem inwentarzowym. Czy w ogóle da się sprokurować taką »prawdziwą« listę agentów?***

G.M. — Trudno rozmawiać o agenturze bez tego kontekstu ogólnego. Pomysł, żeby publikować jakieś listy, ma jeden zasadniczy minus. Dam konkretny przykład. Zgodnie z zapisem w dziennikach rejestracyjnych pewien znany polski polityk był w latach 1973–1981 tzw. konsultantem SB. Czyli na pierwszy rzut oka mamy do czynienia z kimś, kto przez osiem lat dzielnie współpracował z bezpieką. Otwieram teczkę i czytam, że ten człowiek, zresztą później bardzo zasłużony opozycjonista, w 1973 r. spotkał się dwukrotnie z funkcjonariuszami SB. Po raz pierwszy, gdy go zwerbowano, drugi raz, kilka tygodni później, gdy udzielił SB konsultacji w sprawie przechwyconych ulotek, i na tym ta współpraca właściwie się skończyła. Co prawda w 1975 r. miał być ponownie konsultantem, ale sam był podejrzewany o nielegalny kolportaż, więc SB nie skorzystała z jego pomocy. W 1977 r. złożono wniosek o wyrejestrowanie go z sieci, ale wyrejestrowany został dopiero w 1981 r.

A.C. — Ja też uważam, że idea opublikowania jakiejś listy jest absurdem. Z tego, co pan powiedział, wynika, że samo stwierdzenie, iż ktoś był czy nie był zarejestrowany, niczego nie pokazuje, trzeba zbadać każdą taką sprawę, zwłaszcza w przypadku osób, które są na świeczniku czy odgrywały ważną rolę w pewnych środowiskach, i my musimy mieć możliwość takiego bardzo wszechstronnego badania. Jest rzeczywiście pewien problem metodologiczny, jaki staje przed wszystkimi historykami, i drugi, organizacyjny, jaki staje przed IPN. Mianowicie dzisiaj ekscytacja społeczna dotyczy tego, czy ktoś jest na liście, czy nie, i to historykom trochę krępuje ręce. Bo w tej chwili nasza odwaga będzie się zatrzymywać na etapie informacji, że ktoś był współpracownikiem. Ujawnienie tej informacji może wywołać tyle wrzawy, że nie będziemy mieli czasu i ochoty, żeby dalej się danym tematem zajmować.

W.B. — ***Jak zatem w obecnej sytuacji — zdaniem pana profesora — powinien postępować Instytut Pamięci Narodowej?***

A.C. — Zakładam, że IPN będzie zmierzał do jakiegoś stopniowego poszerzenia możliwości oglądu tych materiałów. Mam tutaj na myśli przede wszystkim zaufanie do historyków; odtajnianie dokumentów i upraszczanie pewnych procedur. Nie można dopuścić do tego, że jak ktoś bada w IPN powiedzmy organizację X, na przykład NOWĄ czy CDN, to wedle takiego urzędniczego myślenia powinno mu się dać tylko źródła bezpośrednio dotyczące NOWEJ i CDN. To oczywiste, że badanie takiego problemu wymaga sięgnięcia także do materiałów porównawczych.

Pragnę więc, aby ta biurokracja archiwalna nie paraliżowała naszych możliwości poszukiwania.

G.M. – Jako były archiwista, pracujący uprzednio w MSW, chcę jasno powiedzieć, że IPN stworzył historykom możliwości dużo pełniejszego dostępu do akt. Dziś historyk ma dostęp do inwentarzy, ewidencji archiwalnej. Jest to sytuacja komfortowa. W latach dziewięćdziesiątych sam typowałem materiały dla historyków. Im więcej „wgryzałem się" w daną materię, tym więcej akt mogłem znaleźć. Nie można wykluczyć, że mimo całej mojej dobrej woli pewnych, być może kluczowych materiałów, nie udało mi się skojarzyć z danym tematem.

Z.N. – Również jestem przeciwnikiem jakiejkolwiek listy, która nic nie wyjaśnia, niczego nikomu nie tłumaczy, daje trochę pożywki dla tanich emocji i sensacji, nic poza tym. Natomiast generalnie trzeba znaleźć jakiś klucz, żeby te dane jakoś udostępnić. Może niech to będzie opracowanie dotyczące danego terenu za okres stanu wojennego, czyli także działań SB wobec środowisk „Solidarności" z zakładów pracy (Departament V) i przy tej okazji dokumentowana działalność agentury. Nawet z imienia i nazwiska.

G.M. – Sama lista nie spowoduje, że poznamy prawdę. Dziś osoby poszkodowane mogą poznać i poznają nazwiska tych, którzy się przyczynili do ich konkretnych krzywd, często dramatów. I, powiedzmy szczerze, mają do tego pełne prawo, podobnie jest, moim zdaniem, z upublicznianiem nazwisk tych, którzy na nich donosili. Miejmy też nadzieję, że nie będziemy trzymać się cezury lipca 1983 r. W myśl obowiązujących w tej chwili interpretacji przepisów akta tajnych współpracowników wytworzone po tej dacie pozostają tajne. Choć w istocie rzeczy ta data wiele nie zmieniała. Wtedy jedynie Sejm PRL uchwalił ustawę o Ministrze Spraw Wewnętrznych, która legalizowała korzystanie przez SB z osobowych źródeł informacji.

W.B. – ***Kolejny temat to skala zachowania tych dokumentów. Czy można określić, jaką częścią wyjściowego zasobu jest to, czym dziś dysponujemy? Czy wiemy, kto, dlaczego i na jakich zasadach niszczył te dokumenty?***

G.M. – Nie znam konkretnych danych. Na pewno jednak niszczono w pierwszej kolejności materiały dotyczące spraw prowadzonych na bieżąco, w tym przede wszystkim agentury. Kiedy rozpoczynałem pracę w MSW, była tam piwnica zawalona po sufit materiałami, które zniszczono w niszczarkach lub po prostu podarto, ale których nie zdążono wywieźć i spalić. Ale jak wcześniej mówiliśmy, nie da się zatrzeć wszystkich śladów.

W.B. – ***Jak to się praktycznie odbywało?***

Z.N. – Największe zniszczenia zostały oczywiście poczynione w roku 1989 i 1990, ale nie łudźmy się; były one kontynuowane jeszcze za rządów solidarnościowych. Raport Macierewicza, który został przedstawiony 4 czerwca 1992 r., mówił o zniszczeniach w 1991 r. Oczywiście, niszczono w archiwum na podstawie wewnętrznych przepisów o brakowaniu, i to działo się okresowo. Nigdy nie było tak,

żeby do końca wszystko zniszczono. Obowiązywały pewne zasady. Jeżeli niszczono po iluś latach akta jakiegoś agenta, który figurował, który był zarejestrowany jeszcze w UB, to niszczono wytworzone przez niego materiały, ale zostawiano kwestionariusz osobowy, żeby móc zidentyfikować delikwenta, i zostawiano najważniejsze dokumenty świadczące o jego współpracy. Najczęściej było to zobowiązanie, pokwitowanie odbioru pieniędzy, jedno, dwa, trzy doniesienia. Zszywano te wszystkie stroniczki i składano gdzieś w segregatorach. Więc nigdy nie niszczono akt na podstawie tych protokołów do końca.

G.M. – W najgorszym wypadku zachowywała się ta informacja o współpracy, zapis w dzienniku rejestracyjnym czy karta w katalogu.

Z.N. – Oczywiście, były karty, były dzienniki rejestracyjne, dzienniki archiwalne, ta informacja zawsze tam zostawała. Odpowiednie nazwisko umieszczano też w protokole brakowania, jako akta o sygnaturze łamane przez „I", jeszcze wcześniej przez „a". Do 1960 r. dla każdej kategorii spraw były prowadzone osobne dzienniki rejestracyjne. Po tej dacie rejestracja odbywała się w ten sposób, że wszystko wrzucano do jednego worka, czy to był figurant, KO, TW, czy na przykład konsultant. Z tego dziennika dało się jednak wszystko wyczytać. Gdy to był kandydat na tajnego współpracownika, czyli KTW – to jeśli został przerejestrowany na TW, to „K" skreślano i wpisywano na górze datę, kiedy stawał się pełnym TW. Dzienniki archiwalne po 1960 r. też były prowadzone osobno dla każdej kategorii spraw, czyli: jedynki – agentura, dwójka to sprawy operacyjne różnej kategorii, trójka – śledcze, czwórka – sprawy operacyjne obiektowe, piątka była zastrzeżona dla funkcjonariuszy resortu, szóstka wreszcie dla pracowników cywilnych resortu, palaczy, malarzy itd. Najwięcej materiałów zniszczono w ramach wydziałów operacyjnych. Tak się działo pomimo znanego polecenia styczniowego Czesława Kiszczaka z 1990 r., tak się działo przez następne miesiące.

W.B. – ***Po 1989 r. dokumenty aparatu bezpieczeństwa były niszczone nie po raz pierwszy; proceder ten miał już bowiem w PRL swój precedens. Wiadomo, że w pierwszej połowie 1954 r. zniszczono jakąś część dokumentów Departamentu X MBP; podobnie było w okresie tzw. odwilży w 1956 r. Czy w 1989 r. robiono to niejako na chybił trafił, czy w jakiś sposób systemowy?***

Z.N. – Trudno odtworzyć, czy był jakiś system, czy nie.

A.C. – Oficerowie operacyjni sami niszczyli akta swoich podopiecznych.

Z.N. – Szła tylko informacja do Wydziału C: „proszę o wyrejestrowanie danych takich a takich materiałów", ponieważ „ze względu na nikłą wartość operacyjną" zostają zniszczone. Myślę, że schematu nie było, niszczono czasami bardzo przypadkowo.

A.C. – Proporcjonalnie więcej zachowało się materiałów z lat wcześniejszych.

Z.N. – I ja tak sądzę. To jest wytłumaczalne. Funkcjonariusze, którzy dokonywali tych zniszczeń na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, tamte

materiały – dla nas o wielkiej wartości historycznej – traktowali jak śmieci, ich to nie interesowało, niszczyli przede wszystkim te aktywa, na których sami pracowali. I oczywiście różnie to było w różnych terenowych urzędach.

G.M. – Ale z drugiej strony poznańska SB, która najbardziej metodycznie niszczyła teczki swoich agentów, równie porządnie w 1984 r. zrobiła takie zestawienie dotyczące swojej agentury wśród delegatów na I Krajowy Zjazd Delegatów „Solidarności". Ale przy niszczeniu akt obowiązywała chyba jeszcze jedna zasada – im wyższy szczebel pewnych organizacji, tym materiałów jest mniej, im schodzimy na niższy szczebel, tym materiałów jest więcej. Tak było na przykład z „Solidarnością".

Z.N. – Tu też nie ma reguły. Metodycznie niszczono na przykład akta Wydziału IV, czyli zajmującego się Kościołem. Prawie każdy esbek zostawiał przy tym jednak, począwszy od Wydziału IV w terenie czy Wydziału C, swoje prywatne aktywa, gdzieś w szafie, całe listy zniszczonych materiałów. W przypadku IV – nazwiska księży itd. Takie rzeczy pozostawały.

G.M. – Jak się spojrzy na tych funkcjonariuszy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, to zauważymy, że to są ludzie, którzy idą do SB dla kariery, dla mieszkania, dla pieniędzy. Skądinąd pod koniec lat osiemdziesiątych często byli już rozczarowani. Czytałem właśnie relację jednego z esbeków, który odchodząc z resortu, mówił, że nastąpiła deprecjacja finansowa, nie dostał mieszkania. Z kolei ci bardziej aktywni i obrotni w końcu lat osiemdziesiątych przygotowują się do miękkiego lądowania, na przykład szukają posad w powstających spółkach z kapitałem zagranicznym.

Z.N. – Ale to ci najbardziej sprytni, proszę nie demonizować tego problemu. Wyznaję taką teorię, że w UOP został trzeci garnitur, reszta poszła do biznesu już wcześniej, innych wykończyła weryfikacja. Część jeszcze wcześniej przeniosła się do milicji, a potem policji, na polecenie Kiszczaka.

T.R. – Mówimy tutaj o niszczeniu, ale nie można wykluczyć, że niektórzy funkcjonariusze, kiedy mieli problemy finansowe, zabierali część tych materiałów jako swego rodzaju kapitał.

G.M. – Jest jeszcze jedno zjawisko, ale nie znam jego skali, mianowicie w jakim stopniu agentura z SB przeszła po prostu do UOP czy WSI.

W.B. – ***No, ale to jest osobne zagadnienie. Na koniec naszej rozmowy chciałbym jeszcze dotknąć kwestii moralnych związanych ze zjawiskiem agentury.***

G.M. – Na tej opublikowanej liście mamy oprócz kilkudziesięciu tysięcy nazwisk współpracowników i kandydatów na tajnych współpracowników (w tym osób poszkodowanych) również ponad sto tysięcy nazwisk funkcjonariuszy i pracowników cywilnych bezpieki. I jakoś nikt – poza historykami z IPN – tymi ostatnimi nazwiskami się nie zainteresował. A to najczęściej są nazwiska sprawców.

Z.N. – Instytut zaczyna powoli publikować listy funkcjonariuszy, począwszy od poziomu szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, pełne obsady.

G.M. – O ile w latach pięćdziesiątych ci, którzy byli agentami, mieli poczucie winy i chęci oczyszczenia, o tyle w tej chwili nie widać u osób zaplątanych we współpracę z bezpieką takiej potrzeby, chęci oczyszczenia się. Byli agenci idą w po prostu w zaparte. Sprzyja temu sytuacja, w której są oni przedstawiani jako ofiary bezpieki, pokrzywdzeni zaś, którzy chcą dochodzić, kto na nich donosił, kto ich krzywdził, kto ich zdradził, posłał do więzienia czy spowodował wyrzucenie z pracy – są przedstawiani jako oszołomy krzywdzące tych biednych agentów.

Z.N. – Opowiadają pokrzywdzeni, którzy otrzymują materiały z IPN: część z nich idzie do tych agentów, pytając wprost – dlaczego, a oni się nie przyznają.

A.C. – Takie zachowanie agentów jest w jakimś stopniu wzmacniane przez media, które stwarzają atmosferę, że nad nimi należy się głównie litować.

G.M. – Jeżeli mamy człowieka, który na miesiąc czy rok poszedł na współpracę z SB, później zaangażował się w opozycję, i ma piękną opozycyjną kartę, to dla mnie jest to oczywiście plama w życiorysie, coś, o czym należy napisać w jego biografii, ale co absolutnie nie przekreśla jego zasług dla wolnej, demokratycznej Polski czy jego życia.

Z.N. – Ale ta karta byłaby jeszcze piękniejsza, gdyby powiedział, przyszedł do kolegów i przyznał – tak się stało.

A.C. – To był zresztą sposób na wyplątanie się z tej współpracy. Znam przypadek pewnego kolportera, który został złapany i podpisał deklarację współpracy. Gdy esbecy wydobyli od niego podpis, natychmiast powiedział o tym znajomym i bardzo prosił, żeby oni o tym informowali innych. Po kilku dniach esbecy zadzwonili do niego, wtedy on zaczął na nich krzyczeć: „Jak to, przecież to miało być w tajemnicy, a tu pół Warszawy wie o tym". Przeprosili go i przestali się z nim kontaktować. Jest na liście Wildsteina, ale przecież nikt rozsądny nie będzie miał do niego pretensji.

W.B. – ***Dobrze jest pamiętać, że w takim trójkącie: oficer – TW – osoba rozpracowywana (tzw. figurant), ofiarą był figurant...***

Z.N. – ...a nie tajny współpracownik.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 3 (50), marzec 2005

POLSKI PAPIEŻ

O wpływie Jana Pawła II na zmianę oblicza Polski rozmawiają:
ks. Jan Sikorski, Antoni Dudek,
Barbara Polak i Jan M. Ruman

B.P. – Pontyfikat Ojca Świętego Jana Pawła II jest jednym z tych okresów w historii Polski, kiedy początkiem przemian są szlachetne uczucia, pewien zryw ludzkich serc, a nie agresja czy lęk. Widać to także w wydarzeniach po śmierci Papieża. Bardzo ważną rolę odegrało w nich młode pokolenie, które nie pamięta innych papieży. To pokolenie niebawem zacznie tworzyć przyszłość Polski. Chciałabym, żebyśmy w tej rozmowie skoncentrowali się na wpływie Ojca Świętego na losy naszej Ojczyzny.

J.R. – Zacznijmy chronologicznie, nie sięgając wcześniej do Karola Wojtyły jako kardynała, ale od momentu wyboru, 16 października 1978 r. Prosiłbym o nakreślenie sytuacji, jaka wtedy była w bloku wschodnim, jaka była u nas, i pierwszych reakcji. Co się właściwie stało 16 października 1978 r. w naszym kraju?

J.S. – Jak ja obserwowałem tę rzeczywistość, jak ją przeżywałem? Pamiętam jeszcze czasy wojny, a więc w pewnym sensie i przedwojenne czasy, bo trwała wtedy ta sama tradycja. Po wojnie, od młodości cały czas czułem, że to wszystko, co dzieje się w Polsce, jest bardzo sztuczne, jest nienormalne. Myślę, że nie tylko ja, ale też spora część pokolenia mojego i starszego wiedziała, że to jest wszystko „malowane". Całe te zewnętrzne struktury, które były stworzone. Myśmy do tego podchodzili nawet ze śmiechem, z lekceważeniem. Wiadomo było, że żyjemy w jakimś fałszu, żyjemy w zakłamaniu. I to z humorem, mniejszym lub większym, znosiliśmy. Rozgrywały się – wiadomo – dramaty i tragedie, ale mówię o takim przeciętnym obywatelu. Wiadomo było, że taka sztuczna sytuacja nie może długo trwać, na pewno nie może trwać wiecznie. W fałszu nie da się długo żyć. Wybór Ojca Świętego był, oczywiście, przeżyciem kościelnym, religijnym, ale z drugiej strony był takim ujawnieniem tego, co wszyscy czuliśmy, co w nas było – przywiązania do własnej tożsamości, do wewnętrznej prawdy, do historii naszego Narodu i naszych dziejów. Nagle zobaczyliśmy szansę na odkłamanie tego wszystkiego. Zobaczyliśmy, że jest Ktoś, za kim można by pójść i wyzwolić z siebie te właśnie wartości. Te, które do tej pory drzemały, były „zamalowane". Mówiono przecież, że Polska jest jak rzodkiew-

ka – na wierzchu czerwona, w środku biała. Nagle ta szczelna warstwa ochraniająca fałsz pękła. I od razu zrodziła się nadzieja. Głębokie wołanie człowieka o prawdę nagle znalazło szansę na realizację.

J.R. – To było tak, jak byśmy dostrzegli w jednej chwili, że jest jakiś „Trybunał w Strasburgu", tylko trochę lepszy, trochę ważniejszy. Bo był to Ktoś, kto żył tutaj, kto dokładnie rozumiał realia, w jakich się znajdowaliśmy, i nagle staje się zewnętrzną bardzo poważną instancją, do której będzie można wreszcie się odwołać. Jest Ktoś, kto zna to wszystko, w czym żyjemy, a jednocześnie teraz piastuje tak wysoki urząd, że będzie mógł na to wpływać.

B.P. – Nawet nie w sensie dokonania przez Niego interwencji, tylko w takim sensie, żeby zobiektywizować to wszystko chociażby samym miejscem, w którym przebywa.

J.R. – Tak, znamienne było, kiedy Papież po raz pierwszy do nas przyjechał, dostał od Gierka obraz – dziewczynkę z gołąbkiem, symbol Centrum Zdrowia Dziecka, tak jakby I sekretarz PZPR nie bardzo wiedział, co ofiarować. Papież natomiast dał mu mozaikę ze św. Piotrem i Pawłem i powiedział: A to, żeby pan wiedział, gdzie ja teraz jestem.

J.S. – Zacytuję jeden z pierwszych dowcipów, który powstał niemalże natychmiast po wyborze Ojca Świętego, bardzo głęboki i proroczy. Depeszuje Gierek do Breżniewa: „Habemus Papam", a Breżniew odpowiada: „Habemus klapam". To było bardzo prorocze, to było odczucie ludu. Ludzie już wtedy wiedzieli, że coś się stanie. To pęknięcie systemu było natychmiast dostrzegalne gołym okiem przez każdego człowieka. Nikt nie wiedział, co będzie, jak będzie, ale wielu miało przekonanie, że dla komuny jest to „Habemus klapam". I to się sprawdziło.

A.D. – Choć nie prowadzono wtedy na ten temat badań opinii publicznej, to śmiało można stwierdzić, że informacja o wyborze kardynała Wojtyły wywołała radość, poruszenie, ale przede wszystkim oczekiwanie, że coś się zdarzy. Natomiast dla mnie największym zaskoczeniem była reakcja obozu władzy, tzn. ekipy Gierka, w której rzeczywiście wywołało to konsternację. Zdumiewająca była ta formuła, którą komuniści przyjęli na użytek wewnętrzny, a którą wymyślił Józef Czyrek, ówczesny wiceminister spraw zagranicznych, później powtarzał ją np. Stanisław Kania, czyli sekretarz KC zajmujący się zarówno stosunkami z Kościołem, jak i nadzorem nad bezpieką. Formuła ta sprowadzała się do tego, że „lepszy jest dla nas Karol Wojtyła w Rzymie niż jako przyszły Prymas Polski", czyli następca Stefana Wyszyńskiego. To było zdumiewająco krótkowzroczne z oczywistych względów. Natomiast mnie zawsze zastanawiało, że w Moskwie wykazano się większą przenikliwością. Tam od razu zorientowano się, że z tym, co się stało, będą kłopoty, i to kłopoty, które mogą wykroczyć poza granice Polski.

W Polsce zaś mamy ten wyraźny dysonans między społeczeństwem z jednej strony, radosnym i czekającym na jakąś zmianę, która nie jest określona, która

się zmaterializuje po kilkunastu miesiącach, w postaci wielkiego ruchu społecznego; z drugiej zaś strony jest ekipa rządząca, która znalazła się w straszliwych opałach. Trzeba pamiętać, że to jest schyłek epoki gierkowskiej, rok 1978 to już nie ten triumfujący Gierek, który budzi ogromne nadzieje społeczne, to już Gierek z przetrąconym kręgosłupem w 1976 r., w którym mu się nie udała operacja podwyżki cen. Gierek tonie gospodarczo, pętla zadłużeniowa się zaciska. Pierwszy sekretarz ma już na głowie raczkującą opozycję i nagle dochodzi jeszcze to potężne uderzenie z Rzymu. To jest bardzo istotne, bo to będzie prowadziło do decyzji, która – paradoksalnie – okazuje się przejawem pewnej suwerenności peerelu, a mianowicie zgody na pierwszą wizytę Papieża, którą Gierek wydaje, mimo że Breżniew wyraźnie mu mówi: nie rób tego. Jest relacja z tej rozmowy, w której Breżniew mówi: powiedzcie Papieżowi, on mądry człowiek, niech powie, że zachorował i nie przyjedzie. Chodzi o to, żeby oddalenie terminu pielgrzymki nie było inicjatywą władz peerelu. Nawet Breżniew rozumiał, że odmowa peerelowskich władz wywoła ogromne niezadowolenie społeczne w Polsce, dlatego chciał, by nakłonić Papieża kanałami dyplomatycznymi, żeby sam zrezygnował z tej pielgrzymki. A Gierek jakby w tej bezradności mówi, że to jest niemożliwe, bo wie, że społeczeństwo w to nie uwierzy i dopiero wtedy będą kłopoty. Znalazł się więc jakby między młotem a kowadłem. Uważa, że lepiej zaryzykować tę pielgrzymkę. Trudno powiedzieć, czy gdyby Gierek się uparł i do tej pielgrzymki nie dopuścił, to historia potoczyłaby się inaczej...

J.R. – Ważny jest też ich prymitywizm w uzasadnianiu przyjazdu Papieża w tych rozmowach z Moskwą. Pada przecież taki argument, że Papież jest obywatelem Polski i jako taki ma prawo przyjeżdżać, trudno będzie mu odmówić, bo ma polski paszport.

A.D. – Tak, to prawda. Chcę jeszcze wskazać na ten wymiar trochę szerszy niż polski w październiku 1978 r. Trzeba spojrzeć na to, co dzieje się w momencie, w którym jakby ekspansja komunizmu jest u szczytu. To jest moment, w którym, wprawdzie ogromnym wysiłkiem, ale Związek Sowiecki próbuje tę ekspansję realizować. W latach siedemdziesiątych w krajach Trzeciego Świata można mówić o pewnej popularności ideologii komunistycznej. Ludzie w takich krajach jak Etiopia, Mozambik, Angola czy niektórych państwach Ameryki Łacińskiej i Środkowej skłaniają się ku komunizmowi. Tam bardzo wyraźne są wpływy partyzantki komunistycznej. To jest też moment, w którym za chwilę Związek Sowiecki wykona ostatni wielki krok na drodze rozbudowy imperium, czyli wkroczy do Afganistanu. Papieżowi przyjdzie się więc zmagać z tymi lewicowymi, lewicowo-komunistycznymi prądami, nie tylko w tej części Europy, która była już przez komunizm opanowana, ale właśnie w Trzecim Świecie, a także na Zachodzie. Zachód jest może mniej komunistyczny, ale bardziej lewicowo-liberalny, to jest moment, kiedy pokolenie 1968 r. wchodzi już na scenę publiczną i nagle Papieżowi przychodzi stawić czoło temu wszystkie-

mu, co wówczas zaczyna dominować w cywilizacji Zachodu. To jest szalenie trudny okres. W samej Polsce władze próbują wciągnąć Kościół we wspólny front walki z liberalizmem obyczajowym. Wydaje mi się, że o tym też trzeba pamiętać, kiedy się rozpatruje początek tego pontyfikatu.

I wreszcie są też wewnętrzne problemy Kościoła – ksiądz prałat będzie bardziej biegły w tej sprawie – mam takie wrażenie, że było wtedy coś takiego jak kryzys posoborowy. Jest jakaś recepcja soborowych decyzji, ale są one różnie przyjmowane. Mamy z jednej strony abp. Lefebvre'a, który zaczyna wyraźnie kontestować odnowę soborową, a z drugiej strony różnych teologów, którzy mówią, że to wszystko za mało, że trzeba pójść dalej, zaczynają wywierać presję na nowego Papieża, żeby bardziej liberalizował Kościół, jak oni to mówią: reformował, unowocześniał. Także na to wszystko trzeba patrzeć, żeby zrozumieć, że tego pontyfikatu nie możemy rozpatrywać tylko przez pryzmat Polski...

B.P. – Ale w tej rozmowie skoncentrujmy się jednak na Polsce.

A.D. – Chciałem to tylko zaznaczyć, żebyśmy uświadamiali sobie różne wyzwania, które stanęły przed Papieżem.

J.R. – Ten szerszy kontekst jest o tyle ważny, że w kręgach intelektualnych Zachodu była jakaś fascynacja nawet marksizmem. To z Zachodu wyjeżdżają „apostołowie" teologii wyzwolenia do Ameryki Południowej, przecież ci ludzie kształcili się na uczelniach w Niemczech, Holandii i później wracali do siebie i zaczynali budować, choć brzmi to paradoksalnie, teologię marksizującą. W Polsce był ten zdrowy odruch, o którym mówił ksiądz na samym początku, że wybór Papieża jakby zerwał maskę i ludzie wreszcie zaczęli marzyć, niejasno jeszcze, ale zaczęli marzyć, że ten koszmar, to życie w kłamstwie wreszcie się skończy. We Francji, w Niemczech ludzie nie żyli w komunizmie, więc mogli marzyć o tym, że jakaś realizacja marksizmu może byłaby smaczna. Natomiast u nas wszyscy wiedzieli już, co to jest komunizm, i nagle pojawił się płomyk nadziei, że można z nim skończyć.

J.S. – Chciałem jeszcze nawiązać do relacji Polska–świat. Otóż nie bez znaczenia było to, że Ojciec Święty wyszedł z Polski, także w odniesieniu do niepokoju posoborowego, o którym pan wspomniał. Te niepokoje na Zachodzie były, choć nie było tam bardzo poważnych problemów. Nie było jawnej opozycji wobec Kościoła, systemowej, siłowej jak w Polsce. Tam zaczęto się trochę zabawiać reformami soborowymi. To było takie ołowiane wojsko. Koncentrowano się na problemach drugorzędnych, np. po co księdzu sutanna, czy Komunia św. ma być udzielana tak czy inaczej, czy kielich ma być złoty czy drewniany. Dla mnie i dla nas Polaków te problemy nie miały znaczenia. Z naszej perspektywy były sztuczne, aczkolwiek na Zachodzie traktowane bardzo na serio. Dla nas było to trochę śmieszne wobec poważnych problemów, które mieliśmy w Polsce.

Ojciec Święty wychodzi właśnie z Polski. Z kraju, w którym kardynał Stefan Wyszyński, w swojej jakiejś proroczej wizji, wspaniale podszedł do reform

posoborowych, czego my wtedy, pokolenie młodych księży, do końca nie rozumieliśmy. A już kompletnie nie rozumiała tego elita inteligencka w Polsce pod hasłem Klub Inteligencji Katolickiej. Ksiądz Prymas wziął tę problematykę po prostu w garść, bo wiedział, że przemiany, na przykład w liturgii, muszą się dokonać, i był na nie otwarty. Tylko chciał na nie wpływać, żeby cała para nie poszła w gwizdek, ale żeby zająć się problemami zasadniczymi. Te problemy zasadnicze były bardzo poważne. To była walka o wiarę, o tożsamość Narodu, o wychowanie młodego pokolenia, o przeciwstawienie się ateizmowi. I my, prowadzeni genialną ręką kardynała Stefana Wyszyńskiego, tak szliśmy. W tym kierunku szedł również kardynał Karol Wojtyła, bo współtworzył tę wizję duszpasterską. On wyszedł z Polski, jak gdyby stojąc ponad drobiazgami, które pasjonowały Zachód z braku większych problemów. Dlatego były takie pytania: czy On jest konserwatystą, czy progresistą. Okazało się, że Ojciec Święty potrafi rozmawiać z ludźmi, że łamie wszelkie bariery tej sztywności zachodniej i w tym był zaskakująco postępowy. Z drugiej strony, kiedy bronił podstawowych wartości, uważany był za konserwatystę.

Trzeba pamiętać, że na tej fali zmian w Kościele – a przedtem wszystko było naprawdę bardzo usztywnione, określone było każde słowo, gest – nagle uznano, że skoro można zmieniać coś w liturgii, to przerzucono to także na moralność. Zaowocowało to permisywizmem moralnym. Uważano, że można sobie na wszystko pozwalać, że nie trzeba się trzymać zasad i reguł. I to było szalenie niebezpieczne. Tutaj opatrznościowo Ojciec Święty bardzo mocno trzymał się zasad i od nich nie odstępował, spotykając się zresztą z ogromną opozycją na Zachodzie i zarzutem, że jest niepostępowy, konserwatywny. Co było absolutnie nieprawdą.

Myślę, że to jest też dość ważny element połączenia Polski ze światem. Na Zachodzie często dawano taką etykietkę: a bo to Papież Polak, a wy jako Polacy macie inne problemy. Papież znacznie głębiej rozumiał, co oni przeżywają, natomiast oni nie byli w stanie go w tym dogonić. I tu rodził się problem. I taki Papież był potrzebny. Poza działaniem Ducha Świętego, który swoje zrobił, hierarchowie też musieli dostrzec tę potrzebę. Nie wiem, czy sobie do końca zdawali sprawę z reperkusji, jakie to przyniesie w świecie, w ogóle w układzie politycznym; przypuszczam, że nie. Bo patrzyli pewnie na sprawy wewnątrzkościelne, że potrzebny jest taki świeży powiew, zupełnie inny. Bo cały ten liberalizm powodował jednak pomieszanie ludzkich umysłów, wartości... Papież wyszedł z Polski z takim głębokim nastawieniem, z dostrzeganiem wagi problemów, z lepszą wizją Kościoła i jego reform, niż działo się to na Zachodzie. To był dar dla Kościoła powszechnego – Papież z Polski.

J.R. – Ojciec Święty wyszedł stąd z tym jakimś napięciem w sobie samym. Napięciem między tym, co niektórzy nazywają konserwatyzmem, a progresizmem, widocznym nawet w pewnej pobożności. Bo on jako kardynał z jednej strony chodził dróżkami w Kalwarii Zebrzydowskiej, przywiązywał wielką wagę do modlitw

tradycyjnych, z drugiej strony był największym promotorem ruchu oazowego. Był bardzo otwarty na nowe formy przeżywania religii. Absolutnie nowe, które wielu ludziom wtedy nie bardzo mieściły się w głowie. Ruch oazowy nawet na skalę europejską to była bardzo ciekawa, nowa inicjatywa. Oczywiście w innych krajach były inne ruchy, ale u nas ruch Światło–Życie to było coś, co porwało setki tysięcy młodzieży. Przyjacielem i promotorem tego ruchu był kard. Karol Wojtyła.

J.S. – On miał to ogromne wyczucie. Czuł po prostu ludzi, czuł potrzeby i ten ruch, który zewnętrznie budził nieraz kontrowersje; kardynał Wojtyła bezbłędnie wiedział, że to jest to, co trzeba robić. I w to natychmiast wszedł.

J.R. – Pierwsza pielgrzymka, Ojciec Święty przyjeżdża w 1979 r. do Polski. Oczywiście można na nią patrzeć z bardzo różnych stron, są różne anegdoty, na przykład o tym, jak Gierek staje przed Papieżem – co później pokazywano w filmie „Robotnicy '80" – i mówi: „Ja Polak, patriota...". Kiedy to pokazywano w kinach, w tym momencie ludzie wstawali i bili brawo, bo Gierek już przeminął i powoli przemijał system. Warto jednak pamiętać, że komunistyczna władza nie bardzo wiedziała, jak się zachować, natomiast ludzie podchwytują natychmiast papieskie przesłanie. Na przykład w Warszawie Papież powiedział na placu Zwycięstwa, że tego narodu nie można zrozumieć bez Chrystusa. Następnego dnia podczas spotkania z młodzieżą mówi o Duchu Świętym, że człowieka trzeba mierzyć miarą serca, miarą Ducha Świętego, który może wypełnić ludzkie serce. Te słowa mają określony kontekst w peerelu, ludzie zaczynają bić brawo. Papież kwituje to żartobliwie, jakby żeby nie drażnić władz, mówi: ja nie wiem, co się stało z tym narodem, to jakiś naród teologów. Wczoraj powiedziałem: Chrystus, bili brawo przed 15 minut, dzisiaj mówię: Duch Święty, biją przez 10 minut, to naród teologów – mówi. On w takiej żartobliwej formie świetnie potrafił przełamywać tę sztywność, sztywność władzy, która nie bardzo wiedziała, co zrobić, a jednocześnie pewne skrępowanie ludzi, którzy nie byli pewni, na jak wiele mogą sobie pozwolić. On przychodzi, powiedziałbym wręcz, z poczuciem humoru, patrzy na to wszystko i zdobywa się na takie słowa, które dla wszystkich były czytelne. Powiedzmy o tym, co się wtedy wydarzyło na ówczesnym placu Zwycięstwa. To nie przypadek, że teraz po śmierci Ojca Świętego ludzie spontanicznie zaczęli się tam gromadzić. Wszyscy mają tę świadomość, że tam stało się coś, co było przełomem.

A.D. – Reakcje na to, co się wtedy działo, można analizować na różnych poziomach. Jest ten poziom, o którym mówił Janek, że jakaś część ludzi wsłuchiwała się w to, co mówił Papież, i to była pewna inspiracja. Zwróciłbym uwagę na fragment, który dopiero teraz, gdy przypominane są różne wypowiedzi Papieża, przeczytałem i zrozumiałem, jak daleko już wtedy wybiegały jego myśli. Przemawiając w czerwcu 1979 r. w Gnieźnie, Papież pytał: „Czyż Chrystus tego nie chce, czy Duch Święty tego nie rozrządza, ażeby ten papież Polak, papież Słowianin właśnie teraz odsłonił duchową jedność chrześcijańskiej Europy?". Ta sama wizja – jedności Europy –

legła też u podstaw „Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej", uchwalonego we wrześniu 1981 r. przez zjazd „Solidarności". Tam już nie chodzi o odnawianie tylko „tej ziemi", czyli ziemi polskiej, ale jest spojrzenie szersze, że chrześcijaństwo jest tym – w różnych postaciach, nie tylko katolickiej – co jednoczy, co ukonstytuowało Europę, że można dążyć do zjednoczenia na jego fundamencie. Przecież kolejne lata i cały pontyfikat będzie dążeniem do tego, co Ojciec Święty już wtedy w Gnieźnie zarysował. Jan Paweł II dożył momentu wejścia państw Europy Środkowo-Wschodniej do Unii Europejskiej. Ale ciągle pozostaje Ukraina...

J.R. – ...do której Ojciec Święty już pielgrzymował i w oczach samych komentatorów ukraińskich jego pielgrzymka przyczyniła się do zachodzących tam przemian.

A.D. – Ale pozostaje też Rosja, do której Papieżowi nie udało się pojechać. Oba te kraje należą przecież do chrześcijańskiej wspólnoty. To jest ten poziom pierwszej pielgrzymki, powiedziałbym, przekazu bardzo wysokiego. Jest też taki poziom, który osobiście wspominam, a wtedy miałem niewiele ponad dziesięć lat – z tych homilii nic nie rozumiałem, natomiast pamiętam z Mszy na Błoniach, bo jestem z Krakowa, ogromną liczbę ludzi. Nigdy w życiu nie widziałem tylu ludzi naraz. Dla wielu, jeśli nawet nie do końca rozumieli przekaz papieski, istotne było przeżycie wspólnoty. Przeżycie, że ten naród jest zjednoczony wokół Kościoła, doświadczenie, że nie jest prawdą to, co mówiono w szkole o naukowym światopoglądzie i wstecznym Kościele. Przecież miliony ludzi to odrzucają...

B.P. – Miliony przychodzą słuchać Ojca Świętego.

A.D. – Tak. To było przeżycie tego, o czym na początku mówił ksiądz prałat, że żyjemy w jakimś zakłamaniu, w fałszywym systemie politycznym, który opiera się na innych wartościach niż Kościół, a jednocześnie to właśnie Kościół potrafi zgromadzić tak ogromną rzeszę ludzi, i to zupełnie dobrowolnie, spontanicznie. Nie tak jak władze organizowały 1 maja, kiedy sprawdzane były listy obecności, była presja, wyraźny element nacisku, żeby brać udział. Tutaj nikt nikogo nie zmuszał do przyjścia.

Pamiętam jedną z moich ciotek, która była religijna, ale nigdy nie zwracałem na to uwagi. Wtedy, po październiku 1978 r., zaczęła gromadzić wycinki prasowe, materiały, zdjęcia, zakładać zeszyty dotyczące Papieża. Dla mnie, jako bardzo młodego człowieka, było to zaskakujące i dało mi bardzo dużo do myślenia. Jestem przekonany, że było bardzo wielu ludzi, którzy – z poziomu nastolatka – zaczęli się zastanawiać, że coś takiego jest w naszym kraju, co się kłóci z tym oficjalnym obrazem wynikającym z podręczników szkolnych, z przekazu telewizyjnego. Pamiętajmy, że ten przekaz – nawet z pielgrzymki – był wtedy bardzo ograniczany, robiono te wszystkie manipulacje, o których dzisiaj już doskonale wiemy: nie pokazywano szerokich planów, żeby nie było widać tłumów...

J.R. – ...pokazywano głównie zakonnice, księży i samych starszych ludzi.

A.D. – Ale to jest właśnie przykład naiwnego myślenia władzy. Skoro takie tłumy ludzi w tym uczestniczą, to czy oni nie zobaczą tej różnicy? W istocie rzeczy to

było destrukcyjne, dlatego że obniżało jeszcze bardziej wiarygodność władz, bo ktoś najpierw szedł na Mszę i widział ogromną masę ludzi, a potem widział w telewizji jakieś wycinki i od razu miał potwierdzenie tego, co zawsze podejrzewał, że telewizja kłamie.

B.P. – Wiadomo, że dokonywały się przemiany społeczne, ale czy można również powiedzieć, że wizyty papieskie w Polsce wpływały na struktury władzy, na myślenie, na zachowania, na jakąś ewolucję władz?

J.S. – Zilustruję to przykładem. Znałem w tym czasie rodzinę komunistycznego generała. Rodzina nakłaniała go, by wysłuchał przemówienia Papieża. Czynił to bez większego zainteresowania, ale się wciągał coraz bardziej. W końcu, kiedy do pokoju wszedł jego syn, wychowany w tym samym pozakościelnym duchu, i zaczął coś mówić, generał zgromił go: „siadaj smarkaczu i słuchaj, co On mówi". Pytała pani o te zmiany, myślę, że dokonywały się one błyskawicznie, również w świadomości ludzi reżimu. Oni też na to wszystko otwierali oczy. Oni tego też nie rozumieli.

B.P. – Jakieś ślady tego są w pamiętnikach.

A.D. – Nie tylko w pamiętnikach, są też w dokumentach. Urząd do Spraw Wyznań w związku z pierwszą pielgrzymką zwracał uwagę władzom wojewódzkim z tych miast, które miał odwiedzić Papież, że doszło do rażących wypadków załatwiania sobie kart wstępu przez aktyw administracyjno–partyjny, żeby mieć lepsze miejsce na Mszach papieskich, i że jakie to sieje zgorszenie. Tu się ujawniła hipokryzja, bo przecież mnóstwo ludzi z establishmentu partyjnego miało rodziny, często bardzo religijne żony, przez to oni sami tak naprawdę byli ludźmi wierzącymi, dzieci były chrzczone. Oczywiście, oni to ukrywali. W momencie pielgrzymek to się ujawniało. To było szczególnie istotne w latach osiemdziesiątych, kiedy ciągle jeszcze Jaruzelski starał się podtrzymywać tę koncepcję, że partia walczy o naukowy światopogląd, że stara się ograniczać wpływy Kościoła, a jednocześnie mówił: „Towarzysze, nasza partia niesie straszliwy garb, nie tylko tych kryzysów, niesie garb religijności. [...] Pięćdziesiąt procent I sekretarzy POP podaje się jako wierzący [...] na ogół politycznie możemy na nich liczyć w trudnych chwilach, ale nie są to do szpiku kości komuniści, jak byśmy chcieli. Nie można być komunistą i siedzieć w kruchcie jednocześnie. Ale tak jest, jak jest i trzeba z tym żyć, robić wszystko to co można, żeby zmieniać, a jest to trudny i długotrwały proces". Oni zawsze mieli z tym problem, a kiedy nastał pontyfikat Jana Pawła II, ten problem się nasilił. Zawsze starano się podtrzymywać tezę, że aktyw partyjny jest niewierzący i trzyma się z daleka od Kościoła, ale jednocześnie na wewnętrznych naradach przyznawano, że to jest porażka, że coś pękło, i coraz trudniej egzekwować postawę niewiary. Były takie bastiony – na przykład służby mundurowe: bezpieka, milicja i wojsko. Jeszcze w latach osiemdziesiątych groziła tam sprawa dyscyplinarna za zorganizowanie matce pogrzebu katolickiego. Ciągle starano się to podtrzymywać, ale dysonans się pogłębiał.

B.P. – Im głębszy był ten dysonans, tym większa czujność w niektórych momentach i silniejsze naciski na to, żeby pokazywać swoją siłę zewnętrzną. Przykładem może być demonstracyjne przemieszczanie wozów bojowych w czasie pielgrzymek. I nie chodzi tylko o stan wojenny, przecież wmawiano nam, że to dla naszego bezpieczeństwa używano tych ogromnych sił milicyjnych. Oni nie chcieli do końca pokazać tego, że coś się w nich łamie, chcieli oficjalnie, w przekazie telewizyjnym, pokazywać, że jest taka granica pomiędzy ludem wierzącym a siłami porządku i siłą władzy.

J.R. – Tylko że w tym też coś pękało. Tak jak z tymi partyjnymi, z którymi nie wyszło. Każdy człowiek myślący, który potrafił porównać sposób mówienia tego człowieka, który przyjechał jako Papież, i sposób mówienia różnych sekretarzy, widział, że wmawiano mu coś o jakimś światopoglądzie naukowym, a tymczasem Papież, który przyjechał i do nas mówi, nie wygląda na niedouczonego. On właśnie mówi w taki sposób, w jaki żaden z sekretarzy nie mówił. Natomiast jeśli chodzi o milicję, to wystawia się na ulicach mnóstwo milicjantów, ale już w czasie pierwszej pielgrzymki dzieje się coś, czemu nie można zapobiec. To jest utrwalone nie tylko w pamięci uczestników, ale i na zdjęciach. Sam pamiętam milicjantów, którzy mieli stać tyłem do Papieża, przodem do nas, żeby zachować czujność. I co się działo – nadjeżdża Papież i ci milicjanci zamiast trzymać kordon, odwracają się i patrzą w jego stronę, bo są sami bardzo przejęci, okazuje się, że są też po części jednymi z nas. Takie symboliczne w czasie pierwszej pielgrzymki było jej zakończenie na lotnisku – wielu ludzi zwróciło na to uwagę, bo to była ostatnia transmisja. Wszyscy oglądają telewizję, komuniści pewnie się cieszą, bo Papież wyjeżdża, już będzie święty spokój. Ojciec Święty żegna się ze wszystkimi, także borowcami, którzy go strzegli, i jeden z tych „borowików", nawet wyższych rangą, klęka i całuje w pierścień. Szok. Jeden z tych, którzy są przedstawicielami silnego, socjalistycznego peerelu, klęka i całuje w pierścień.

A.D. – Pamiętam, jak na początku lat dziewięćdziesiątych robiłem kwerendę w Archiwum Państwowym w Krakowie i czytałem akta Wydziału do Spraw Wyznań. Powiedziano mi, że jest jeszcze wydzielony zespół na temat kardynała Karola Wojtyły. Oczywiście natychmiast o to poprosiłem. Przyniesiono mi – w przeciwieństwie do szarych, brudnych teczek, które dotąd otrzymywałem – pakiet białych, eleganckich teczek przewiązanych czerwoną wstążką. Pierwszą teczkę otwierało pismo, stwierdzające, że na polecenie I sekretarza KW w Krakowie tow. Kazimierza Barcikowskiego, w związku z wyborem abp. kard. Karola Wojtyły na Papieża, wyodrębniono specjalny zbiór – właśnie ten ładnie oprawiony. Wewnątrz można było przeczytać te wszystkie dokumenty ilustrujące rozmaite szykany i awantury urządzane kardynałowi, gdy na przykład domagał się procesji na Skałce. Właściwie w środku była ta prawda o stosunkach państwo–Kościół. Ale oprawiono to bardzo ładnie i to jest bardzo znamienne, bo pokazuje, jak schizo-

frenicznie zachowywały się władze. Z jednej strony nie fałszowano tych dokumentów, zapewne usunięto stamtąd parę rzeczy, ale generalnie było to bardzo wiele ciekawych dokumentów, z drugiej strony dodano ładną oprawę i zachowano dla potomnych.

B.P. – Pozostając przy anegdotach, mam w oczach zaplecza miejsc spotkań papieskich. Na przykład w zaułkach wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, w tych różnych bocznych kieszonkach, autokary wypełnione tzw. pielgrzymkami męskimi, tak myśmy to nazywali. To byli tajniacy, którzy występowali w podwójnej roli, już nawet nie kryli tego, przebierali się w różne habity, sutanny. A po Mszach również na oczach wszystkich, bo nie było się gdzie ukryć, ściągali je i znowu byli młodymi, fajnymi chłopakami z ulicy.

Ale chciałabym, żebyśmy powiedzieli o przemianach w łonie Kościoła hierarchicznego. Władze kościelne też w niektórych momentach były zaskakiwane, Ojciec Święty wychodził ponad ich sposób sprawowania pasterzowania w Kościele. Jego otwartość i odwaga, bo o tym też warto mówić, w okresie peerelu, to było bardzo ważne. My nigdy nie słyszeliśmy – poza prymasem Stefanem Wyszyńskim, przy jednak bardziej ograniczonych medialnie sytuacjach – tylu mocnych słów od naszych pasterzy, co od Papieża. Począwszy od biskupów, a skończywszy na księżach w parafiach. Myślę, że ten element zaskoczenia i jakiegoś dojrzewania do zmian, także władz duchownych, jest bardzo istotny.

J.S. – Mówiłem już tutaj o przemianach posoborowych, jak to było w Polsce. Kardynał Stefan Wyszyński miał też inną genialną myśl, gromadził ludzi na uroczystościach religijnych. Zarzucano mu, że popiera religijność ludową, a nie dba o jej pogłębienie. A on wiedział, co to znaczy, kiedy ludzie poczują siłę wspólnoty, zwłaszcza w warunkach, w jakich się znajdowaliśmy. I stąd te uroczystości, na przykład koronacji obrazów czy milenijne, którym on nadał wielką rangę. Kardynał Karol Wojtyła też w nich uczestniczył.

J.R. – Wielka Nowenna, to był moment, kiedy ludzie zobaczyli, że katolików jest mnóstwo.

J.S. – Ale media zupełnie to ignorowały. Pamiętam, że ze swoimi pobożnymi studentami pojechałem do Częstochowy na jakiś zjazd i jeden z tych moich uczniów powiedział wtedy: nie spodziewałem, że nas jest tylu. Doceniłem wtedy genialną myśl Prymasa, kiedy ten mój uczeń, który dobrze wiedział, że Polska od wieków jest katolicka, był mocno zdziwiony, gdy sam zobaczył tłumy swych rówieśników. Świadomość, którą on reprezentował, odbijała się też na nas, księżach. Wokół nas było wielu ludzi, ale musieliśmy czuć, że tak jest w całej Polsce. Nagle Ojciec Święty wyzwala te tłumy i pokazuje, jak wielu jest ludzi żyjących wiarą.

Gdy chodzi o samą hierarchię kościelną, to ona pod rządami kardynała Wyszyńskiego była monolitem i to miało ogromne plusy. Oczywiście były też jakieś minusy, bo mogło to ograniczać nieco biskupów w ich samodzielnym działaniu. Ale

ten monolit stwarzał poczucie wewnętrznej siły. Wydaje mi się, że to było opatrznościowe. Cokolwiek byśmy sądzili dzisiaj na ten temat, to było opatrznościowe. Te ataki z zewnątrz pseudooświeconych katolików były przejawem braku roztropności i tej wizji przyszłości. Ja bronię tutaj naszej hierarchii, bo ona zdawała dobrze swój egzamin.

B.P. – Moje pytanie dotyczyło bardziej zachowań, sposobu ekspresji, języka Jana Pawła II, bo to było na tyle nowe, że odmieniło pewien styl pasterzowania polskich kapłanów. Pamiętam doskonale, jak w kazaniach, również w kościołach parafialnych, zaczęło się pojawiać wręcz naśladownictwo frazy papieskiej. To był na tyle silny człowiek, że modelował myślenie i zachowanie nie tylko nasze, ale również duchowieństwa.

J.S. – Tak, przypominam sobie swoich kolegów, księży, którzy wręcz, być może podświadomie, zaczęli naśladować Ojca Świętego w sposobie mówienia. Chodzi jednak o coś głębszego. Zaczęliśmy mówić wtedy odważniej, pewniej, choć ciągle ten bicz kontroli wisiał nad nami i trzeba było wykazać się pewną roztropnością, żeby niedźwiedzia nie rozdrażniać. Ale okazało się, że ten niedźwiedź nie jest taki straszny i można troszkę swobodniej i mocniej mówić. To na pewno. Jeżeli już Ojciec Święty raz coś powiedział, to ksiądz później potrafił to powtórzyć i dodać to, co było potrzebne.

B.P. – W latach osiemdziesiątych jeszcze nie wszyscy.

J.S. – Trzeba przypomnieć, że z odbiorem papieskich pielgrzymek w ogóle nie było tak idealnie, jak chcielibyśmy dzisiaj myśleć. Mam w oczach taką sytuację: jadę na plac Zwycięstwa, z okien autobusu widzę po drugiej stronie Wisły pełno warszawiaków leżących nad Wisłą, opalających się. I przyznam się, że mnie to wtedy, w roku 1979, boleśnie poruszyło. Była wtedy wprawdzie piękna, plażowa pogoda, ale zastanawiałem się: kim są ci ludzie, że nie czują wagi chwili?

J.R. – Ale czy ksiądz pamięta drugą stronę medalu? Przecież straszono w mediach, że w Meksyku podczas pielgrzymki rozgrywały się dantejskie sceny. Nawet księża ulegli tej propagandzie i mówili: jeżeli masz kartę wstępu na spotkanie z młodzieżą przed św. Anną, to nie idź na inne, bo tam będą tłumy, tam się będą zadeptywać itd. Komunistom wtedy udało się wytworzenie takiej psychozy, takich obaw.

J.S. – Tak, mówiono: trumny wiozą, pociąg cały jedzie. Cały pociąg trumien. Po co trumny, ktoś pytał, no jak to po co, przecież będą stratowani ludzie.

B.P. – Powtórzono to na Stadionie X-lecia w roku 1983.

J.R. – Każdy się zastanawiał – 100 tys. kart wstępu! Nikt sobie tego nie wyobrażał, przecież w Polsce nie było takich zgromadzeń. Była taka podwójność – propaganda w szkole, w pracy, w mediach (była jedna telewizja i kilka jednorodnych gazet), a z drugiej strony było to, co w domu. Ta jakaś prawda domowa. Nagle się okazało, że ta prawda domowa to prawda wspólna, i że jest dużo tych domów, w których ta prawda jest podobna.

Wracając do polskich kapłanów, muszę przyznać, że mnie nie brakowało odważnych księży, może na takich trafiałem. Coś nowego, co Papież wprowadził już tą pierwszą pielgrzymką do naszego duszpasterstwa, to to, że wcześniej w naszym duszpasterstwie przedstawiano „prawdy do wierzenia". Kardynał Stefan Wyszyński nauczał nas słowami „Dzieci moje" i każdy wiedział, że jak katechizm trzeba znać to, co on mówi i nie ma tu miejsca na jakieś dyskusje. Ojciec Święty – moim zdaniem to jest ta zmiana, której on dokonał – na Błoniach pyta: „Czy można odrzucić Chrystusa i wszystko to, co o nas stanowiło przez 1000 lat?". I odpowiada najpierw: „Oczywiście można". Myślę, że nie tylko mnie, ale i wielu księży to zaskoczyło. Wyobrażam sobie, że gdyby kardynał Wyszyński to mówił, to byłoby to pytanie retoryczne lub odpowiedziałby: „Nie można!". A Papież w swojej homilii pokazuje, że jest pewien dialog. – Czy można? – Można. Ale w imię czego? Czy wolno i w imię czego wolno odrzucić Chrystusa, który stanowił ten naród od początku? Tu, myślę, jest zasadnicza nowość, ta zmiana duszpasterstwa. To nie jest tylko tchnięcie jakiejś odwagi, bo mieliśmy naprawdę odważnych duszpasterzy, natomiast to, że zaczyna się rozmawiać z człowiekiem w trochę inny sposób, bardziej traktując go jako podmiot.

Papieskie pielgrzymki to z jednej strony jest klęska tych intelektualistów, którzy mówili, że „Kościół ludowy do niczego się nie nadaje, to my w kręgach intelektualnych przechowamy wiarę przez czas komunizmu, a w ogóle to trzeba się przyzwyczaić, pożenić socjalizm z chrześcijaństwem i wszystko będzie dobrze". Oni ponieśli całkowitą klęskę, bo okazało się, że ten katolicyzm ludowy właśnie w tym momencie zwycięża. Z drugiej strony Papież, szanując i podnosząc na wyższy poziom ten katolicyzm ludowy, wprowadza nowy element, teraz już zaczynamy rozmawiać z wiernymi jako dojrzałymi do wyborów partnerami. To nie przypadek, że te słowa padają na „Bierzmowaniu Dziejów" na Błoniach – bierzmowanie oznacza dojrzałość chrześcijańską, dorosłość. Już teraz nie mówię – można powiedzieć, parafrazując słowa Ojca Świętego – do was jak do dzieci: nie można! – Można, oczywiście można odrzucić Chrystusa, ale po co, w imię czego? Myślę, że jest to zmiana zasadnicza.

Druga pielgrzymka – rok 1983. Pierwsza była takim uświadomieniem ludziom – nie powiedziałbym budzeniem wiary, bo wiara była – tylko uświadomieniem, że ta wiara jest czymś powszechnym, i jej wzmocnieniem. Druga pielgrzymka jest już w innej sytuacji. Stan wojenny jest tylko zawieszony, jeszcze nie zniesiony, jest koszmar. Iluś ludzi jest internowanych, iluś uwięzionych, rodziny porozbijane. Cierpienie i zapaść społeczna. Ludzie zaczynają tracić nadzieję. Jeżeli na początku stanu wojennego, mimo że było dosyć groźnie, mówili „Zima wasza, wiosna nasza", to w roku 1983 te nastroje już opadły. Przyjeżdża Papież i jest to pielgrzymka nadziei. Papież właściwie podczas wszystkich spotkań przynosi nadzieję. Dla mnie czymś charakterystycznym dla tej pielgrzymki jest spotkanie z młodzieżą na Jasnej Górze – Apel

Jasnogórski. Nawet votum, które Ojciec Święty ofiarował wówczas Matce Bożej, jest czymś symbolicznym. To nie były tylko słowa o współczuciu, współcierpieniu, to votum – przestrzelony pas papieskiej sutanny – miało swoją głęboką wymowę. Tak, jakby chciał powiedzieć: to nie tylko wy tutaj w 1981 r. zaczęliście cierpieć, na mnie był wtedy zamach, jestem z wami także w tym cierpieniu. Powiedzmy o tych kontrastach drugiej pielgrzymki – z jednej strony budy milicyjne, transportery opancerzone, z drugiej strony Papież, który przełamuje to poczucie opresji.

J.S. – No tak, była ta demonstracja siły, która wyglądała zresztą chwilami śmiesznie. Ale było i to, co pan wspomniał, naród miał przetrącony kręgosłup, to nie ulega wątpliwości. Ktoś wtedy powiedział, że po stanie wojennym trzeba całego pokolenia, żeby się to wszystko odrodziło. Dla mnie to było czarne proroctwo, nie chciałem w to wierzyć. Ale poniekąd tak się stało i było to największym nieszczęściem, jeśli chodzi o wymiar moralny, bo złamano nam kręgosłup. Natomiast już pierwsze stąpnięcie Papieża na polskiej ziemi, pierwsze jego słowa sprawiły, że ta zdeptana trawa zaczęła rosnąć.

J.R. – Pierwsze słowa to: „Pokój Tobie, Polsko". Ledwie stan wojenny zawieszony, a Papież przyjechał i mówi: „Pokój Tobie, Polsko, Ojczyzno moja".

J.S. – To był jakiś niezwykły powiew. Pamiętam też to spotkanie półoficjalne z przedstawicielami opozycji w kościele kapucynów w Warszawie. Czułem się wtedy reprezentantem internowanych. Zwróciłem się do Ojca Świętego, mówiąc o nich. Bardzo się ożywił w tym momencie – „jutro będę o was mówił". To było przed spotkaniem na Stadionie. Potem rzeczywiście wspominał o internowanych. Kiedyś, jak byłem w Rzymie, powiedział mi: „ja codziennie się modlę za »Solidarność« i modlę się za internowanych". Była to wielka pociecha. Natomiast nie przypominam sobie, żeby w tej drugiej pielgrzymce stało się coś takiego jak przy pierwszej. Jednak to przetrącenie kręgosłupa było bardzo ciężkie. Ale było tak, jak mówił pan Ruman, że Papież budził nadzieję. Przebudzenie nie miało tak wstrząsającego wymiaru jak podczas pierwszej pielgrzymki. Można jednak zapytać: co by było, gdyby tej wizyty nie było?

A.D. – Władze szalenie się tej pielgrzymki obawiały. Od wiosny 1982 r. były negocjacje z Episkopatem. Biskupi bardzo naciskali, żeby pielgrzymka odbyła się jeszcze w roku 1982, władze absolutnie się na to nie zgadzały. Mówiono, że to doprowadzi do destabilizacji, że dojdzie do przelewu krwi. Później, kiedy władze zgodziły się na pielgrzymkę w roku 1983, ciągle była ogromna niepewność z ich strony. Obawiano się, że dojdzie do żywiołowych demonstracji ogromnych mas ludzi, że sytuacja wymknie się spod kontroli. Ale oni bardziej bali się konfrontacji z tym, co Papież powie, i z samym Papieżem. Rzecz bardzo znamienna: major Wiesław Górnicki, doradca Jaruzelskiego, autor jego przemówień, w swoich wspomnieniach napisał, że generał tworzył mnóstwo wersji przemówień, ale w żadnym innym przypadku nie przekroczono 20 wersji, a tak było z przemówieniem wygłoszonym do

Papieża w Belwederze w czasie drugiej wizyty. Było 27 wersji tego przemówienia. Górnicki opowiadał, że pod Warszawą siedział z dwoma maszynistkami i cały czas produkował kolejne wersje. Jaruzelski stale był niezadowolony. Górnicki wspomina, że przemówienie było perfekcyjne, z satysfakcją stwierdza, że nawet przedstawiciele strony kościelnej czy dyplomaci watykańscy docenili jego finezję. Ale co było w tym przemówieniu? Jaruzelski się tłumaczył ze stanu wojennego. On się tłumaczył przed Papieżem, przytaczał swoje racje, ale to było wyraźne ustawienie się w pozycji kogoś, kto się tłumaczy. To było bardzo charakterystyczne.

Dla władz ta pielgrzymka miała spokojny przebieg. Sytuacja nie wymknęła się spod kontroli, tłumy nie ruszyły pod Komitet Centralny, nie doszło do żadnych aktów przemocy, do żadnych wystąpień żywiołowych. Wydaje się, że ta pielgrzymka pokazała władzom, iż stan wojenny się udał w tym sensie, że przetrącono kręgosłup społeczeństwu, „Solidarności", opozycji, że opozycja jest słabiutka i się nie liczy, ale za to Kościół potwierdza swoją potęgę i z Kościołem trzeba się liczyć. Później, po tej pielgrzymce, były próby przykręcenia śruby Kościołowi, w grudniu 1983 roku nastąpiło zablokowanie projektu ustawy, już wtedy wynegocjowanego, o stosunku państwa do Kościoła, który m.in. miał nadać Kościołowi osobowość prawną. Przedstawiciele strony rządowej powiedzieli: stop, my się wycofujemy z tego, tekst do szuflady. Później – eskalacja represji wobec księdza Jerzego, zakończona jego zabójstwem. Mimo to władze komunistyczne mają świadomość, że są za słabe, aby tę antykościelną krucjatę podjąć. Władze bardzo chcą przeprowadzić taką krucjatę, w kierownictwie partii są jastrzębie. Przypominam sobie protokół z posiedzenia kierownictwa PZPR z listopada 1986 r., podczas którego Henryk Bednarski zaproponował, by „aktywnie przeciwdziałać uznawaniu krzyża czy wizerunku Matki Boskiej za symbole polskości". Na to Jaruzelski mu odpowiedział, że „należy unikać werbalnego radykalizmu", bo – i tutaj następuje wywód – nasze możliwości są takie, jakie są, oczywiście chciałoby się więcej, ale bądźmy realistami.

Ta druga pielgrzymka jest w tym sensie ważna, że gdyby jej nie było, kto wie, czy władze nie próbowałyby, po tym jak się uporały z „Solidarnością", uporać się z Kościołem. Mimo że podejmowano takie próby, czego symbolem jest śmierć księdza Jerzego, to jednak nie doszło do wielkiej ofensywy antykościelnej. A kto wie, co strzeliłoby do głowy władzom. W 1984 r. Jaruzelski pojechał do Moskwy i tam usłyszał od Czernienki, że PZPR „nie wywiera w całej rozciągłości niezbędnego wpływu na główne procesy w życiu państwa i społeczeństwa. Jednym słowem, [...] nie wypełnia swej kierowniczej roli". Moskwę, w ponad dwa lata po wprowadzeniu stanu wojennego, szczególnie martwiła silna pozycja Kościoła katolickiego, aktywność „sił kontrrewolucyjnych" oraz budowa socjalizmu „wspólnie z kułakami". Jaruzelski dostaje wtedy order Lenina za stan wojenny, ale jednocześnie dostaje instrukcje. Sytuacja zaczęła się zmieniać, gdy nastał Gorbaczow. Wtedy wyraźnie

widać ten sygnał z Moskwy, że już koniec z doktryną Breżniewa i teraz trzeba sobie radzić samemu.

B.P. – Skoro już wybiegliśmy w przyszłość, to powiedzmy o trzeciej pielgrzymce, która przebiegała już w innej sytuacji.

A.D. – Ta pielgrzymka jest w jakimś stopniu nawet władzom potrzebna. Paradoksalnie to zabrzmi, ale tak naprawdę widzę w niej pewien element przygotowawczy do przemian, które później nastąpiły. Oczywiście władze nie tak sobie te przemiany wyobrażały. Natomiast jest tu wyraźny element, ze strony władz, traktowania tej trzeciej pielgrzymki jako pewnego otwarcia. Władze stawiają fundamentalny warunek, zanim się na nią zgodzą, żeby Papież przyjął w Watykanie generała Jaruzelskiego. To jest ten moment, w którym ekipa stanu wojennego z trudem przełamuje izolację międzynarodową. Znamy sprawozdanie Jaruzelskiego z tego spotkania. On tam bardzo dużo mówił o zagrożeniu niemieckim, to była ta typowa propaganda komunistów, że germańskie siły zagrażają. Ale padają tam też znamienne zdania ze strony generała: „Jako partia i państwo jesteśmy w pełni samodzielni. Nasze nowe, niekiedy eksperymentalne rozwiązania w polityce wewnętrznej nie tylko nie budzą krytyki, lecz wiele z nich spotyka się z życzliwym zainteresowaniem, co więcej, w jakimś stopniu promieniują na zewnątrz". To mówi Jaruzelski do Papieża. Dla mnie to jest sygnał, że otwierają się nowe możliwości, ja tak to odbieram. Mnie się wydaje, że paradoksalnie Papież to wykorzystał i stąd to Jego przesłanie w czasie trzeciej Pielgrzymki, której ukoronowaniem była Msza na Zaspie i te słowa o „Solidarności". Im więcej myślę o końcu lat osiemdziesiątych, tym bardziej widzę, że pewne rzeczy były wcześniej przygotowywane, przemyślane, choć może nie do końca zdawano sobie sprawę z konsekwencji tego, ale uruchamiano pewne procesy, które doprowadziły do wydarzeń roku 1989.

Coś się dzieje między tą drugą a trzecią pielgrzymką bardzo istotnego, i to nie dzieje się w Polsce, tylko poza nią. To są te rzeczy, o których my dzisiaj wiemy niewiele, to jest to, co działo się w trójkącie Waszyngton–Moskwa–Watykan. Tam zachodzą pewne zmiany. W przyszłości dopiero będziemy się stopniowo dowiadywać o różnych rozmowach, o sygnałach, które płynęły wielokierunkowo, i te sygnały znajdowały odzwierciedlenie w tym, co Papież mówił w czasie trzeciej pielgrzymki.

J.S. – Jeśli chodzi o faktografię trzeciej pielgrzymki, to pamiętam, że władza bardzo się wtedy bała i starała się ograniczyć udział ludzi we Mszy, na przykład na Zaspie. Jadąc właśnie tam, interweniowałem w drodze do Gdańska, kiedy zobaczyłem zatrzymany przez milicję autokar z delegacją „Solidarności" z Warszawy. Potem towarzyszyłem delegacji do samego Gdańska. Uniemożliwiono nam dotarcie do Gdańska na czas. Spóźniliśmy się, przychodząc dopiero na koniec papieskiej homilii. Ale to też miało swój dobry epilog, bo ta delegacja została szcze-

gólnie zauważona i powitana oklaskami. Podaję to jako przykład, że mieli wtedy wszystko pod mocną kontrolą. Bardzo pilnowali, żeby nie wyszły elementy solidarnościowe.

J.R. – Oni, myślę, mieli cały czas taką nadzieję, że to będzie wspomnienie historycznej sprawy. Że uda się to tak ograniczyć, że to nie będzie na nowo wybuch „Solidarności", tylko takie przyzwolenie, by Kościół pielęgnował tradycje, ale pod kontrolą. Pewnie sądzili, że Papież zrobi takie święto – wspomnienie czegoś, co było, ale do czego powrotu nie ma. Ich intencje były – moim zdaniem – właśnie takie. Zresztą to pałowanie ludzi, które urządzili po Mszy św., świadczyło, że nie będzie powrotu do „Solidarności", nic już się nie zdarzy, powołaliście sobie „Solidarność", Papież powiedział, że „mówi o was i za was", ale my was tu wracających z Mszy pałujemy, żeby pokazać, że na nic nie ma już szans.

B.P. – Ale zbliżał się już koniec peerelu.

A.D. – Często mam wykłady o roku 1989 i jestem pytany, dlaczego tak mało mówię o roli Papieża. Tu mam problem, bo o tym wiemy bardzo mało. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że wpływ Papieża na to, co stało się w roku 1989 nie tylko w Polsce, ale w całej Europie Środkowej, był trudny do opisania. Bo on nie wyrażał się przecież w żadnych inicjatywach politycznych, w żadnych apelach o strajki, o demonstracje, tylko właśnie w takim przekazie moralnym, który widać podczas wszystkich pielgrzymek do Polski. Ten wpływ przejawia się we wsparciu, jakiego Papież udzielał katolikom na Litwie czy Kościołowi unickiemu na Ukrainie czy Kościołowi podziemnemu w Czechosłowacji. To wszystko się składało z dziesiątek drobnych inicjatyw, które się ułożyły w wielką siłę właśnie w sferze ducha. To nigdy nie będzie łatwe do analizy, do zważenia i zmierzenia.

Drugi poziom to działania zakulisowe, codzienne, to jest tajna dyplomacja Watykanu. My wiemy dużo o roli polskiego Kościoła w tych przemianach i wiemy, że Papież był o tym informowany. Sądzę, że nawet inspirował pewne posunięcia, natomiast nie znamy szczegółów. Można dokładnie przedstawić kolejne etapy zbliżania do rozmów okrągłego stołu – cała historia zaczyna się w 1986 r., kiedy ekipa Jaruzelskiego dochodzi do przekonania, że trzeba coś zrobić, bo nastroje społeczne się pogarszają, Moskwa odmawia jednoznacznego wsparcia, jakiego dawniej udzielała, nie chce grozić interwencją. Początkowo ekipa Jaruzelskiego dochodzi do przekonania, że trzeba się dogadać z Kościołem. Pierwszy pomysł na okrągły stół to pomysł na dogadanie się z Episkopatem, żeby Kościół wygenerował albo chrześcijańskie związki zawodowe, albo partię chadecką, ale bez żadnego związku z „Solidarnością". Te apele do Kościoła trwają dwa lata. My wiemy, że Kościół to odrzuca, ale nie wiemy, jaka jest w tym rola Papieża. Jedno jest pewne, to jest bardzo słuszna decyzja.

J.R. – To pozwala Kościołowi uniknąć wciągnięcia w grę władz, która niewątpliwie była obliczona na zmanipulowanie Kościoła.

A.D. – Intencje komunistów znakomicie widać we fragmencie tajnego memoriału dla Jaruzelskiego ze stycznia 1987 r., w którym Jerzy Urban, Stanisław Ciosek i Władysław Pożoga pisali: „nie widać szans na odepchnięcie kościoła z obszaru, na którym już się rozgościł. Większe znaczenie ma postawienie granic jego ekspansji i wciągnięcie do częściowej współodpowiedzialności i wspólnictwa. Sprawienie, aby swe interesy wiązał z obecną linią władz i z obecną ekipą". To doprowadza do roku 1988. Wtedy już widać, że władze muszą z kimś zacząć rozmawiać, natomiast strona kościelna nie chce, odpowiada, że może tylko pośredniczyć, i cały czas pokazuje na Wałęsę i jego ówczesne otoczenie jako partnera rozmów. W tym momencie władze podejmują strategiczną decyzję, że jednak trzeba zacząć rozmawiać z Wałęsą. Przychodzi im to szalenie trudno. Jednak nic dziwnego, po tym wszystkim, co o nim mówiono i po tym, co pisano na temat „Solidarności", wszczęcie rozmów z tymi, którzy dalej pod szyldem „Solidarności" występują, jest dla władz upokorzeniem. Rakowski mówił na posiedzeniu Biura Politycznego, że „trudno to przechodzi przez gardło, ale musimy zacząć z nimi rozmawiać". Tutaj pojawia się znowu ogromna rola Kościoła. Pamiętam taką scenę, kiedy obrady okrągłego stołu już mają się rozpocząć, a Mazowiecki i Ciosek mocno naciskają na ks. Orszulika, żeby przypadkiem Kościół nie wycofał się z udziału w obradach. Ks. Orszulik mówi: „Naszym zadaniem było doprowadzenie do tego, żeby strony się spotkały, to teraz macie okrągły stół i nasza rola się kończy". Oni obaj jednym głosem: absolutnie rola Kościoła się nie kończy, Kościół musi być obecny. Później jest okres po okrągłym stole, okres kampanii wyborczej, kiedy znowu duchowieństwo odgrywa bardzo dużą rolę. Moim zdaniem wynik wyborów czerwcowych byłby zasadniczo inny, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, gdyby nie postawa znacznej części księży.

To jest moment, w którym wiadomo, że bardzo istotna jest postawa Zachodu, zwłaszcza dyplomacji amerykańskiej u schyłku rządów Reagana. Wiadomo, że były wtedy specjalne kontakty między Stolicą Apostolską a Waszyngtonem. W jakim zakresie, co tam płynęło, my po prostu o tym nie mamy wiedzy. Możemy się domyślać, ale to jest ciągle jeszcze przed nami. Wiele tajemnic roku 1989 jest ciągle do odkrycia. Podobnie rzecz się ma z polityką Moskwy. Przypomnę spotkanie Papieża z Gorbaczowem już po przełomie w grudniu 1989. Gorbaczow mówi, że bez Papieża Jana Pawła II to wszystko przebiegałoby inaczej. Nie podaje szczegółów, ale mówi nam pośrednio, że nawet on docenia ze swojej perspektywy rolę Papieża. Miną pewnie lata, zanim te dokumenty ujrzą światło dzienne, bo tak jest w historii, to może i dobrze, że w miarę upływu lat odkrywa się jej kolejne karty. Teraz jest jeszcze za wcześnie, żeby postawić kropkę nad i.

J.R. – Nie wiem, czy ksiądz zgodzi się z taką opinią, że wpływ Papieża na te procesy, które w Polsce zachodziły, był decydujący. Chodzi mi również o wpływ na postawę Episkopatu, bo był moment zawahania – inicjatywa abp. Dąbrowskiego,

który chciał ratować internowanych, negocjując możliwości ich wyjazdu za granicę. Natomiast postawa Papieża jest cały czas konsekwentna. Nie wiemy oczywiście o zakulisowych działaniach, ale wiemy o gestach symbolicznych. Już na początku stanu wojennego Papież w porozumieniu z Reaganem w jednym momencie wystawiają świece w oknie na znak solidarności z Polską.

A.D. — W dokumentach bezpieki z połowy lat osiemdziesiątych znajduje się analiza, w której mowa jest wprost o tym, że Prymas Glemp położył krzyżyk na „Solidarności", ale Papież nie. Funkcjonariusz MSW zastanawiał się w niej, czy oni się tylko tak podzielili rolami, czy też rzeczywiście tak uważają. Ten dokument w swej głównej konkluzji nie był odosobniony: władze oceniały wówczas, że Prymas przekreślił już „Solidarność", a Jan Paweł II ciągle ten mit „Solidarności" podtrzymuje.

J.S. — Ojciec Święty cały czas był depozytariuszem tego, czego dokonała „Solidarność", a co stało się na skutek jego inspiracji, i to uznawał za trwałe. Natomiast Ksiądz Prymas miał do czynienia ze słabością zarówno struktur „Solidarności", jak i reprezentantów związku. Nic dziwnego, że mógł wątpić, czy sprawa przetrwa dalej. Patrzył bowiem bardziej od strony konkretów, które nie były zbyt mocne. Popularność „Solidarności" w narodzie (nie mówię już o przyczynach) bardzo zmalała. Podejrzewam, że Ojciec Święty oceniał ją bardziej od strony ideowej. Nie sądzę, żeby to stanowisko było z kimkolwiek uzgadniane. A w ogóle nie przeceniajmy strategii Kościoła. Kościół po prostu stara się być z narodem i z nim trwać.

Chciałem na koniec nawiązać do tego, co pan Ruman powiedział: co się stało na placu Zwycięstwa? Myślę, że zadaniem nas wszystkich, a szczególnie historyków, jest analizowanie tego wszystkiego, łączenie w logiczną całość. Ale można to określić teologicznym słowem: to był po prostu cud. Dobrze, że my to analizujemy. Ale tak jak to obserwuję, jako ksiądz i duszpasterz, to są rzeczy absolutnie nieprzewidywalne. To jest naprawdę powiew Ducha Świętego. Kościół, wbrew pozorom, w sensie czysto dyplomatycznym nie jest najsprawniejszą machiną. Nie prowadzi, jak myślę, specjalnych analiz. Przyjmujemy jedynie to, co Pan Bóg nam daje. Przez działanie Ducha Świętego i nie chcemy tego zagubić. Natomiast wspaniały jest ten łańcuch Bożej logiki, która staje się zrozumiała dopiero wtedy, gdy spojrzy się wstecz i dostrzeże, jak ta mozaika wydarzeń była misternie układana. Wcześniej widać jedynie jej fragmenty, a dopiero później piękno całości. Wydaje się, że to, co się wydarzyło w Polsce po przyjeździe Ojca Świętego, mogło zaskoczyć jego samego, a na pewno zaskoczyło nas wszystkich, hierarchów i wiernych. Pozwalam sobie dlatego określić to wszystko teologicznym mianem cudu.

B.P. — Myślę, że ludzie doskonale to rozumieją, właśnie teraz, kiedy ten pontyfikat już się skończył. Kiedy po raz kolejny doświadczają pewnej metafizycznej sytuacji. Właśnie cudu, który rozpoczął się kiedyś i którego owoce — bo po tym się poznaje prawdziwy cud — do tej pory są piękne i świeże.

J.S. – Ostatnie dni, które teraz przeżywaliśmy, wprawiają w zadziwienie, żaden analityk nie przewidział tego, co w tej chwili widzieliśmy na ulicach i placach naszych miast.

J.R. – I przy konfesjonałach, które przecież były szturmowane bardziej chyba niż przed świętami.

J.S. – Czy to nie jest cud? Z pewnością są to przejawy cudu. Przychodzą teraz do kościoła nawet ludzie z marginesu i proszą o rekolekcje. Spontaniczność ludzi stała się niezwykła i nieprzewidywalna. Uczestniczyłem w komitecie organizacyjnym pierwszej papieskiej pielgrzymki i teraz też byłem w zespole, który przygotował Mszę św. na placu Piłsudskiego. Przedtem te Msze były przygotowywane tygodniami, a tu wystarczyła jedna noc. Inicjatywa wyszła od ludzi świeckich, włączyły się władze miasta. Niewiele godzin wystarczyło na przygotowanie ołtarza i wszystkiego, co niezbędne. I trzeba podkreślić, że bez kart wstępu przyszło ponad 150 tys. ludzi, a dwa dni później znacznie więcej. I nikomu nic się nie stało. To też jest cud.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 4 (51), kwiecień 2005

ZBRODNIA KATYŃSKA

Z Jędrzejem Tucholskim i Witoldem Wasilewskim
rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Podpisanie w nocy z 23 na 24 sierpnia 1939 r. niemiecko-sowieckiego układu przez Joachima Ribbentropa i Wiaczesława Mołotowa formalnie dotyczyło paktu o nieagresji, ale był w nim również tajny protokół specjalny określający interesy obu stron, który przewidywał głównie podział sfer wpływów na obszarze Polski i państw bałtyckich. Agresja sowiecka na Polskę 17 września 1939 r. była już tylko konsekwencją tego układu. Dała Sowietom możliwość, mimo niewypowiedzenia wojny, wzięcia do niewoli około 250 tys. jeńców wojennych — polskich żołnierzy i oficerów znajdujących się na terenach polskich Kresów Wschodnich, czyli — według Sowietów — »Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi«.***

J.T. — Odmiennie niż w normalnych cywilizowanych krajach, w Związku Sowieckim armia przekazywała jeńców siłom bezpieczeństwa, czyli NKWD. Zarówno wszystkie obozy przejściowe, w których gromadzono tych ludzi, jak i obozy stałe — zorganizowane we wrześniu — cały system obozów jenieckich był w gestii NKWD. Utworzono trzy obozy specjalne: obóz w Starobielsku, gdzie ostatecznie zamknięto kadrę oficerską, głównie z obrony Lwowa, niecałe 4 tys. ludzi; obóz w Kozielsku, gdzie znalazł się mój ojciec, tu również byli oficerowie WP i oficerowie Korpusu Ochrony Pogranicza, razem około 4,5 tys.; obóz ostaszkowski, na wyspie na jeziorze Seliger, który był przeznaczony przede wszystkim dla Policji Państwowej, a jednocześnie dla Straży Więziennej, Straży Granicznej, dla ludzi z — dzisiaj powiedzielibyśmy — służb specjalnych, między innymi dla Oddziału II; przebywało tam około 6,3 tys. osób.

B.P. — ***Wśród osadzonych w obozach oprócz zawodowych wojskowych znaleźli się rezerwiści: profesorowie wyższych uczelni, lekarze, prawnicy, inżynierowie, nauczyciele, dziennikarze, literaci i duchowni.***

J.T. — Duchowni byli kapelanami wojskowymi, jedni służby stałej, inni powołani z rezerwy w ramach mobilizacji. Mój ojciec był pracownikiem naukowym Instytutu Technicznego Uzbrojenia, a jednocześnie adiunktem Politechniki Warszawskiej. Prof. Stanisław Swianiewicz, jeden z tych, którzy przeżyli, powołany do służby

wojskowej w ramach mobilizacji, był profesorem z Wilna. Nauczyciele akademiccy często pracowali na rzecz wojska. Ale w obozach w Kozielsku i Starobielsku w zasadzie nie było ludzi bez mundurów; owszem, trafiali się pojedynczo ziemianie i wysocy urzędnicy państwowi.

W.W. – Większość inteligencji, która zginęła w Katyniu, to byli oficerowie rezerwy powołani w ramach mobilizacji, przedstawiciele polskich elit, również ziemiaństwa.

J.T. – Wspomniałem na razie o trzech obozach, a to nie było wszystko. Decyzja z 5 marca 1940 r. obejmowała również więźniów politycznych, którzy siedzieli w więzieniach na tzw. Zachodniej Ukrainie i Zachodniej Białorusi. W więzieniach tych znajdziemy ludzi, o których pani mówi. Byli tam cywile, byli też i oficerowie, którzy zostali aresztowani indywidualnie, cywile – pracownicy państwowi, członkowie organizacji podziemnych, działacze partii politycznych, działacze samorządowi, posłowie. Tych ludzi osadzono w więzieniach. Było ich ponad 7 tys. Zostali oni również objęci decyzją z 5 marca 1940 r. To, co określamy wspólnym terminem „Zbrodnia Katyńska", dotyczy więc rozstrzelanych jeńców z tych trzech obozów – z Kozielska w Katyniu, Starobielska w Charkowie, Ostaszkowa w Kalininie (dziś Twer) i pochowanych w Miednoje oraz więźniów straconych na Ukrainie i Białorusi, razem ponad 20 tys. ludzi.

B.P. – ***Była to decyzja o »zastosowaniu wobec nich najwyższego wymiaru kary – rozstrzelania« podjęta przez Biuro Polityczne KC WKP(b) 5 marca 1940 r. i zaakceptowana przez Józefa Stalina. Notatkę sporządził Ławrientij Beria. Zgodę oprócz Stalina podpisali również Mołotow, Woroszyłow, Kalinin i Kaganowicz. A 22 marca Beria wydał rozkaz o »rozładowaniu więzień NKWD USRS i BSRS«. Faktycznie ludzie przebywający w obozach w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku nie byli jeńcami wojennymi, ale więźniami systemu, czyli więźniami politycznymi. Zostali uznani przez Sowietów za wrogów ich państwa.***

W.W. – Nawet w przypadku obrońców Lwowa trudno nazwać tych żołnierzy jeńcami wojennymi, bo wszyscy byli brani do niewoli faktycznie już w momencie, w którym wracali do domów. Było to szczególnym objawem barbarzyństwa...

J.T. – ...Sowieci w ogóle nie przestrzegali konwencji haskiej...

W.W. – ...formalnie zresztą jej nie podpisali.

J.T. – W przypadku kapitulacji Lwowa było ustalone, że oficerowie wychodzą z miasta. Sformowali kolumny oficerskie i... zagnano ich do pociągów towarowych, które powiozły ich na Wschód.

B.P. – ***Warto przypomnieć, że w chwili wkroczenia Sowietów na ziemie polskie Naczelny Wódz, marszałek Edward Rydz-Śmigły, wydał rozkaz o niepodejmowaniu walki.***

J.T. – Sytuacja była taka, że wojna nie została wypowiedziana, a agresja dokonana. Część wojska mimo tego rozkazu zalecającego niewchodzenie w starcia zbrojne

biła się dalej, i to wcale niemało, natomiast część posłuchała, i to było również fatalne, że poddawano się bez strzałów.

W.W. – Rozkaz Śmigłego zakładał wycofywanie się w kierunku Rumunii i Węgier oraz walkę tylko przy próbach rozbrojenia. Niektóre oddziały na Polesiu potraktowały ten rozkaz jako dywersję sowiecką – nie wierzono, że Wódz Naczelny może wydać taki rozkaz. Ocena polskiego Naczelnego Dowództwa i poszczególnych dowódców niższych szczebli, choćby we Lwowie, była oparta na błędnych przesłankach. We Lwowie celowo czekano, żeby skapitulować przed Sowietami; uważano, że lepiej zrobić to przed nimi niż przed Niemcami, a jak wiemy, później traktowanie jeńców przez Rosjan było dużo gorsze, gdyż Niemcy zwykle przestrzegali konwencji. Wynikało to też być może z oceny sytuacji z wojny polsko–bolszewickiej, kiedy jeńcy polscy dostali się w dużej masie do niewoli sowieckiej. To jest mało znany epizod, zapewne jeszcze mniej znany w społecznym rezonansie niż cała kwestia Zbrodni Katyńskiej. Trzeba powiedzieć, że w latach 1919–1920 Sowieci traktowali polskich jeńców lepiej niż w latach 1939–1940. Na froncie dość często zdarzały się mordy na „polskich panach" w mundurach, ale po traktacie ryskim większość jeńców wróciła do kraju. To, co się stało z jeńcami polskimi po wrześniu 1939 r., mogło więc zaskakiwać. Wojskowi, ziemianie i osoby zaangażowane politycznie byli, co wynika z decyzji z 5 marca, traktowani jako najgorsi wrogowie systemu stalinowskiego, których należy zamordować. Tymczasem w roku 1920 jeńcy, przynajmniej niżsi rangą, zwłaszcza szeregowcy, czyli *riadowi*, byli traktowani jako potencjalni uczestnicy armii rewolucyjnej, których można poddać indoktrynacji ideologicznej, praniu mózgów i wcielić do tej armii.

J.T. – To, że uznano ich za niepoprawnych wrogów systemu, było wynikiem rozlicznych rozmów, które były prowadzone w obozach przez doświadczonych oficerów z ramienia sowieckiego wywiadu. To oni przedstawiali swoje oceny, iż są to wrogowie Rosji, systemu sowieckiego, są niepoprawni. Sowieci nie bardzo wiedzieli, co z nimi robić. Wyżywienie kosztowało.

B.P. – ***Najprawdopodobniej dlatego podjęto decyzję, żeby spośród wziętych we wrześniu 1939 r. do sowieckiej niewoli wojskowych około 42 tys. szeregowców i podoficerów zwolnić z obozów. Pochodzili z terenów tzw. Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy. Uznano, że nie stanowią zbyt wielkiego zagrożenia dla Sowietów. Podobną liczbę przekazano Niemcom. To rozładowało trochę zapełnione jesienią więzienia i obozy etapowe, choć nadal trwały aresztowania. Ponad 180 tys. osób deportowano w głąb ZSRS. Te wszystkie ruchy zakończyły się w momencie przewiezienia wyselekcjonowanej grupy jeńców do obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku.***

J.T. – Jeżeli chodzi o Kozielsk i Ostaszków, to mamy komplety list wywózkowych do miejsc kaźni, które się sumują. Gdy chodzi o Starobielsk, znalazła się tylko jedna

lista, łączna – to jest lista akt założonych jeńcom. Tzw. ukraińska lista „więźniów politycznych" – jak ich określam – jest kompletna. Nie mamy listy białoruskiej, możemy tylko domyślać się nazwisk tych osób i miejsca zbrodni – najprawdopodobniej są to Kuropaty koło Mińska. Wiadomo, że do Mińska w tym samym czasie zwożono ludzi z więzień w Pińsku, Grodnie, Brześciu itd. W Mińsku ślad się urywa. Brakuje nam na pewno 3,8 tys. nazwisk.

Jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że chyba jako jeden, jedyny znam dokładnie datę śmierci mojego ojca. Był wieziony z Kozielska w tym samym przedziale co prof. Swianiewicz. Kiedy ten transport dotarł już do stacyjki Gniezdowo opodal Katynia, profesor został wycofany do dalszego śledztwa; przegadali całą tę noc w pociągu. To był 30 kwietnia, stąd wiem, że ojca rozstrzelali 30 kwietnia raniutko. Pierwsza wiadomość, jaka dotarła na ten temat, pochodziła od prof. Swianiewicza jeszcze z Kanady, w czasach stalinowskich. Bardzo nielegalną drogą trafił do nas ów list.

B.P. – ***Jakie były warunki transportu, przetrzymywania, więzienia? Jaka tam była atmosfera? Jakie domniemania co do przyszłego losu?***

J.T. – Atmosfera we wszystkich obozach jenieckich jest zawsze zła. Oni łudzili się ciągle liczyli na Francję, na Anglię. Mieli nadzieję, że zostaną oswobodzeni. Że tak czy inaczej z tych obozów wyjdą. Do tego stopnia, że kiedy zaczęły się wywózki, sądzili, iż Sowieci przekazują ich Niemcom.

B.P. – ***Z relacji wiem, że część osób liczyła się z ewentualnością wywózki w głąb Rosji, ale z pewnością najmniej spodziewano się likwidacji.***

J.T. – Jeżeli chodzi o Starobielsk i Kozielsk, to te dwa obozy spodziewały się przekazania Niemcom. Jest to wiadome z relacji ocalałych, których powieziono do Pawliszczew Boru, a potem do Griazowca. Tak czy inaczej nastroje były podłe. Wyobraźmy sobie wielką liczbę zamkniętych mężczyzn, którzy siedzą bezczynnie. Usiłowano coś robić, np. w Starobielsku powstało Towarzystwo Kulturalne, które dzieliło się na różne sekcje zainteresowań. Oczywiście potem zostało rozpędzone przez NKWD, a najaktywniejsi jego członkowie aresztowani. Bardzo dużą rolę odgrywali w obozach księża. Prowadzili codzienne, ranne i wieczorne modlitwy, odprawiali nabożeństwa w czasie świąt i niedziel. To było bardzo ważne. Jeżeli chodzi o warunki wyżywienia, były one lepsze niż ludności miejscowej, która była strasznie zabiedzona. Obozy, wszystkie trzy, mieściły się – co ciekawe – w budynkach poklasztornych. Pomieszczenia były zabudowane wielopiętrowymi pryczami, panował więc duży tłok i co się z tym wiąże, oczywiście było robactwo. Ratowali się jak mogli, choć warunki bytowe były bardzo ciężkie.

W.W. – A odnośnie do tej niewielkiej grupy, którą wyłączono z transportów śmierci, i która przeszła przez Pawliszczew Bor i Griazowiec, mamy sporo relacji. Wiemy, że np. dysponowali biblioteczką, oczywiście selekcjonowaną według upodobań założycieli państwa sowieckiego. Były tam np. dzieła Tołstoja, ale nie było Dostojewskiego, były książki Balzaca, którego Lenin cenił ze względu na jego

analizę społeczną. Korzystał z nich między innymi Józef Czapski. Elementy samokształcenia nie zmieniały oczywiście ogólnie złych warunków.

J.T. – Usiłowano indoktrynować jeńców, łudząc się, że może część, czy wszyscy, w jakimś stopniu w odpowiednim momencie zasili Armię Czerwoną, ale to się nie udawało.

B.P. – ***Czy da się odpowiedzieć na pytanie, według jakiego klucza została zakwalifikowana ta grupa 395. osób, która uniknęła wyroku śmierci? Wiadomo, że tymi osobami interesował się zwłaszcza oddział NKWD zajmujący się wywiadem.***

J.T. – To było bardzo różnie, znaleźli się w niej między innymi tacy ludzie jak Berling, Bukojemski, którzy zadeklarowali w czasie indywidualnych rozmów współpracę i w ten sposób kupili sobie życie. Byli też tacy, którzy mieli miękkie charaktery, i NKWD łudziło się, że ich zwerbuje na swoją stronę. W przypadku stu kilkudziesięciu osób, które znalazły się w tej grupie, to się udało. Zostali zwerbowani i donosili na swoich kolegów pułkowych – i na tych, co nie siedzieli w obozie, i na tych, którzy siedzieli. Co do innych – nie wiadomo.

W.W. – Często dochodzono do tego *post factum*. Prof. Swianiewicz wyjaśniał ocalenie swoimi badaniami nad Rzeszą Niemiecką, które mogły interesować Sowietów. Został wyłączony bezpośrednio przed egzekucją. Z kolei w wypadku Józefa Czapskiego można domniemywać, że ocaliły go jego kontakty, a nawet pokrewieństwo z dworem włoskim.

B.P. – ***W jego sprawie interweniowała ambasada Niemiec w Moskwie...***

J.T. – Było kilka czy może kilkanaście osób, w których przypadku rolę odegrały starania poselstwa litewskiego czy starania niemieckie.

B.P. – ***A ksiądz Peszkowski?***

J.T. – To był wtedy młodziutki podchorąży i nie bardzo wiadomo, podobnie jak w innych przypadkach, skąd się znalazł w tej grupie.

B.P. – ***Nie minie nas najgorsza część tej przerażającej historii, czyli opis tego, jak uruchomiono całą tę machinę śmierci i jakich używano technik. To, co jest zatrważające, to ekonomia tej zbrodni. No i oczywiście stworzenie takiej sytuacji, żeby wszystko odbywało się w sposób jak najbardziej tajny.***

J.T. – Starobielsk był likwidowany w Charkowie, w VI kwartale parku leśnego odnalazły się groby, długo ich poszukiwano. Groby jeńców z Kozielska w Katyniu zostały odkryte już w 1942 r. przez polskich robotników z Bauzugu (niemiecki pociąg naprawczy), którzy tam naprawiali tory. Dowiedzieli się od miejscowych, że tu ginęli polscy oficerowie. Poszli z łopatami, naruszyli jedną z tych mogił, na których rosły młode sosenki, i znaleźli zwłoki. Zakopali je ponownie, postawili brzozowe krzyże. Ja tu gdzieś nawet mam zdjęcie tych ludzi, ponieważ oni się sfotografowali.

Dali o tym znać do Warszawy, ale wówczas nikomu nie przyszło do głowy, że tam leży aż cztery i pół tysiąca ludzi. W 1943 r. mogiły odkryli Niemcy, którzy ogłosili to 13 kwietnia 1943 r., przez radiostację Agencji Transocean w Berlinie, wykorzystując odkrycie do celów propagandowych. Sprowadzili tam międzynarodową komisję, która składała się z wysoko kwalifikowanych lekarzy medycyny sądowej z niemieckich państw satelickich i okupowanych przez Niemcy bądź z nimi sprzymierzonych: Belgii, Bułgarii, Danii, Holandii, Chorwacji, Czech, Słowacji, Rumunii, Węgier, Finlandii, Włoch.

B.P. — ***Ale był w tej grupie również lekarz z neutralnej Szwajcarii, dr François Naville z Uniwersytetu w Genewie.***

J.T. — Pojechała tam również komisja techniczna PCK, a oprócz tego znany pisarz Ferdynand Goetel. Komisja PCK rozpoznawała zwłoki, pracując zresztą w okropnych warunkach.

B.P. — ***Pierwszą reakcją Sowietów na wiadomość podaną przez berlińską radiostację była informacja, że natknięto się na stare, znane stanowisko archeologiczne. To był początek kłamstwa katyńskiego, którego następnym etapem było obarczenie winą za ten mord Niemców.***

J.T. — Kiedy nasz rząd na uchodźstwie skierował sprawę do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Szwajcarii, równocześnie to samo zgłosili Niemcy. Sowieci uznali to za pretekst do zerwania stosunków dyplomatycznych z Polską, od tego zaczyna się aranżowanie Związku Patriotów Polskich, tworzenie Dywizji Kościuszkowskiej, czyli początek działań mających na celu trwałe zawładnięcie częścią ziem polskich i włączenie całej Polski w sowiecką orbitę.

B.P. — ***Powróćmy jeszcze do tych dni, kiedy dokonywano egzekucji. Jak one przebiegały?***

J.T. — Najdokładniej znamy przebieg egzekucji w kalinińskim NKWD. Mamy dokładne zeznania naczelnika tamtejszego Zarządu NKWD — Tokariewa. Do Kalinina skierowano z Moskwy ekipę zawodowych morderców, katów, którzy przywieźli ze sobą niemieckie pistolety. Wcześniej długo nie było wiadomo, skąd na miejscu kaźni znalazła się niemiecka amunicja. Otóż przywieźli oni ze sobą walizeczkę waltherów PPK, bo używane dotąd nagany zrywały nadgarstek przy strzale; po dwudziestu paru strzałach człowiekowi było ciężko dalej strzelać. Z walthera strzela się bardzo miękko. Oni tę broń kupowali od Niemców, myśmy zresztą też ją kupowali. I amunicję, i broń. W czasie ekshumacji w 1991 r., w których brałem udział, znajdowaliśmy amunicję zarówno do nagana, jak i, najczęściej, do walthera. Transporty kolejowe ludzi przywożonych z Ostaszkowa do Kalinina eskortowały wojska konwojowe NKWD, od których protokolarnie przejmowało je kalinińskie NKWD. Na stacji ludzi ładowano do „czornego worona" (autobus więzienny), który kursował między stacją a siedzibą NKWD, i tam zamykano ich w celach. Nocą włączały się jakieś zagłuszające maszyny, ale i tak pomieszczenie

w piwnicy, do którego pojedynczo doprowadzano więźniów, było wyciszone, obite kocami z wielbłądziej sierści. Znaleźliśmy to pomieszczenie. Miało dwa wejścia, jedno przez korytarz, a po drugiej stronie wyjście na zewnątrz, gdzie stały samochody ciężarowe. Skazańca najpierw doprowadzano do świetlicy w piwnicy, do tzw. czerwonego kącika, poświęconego Leninowi. Tam na liście sprawdzano nazwisko, imię, rok urodzenia, imię ojca. Jeśli wszystko się zgadzało, stawiano fajeczkę przy nazwisku, ręce z tyłu skuwano kajdankami. Tak było w Twerze. W Charkowie ręce były wiązane z tyłu. Następnie dwóch bojców wprowadzało człowieka do tego wyciszonego pomieszczenia. Za drzwiami wejściowymi od strony korytarza stał kat. Miał dość potworny strój – był w skórzanej pilotce, skórzanym płaszczu, skórzanych rękawicach za łokcie. Stał za drzwiami, drzwi się zamykały, strzelał. Zamordowanemu zadzierano poły płaszcza na głowę i zakręcano dookoła głowy, żeby nie krwawił zbyt mocno. Tak te zwłoki przeważnie znajdowaliśmy. Wynoszono je drugimi drzwiami do samochodu i wprowadzano następnego. I tak dwustu do trzystu w ciągu nocy.

B.P. – ***Zdejmowano im kajdanki?***

J.T. – Tak, bo to było mienie państwowe, szkoda go było. I jak samochody zostały załadowane, to nad ranem jechało tych parę wozów do Miednoje. Tam koparka kopała wielkie groby i do nich wrzucano zwłoki, a następnie zakopywała.

B.P. – ***Wrzucano je bezładnie?***

J.T. – Tak. Enkawudziści mieli bardzo mało czasu na rewidowanie i obrabowanie zwłok, tak że bardzo wiele rzeczy znaleźliśmy w tych dołach: dokumenty, zdjęcia, listy, kosztowności. Wystarczy pójść do Muzeum Katyńskiego i zobaczyć, ile tego jest. Bardzo dużo.

W.W. – Czy można, w momencie ekshumacji, z położenia zwłok czy ze sposobu zadzierzgnięcia pętli na rękach, wywnioskować, że były próby oporu bezpośrednio przed egzekucją?

J.T. – To dotyczy Lasu Katyńskiego. A ja w tej chwili opowiadam o Twerze, gdzie uczestniczyłem w ekshumacji. Ekshumacja w 1991 r. została przeprowadzona na potrzeby śledztwa, bo całe śledztwo katyńskie zaczęło się naprawdę 25 grudnia 1990 r., kiedy Naczelna Prokuratura Armii Sowieckiej przysłała do naszej Prokuratury Generalnej pismo zawiadamiające, że wszczyna śledztwo i proponuje naszą Prokuraturę Generalną jako prokuraturę posiłkową wspierającą działania śledcze na zasadzie pomocy prawnej. Stąd przyjazd do Tweru całej grupy prokuratorów i polskiej ekipy ekshumacyjnej.

B.P. – ***Na czyj wniosek zostało rozpoczęte to śledztwo?***

J.T. – Sprawa toczyła się od października 1989 r., kiedy ówczesny prokurator generalny PRL Józef Żyta wystosował do prokuratora generalnego ZSRS Aleksandra Suchariewa pismo zawierające wniosek o wszczęcie śledztwa w sprawie Zbrodni Katyńskiej.

B.P. — ***Czyli to był wniosek strony polskiej.***

J.T. — Pierwszy był wniosek strony polskiej z października 1989 r.; ostatecznie jesienią 1990 r. do Moskwy pojechał minister Skubiszewski, któremu towarzyszył prokurator Stefan Śnieżko. W rozmowie z ministrem Eduardem Szewardnadze nareszcie ta sprawa się wyklarowała i minister dał polecenie natychmiastowego wszczęcia śledztwa. Wcześniej obiecywał to Michaił Gorbaczow. Minęły jeszcze dwa miesiące i w grudniu, i to nie przez kanały dyplomatyczne, tylko przez Północną Grupę Wojsk, nadeszła do polskiej prokuratury propozycja włączenia się do wspólnego śledztwa. Przywiózł ją oficer. Pokazali dokumenty, Śnieżko jeździł, oglądał, dogadali się, tu przyjechało czterech sowieckich prokuratorów wojskowych, zwołano zebranie, na którym oprócz grupki wytypowanych przez Śnieżkę polskich prokuratorów znaleźli się także biegli eksperci, między innymi ja, jako historyk. Wszystko zostało ustalone. Sowieci porobili zdjęcia terenów z helikopterów, zarówno w Charkowie, jak i w Miednoje. Chodziło o te dwa miejsca, gdzie nie zostały jeszcze precyzyjnie zidentyfikowane masowe groby. W lipcu 1991 r. wyjechaliśmy do Charkowa na trzy tygodnie i znaleźliśmy masowe groby polskie oraz wcześniejsze — ukraińskie i sowieckie. Potem pojechaliśmy do Miednoje, gdzie natrafiliśmy na największy chyba grób. Przez moje ręce przeszły szczątki 243 policjantów. Dalsze ekshumacje prowadzono dopiero w latach 1994–1996, w związku z budową przyszłych cmentarzy.

B.P. — ***W Kalininie i Charkowie więźniów mordowano w pomieszczeniach na terenie siedzib NKWD, w Lesie Katyńskim zabijano ludzi bezpośrednio nad wykopami ziemnymi albo w wykopach. Z czasem pojawiła się hipoteza, że i tam mord odbywał się w pomieszczeniu zamkniętym.***

J.T. — To są domniemania. Jeśli chodzi o Las Katyński, to charakteryzował się on przede wszystkim tym, że część zwłok była związana i to w sposób okrutny, taką pętlą od szyi do rąk i stóp, każdy ruch kończynami powodował zaciskanie się pętli. Część miała worki czy kaptury na głowach. Musieli strasznie krzyczeć i wyrywać się, to byli silni mężczyźni, nawet znaleziono w ich ustach trociny.

B.P. — ***No właśnie, to ich obecność naprowadziła na trop, by myśleć o egzekucji w zamkniętym pomieszczeniu wysypanym trocinami. W tej stojącej nieopodal willi.***

J.T. — Ale to była wypoczynkowa willa dla NKWD. Najprawdopodobniej zabijano ich jednak nad samymi dołami (było ich osiem), bo wiemy, którędy był wjazd do lasu, gdzie było miejsce rewizji, gdzie np. majorowi Solskiemu, o czym zdążył napisać, odebrano scyzoryk, i dosłownie trzy kroki dalej był wielki masowy grób zapełniony zwłokami. Cztery masowe groby, do których komisja techniczna PCK przełożyła zwłoki podczas ekshumacji, zachowały się nienaruszone do czasu ostatnich ekshumacji, które prowadzono w Katyniu na dużą skalę w 1994 i 1995 r. Wtedy te doły zostały odkryte. To jest dosłownie morze szkieletów. Wcześniej, w 1943 r., zwłoki były rewidowane przez członków komisji PCK, którzy zabierali wszystkie

mobilia – dokumenty, zdjęcia, a także przedmioty osobiste. Zwłoki generałów Smorawińskiego i Bohaterewicza udało się zidentyfikować, ponieważ spoczywały w trumnach.

B.P. – ***Jest dość tajemnicza historia z dołem numer 8.***

J.T. – Ten dół odkryliśmy w roku 1994, ale już był pusty, znaleziono tam chyba tylko dwie rogatywki i jakieś drobiazgi. Był opróżniony. Dół ten znajduje się już poza cmentarzyskiem, po przeciwnej stronie bagna.

W.W. – Jak pan tłumaczy zagadkę tego ósmego dołu?

B.P. – ***Są jakieś hipotezy na ten temat?***

J.T. – Trudno dociec, może zrobiła to sowiecka fałszerska komisja Burdenki. W pobliżu tego dołu był zakopany chłop w kożuchu. Czekiści przecież rozstrzeliwali tam też swoich, i to przez wiele lat.

W.W. – Czy można przypuszczać, że spoczywały tam zwłoki, na których ukryciu mogło szczególnie zależeć sprawcom?

J.T. – Nie sądzę, na kim mogło im zależeć? Dla nich było wszystko jedno, kogo grzebią, generała czy porucznika, oficera zawodowego czy rezerwy.

B.P. – ***To może przejdźmy do etapu ujawniania informacji o popełnionej zbrodni i o reakcjach świata. Bo tragedia katyńska nie zamyka się tylko i wyłącznie na przerwaniu życia kilkudziesięciu tysięcy ludzi, ale dotyczy i tego, jak współcześni odsuwali od siebie z różnych powodów i różnymi sposobami przyjęcie takiej informacji. Nie tylko jej przyjęcie, ale przede wszystkim wyciągnięcie wniosków i konsekwencji. Na poziomie wniosków dotyczyło to zweryfikowania swojej polityki wobec Związku Sowieckiego, a w konsekwencji odłożenia aż do dzisiejszych czasów pociągnięcia do odpowiedzialności za zbrodnię. To przedłużenie tej tragedii jest dramatycznym, wymownym etapem tego, co rozpoczęło się w kwietniu 1940 r.***

J.T. – Zbrodnia posłużyła jako pretekst do zerwania stosunków polsko-sowieckich. Za skandal moralny należy uznać próby wyciszenia tej sprawy przez naszych aliantów, którzy jednocześnie byli aliantami sowieckimi. Chodzi głównie o Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i o Wielką Brytanię. A tutaj przede wszystkim wybija się postać prezydenta Franklina Roosevelta.

B.P. – ***Skutecznie odsuwał w cień tych ze swego otoczenia, którzy bombardowali go informacjami o Katyniu.***

J.T. – W mniejszym stopniu, bo miał ludzkie odruchy – odnosi się to do Winstona Churchilla. Ale Brytyjczycy też zamknęli usta polskiej prasie emigracyjnej, z premedytacją wyciszali tę sprawę. Był po prostu ciągły strach, że Stalin się obrazi i zawrze pokój z Niemcami.

W.W. – Postawa taka trwała również i po zakończeniu wojny, kiedy w grę nie wchodził już ani straszak niemiecki w Europie, ani gra Roosevelta na wciągnięcie

Rosjan do wojny z Japonią, co również miało wpływ na jego politykę niedrażnienia Stalina, kosztem choćby Polaków, którzy w wojnie na Dalekim Wschodzie pomóc nie mogli.

B.P. — ***To nie jest czas przeszły, taki stan rzeczy trwa do tej pory.***

J.T. — Trochę zaczęli pisać na ten temat Anglosasi. Pierwszy raz sprawa pojawiła się na forum politycznym, kiedy wzięła ją w swoje ręce Komisja Kongresu USA po wybuchu wojny koreańskiej.

W.W. — Kongresowa komisja Raya Maddena faktycznie przeprowadziła dowód zbrodni, gromadząc olbrzymi materiał, który został nawet po części opublikowany.

B.P. — ***No tak, ale to był 1951 r. i wówczas chciano wykorzystać tę sprawę do załatwienia doraźnych interesów zimnowojennych.***

J.T. — Kwestię zbrodni chciano przenieść na forum ONZ, żeby wszcząć postępowanie przed Międzynarodowym Trybunałem, ale nikt tego nie podjął i sprawa ucichła.

W.W. — Gwoli sprawiedliwości powiedzmy, że około roku 1970 w Wielkiej Brytanii pojawiła się inicjatywa budowy pomnika w londyńskiej dzielnicy Kingston–Chelsea, również prace Louisa Fitzgibbona, a nawet poświęcony Katyniowi program BBC. Wywołało to zresztą wściekłość władz sowieckich i peerelowskich.

J.T. — Trzeba też pamiętać, że na Zachodzie ciągle funkcjonowały partie komunistyczne i lewackie, we Francji, w Wielkiej Brytanii. Jaka była awantura o pomnik katyński w Londynie!

W.W. — Partie te zostały zresztą wykorzystane bezpośrednio do budowy kłamstwa. Mianowicie tam, gdzie nie sięgnęła władza sowiecka po II wojnie, nie można było świadków zbrodni z międzynarodowej komisji spacyfikować w sposób bezpośredni, jak w przypadku Marko Markowa w Bułgarii czy Františka Hajka w Czechosłowacji. I tu odegrały swoją rolę środowiska komunistyczne, lewicowe.

B.P. — ***Trzeba przypomnieć, że Bułgar Marko Markow i František Hajek wchodzili w skład powołanej przez Niemców międzynarodowej komisji lekarzy, pracującej w opaskach Czerwonego Krzyża w Katyniu w 1943 r. Niektórzy członkowie komisji, jak Szwajcar François Naville czy zbiegły na zachód jej węgierski przewodniczący dr Orós, byli poza bezpośrednim zasięgiem komunistycznego aparatu przymusu, ale ci, którzy znaleźli się w krajach podporządkowanych ZSRS, byli szybko zmuszani do zmiany wcześniejszych opinii.***

W.W. — Tam można to było zrobić bezpośrednio, używając środków przymusu z dobrze znanego nam arsenału komunistycznych metod, a tam, gdzie nie można było jawnie sięgnąć po przemoc, sięgano do metody inspirowania nagonki środowisk lewicowych. François Naville'a szwajcarscy komuniści oskarżyli w 1946 r. o pomocnictwo w propagandzie niemieckiej i chcieli zmusić do odwołania wyników badań świadczących o winie sowieckiej, ale na szczęście Wielka Rada Kantonu

Genewa, przed którą sprawa ta została wniesiona, odrzuciła ich argumenty i uznała, że Naville działał podczas ekshumacji i prac komisji prawidłowo. Były również prowadzone podobne działania, niewątpliwie inspirowane przez NKWD, w innych krajach, które nie znalazły się w bloku sowieckim, jak choćby w Danii. W bloku sowieckim podjęto je już zaraz po wojnie i istnieją np. telefonogramy do późniejszego ministra spraw zagranicznych, słynnego Andrieja Wyszyńskiego, wówczas wiceministra spraw wewnętrznych, informujące, że w Bułgarii podjęto działania mające na celu wyciszenie sprawy katyńskiej. Są to działania skierowane w Markowa, jeszcze z 1945 r. Tenże Markow, jak wspominała wiele lat później jego córka, był prześladowany w sposób straszny i niestety wymuszono na nim zmianę wersji.

B.P. — ***To taki »bułgarski ślad« w sprawie katyńskiej.***

W.W. — Sprawa zmiany opinii przez dr. Hajka z Uniwersytetu w Pradze jest chyba najbardziej znana, zmuszono go do tego jeszcze przed Norymbergą i jego zeznanie sprokurowane na potrzeby tego procesu, w którym Sowietom nie udało się zresztą osiągnąć skazania Niemców, wraca jako podstawowy argument kłamców katyńskich po dziś dzień, dosłownie. 3 lutego 2005 r. na stronie internetowej www.fromua.com ukazała się wypowiedź Władimira Wietrowa, najnowszego kłamcy katyńskiego, który jako dowód na to, że zbrodni nie popełnili Rosjanie, podaje zmianę zeznań przez Hajka. Jest to przykład uporu. To jest najnowszy wykwit kłamstwa, nowszy nawet niż prace Jurija Muchina, który w połowie lat dziewięćdziesiątych napisał *Katyński kryminał* (*Katin'skij detiektiw*), a dwa lata temu *Antyrosyjską niegodziwość* (*Antyrossijskaja podłost'*). Wietrow jeszcze raz powrócił też do sprawy użycia pistoletów walther, co jest oczywiście kwestią dawno wyjaśnioną, podobnie jak zmuszenie Hajka do zmiany zeznań. Ale wysunął też nowy, absurdalny argument, że niepodjęcie przez Polskę w latach dziewięćdziesiątych własnego śledztwa i nieprzekazanie dotąd sprawy do międzynarodowych instytucji sądowych wskazuje, iż strona polska ma w sprawie katyńskiej coś do ukrycia.

B.P. — ***Była jednak próba własnego, polskiego śledztwa, które nie znalazło poparcia rządu Hanny Suchockiej. Ale chciałabym, żebyśmy opisali stan dzisiejszy. IPN pod wpływem silnej presji społecznej wszczął śledztwo w sprawie Zbrodni Katyńskiej. Niewyjaśnienie w sensie prawnym odpowiedzialności za tę zbrodnię jest jednym z najbardziej zdumiewających i bolesnych problemów nie tylko dla rodzin pomordowanych, ale dla Polaków w ogóle. Wciąż ciąży nad naszą współczesnością ten cień: z jednej strony buta, z jaką Rosjanie odmawiają nam ujawnienia prawdy i dokumentów, z drugiej strony milczenie świata przez te kilkadziesiąt lat. Jak wygląda śledztwo prowadzone przez stronę rosyjską?***

J.T. — Początkowo wyglądało dosyć solidnie. Mieli zgromadzonych mnóstwo dokumentów, przesłuchali trójkę żyjących jeszcze świadków. Nazwali ich „świadkami", ale faktycznie byli to sprawcy. Żaden z nich już nie żyje.

B.P. — ***Chociaż przez wiele lat utrzymywali, że wcześniej dokumenty zostały zniszczone...***

J.T. — Jak np. te listy wywózkowe, sprawozdania z wizytacji obozów, rozmów. Tego naprawdę jest dużo. W Polsce opublikowano trzy tomy dokumentów, wydała je Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych. To jeszcze nie wszystko. Oni nam część istotnych dokumentów zdążyli przekazać, około 60 proc. Poza tym mamy ekspertyzy przeprowadzone po ekshumacji z 1991 r., bo tam byli medycy sądowi zatrudnieni jako biegli, był oficer policji, znawca broni, wyjaśnił kwestie tej niemieckiej broni, był znawca odznaczeń i mundurów wojskowych. Powstały ekspertyzy cząstkowe, a potem jedna zbiorcza, którą Naczelna Prokuratura Armii Rosyjskiej dostała od nas, bo oni sami nie prowadzili takiej dokumentacji. Ekshumacje prowadziliśmy razem, szefem był rosyjski prokurator, ale dokumentację myśmy zrobili, potem oni traktowali nas jako równorzędnych partnerów. Mierzyliśmy między innymi kąty strzałów w czaszkach. Robiło się mapy strzałów. Enkawudziści strzelali z dużą precyzją, zwykle w to samo miejsce — w potylicę lub najwyższy krąg szyjny. Oprócz tego są gromadzone przez Muzeum Katyńskie materiały — listy od rodzin, od jeńców. To są bardzo ważne wskazówki. W czasie ekshumacji wydobywaliśmy wiele rzeczy, stanowiących materiał dowodowy wielkiej wagi, np. drewniane tabakierki z napisem „Ostaszków 1940". Tego jest bardzo dużo, to bardzo bogaty materiał dowodowy.

W.W. — W grę wchodzi jednak kwestia woli politycznej. Przykrą konkluzją śledztwa rosyjskiego jest niezgoda na uznanie Zbrodni Katyńskiej za ludobójstwo, co oznacza potraktowanie jej w tym momencie w wymiarze prawnym jako przedawnionej i jako takiej dla Federacji Rosyjskiej po prostu niebyłej.

J.T. — Kiedy w 1991 r. mówiło się, że jest to zbrodnia ludobójstwa, to samo powtarzali Rosjanie. Obecnie się z tego wycofali na rzecz zwykłego przestępstwa kryminalnego.

B.P. — ***Nasza rozmowa odbywa się na początku marca. Wiemy już, że Federacja Rosyjska powiedziała po raz kolejny naszym prośbom o udostępnienie dokumentów — »nie«. I celowo zmieniając kwalifikację czynu spowodowała, że zbrodnia uległa przedawnieniu.***

W.W. — Dokładnie tak, śledztwo zostało zakończone ze względu na przedawnienie czynów, bo stwierdzono, że nie można tego uznać za ludobójstwo.

J.T. — Rosjanie jeszcze we wrześniu ubiegłego roku zadeklarowali przekazanie materiałów śledczych stronie polskiej. Obecnie wycofali się z tego, a ponadto część utajnili, uniemożliwiając dostęp do nich.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 5–6 (52–53), maj–czerwiec 2005

POKONANI W OBOZIE ZWYCIĘZCÓW

O sprawie polskiej w latach II wojny światowej
z Markiem Kazimierzem Kamińskim i Tadeuszem Kisielewskim
rozmawiają Władysław Bułhak i Barbara Polak

B.P. — ***O rozstrzygnięciach kończących II wojnę światową bez wątpienia zadecydowały bardziej aspekty polityczne niż militarne. Były one wypadkową trzech z grubsza kategorii: polityki aliantów wobec Polski i ZSRS, międzynarodowej polityki Stalina i polityki prowadzonej przez Polskę. Zacznijmy od tego, czy wywiady państw zaangażowanych później w wojnę znały zapisy tzw. tajnego protokołu do paktu niemiecko-sowieckiego, czyli paktu Ribbentrop-Mołotow.***

M.K.K. — Znany był on Amerykanom, Francuzom i Włochom. Nie wiem, czy znali go Brytyjczycy.

B.P. — ***Polityka, którą prowadzili wobec Stalina Anglosasi, była nacechowana wielkim pragmatyzmem. Zarówno Wielka Brytania, jak i Francja w przededniu wojny podpisały z Polską zobowiązania wzajemnej pomocy w wypadku napaści państwa obcego. Czekaliśmy na ich pomoc po napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę i po sowieckiej agresji w siedemnaście dni później. Późniejsza historia pokazała, jak bardzo instrumentalnie traktowali nas sojusznicy, którzy już w 1939 r. znacznie bardziej liczyli się ze Stalinem niż z nami. Stalin zresztą od początku wobec nich prowadził podwójną grę.***

M.K.K. — Strona brytyjska i francuska pragnęły przyciągnąć Stalina do układu politycznego, który blokowałby możliwość wybuchu II wojny światowej. Stalin natomiast rzeczywiście prowadził podwójną grę. Był zainteresowany tym, żeby ta wojna wybuchła, dlatego szybko dogadał się z Niemcami.

T.K. — Przed wybuchem wojny było zupełnie inne postrzeganie Związku Sowieckiego. To Niemcy były rzeczywistym i bezpośrednim zagrożeniem dla państw zachodnich — dla Francji i Wielkiej Brytanii. Sowiecka Rosja była daleko i mogła stać się, wedle ich kalkulacji, potencjalnym sojusznikiem przeciw Niemcom. Tak była ona postrzegana przed wojną.

B.P. — ***Wpływy komunistyczne w Anglii były przecież bardzo silne.***

T.K. — Znane jest powiedzenie Churchilla, że gotów jest paktować z samym diabłem, byle byłoby to w interesie Wielkiej Brytanii. W 1941 r., natychmiast po napaści

Hitlera na Związek Sowiecki, poszedł na sojusz ze Stalinem, ale jeszcze przed wojną postrzegał on Rosję jako ewentualnego sojusznika w przypadku konfliktu z Niemcami. A był przecież starym antykomunistą – od czasów rewolucji bolszewickiej.

W.B. – ***Jak panowie oceniają polską politykę zagraniczną kojarzoną z osobą ministra i pułkownika Józefa Becka? Czy ona mogła być inna?***

M.K.K. – Oczywiście, mogła być inna, co nie znaczy, że nie niosłaby ze sobą różnego rodzaju ryzyka. Można było zrezygnować z koncepcji, którą Józef Piłsudski realizował aż do swojej śmierci, a która była później kontynuowana. Była to polityka równych odległości Warszawy od Berlina i Moskwy, czyli niesprzymierzanie się z żadnym z wielkich sąsiadów – z zachodnim przeciw wschodniemu i ze wschodnim przeciw zachodniemu. Trzeba powiedzieć wyraźnie, że Hitler traktował Polskę nie jako wroga, tylko jako państwo, które należało zwasalizować i następnie wprzęgając w rydwan niemieckiej machiny wojennej, skierować przeciw wschodowi, ale oczywiście nie w pierwszej kolejności. Według tego, co jest zapisane w tzw. protokole Hossbacha (od nazwiska pułkownika niemieckiego, adiutanta wodza III Rzeszy, który protokołował posiedzenie najwyższych czynników Rzeszy z Hitlerem na czele 5 listopada 1937 r.), plany Hitlera były takie, żeby skierować uderzenie niemieckie najpierw na południe. Przez uderzenie nie rozumiem tutaj wojny, tylko ekspansję – na Austrię i Czechosłowację, a następnie w kierunku Francji. Polska potrzebna była w 1939 r., już po konferencji monachijskiej, po to, by Niemcy mogły mieć pewność, że z tyłu nikt ich nie zaatakuje, a Francja z Polską była przecież w układzie sojuszniczym od 1921 r. Gdyby Rzesza miała pewność, że Polska nie zaatakuje, zostawiono by ją w spokoju i uderzono by na Francję. Oczywiście, Niemcy stawiali Polsce pewne warunki, ale nie były one aż tak straszne, przynajmniej na pierwszy rzut oka, jak później próbowano to interpretować. Polska za cenę utraty części podmiotowości mogła uniknąć tego, co stało się we wrześniu 1939 r. Gdyby podporządkowała się postulatom niemieckim, ich żądaniom, wówczas nie byłoby paktu Ribbentrop–Mołotow, nie byłoby rozbioru Polski, ze wszystkimi straszliwymi konsekwencjami tego faktu. Ale oczywiście ekipa rządząca Polską musiała się liczyć – mimo że mówi się, iż to była półdyktatura – otóż musiała liczyć się z nastrojami społecznymi, a nastroje społeczne były antyniemieckie i nie można było sobie pozwolić na to, żeby zrewidować dotychczasową politykę. Było to szalenie trudne, wówczas opozycja wystąpiłaby przeciw ekipie rządzącej i to mogłoby się źle skończyć. Sytuacja była bardzo zagmatwana, ale ośmielam się twierdzić, że wyjście polegające na chwilowym przyczajeniu się i pójściu na pozorne ustępstwa wobec Niemiec w oczekiwaniu na lepszą koniunkturę międzynarodową było rozwiązaniem lepszym niż to, które nastąpiło w 1939 r.

T.K. – Zwróciłbym uwagę na Władysława Studnickiego, który wprawdzie nie miał za sobą jakiejś siły politycznej, ale warto o nim pamiętać. Jest autorem interesującej broszury wydanej w czerwcu 1939 r. *Wobec nadchodzącej II wojny światowej*

wej. Przewidywał on „opłakane konsekwencje" sojuszu z Anglią. Sądził, że Niemcy najpierw „zlikwidują" słabszego sojusznika – Polskę. Za największe niebezpieczeństwo uważał zabiegi Londynu zmierzające do wciągnięcia Moskwy do koalicji, za co Anglia może „zapłacić" ZSRS wschodnimi województwami Polski. Broszurę tę rząd skonfiskował. Druga sprawa – kierunek rosyjski. Trzeba powiedzieć, że w gruncie rzeczy nie było dostatecznego rozeznania co do ewentualności agresji sowieckiej na Polskę. Rezydujący w Moskwie ambasador Wacław Grzybowski nie spisał się najlepiej jako przedstawiciel Polski – nie informował o ewentualności zagrożenia sowieckiego. Minister spraw zagranicznych Józef Beck, którego uważam za dobrego polityka, również nie docenił tego niebezpieczeństwa. Być może zagrała tu psychologia dwóch wrogów. Józef Piłsudski przestrzegał, że w takiej sytuacji pozostawałby Polakom tylko pojedynek na placu Saskim w Warszawie – w imię honoru. Polska nie miała żadnych szans w wojnie z Niemcami i Związkiem Sowieckim.

W.B. – ***Wróćmy jednak do pytania o to, czy władze Polski zdawały sobie w pełni sprawę ze skutków swoich decyzji? Można powiedzieć, że – z taką wiedzą i takimi doświadczeniami historycznymi jakie wówczas posiadali, działając w konkretnej sytuacji społecznej – Beck, Mościcki i Rydz-Śmigły podjęli racjonalną decyzję. Idąc z głównym prądem polskiej opinii publicznej, wybrali opcję prozachodnią i antyniemiecką, obóz zwycięzców z I wojny światowej, który – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – miał się stać obozem zwycięzców także i w następnej nadchodzącej wojnie. Nie docenili jednak roli czynnika sowieckiego i Stalina osobiście.***

M.K.K. – Liczono na to, że opowiedzenie się po stronie polskiej Wielkiej Brytanii i Francji będzie dla Rosji elementem odstraszającym. Założenie było takie, że Niemcy i Związek Sowiecki ze względów ideologicznych ze sobą się nie dogadają, nie widziano takiej możliwości. To był oczywiście potężny błąd ekipy rządzącej, takie przeświadczenie, że reżimy, które dotychczas publicznie tak się zwalczały, nie mogą się nagle porozumieć. Gdyby Hitler nie miał w ręku paktu Ribbentrop-Mołotow, prawdopodobnie nie zdecydowałby się na rozpoczęcie wojny światowej, ponieważ jemu zależało przede wszystkim na izolowaniu Polski i wyeliminowaniu jej z gry po stronie mocarstw zachodnich.

T.K. – Jest jeszcze jeden element, na który się czasami nie zwraca uwagi. Beck był znakomitym graczem politycznym i lubił grę polityczną. Można przypuszczać (nie ma na to dowodów), że zgoda na wzajemne gwarancje polsko-brytyjskie ogłoszona 6 kwietnia 1939 r. i zapowiedzi układu polsko-brytyjskiego, co rozwścieczyło Hitlera i zmieniło jego politykę wobec Polski, była też ze strony Becka grą wobec Hitlera, obliczoną na to, że w obliczu sojuszu polsko-brytyjskiego wycofa się ze swoich żądań wobec Polski, utrzymując z nią nadal dobre stosunki. Wtedy Polska będzie mogła balansować między Niemcami i Anglią. Beck przeliczył się. Jeśli chodzi

o Francję, to od dawna była oceniana w Warszawie jako partner słaby i za bardzo na nią nie liczono. Liczono na Wielką Brytanię, ale nieco przesadnie, bo ona nawet nie miała takich możliwości militarnych i politycznych, jakie jej przypisywano. Anglia wyszła z I wojny światowej zbiedniała i zadłużona u Amerykanów, musiała odbudowywać swoje finanse, a jednocześnie utrzymywać pewien ekonomiczny i socjalny poziom życia społecznego – dopiero w drugiej połowie lat trzydziestych przeznaczyła większe sumy na zbrojenia. Wszakże w Polsce pamiętano i o doświadczeniach Monachium. Jednakże o wojnie – podzielam ten pogląd – zdecydował sojusz Hitlera ze Stalinem. Ten sojusz zadecydował o tym, że kalkulacje Becka zawiodły. Warszawa nie brała takiej możliwości pod uwagę. Beck uważał, że różnice ideologiczne między Hitlerem a Stalinem uniemożliwiają im sojusz.

B.P. – ***Czy państwa zachodnie miały świadomość, co oznacza pakt Ribbentrop–Mołotow?***

M.K.K. – Kiedy do Londynu dotarła informacja o podpisaniu tzw. układu o nieagresji między Związkiem Sowieckim a Niemcami, to był poważny moment zawahania się strony brytyjskiej. Dał temu świadectwo w specjalnym zeznaniu z 21 kwietnia 1941 r. złożonym dla komisji rządowej ambasador Polski przy rządzie brytyjskim, Edward Raczyński. Strona brytyjska próbowała wycofać się z rozmów z Polską. W końcu nie zrobiła tego, ale to był moment szalenie groźny dla Polski. Niewiele brakowało, a Polska zostałaby całkowicie na lodzie, bo nawet nie byłoby tego układu sojuszniczego o wzajemnej pomocy z 25 sierpnia 1939 r. wraz z załączonym doń tajnym protokołem...

W.B. – ***...który na kilka dni wstrzymał wojnę.***

M.K.K. – Brytyjczycy zdawali sobie sprawę z tego, że kończą się teoretyczne rozważania i zaczyna okres bardzo niebezpieczny dla Europy, wymagający zajęcia zdecydowanego stanowiska w obliczu wojny wiszącej na włosku. I dopóki nie było żadnych informacji o układach niemiecko-sowieckich, dopóty można było prowadzić grę, bo Brytyjczycy liczyli na to, że Niemców da się powstrzymać, strasząc ich groźbą wojny na dwa fronty, czego Hitler naprawdę się bał. Pamiętał o doświadczeniach wielkiej wojny, czyli I wojny światowej, i wiedział, że Niemcy znajdą się w sytuacji trudnej, gdy będą musiały walczyć na dwa fronty. Odrzucając żądania Hitlera, Polacy udowodnili, że będą wykonywać wiernie postanowienia sojuszu polsko-francuskiego. Polskę można było spróbować osaczyć i wówczas – na to liczył Hitler – Zachód nie zdecyduje się na przystąpienie do wojny, widząc całą beznadziejność sytuacji wschodniego partnera. Dzięki Bogu tak się nie stało, choć Brytyjczycy i Francuzi z góry niejako zakładali, że Polakom w trakcie działań wojennych w ogóle nie pomogą, bo na wiosnę i we wrześniu 1939 r. przyjęli założenie, iż losy Polski rozstrzygną się dopiero pod koniec wojny w zależności od jej wyniku. Ale tak naprawdę bardzo chcieli uniknąć wojny. Ani Wielka Brytania, ani Francja nie były do niej przygotowane pod względem militarnym.

Summa summarum, Hitler zdawał sobie sprawę, że Polska jest dla niego bardzo niewygodnym sąsiadem i chciał takiego rozwiązania – by Zachód zrozumiał, że jednak nie ma sensu iść Polsce z pomocą, skoro on się dogadał ze Związkiem Sowieckim.

W.B. – ***Wystawili tutaj panowie tu ostrą cenzurkę przedwojennym polskim politykom. Popełnili oni błąd w ocenie polityki sowieckiej, popełnili go również w ocenie polityki i możliwości, ale i determinacji mocarstw zachodnich. Polscy politycy i wojskowi nie oczekiwali chyba, że we wrześniu przyjdzie im samotnie odpierać ataki obydwu odwiecznych wrogów.***

M.K.K. – Beck liczył na to, że Hitlera powstrzyma układ polsko-brytyjski. Prawdopodobnie rzeczywiście tak by się stało, gdyby wcześniej Hitler nie zawarł układu z Sowietami. Towarzysz Stalin – w odróżnieniu od towarzysza Adolfa Hitlera – dobrze potrafił rachować. O ile Hitler liczył na to, że dojdzie do izolacji Polski i wojna będzie miała charakter ograniczony do terytorium Europy Wschodniej (na razie oczywiście), o tyle Stalin wiedział (i nie przeliczył się), że wojna wybuchnie i będzie to wojna Europy Zachodniej z Niemcami. Dlatego do niej parł. W pamiętnikach Chruszczowa jest takie zdanie, że Stalin po podpisaniu układu Ribbentrop-Mołotow nie posiadał się z radości, wykrzykując: – udało mi się Hitlera oszukać! Oszukał Hitlera, bo on wpakował się w coś takiego, z czego, jak się okazało, trudno było wybrnąć. Przed Związkiem Sowieckim otwierały się świetlane perspektywy zwycięskiego pochodu Armii Czerwonej w kierunku zachodnim.

B.P. – ***Żeby o przenikliwości Stalina nie padło ostatnie słowo, to trzeba dodać, że po 22 czerwca 1941 r., po agresji niemieckiej, Stalin zapadł ze zgrozy w kilkutygodniową depresję i nie chciał pokazywać się nawet najbliższym współpracownikom. Jego przenikliwość okazała się więc trochę ograniczona.***

M.K.K. – Bo to on planował uderzenie na Niemcy, a został uprzedzony.

T.K. – Miał prawo być zdenerwowany – nie wyprzedził swojego dotychczasowego sojusznika. Zresztą Hitler twierdził, że uderzył na Związek Sowiecki, by uprzedzić uderzenie Stalina, i mówił prawdę. Ale Moskwa, a za nią inni, mówiła, że to kłamstwo, propaganda. Przed zdobyciem Wysp Brytyjskich dla Hitlera to posunięcie było szalenie niekorzystne – otwierał drugi front, czego w Niemczech tak się obawiano. Czego i on się bał.

M.K.K. – W zamyśle Stalina Niemcy miały odegrać rolę, którą zresztą odgrywały – lodołamacza, który miażdży Europę Zachodnią. Związek Sowiecki czekał na odpowiednią chwilę. Ten plan Józef Wissarionowicz wyłożył 19 sierpnia 1939 r. na posiedzeniu Politbiura partii bolszewickiej – należy uderzyć w odpowiednim momencie, kiedy Hitler zrobi już swoje, i zebrać owoce zwycięstwa. Hitler wyprzedził Stalina, więc ten mógł mieć chwilową depresję, która mu zresztą po pewnym czasie minęła, gdy okazało się, że siły niemieckie zaczęły tracić swój pierwszy impet, bardzo niebezpieczny dla Związku Sowieckiego.

T.K. – *A propos* tej przenikliwości Stalina. To nie ona zdecydowała, lecz stare pragnienie bolszewickie Lenina i Trockiego doprowadzenia do II wojny światowej, w szczególności wtedy, gdy załamała się ofensywa Armii Czerwonej niosącej „płomień rewolucji" do Europy Zachodniej – do Niemiec, Francji, Włoch. II wojna światowa miała przynieść rewolucje na Zachodzie, nie bez pomocy Rosji. Stalin chciał wojny światowej i robił wszystko, co mógł, aby do niej doszło – oczywiście w momencie, kiedy będzie do niej dobrze przygotowany. Przede wszystkim wtedy, kiedy będzie miał najsilniejszą armię świata. Przyszłemu zwycięstwu Związku Sowieckiego i rewolucji światowej podporządkowano w kraju wszystko. Została uruchomiona wielka machina zbrojeniowa. W 1939 r. nadarzyła się Stalinowi znakomita okazja. Hitler doprowadził do II wojny światowej. Stalin liczył, że utknie on we Francji. Nie przewidział tylko tego (nikt zresztą nie przewidział), że Francja tak szybko skapituluje. Gdyby Hitler ugrzązł we Francji, to Stalin w odpowiednim czasie uderzyłby na Niemcy i „wyzwolił" Europę. To wszystko było zakorzenione w „mesjanistycznej", rewolucyjnej ideologii bolszewickiej – a Stalin był wiernym uczniem Lenina. No i pragnął władzy nad światem.

M.K.K. – Na polecenie Hitlera 30 czerwca 1934 r. doszło w Niemczech do tzw. nocy długich noży, kiedy esesmani wymordowali czołówkę starej gwardii hitlerowskiej, czyli ówczesnej opozycji esamańskiej. Niektórzy obserwatorzy niemieckiej sceny politycznej doszli do wniosku, że reżim nazistowski pęka w szwach. Ale nie Stalin, który podobno szalenie się z tego powodu ucieszył, bo doszedł do wniosku, że Hitler jednak opanował sytuację i od tego momentu będzie już twardo siedział w siodle. Starzy towarzysze partyjni nie wysadzą go z siodła pod pretekstem drugiej rewolucji, a Hitler już wie, jak dalej prowadzić rewolucję nazistowską, i będzie realizował cele ekspansjonistyczne. Te cele były zgodne z interesami Stalina, który wiedział, że żadne powstania, żadne rewolucje w krajach zachodnich nie dokonają się same z siebie, bez pomocy Armii Czerwonej.

T.K. – Wrócę jeszcze na chwilę do 1939 r. Kiedy Hitler rozpoczynał wojnę, w Niemczech panował wielki strach przed wojną. Pamiętano jeszcze przegraną w I wojnie światowej. Była też niepewność pośród niektórych generałów, którzy obawiali się wojny na dwa fronty. Po klęsce Francji niektórzy generałowie byli ogromnie zdumieni, że nie uruchomiła ona swoich sił, przecież wcale niemałych, by wszystkimi tymi siłami uderzyć na Niemcy na froncie zachodnim. Wtedy, gdy *gros* sił niemieckich zaangażowane było w Polsce. Ale Francja była opanowana jakąś niemocą. Stalin do wojny wszedł dopiero 17 września mimo wcześniejszych ponagleń Hitlera. Wyraźnie czekał. 12 września było francusko-brytyjskie spotkanie w Abeville, gdzie potwierdzono, że państwa te nie przyjdą z obiecaną Polsce pomocą. 14 września sowiecka „Prawda" podała, że Polska poniosła klęskę. 17 września o godzinie drugiej Stalin poinformował ambasadora niemieckiego, że za cztery godziny Armia Czerwona uderzy. Na co Stalin czekał? Gdyby Francja i Anglia ude-

rzyły na zachodzie wszystkimi swoimi siłami i Niemcom groziłaby klęska, być może porzuciłby Hitlera i rozpoczął grę z Francuzami i Anglikami. Pewnie domagałby się, aby jego wojska mogły przejść przez Polskę na front niemiecki. Albo sam by pod tym pretekstem do Polski wkroczył przeciw Niemcom. Dla Polski byłoby to fatalne.

B.P. — ***To znów symptomatyczne, przecież to spotkanie brytyjsko–francuskie, ustalające powstrzymanie się od jakichkolwiek akcji przeciw Niemcom, miało miejsce po serii dramatycznych apeli o pomoc płynących od ich sojusznika, zaatakowanej Polski.***

T.K. – Stalin prawdopodobnie wiedział o rezultatach spotkania w Abeville albo przynajmniej się ich domyślał. Cała polityka francuska i angielska była jeszcze wtedy prowadzona w duchu Monachium, czyli w duchu polityki ustępstw wobec agresywnych poczynań Hitlera. Warszawa doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Stąd Edward Rydz–Śmigły, opracowując scenariusz wojny z Niemcami, jako pierwszą zaplanował bitwę graniczną. Z wojskowego punktu widzenia nie miała ona większego sensu, natomiast miała sens z politycznego punktu widzenia, bo obawiano się czegoś na kształt nowego Monachium. I tak naprawdę Hitler już nowego Monachium nie chciał, bo Anglicy i Francuzi prawdopodobnie na to by poszli. Gotowi byliby na przykład „oddać" Hitlerowi Pomorze i Wielkopolskę, które również zajęliby Niemcy – w imię ratowania pokoju. Są to oczywiście tylko przypuszczenia. I w tym tkwił sens bitwy granicznej – wytrzymać pierwsze uderzenie Niemiec na linii granicznej.

W.B. — ***Następuje okres przejściowy między tragiczną jesienią 1939 r. a wiosną 1940 r. Na Zachodzie trwa tzw. dziwna wojna. Polska jest już pokonana, Sowieci niejako przyczajają się. Dobrze byłoby teraz zdefiniować, o co Polska w tym momencie walczy...***

T.K. – ...Polska jest po przegranej kampanii wrześniowej i po powstaniu władz emigracyjnych... Od tego zacznijmy.

W.B. — ***Ocenialiśmy już tutaj politykę min. Becka. Klęska wrześniowa to jednocześnie zasadnicza zmiana ekipy – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – odpowiedzialnej »wobec Boga i historii« za sprawę polską. Nadchodzi epoka kojarzona z osobą gen. Władysława Sikorskiego. Nie unikniemy oceny jego polityki.***

M.K.K. – Istniała ciągłość prawna między rządem gen. Władysława Sikorskiego powołanym we Francji a poprzednim rządem polskim zmuszonym przez Armię Czerwoną do przekroczenia granicy z sojuszniczą Rumunią. Pragnę podkreślić, że nowe władze polskie na uchodźstwie były całkowicie legalne w świetle prawa międzynarodowego. Powtórzę, że nie została przerwana ciągłość prawna między obomа polskimi ośrodkami władzy, niezależnie od różnic politycznych dzielących obie ekipy rządowe. Rząd na uchodźstwie funkcjonował przy boku sojuszników, którzy zachowywali się tak, jak się zachowywali. Jeden z nich przegrał wojnę w czerwcu

1940 r. Wtedy oczywiście rząd polski ewakuował się do Wielkiej Brytanii i tam, uczestnicząc w różnych bardzo ważnych przedsięwzięciach ratujących Wielką Brytanię, dochowywał wierności sojusznikowi. To jest dla mnie zupełnie oczywiste, że niezależnie od tego, jak poszczególne pociągnięcia gen. Sikorskiego będziemy oceniać, *per saldo* było to działanie całkowicie na korzyść państwa polskiego, gdyż innego działania właściwie nie można sobie wyobrazić. No, można byłoby po prostu nie mieć rządu, ale my mieliśmy dzięki Bogu rząd cieszący się niekwestionowanym autorytetem w okupowanym kraju.

T.K. – Realizowano dwa cele, w gruncie rzeczy fundamentalne. Pierwszy – zaczęto budować armię polską, bo bez niej nie mielibyśmy żadnego znaczenia politycznego, pomijając już wszystkie inne aspekty. Drugi – wmontowywano Polskę w ówczesny układ polityczny mocarstw antyniemieckich – starano się zapewnić jej odpowiednie miejsce polityczne po stronie Francji i Wielkiej Brytanii. I to już od końca 1939 r. Jak to wyglądało w praktyce – z uwagi na politykę Paryża i także Londynu wobec polskiego rządu na emigracji – to już jest zupełnie inna sprawa.

B.P. – ***Niemniej efekt był taki, że Brytyjczycy bardziej przejęli się losem Finlandii niż losem Polski.***

M.K.K. – Wydaje się, że ma pani rację. W każdym razie dopiero po agresji Sowietów 30 listopada 1939 r. na Finlandię, nie zaś po zdradzieckim ataku Armii Czerwonej na Polskę 17 września 1939 r., wreszcie wygnano Związek Sowiecki z Ligi Narodów 14 grudnia 1939 r.

T.K. – Ani Francja do swojego upadku nie traktowała Polski w sposób partnerski, mimo że rząd jej rezydował na terytorium francuskim, ani Wielka Brytania, która wówczas jeszcze kłopotów wojennych specjalnie nie miała. Głównym naszym wtedy partnerem była Francja. Ale Polska wówczas – jak zauważał gen. Kazimierz Sosnkowski – spychana była z pozycji pełnoprawnego partnera do pozycji ubogiego krewnego. Przede wszystkim nie uzyskała pełnoprawnego udziału w Najwyższej Radzie Wojennej powołanej przez Francję i Anglię, o co się rząd polski starał. Jednocześnie Paryż i Londyn prowadziły dwuznaczną politykę wobec Moskwy, zmierzającą do wbicia klina między Moskwę a Berlin. Natomiast Francja i Anglia zainteresowane były tworzeniem Wojska Polskiego, ale jednocześnie unikały sprecyzowania celów wojny, na co naciskała Polska.

W.B. – ***Paradoksalnie upadek Francji potężnie wzmocnił i uwypuklił pozycję Polski w koalicji antyniemieckiej. Na krótki okres staliśmy się najważniejszym chyba, aktywnym sojusznikiem Wielkiej Brytanii.***

M.K.K. – Pozycja rządu polskiego była znacznie silniejsza w okresie od czerwca 1940 r. do czerwca 1941 r. niż kiedykolwiek wcześniej i później ze względu na fakt, że Francja została wyeliminowana z wojny po stronie brytyjskiej, gdy skapitulowała przed Niemcami, Związek Sowiecki zaś, mimo zakulisowych zabiegów brytyjskich, nie zamierzał dołączyć do koalicji antyniemieckiej.

T.K. – Do upadku Francji uważano, że ta wojna może się rychło skończyć, więc to była zupełnie inna perspektywa polityczna i inaczej to się wszystko rysowało. Dopiero po upadku Francji sytuacja zaczęła się zmieniać, inaczej kształtować wobec nacisku Niemiec na Wielką Brytanię, bitwy o Wielką Brytanię.

M.K.K. – Jak już zaznaczyłem, po upadku Francji premierowi brytyjskiemu Winstonowi Churchillowi bardzo zależało na pozyskaniu Związku Sowieckiego dla wspólnej akcji. To oczywiście Brytyjczykom się nie udało, gdyż Stalin nie zamierzał bronić Wielkiej Brytanii przed zakusami Hitlera.

W.B. – ***Zatrzymajmy się nad polityką Stalina w tym okresie. Jednym z najbardziej charakterystycznych jej przejawów jest Zbrodnia Katyńska, która, poza całym jej ludobójczym wymiarem, była – z punktu widzenia Kremla – wyrachowanym posunięciem o charakterze politycznym.***

T.K. – Stalin w ten sposób ścinał głowę narodowi polskiemu. No i oczywiście likwidował swoich ewentualnych przeciwników politycznych, tak jak to miał w zwyczaju czynić. Ścinali Polakom głowę Niemcy na terenach przez nich okupowanych i to samo robił Stalin. Zresztą była między nimi współpraca – między NKWD a gestapo. Przecież były wspólne spotkania w Zakopanem i Krakowie.

M.K.K. – Mówiąc Katyń, mówimy oczywiście o pewnym symbolu, bo sprawa dotyczy nie tylko Katynia. Wszystko to rozgrywało się wówczas, kiedy Niemcy jeszcze nie pokonały Francji. Na to warto zwrócić uwagę. To, co robił Stalin, było próbą pozbawienia społeczeństwa polskiego najistotniejszej jego części, czyli elit. On mordował wtedy, gdy Hitler walczył na froncie zachodnim. Gdy niemiecki dyktator pokonał Francję, Stalin przyspieszył swoje działania – bo zdołał już osiągnąć w znacznej mierze cel pierwszoplanowy, jakim było pozbawienie społeczeństwa polskiego jego elity – i zajął się poszerzaniem granic Związku Sowieckiego. Napadł w czerwcu 1940 r. na państwa bałtyckie, Litwę, Łotwę i Estonię, które wcielił do Związku Sowieckiego, od Rumunii oderwał zaś pod koniec tego samego miesiąca Besarabię i północną Bukowinę. Stalin nie był zachwycony faktem, że Hitlerowi tak łatwo udało się pokonać Francję, gdyż Niemcy wyszły z tego zwycięstwa bardzo wzmocnione, a jemu zależało na tym, żeby walczące strony jak najdłużej wzajemnie się wykrwawiały. Stalinowi mogło się wydawać, że zaczyna tracić kontrolę nad poczynaniami Hitlera, gdyż niemiecki dyktator zbyt szybko kończył wojnę na froncie zachodnim. Dlatego sam w wielkim pośpiechu realizował swoje cele ekspansjonistyczne w Europie Wschodniej. Ale polskich oficerów, przedstawicieli polskiej elity inteligenckiej, wymordował, nim jeszcze miał powody do zmartwienia ze względu na sukcesy Hitlera. Wyniszczenie polskich warstw przywódczych, o których wiedział, że są w stanie mu się przeciwstawić, traktował priorytetowo.

T.K. – Trzeba na to patrzeć w kontekście całości polityki Stalina. Przecież on już przed wojną wymordował elitę Ukraińców, Białorusinów. On mordował wszystkich tych, których uważał za swoich ewentualnych przeciwników politycznych. O ile dla

normalnego człowieka, Europejczyka, to była ohydna zbrodnia, o tyle dla niego było to tylko procedurą, działaniem politycznym. Nie wiem, czy on w ogóle rozumował w kategoriach zbrodni. To było dla niego rozwiązanie problemu politycznego. Zresztą nie tylko dla niego, dla ówczesnego biura politycznego WKP(b) także. To była kontynuacja „wielkiego dzieła" Lenina.

B.P. — ***O jeszcze jednej rzeczy należy wspomnieć, która przy okazji tych obchodów rocznicowych i towarzyszących im rozważań o tym, jak źle potraktowała nas historia i sojusznicy, często umyka. Chodzi mi o ten moment, kiedy Stalin darowuje Litwinom Wilno. O tym się teraz mówi raczej rzadko. Stawiamy się, Polacy i Litwini, w jednym rzędzie — ofiar, a to przecież bardzo istotna i w wielu aspektach obrzydliwa sprawa, warto by i o tym powiedzieć.***

M.K.K. — Oczywiście, przecież to była integralna część Rzeczpospolitej, co więcej, zamieszkana przez ludność polską, nie zaś Litwinów, która najpierw została zajęta przez Armię Czerwoną w ramach agresji z 17 września 1939 r., a następnie „wielkodusznie" odstąpiona państwu litewskiemu. Stalina stać było na podobny „gest", gdyż w przyszłości zamierzał Litwę wraz z jej nabytkami terytorialnymi anektować.

B.P. — ***A to zachowanie Litwinów było bardzo nieprzychylne Polsce.***

M.K.K. — Zapewne, choć oczywiście Litwini mogliby się jeszcze dużo gorzej zachować i przystąpić do ataku na Polskę, jak to zrobili Niemcy i Związek Sowiecki.

W.B. — ***I pewnie wówczas pod koniec wojny uchroniliby chociaż taką dawkę niepodległości, jak inni sojusznicy Hitlera, np. Rumunia.***

M.K.K. — Na pewno byliby objęci ochronnym parasolem niemieckim. Nie byłaby to niepodległość *sensu stricto*. Litwa stałaby się wasalem Niemiec, co z punktu widzenia litewskiego było raczej pozytywnym rozwiązaniem w kontekście tego, co później spotkało państwo litewskie ze strony Sowietów. Ja nie bronię Litwinów. Wilno było integralną częścią państwa polskiego. Było to miasto polskie, zamieszkane przede wszystkim przez ludność polską i następnie żydowską. Na obszarze Wilna i obwodu wileńskiego, które Stalin oddał państwu litewskiemu w październiku 1939 r., przewaga ludności polskiej nad litewską była aż dziesięciokrotna. Władze polskie na uchodźstwie dążyły do *restitutio in integrum* Rzeczpospolitej, czyli odtworzenia po wojnie państwa polskiego w takim kształcie, w jakim było ono przed wrześniem 1939 r. Zachowanie zaś Litwinów w 1939 r. trudno nazwać przyjaznym, gdyż wprawdzie postępowanie okupacyjnych władz litewskich było nieporównywalne z tym, co wyczyniali Niemcy i Sowieci, ale nosiło cechy wymuszanej administracyjnie depolonizacji zaanektowanego obszaru.

T.K. — Ale zadziałała pewna tradycja. Pierwszy raz Wilno zostało przekazane na początku 1919 r., w styczniu, powołanej wówczas sowieckiej republice Litwy i Białorusi. Wszak w kwietniu tegoż roku miasto to zajęli Polacy. W czasie wojny pol-

sko-bolszewickiej w 1920 r. Sowieci przekazali Wilno Litwie, ale po ich przegranej miasto wróciło do Polski. Litwini tworzyli wtedy i umacniali swoje państwo narodowe przede wszystkim w opozycji do kultury polskiej, tradycji polskiej, co zresztą jest typowe dla państw nowo tworzących się i kształtujących się narodów. A Wilno jako historyczna stolica Litwy stało się ich największym pragnieniem i jednoczenie kością niezgody z Polską i powodem wrogości do Polaków. Stalin w 1939 r. wrócił w pewnym sensie do tamtej sytuacji.

M.K.K. – Można powiedzieć, że w jakimś sensie była to powtórka z roku 1920, tyle tylko że zrealizowana w odmiennej sytuacji, bardziej skomplikowanej dla Polski.

B.P. – ***I znacznie bardziej udana.***

T.K. – Litwini wyszli na tym jak Zabłocki na mydle, choć w pierwszej chwili demonstrowali swoją siłę w mieście. W sposób haniebny potraktowali Uniwersytet Stefana Batorego itd. Stalin oczywiście wygrał to wszystko dla siebie. Litwa szybko stałą się republiką sowiecką, a miasto zostało zsowietyzowane po aneksji Litwy przez Związek Sowiecki w czerwcu 1940 r. Wilno litewskie naprawdę stało się dopiero po odzyskaniu przez Litwę niepodległości w 1990 r.

W.B. – ***Dla zachowania wszelkich proporcji warto jednak powiedzieć, że zarówno pod okupacją niemiecką, jak i sowiecką działy się rzeczy o stokroć straszniejsze. Litwini zachowywali się jak zwykły reżim dyktatorski, narodowy, ale jednak w granicach przedwojennej kultury.***

M.K.K. – Bo Litwa jednak nie była państwem totalitarnym.

B.P. – ***Podsumujmy sytuację polityczną Polski u progu wojny sowiecko-niemieckiej. Mam na myśli przede wszystkim stosunek naszych aliantów do kwestii wschodnich ziem polskich, bo działania Stalina, represje, deportacje Polaków, umacnianie na nich administracji sowieckiej itd. zdawały się dość wyraźnie zmierzać do stworzenia sytuacji nieodwracalnej.***

M.K.K. – Polska znajdowała się *de facto* w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim, między 17 września 1939 r. a 30 lipca 1941 r., kiedy to po podpisaniu układu Sikorski-Majski nawiązane zostały między Rzeczpospolitą a Sowietami stosunki dyplomatyczne. Układ z 30 lipca był bardzo niedoskonały w formie. Brytyjczycy jak mogli, wspierali stronę sowiecką, a nie polską, więc układ ten był pełen dwuznaczności. Nie mówił na przykład wyraźnie o tym, że obie strony w kwestii wspólnej granicy międzypaństwowej wracają do *status quo ante bellum*. Uznawał jedynie, że układ Ribbentrop-Mołotow jest nieważny. Stracił on jednak swoją moc nie dlatego, że podpisano układ polsko-sowiecki o wznowieniu stosunków dyplomatycznych, tylko dlatego, że Niemcy go pogwałciły, uderzając na Związek Sowiecki. Ale takie sformułowanie, jakie znalazło się w układzie Sikorski-Majski, sprawiło, że Stalin mógł w momencie dla siebie dogodnym podnieść kwestię granicy polsko-sowieckiej, jako rzekomo wymagającej ponownego rozpatrzenia.

B.P. — ***W rozmowach z Anglikami albo nie podejmował tego tematu, albo dawał wymijającą odpowiedź, na tym polegała jego taktyka.***

M.K.K. – Początkowo Stalin nie miał jeszcze żadnej potrzeby mówienia na ten temat. Ale już w grudniu 1941 r., kiedy do Moskwy pojechał premier, gen. Władysław Sikorski, Stalin próbował wciągnąć go w rozmowy na temat granicy polsko–sowieckiej. Nieustępliwość, z jaką strona sowiecka od samego początku rozmów dyplomatycznych trwała przy takich a nie innych sformułowaniach przygotowywanego układu polsko–sowieckiego, świadczyła o tym, że Stalin myślał kategoriami strategicznymi i przyjmował założenie, że kiedyś zdoła wyplątać się z bardzo groźnej sytuacji, w której znalazły się Sowiety po napadzie Niemiec, i wtedy będzie realizował nie tylko cele militarne, ale również polityczne. A jednym z nich było oderwanie od państwa polskiego wschodniej części Rzeczypospolitej oraz zwasalizowanie Polski. Przed 22 czerwca 1941 r. Stalin nie brał pod uwagę nawet takiej ewentualności, gdyż wówczas w ramach swych maksymalistycznych celów podboju Europy przewidywał dla ziem polskich okupowanych przez Niemcy status republiki sowieckiej. Warto zwrócić uwagę, że Churchill błędnie sądził, iż za cenę ustępstw terytorialnych, które chciał wymusić na rządzie polskim na rzecz Sowietów, uda mu się doprowadzić do reaktywowania po wojnie niepodległego państwa polskiego. Bardzo więc brutalnie naciskał na rząd polski w styczniu i lutym 1944 r. po powrocie z konferencji teherańskiej, by ten skapitulował przed sowieckimi roszczeniami. Rząd polski dzięki Bogu nie zgodził się, aczkolwiek w jednej z dwóch rezolucji z 15 lutego 1944 r. dopuszczał po raz pierwszy ewentualność rozmów na temat polsko–sowieckiej granicy po zakończeniu działań wojennych oraz proponował wprowadzenie tymczasowo linii demarkacyjnej między polską a sowiecką administracją, która to linia przebiegałaby na wschód od Wilna i Lwowa. Ziemie na wschód od linii demarkacyjnej, zdaniem rządu polskiego, powinny być administrowane przez sowieckie władze wojskowe z udziałem przedstawicieli innych mocarstw. W rezolucji też zostało zawarte stanowcze stwierdzenie, że rząd polski nie godzi się na tzw. linię Curzona jako na przyszłą granicę polsko–sowiecką.

T.K. – Jest jeszcze kilka spraw z wcześniejszego okresu. Przede wszystkim wśród polityków, głównie brytyjskich, także intelektualistów, sporo było takich, którzy uważali, że Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej mogą i powinny należeć do Rosji. Już w 1939 r., po sowieckiej napaści na Polskę, bodaj w październiku 1939 r. David Lloyd George, który co prawda nie był już wówczas aktywnym politykiem, ale miał wpływ na opinie w określonych środowiskach, mówił, że należy wrócić do koncepcji linii Curzona. A był to przypomnijmy nie byle kto – były premier brytyjski z okresu I wojny światowej i kształtowania się porządku wersalskiego w Europie.

B.P. — ***Linia Curzona uchodziła przy tym za pomysł brytyjski.***

T.K. – No właśnie. Brytyjczycy, ale i Amerykanie, jak się później okazało, byli do niej przywiązani. Z kolei w niektórych intelektualnych środowiskach brytyjskich,

zwłaszcza w Oksfordzie (sir Bernard Pares, prof. Hugh Seton-Watson), uznano, że właściwie dobrze się stało, iż Rosja w 1939 r. i w 1940 r. poszerzyła się na zachodzie, ponieważ jest to poważny cios dla Niemiec. Liczono przy tym na konflikt niemiecko-sowiecki. Ale po wygranej Sowietów nie mogło być mowy o odzyskaniu przez Polskę ziem wschodnich. Te ziemie, twierdzono, nie są polskie. A ich utrata przez Polskę skończy spór polsko-sowiecki.

B.P. — ***A jeśli chodzi o politykę rządu polskiego?***

T.K. — Jeszcze przed wizytą gen. Sikorskiego w grudniu 1941 r. w Związku Sowieckim szef dyplomacji brytyjskiej Anthony Eden składał wizytę w Związku Sowieckim. Już wtedy pojawiła się kwestia ustępliwości brytyjskiej w sprawie wschodnich ziem polskich. Moskwa też informowała Edena, że po wojnie chciałaby mieć w Europie swą strefę wpływów. Gdy rząd polski dowiedział się o tym, Sikorski wywarł presję na Amerykanów, oni na Churchilla i sprawę tę wówczas zdjęto z politycznej wokandy. A było to niedługo po przystąpieniu Związku Sowieckiego do wojny, czy wciągnięciu go do wojny, w grudniu 1941 r. Jednocześnie układ Sikorski-Majski, który był układem taktycznym ze strony Stalina, okazał się nietrwały. I dość szybko po jego zawarciu można było nabrać takiego podejrzenia. Zresztą pozostawienie otwartej sprawy granicy wschodniej już nosiło zarzewie konfliktu. Nie bez powodu wywołało to kryzys w polskich władzach emigracyjnych. Taki układ został na gen. Sikorskim wymuszony, także szantażem ze strony Sowietów. Zapowiadali oni, że w razie niezawarcia układu wzmogą represje wobec Polaków będących w Związku Sowieckim.

M.K.K. — Mówiłem już o najdalej idącym ustępstwie polskim wobec nacisków Churchilla, czyli rezolucji z 15 lutego 1944 r. To wszystko, na co podczas wojny zgodziły się legalne władze na uchodźstwie. Nie przeceniajmy jednak roli rządu polskiego. Wspomniałeś o wizycie Edena w Moskwie, kiedy to strona polska zorientowała się, że Eden jest gotów iść na pewne ustępstwa, bo istniała wtedy kwestia zawarcia układu sowiecko-brytyjskiego, podpisanego 26 maja 1942 r. Brytyjczycy chcieli dać Sowietom *placet* na zabór państw bałtyckich, Besarabii i północnej Bukowiny, nie godząc się wszakże na aneksję ziem polskich na wschód od Bugu, opanowanych przez Armię Czerwoną 17 września 1939 r. Strona polska jednak uważała, że nawet ugodowość brytyjska ograniczona do państw bałtyckich stanowi poważne zagrożenie dla Polski ze względu na swój precedensowy charakter. Strona rosyjska, uzyskawszy zgodę brytyjską na aneksję państw bałtyckich oraz obszarów oderwanych w 1940 r. od Rumunii, będzie mogła, powołując się na ten fakt, wywierać tym większą presję na stronę polską w sprawie obszarów wschodnich Rzeczypospolitej.

T.K. — Nie było pewności, czy Brytyjczycy będą twardzi co do wsparcia stanowiska polskiego.

M.K.K. — Dlatego kierownik polskiego MSZ Edward Raczyński udał się w lutym 1942 r. do Waszyngtonu i tam próbował oddziaływać na polityków

amerykańskich w kierunku zgodnym z polskimi interesami. A Amerykanie w tym czasie głosili zasadę nieuznawania żadnych zmian granicznych w Europie po 1 września 1939 r. Wizyta Raczyńskiego mogła wyglądać na sukces polskiej dyplomacji. W pewnym sensie takim sukcesem była, gdyż nietrudno było przekonywać Amerykanów, którzy uważali wówczas, że nie powinni się angażować w akceptację dla zmian granic europejskich spowodowanych wojną. Nawiasem mówiąc, Raczyński występował w Waszyngtonie w roli żarliwego orędownika niepodległego państwa litewskiego.

W.B. — ***Wystąpię tutaj jako adwokat diabła. Polska przyjęła generalnie politykę restytucji integralnej. Czy oddając Kresy mogliśmy zachować niepodległość? Takie było zdanie Churchilla, ale takie pytanie nurtowało także niektóre polskie środowiska. Istnieje memoriał z listopada 1943 r. autorstwa płk. Mariana Drobika »Dzięcioła« szefa wywiadu AK. Analizował on sytuację po klęskach Niemców na froncie i doszedł do słusznego skądinąd wniosku, że pod koniec wojny karty w Europie Środkowo–wschodniej rozdawać będzie Rosja. W związku z tym brutalnie stwierdzał: »W aktualnym położeniu wojskowo–politycznym istnieją tylko dwie możliwe decyzje: a) walka z Rosją na granicy 1939 r.; b) zawarcie szczerego kompromisu z Rosją. W moim przekonaniu jedynie słusznym rozwiązaniem jest rozwiązanie 'b'. Rozwiązanie 'a' grozi narodowi polskiemu śmiercią w pełnym odosobnieniu i bez sensu, ale z 'honorem'. Trwanie w dotychczasowej bierności [...] jest śmiercią bez sensu i bez honoru«. Drobik stawia konkretne propozycje: władzę nad decyzjami w sprawie polskiej przenieść do kraju, odsunąć polityków emigracyjnych, wreszcie ponieść ofiary terytorialne na Wschodzie. Cały ten memoriał idzie pod prąd polityki, jaką polskie władze wtedy prowadziły. Czy przed Polakami stała wówczas taka szansa, czy też opcja?***

M.K.K. — Nigdy nie istniała taka szansa. Oczywiście, tonący chwyta się brzytwy i pułkownik takiej brzytwy się chwytał. Prawda była taka, że za cenę okrojenia Rzeczypospolitej — okrojenia to jest mało powiedziane — odcięcia połowy ziem przedwojennego państwa polskiego, nie można było uzyskać żadnych gwarancji, iż Polska będzie państwem niepodległym. Tak kombinował Churchill. Niewiele z tego wyszło, nawet pod koniec wojny. W Polsce, jak wszyscy dobrze wiemy, istniała agentura sowiecka w postaci PPR, której głównym celem była destabilizacja sytuacji w kraju; działała w tym kierunku, żeby społeczeństwo było jak najsłabsze. Celem polityki sowieckiej było zwasalizowanie Polski i jej częściowe skomunizowanie. To nie oznaczało, że Stalin planował włączenie Polski jako kolejnej republiki w skład Związku Sowieckiego. Inaczej zapewne wyglądałaby sytuacja, gdyby Hitler nie ubiegł Stalina, przekreślając jego plany marszu na zachód. Wówczas perspektywa stworzenia z ziem polskich znajdujących się pod okupacją niemiecką republiki

sowieckiej, w wyniku zwycięskiego pochodu Armii Czerwonej, miałaby szanse realizacji. Natomiast po czerwcu 1941 r. Sowietom chodziło o zwasalizowanie państwa polskiego osłabionego po oderwaniu od niego wschodnich obszarów. Aneksja wschodniej Polski nie służyła więc wyłącznie powiększeniu terytorium ZSRS.

T.K. – W moim przekonaniu na politykę Stalina należy patrzeć z punktu widzenia szerszych celów ideologicznych i politycznych Związku Sowieckiego, począwszy od rewolucji bolszewickiej. Sowieci mieli „mesjanistyczną" ideologię zaprowadzenia w Europie komunizmu i wszystkie ich działania były temu podporządkowane. Zresztą Stalin rozgrywał całą tę historię dwoma sposobami: przez dyplomację oraz przez działalność wywiadu i partii komunistycznych. Tak było również w czasie wojny. W grudniu 1941 r., kiedy Sikorski pojechał do Związku Sowieckiego, Stalin zachęcał go do podjęcia rozmów w sprawie polskiej granicy wschodniej, obiecując równocześnie pomoc w „sporach z Ukraińcami o Lwów". Sikorski nie podjął tej zachęty, uważając, że sprawa jest jasna – należy respektować granicę ryską. Niektórzy historycy stawiali tezę, że gdyby Sikorski dogadał się wtedy ze Stalinem, to może nie całe, ale znaczna część ziem wschodnich zostałaby zachowana dla Polski. Jest to myślenie ahistoryczne. Przykładem realizacji ówczesnej polityki Stalina jest jego rozgrywka z prezydentem Czechosłowacji Edvardem Benešem. Beneš w czasie wojny prezentował wielką otwartość wobec Stalina, ulegał mu, także w stosunkach z Polakami na emigracji, z którymi jakoby chciał tworzyć po wojnie konfederację polsko-czechosłowacką i środkowoeuropejską. Beneš liczył na to, że dzięki takiej polityce ocali niepodległość Czechosłowacji. Więcej nawet, że będzie ona pomostem między Wschodem a Zachodem. Beneš przegrał. Jak się miało okazać, żaden kraj tego regionu nie mógł zachować niezależności.

M.K.K. – Stalin przedkładał sprawy terytorialne jako pierwsze do załatwienia po swojej myśli, ale miał też w zanadrzu kolejne żądania. Gdyby strona polska zdecydowała się na zaakceptowanie żądań granicznych, czyli wyraziłaby zgodę na tzw. linię Curzona, to Stalin wcale nie zamierzał zmienić swego stosunku do legalnego rządu polskiego na uchodźstwie. Wręcz bezczelnie ośmielał się kwestionować jego reprezentatywność, domagając się na przykład jego „reorganizacji". Stalin nie po to zrywał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim 25 kwietnia 1943 r., by potem nawiązywać z nim te stosunki ponownie. Chodziło mu o stworzenie wolnej przestrzeni dla powołania takiego rządu, który spełniałby jego wymogi, byłby rządem marionetkowym, a udawałby tylko rząd reprezentatywny. Do tego dążył Stalin.

B.P. – ***Poprzedzająca spotkanie w Teheranie konferencja ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Trójki w Moskwie jesienią 1943 r. pokazuje, w jaki sposób te państwa traktowały problem polski.***

T.K. – Przed tym spotkaniem ambasador RP w Waszyngtonie Jan Ciechanowski był u amerykańskiego sekretarza stanu Cordella Hulla. Ambasador Edward Raczyński zaś złożył wizytę u ministra spraw zagranicznych Edena. Eden nie czynił żadnych

nadziei i mówił, że ziemie wschodnie nie dadzą się uratować. Ciechanowski błagał, żeby nie zawierać jakiegoś odrębnego porozumienia z Rosjanami bez Polaków, żeby Amerykanie i alianci zachodni wprowadzili swoje jednostki wojskowe na terytorium Polski w chwili wyzwolenia, żeby to zagwarantować w umowie z Rosjanami, ponieważ jeżeli wejdą tu Sowieci i będą tu sami, to zsowietyzują Polskę. Hull na to powiedział, że będzie bronił sprawy polskiej jak sprawy amerykańskiej. Nawet się nie odezwał, kiedy Mołotow narzucał zachodnim aliantom sposób rozwiązywania spraw związanych z Polską.

B.P. — ***Przez cały okres wojny i okupacji stosunek naszych europejskich aliantów, potem również Stanów Zjednoczonych, był dwulicowy. Niby coś obiecywali, a z drugiej strony Polskę traktowali w najlepszym razie jako element przetargowy.***

T.K. — Byli wiarołomni, mimo że na przykład Sikorski był przez nich szanowany. Myślę, że był szanowany i premier Stanisław Mikołajczyk.

B.P. — ***Ich strategia w stosunku do Polski rozpoczynała się od odwlekania — nawet w przypadku zbrojnej pomocy, czy to na początku wojny, czy podczas Powstania Warszawskiego.***

T.K. — Była to gra polityczna z punktu widzenia wyłącznie ich interesów. Chociaż sytuacja nie była łatwa. Stalin wiele żądał, ale to Związek Sowiecki ponosił główny ciężar wojny nie tylko na Wschodzie, ale w ogóle w Europie. I, jak sądzono, wielkim problemem będzie pokonanie Japonii. O tym, że w Teheranie Churchill i Roosevelt zgodzili się na to, żeby ziemie wschodnie znalazły się w Związku Sowieckim, nie został poinformowany polski premier Stanisław Mikołajczyk.

B.P. — ***Przez wiele miesięcy...***

T.K. — A paradoks polega na tym, że formalnie dowiedział się o tym od Mołotowa w październiku 1944 r. Zwłaszcza tego, że na linię Curzona zgodził się w Teheranie prezydent Roosevelt, który jeszcze w czerwcu 1944 r. mówił do polskiego premiera, że w Teheranie nie zajął stanowiska w tej sprawie. To, że Churchill chciał, by Polacy uznali linię Curzona — dla Mikołajczyka nie było tajemnicą. Ale po Roosevelcie tego się nie spodziewał. Ba, liczył na prezydenta amerykańskiego w swym dążeniu do uzyskania przynajmniej części ziem wschodnich, Lwowa i borysławskiego zagłębia naftowego. Sojusznik, którym była Polska, nie został o takiej sprawie poinformowany.

B.P. — ***Po wybuchu Powstania Warszawskiego zwlekano z oświadczeniem, że żołnierze Powstania są w składzie wojsk koalicji antyhitlerowskiej.***

T.K. — Możemy sformułować taką tezę, że odpowiedzialność za to, co się stało w Europie Środkowowschodniej, ponosi przede wszystkim Stalin, ale odpowiedzialni są także alianci zachodni z uwagi na swoją ustępliwość w stosunku do Stalina i politykę, jaką prowadzili. Wiele rzeczy można było uratować, nawet mimo dysproporcji sił wojskowych między aliantami zachodnimi a Stalinem. To jest przy-

kład tej konferencji moskiewskiej, gdzie ustępowano w sposób skandaliczny przed żądaniami Mołotowa.

To zresztą dotyczyło nie tylko Polski. Anglicy i Amerykanie nie zawsze zachowywali się w porządku w stosunku do Francji, podobnie Roosevelt w stosunku do Churchilla, chociaż między nimi były zupełnie inne relacje. Tak czy inaczej, można powiedzieć, że niekiedy Roosevelt uzgadniał ze Stalinem politykę, która wcale nie odpowiadała Churchillowi. Stalin był politycznym bandytą, a tamci jego polityce sprzyjali. Całe nieszczęście polegało na tym, że aliantem Amerykanów i Anglików była totalitarna Rosja. Przecież Stalin również tych swoich aliantów traktował taktycznie. Tak jak taktycznie traktował Hitlera. Tylko pamiętajmy o jednym, większość wysiłku zbrojnego w koalicji antyniemieckiej wzięli na siebie Sowieci. Nie dlatego, że chcieli, ale dlatego, że musieli, bo w 1941 r. Hitler na Związek Sowiecki skierował *gros* swoich sił.

M.K.K. – Trzeba też pamiętać o tym, że nie było skoordynowanej polityki amerykańsko-brytyjskiej. Gdyby istniała, prawdopodobnie Stalin miałby mniejsze pole manewru i jego agresywne cele byłyby w mniejszym stopniu realizowane. Oczywiście ważniejszym partnerem w tym tandemie anglosaskim były Stany Zjednoczone. Brytyjczycy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa sowieckiego, oni przecież wyznawali tę starą zasadę *balance of power* i wcale nie byli zainteresowani tym, żeby Związek Sowiecki głęboko wchodził w Europę. Z kolei dla Amerykanów Europa była drugorzędnym obszarem. W koncepcji Roosevelta Stany Zjednoczone po zwycięskiej wojnie miały wyrosnąć na supermocarstwo, Wielka Brytania i Związek Sowiecki miały zostać zepchnięte do roli mocarstw, ścierających się na obszarze europejskim. Stany Zjednoczone, jako supermocarstwo, miały prowadzić politykę dotyczącą całego świata.

B.P. — ***W rezultacie polityki ustępstw amerykański prezydent przyczynił się do tego, że Sowiety stały się jednym z dwóch supermocarstw.***

M.K.K. – Gdyby Roosevelt, który był fatalnym politykiem, jeśli chodzi o politykę zagraniczną, trochę uważniej wsłuchiwał się w głos Brytyjczyków, to nie twierdzę, że zostałaby uratowana cała Europa Środkowowschodnia, ale postępy w sowietyzacji tych krajów byłyby zapewne nieco mniejsze. Churchill zaczął przemawiać donośnym głosem dopiero w 1945 r. Zwracał uwagę stronie amerykańskiej, że można nieco inaczej prowadzić politykę. Jeśli zaś chodzi o te nasze ziemie wschodnie, to oczywiście Anglosasi nie przyznawali się stronie polskiej, że w Teheranie (konferencja szefów rządów trzech mocarstw trwała od 28 listopada do 1 grudnia 1943 r.) zgodzili się na wschodnią granicę biegnącą tak a nie inaczej. Przypomnę, że strona sowiecka uzyskała wtedy zgodę Anglosasów na włączenie bezpośrednio do obszaru sowieckiego północnej części Prus Wschodnich z Królewcem i Tylżą, w zamian za co „zrezygnowała" z ziem takich jak Łomżyńskie, Białostocczyzna, Chełmszczyzna (która notabene we wrześniu 1939 r. nie została włączona do

sowieckiej strefy okupacyjnej) czy też południowa i południowo-zachodnia część Przemyskiego. Krótko mówiąc, została tam dokonana bezczelna transakcja ziemiami polskimi. Oczywiście nie traktuję Królewca jako miasta polskiego, ale ziemie niemieckie zostały przyznane stronie sowieckiej w zamian za to, że odstąpiłaby od roszczeń w stosunku do niektórych ziem polskich zajętych we wrześniu 1939 r. przez Armię Czerwoną. Do strony polskiej docierały pewne nieoficjalne informacje, że w Teheranie stało się coś bardzo przykrego. Na podstawie nacisków, które Churchill wywierał na Mikołajczyka aż do połowy lutego 1944 r., strona polska mogła nabrać podejrzeń, że na konferencji teherańskiej została sprzedana. Churchill żądał, żeby strona polska wyraziła zgodę na jego list do Stalina, w którym informowałby sowieckiego dyktatora, że rząd polski gotów jest przyjąć za podstawę dyskusji o granicy z Sowietami tzw. linię Curzona. Polscy politycy mieli więc prawo domniemywać, że strona brytyjska nie tylko wspierała Stalina, ale wręcz zaakceptowała jego żądania terytorialne.

T.K. – W czasie wizyty Mikołajczyka w Moskwie w październiku 1944 r., przy okazji wizyty Churchilla, premiera polskiego zaatakował nie tylko Stalin, domagając się uznania przezeń linii Curzona i porozumienia z PKWN, ale i Churchill – wspierając Stalina. Mikołajczyk już w czasie poprzedniego pobytu w Moskwie, na przełomie lipca i sierpnia 1944 r., na żądanie Stalina spotkał się z przedstawicielami KRN i PKWN. Taka była geneza Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej powstałego w 1945 r.

M.K.K. – Stanowisko brytyjskie, przychylne stronie sowieckiej, było, rzecz jasna, już dawno znane Mikołajczykowi, choć nie mógł on być zupełnie pewny, że Churchill w Teheranie po prostu zgodził się na tzw. linię Curzona jako wschodnią granicę państwa polskiego.

T.K. – Churchill miał złudną nadzieję, że jeżeli Polacy zgodzą się na linię Curzona, to wtedy państwo polskie zachowa niepodległość. To było złudzenie, a on tak myślał jeszcze w czasie Jałty, dopiero później dotarło do niego, że to jest niemożliwe. To było za późno, przed Poczdamem. Jeśli chodzi o włączenie okręgu królewieckiego do Związku Sowieckiego, to trzeba tu zauważyć jedną rzecz, że cały rząd polski *in corpore* był temu przeciwny.

M.K.K. – Strona polska miała pretensje do niektórych ziem niemieckich i Prus Wschodnich, które zresztą były Polsce obiecywane. Co do Prus Wschodnich nie było wątpliwości, że one muszą być zlikwidowane, bo była to forpoczta niemiecka zbyt daleko wysunięta na wschód, która niejako stała się przyczyną wojny i mogłaby nią być w przyszłości.

T.K. – Nawet myślano o tym, żeby część Prus Wschodnich przekazać Litwie, gdyby przystąpiła do federacji środkowoeuropejskiej. Rząd polski – zauważmy przy okazji – zachował się bardzo sensownie w sprawie aneksji krajów bałtyckich – przy każdej okazji wyrażając swoją dezaprobatę dla tego faktu.

M.K.K. – Strona polska zdawała sobie sprawę ze swych ograniczonych możliwości, niemniej uporczywie stała na stanowisku, że przede wszystkim Litwa nie może być w żadnym przypadku wchłonięta przez Związek Sowiecki. Co do Estonii i Łotwy, oczywiście strona polska była zainteresowana tym, żeby i one pozostały państwami niepodległymi, ale nie występowała w tej sprawie w taki zasadniczy sposób. Od 1942 r. czynniki polskie zwracały uwagę, że Litwa jest przedmiotem szczególnego zainteresowania Polski. Były bowiem świadome, że likwidacja Litwy jako państwa niepodległego będzie równoznaczna z utratą wschodnich ziem polskich przez Rzeczpospolitą. To wynikało z geografii i rzeczywiście władzom polskim bardzo zależało na uratowaniu przynajmniej niepodległego bytu państwowego Litwy.

T.K. – Kiedy Stalin „zrezygnował" z Białostocczyzny, ówczesny republikański sekretarz partii bolszewików na Białorusi wystosował do Stalina list z protestem, że odstępuje ziemie białoruskie Polsce. Być może była to gra polityczna i Stalin mógł w ten sposób okazać swoją wielkoduszność; trudno uwierzyć, żeby ten funkcjonariusz partyjny sam z siebie był taki odważny.

W.B. – ***Trochę już zostało tutaj powiedziane o polskich politykach okresu II wojny światowej. Powiedzieliśmy, że oni mieli słabe karty, mimo to nimi grali jak potrafili. Przychodzi czas najtrudniejszy – Polska naprawdę traci swoją niepodległość, część terytorium, w pełnej krasie ujawnia się wiarołomność sojuszników. Sikorski, Mikołajczyk, gen. Sosnkowski, trochę zapomniany Tomasz Arciszewski – na nich spoczywała odpowiedzialność za losy państwa. Prosiłbym panów o krytyczne podsumowanie ich dokonań.***

M.K.K. – Według mnie następca gen. Sikorskiego na stanowisku premiera, Mikołajczyk, wcale nie był gorszy od gen. Sikorskiego, a może nawet w wielu wypadkach lepszy. Wiedział, o co walczy. Celem głównym rządu polskiego, kiedy przejmował jego ster, było odnowienie stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Sowieckim. Przede wszystkim Mikołajczyk nie godził się na żadne ustępstwa terytorialne, nie ulegał presji brytyjskiej i kiedy wreszcie po rozmowach, które prowadził ze Stalinem, zdając sobie sprawę, że sytuacja jest beznadziejna, przestał być premierem, to też miał jasną wizję dalszego postępowania. Gotów był w tej beznadziejnej sytuacji walczyć o to, o co walczyć się da. I dlatego mój stosunek do Mikołajczyka jest nacechowany pewną sympatią.

B.P. – ***A jakie można mu postawić zarzuty?***

M.K.K. – Ja mu żadnych zarzutów nie stawiam. Trzeba powiedzieć, że strona polska usiłowała grać na kilku fortepianach, nie przyglądała się biernie sytuacji. Mamy Jałtę (konferencja szefów rządów trzech mocarstw trwała od 4 do 11 lutego 1945 r.) i jej postanowienia. Przypomnę, że był legalny rząd Tomasza Arciszewskiego. Nie pytając strony polskiej, mocarstwa anglosaskie zabrały się do rozwiązywania sprawy polskiej ze Związkiem Sowieckim tak, jakby istniał „problem polski". Przecież

były normalne stosunki międzypaństwowe i problem polski nie powinien jako taki po prostu istnieć, ale istniał. Wówczas postanowiono, że należy powołać nowy rząd przez rozszerzenie tzw. Rządu Tymczasowego, czyli PKWN, który był marionetkowym ciałem powołanym przez Stalina jeszcze w 1944 r., o elementy demokratyczne w kraju i za granicą. W ostatecznym komunikacie nie było słowa o legalnych władzach na uchodźstwie. Druga sprawa, ten tymczasowy rząd miał przeprowadzić w czasie możliwie jak najkrótszym wolne i nieskrępowane wybory. Jak się do tego ustosunkowały władze polskie, te legalne? Z jednej strony rząd Arciszewskiego w specjalnym oświadczeniu odrzucił postanowienia jałtańskie, zwracając uwagę, że bez jego zgody decyduje się o sprawach Polski, że przyznanie ziem wschodnich Rzeczypospolitej Związku Sowieckiemu jest kolejnym rozbiorem Polski, ale z drugiej strony władze polskie, które pozostawały w kraju, czyli Krajowa Rada Ministrów, zostały powiadomione przez premiera Arciszewskiego o tym, że należy podjąć próbę dalszej gry. „Spróbujcie ze swojego grona wyłonić tych demokratycznych przedstawicieli z kraju..."

B.P. — ***...co się kończy procesem szesnastu...***

M.K.K. — No właśnie. Ale ja o tym mówię nie tylko dlatego, żeby ten bardzo smutny dla Polski fakt przypomnieć, ale żeby zwrócić uwagę na to, że strona polska nie ograniczała się do konstatacji. Istniał pewien podział ról między rządem polskim na uchodźstwie a przywódcami Państwa Podziemnego w kraju. Rząd polski reprezentował pryncypialne stanowisko. Przywódcy Państwa Podziemnego — pragmatyczne. Również były premier Mikołajczyk przyjął rolę pragmatyka, aczkolwiek znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Brał udział w rozmowach moskiewskich w czerwcu 1945 r. dotyczących powołania tzw. Rządu Tymczasowego Jedności Narodowej, na który potem mocarstwa anglosaskie przeniosły swoje uznanie z legalnych władz Rzeczypospolitej. W tym samym czasie odbywał się w Moskwie pokazowy proces szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Niedawno został opublikowany sowiecki dokument z przebiegu rozmowy Mikołajczyka z Mołotowem, podczas której polski polityk usiłował wstawić się za podsądnymi. Usłyszał w odpowiedzi, że wszyscy obiektywni ludzie uważają, iż proces był obiektywny. Zarówno ta rozmowa, jak i cały pobyt Mikołajczyka w Moskwie były dla niego upokarzające.

B.P. — ***Mimo to zdecydował się na dalszą grę ze Stalinem.***

M.K.K. — Tak, gdyż pragnął wyegzekwowania tych postanowień konferencji jałtańskiej, które dotyczyły przeprowadzenia w Polsce wolnych i nieskrępowanych wyborów, a zostały potwierdzone na konferencji przywódców trzech mocarstw w Poczdamie (trwała od 17 lipca do 2 sierpnia 1945 r.). Mikołajczyk postanowił sprawdzić, czy mocarstwa anglosaskie są w stanie wywiązać się z przyjętych na siebie dobrowolnych zobowiązań. Anglosasi dogadali się z Sowietami, że będą wolne wybory. No to zróbmy te wybory, żeby oni później nam, Polakom nie zarzucili, że myśmy nie wykorzystali wszystkich szans, że byliśmy tymi, którzy paraliżowa-

li najlepszą wolę mocarstw anglosaskich. Tak najprawdopodobniej rozumował Mikołajczyk. Chciałbym jeszcze w związku z konferencją jałtańską zwrócić uwagę, że właśnie wówczas Roosevelt osiągnął apogeum swojego zakłamania. Amerykański prezydent, działając nawet wbrew swojemu własnemu Departamentowi Stanu, storpedował pomysł powołania tzw. Nadzwyczajnej Wysokiej Komisji dla Wyzwolonej Europy (Emergency High Commission for Liberated Europe), która miałaby obowiązek nadzorowania wolnych i nieskrępowanych wyborów w różnych państwach europejskich. Roosevelt tego nie chciał, bo miał zamiar wycofać żołnierzy amerykańskich z Europy. Bez ich obecności w Europie żadna efektywna kontrola wyborów nie byłaby możliwa. Z góry rezygnował z zapobieżenia fałszerstwom wyborczym na obszarach europejskich opanowanych przez Armię Czerwoną. Udawał tylko, że zależy mu na unormowaniu sytuacji w Europie zgodnie z zasadami demokracji. Jeszcze gorsze stanowisko zajmował inny polityk amerykański, nie tego szczebla, ale znany powszechnie, George Kennan, który mówił – oddajmy połowę Europy Sowietom i nie bawmy się w żadne ustalenia, niech oni tam rządzą, a my będziemy sprawowali opiekę nad pozostałą częścią Europy.

B.P. – ***Dlaczego Roosevelt nie poszedł na takie rozwiązanie?***

M.K.K. – Z bardzo prostej przyczyny, bo wówczas wzmocniłby kręgi izolacjonistyczne w Stanach Zjednoczonych i zostałby zmuszony do wycofania się ze swojego pomysłu, jakim była ONZ. On naprawdę nie chciał niczego nadzorować. Czyli te wybory były skazane niejako na niepowodzenie. W proteście rządu polskiego na uchodźstwie Tomasza Arciszewskiego jest wyraźnie powiedziane, że nie uda się prawdopodobnie zachować kontroli nad wolnymi, nieskrępowanymi wyborami. Co nie zmienia postaci rzeczy, że ten sam rząd powiedział członkom podziemnych władz państwa polskiego – próbujcie się porozumieć, jedźcie tam, rozmawiajcie. Rząd polski na uchodźstwie przekazał przecież nazwiska tych szesnastu władzom anglosaskim, które z kolei przekazały to rządowi sowieckiemu, a rząd sowiecki doprowadził do ich aresztowania. Tych wolnych i nieskrępowanych wyborów nie było i system komunistyczny zadomowił się u nas na całego od stycznia 1947 r., kiedy to komuniści sfałszowali wyniki wyborów, a mocarstwa anglosaskie ograniczyły się do dania wyrazu swojej dezaprobacie dla tego faktu.

T.K. – Jeżeli ocenia się polityków polskich tak jak polityków innych państw, to trzeba wziąć pod uwagę dwa elementy – jaka siła stała za tymi politykami i jakie oni mieli możliwości. Błędy polityczne Churchilla czy Roosevelta należy oceniać, mając na względzie siłę i możliwości, jakie oni mieli. Inne zresztą Roosevelt i inne Churchill. I tak się składa, że niekiedy więcej pretensji ma się do polityków, którzy niewiele mogli zrobić, bo za nimi w gruncie rzeczy nie stała żadna siła, a układ polityczny bywał dla nich tragiczny. Dotyczy to i Sikorskiego, i Mikołajczyka, i innych polityków Europy Środkowowschodniej. Sikorski realizował politykę polską na tyle, na ile ona mogła być wtedy realizowana, w tamtym układzie politycznym,

będąc najpierw „na garnuszku" Francji, a potem Wielkiej Brytanii. Sikorski zginął 4 lipca 1943 r. Premierostwo Mikołajczyka przypadło na najtragiczniejszy okres dla Polski – po zerwaniu stosunków dyplomatycznych przez Sowiety, czyli na drugą połowę roku 1943 i na 1944 r. Zrobił to, co mógł. Polscy politycy popełniali takie czy inne błędy, ale nawet gdyby byli geniuszami politycznymi, nie uzyskaliby nic więcej. Natomiast inna polityka Roosevelta, w mniejszym zakresie Churchilla, mogła prowadzić do całkowicie innego rezultatu politycznego po wojnie, i to nie tylko w odniesieniu do Polski. Fałszywa koncepcja polityczna – głównie w przypadku Roosevelta – egoizm i partykularyzm interesów własnego kraju, a w dodatku nierzadko obłuda mocarstw zachodnich, przyniosły wiadome rezultaty dla Polski i innych krajów.

W.B. – ***Niekiedy mówi się o tym, że Mikołajczyk, decydując się na przyjazd do kraju i grę »znaczonymi kartami« z komunistami i ich sowieckimi poplecznikami, w gruncie rzeczy z góry skazywał się na polityczną klęskę.***

T.K. – Nie podzielam tej opinii. On wracając do kraju zakładał, że może „przegrać", liczył się nawet ze śmiercią. Miał inny pogląd niż ten, który reprezentował np. gen. Władysław Anders czy wielu innych polityków i generałów, że jednak wybuchnie III wojna światowa, zatem jest nadzieja, że ona przyniesie rozwiązanie dla sprawy polskiej. Uważał, że jeśli doszłoby do niej, to byłoby to nieszczęście dla Polski, która wtedy mogłaby zostać starta z powierzchni ziemi. Nie wierzył w tę wojnę i nie oczekiwał jej. Przyjeżdżając do Polski, wiedział, że może zrobić bardzo niewiele, ale w miarę możliwości chciał uratować wolnorynkowy ustrój ekonomiczny i pewną niezależność polityczną. Wiedział, że dominacji Sowietów w Europie Środkowowschodniej nie da się podważyć. Uważał, że Sowieci mogą sprowokować wielkie powstanie w Polsce, które utopią we krwi, mając równocześnie pretekst do pacyfikacji całego narodu. Przy tym przedstawią to powstanie jako działanie wichrzycielskie skierowane przeciw ich dobrej woli i ustaleniom jałtańskim. I zyskają zrozumienie Zachodu. On się takiego powstania rzeczywiście bał. Czy doszłoby do niego, czy nie, to jest już inna sprawa.

B.P. – ***Komuniści i bez powstania spacyfikowali naród, przynajmniej do pewnego stopnia.***

T.K. – Mikołajczyk pragnął „rozładować lasy" – wyprowadzić z nich młodzież i skierować ją do szkół i do pracy. Podziemie uważał za skazane na tragiczną klęskę. To, że Mikołajczyk niejako przegrał ten przyjazd i potem uciekł z kraju, to była jednocześnie jego wygrana. Tu nie ma sprzeczności. Gdyby nie przyjechał do kraju z emigracji – a tylko on wchodził tu w grę – i Stalin zaprowadziłby tu szybko swój reżim, to wówczas najprawdopodobniej na Zachodzie by powiedziano: my w Jałcie zrobiliśmy co mogliśmy, zagwarantowaliśmy Polsce niepodległość i demokrację, ale Mikołajczyk czy inny polityk nie pofatygował się i nie przyjechał do Warszawy.

I Polacy mają to, co mają. To ich wina. Przyjazd Mikołajczyka do kraju takie przedstawienie sprawy uniemożliwił. I to była jego wygrana. Więcej – udowodnił, że ze Stalinem nie można się porozumieć, chyba że na jego warunkach. Jasne, że Mikołajczyk, jadąc do Polski, uwiarygodnił ówczesną politykę Stalina i komunistów polskich. Ale w ogólnym bilansie jego przyjazd był korzystny. Zresztą Stalin – jeżeli nie Mikołajczykiem – to kim innym by się uwiarygodnił. I byłby chyba zadowolony, gdyby Mikołajczyk odmówił przyjazdu do Polski. Najbardziej do tego wyjazdu namawiał go Churchill. Dla polityków angielskich i amerykańskich wyjazd Mikołajczyka do Polski oznaczał jakby znormalizowanie sprawy polskiej, co było ważne i z uwagi na opinię ich społeczeństw, które pamiętały, że Polska była aliantem Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Politycy polscy z okresu wojny nie byli gorsi od polityków innych krajów. Ja cenię ich wyżej niż na przykład Beneša czy polityków innych rządów emigracyjnych. Rząd polski na emigracji był rządem najbardziej szanowanym z uwagi na wielkość i potencjał Polski itd., także z uwagi na politykę, jaką prowadził, i za czasów Sikorskiego, i za czasów Mikołajczyka, a także Arciszewskiego.

M.K.K. – Polska nie prosiła ani Amerykanów, ani Brytyjczyków o to, żeby za nią załatwiali sprawy polskie. Oni się zdecydowali i przyjęli na siebie pewne zobowiązania. Te zobowiązania jałtańskie i poczdamskie, które na siebie przyjęły Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, nie zostały zrealizowane. Można zatem powiedzieć z pełną odpowiedzialnością, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania są naszymi politycznymi dłużnikami.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 5–6 (52–53), maj–czerwiec 2005

POLSKI DZIKI ZACHÓD

Ze Stanisławem Jankowiakiem, Czesławem Osękowskim
i Włodzimierzem Suleją rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***W peerelowskiej nomenklaturze ziemie zachodnie nazywano Ziemiami Odzyskanymi, co miało przypominać ich związaną z Polską historię, zakończoną między innymi pierwszym rozbiorem. (Choć niektóre z nich bardzo dawno odpadły od Polski, a część Prus Wschodnich nigdy nie była polska). Ich cechą szczególną jest to, że od dawna stanowiły pogranicze polsko–niemieckie, przechodząc raz w polskie, innym razem w niemieckie ręce. Jedną z konsekwencji takiego stanu rzeczy była struktura ludnościowa tych ziem. Jak można scharakteryzować polską myśl polityczną w odniesieniu do »kresów zachodnich«?***

W.S. — To, co określiłbym mianem polskiej politycznej myśli zachodniej, ma historię sięgającą XIX w. Publicystyka dotycząca tego tematu prezentowała niejednokrotnie pomysły daleko idące. Dla jednych prawa Polski do terenów znajdujących się w obrębie państwa pruskiego czy w obrębie Rzeszy były odwieczne, dla innych pojawiły się świeżo. Niektóre z tych pomysłów terytorialnych sięgały linii Odry, a jeśli uwzględniano problem serbołużycki, również poza nią. Było to rozumowanie charakterystyczne przede wszystkim dla myśli narodowej, chociaż i w innych obozach politycznych można znaleźć ludzi, którzy głosili podobne poglądy. W prasie pojawiały się informacje o tych obszarach, zwanych umownie „kresami zachodnimi".

B.P. — ***Po zakończeniu I wojny światowej przed społecznością międzynarodową stanęła konieczność rozstrzygnięcia kwestii związanych z pogranicznymi obszarami o mieszanym charakterze etnicznym. Skurczenie się niemieckich granic na korzyść sąsiednich państw niosło potencjalne zagrożenie nowymi konfliktami w przyszłości. Dla Niemców takie terytoria, kresowe również z ich punktu widzenia, miały charakter strategiczny.***

W.S. — Pomysły na to, żeby włączyć określone obszary, należące przedtem do Niemiec, do polskiego państwa, są związane również z I wojną światową i jej zakończeniem. Doczekały się one nawet interesującej oprawy propagandowej, np.

pierwszy rządca diecezji wrocławskiej po II wojnie światowej, ks. infułat Karol Milik, w okresie międzywojennym propagował granicę na Odrze i Nysie, wydając nawet w tym celu specjalną pocztówkę. Zgłaszano też pretensje do całego obszaru Prus Wschodnich. Ten problem wywoływał określone reakcje strony niemieckiej. Tak czy inaczej w polskiej myśli politycznej można znaleźć wiele sposobów rozpatrywania tego zagadnienia z punktu widzenia polskich interesów – terytorialnych i strategicznych.

C.O. – To oczywiście zaważyło na stosunkach polsko-niemieckich w całym okresie międzywojennym. Moment wychodzenia z I wojny światowej zaowocował całym szeregiem sporów granicznych między Polską a Niemcami. Znana jest sprawa plebiscytów, powstań – śląskich i wielkopolskiego, w których właśnie granica była głównym punktem spornym.

S.J. – Pod koniec XIX w. w całej Europie rodził się nacjonalizm. Nic więc dziwnego, że pojawiała się wówczas racjonalna, rzetelna analiza tego, jak powinna wyglądać Polska – po wojnie czy po jakimś konflikcie, kiedy odzyska niepodległość. Chodziło o to, żeby nie było zagrożenia kolejnym rozbiorem w przyszłości, żeby granice Polski były tak przemyślane, by były bezpieczne. Wtedy nie było jeszcze głębokiej nienawiści do Niemców, tę zrodziła tak naprawdę dopiero II wojna światowa.

C.O. – To była po prostu nasza racja stanu. Wówczas stosunki polsko-niemieckie musiały kształtować się pod presją przeszłości, zaborów i polityki germanizacyjnej. Polacy powszechnie obawiali się ponownego zagrożenia ze strony Niemiec.

W.S. – Pokazywano to w dwóch aspektach. Po pierwsze, z punktu widzenia strategicznego chodziło o kwestię bezpiecznej granicy. Mówiono o linii Odry i Nysy, ale nie Łużyckiej, lecz Kłodzkiej. Po drugie – odwoływano się do praw narodowych, wskazywano na istnienie silnego, rodzimego elementu polskiego na tych ziemiach. A tak na marginesie, pomysł granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej nie jest wyłącznie polski, lecz wiąże się także z imperialną myślą rosyjską – w 1912 r. Rosjanie opracowali mapę, na której linia obu rzek stanowiła ich zachodnią rubież graniczną.

C.O. – Innym, bardzo ważnym elementem był aspekt gospodarczy. W podobnym stopniu jak o zwiększenie terytorium państwa chodziło również o surowce i dostęp do morza. O tym nie należy zapominać.

B.P. – ***Komu zawdzięczamy zrealizowane w rozstrzygnięciach po I wojnie światowej wyłączenie Gdańska jako Wolnego Miasta?***

S.J. – Po raz pierwszy taki pomysł pojawił się w wystąpieniu znanego nam skądinąd późniejszego prezydenta Czech Edwarda Beneša w grudniu 1918 r. Podchwyciła to i forsowała głównie strona brytyjska.

B.P. – ***Jaką politykę prowadzili Niemcy w okresie międzywojennym w stosunku do własnej i polskiej ludności na tych terenach, które były ich wschodnimi kresami? O ich polityce gospodarczej wiadomo, że przez***

pierwszy okres ziemie te były mniej doinwestowane w porównaniu z obszarami centralnymi.

C.O. – Ten obszar był rzeczywiście przez znaczny czas zapóźniony pod względem gospodarczym, choć w znacznej mierze były to tereny rolnicze i z tego względu odgrywały w organizmie państwa niemieckiego bardzo istotną rolę. Kiedy do władzy doszli naziści, rozpoczęła się ogromna seria inwestycji na tym obszarze, zwłaszcza w infrastrukturę, budownictwo, drogi, mosty, koleje. Były to inwestycje o charakterze strategicznym, które później zostały wykorzystane w działaniach wojennych. Jeśli chodzi o sprawy społeczne, to łączyły się one z polityką. Wykładnią niemieckiej polityki było wskazywanie, że ziemie te są rdzenną częścią państwa niemieckiego. W stosunku do Niemców, którzy tutaj gospodarowali czy chcieli się osiedlać, państwo prowadziło politykę uprzywilejowania. Natomiast w stosunku do zbiorowisk Polaków, którzy tutaj mieszkali – na Śląsku czy na Warmii, na Mazurach, zwłaszcza w stosunku do młodzieży – nadal prowadzono politykę germanizacyjną.

B.P. – ***Na to wszystko nakładała się polityka niemiecka dotycząca Niemców znajdujących się na terenach włączonych w skład państwa polskiego, bardzo ekspansywna w tym sensie, że te wschodnie kresy poszerzano jeszcze na obszar polski przez popieranie mniejszości niemieckiej w Polsce, rozbudzanie niemieckiej aktywności patriotycznej, choć zamieszkujący tu Niemcy deklarowali pełną lojalność wobec władz polskich.***

W.S. – Istniała ogromna dysproporcja pomiędzy zachowaniem władz niemieckich wobec swojej mniejszości w Polsce i mniejszości polskiej w Niemczech. II Rzeczpospolita starała się najbardziej wspierać polską społeczność na Opolszczyźnie, zaniedbując nieco północny fragment kresów. Wynikało to, między innymi, z ograniczonych możliwości politycznych i finansowych. Więzi ludności polskiej rodzimej z niemczyzną, a zwłaszcza Mazurów i Warmiaków, wydatnie zadzierzgnęły się w okresie I wojny światowej, szczególnie tam, gdzie dotarły wojska rosyjskie i poczyniły wielkie zniszczenia. Niemcy w czasie I wojny wyłożyli bardzo duże środki na odbudowę tych terenów. To tłumaczy pośrednio, choć nie w całości, plebiscytowy wynik na północy. Wytworzył się wówczas świeży, bardzo silny związek z całym państwem niemieckim.

S.J. – Państwo niemieckie starało się zapewnić na kresach wschodnich dawnej Rzeszy takie warunki, zwłaszcza urzędnikom, żeby oni nie czuli się gorsi w stosunku do centralnych czy zachodnich części państwa. Dowodzą tego np. inwestycje chociażby w kulturę w Poznaniu. Skutki jednak nie były takie oczywiste. Na dobrą sprawę pod koniec XIX i na początku XX w. możemy mówić właściwie o „westfluchcie", ucieczce z tych kresowych terenów wschodnich Niemiec. Ten proces został trochę zahamowany przez wojnę, ale pojawił się znów po jej zakończeniu. Takich fal odpływu i przypływu ludności niemieckiej było kilka.

B.P. – ***Jakie były wyobrażenia polskich polityków na temat zagospodarowania tych ziem podczas II wojny światowej, czyli w czasie, w którym perspektywa realizacji innej niż przedwojenna granicy polsko-niemieckiej stawała się z roku na rok bardziej realna?***

W.S. – Jeszcze przed wojną wiadomo było, że w przypadku konfliktu wywołanego przez Niemców zapłacą oni za to również terytorialną cenę, choć nie precyzowano jaką. Również w czasie wojny nie istniały większe wątpliwości co do tego, że Prusy Wschodnie w całości, czyli łącznie z tą częścią, która jest teraz obwodem kaliningradzkim, powinny przypaść Polsce. Mówiło się także o Śląsku Opolskim, raczej nie o Dolnym Śląsku. Nie przypominam sobie, żeby wówczas pojawił się problem polskiego Szczecina.

S.J. – Zdecydowanie się nie pojawił. Początkowo uważano, że Polska powinna istnieć w przedwojennych granicach. Świadczyły o tym wypowiedzi premiera Sikorskiego w pierwszych miesiącach urzędowania jego rządu. W miarę rozwoju sytuacji wojennej powoli zaczynały pojawiać się nowe akcenty. Rząd Polski domagał się poszerzenia terytorium państwa o Prusy Wschodnie, Gdańsk i Śląsk Opolski. Postulował także wyprostowanie granicy na dzisiejszym Pomorzu Zachodnim.

C.O. – Wchodziła też w rachubę ziemia bytowsko-lęborska. Wówczas panowało przekonanie, że po pokonaniu Niemiec Polska na zachodzie musi uzyskać spore nabytki terytorialne. I na tym się kończyło.

S.J. – Długo nie stawiano polskiego postulatu granicy na Odrze i Nysie czy na samej Odrze. Nie myślano także o Dolnym Śląsku.

C.O. – W kręgach politycznych i kulturalnych Paryża w 1940 r. mówiło się także o tym, że Gdańsk powinien należeć do Polski. O ziemiach zachodnich polscy politycy mówili jako o ziemiach postulowanych.

S.J. – Przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego w kraju też uważali, że Polska powinna przesunąć się na zachód kosztem Niemiec, ale postulaty terytorialne nie szły zbyt daleko. Deklaracja Rady Jedności Narodowej z 15 marca 1944 r. mówiła oczywiście o Prusach Wschodnich, o Gdańsku, klinie pomorskim, Śląsku Opolskim. Ale mówiła też, że w portach nadodrzańskich mają być zabezpieczone interesy polskie, co sugerowało, że w tych planach Odra nie będzie polska. Bardzo długo i powoli rodziła się koncepcja polskich ziem zachodnich, chociaż z drugiej strony Biuro Zachodnie formułowało w tej sprawie bardzo jednoznaczną ideę...

W.S. – ...daleko wykraczającą poza linię Odry...

S.J. – ...no właśnie – czyli okupację terenów niemieckich sięgającą gdzieś pod Berlin.

C.O. – Uzasadniano to m.in. daleką przeszłością historyczną oraz żyjącą na tym obszarze ludnością serbołużycką.

S.J. – Opracowania Biura Zachodniego były profesjonalne i drobiazgowe. Przewidywano nawet to, ilu lekarzy będziemy musieli przesiedlić na te ziemie, gdy je przejmiemy.

W.S. – To był jeden z wariantów, który wtedy wchodził w rachubę. Gdyby jednak sprowadzić to do pewnego syntetycznego skrótu, to pomysł tak dalekiego pchnięcia Polski na Zachód był jednak autorstwa Stalina. To była jego koncepcja polityczna kształtu Polski, związana z nierównoprawną zamianą ziem wschodnich na ziemie zachodnie. Mieścił się w niej także zamysł skłócenia Polaków z Niemcami. I to zostało precyzyjnie zrealizowane. Mogliśmy wyjść również poza linię Odry, bo w publicystyce z lat 1945–1946 wyraźnie obecny był problem Serbołużyczan.

S.J. – Niemcy na pewno sobie nie wyobrażali, że stracą ten teren – przemieścili tam mnóstwo ludzi z zachodnich części państwa, zagrożonych bombardowaniami alianckimi.

W.S. – Pod koniec 1944 r. we Wrocławiu mieszkało 1 mln 440 tys. ludzi. To była ogromna aglomeracja.

B.P. – ***A ilu Polaków było na przedwojennych terenach Dolnego Śląska?***

C.O. – Trochę polskiej ludności rodzimej mieszkało w powiatach sąsiadujących z Wielkopolską i Górnym Śląskiem. Nie były to jednak zbyt liczne skupiska.

W.S. – Polacy byli tam w liczbie śladowej. We Wrocławiu pojawiali się i polscy artyści, i niezbyt liczna wrocławska Polonia.

B.P. – ***Czy ktoś z nich przetrwał?***

W.S. – Tak, przetrwali przede wszystkim ci, którzy przed wojną tutaj mieszkali, niektórzy funkcjonują jeszcze do dzisiaj. Była to, jak wspominałem, Polonia wrocławska, ale trudno też nie dostrzec, że w większym stopniu ideę odwiecznej obecności Polaków nad Odrą rozbudowywano propagandowo. Natomiast ci, którzy pojawili się tutaj w czasie wojny, to albo robotnicy przymusowi, albo więźniowie. Był to oczywiście teren działań operacyjnych polskiego wywiadu, miały miejsce akcje dywersyjne, np. na dworcu wrocławskim, ale to jest zupełnie inna historia i trudno zgłaszać polskie pretensje do Wrocławia na podstawie tych wydarzeń.

B.P. – ***Stanęło na tym, co było na wspomnianej już rosyjskiej mapie Europy z 1912 r.***

S.J. – Gomułka miał rację, mówiąc, że ziemie zachodnie łączą naród z systemem. Bez wsparcia Związku Sowieckiego, bez Stalina utrzymanie tej granicy nie było możliwe.

C.O. – Stalin politycznie wykorzystywał sytuację, był gotów wyznaczyć na zachodzie szerokie granice dla Polski, pod warunkiem że władzę przejmą komuniści.

W.S. – Było to realne wiano, w które wyposażył Stalin polskich komunistów.

S.J. – Gdyby w Polsce po wojnie była szansa na premiera Mikołajczyka i jakiś związek Polski z Zachodem, to, jak pisał w liście Eden do Churchilla – my bylibyśmy gotowi pójść na ustępstwa wobec pana Mikołajczyka takie, jakich by żądał, nie zrobimy tego w stosunku do Rządu Tymczasowego, do rządu komunistycznego w Polsce. Nie wiadomo więc, jakby wyglądała ta granica, gdyby rzeczywiście nie było interesów rosyjskich w dalszej części Europy.

C.O. – Tak czy inaczej, Polacy opowiadali się za rozszerzeniem granicy na zachód. Uważano, że Niemcy muszą ponieść wysoką karę za wywołanie wojny.

B.P. – ***Alianci temu sprzyjali, bo porządek polityczno–terytorialny po zakończeniu I wojny okazał się bardzo niestabilny. Problem niemiecki był problemem nie tylko Polski.***

C.O. – Ale pamiętajmy też, że myśl anglosaska w okresie II wojny niestety zmieniała się...

W.S. – ...w zależności od tego, gdzie Polska będzie usytuowana. Kiedy w Jałcie dokonał się realny podział wpływów, to wtedy wiadomo było, kto będzie na jakim obszarze rozgrywał i terytorialnie, i w każdy inny sposób.

S.J. – Stalin liczył na to, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z jego planami, Amerykanie wycofają się z Europy, a granice socjalizmu mogą wyglądać inaczej. Nie wiadomo było, jak po wyborach zachowają się Włochy, Francja, bo w tym czasie społeczeństwa zachodnie wyraźne „odchylały się na lewo". Przypomnę wypowiedź Mieczysława Moczara – „Związek Sowiecki jest naszym przyjacielem, ale to jest prawda dla narodu, dla nas, partyjniaków, Związek Sowiecki jest naszą ojczyzną, a granic tej ojczyzny nie jestem w stanie dziś określić, dziś są na Łabie, jutro mogą być na Gibraltarze". Gdyby wojna na Dalekim Wschodzie potrwała jeszcze, jak to przewidywali stratedzy amerykańscy, cztery lata i kosztowała życie kolejny milion czy półtora miliona amerykańskich żołnierzy, to sytuacja w Europie mogłaby wyglądać zupełnie inaczej.

B.P. – ***Począwszy od I wojny światowej ziemie te były świadkiem ogromnych ruchów ludnościowych, których apogeum nastąpiło w okresie II wojny światowej i tuż po jej zakończeniu. Na ogromną skalę przemieszczały się miliony ludzi w jedną i drugą stronę.***

S.J. – W tych zjawiskach migracji występowało znaczne zróżnicowanie regionalne. Jeśli chodzi o początek II wojny światowej – inna była sytuacja w tzw. Kraju Warty niż na Pomorzu czy na Śląsku. W Kraju Warty mogło to wynikać z osobistych ambicji gauleitera Greisera, który chciał, by jego okręg był wzorcem dla reszty Niemiec. Greiser nie chciał germanizować ludzi, tylko ziemie. W czasie okupacji zostało stąd wysiedlonych pół miliona Polaków. Jego plan przewidywał, że w perspektywie dziesięciu lat mieli zostać wysiedleni z tzw. Kraju Warty wszyscy Polacy – albo na inne tereny, albo na roboty do Rzeszy, do GG czy jeszcze dalej. Znane są przecież fantastyczne koncepcje Himmlera przesiedlenia Polaków na Syberię. Greiser zaczął to realizować. Miał koncepcję masowych przemieszczeń ludności – chciał ściągnąć do Kraju Warty Niemców z innych części Europy – ze Związku Sowieckiego, Rumunii, krajów nadbałtyckich, znad Morza Czarnego – osadzić ich na miejsce Polaków i w ten sposób zgermanizować tę ziemię. Nie robiono tego na Pomorzu czy na Śląsku...

C.O. – ...dlatego, że na Śląsku mieszkali obywatele niemieccy. Migracje ludności na obecnych tzw. Ziemiach Odzyskanych rozpoczęły się wysiedleniami niemieckimi.

Podczas wojny i okupacji trwały na tych ziemiach wielkie przemarsze armii: armia niemiecka przemieszczała się na wschód i następnie wracała, później na zachód szła Armia Czerwona, która już po wojnie wracała do ZSRS. Część sowieckich wojsk zatrzymała się jednak na Ziemiach Odzyskanych na kilkadziesiąt lat. Największe migracje ludności zaczęły się po wojnie, po przejściu frontów i wojsk.

W.S. – Przed nadejściem Armii Czerwonej miały miejsce masowe ucieczki, zwłaszcza na Dolnym Śląsku. Organizowały je władze niemieckie. Różne były motywy – była to i konieczność polityczna, i strach przed nadejściem Rosjan spotęgowany doświadczeniem ludności niemieckiej w Prusach Wschodnich. Doświadczenie pruskie było czynnikiem wyraźnie wspomagającym indywidualne decyzje. Wiedziano, co tam się działo. Przejście frontu tworzyło więc istotną zmianę jakościową. Podczas ewakuacji zimą 1944 r. ludność niemiecka poniosła ogromne straty. Później jednak następował proces odwrotny – powrotu na te ziemie ludzi, którzy znaleźli się za Odrą.

C.O. – Najpierw nastąpiła ewakuacja ludności zarządzona przez władze niemieckie. Ucieczka przed zbliżającym się frontem była masowa, paniczna, a jej jedynym motywem było to, żeby nie dostać się pod władzę Armii Czerwonej. Po wojnie rozpoczęło się wysiedlanie ludności niemieckiej.

S.J. – Niemcy trochę wpadli we własne sidła, bo do ostatniej chwili czekano z ogłoszeniem haseł ewakuacyjnych. Gauleiterzy próbowali i sobie, i innym udowodnić, że wytrzymają tutaj do końca. Greiser był pod tym względem niesamowity. Formą zachęcania do oporu miała być także propaganda grozy uprawiana przez stronę niemiecką – jak oddamy te tereny, to będą działy się takie straszne rzeczy jak w Nemmensdorf w Prusach Wschodnich. Nagłaśniano to, pokazywano te okropieństwa, które czasem wyolbrzymiano, czasem nie, bo tam rzeczywiście straszne rzeczy się działy. Pamiętajmy o tym, że Armia Czerwona od kilku lat była w polu, cały czas jej zapędy były hamowane tym, że walczymy na własnych, potem zaprzyjaźnionych terenach itd. A teraz zaczynała się przeklęta Germania. Nawet były takie napisy – „Oto przeklęta Germania", w domyśle – tu wam wolno wszystko. Propaganda niemiecka przyniosła odwrotny skutek. Fala uchodźców łamała już wszystkie przepisy i wszystkie zakazy, powstała panika. Dodajmy do tego przeraźliwe zimno, minus 30 stopni w nocy. Co więcej, armia niemiecka rezerwuje sobie główne szlaki komunikacyjne i spycha z nich uchodźców. To jest zima z 1944 na 1945 r. Ta fala ucieczek z Prus Wschodnich, która zaczęła się w 1944 r., została zatrzymana i ruszyła ponownie dopiero wraz z ofensywą styczniową. To był rzeczywiście potężny ruch.

B.P. – ***Czy da się zbilansować przemieszczenia ludności niemieckiej na interesujących nas terenach, w okresie wojny?***

C.O. – Na tych terenach, zwanych Ziemiami Odzyskanymi, przed wojną było około 8,5 miliona Niemców. Po zakończeniu wojny – po wspomnianej już ewakuacji ludności i ucieczce przed zbliżającym się frontem – ich liczba spadła mniej więcej o połowę.

B.P. — ***Po konferencji w Jałcie, a przede wszystkim po Poczdamie, rozpoczęło się »polityczne« porządkowanie kwestii obecności Niemców czy raczej ich nieobecności na tych terenach.***

W.S. — W odniesieniu do ziem, które stały się częścią Polski, realizowano politykę faktów dokonanych. Ich obejmowanie w realne posiadanie, zaznaczanie polskiej obecności politycznej, dokonywało się jeszcze przed rozstrzygnięciami Poczdamu. Działo się to równolegle z przesuwaniem się na Zachód mas żołnierzy sowieckich i przychodzeniem polskiej administracji, zalążkowej jeszcze i symbolicznej. Nie było ostatecznej pewności, jak będzie przebiegać granica. Przykładem jest Szczecin, który był raz polski, raz niemiecki.

S.J. — Polska administracja dwa razy opuszczała Szczecin.

C.O. — Jałta dosyć wyraźnie sprecyzowała, jak będzie wyglądała zachodnia granica Polski. Była tylko kwestia tego, która to będzie Nysa — Kłodzka czy Łużycka. Wiadomo było, że granica będzie biegła wzdłuż Odry. Takie przekonanie panowało wówczas także wśród ludności niemieckiej.

W.S. — To jest poza dyskusją, rzecz polega na tym, że kropka nad i nie była postawiona. Prowadzono działania według ducha Jałty, według tego, co tam zostało powiedziane, natomiast formalne rozstrzygnięcia miały zapaść później.

S.J. — Dobrze to ilustruje polityka sowiecka na tych ziemiach — tworzenie administracji najpierw, z konieczności, wojskowej. Komendantury wojskowe musiały powstać, gdy przesuwał się front. Za nim, na głębokość stu kilometrów, ustanowiono strefę przyfrontową. Nie mogło więc być tam miejsca na władzę czy administrację polską. Co więcej, pod patronatem Rosjan tworzono przecież administrację niemiecką na tych ziemiach. Przypomnę kuriozalny przypadek właśnie z Wrocławia — burmistrz miasta (Niemiec) wydał obwieszczenie, żeby Żydzi, pół-Żydzi i Polacy zgłosili się do pracy w konkretnym dniu i w konkretnym miejscu. Inna sprawa, że w tym czasie nawet komuniści niemieccy wierzyli, iż granica nie będzie przebiegała na Odrze.

W.S. — W pierwszej poważniejszej liczebnie ewakuacji ludności niemieckiej z Wrocławia wyjeżdżają właśnie komuniści.

C.O. — Część ludności niemieckiej, która przewidywała granicę na Odrze, uciekła niedaleko na zachód. Po przejściu frontu powracali do swych domostw. Sowieci przepuścili przez granicę wcale niemałą liczbę Niemców. Gdy Polacy próbowali ich zatrzymywać, czasami dochodziło do poważnych konfliktów z Sowietami — nawet już po zakończeniu II wojny światowej! Znam dokument opisujący sytuację spod Jeleniej Góry — aresztowany żołnierz polski bez pasa, gołymi rękami zbiera końskie łajno, pilnowany przez Rosjanina. Przyglądają się temu Niemcy i zachowują się przy tym całkowicie swobodnie.

B.P. — ***Jest wiele relacji mówiących o aroganckim stosunku do Polaków zwycięzców — Sowietów i zwyciężonych — Niemców.***

S.J. – Wraz z zakończeniem wojny nastąpiła gwałtowna zmiana polityki sowieckiej wobec Niemców. Sowieci rozgrywali kwestię niemiecką inaczej niż dotychczas. Skończył się prosty wzorzec – trzeba pokonać Niemcy. Rozpoczęto realizację polityki wobec Niemiec jako całości, która była obliczona na przyszłość. Myślę, że Sowieci marzyli o tym, żeby Niemcy byli przynajmniej pod dużym wpływem rosyjskim.

C.O. – Miała to być alternatywa dla polityki, którą zamierzali realizować alianci.

W.S. – Wszystko to prawda, ale nie chciałbym, by ktoś odniósł wrażenie, że Niemcy mieli tutaj sielankę. Była to ludność, która, z jej punktu widzenia, znajdowała się pod okupacją – z wszelkimi konsekwencjami okupacji. I pamiętajmy o zjawiskach związanych z całą strefą zafrontową: maruderstwie, masowych gwałtach itd. No i oczywiście o wszystkich ruchach ludnościowych. To był klasyczny „dziki Zachód" – wystarczy sięgnąć do dokumentów, relacji czy nawet niektórych filmów.

B.P. – ***Całemu temu gwałtowi na ludziach towarzyszyła grabież...***

C.O. – ...powszechny wywóz mienia poniemieckiego...

S.J. – ...albo niszczenie. W Policach, gdzie była fabryka benzyny lotniczej, Sowieci wysadzili w powietrze to, czego nie mogli zdemontować.

C.O. – Na tym ogromnym obszarze prawie w ogóle nie było Polaków – byli Rosjanie i Niemcy.

B.P. – ***Kiedy i w jakim trybie pojawili się pierwsi Polacy?***

W.S. – Musimy rozróżniać tych, którzy tutaj przyjeżdżali się osiedlić, od tych, którzy mieli zajmować się pracą polityczną. Na przykład Bolesław Drobner został przysłany do Wrocławia jeszcze w czasie trwania walk, kiedy nie sposób było choćby w przybliżeniu określić momentu ostatecznego zdobycia miasta. Dopiero potem rozpoczynają się ruchy ludności, najpierw z terenów przygranicznych, z Wielkopolski. Pojawiają się ci, którzy wracają z Niemiec, część z nich tutaj zostaje. Są też ludzie, którzy byli na robotach i nie bardzo mają ochotę wracać w głąb Polski. Dopiero po pewnym czasie zaczynają się przesiedlenia na dużą skalę, związane z przymusowym napływem przesiedleńców z Kresów Wschodnich. Temu procesowi towarzyszy zorganizowane wypieranie Niemców.

S.J. – Po zakończeniu ucieczek Niemców rozpoczęła się akcja wojskowa, która miała, jak to napisano w rozkazie, „oczyścić z niemieckiego plugastwa" zachodni pas pod osadnictwo wojskowe. Ten pas miał nawet i sto kilkadziesiąt kilometrów szerokości.

C.O. – Z dwunastu nadgranicznych powiatów miano wysiedlić wszystkich Niemców, by utworzyć swego rodzaju pas bezpieczeństwa. To odbywało się przed konferencją poczdamską w czerwcu i lipcu 1945 r. I gdy Niemcy mówią o wypędzaniu ich z przejętych przez Polaków ziem, to określenie to pasuje właśnie do tego okresu.

S.J. – Poczdam nie jest jednoznaczną datą, jest on raczej symboliczny. Państwa zachodnie zachowywały się dziwnie. Z jednej strony mówiły tak – granica w za-

sadzie powinna przebiegać na linii Odry i Nysy, ale to rozstrzygnie konferencja pokojowa. A z drugiej – podjęły decyzję o przesiedleniu ludności niemieckiej. To była pewna dyrektywa polityczna, wyprzedzająca listopadowe podpisanie stosownych umów.

W.S. – Należy pamiętać, że nie tylko władze sowieckie dają przyzwolenie na wyprowadzenie stąd Niemców. Uczestniczą w tej operacji również władze amerykańskie i angielskie, które ich przyjmują.

C.O. – Trzeba dodać, że to wysiedlenie Niemców miało dotyczyć nie tylko Polski, ale także Czechosłowacji i Węgier, czyli to była globalna regulacja.

B.P. – ***Czy alianci logistycznie w tym uczestniczyli?***

S.J. – Tylko przez przysłanie takich teamów odbiorczych. Zadaniem strony polskiej było sformowanie transportów, odpowiednie ich wyposażenie w żywność, opał itp. i dostarczenie ich do tzw. punktów zdawczych na granicy. Podkreślano przy tym, by przesiedleńcy przyjeżdżali transportami spełniającymi określone normy.

B.P. – ***Ale na czyj koszt to się wszystko odbywa?***

S.J. – Na koszt Polski. To my musieliśmy zapewnić transport do granic Polski, a potem strefy przyjmujące brały na siebie ten obowiązek. My musieliśmy dać wyżywienie na przynajmniej trzy dni. To było poważne obciążenie. Zimą musieliśmy dodatkowo zapewnić piecyki plus węgiel. Z pewnymi wyjątkami w zasadzie te wszystkie warunki strona polska spełniała. Nie było to jednak łatwe, a pociągi wracały bez piecyków i bez węgla.

Umowa z listopada 1945 r. przewidywała, że wysiedlenie z Polski 3,5 mln. ludzi skończy się w lipcu 1946 r. To czysta abstrakcja, że w pół roku, w tym podczas miesięcy zimowych z trzaskającymi mrozami, uda się przesiedlić także masy ludzkie. To było logistycznie niemożliwe. Teoretyczne założenia tej operacji mówiły, że z Wrocławia do granicy transport ma jechać kilka godzin. Bywało, że jechały kilkanaście dni. Przecież dopiero co skończyła się wojna. Priorytety miało wojsko, jednocześnie przerzucano Polaków zza Buga. Kolej pękała w szwach, a jeszcze trzeba było zapewnić ochronę transportu, wyżywienie, opiekę lekarską nad milionami ludzi.

W.S. – Pamiętajmy też, że z naszego punktu widzenia gwałtowne wyrzucanie Niemców nie było celowe. Stanowili tanią siłę roboczą, choćby do odgruzowywania miast, utrzymania przemysłu, rolnictwa. Był więc cały splot rozbieżnych interesów.

S.J. – Podsumujmy jeszcze kwestię ludnościową, na co rzadko zwraca się uwagę w historiografii. W czasie wojny ponieśliśmy niewyobrażalne straty ludnościowe, nie tylko tych 6 mln. 60 tys. zabitych obywateli. Ale weźmy pod uwagę, że w 1939 r. Polska liczyła 35 mln. obywateli. Spis ludności z 14 lutego 1946 r. wykazał 24 mln. ludzi, ze wszystkimi mniejszościami, również z Niemcami. A więc wedle prostego rachunku straciliśmy nie 6 mln. obywateli, lecz 11 mln., prawie jedną trzecią obywateli państwa. Na ziemiach, o których mówimy, przed wojną mieszkało około 8,5 mln.

ludzi. Przecież my nie byliśmy w stanie uzupełnić tego braku ludzi, bo nie było ich skąd wziąć. Część polskich obywateli mieszkających na Kresach Wschodnich została tam, bo np. nie puścili ich Sowieci. Nie było więc kim zagospodarować ziem zachodnich. Przepadały zbiory, nie było ludzi do pracy. Założenie wydawało się dobre. Przesiedlamy ludzi zza Buga i jednocześnie wysiedlamy Niemców. Ludzie zamieniają się miejscami...

B.P. — ***...jedni sieją, inni zbierają.***

S.J. — Abstrakcja. Osiem i pół miliona ludzi mieszkało tu wcześniej, a teraz — repatriacja zza Buga to 1 mln 300 tys. osób, z centralnej Polski przemieściło się na te tereny około 3 mln. — w dalszym ciągu było 3 mln. wakatów.

C.O. — Dodajmy jeszcze do tego milion autochtonów.

S.J. — I stąd te wielkie gospodarstwa rolne na Pomorzu Zachodnim. Pracowali tam Niemcy, bo kto miał pracować? Nie sposób było inaczej zagospodarować tych ziem.

C.O. — Z Polski centralnej przyjechało tu 2,5 mln. i 340 tys. stanowili reemigranci.

B.P. — ***Podsumowując, obraz jest następujący — jest, co prawda zdewastowana, ale istniejąca infrastruktura przemysłowa i urbanistyczna i bardzo niski stopień zaludnienia.***

S.J. — W dokumentach spotyka się takie określenie, że to jest pustynia, to są wyludnione tereny.

B.P. — ***W rolnictwie zachowano wielkie majątki, które zresztą wkrótce przekształcono w pegeery, ale to nie załatwiło wszystkiego. Jak rozwiązano problem uruchamiania przemysłu, którego potężny fundament jednak istniał?***

C.O. — Miejscowe władze zatrzymywały Niemców, żeby pracowali w gospodarstwach rolnych, w majątkach ziemskich, przy odgruzowywaniu miast i uruchamianiu zakładów przemysłowych. Poważną część wielkich majątków ziemskich przejęła Armia Czerwona i gospodarowała tam razem z Niemcami. Trzeba pamiętać, że na poniemieckich ziemiach były ogromne zniszczenia wojenne, stąd też potrzeba było bardzo wielu rąk do pracy.

W.S. — I pozostałości wojenne w postaci na przykład pól minowych itd.

C.O. — Kolejną klęską był — wspomniany już — szaber, dokonywany zarówno przez żołnierzy sowieckich, jak i Polaków.

B.P. — ***Konkurencja była ostra.***

C.O. — A jeśli mówimy o PGR, to miały one uzasadnienie praktyczne i ustrojowe. Moim zdaniem był tu nadmiar ziemi, z którą władze nie wiedziały, co zrobić. Część poniemieckiej ziemi przydzielono polskim osadnikom. Z dalszej części wkrótce powstały pegeery. Na Ziemiach Odzyskanych stopień upaństwowienia, a potem uspółdzielczenia, był zdecydowanie wyższy niż w innych rejonach. Taka specyfika rolnictwa utrzymywała się przez cały powojenny czas.

S.J. – Ziemie zachodnie, mimo że miały charakter rolniczy, były w znacznej mierze zurbanizowane. Może to brzmi nie najlepiej, ale my nie mieliśmy tak wielu ludzi, którzy mogliby mieszkać w miastach, bo na ogół przesiedlano ludność wiejską – rolników.

W.S. – Dąbrowska napisała o Wrocławiu pod koniec lat czterdziestych, że to jest wielka wieś.

C.O. – Żeby zakończyć ten bilans ludnościowy – proces osadnictwa zakończono w trzech powojennych latach. W 1950 r. już nie było skąd brać ludzi dla osiedlenia ich na poniemieckich ziemiach. Polacy z Zachodu nie chcieli wracać do kraju. Rosjanie zatrzymali na terenie ZSRS 2,5 mln. Polaków. Zaludnienie ziem zachodnich spadło o prawie 30 proc. w porównaniu z okresem przedwojennym. Migracje ludności dopełniły się na tym obszarze w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy to została przeprowadzona druga repatriacja Polaków ze Związku Sowieckiego. Do Polski przyjechało wówczas 250 tys. osób, spośród których 80 proc. osiedliło się na Ziemiach Odzyskanych. Realizowano wtedy specjalny program rządowy, budowano dla przybyszów z ZSRS domy i osady wiejskie. Ta repatriacja zapobiegła też dalszej rozbiórce wielu nieodbudowanych jeszcze od lat wojny domów w miastach.

W.S. – Spowodowało to określone konsekwencje demograficzne. Tutejsze społeczeństwo stało się społeczeństwem bardzo młodym, nastąpiła eksplozja demograficzna i przez bardzo długi czas stanowiła ona o specyfice całych tych ziem.

C.O. – W przyroście naturalnym na tym obszarze wyprzedziliśmy Meksyk.

B.P. – ***A co spowodowało, że to społeczeństwo tak się odmłodziło?***

C.O. – Dla ogromnej grupy Polaków te poniemieckie ziemie były nieprawdopodobną szansą. Przyjeżdżano tu z przeludnionych wsi województwa kieleckiego, warszawskiego, łódzkiego czy rzeszowskiego. Tu była szansa na otrzymanie gospodarstwa, dobrej ziemi i stabilizację życiową.

W.S. – Ci, którzy przyjechali, to byli ludzie rzutcy, dynamiczni, którzy się nie bali. Powstało więc społeczeństwo znacznie bardziej dynamiczne niż na pozostałym obszarze Polski. Siłą rzeczy znalazło to wyraz we wskaźniku urodzin. Zresztą dynamizm przekładał się na wszystkie sfery życia.

C.O. – Poza tym zawsze po każdej wojnie jest odnotowywany zwiększony przyrost naturalny. Zdecydowała więc o tym wypadkowa kilku czynników.

B.P. – ***Na tę specyfikę składa się szereg elementów. Przede wszystkim zamiana gospodarzy drogą całkowitej wymiany ludności, i to ludności bardzo odrębnej mentalnie, kulturowo, tradycyjnie.***

W.S. – Starano się dbać o jedno, żeby ludzi z północy osiedlać na północy, ludzi z południa na południu, czyli miał to być przepływ o charakterze równoleżnikowym.

B.P. – ***Często jednak przypadki decydowały o tym, gdzie kto się w końcu osiedlił.***

C.O. – Rada Naukowa dla Ziem Odzyskanych opracowała bardzo precyzyjne wytyczne w sprawie tego, skąd i dokąd przesiedlać, uwzględniając klimat, ukształtowanie terenu. Nie zrealizowano tego w praktyce.

S.J. – Między innymi dlatego, że trzeba było bardzo szybko organizować wyjazd Polaków ze Związku Sowieckiego, który wyznaczał bardzo ścisłe terminy. Nie było czasu, żeby zastanawiać się nad szczegółami. Trzeba było także harmonizować terminy z wysiedlaniem Niemców, co nie zmienia faktu, że czasami Niemcy i przybysze mieszkali razem w jednym domu, dopóki Niemców nie wysiedlono.

B.P. – ***Cechą charakterystyczną tworzącego się tam społeczeństwa był powszechny brak poczucia bezpieczeństwa, którego doświadczali przybysze, w tym niepewność co do najbliższej przyszłości, łącznie z ewentualnością kolejnego konfliktu światowego. Niedługo potem rozpoczęła się zimna wojna. Ludzi długo nie opuszczało uczucie tymczasowości. Kolejna sprawa to budowa i odbudowa infrastruktury gospodarczej według pomysłów kolejnych socjalistycznych planów gospodarczych. I wreszcie, polityka państwa wobec nowo tworzącego się społeczeństwa, początkowo bardzo zatomizowanego. Ludzie tu przybywający byli naprawdę bardzo różni, wykorzenieni.***

C.O. – Była to ogromna mozaika kulturowa: przesiedleńcy zza Buga i Polski centralnej, repatrianci, autochtoni i – od 1947 r. – grupa 150 tys. Ukraińców z akcji „Wisła".

W.S. – Myślę, że to jest ta główna determinanta tego, co się na ziemiach zachodnich i północnych działo. Po pierwsze zmieniły się w sposób radykalny warunki, zmienił się cały kontekst. To spowodowało, że w jakimś sensie działania władzy dotyczące tworzenia nowej rzeczywistości mogły się tu wydać łatwiejsze. Po drugie dynamika tych zmian była inna niż w pozostałych częściach Polski. Rozpoczęły się też procesy – które absolutnie nie były przewidywane – związane z formowaniem się tej nowej społeczności i czerpaniem ze starych wzorców, zachowaniem swoistej pamięci historycznej, wzbogaconej o nowe elementy, które przychodziły od innych grup. Proces tworzenia się tutaj nowego społeczeństwa dał skutki, które mogliśmy oglądać w latach osiemdziesiątych.

C.O. – Z tym że przez pierwszych dziesięć powojennych lat społeczeństwo to było zdezintegrowane z dwóch podstawowych względów. Przede wszystkim ze względów kulturowych. Przybysze nie rozumieli się, nie akceptowali, a często nawet nienawidzili się wzajemnie. Ponadto państwo pogłębiało dezintegrację osadników przez budowanie nowego ustroju i swój represyjny charakter. Zdezintegrowanie społeczeństwa pozwalało władzom na bardziej skuteczne i otwarte działania w stosunku do ludności tzw. Ziem Odzyskanych niż innych regionów kraju. Społeczeństwem tego obszaru można było łatwiej manipulować.

S.J. – Mówi się, że poczucie niepewności w ludziach wyrażało się tym, że nie inwestowali w gospodarstwa. Myślę, że to był problem bardziej złożony. Dam przy-

kład – dla niektórych tzw. angielka, jako typ pieca, jest lepsza niż piec z miejscem do spania na górze. A tu nie chodzi o to, co jest lepsze. „Ugotować to ugotujem, ale gdzie spać będziem?" – pytano w *Samych swoich*. Dla wielu ludzi te nowe dla nich rzeczy, które tu zastali, tak drastycznie odbiegały od wyobrażenia, jak to powinno wyglądać, że w tym nowym domu czuli się źle.

B.P. – ***Jeśli mówimy o różnicach kulturowych czy cywilizacyjnych, to jest również problem na poziomie estetyki, widoków zupełnie innych miast, kościołów. Jeśli ktoś przyjeżdża z pamięcią rodzinnego domu, który był drewniany, stał w sadzie, miał wapnem bielone ściany, a tu ma zamieszkać w starej, zawilgoconej poniemieckiej kamienicy, to przeżywa szok.***

C.O. – Ale podstawowe różnice wynikały z wielusetletniej przynależności tego obszaru do państwa niemieckiego. On pod każdym względem – infrastruktury, zabudowy, urządzenia przestrzeni, dróg i kultury materialnej – był zgodny z duchem niemieckim. To tworzyło specyfikę tego obszaru. Nawet podział administracyjny na Ziemiach Odzyskanych zachowano po wojnie zupełnie inny niż na pozostałym terenie Polski. Dodajmy do tego ogromną liczbę wojska polskiego i sowieckiego.

W.S. – A potem tworzy się Północna Grupa Wojsk, która pozostaje na długie lata. To tutaj narodziło się i było prawdziwe powiedzenie – armia radziecka z nami od dziecka.

C.O. – I jeszcze ogromna wielość mienia poniemieckiego, wszędzie – cmentarze poniemieckie, fabryki poniemieckie.

W.S. – Dojmujące uczucie, że nie jest się u siebie.

S.J. – Ale także poczucie bezprawia – że tu nie ma władzy, która zapewniłaby mi spokój i bezpieczeństwo. Sytuacja w każdej chwili może się zmienić. Tutejsi milicjanci rekrutowani byli z dziwnego elementu, który tu się pojawił, często nawet przestępczego. Byli to nierzadko ludzie, którzy musieli uciekać z innych terenów, a tu zostali milicjantami. Gdy w czasie działań służbowych znajdowali ukryte „skarby" (było ich tu niemało, dlatego że Dolny Śląsk miał pozostać niemiecki, zwłaszcza Góry Sowie i Kotlina Jeleniogórska), to pokusa była wielka...

C.O. – Wyjaśnijmy, że Niemcy przed opuszczeniem tych terenów z właściwą sobie metodycznością i dokładnością ukrywali, wywozili i zabezpieczali co bardziej wartościowe dobra, m.in. dzieła sztuki itd. Części jednak nie udało się uchronić. Zostało to rozgrabione lub bezmyślnie zniszczone przez sowieckich żołnierzy i polskich szabrowników. Część dóbr poniemieckiej kultury przejęły polskie władze. Niezbadane dotąd ilości wywieziono do ZSRS.

S.J. – Gdy milicjant znajdował „skarb", miał go pilnować, dopóki nie pojawi się pełnomocnik. A on zamiast poczekać na transport, sam go sobie załatwiał i wiał z tym skarbem. Milicjanci czuli się bezkarni.

C.O. – Niezależnie od tego na wielką skalę odbywały się na tych ziemiach celowe działania władz dotyczące wywożenia poniemieckiego mienia. Całe ministerstwa do dziś są wyposażone w poniemieckie dzieła sztuki, zwłaszcza meble.

W.S. – To był jeden z przejawów atmosfery tymczasowości panującej tutaj powszechnie, bo jak inaczej racjonalnie wytłumaczyć odbudowę Warszawy z wrocławskiej cegły? Milion cegieł dziennie jechało stąd do Warszawy.

C.O. – Z mojego Gubina też.

S.J. – Z mojego Poznania też. Cały naród budował swoją stolicę w sensie dosłownym.

C.O. – Pół biedy, że rozebrano to, co było zniszczone, ale rozebrano też ogromną liczbę wielkich pałaców poniemieckich, wielkich rezydencji oraz przygranicznych wsi.

W.S. – Rozebrano osiem tysięcy zabytków. To jest również kwestia specyfiki tego terenu.

S.J. – Mówiłem już o tym, że często zdarzało się, iż rodzina polska przesiedlona zza Buga zamieszkiwała przez jakiś czas w jednym domu z rodziną niemiecką. Wytwarzała się pewna wspólnota losu. To jest coś niesamowitego. Doświadczeni przez wojnę Polacy mieszkali czasami w jednej izbie z Niemcami – oprawcami i oni czuli między sobą większą więź niż z polską władzą, która tworzyła się na danym obszarze. To oczywiście nie była reguła, ale takie zjawisko rzeczywiście występowało.

C.O. – Żebyśmy w ocenach nie poszli za daleko, bo jednak niechęć Polaków do Niemców była wielka.

B.P. – ***Niemniej dość szybko władza i tworzące się społeczeństwo musiały zintegrować się we wspólnym wysiłku dla stworzenia tutaj warunków do życia.***

W.S. – Głównym problemem było uruchomienie gospodarki. Od podstaw, bo ona nie funkcjonowała, w praktyce wszystko było zniszczone. To było ogromne przedsięwzięcie natury logistycznej. Mówiliśmy o rolnictwie, ale to dotyczyło właściwie każdej sfery życia – komunalnej, szkolnictwa, odbudowy struktury kościelnej i zabezpieczenia granicy. Jej ochrona była bardzo ważna.

S.J. – ...nielegalny przepływ ludzi przez granicę w obie strony trwał jeszcze w 1947 r.

W.S. – Ówczesna władza w tym okresie na ogół nie przeszkadzała inicjatywie ludzi, co było szczególną charakterystyką dla tego czasu na tych ziemiach. Wiele było tutaj z atmosfery pionierskiego entuzjazmu.

C.O. – Poza tym pamiętajmy, że trwał okres trzyletniego planu odbudowy gospodarczej Polski, a w ramach tego planu jednym z głównych założeń była odbudowa Ziem Odzyskanych i zintegrowanie ich z Macierzą.

S.J. – Dobrze to widać na przykładzie Szczecina. Tu na początku nieważne było, czy się jest, czy nie jest prawdziwym komunistą. Angażowano, również na

odpowiedzialne stanowiska w administracji, różnych ludzi. Pierwszym prezydentem Szczecina był przedwojenny profesor, urbanista Piotr Zaremba, który skutecznie współpracował z przedwojennym prawdziwym komunistą Leonardem Borkowiczem (pełnomocnikiem rządu na okręg Pomorze Zachodnie), co więcej, Borkowicz chronił wtedy Zarembę przed kłopotami ze strony władz.

B.P. – ***Ta sielanka jednak wkrótce się skończyła?***

W.S. – To wszystko kończy się w roku 1948. Do tego czasu chronieni są ludzie, którzy znają się na swojej robocie, i tak dzieje się praktycznie we wszystkich instytucjach rządowych czy samorządowych. Pomijam rozgrywki, które się wtedy zaczęły między partiami, i rozgrywki z opozycją, to jest oddzielny temat. Tu akurat było podobnie jak w całej Polsce, może nawet brutalniej. Władza rozumiała jednak, że sama nie podoła wszystkim wyzwaniom, jakie przed nią stały na Ziemiach Odzyskanych.

C.O. – Jednocześnie przebiegało kilka procesów. Najogólniej trwała tu repolonizacja, polonizacja i reslawizacja w każdym właściwie obszarze życia – czy społecznym, czy kulturowym. Były i odniesienia piastowskie, i ludność rodzima, potem wielki proces polonizacji. Na siłę zaczęliśmy udowadniać, że to są ziemie rdzennie polskie, a nawet więcej, że tu są korzenie Słowiańszczyzny i stąd reslawizacja. Te procesy się po prostu przeplatały.

B.P. – ***Dochodzimy do sprawy polityki wobec ludności rodzimej.***

S.J. – Problem ten w Polsce został źle rozwiązany, bo nie było pomysłu na rozwiązanie go w sposób obiektywny i słuszny.

W.S. – To jest właściwie tragedia.

S.J. – Władza za wszelką cenę starała się udowodnić, że to są prastare piastowskie ziemie, że przetrwała tu ludność polska, i choć germanizowana, mimo wszystko jednak została. Jak przejęliśmy ten obszar i okazało się, że takich ludzi jest ponad milion, zastosowano wobec nich taką politykę, która spowodowała, że kilka lat później deklarowali oni wolę wyjazdu jako Niemcy do Niemiec. Bo źle ich potraktowano, najpierw w Prusach Wschodnich – Warmiaków, z którymi nie było jeszcze najgorzej, bo byli katolikami, ale Mazurów – jako Niemców. I ci, którzy walczyli o polskość Warmii i Mazur, nagle doznali takich krzywd, wstyd powiedzieć, ale ze strony tych biednych Kurpiów, przed którymi władze otworzyły perspektywy objęcia bogatych gospodarstw na żyznych terenach. Wtedy wystarczyło zadenuncjować Mazura (który nie czuł się ani Niemcem, ani Polakiem, był po prostu tutejszy, miał swoją świadomość, ale nie chciał wybierać między Polską a Niemcami i zostałby tu, bo tu była jego ojczyzna), że to jest Niemiec, i wysiedlano go, a gospodarstwo obejmował jakiś karierowicz. Zaczęło się to w Prusach Wschodnich, ale taką politykę wobec ludności rodzimej prowadzono też i na Śląsku, na Pomorzu. Ludzie musieli udowadniać swoją polskość – mową, tradycją, brzmieniem nazwiska, wyznaniem.

B.P. — ***Takie ustawy norymberskie w drugą stronę.***

S.J. — Ten cały skomplikowany problem doprowadził do tego, że niektóre wdowy po obrońcach polskiej poczty w Gdańsku wyjechały do Niemiec.

B.P. — ***Kolejną specyfiką ziem zachodnich były sprawy związane z funkcjonowaniem Kościoła katolickiego.***

C.O. — Istotnie, aż do 1972 r. panował tu stan tymczasowości, jeśli chodzi o administrację kościelną. Ten stan rzeczy władza starała się na wszelkie sposoby wykorzystać.

W.S. — Władza pogłębiła ten stan, bo choć byli tutaj mianowani administratorzy apostolscy, komunistyczna władza doprowadziła do ich usunięcia. I to jest kolejny element, który dodatkowo jeszcze destabilizował sytuację.

S.J. — Prymas August Hlond nie miał zgody papieża, by ustanowić administratorów apostolskich dla tych ziem, ale dokonał rzeczywiście rzeczy wielkiej, to znaczy uzyskał od większości biskupów niemieckich z diecezji, do których należały te ziemie, zgodę na zrzeczenie się jurysdykcji na tym obszarze. Prymas odbył podróż po tych ziemiach, by spotkać się z biskupami. Z biskupem gdańskim Karolem Marią Splettem nie mógł się spotkać, bo on już wtedy siedział w więzieniu. Jeździł i rozmawiał z administratorami niemieckimi, a jednocześnie wyszukiwał Polaków, którzy tu rozpoczną pracę. Oficjalnie ich powołał, a następnie poinformował o tym władze. To jest temat na ciekawy film sensacyjny. Prymas chciał postępować zgodnie z prawem, powołał administratorów apostolskich, co właściwie nie naruszało konkordatu ani innych układów, bo administrator apostolski to jest nadzwyczajne rozwiązanie, nie może być ostateczne. Ale chcąc wykazać dobrą wolę, poinformował Władysława Kiernika o nominacjach i chciał przedstawić nowo mianowanych administratorów Bierutowi. Bierut odmówił, bo już zapadła decyzja komitetu politycznego Rady Ministrów o zerwaniu konkordatu z Watykanem. Niemniej następne zalecenie Kiernika było takie, żeby na ziemiach zachodnich traktować Kościół przychylnie, bo jego obecność świadczy o polskości tych ziem.

W.S. — To rzeczywiście był element stabilizowania ludności przez obecność struktur kościelnych, bo nierzadkie były przypadki, że przyjeżdżała cała wieś łącznie z własnym księdzem, zwłaszcza zza Buga. Jest taka wieś, Nowolesie, która przyjechała z księdzem, ze sztandarami i swoim cudownym obrazem, gdzieś spod Lwowa.

S.J. — Bardzo często przy przesiedleniach ludzie stawiali warunek — bez księdza się nie przesiedlamy.

Kościół pełnił podwójną rolę, bo sprawował opiekę duszpasterską również nad Niemcami. Były wyraźne naciski biskupów, żeby dbać o nabożeństwa również po niemiecku. To nie było bez znaczenia dla pewnej stabilizacji.

C.O. — Były też sytuacje, kiedy w jednym kościele obok siebie pracowało dwóch duchownych — polski i niemiecki. Jednak osadnicy nie chcieli się poddać władzy duchownej niemieckiej.

B.P. — ***Wspomnieliśmy wcześniej, że jednym ze specyficznych tutejszych problemów było to, że przy zasiedlaniu ziem zachodnich zabrakło ludności miejskiej. Minęło lat zaledwie sześćdziesiąt i spotykamy się w mieście, które jest metropolią, również bardzo ważnym ośrodkiem kulturalnym i naukowym. Jak to się udało?***

C.O. — Wrocław, Głogów, Gubin, Kołobrzeg, Gdańsk były totalnie zrujnowane, brakowało mieszkań. W latach sześćdziesiątych rozpoczął się proces intensywnego napływu ludności wiejskiej do miast. To był problem ogólnopolski, wtedy sporo ludzi odpłynęło z ziem zachodnich do Polski centralnej.

W.S. — Pojawili się tu ludzie z Kresów Wschodnich, z tamtejszych uniwersytetów, liceów, muzeów, placówek naukowych. Zresztą nie tylko stamtąd, również z Warszawy czy Poznania. Do Wrocławia przecież trafiło Ossolineum. Tu zakorzenił się Grotowski ze swoim teatrem.

B.P. — ***Skłaniam się ku takiemu myśleniu, że istnieje »genius loci«. Duch miejsca jest zaklęty w kamienie, w łuki, trwa w murach uniwersytetu.***

C.O. — I Wrocław jest dobrym przykładem — poczuli to lwowiacy i przenieśli tu swoje miasto.

W.S. — Przyjechali wszyscy, od lwowskiego profesora uniwersytetu po kieszonkowca.

S.J. — Dla wielu ludzi była to okazja na awans społeczny, bo tu w jakimś sensie było łatwiej, było więcej wolnych miejsc w różnych instytucjach i uczelniach.

B.P. — ***Ten uniwersytet stał się szybko jedną z najlepszych polskich uczelni.***

W.S. — To też jest kwestia pewnego klimatu. Tego uniwersytetu zazdrościli nam studenci z innych miast. Wybitni uczeni — mistrzowie tworzyli ze studentami układy partnerskie.

B.P. — ***Losy tych ziem, inne niż reszty Polski, ukształtowały nieco odmienne ich oblicze polityczne, nie od razu co prawda, ale potwierdzeniem takiej tezy jest okres końca peerelu.***

C.O. — Przez wiele lat na terenach, gdzie było dużo wojska, był znacznie wyższy odsetek członków partii. Większą aktywność wykazywały także wojskowe i cywilne służby specjalne, i to nie tylko polskie, ale także sowieckie. Są również przykłady działania na pograniczu służb wschodnioniemieckich.

S.J. — Szczególna zależność tej nowej społeczności tworzącej się na ziemiach zachodnich od władzy wynikała stąd, że podtrzymywano tu atmosferę strachu, niepewności, zagrożenia, która funkcjonowała do końca systemu. Mówiono nawet, że dlatego ta społeczność była trochę bardziej podatna na naciski ze strony władz.

W.S. — I mimo to właśnie o Dolnym Śląsku, a przede wszystkim o samym Wrocławiu, mówiło się, zwłaszcza w stanie wojennym, że jest to „twierdza »Solidarności«". I trudno się temu dziwić, gdyż zarówno skala społecznego oporu,

jak i skala represji była tu nieporównywalna do innych regionów kraju. Dolny Śląsk był po Mazowszu najliczniejszym regionem w Polsce. Wyjątkowo silne więzi tworzyły silną podstawę związku, zespoliły robotników z inteligencją, pracownikami naukowymi (zwłaszcza politechniki i uniwersytetu), z młodzieżą (nie tylko akademicką, ale i szkolną), wreszcie, co nie było powszechne, z Kościołem. Ów społeczny opór, wyjątkowo trwały, miał wręcz modelowy charakter. I na Dolnym Śląsku narodziła się, co warto podkreślić, najradykalniejsza inicjatywa solidarnościowej proweniencji – stworzona przez Kornela Morawieckiego „Solidarność Walcząca". Ma wreszcie Dolny Śląsk swój znaczący udział w formowaniu się legendy „Solidarności" – tak przez epizody godne filmowego uwiecznienia, by przywołać sprawę ukrycia związkowych pieniędzy, owych słynnych 80 milionów, jak i dzięki wejściu do solidarnościowej legendy tych, którzy poczynaniami podziemnego związku kierowali – Frasyniuka, Bednarza, Piniora...

C.O. – Jest jeszcze jeden epilog – my na tym obszarze płacimy wysoką cenę za powojenne lata. Tu jest najwyższy w kraju odsetek bezrobotnych. Wynika to z istnienia, a następnie upadku pegeerów. Nadal moim zdaniem można mówić o pewnej specyfice tzw. Ziem Odzyskanych właśnie z tych powodów, a także np. z przygranicznego ich położenia czy też wciąż pojawiających się w Niemczech roszczeń terytorialnych i majątkowych.

W.S. – Niemniej warto przypomnieć sobie tutejsze wyniki pierwszych wyborów prezydenckich.

B.P. – ***Tak sobie tutaj siedzimy, we Wrocławiu. Skąd pochodzimy?***

C.O. – Urodziłem się w miasteczku granicznym, Gubinie, a rodzina pochodzi z Zaleszczyk.

S.J. – Ja jestem Wielkopolaninem z dziada pradziada.

W.S. – Ja urodziłem się pod Częstochową.

B.P. – ***A ja urodziłam się we Wrocławiu.***

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej,
nr 9–10 (56–57), wrzesień–październik 2005

WSZYSCY KRAWCY WYJECHALI

O Żydach w PRL
z Natalią Aleksiun i Dariuszem Stolą rozmawia Barbara Polak

B.P. — ***Nie można zacząć rozmowy o sytuacji Żydów w PRL bez opisania stanu początkowego, to znaczy tego, ilu Żydów było w Polsce w chwili powołania Polski lubelskiej, ilu przeżyło Zagładę. Wiem, że podanie tej liczby nie jest rzeczą prostą, różne źródła podają liczby między 30 tys. a 150 tys.***

N.A. — Tej liczby rzeczywiście nie da się ustalić, możemy jedynie mówić z dużym przybliżeniem. Trzeba zarazem wyróżnić dwie grupy: jedna grupa to Żydzi, którzy przeżyli pod niemiecką okupacją (tu abstrahujemy od powojennych granic, które są jeszcze płynne). Druga zaś to ci, którzy od zimy 1946 r. repatriowali się ze Związku Sowieckiego. Jeśli chodzi o tę pierwszą grupę, to liczby wahają się w literaturze między 30 tys. — co jest według mnie zdecydowanie zaniżoną liczbą — a 100, 120 tys. Jesienią 1944 r. na terenie Polski lubelskiej, terenach wyzwolonych już (w kontekście żydowskim jest to słowo, którego bezpiecznie można używać) spod okupacji niemieckiej, zarejestrowano liczbę 8 tys. Myślę, że liczbą bezpieczną jest 60–80 tys. polskich Żydów, którzy przeżyli pod niemiecką okupacją.

B.P. — ***Jaki to jest odsetek całej przedwojennej społeczności polskich Żydów? Tu oczywiście pojawi się karkołomna sprawa zamiany granic.***

N.A. — Dla ludności żydowskiej te zmiany miały mniejsze znaczenie, jeśli chodzi o liczebność, określoną przez skalę Zagłady. Wedle drugiego, a zarazem ostatniego powszechnego spisu ludności, przeprowadzonego w II Rzeczypospolitej w 1931 r., mieszkało w jej granicach prawie 3 mln. 200 tysięcy Żydów. Próby określenia liczebności społeczności żydowskiej w Polsce w momencie wybuchu wojny, przy uwzględnieniu przyrostu naturalnego i niewielkiej — w drugiej połowie lat trzydziestych — emigracji z Polski, dają przybliżoną liczbę 3,5 mln. osób. Jak już wcześniej wspomniałam, najprawdopodobniej około 60 tys. ludzi przetrwało pod okupacją niemiecką. Jeśli chodzi o strukturę demograficzną tej grupy, wyraźna jest przewaga mężczyzn oraz ludzi młodych. Natomiast nie było prawie wcale dzieci i rodzin. Takie szczątkowe dane zostały zebrane w Łodzi, zaraz po wyzwoleniu. Tam przetrwało kilkaset osób, które po ostatecznym zlikwidowaniu getta Niemcy pozostawili, by

porządkowały jego teren. Tam też widać tę całkowicie zaburzoną piramidę wieku, strukturę płci itd.

B.P. — ***A można coś powiedzieć o strukturze społecznej?***

N.A. — Z istniejących danych wynika, że Żydzi, przebywający po wyzwoleniu w poszczególnych ośrodkach, pochodzili na ogół z innych miast. Lokalne społeczności przestały bowiem istnieć. Żydzi, którzy tuż po wojnie znaleźli się we Lwowie, w większości nie pochodzili z tego miasta, podobna sytuacja panowała w Lublinie itd. Prawidłowość ta dotyczy zwłaszcza obozów pracy, jak to miało miejsce w Częstochowie czy na Dolnym Śląsku. W tym ostatnim przypadku około 8 tys. polskich Żydów wyzwolono w różnych filiach obozu Gross-Rosen. Przed wojną nie mieli oni z tym regionem nic wspólnego, zostali tam po prostu przywiezieni. Podobnie było z Żydami w obozie pracy w Starachowicach, w Hasagu [także obóz pracy — red.] w Częstochowie, gdzie było wielu Żydów łódzkich. Wracając do statystyki — różne były domysły, ilu polskich Żydów może być w Związku Sowieckim, a przywódcy społeczności żydowskiej w Polsce lubelskiej liczyli, że może przyjedzie stamtąd pół miliona Żydów.

D.S. — Czytałem kiedyś raport któregoś z przedstawicieli przedwojennej endecji przesłany do rządu RP w Londynie, który wyrażał obawy, że do Polski wróci ze wschodu około pół miliona Żydów. Jak widać, skłonność do przeszacowania liczby ocalałych Żydów była na obydwu końcach politycznego spektrum.

B.P. — ***Ale czy da się opisać liczbę Żydów mieszkających po wojnie w Polsce?***

N.A. — Pewnie było około połowy tej liczby, której się albo obawiano, albo spodziewano. Ci Żydzi polscy przyjechali z ZSRS w pierwszej fali repatriacji między lutym a latem 1946 r. Ich liczba dochodzi do 140 tys. Wcześniej przybywają też Żydzi z terenów, które były w granicach Polski przed 1939 r.

D.S. — Przesiedlenia z Ziem Utraconych nazywano ewakuacją. Repatriacja w ścisłym tego słowa znaczeniu dotyczyła ludzi powracających z głębi Związku Sowieckiego. To nie tylko kwestia nazewnictwa, trochę inny był status tych ludzi i oczywiście inne mieli doświadczenia wojenne.

B.P. — ***Czy w tym okresie, tych pierwszych dwóch powojennych lat, kiedy wracali do Polski ludzie z Zachodu — jeńcy, robotnicy, żołnierze — czy również wracali stamtąd Żydzi?***

D.S. — To były jednostki, czasem niewielkie grupy, byli nawet tacy, którzy wrócili z Palestyny. Był zresztą ciekawy przypadek wejścia takiej grupy „Palestyńczyków" do wywiadu, co potem różni „antysyjoniści" wywlekali w latach sześćdziesiątych. Ci reemigranci nawet nie wszyscy byli komunistami, byli wśród nich np. lewicowi syjoniści. Ale takie powroty były liczbowo nieistotne.

N.A. — Zasadniczy kierunek ruchu ludności żydowskiej był ze wschodu na zachód, z Polski raczej niż do Polski. Wydaje mi się, że w większości wypadków ludzie,

którzy wracali, wracali nie z zamiarem pozostania, ale krótkiego pobytu – w celu odszukania krewnych, sprawdzenia, czy ktoś nie wrócił. Często umawiano się, że jeśli uda się przeżyć, to spotkamy się w takim czy innym miejscu dla załatwienia jakichś spraw majątkowych i wyjazdowych. Jedynym przypadkiem podjętej na szerszą skalę próby pozostania w Polsce było osadnictwo żydowskie na Dolnym Śląsku.

D.S. – To, że nie możemy określić liczby tych ludzi z dokładnością do dwudziestu tysięcy, to nie jest nic niezwykłego. Przy określaniu liczebności innych grup narodowościowych – Polaków, Niemców, Ukraińców – margines błędu jest dużo większy. W liczbach bezwzględnych, ale nie procentowo, znamy liczbę Żydów względnie dobrze. Jeśli chodzi o liczbę Niemców czy Polaków, to możemy się mylić nawet o kilkaset tysięcy. Ówczesne dane oficjalne są niewiarygodne i często niespójne, np. według danych z 1946 r. Polska ma rzekomo 24 mln. mieszkańców, ale wiadomo, że nieścisłości pojawiały się zarówno na etapie obliczeń, jak i w wyniku celowej manipulacji. Dane demograficzne, choć to przecież podstawowe liczby dotyczące historii, budzą sporo wątpliwości, np. do dziś nie wiemy, jakie straty ludnościowe Polska poniosła w II wojnie światowej. Rozbieżności między szacunkami szły w miliony, nadal są spory dotyczące wielkości migracji powojennych, nikt nie wie z pewnością, ilu było wtedy w Polsce Niemców, itd. To, że nie możemy dokładnie policzyć Żydów, nie jest zatem zaskakujące. Margines błędu podawany w liczbach bezwzględnych jest stosunkowo niewielki, aczkolwiek w stosunku do wielkości grupy, w wymiarze procentowym, jest duży, bo była to grupa nieliczna – w porównaniu z Polakami, Niemcami czy nawet Ukraińcami. W przypadku Żydów główną przyczyną trudności w dokonaniu obliczeń, i być może główną cechą, jest stały ruch: w zasadzie trudno mówić o zasobie ludnościowym, jest stały przepływ. Możemy stwierdzić, że w jakimś momencie było ich sto tysięcy, a po miesiącu czy trzech także sto tysięcy, ale to są już inni ludzie – iluś z nich w tym czasie wyjechało i iluś przyjechało. Ta ruchliwość poszczególnych osób i płynność grupy wyróżnia się na tle pozostałych mieszkańców ówczesnej Polski, którzy też byli przecież bardzo ruchliwi. Intensywność ruchów ludności w latach 1944–1948 była zupełnie wyjątkowa, Europa Zachodnia czegoś takiego nigdy nie doświadczyła.

B.P. – ***Chcę do końca zrozumieć przyczynę, dla której tak jest. Można by się spodziewać, że przynajmniej część z nich mogłaby myśleć, iż są stąd, przeżyli Zagładę i pozostają tu, skąd pochodzą.***

N.A. – Nie ma rodzin.

D.S. – To jest klucz. Zostają jednostki, to nie jest społeczeństwo, to jest populacja. Używamy terminu „społeczeństwo żydowskie" czy nawet „społeczności żydowskie" – ale ta grupa ma tak niezwykłą strukturę i mobilność, że można się zawahać przed użyciem słowa społeczeństwo.

N.A. – Najwyższą liczbą, jeśli chodzi o Żydów przebywających w Polsce, którą znamy z rejestracji prowadzonej przez instytucje żydowskie, najwyższą dla całego

powojennego okresu, jest ponad 250 tys. – to było tuż przed pogromem kieleckim, w czerwcu 1946 r. Z kolei największa liczba wyjazdów nastąpiła zaraz potem – jesienią 1946 r. Trzeba również dodać, że była w Polsce powojennej trudna do określenia liczba ludzi, którzy według kryteriów norymberskich kwalifikowaliby się jako Żydzi, a z różnych powodów nie zdecydowali się na powrót do przedwojennej tożsamości – począwszy od posługiwania się nazwiskami z tzw. aryjskich papierów, a skończywszy na tym, że nie nawiązali żadnych kontaktów z jakąkolwiek żydowską instytucją. Są oczywiście różne formy pośrednie, np. ludzie używają nadal aryjskich papierów, ale rejestrują się w komitetach żydowskich. Szacowano, że ludzie, którzy nie zostali zarejestrowani jako Żydzi przez instytucje żydowskie – ani religijne, ani świeckie – stanowili około 10 proc. całej społeczności. To też jest nieprecyzyjna ocena, bo ci, którzy nie ujawnili się w 1946 r., mogli to uczynić później, np. w 1949 r., albo im przypomniano o ich pochodzeniu w 1968 r. Oprócz tego trzeba też pamiętać o pewnej liczbie dzieci, które zostały przechowane przez instytucje, najczęściej kościelne, przez klasztory albo przez rodziny nieżydowskie w okupowanej Polsce. Te dzieci często były za małe, żeby pamiętać, albo ich świadomość własnych przedwojennych korzeni była bardzo mglista. Niektóre nie zostały odebrane po wojnie ani przez rodzinę, ani przez instytucje żydowskie, które takie próby podejmowały i szukały ocalałych dzieci żydowskich. W polskim MSZ można znaleźć dokumenty mówiące o staraniach ambasady izraelskiej, szukającej żydowskich dzieci w Polsce, które miały krewnych w Izraelu, którzy wiedzieli lub domniemywali, że zostały one uratowane i pozostały w klasztorach. Jeszcze w latach pięćdziesiątych domagano się ich odszukania, przekazania owym rodzinom. Tę grupę też należy doliczyć do liczby uratowanych.

D.S. – Jest też grupa ludzi, którzy w 1939 r. nie zadeklarowaliby się jako Żydzi, nie byli wyznania mojżeszowego, jako język ojczysty podaliby język polski, natomiast podczas wojny byli Żydami, tak bowiem oceniali ich Niemcy według ustaw norymberskich. Tacy ludzie zostali z powrotem wepchnięci w żydostwo na siłę.

N.A. – Na przykład Ludwik Hirszfeld. Tak było nawet wtedy, gdy rodzina przeszła na katolicyzm w XIX w. Małżeństwa realizowały się w kręgu podobnych rodzin, zasymilowane rodziny żeniły się między sobą. Na przykład według tych zasad Krzysztof Kamil Baczyński mógł się znaleźć w getcie warszawskim, chociaż zapewne nie miało to nic wspólnego z jego własnym poczuciem tożsamości.

D.S. – W efekcie bywało tak, że ktoś w 1939 r. nie był liczony jako Żyd – i w żadnym cywilizowanym rozumieniu tego słowa Żydem nie był, w 1940 r. był Żydem, a w 1946 r. – różnie.

N.A. – Jest taki piękny wiersz Juliana Tuwima o jego powrocie do tożsamości żydowskiej w wyniku tego, co się wydarzyło, w solidarności z cierpieniem Żydów polskich. Trudno jednak powiedzieć, ilu było ludzi o podobnej do jego tożsamości, określonej właśnie przez wydarzenia lat Zagłady. Wydaje mi się, że to nie jest bardzo

liczna grupa. Tak więc można przyjąć owe 250 tys. za punkt szczytowy statystyki dotyczącej liczby Żydów w powojennej Polsce. Później ich liczba będzie tylko spadać. Po Kielcach w ciągu pół roku wyjeżdża około 150 tys. ludzi. Ten ubytek nigdy nie został uzupełniony.

D.S. – Erozja, zmniejszanie się grupy, to bardzo wymowny wyraz jej zmierzchu. Po wstrząsie, jakim była Zagłada, żydostwo polskie już się po prostu nie podniosło. Można się zastanawiać, jaki wpływ na ten proces miał fakt wejścia Polski pod dominację sowiecką i narzucenie rządów komunistycznych, ale chyba i bez tego szanse odbudowy czy choćby zachowania tych szczątków, jakie ostały się do 1945 r., były niewielkie. Jeśli spojrzymy na Żydów w Polsce powojennej, aż do upadku PRL, to chyba najważniejszym procesem społecznym dla tej grupy było stopniowe zmniejszanie się, erozja. Ten proces miał dwa nurty – fale emigracji wypływające co jakiś czas, gdy władze otwierały granice, i wąska, ale nieustanna strużka „erozji naturalnej", poprzez śmierć lub międzypokoleniową zmianę tożsamości. Taki przykład demograficznej implozji jest rzadki, ale niezupełnie wyjątkowy, było nawet w naszym sąsiedztwie takie państwo, które przez cały czas swojego istnienia miało coraz mniej ludności – NRD.

B.P. – ***Czy był »baby boom« wśród polskich Żydów?***

N.A. – Zdecydowanie tak, ale jego skutki widoczne są przede wszystkim w obozach dipisów. To był rezultat nowych małżeństw zawartych po wojnie.

B.P. – ***Przynajmniej dwie żydowskie partie miały w swym programie ponowne zakorzenienie się w Polsce.***

N.A. – Decyzje o pozostaniu, często czasowym, wynikały ze skrzyżowania względów ideologicznych i praktycznych, osobistych. Rzeczywiście Bund, przedwojenny Bund i PPR – komuniści żydowscy – ci, którzy nie identyfikowali się z Izraelem i z żydostwem – przynajmniej na poziomie ideologii mieli wizję nie tylko pozostania w Polsce; mogli widzieć wyłaniający się kształt ustrojowy nowej Polski w kategoriach triumfu. Nie tylko można w Polsce pozostać, ale należy przyłączyć się do dzieła budowania ustroju, o jakim marzyło się przed wojną. Wizja Polski socjalistycznej, komunistycznej stanowiła ogromną zachętę dla wielu ludzi do tego, żeby zostać. Entuzjazm ten podzielała przynajmniej część skrajnej lewicy syjonistycznej – ludzie z Poalej Syjon–Lewicy czy Haszomer Hacair oraz innych organizacji młodzieżowych (wspomnieliśmy wcześniej, że przeżyli głównie ludzie młodzi, więc na mapie politycznej były widoczne głównie organizacje młodzieżowe, a nie dorosłe partie).

D.S. – Żydowska Palestyna była konkurencją dla Polski Ludowej także w sensie idei porządku społecznego. W Izraelu miało przecież powstać państwo socjalistyczne. Do wyjazdu do Palestyny pociągał nie tylko syjonizm – to miało być nie tylko państwo żydowskie, ale też państwo sprawiedliwości społecznej. Dla ludzi o lewicowych sympatiach to musiał być niebłahy motyw, w rezultacie projekty odbudowy

życia żydowskiego wychodzące od żydowskiej lewicy, komunistycznej czy bundowskiej, miały przez to chyba mniejszą siłę przyciągania. No i oczywiście dominacja lewicowych syjonistów u zarania Izraela pomogła w pozyskaniu nieoczekiwanego i zaskakującego poparcia sowieckiego dla idei syjonizmu.

B.P. — ***W dwóch pierwszych powojennych latach mniejszość żydowska miała, obiektywnie patrząc, najwygodniejsze warunki do pozostania w Polsce. Niezależnie od tego, jakie były decyzje poszczególnych osób. Żydzi, jako jedyna mniejszość, mieli możliwość zakładania własnych partii politycznych, tworzenia organizacji społecznych, kulturalnych, oświatowych, handlowych. To zaczyna się już w okresie tzw. Polski lubelskiej. Te możliwości zostały wykorzystane, czyli, sądząc z opisu czysto zewnętrznego, Żydzi stanowili grupę, która chciałaby tu jako mniejszość pozostać. To nie było obliczone na krótkie trwanie. I stanowiło jedną z przyczyn, dla których reszta społeczeństwa uważała tę mniejszość za faworyzowaną przez system komunistyczny.***

N.A. — Istotnie, niektórzy historycy mówią nawet o tym powojennym okresie, że był to czas powstania na krótko żydowskiej autonomii narodowej w Polsce. Spełnił się kluczowy element żydowskiego programu narodowego w okresie międzywojennym. To jest prawda, ale spójrzmy na skalę — to dotyczyło mniej niż dwustu tysięcy ludzi.

D.S. — Gdyby ich było pięćset tysięcy, to nie dostaliby takiej swobody. To była grupa marginalna w dwojakim sensie — liczbowo nieistotna i w dużej mierze wyalienowana z reszty społeczeństwa. Dlatego im można było popuścić. Marginalność tej grupy sprawiła, że była nieważna politycznie. Wiadomo było, że żadni Polacy nie wstąpią do jakiegoś Bundu czy demokratycznego Ichudu...

N.A. — ...i nie będą publikować w prasie żydowskiej, nawet polskojęzycznej. Jednak od późnej jesieni 1948 r., a już z pewnością od przełomu lat 1948/1949, zaczyna się inny okres pod względem atmosfery politycznej. Autonomia żydowska — o ile w ogóle miała miejsce — jest teraz gwałtownie ograniczana i właściwie w ciągu dwóch lat przestaje istnieć. To wszystko, co udało się zbudować w latach 1945–1947, dzięki istniejącym możliwościom politycznym i gospodarczym — kooperatywy, spółdzielnie, sklepy (były nawet kibuce, które w 1946 r. stanowiły punkty zborne przed wyjazdem za granicę), szkoła baletowa we Wrocławiu, szkolnictwo, żłobki i punkty dokarmiania niemowląt. Cała ta infrastruktura istniała, była naprawdę imponująca...

B.P. — ***...przez sam fakt swojego istnienia...***

D.S. — ...no i była pomoc zagraniczna płynąca z Zachodu.

N.A. — Tak. To zresztą jest cecha charakterystyczna tej mniejszości, która musiała sobie radzić i miała tradycje samoorganizowania się. Ale jednak władze na to pozwalają i tutaj nie ma dyskusji. Niemniej od początku nowe władze wykazywa-

ły pewną ambiwalencję wobec żydowskiej obecności. Z jednej strony pozwolono na organizowanie się, ale z drugiej strony po pogromie w Kielcach nastąpiła cicha umowa z syjonistami i właściwie otworzono dla wyjeżdżających granice. Można się zastanawiać, czy tutaj władze wykazały się empatią wobec cierpienia Żydów i ich pragnienia wyjazdu albo ucieczki, czy też było w interesie władz, żeby ta mniejszość nie była specjalnie w Polsce widoczna. Podobnie nie jest do końca jasne, czy budził entuzjazm polskich władz fakt, że moskiewskie ustalenia o repatriacji mówiły o przedwojennych obywatelach polskiej i żydowskiej narodowości. W latach 1945 i 1946 Ministerstwo Administracji wielokrotnie wydawało okólniki, prosząc wojewodów i władze lokalne, terenowe o to, żeby Żydom nie utrudniać życia, wychodzić im naprzeciw, przyznawać dodatkowe racje żywnościowe, dawać jakieś mieszkania, nie domagać się od nich dokumentów, którymi ludzie powracający z obozów, lasów, bunkrów nie mogli po prostu dysponować, np. by nie oczekiwano, żeby rzemieślnicy żydowscy przedstawili pełną przedwojenną dokumentację ich uprawnień do wykonywania zawodu. Jeśli takie okólniki powtarzały się, to znaczy, że w terenie działo się inaczej.

D.S. — Uważajmy, żeby nie przesadzić w ocenie warunków, które nowa władza dawała Żydom. Po pierwsze, na wyższych szczeblach władzy było jakieś zrozumienie dla sytuacji Żydów w Polsce, ale na niższych niekoniecznie. Po drugie, sprawy Żydów nie były przecież jakimś specjalnym priorytetem, nowa władza miała ograniczone środki i wiele bardzo poważnych problemów, przede wszystkim zaś problem z własnym przetrwaniem. Przecież te władze w 1946 r. nie były w stanie zapewnić Żydom podstawowego bezpieczeństwa. Pogrom kielecki jest najbardziej wymownym tego przykładem, ale różnych napaści, aktów agresji wobec Żydów było wiele, co rodziło przemożne poczucie zagrożenia — napady rabunkowe, zabójstwa, ktoś mógł im wrzucić granat przez okno, to się przecież zdarzało. To był moment najwyższej chyba w historii Polski intensywności nienawiści wobec Żydów, większej chyba niż przed wojną. Dla mnie jedną z największych zagadek naszej dwudziestowiecznej historii są postawy Polaków wobec Żydów po Zagładzie, właśnie w latach czterdziestych, kiedy Żydów jest już tylko garstka, a przejawów nienawiści — w słowach i czynach — wiele, kiedy odżywa np. średniowieczny mit o Żydach porywających dzieci chrześcijańskie, który wydawał się już martwy. Fakt — Żydzi byli nadreprezentowani w aparacie władzy, dochodziło do sporów o mienie żydowskie przejęte w czasie wojny itp. — ale to jeszcze za mało, by to wyjaśnić. Zwykła, społeczno-polityczna teoria konfliktu, w tym wypadku nie satysfakcjonuje. Na szczęście kilka lat temu pojawiło się nieco inne, nowe podejście, które tę mroczną zagadkę trochę rozjaśnia.

B.P. — ***Proszę zatem je przytoczyć.***

D.S. — Ma ono charakter psychologiczny, wychodzi od psychologii syndromu posttraumatycznego. Michael Steinauf, historyk, i John Hartman, psychoanalityk, niezależnie od siebie wskazują na czynnik, jakim było obserwowanie Zagłady z bliska.

Mówią nieco innymi językami, ale o podobnym problemie – jakie są psychologiczne skutki bycia świadkiem czegoś potwornego. Jest poważna literatura psychologiczna na ten temat, o ludziach, którzy byli więźniami obozów koncentracyjnych, wiele wycierpieli, ale byli też świadkami niebywałych cierpień współtowarzyszy niedoli, a potem mieli przez dłuższy czas podobne problemy emocjonalne, w tym zaskakujący, ambiwalentny stosunek do innych ofiar. Polska jest tym krajem w Europie, gdzie najwięcej ludzi widziało Zagładę bezpośrednio. Niemcy widzieli, jak Żydów wywożono, podobnie Francuzi czy Holendrzy, często nawet ofiary wierzyły, że są tylko „przesiedlane na wschód". W Polsce (a także na Litwie, Ukrainie itd.) było inaczej, tu setki tysięcy – jeśli nie miliony ludzi – widziały śmierć Żydów, słyszały jej odgłosy lub czuły jej odrażający, słodkawy zapach. Do dziś pamiętam, jakie wrażenie zrobiła na mnie wiele lat temu krótka relacja mieszkanki okolic Bełżca, właśnie na temat odoru, który unosił się nad okolicą. Widok ciał przykrytych gazetami, kolumn maszerujących na pewną śmierć, polowania na ludzi na ulicach miast i w lasach, to doświadczenia na Zachodzie nieznane. Powstaje pytanie, czy takie doświadczenie, doświadczenie mimowolnego świadka, rodzi jakieś psychologiczne skutki. Otóż wspomniani naukowcy mówią, że rodzi, i że okupowana Polska, wiele tysięcy jej nieżydowskich mieszkańców, zostało w rezultacie naznaczonych piętnem tego doświadczenia. Psychiczna reakcja na takie doświadczenie jest złożona i zupełnie irracjonalna; pamięć o tym jest jakby konwulsyjna, uczucia, jakie się z tego rodzą, są intensywne i niekontrolowane, a co najważniejsze, to często wcale nie jest uczucie litości czy sympatii. Jak wspomniałem, tajemnica jest mroczna, nie jestem psychologiem, ale skłaniam się do tej teorii, bo nie widzę innego wyjaśnienia takich przedziwnych zachowań, jak np. gdy ktoś wrzuca granat do sierocińca, gdzie są żydowskie dzieci.

B.P. — ***To jest zapewne syndrom »po«, bo jest dużo świadectw pokazujących, że w czasie, kiedy ten horror trwa, kiedy jest się wspólnie ofiarami, na równych prawach, to wtedy istnieje jakiś mechanizm lojalności, miłości, solidarności.***

D.S. – Chciałbym jeszcze dodać parę słów do kwestii stosunku władz i skutków tego. Przecież relacja władza–obywatel, w tym przypadku Żyd polski, to tylko niewielka cząstka codziennego życia, a olbrzymia większość tego, co na życie się składa, to jest relacja z jego sąsiadami, ludźmi znanymi i nieznanymi, z którymi się styka, czy to będzie Wrocław, Radom, Kielce, czy jakieś miasteczko, do którego wrócił jeden lub paru Żydów. Podkreślam to po to, żeby trochę odsłodzić opis powojennego położenia Żydów w Polsce. Owszem, jeśli się porówna możliwości działania społecznego, o czym mówiła Natalia, to widać, że zaistniały warunki, których Żydzi w Polsce nigdy nie mieli. W połowie lat czterdziestych w nowej Polsce dostali pole działania nieco większe niż inne grupy. Moja ocena rządów komunistycznych wtedy i później jest jednoznaczna, ale jednego im nie można wówczas odmówić.

Komuniści, przynajmniej ci przekonani, byli anty-antysemitami, czyli zwalczali antysemitów. Robili to i szczerze, i instrumentalnie. Czy to z wyrachowania, żeby oczernić, zwłaszcza w oczach Zachodu – np. przypinając łatkę antysemity generałowi Okulickiemu, czy ze szczerych przekonań – dla komunistów antysemityzm był przecież synonimem najgorszej reakcji i faszyzmu. Tym bardziej godna uwagi jest ich ideowa elastyczność pod koniec lat czterdziestych, gdy rusza kampania przeciw „kosmopolityzmowi", gdy potępiają Slanskiego, itd.

N.A. – Żydzi to dostrzegają. Ludzie mówią – no owszem, władza jest nam przychylna i dzieją się rzeczy dobre, ale nie da się tutaj zostać, bo na co dzień nie da się tutaj żyć. Myślę, że musimy też powiedzieć parę słów o psychologicznym aspekcie mieszkania w Polsce po Zagładzie. W relacjach z tego czasu, pisanych na gorąco, wspomina się o sytuacjach, kiedy rozpoznawano na ulicy, szczególnie w mniejszych miejscowościach, ubrania żydowskich krewnych czy sąsiadów. Jest też pamiętnik spisany przez Żyda z Sokala, który wraz z rodziną przeżył ukryty przez polską rodzinę, w strasznych zresztą warunkach, w podziemnym bunkrze. Otóż on wyszedł po zakończeniu wojny na powierzchnię i po pewnym czasie odważył się na spacer po rynku miasteczka. Nagle orientuje się, że mija kolejne domy, w których mieszkali jego przyjaciele Żydzi, domy, które rozpoznaje. Domy, które nie stoją puste po śmierci ich właścicieli, ale mieszkają tam już inni ludzie. Nikt nie został, z całej tej społeczności, której on był częścią. Wtedy postanawia, że musi wyjechać: jeszcze nie z Polski, na razie postanawia wyjechać z Sokala, by uciec od wspomnień, które są zbyt bolesne.

B.P. – ***W tych przeżyciach być może tkwi tajemnica czasowego sukcesu Dolnego Śląska. Tam wszyscy byli nowi.***

N.A. – Tam można było wyjechać i nie być zmuszonym do konfrontowania się z Zagładą. Sąsiedzi nie nosili ubrań po najbliższych i nie mieli w mieszkaniu mebli po znajomych. To było miejsce, gdzie pomysł na odbudowywanie życia rodzinnego, odbudowanie społeczności lokalnej, miał szanse powodzenia. W tych dawnych miejscowościach, zwłaszcza w małych, gdzie wszyscy się przecież przed Zagładą znali, właściwie to było psychologicznie niemożliwe. Do tego dokładała się sprawa bezpieczeństwa, która w tych niewielkich miejscowościach była najostrzejsza, bo tych trzech, pięciu wracających było wystawionych na ataki, było bardzo widocznych. Natomiast Dolny Śląsk, Szczecin zdawały się dawać osadnictwu żydowskiemu szansę.

D.S. – Dolny Śląsk to był pomysł paradoksalny, pomysł na pozostanie w Polsce i jednocześnie wyjazd z Polski. To było takie miejsce, które już było zagranicą – z dala od rodzinnego miasteczka, które stało się żydowskim cmentarzem, ale jednak w Polsce: inne otoczenie społeczne, inne domy, inny krajobraz. Możliwe, że gdyby takich miejsc nie było, to ci ludzie wyemigrowaliby jeszcze szybciej.

B.P. – ***Proszę opowiedzieć o Dzierżoniowie, który był trochę takim polskim Birobidżanem. Czy to był pomysł władz, czy samych Żydów? Czy do***

zakorzenienia się, czy też jako coś w rodzaju obozu przejściowego przed wyjazdem?

N.A. – Dzierżoniów jest rzeczywiście wyjątkowy, bo to jest ta jedyna miejscowość w powojennej Polsce, gdzie przed 1948 r. mieszka na tyle wysoki odsetek Żydów, że może przypominać przedwojenne wschodnioeuropejskie sztetl – żydowskie miasteczko. Na zdjęciach z Dzierżoniowa z drugiej połowy lat czterdziestych widać szyldy po żydowsku, w jidysz. Mówi się o tym, że tam było słychać jidysz na ulicy. Wszystko to kończy się wraz z falą emigracji po powstaniu państwa Izrael.

D.S. – Badając rok 1968, trafiłem na zapiski ludzi wyjeżdżających z Dzierżoniowa, jak się spotykali i pytali – a ty kiedy wyjeżdżasz? Wtedy ponownie pojawił się syndrom, że nie mogę zostać, bo będę jedynym Żydem.

B.P. – ***Nurtuje mnie jeszcze jedna sprawa, związana z wyjazdami. Spotkałam w Niemczech Żydów z Polski, którzy byli tam od końca lat czterdziestych, również takich, którzy osiedli tam później. Czy wielu obrało ten kierunek emigracji? Intrygujące jest dla mnie żydowskie doświadczenie zetknięcia się po Zagładzie z Niemcami, z niemczyzną, językiem, strukturą materialną miasta itd. W jakimś stopniu ta konfrontacja odbywała się także na Dolnym Śląsku.***

D.S. – To jest gigantyczny, ale odrębny temat – jak Polacy, Żydzi polscy czy Ukraińcy zakorzeniają się w tym nowym kraju, tak różnym od ich „małych ojczyzn".

N.A. – Myślę, że w przypadku Żydów to ma posmak dodatkowy.

D.S. – Żydzi wyjeżdżający z Polski w latach czterdziestych nie kierowali się na zachód, tylko na południe. Wyjeżdżali przez Czechosłowację, dokładnie przez Czechy, ku amerykańskiej strefie okupacyjnej w południowych Niemczech. Nie wiem, jak to się potem procentowo rozkładało, zdaje się, że większość jechała do Palestyny, ale nie tylko do Palestyny.

N.A. – Nie. To jest pewna mitologia – ucieczki Żydów z Europy po Zagładzie, którzy marzyli o Palestynie i o niczym innym nie mogli myśleć. Te wyjazdy powojenne są przede wszystkim wyjazdami „z", a nie wyjazdami „do". Zwłaszcza po Kielcach to jest po prostu paniczna ucieczka i chodzi przede wszystkim o to, żeby się znaleźć poza granicami Polski. Dokąd jechać? – to jest już inne, wtórne z perspektywy wyjeżdżających pytanie. Wyjeżdżający z Polski Żydzi zatrzymują się w obozach dipisów, skąd mniej więcej połowa emigruje do Stanów Zjednoczonych, zaś druga połowa do Palestyny, a właściwie do Izraela. Wcześniej emigracja do Palestyny była niemożliwa, liczba certyfikatów przyznawanych przez Brytyjskie Władze Mandatowe była minimalna, a poza tym ideologia nie zawsze decydowała o życiowych wyborach. W sferze ideologii ludzie mogli uważać, że syjonizm jest właściwą drogą, ale jeśli jedyny pozostały przy życiu członek rodziny mieszkał np. we Francji, podejmowano decyzję, by jechać właśnie tam.

D.S. – Zachowują się jak emigranci, jadą tam, gdzie mają krewnych, znajomych, bo to jest jakiś punkt zaczepienia.

N.A. – A w sytuacji, kiedy jeszcze były szczątki rodzin, to pragnienie złączenia się z krewnymi miało wymiar dodatkowy, poza praktycznym – to była potrzeba bycia z osobą, która pamiętała rodziców, rodzeństwo, współmałżonka itd. Część ludzi miała krewnych w Palestynie z tej przedwojennej emigracji, wtedy decyzja o wyjeździe tam była dla ocalałych jeszcze bardziej logiczna.

B.P. – ***Wyjaśnijmy sprawę wyjazdów do Niemiec.***

N.A. – Liczba Żydów, którzy pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych znaleźli się w Niemczech, głównie w amerykańskiej strefie okupacyjnej, i którzy zostali tam, to znaczy nie wyjechali do USA i do Izraela, jest niewielka.

D.S. – Ja pamiętam pojedyncze, wyróżniające się nazwiska, np. Marceli Reich-Ranicki [przeżył getto warszawskie; funkcjonariusz WUBP na Górnym Śląsku; pracownik wywiadu Polski Ludowej w Londynie; wybitny krytyk literacki – red.], który potem trafił do Niemiec. Ale to są jednostki. Raczej trzeba by się spytać, co się stało z tymi Żydami, którzy zostali wyzwoleni w obozach w Niemczech.

B.P. – ***Stawiam takie pytanie.***

N.A. – Oni też znaleźli się w obozach dipisów. Oczywiście była też mniej liczna grupa ludzi, którzy żyli w niemieckich miastach, którzy szli na studia, pracowali zawodowo (byli zresztą oskarżani przez Amerykanów i Brytyjczyków o to, że stanowią siłę napędową czarnego rynku, handlu walutami itd.). To jest pewne podobieństwo do sytuacji w Polsce w tym czasie – oswajania niemczyzny na „prastarych ziemiach słowiańskich". Wtedy pisano o tym mocno propagandowym językiem – tutaj lała się krew żydowska, a teraz Żyd, rolnik, albo rzemieślnik, właśnie w tych niemieckich domach, niemieckich gospodarstwach będzie odbudowywał swoje życie. Były to teksty ideologiczne i polityczne, trudno mi powiedzieć, czy ludzie, którzy się do tych niemieckich kamienic wprowadzali, odczuwali jakiś dyskomfort i w jakim stopniu on był większy, inny niż polski, nieżydowski.

D.S. – Myślę, że specyfika żydowskiej reakcji na zamieszkanie w kamienicy w Dzierżoniowie polegała na żywych wspomnieniach dramatycznych przejść w czasie wojny. Ułatwienie mogło być takie, że to była jednak ludność miejska. Zasiedlenie Ziem Zachodnich po II wojnie światowej to była nie tylko migracja ze wschodu na zachód, ale też ze wsi do miasta. Znaczna część nowych mieszkańców Wrocławia czy Szczecina to przybysze ze wsi, w ich przypadku obcość tych miast była podwójna. Architektura, i w ogóle cywilizacja materialna, w której przyszło im żyć, była obca – bo niemiecka, i obca, bo miejska. To jest na pewno bardzo ciekawy temat – jak oswajano to nowe otoczenie. Na poziomie propagandowym były hasła o prastarych, piastowskich ziemiach, na których jest politura niemczyzny (którą ścierano, niszcząc cmentarze i zamalowując niemieckie napisy), natomiast w praktyce dnia codziennego oswajano, zajmowano ten świat na jakieś inne sposoby.

B.P. — ***Kiedy zaczyna brakować przyzwoleń na emigrację Żydów, tworzy się ich społeczność na terenie Polski. Chciałabym, żeby ją opisać.***

N.A. — Przełom roku 1948 i 1949 jest cezurą w powojennej historii polskich Żydów — z jednej strony powstaje państwo Izrael, z drugiej — następuje wyraźna zmiana polityki wobec Żydów.

D.S. — To jest dosyć przypadkowa zbieżność w czasie. Powstaje państwo Izrael, wkrótce potem zaczyna się kampania przeciw „kosmopolitom" w Związku Sowieckim, co jest pewnym sygnałem dla pozostałych krajów bloku. Ale Izrael jest nadal przyjaznym państwem, ma bardzo silne wsparcie tego powstającego bloku sowieckiego — otrzymuje czeską broń, polskie oparcie dyplomatyczne w ONZ itd. Trzeci czynnik, który zbiega się w czasie, to przyspieszenie sowietyzacji Polski. Następuje m.in. ogólny *Gleichschaltung* organizacji społecznych, w tym wchłonięcie PPS przez partię komunistyczną. Ta centralizacja, konsolidacja i unifikacja organizacyjna dotyczy też organizacji żydowskich. Inny czynnik godny wzmianki to zamknięcie granic. Do 1948 r., gdy trwają masowe deportacje Niemców, a system zabezpieczenia granic na wzór sowiecki był w powijakach, uciec było względnie łatwo. Rok, dwa lata później zabezpieczenie granic jest nieporównywalnie lepsze, a nielegalny wyjazd praktycznie niemożliwy — dlatego główną formą nielegalnej emigracji stają się odmowy powrotu dyplomatów, marynarzy itp. Tak zatem zbiegło się wówczas kilka procesów i na ich przecięciu powstaje fala emigracji żydowskiej w latach 1949–1950. Władze zezwalają na emigrację do Izraela w ramach tzw. opcji narodowościowej, a zarazem wiadomo już, że jak się teraz nie wyjedzie, to się nie wyjedzie w ogóle i trzeba będzie żyć w zsowietyzowanej Polsce.

B.P. — ***Kto wyjeżdża, kto zostaje?***

D.S. — To trwa dokładnie rok — od września 1949 do września 1950 r. — kiedy można się zarejestrować na tzw. opcję izraelską. To brzmi jak plebiscyt narodowościowy, ale chciałbym, żebyśmy motywów wyjazdu nie redukowali do kwestii tożsamości narodowej. Przecież ci emigranci widzieli, że kraj jest komunizowany pełną parą. Sadzę, że gdyby inni Polacy, polscy nie-Żydzi, żeby użyć tego niezręcznego terminu, nagle dostali wówczas taką szansę, że mogą się zarejestrować i wyjechać za żelazną kurtynę, to też bardzo wielu by się zgłosiło, bez względu na pochodzenie, wyznanie itd. W tym czasie już nikt nie może mieć złudzeń, do czego Polska zmierza.

N.A. — Ludzie odczuwają, że ta istniejąca do tej pory autonomia żydowska kończy się, atmosfera się zagęszcza, więc podejmują decyzję o wyjeździe. Świadczą o tym np. relacje właśnie z Dzierżoniowa, o którym mówiliśmy wcześniej. Irena Hurwic-Nowakowska prowadziła tam badania terenowe do swojego doktoratu na Wydziale Socjologii UW. Ludzie mówią o tym, że wszyscy wyjeżdżają i dlatego też i oni zaczynają się pakować, bo z kim będą się w niedalekiej przyszłości bawić ich dzieci. Ci więc, którzy po 1950 r. zostają w Polsce — oczywiście uogólniając — wiedzą, że zostają w bardzo niewielkiej liczebnie społeczności, z bardzo niewielką

przestrzenią swobody wyrażania swej odrębności. Trudno mi powiedzieć, jak dalece w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, a już szczególnie siedemdziesiątych, możemy mówić o życiu społeczności żydowskiej, na ile ci ludzie tworzą społeczność, a na ile to są jednostki, które mają żydowskie pochodzenie.

D.S. – W 1956 r. granice na moment otwierają się i ludzie znów wyjeżdżają. Wyemigrowało wtedy 32 tys. osób, deklarując jako cel podróży Izrael. To jest skumulowana liczba tych, którzy nie mogli wyjechać przez poprzednie pięć, sześć lat. A te sześć lat był to świetny okres, żeby się całkowicie zniechęcić do Polski Ludowej. W okresie stalinowskim wiele osób nabrało pragnienia, żeby stąd wyjechać, ale w 1956 r. wypuszczono Niemców (ponad 300 tys.!) i Żydów, plus stosunkowo niewielką liczbę emigrantów–Polaków, a także jakieś Angielki – żony polskich żołnierzy przywiezione z Zachodu, itd. Znów przy otwieraniu granic zastosowano kryterium etniczne – możliwość emigracji była wyjątkiem zarezerwowanym dla wspomnianych dwu grup. Jednocześnie przyjeżdża do Polski 300 tys. ludzi ze Związku Sowieckiego w ramach tzw. drugiej repatriacji. W tej fali są też Żydzi, ale dla wielu z nich Polska była tylko przystankiem w drodze na zachód. Natrafiłem nawet na informację, że jacyś niepolscy Żydzi próbowali wykorzystać tę sytuację i wyjechać z ZSRS przez Polskę.

N.A. – Pojawiały się wtedy fikcyjne małżeństwa.

D.S. – Mamy więc już trzecią falę emigracji, po falach po pogromie kieleckim i w latach 1949–1950. Ta trzecia fala obejmuje tych, którzy wcześniej nie wyjechali. Tych, którzy nie byli syjonistami, którzy zwykle byli zasymilowani, którzy w powojennej Polsce znaleźli sobie jakieś miejsce, nierzadko w aparacie władzy. Jeśli wyjeżdżali, to znaczy, że wiele z tego, co ich do tej pory w Polsce trzymało, musiało osłabnąć lub zniknąć. Oczywiście w 1956 r. pojawiają się też specyficzne „czynniki wypychające", ujawniają się nastroje antyżydowskie i pojawia się przekonanie (zresztą słuszne), że możliwości wyjazdowe za chwilę się skończą, więc trzeba się pospieszyć.

B.P. – ***No, ale tak jak wcześniej, znowu pewna grupa pozostaje.***

D.S. – Ale jest pytanie, czy oni pozostają w Polsce jako Żydzi, czy z jakiegoś innego powodu, pomimo tego, że są Żydami.

N.A. – Na przykład wyjeżdżają bundowcy. Niektórzy wyjeżdżają zresztą jeszcze w latach 1946–1947 przy pomocy struktur syjonistycznych. Dzięki temu, że syjoniści organizują emigrację, oni też mogą wyjechać. Syjoniści zdają sobie sprawę, że oni wyjeżdżają z zsowietyzowanej Polski. To jest oczywiście pewien odłam Bundu. Inny odłam jest znacznie bliższy PPR. To jest jeszcze jeden z elementów, który należałoby wziąć pod uwagę.

D.S. – Spójrzmy na decyzje o emigracji nie tylko pod kątem tożsamości narodowej. Człowiek ma wiele różnych potrzeb, nie tylko potrzebę przynależności, a i tożsamość ma złożoną – należy do jakiegoś miejsca, widzi siebie w jakimś porządku

społecznym, np. jest krawcem, ale niekoniecznie chce być członkiem spółdzielni krawieckiej. Nie redukujmy decyzji o wyjeździe do tego czysto etnicznego aspektu. On był ważny, ale nie jedyny.

B.P. — ***Jedni chcą za wszelką cenę stąd wyjechać, a inni, na przekór wszystkiemu, zostają. To są jednak zupełnie inne grupy motywów, przeciwnie skierowane. Mnie interesują ci, którzy zostają.***

N.A. — Statystyczna większość jednak wyjeżdża. Być może to nie jest tak, że oni w momencie, w którym widzą pierwszy sowiecki czołg, wiedzą, że dożyli końca nazizmu i w tym momencie wiedzą, że następna rzecz, którą chcą zrobić, to spakować walizkę i uciekać. Jednak większość po zakończeniu wojny wyjeżdża z Polski.

B.P. — ***Ale przecież i po wojnie istniały procesy asymilacyjne.***

N.A. — Asymilacja jest bardzo skomplikowanym zjawiskiem. W literaturze przedmiotu odchodzi się od tego pojęcia na rzecz akulturacji.

D.S. — Przez asymilację rozumiemy akulturację plus integrację społeczną. O jakiej integracji społecznej możemy mówić w sytuacji, kiedy społeczeństwo żydowskie istnieje w takiej dziwnej, rozproszkowanej postaci? Trzeba wielkiej determinacji, żeby integrować się społecznie i pozostać Żydem. Jest wiele historycznych przykładów pokazujących, że najsilniejszym motorem asymilacji jest możliwość awansu społecznego. Asymilacja na skalę masową udaje się w krajach, które się rozwijają, modernizują. Państwa komunistyczne miały swoje drogi modernizacji, oferowały szanse awansu społecznego, ale stawiały też specyficzne wymogi. Awansują ci ludzie, którzy wybrali socjalizm. By to ująć krótko — być może jeśli żydowski krawiec chce mieć własną firmę, a nie być tylko członkiem spółdzielni, to trafia na bariery awansu i integracji, które gdzie indziej nie występują. Dlatego nie sam syjonizm czy tożsamość narodowa decyduje o emigracji.

B.P. — ***Ale stosunek do państwa Izrael nie u wszystkich był entuzjastyczny, przede wszystkim u religijnych Żydów.***

D.S. — A kto powiedział, że oni pojechali do Izraela! Jak już wyjechali z Polski, to jechali, dokąd chcieli.

N.A. — Sprawa religijnych Żydów — to jest jedno z wielkich pytań powojennego okresu — wpływ Zagłady na skomplikowane składniki żydowskiej tożsamości, zwłaszcza w XX w. Jest tożsamość świecka i jest tożsamość religijna, czyli z jednej strony poczucie przynależności opartej na religii, z drugiej wpływ kultury, języka itd. Nie widziałam danych statystycznych na ten temat, nie sądzę też, by można było przeprowadzić takie obliczenie, ale ogólnie rzecz biorąc, nieco większą szansę na przeżycie pod niemiecką okupacją mieli ci, którzy znali dobrze język polski, którym nie była obca polska kultura, którzy mieli znajomych i przyjaciół po tzw. stronie aryjskiej. Ci, którzy przeżyli, w znacznym chyba odsetku należeli do kręgów żydowskiej inteligencji, można w ich przypadku mówić o akulturacji, a czasem wręcz asymilacji.

D.S. – Ludzie są przeważnie osiadli, ze społeczeństwa zwykle emigruje jakiś niewielki odsetek, w przypadku Żydów w PRL mamy sytuację odwrotną. W kolejnych falach emigracyjnych wyjeżdża znaczna część, a nawet połowa populacji. To dość niezwykła proporcja, właściwa migracjom przymusowym raczej niż migracjom zwykłym, czyli ekonomicznym. Po Kielcach wyjeżdża połowa tych, którzy byli w Polsce w 1946 r. W 1950 r. wyjeżdża prawie połowa tych, którzy pozostali do tego czasu, a w 1968 r. wyjeżdża połowa tych, którzy mieszkali tu w 1967 r. Po Marcu '68, w latach 1968–1970, wyjechało 13,5 tys. polskich Żydów, a w 1967 r. szacowano ich liczbę na około 25 tys. Mieliśmy więc prawdziwy exodus, i to powtarzany parę razy. Każdy z nich jest dla członków tej grupy chwilą próby, kiedy stają przed dylematem „zostać czy wyjechać". W sytuacji, gdy połowa grupy wyjeżdża, przed pozostałymi i tymi, którzy się wahają, staje pytanie: to ja tu sam zostanę? Wśród pozostających byli ludzie, którzy czuli się strażnikami pewnego miejsca. Takie postacie pojawiają się w opowiadaniach Hanny Krall. Marek Edelman też miał wypowiedzi w tym właśnie duchu. Strażnicy pewnego miejsca, ludzie z osobistą misją. Ale jest to misja właśnie wysoce osobista, czyli jednostkowa, na takiej podstawie nie buduje się życia społecznego.

N.A. – Jeszcze jedna uwaga – zaraz po wojnie w całej grupie ocalałych i tych, którzy przyjechali do Polski wraz z falą repatriacyjną, w której co prawda jest wiele dzieci i ludzi starszych, przeważali młodzi mężczyźni. Wielu młodych polskich Żydów, którzy nie wyjeżdżają z Polski, wstępuje w mieszane związki małżeńskie. Im też trudniej jest podjąć decyzję o wyjeździe w 1956 czy 1968 r.

D.S. – Bez wątpienia fale emigracyjne z lat 1950 i 1956–1957 przypieczętowują pewien rodzaj selekcji etniczno-politycznej. Emigranci wyjeżdżają jako Żydzi i jako ludzie, którzy nie widzą dla siebie miejsca w nowym porządku, a pozostają ci, którzy mocniej związani są z polskością i lepiej dostosowani do otoczenia, jakim jest PRL. Nic dziwnego zatem, że ta grupa stopniowo się rozmywa, ulega erozji, poprzez mieszane małżeństwa, odejście od języka i religii przodków w kolejnym pokoleniu. W latach sześćdziesiątych nie ma już w Polsce żadnego kwalifikowanego rabina. Był chyba jeden rzezak. Jest to zatem społeczeństwo, które powinno zaniknąć. Cudem jest raczej to, że przetrwało, że istnieje. Kluczem do tej tajemnicy jest chyba pewna różnorodność tożsamości żydowskiej, tzn., że można być Żydem na kilka sposobów, także po odejściu od religii, języka i wielu obyczajów przodków.

B.P. – ***Pani powiedziała, że po 1968 r. nie istnieje już społeczność żydowska, istnieją poszczególni ludzie. Po 1968 r. państwo objawiło niemal urzędowy antysemityzm, ale przecież pozostały struktury żydowskiej społeczności, teatr, ŻIH. Chcę, żebyśmy wyjaśnili ten fenomen.***

D.S. – Struktury organizacyjne mniejszości żydowskiej pozostały na pokaz.

B.P. – ***Dla kogo?***

D.S. – Dla zagranicy, może też dla samych siebie, czyli lepszego samopoczucia władz. Grynberg daje jako przykład gry pozorów Teatr Żydowski imienia Estery

Kamińskiej, w którym grali nie-Żydzi. Można pokazać i powiedzieć: proszę, oto jak państwo ludowe dba o kulturę żydowską, utrzymuje teatr, dotuje żydowskie towarzystwo społeczno-kulturalne, Żydowski Instytut Historyczny. Rola wszystkich organizacji mniejszościowych w peerelu była zresztą dwojaka. Dopuszczano jakiś margines kultywowania swoich tradycji wśród Białorusinów, Żydów, Ukraińców, Niemców. Legalne organizacje mniejszościowe dawały sporo wymiernych korzyści – istniały czytelnie, gazetki, zespoły kulturalne, szkoły itp., ale trzeba było za to płacić, wykazując się nadgorliwą lojalnością. Organizacje takie były narzędziem, jakbyśmy to dziś powiedzieli, zarządzania mniejszościami, partyjnego nadzoru i esbeckiej infiltracji środowiska. Wszystko, co się w nich działo, a zwłaszcza obsadzanie stanowisk kierowniczych, odbywało się pod czujnym okiem władz partyjnych i milicji. Nie bez przyczyny towarzystwa społeczno-kulturalne były nadzorowane przez MSW.

B.P. – ***Żydowski Instytut Historyczny istniał cały czas.***

N.A. – ŻIH istniał cały czas i to jest moim zdaniem zjawisko niezwykle interesujące. Jest fenomenem, bo udało mu się nawigować w takich okresach, kiedy wydawało się, że nie było szans na jego przetrwanie jako odrębnej jednak żydowskiej instytucji. Były plany, żeby ŻIH zlikwidować i jego kolekcje archiwalne i biblioteczne rozdzielić, powysyłać do różnych lokalnych archiwów. Może to było podobnie jak z Teatrem Żydowskim – wygodniej było powiedzieć, że mamy taką instytucję o tradycjach sięgających jeszcze okresu międzywojnia. Może była to też umiejętna polityka dyrekcji ŻIH, która starała się przycichnąć na czas szczególnie trudny. Zastanawiałam się kiedyś, jak to się stało, że cały powojenny czas wychodził też „Biuletyn ŻIH". Owszem, tam są teksty z politycznymi tytułami, jak należy, ale badania trwały. A z drugiej strony, jak wielu czytelników miał w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych „Biuletyn ŻIH"? To był zupełny margines życia tego kraju i być może nie był on warty fatygi, żeby go zlikwidować.

D.S. – Trzeba powiedzieć, że te teksty w biuletynie zawsze były prawomyślne. Takie pismo nie mogło się wychylać.

N.A. – I tak, i nie, bo tam są rzeczy czytane do dzisiaj.

D.S. – Ja nie mówię, że są tam tylko teksty fałszywe (choć tendencyjne są), mówię tylko, że jak ktoś chciał eksperymentować, badać granice tolerancji władz, to raczej w innym tytule, ale nie w tym. Jest jeszcze godna wzmianki sprawa dopuszczenia pomocy zagranicznej dla Żydów. Aż do wojny sześciodniowej w 1967 r. Żydzi dostają znaczącą pomoc zagraniczną – jako jedyna organizacja mniejszościowa w Polsce. Była to pomoc od organizacji żydowskich na Zachodzie, koordynowana przez amerykański Joint, która w latach 1956–1967 szła w miliony dolarów, zarówno w gotówce, jak i w materiałach dla żydowskich spółdzielni pracy itp. W przypadku Niemców czy Białorusinów było to nie do pomyślenia.

B.P. – ***Więc poszukajmy odpowiedzi wyjaśniającej ten stan rzeczy.***

D.S. – Myślę, że ta sytuacja była wynikiem skrzyżowania dwóch czynników – z jednej strony działalność i funkcjonowanie tej mniejszości były marginalne, to

było swego rodzaju getto, z którego nie rozprzestrzenia się żadna zaraza, z drugiej – dopuszczano to na pokaz dla zagranicy. Jest też odwieczna tradycja samoorganizacji, szczególne umiejętności społeczne Żydów. To Stanisław Bystroń chyba powiedział, że w Galicji żydowski biedak ma znacznie lepsze życie niż chrześcijański biedak, właśnie dlatego, że może liczyć na pomoc jakiegoś bractwa czy stowarzyszenia. Dobroczynność, jałmużna, pomoc innym członkom społeczności to w nauczaniu religijnym bardzo ważne cnoty. Ponadto przez setki lat życia w diasporze, w rozproszeniu, Żydzi mogli liczyć tylko na siebie, otoczenie było zwykle niechętne, często wrogie. W rezultacie społeczności żydowskie wykształciły dużo gęstszą tkankę tego, co dziś nazywa się społeczeństwem obywatelskim, niż ich sąsiedzi. Ten kapitał społeczny trudno przecenić.

B.P. – ***Niemniej wiele tych faktów powodowało, że w społeczeństwie panowało takie przekonanie o uprzywilejowanej pozycji Żydów, wzmocnione ich udziałem w strukturach władzy.***

N.A. – To jest jeden z tematów, który jest nieostry i trudny. Jakaś część tych ludzi, którzy w Polsce pozostali i uczestniczyli w administrowaniu tym państwem, to ludzie, którzy byli też do Polski niezwykle przywiązani. Do takiej czy innej wizji Polski, ale uważali się za polskich patriotów, poczuwali się do związku z polską kulturą.

D.S. – Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do sytuacji początkowej, bo pominęliśmy ważny fakt u zarania naszej historii. Otóż Polska komunistyczna powstaje jako państwo narodowe – już Lampe to zapowiadał w 1943 r. – „Polska Ludowa będzie państwem narodowym", ale zarazem jako państwo dwuetniczne. We wczesnych dokumentach nowych władz, w umowach dotyczących przesiedleń i repatriacji z ZSRS Polacy i Żydzi oddzielani są od pozostałych: albo podaje się wprost, że przesiedlenie dotyczy tylko osób narodowości polskiej i żydowskiej, albo wymienia się negatywnie – że nie dotyczy Białorusinów, Ukraińców i Litwinów.

N.A. – W Manifeście Lipcowym też Żydzi są chyba wymienieni jako jedyna mniejszość.

B.P. – ***Jak można to wytłumaczyć?***

D.S. – Tym, że nową granicę uzasadniano względami etnicznymi – miejsce Ukraińców, Białorusinów, Litwinów było w odpowiednich republikach sowieckich, tym, że Sowieci już podczas rozmów z Sikorskim w 1941 r. grali kartą mniejszościową w sprawach polskich, tym, że połowa Związku Patriotów Polskich to byli Żydzi – a Sowieci się na to godzili. Tak czy inaczej, ta dwuetniczność jest czymś godnym uwagi. W latach czterdziestych, gdy Niemcy muszą z Polski wyjechać, Ukraińcy muszą wyjechać, Żydzi mogą wjechać i wyjeżdżają. Zasada pozostawała w mocy jeszcze podczas tzw. drugiej repatriacji z ZSRS w 1956 r., kiedy znów możliwa była migracja z ZSRS do Polski tylko Polaków i Żydów.

B.P. – ***Żydzi w PRL, jako polscy obywatele, przy wszystkich strasznych doświadczeniach również mieli swój wkład w budowę tego systemu.***

D.S. – Jeszcze wrócę do kwestii trochę z tym związanej, faworyzowania instytucji żydowskich przez komunistów żydowskich czy żydowskiego pochodzenia, co im zarzucano. Myślę, że było tego dużo mniej, niż się sądzi, a przy tym ja bym nie sprowadzał takich działań do wymiaru tożsamości etnicznej czy pochodzenia. Jeżeli tacy ludzie coś popierali lub chronili, to mogli to robić także jako Polacy, którzy mają pewną wizję Polski, którzy woleli mieć taką Polskę, w której jest ŻIH, niż taką, w której go nie ma.

N.A. – Dlatego ja, mówiąc o tej polskiej powojennej mapie politycznej, wprowadziłam rozróżnienie między żydowskimi komunistami a komunistami pochodzenia żydowskiego, to są bowiem najczęściej inne grupy ludzi. Można przejąć się komunizmem – zwłaszcza w latach trzydziestych zachłystywała się komunizmem część młodzieży żydowskiej – i bynajmniej nie tracić poczucia narodowej tożsamości, oczywiście zdecydowanie świeckiej tożsamości, zachować silny związek z kulturą, zamiłowanie do języka jidysz. Oczywiście, że jest też komunizm, w którym się odrzuca tożsamość narodową *a priori*, w każdej jej postaci. Nie można mieszać ze sobą casusu Jakuba Bermana i casusu Bernarda (Bera) Marka. Obaj wierzyli w ideę budowania komunizmu, ale Bernard Mark pozostał komunistą żydowskim, piszącym w jidysz, rozmiłowanym w literaturze żydowskiej. Czy kiedy strzelano do Żydów w Polsce w 1945 i 1946 r., strzelano do nich jako komunistów, czy jako do Żydów? Można patrzeć na każdy przypadek odrębnie, niemniej jednak charakter przemocy przeciw przedstawicielom nowej władzy i charakter przemocy przeciw Żydom różniły się na wiele ważnych sposobów. Oczywiście były przypadki, że zastrzeliwszy kogoś po wyciągnięciu go z pociągu, znaleziono przy nim legitymację partyjną albo UB. Ale szukano przede wszystkim z perspektywy tego, co określało się jako „żydowski wygląd".

D.S. – Weszliśmy na bardzo trudny i grząski grunt. Wątpię, czy o tożsamości tych ludzi można powiedzieć coś zarazem ogólnego i sensownego, mamy tu przecież całe spektrum Żydów, Żydów polskich, Żydów–Polaków i Polaków żydowskiego pochodzenia. Kto się gdzie znajduje w tym spektrum, można by tylko ustalić, zadając mu stosowne pytanie – w niektórych przypadkach mamy na nie odpowiedź, np. w ankietach personalnych funkcjonariuszy MBP/MSW jest rubryka „narodowość" i niektórzy podają „żydowska", ale co przez to rozumieli, nie wiem. Poza tym odpowiedź mogłaby być inna w różnych momentach życia danej osoby. Przecież Jakub Berman u szczytu swej partyjnej kariery był bardzo daleki od żydowskich korzeni, był po pierwsze komunistą, a pochowany jest jednak na cmentarzu żydowskim. Tu można przytoczyć postać pozornie odległą od tow. Bermana – Mieczysława Moczara, który też nie był polskiego pochodzenia, którego ideową ojczyzną jako komunisty, jak sam powiedział, był ZSRS, i który jest zarazem uosobieniem tendencji nacjonalistycznych w partii lat sześćdziesiątych. I jeszcze jedno – społeczność Żydów w PRL nigdy nie była liczna, a przy tym malała przez emigrację i asymilację:

sekularyzowała się, akulturowała, zanikała w niej znajomość jidysz. Miała jednak takie cechy, które sprawiały, że nie tylko z powodu obsesji żydowskiej uważano, iż jest większa niż w rzeczywistości. To była grupa w znacznej mierze inteligencka, zajmująca wyższe szczeble drabiny społecznej. Dojrzałem ten niezwykły skład społeczny polskich Żydów, czytając akta SB. Poziom wykształcenia emigrantów do Izraela z lat 1968–1970 był nieporównanie wyższy niż w ogóle populacji, odsetek osób z wyższym wykształceniem był ośmiokrotnie wyższy! Takie osoby są siłą rzeczy bardziej widoczne społecznie.

B.P. — ***Wśród tych, którzy zgłaszali się do żydowskich organizacji w Lublinie w 1944 r., znajdowali się i krawcy, i rolnicy, i sklepikarze.***

D.S. — Oczywiście nie była to grupa wyłącznie inteligencka, ale jej struktura społeczno-zawodowa była inna niż ogółu ludności. W pewnej mierze było to widoczne już wśród ocalałych z wojny. Dobra znajomość języka polskiego zwiększała szansę przeżycia pod okupacją niemiecką, a to było skorelowane z poziomem wykształcenia, tzn. wykształcenia świeckiego. Potem, w kolejnych falach powojennej emigracji, krawcy wyjechali.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 11 (58), listopad 2005

NOTY O ROZMÓWCACH

Natalia Aleksiun – ur. w 1971 r., historyk, adiunkt na Wydziale Stosunków Politycznych i Międzynarodowych UJ oraz pracownik IH PAN. Doktorat na Wydziale Historii UW na temat ruchu syjonistycznego, wydany przez Wydawnictwo Trio *Dokąd dalej? Ruch syjonistyczny w Polsce 1944–1950* (2002). Publikowała w czasopismach naukowych polskich i zagranicznych na temat powojennej historii Żydów w Polsce, stosunków polsko-żydowskich oraz historiografii żydowskiej.

Krzysztof Bobiński – ur. w 1949 r. w Wielkiej Brytanii, absolwent Uniwersytetu w Oxfordzie, w latach 1976–2000 korespondent „Financial Times" w Warszawie, aktualnie wiceprezes Fundacji Unia & Polska.

Andrzej Chojnowski – ur. w 1945 r., prof. dr hab. w Instytucie Historycznym UW. Wchodzi w skład Rady Naukowej *Polskiego Słownika Biograficznego* (od 2005 r.) oraz Rady Muzeum Historii Polski (od 2006 r.). Autor książek z zakresu historii Polski i powszechnej w XX wieku, m.in. *Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921–1939* (1979); *Piłsudczycy u władzy. Dzieje Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem* (1986); *Ukraina* (1997, 2006); *Izrael* (2001, 2003). Od września 2007 r. członek i przewodniczący Kolegium IPN.

Bogdan Chrzanowski – ur. w 1950 r. w Gdyni, dr hab., zajmuje się okupacyjnymi dziejami Pomorza, ze szczególnym uwzględnieniem Polskiego Państwa Podziemnego. Autor licznych artykułów i recenzji oraz książek, m.in.: *Konspiracja Rządu RP na Pomorzu w latach 1939–1945* (1992); *»Miecz i Pług« (Zjednoczone Organizacje Ruchu »Miecz i Pług«) na Pomorzu w latach okupacji niemieckiej* (1997) oraz współautor *Wydział Marynarki Wojennej »Alfa« Komendy Głównej Armii Krajowej* (2001); *Polska Podziemna na Pomorzu w latach 1939–1945* (2005). Pracownik naukowy Muzeum Stutthof i wykładowca w Gdańskiej Wyższej Szkole Humanistycznej.

Antoni Dudek – ur. w 1967 r., dr hab., historyk i politolog, absolwent UJ, od 1989 r. pracuje w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UJ.

Autor m.in. *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej*; (1990); *Walki uliczne w PRL 1956–1989* (1999). *Ślady Petrelu* (2000); *Komuniści i Kościół w Polsce 1945–1989* (2003); *Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988–1990* (2004); *Historia polityczna Polski 1989–2005* (2007). Od 2000 r. w IPN, od lutego 2006 r. doradca prezesa IPN.

Adam Dziurok – ur. w 1972 r., dr historii, od 2000 r. naczelnik OBEP IPN w Katowicach, adiunkt UKSW w Warszawie, autor m.in. *Śląskie rozrachunki. Władze komunistyczne a byli członkowie organizacji nazistowskich na Górnym Śląsku w latach 1945–1956* (2000); *Obóz pracy w Świętochłowicach w 1945 r. Dokumenty, zeznania, relacje, listy*, red. (2002); *Metody pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa wobec Kościołów i związków wyznaniowych 1945–1989*, red. (2004), *Województwo śląskie 1945–1950.* współautor *Zarys dziejów politycznych* (2007).

Jerzy Eisler – ur. w 1952 r., prof., dr hab., od 2000 r. w IPN, dyrektor OBEP IPN w Warszawie, pracownik naukowy IH PAN. Znawca najnowszych dziejów Francji oraz historii politycznej PRL. Autor m.in.: *Kolaboracja we Francji 1940–1944 (*1989), *Marzec 1968. Geneza – przebieg – konsekwencje* (1991); *List 34* (1993); *Grudzień 1970. Geneza – przebieg – konsekwencje* (2001), *Polski rok 1968. Geneza – przebieg – konsekwencje* (2006).

Adam Hlebowicz – ur. w 1962 r., historyk, publicysta, dziennikarz. Absolwent historii KUL. Redaktor naczelny Radia Plus w Gdańsku. Członek Zarządu Krajowego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska". Autor książek o Kościele katolickim i Polakach na Wschodzie, m.in. *Wielkie Księstwo Pana Boga i okolice* (2004).

Stanisław Jankowiak – ur. w 1958 r., dr hab., adiunkt w IH UAM w Poznaniu. W IPN od 2000 r., do stycznia 2007 naczelnik OBEP IPN w Poznaniu. Specjalizuje się w najnowszej historii Polski, a także historią Niemców w Polsce po II wojnie światowej. Autor m.in.: *Wielkopolska w okresie stalinizmu 1948–1956* (1995); *Poznański Czerwiec 1956* (2002); redaktor albumu *Zranione miasto. Poznań w czerwcu 1956* (2003); *Stan wojenny w Wielkopolsce* (2004); *Wysiedlenie i emigracja ludności niemieckiej w polityce władz polskich w latach 1945–1970* (2005), autor podręcznika historii do pierwszej klasy gimnazjum i licznych tekstów popularyzatorskich.

Ryszard Kaczmarek – ur. 1959, historyk, dr hab., prof. UŚl. Opublikował m.in. *Pod rządami gauleiterów. Elity i instancje władzy w rejencji katowickiej w latach 1939–1945* (1998) *Górny Śląsk podczas II wojny światowej. Między*

utopią »niemieckiej wspólnoty narodowej« a rzeczywistością okupacji na terenach wcielonych do Trzeciej Rzeszy (2006). Stypendysta Fundacji Friedricha Eberta, Johann Gottfried Herder Instytut w Marburgu, Instytut für Osteuropäische Geschichte Uniwersytetu w Tybindze. Specjalizuje się w historii II wojny światowej i historii Śląska w XX wieku.

Sławomir Kalbarczyk – ur. w 1961 r., dr nauk historycznych, specjalizuje się w historii II wojny światowej ze szczególnym uwzględnieniem zbrodni sowieckich popełnionych na obywatelach polskich i historia nauki polskiej pod okupacją sowiecką. Opublikował m.in. *Wykaz łagrów sowieckich – miejsc przymusowej pracy obywateli polskich w latach 1939–1943* (cz. I 1993, cz. II 1997), *Polscy pracownicy nauki – ofiary zbrodni sowieckich w latach 1939–1945* (2001). Pracownik BEP, w IPN od 2000 r.

Łukasz Kamiński – ur. w 1973 r., dr nauk historycznych, specjalizuje się w najnowszej historii Polski. W IPN od 2000 r., od lutego 2006 r. zastępca dyrektora BEP IPN. Autor wielu książek, w tym *Strajki robotnicze w Polsce 1945–1948* (1999); *Polacy wobec nowej rzeczywistości 1944–1948* (2000); współautor *A Handbook of the Communistst Security Apparratus in East Central Europe 1944/1945–1989* (2005); redaktor i współredaktor m.in.; *Młodzież w oporze społecznym 1944–1989* (2002); *Wokół Praskiej Wiosny. Polska i Czechosłowacja w 1968.* (2004); *Biuletyny dzienne Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego 1949–1950* (2004).

Marek Kazimierz Kamiński – ur. w 1948 r. prof., dr hab., kierownik zakładu Dziejów Europy XIX i XX w., pracowni dziejów Europy Środkowo-Wschodniej w IH PAN w Warszawie oraz pracownik naukowo-dydaktyczny Instytutu Historii i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Autor m.in. monografii: *Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne 1945–1948* (1990), *Polska i Czechosłowacja w polityce Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii 1945–1948* (1991); *Konflikt polsko-czeski 1918–1921* (2000); *Edward Beneš kontra gen. Władysław Sikorski. Polityka władz czechosłowackich na emigracji wobec rządu polskiego na uchodźstwie 1939–1943* (2005).

Tadeusz Kisielewski – ur. w 1939 r., prof. dr hab., kierownik Zakładu Historii Ustroju Polski w Instytucie Nauk Politycznych Akademii Bydgoskiej im. Kazimierza Wielkiego, pracownik naukowo-dydaktyczny Szkoły Wyższej im. Bogdana Jańskiego w Warszawie. Autor m.in. *Heroizm i kompromis. Portret zbiorowy działaczy ludowych* (cz. I 1977, cz. II 1979); *Rodowody naszej tożsamości. Szkice.* (1980); *Ojczyzna, chłopi, ludowcy* (1987), *Piłsudski, Sikorski... Mikołajczyk* (1991); *Federacja środkowoeuropejska. Pertraktacje polsko-czechosłowackie 1939–1943* (1991).

Janusz Kotański – ur. w 1957 r., historyk, poeta, publicysta. Zajmuje się historią Kościoła i Kresów Wschodnich. Do 2006 r. pracownik BEP IPN w Warszawie, autor biografii ks. Jerzego Popiełuszki *Nagroda dla księdza*.

Krzysztof Kosiński – ur. w 1974 r., dr historii, absolwent Instytutu Historycznego UW oraz Szkoły Nauk Społecznych przy IFiS PAN. Autor m.in. książki *Nastolatki '81. Świadomość młodzieży w epoce »Solidarności«* (2002). Pracownik Instytutu Historii PAN.

Kazimierz Krajewski – ur. w 1955 r., absolwent Wydziału Prawa UW. Autor kilkunastu publikacji książkowych i licznych artykułów w tym m.in. *Uderzeniowe Bataliony Kadrowe 1942–1944* (1993); *Na Ziemi Nowogródzkiej. »Nów« – Nowogródzki Okręg Armii Krajowej* (1997); *Ziemia Nowogródzka i Grodzieńska. Polskie cmentarze i groby wojenne oraz miejsca pamięci narodowej z okresu walk o niepodległość XVIII–XX w.* (2005) oraz współautor *Białostocki Okręg AK–AKO VII 1944–VIII 1945* (1997); *»Łupaszka«, »Młot«, »Huzar«. Działalność 5 i 6 Brygady Wileńskiej AK 1944–1952* (2002), *Kryptonim »Orzeł«. Warszawski Okręg NZW w dokumentach 1947–1952* (2004). Kierownik Wydziału Badań naukowych i Zbiorów Bibliotecznych OBEP IPN w Warszawie.

Zdzisław Król – ur. w 1935 r., ks. infułat, dr, święcenia w 1958 r., kapłan archidiecezji warszawskiej, od 1967 r. pracownik Kurii Metropolitalnej Warszawskiej (1979–1992 kanclerz kurii); od 1992r. wikariusz biskupi; sekretarz Rady Kapłańskiej, członek Rady Biskupiej Archidiecezji Warszawskiej, przewodniczący Wydziały Charytatywnego Kurii Metropolitalnej Warszawskiej i Kolegium Konsulatorów; postulator procesu beatyfikacyjnego Sługi Bożego ks. Jerzego Popiełuszki; członek Rady Pamięci Walk i Męczeństwa.

Tomasz Łabuszewski – ur. w 1966 r., absolwent Instytutu Historycznego UW, dr. Specjalizuje się w dziejach podziemia niepodległościowego. Naczelnik OBEP Warszawa, w IPN od 2000 r. Współautor monografii *Białostocki Okręg AK–AKO VII 1944–VIII 1945* (1997); *»Łupaszka«, »Młot«, »Huzar«. Działalność 5 i 6 Brygady Wileńskiej AK 1944–1952* (2002); autor i współautor licznych opracowań źródeł oraz broszur popularnonaukowych.

Grzegorz Majchrzak – ur. w 1969 r., historyk i archiwista, w latach 1990–2000 pracował w Centralnym Archiwum MSW i MSWiA, od 2000 r. pracownik BEP IPN, członek Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności". Zajmuje się badaniem działalności aparatu represji i przejawów oporu społecznego w PRL oraz dziejami NSZZ „Solidarność". Współautor i autor m.in. *Stan wojenny w dokumentach*

władz PRL 1980–1983 (2001); *Aparat bezpieczeństwa w Polsce w latach 1953–1954. Taktyka, strategia, metody*. (2004) oraz *Z dziejów »Tygodnika Solidarność«. Rozpracowanie »Tygodnika Solidarność« przez Służbę Bezpieczeństwa* (2007); *Operacja »Poeta«. Służba Bezpieczeństwa na tropach Czesława Miłosza (*2007).

Bernard Margueritte – ur. w 1938 r. w Paryżu, od 1965 r. korespondent „Le Monde" w Warszawie, publicysta. Po okresie pracy na Uniwersytecie Harvarda w 1977 r. powrócił do Polski jako korespondent francuskich mediów. W latach 1987–1990 był komentatorem w programie „Bliżej świata" nadawanym w TVP. W latach 1993–1994 wykładowca Ośrodka Studiów Rosyjskich oraz Ośrodka Prasy i Polityki Uniwersytetu Harvarda. Stały felietonista „Tygodnika Solidarność". Prezes *Inetrnational Commonications Forum*.

Ryszard Michalak – ur. w 1972 r., absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego (1996). Doktorat w zakresie historii (2001) w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Adiunkt w Instytucie Politologii Uniwersytetu Zielonogórskiego. Zajmuje się najnowszą historią Polski i politologią religii. Autor wielu artykułów naukowych oraz monografii *Kościoły protestanckie i władze partyjno–państwowe w Polsce 1945–1956* (2002) i *Historia polityczna Polski 1952–2002* (2003).

Jerzy Myszor – ur. w 1950 r., ksiądz, dr teologii, profesor nauk humanistycznych, kierownik Katedry Historii Kościoła na Śląsku na Wydziale Teologicznym UŚl w Katowicach; redaktor naczelny „Śląskich Studiów Historyczno–Teologicznych". Autor m.in. monografii *Stosunki Kościół–państwo okupacyjne w diecezji katowickiej 1939–1945* (1992); *Historia diecezji katowickiej* (1999), *Kościoły i związki wyznaniowe a konflikt polsko–niemiecki na Górnym Śląsku w latach 1919–1921* (2005), redaktor *Leksykonu duchowieństwa represjonowanego w PRL w latach 1945–1989. Pomordowani – więzieni – wygnani*, T. 1–3 (2002–2006).

Zbigniew Nawrocki – ur. w 1959 r., doktor nauk humanistycznych, dyrektor Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN, w latach 2000–2006 dyrektor Oddziału IPN w Rzeszowie. Zajmuje się dziejami podziemia niepodległościowego w Polsce w okresie II wojny światowej i w pierwszych latach powojennych, a także historią komunistycznego aparatu represji. Redaktor naczelny periodyku „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989". Autor lub współautor ponad 30 publikacji naukowych, w tym 4 książek z dziedziny najnowszej historii Polski, m.in. *Rok pierwszy. Powstanie i działalność aparatu bezpieczeństwa publicznego na Rzeszowszczyźnie (sierpień 1944–czerwiec 1945)* (2005). Sekretarz redakcji pisma naukowego „Studia Rzeszowskie" (tomy: 1–10). Laureat nagrody im. Jerzego Łojka (2000).

Piotr Niwiński – ur. w 1966 r., dr, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, uczeń prof. Tomasza Strzembosza. Adiunkt w Instytucie Politologii Uniwersytetu Gdańskiego, w latach 2000–2007 kierownik Referatu Badań Naukowych OBEP IPN Gdańsk. Zajmuje się dziejami Okręgu Wileńskiego AK, historią konspiracji antykomunistycznej oraz aparatem represji na Pomorzu po 1945 roku. Autor blisko 100 publikacji, m.in. monografii *Okręg Wileński AK 1944–1948* (1999), która otrzymała nagrodę im. Jerzego Łojka, współautor albumu *Żołnierze Wyklęci* (2002) i *Atlasu Polskiego Podziemia Niepodległościowego 1944–1956* (2007).

Czesław Osękowski – ur. w 1951 r., prof. dr hab., historyk i politolog, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego. Autorem m.in.: *Pionierzy w mundurach na Ziemi Lubuskiej* (1985); *Referendum z 30 czerwca 1946 roku w Polsce* (2000, uznana przez „Politykę" w 2001 r. za najlepszą książkę historyczną roku); *Wybory do sejmu z 19 stycznia 1947 roku w Polsce* (Poznań 2000). Członek Komitetu Nauk Historycznych PAN. Dyrektor Instytutu Historii, dziekan Wydziału Humanistycznego i rektor-elekt Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Andrzej Paczkowski – ur. w 1938 r., prof. dr hab. Studia na Wydziale Historycznym UW, tamże doktorat i habilitacja. W 1991 r. otrzymał tytuł profesora. Pracownik naukowy kolejno w: Samodzielnej Pracowni Historii Prasy PAN, Instytucie Badań Literackich PAN, Instytucie Studiów Politycznych PAN (obecnie Zakładu Historii Politycznej), profesor w Collegium Civitas. Członek Komitetu Nauk Historycznych PAN, Rady Archiwalnej, kilku kolegiów redakcyjnych w kraju i za granicą, konsultant *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN*. Autor 20 książek, w tym m.in.: *Prasa polska 1918–1939* (1980), *Stanisław Mikołajczyk, czyli klęska realisty* (1991), *Pół wieku dziejów Polski* (1995). Laureat m.in. nagrody PAN, nagrody im. J. Mieroszewskiego, nagroda Klio, Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej. Członek Kolegium IPN, od października 2008 r. jego przewodniczący.

Aleksander Pawlicki – ur. w 1973 r. Dyrektor i nauczyciel historii w Gimnazjum i Liceum Cecylii Plater-Zyberkówny w Warszawie, autor książki *Kompletna szarość. Cenzura 1965–1972. Instytucja i ludzie* (2001) oraz podręcznika do historii i nauki o społeczeństwie *Był sobie człowiek*. (2006). Współpracownik TVP Historia.

Krzysztof Persak – ur. w 1968 r., dr nauk historycznych, od 2000 r. pracownik BEP IPN, autor m.in. *Odrodzenie harcerstwa w 1956 roku* (1996); *Sprawa Henryka Hollanda* (2006); współautor *A Handbook of the Communistst Security Apparratus in East Central Europe 1944/1945–1989* (2005), współredaktor *Wokół Jedwabnego* (2002).

Paweł Piotrowski – ur. w 1963 r., od 2001 r. pracownik BEP we Wrocławiu, doktorant w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Zajmuje się dziejami wojskowości po II wojnie światowej i funkcjonowaniem aparatu represji w państwach Europy Wschodniej. Współautor opracowania dokumentów *Opozycja demokratyczna w Polsce 1976–1980* (2002); autor książki *Śląski Okręg Wojskowy 1945–1956* (2003), redaktor tomu z serii *Aparat Bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza* (2006) oraz współredaktor *Zbrodnia lubińska 1982. Dokumenty* (2007).

Tadeusz Ruzikowski – ur. w 1975 r., dr historii, pracownik BEP IPN od 2000 r. Zajmuje się historią społeczno-polityczną Polski powojennej, szczególnie okresem 1956–1989. Przygotowuje publikację rozprawy doktorskiej *Stan wojenny w Warszawie i województwie stołecznym. 1981–1983*.

Jan Sikorski – ur. w 1935 r., ksiądz prałat, święcenia przyjął w 1958 r., kapłan archidiecezji warszawskiej, wieloletni proboszcz parafii św. Józefa na Kole w Warszawie, w latach 1979–1985 ojciec duchowny w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym w Warszawie, a w latach 1980–1985 także ojciec duchowny archidiecezji warszawskiej; w latach 1981–1982 duszpasterz internowanych w Białołęce, od 1984 r. opiekun Mszy św. za Ojczyznę w parafii św. Stanisława Kostki, 1990–2001 naczelny kapelan więziennictwa RP; b. wiceprzewodniczący Światowego Związku Naczelnych Kapelanów Więziennych; członek Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski i Rady Kapłańskiej Archidiecezji Warszawskiej, kapelan „Solidarności" Regionu Mazowsze.

Grzegorz Sołtysiak – ur. w 1961 r., dr, historyk, prezes Archiwum Dokumentacji Historycznej PRL, współautor 5-tomowego wydawnictwa *Okrągły stół. Dokumenty i materiały* (2004), współtwórca programu telewizyjnego *Kulisy i sensacje* i *Kulisy PRL*.

Paweł Sowiński – ur. w 1974 r., absolwent Instytutu Historycznego PAN, dr nauk humanistycznych. Autor m.in.: *Komunistyczne święto. Obchody 1 maja w Polce Ludowej w latach 1948–1954* i *Wakacje w Polsce Ludowej. Polityka władz i ruch turystycznych (1945–1989)* (2005). Zajmuje się wydawnictwami drugiego obiegu (1977–1989). Adiunkt w Instytucie Studiów Politycznych PAN.

Robert Spałek – ur. w 1971 – historyk, absolwent UW, od 2000 r. pracownik OBEP w Warszawie. Autor kilkudziesięciu artykułów popularnych i naukowych oraz opracowań dotyczących m.in. walk wewnętrznych w środowiskach komunistów w Polsce 1944–1956, Czerwca 1976 i stanu wojennego. Ostatnio wydał *Warszawska*

ulica w stanie wojennym. Protesty, zamieszki, pochody, demonstracje w oczach opozycji i władzy 1981–1983 (2008). Pod kierunkiem prof. Jerzego Eislera przygotowuje rozprawę *Poszukiwanie »wroga wewnętrznego« w kierownictwie PPR/PZPR w latach 1948–1956*.

Dariusz Stola – ur. w 1963 r., historyk, dr hab., docent w Instytucie Studiów Politycznych PAN, profesor historii i prorektor Collegium Civitas oraz członek Ośrodka Badań nad Migracjami UW. Zajmuje się polityczną i społeczną historią Polski w XX wieku, a zwłaszcza władzą w PRL, stosunkami polsko-żydowskimi i migracjami międzynarodowymi. Opublikował ponad 60 artykułów naukowych i cztery książki: *Nadzieja i zagłada* (1995), *Kampania antysyjonistyczna w Polsce 1967–1968* (2000), *Patterns of Migration in Central Europe* (2001), *PRL – trwanie i zmiana* (2003).

Tomasz Strzembosz – (1930–2004), profesor, harcerz, historyk Warszawy okresu okupacji i dziejów ziem północno-wschodnich II RP pod okupacją sowiecką (1939–1941). Wybrane publikacje: *Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy 1939–1949* (rozsypana, 7 lat zatrzymywana w cenzurze, wyd. 1979), *Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1949–1944* (rozsypana, 4 lata w cenzurze, wyd. w 1978 i 1983), *Miasto groźne* (1200 str. mps, nigdy nie weszła do obiegu), *Rzeczpospolita Podziemna 1939–1945*, *Saga o »Łupaszce« – ppłk Jerzym Dąmbrowskim 1869–1941* (1996); *Antysowiecka partyzantka i konspiracja nad Biebrzą X 1939–VI 1941* (2004).

Włodzimierz Suleja – ur. w 1948 r., prof. zw. dr hab. nauk historycznych. W latach 1972–1995 pracownik IH Uniwersytetu Wrocławskiego. Od 1995 r. pracował w IH WSP w Zielonej Górze. Ważniejsze prace: *»Solidarność« na Dolnym Śląsku* (1986 jako Stanisław Stefański), *Tymczasowa Rada Stanu* (1999); *Józef Piłsudski* (1995, 2004); *Historia Wrocławia (w Polsce Ludowej, PRL i III Rzeczypospolitej)* (2001); *Dolnośląski Marzec'68. Anatomia protestu* (2006). Opublikował ponad 200 artykułów i studiów. Od 2000 r. dyrektor Oddziału IPN we Wrocławiu.

Krzysztof Szwagrzyk – ur. w 1964 r., historyk, dr hab. nauk humanistycznych, zajmuje się komunistycznym aparatem represji, głównie działalnością sądownictwa i prokuratury. Od 2000 r. w IPN, obecnie naczelnik OBEP IPN we Wrocławiu. Autor m.in. *Winni? – Niewinni?;* (1999); *Zbrodnie w majestacie prawa. Straceni na Dolnym Śląsku 1945–1956* (2002); *Prawnicy czasu bezprawia. Sędziowie i prokuratorzy wojskowi w Polsce 1944–1956* (2005); *Jaroszów. Ośrodek Pracy Więźniów. Więzienie (1950–1965)* (2006).

Krystyna Trębicka – historyk i politolog, dr hab., adiunkt w Zakładzie Myśli Politycznej Wydziału Politologii UMCS w Lublinie. Autorka kilkudziesięciu artykułów naukowych oraz książek: *Między apologią a negacją. Studium myśli politycznej KPP w Latach 1918–1932* (1995); *Okrągły Stół w Polsce. Studium o porozumieniu politycznym* (2003); współautorka *Typologia systemów bezpieczeństwa w XIX i XX* (1996); współredaktor *Wizje i realia. Studio nad realizacją polskiej myśli politycznej XX w.* (2002).

Jędrzej Tucholski – ur. w 1932 r., mgr inż., absolwent Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej, z zamiłowania historyk i dokumentalista. W latach 1995–2000 wicedyrektor Centralnego Archiwum MSWiA; w latach 2000–2006 zastępca dyrektora BUiAD IPN. Autor książek *Cichociemni* (1984, 1985 i wyd. uzup. 1988), *Spadochroniarze* (1991), *Mord w Katyniu* (1991) i wielu innych publikacji z zakresu najnowszej historii Polski, zwłaszcza dotyczących wysiłku zbrojnego i martyrologii żołnierza polskiego. Uczestnik ekshumacji w Charkowie i Miednoje w 1991 r. oraz w Katyniu w 1994. Obecnie na emeryturze.

Kazimierz Urban – (1946–2007) dr hab., prof. nadzwyczajny w Akademii Ekonomicznej w Krakowie, badacz mniejszości religijnych w Polsce. Autor wielu artykułów naukowych o polityce wyznaniowej w PRL, ekumenizmie, geografii i statystyce religii. Autor książek i monografii, m.in.: *Kościół Prawosławny w Polsce 1945–1970 (z zagadnień stabilizacji życia kościelnego)* (1992); *Mniejszości religijne w Polsce 1945–1991 (zarys statystyczny)* (1994); *Kościół Prawosławny w Polsce 1945–1970 (rys historyczny)* (1996); *Z dziejów Kościoła Prawosławnego na Dolnym Śląsku* (1998); *Zbory Niemieckie Kościoła Ewangelicko-Augsburgskiego w Polsce 1948–1970 (wybór dokumentów)* (2003).

Witold Wasilewski – ur. w 1972 r., dr nauk humanistycznych. Absolwent IH UW. Od 2003 r. w BEP IPN, wykładał w UKSW w Warszawie. Historyk dziejów nowożytnych i najnowszych, specjalizuje się w problematyce Europy Wschodniej i Rosji. Autor monografii *Wyprawa bukowińska Stanisława Jabłonowskiego w 1685 roku*, *Marian Zdziechowski wobec myśli rosyjskiej XIX i XX wieku* (2005). Zajmuje się zagadnieniem kłamstwa katyńskiego.

Wiesław Władyka – ur. w 1947 r., dr hab., profesor historii na Uniwersytecie Warszawskim, autor książek i artykułów o Polsce międzywojennej i o PRL, w tym m.in. *Krew na pierwszej stronie: Sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej* i *Na czołówce. Prasa w październiku 1956 r.* Od 1985 r. związany z redakcją „Polityki", autor książki *Polityka i jej ludzie* (2007).

Marcin Zaremba – ur. w 1966 r., dr historii, adiunkt w Instytucie Historycznym UW oraz Instytucie Studiów Politycznych PAN. Publikował dokumenty i opracowania na temat historii PRL w periodykach naukowych, a także w „Polityce" i „Więzi". *Współredaktor tomu Marzec 1968. Trzydzieści lat później* (1998). Autor publikacji: *Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm. Nacjonalistyczna legitymizacja władzy komunistycznej w Polsce* (2001), którą w 2002 r. wyróżniono nagrodami Klio i tygodnika „Polityka".

Zdzisław Zblewski – ur. w 1967 r., w latach 2000–2008 pracownik OBEP IPN w Krakowie, adiunkt w Instytucie Historii UJ. Członek redakcji czasopism naukowych „Pamięć i Sprawiedliwość" oraz „Zeszyty Historyczne WiN". Zajmuje się dziejami podziemia niepodległościowego po II wojnie światowej oraz życiem codziennym w PRL. Autor m.in. publikacji *Między wolną Polską a »siedemnasta republiką«. Z dziejów oporu społecznego na terenie województwa krakowskiego w latach 1945–1947* (1998) oraz popularnonaukowego *Słownika PRL* (2000), współautor *Utopia nad Wisłą. Historia Peerelu* (2008). Współpracownik Społecznego Instytutu Wydawniczego „Znak".

SPIS TREŚCI

OD WYDAWCY 3
ŻYCIE CODZIENNE W PRL 5
O POLSKIM MARCU 1968 ROKU 23
O MIEJSCACH POCHÓWKÓW OFIAR KOMUNIZMU W POLSCE 43
ZA WASZĄ I NASZĄ NIEWOLĘ 55
O WAKACJACH, WYPOCZYNKU I CZASIE WOLNYM 81
O SOWIECKICH REPRESJACH WOBEC POLAKÓW 101
ZABIJANIE SŁOWA 124
ZWALCZANI I KONCESJONOWANI 144
DZIEL I RZĄDŹ 154
STÓŁ BEZ KANTÓW 167
POWRÓT DO RUIN CZY REJS DO ZIEMI OBIECANEJ? 191
BYĆ ŚLĄZAKIEM 198
TO ON MIAŁ RACJĘ 223
WSZYSTKO POD KONTROLĄ 239
KRESY UTRACONE 255
KOMUNIŚCI PRZECIW KOMUNISTOM 276
CO KRYJĄ TECZKI? 297
POLSKI PAPIEŻ 318
ZBRODNIA KATYŃSKA 337
POKONANI W OBOZIE ZWYCIĘZCÓW 349
POLSKI DZIKI ZACHÓD 372
WSZYSCY KRAWCY WYJECHALI 391
NOTY O ROZMÓWCACH 410